

Smith Deborah

Miejsce zwane Domem

Dwanaście lat temu Claire Maloney była upartym, rozpieszczonym dzieckiem najszacowniejszej rodziny w mieście, jednak nie przeszkadzało jej to w utrzymaniu przyjaźni z Roanem Sullivanem, dzikim, zaniedbanym półsierotą, który mieszkał w zardzewiałej przyczepie kempingowej, pośród wraków samochodów i zwałów śmieci. Nikt z Dunderry, a już na pewno nikt z rodziny Claire, nie był w stanie zrozumieć, co łączy tych dwoje.

Jednak Roan i Claire nie zważali na niechęć otoczenia i byli ze sobą szczęśliwi - do chwili, gdy pewnego ponurego dnia oboje zetknęli się z przemocą i śmiercią, a Roan zniknął z życia Claire. Dwadzieścia lat później Claire jest samotna i zagubiona, a Maloneyowie wciąż liczą na to, że przeszłość zostanie ostatecznie pogrzebana w żyznej południowej ziemi. Nie wiedzą, że wkrótce Roan Sullivan ponownie wkroczy w ich życie...

Od Autorki

John Power przybył do Ameryki z miasteczka Donegal w Irlandii w roku 1761. Ożenił się z Rachel Duvall z okręgu Greenville w Karolinie Południowej. Dochowali się dwanaścioro dzieci. Ich najmłodszy syn, James Power, poszukiwacz przygód i weteran wojny 1812 roku, wybudował dom na dzikich terenach północnej Georgii wkrótce po tym, jak udostępniono osadnikom tereny zajmowane przez Indian z plemienia Creek, na południe od rzeki Chattahoochee. Dom Jamesa Powera znajdował się w pobliżu maleńkiej osady Marthasville, znanej później jako Jericho, a jeszcze później jako Atlanta.

James Power był kowalem, mierniczym, sędzią i przewoźnikiem na barce. Zajmował się także myślistwem i handlował z Czirokezami, zamieszkującymi tereny po drugiej stronie rzeki. Poślubił kobietę - prawdopodobnie Czirokezkę - której nazwisko i losy pozostaną na zawsze nieznane. Ich jedyny syn, Samuel Wesley, urodził się w roku 1830 i podczas wojny secesyjnej służył w armii Konfederatów. Jeszcze przed zakończeniem wojny urodziło się pierwsze z sześciorga dzieci Samuela Wesleya, chłopiec o imionach Samuel Adam.

Samuel Adam Power umarł w roku 1908, kiedy jego najmłodszy syn William był jeszcze dzieckiem. William poślubił Agnes Nettie Quarles tuż po Bożym Narodzeniu 1926 roku. Ich ślubna fotografia przedstawia dwoje przystojnych młodych ludzi. On ma na sobie ciemny garnitur z pękiem róży wpiętym w klapę. Ona ubrana jest w białą, prostą sukienkę, a jej ciemne włosy ściągnięte są do tyłu i spięte małą klamerką. On siedzi, a ona stoi obok niego i trzyma dłoń na jego ramieniu. Jego silne, duże, spracowane dłonie splecione są na lekko uniesionym kolanie. Oboje się uśmiechają.

Pierwsza córka w rodzinie złożonej z czterech córek i czterech synów nazywa się Dora Power Brown. To moja matka. Dorastała, bawiąc się w osadach nad rzeką zagospodarowanych ponad sto lat wcześniej przez Jamesa Powera. Kiedy mój brat, siostra i ja byliśmy jeszcze dziećmi, spędzaliśmy tam niemal wszystkie niedziele i święta w towarzystwie babć, dziadków, trzech ciotek, czterech wujków i piętnastu kuzynów i kuzynek

Ta książka poświęcona jest im wszystkim, w podzięce za wspomnienia, nadzieje, wspólne radości, smutki i wzajemne wsparcie. Dedykuję ją także mojemu mężowi, który jak wielu innych, tak doskonale odnalazł się w rodzinie o sercu równie wielkim i głębokim jak jej dziedzictwo.

**Josh, Brady, Evan, Hop,
& Claire Maloney**

Holt Maloney

Joseph & Dottie Maloney

Howard & Alice* Maloney

Liam & Emma Maloney

**Sean & Bridget Maloney
[wyemigrowali z Irlandii w 1838 roku]**

Marybeth Maloney

**Patrick & Elizabeth
Wallingford* Delaney**

**Thurman & Quenna Kehoe
Delaney**

**Glen & Fiona Delaney
[wyemigrowali z Irlandii w 1838 roku]**

*** „Stare babcie”**

Część I

*Oto przychodzi dziecko człowiecze
Tu gdzie potoki, lasy dziewicze
Z wrózką pod rękę wraca z padolu
Gdzie bólu więcej Niż pojąć zdoła.*

W. B. Yeats

Prolog

Zawsze myślałam, że zostanę jedną z tych dziwnych starszych dam z Południa, które rozmawiają z krzakami pomidorów i kupują swetry dla swoich kotów. Miałam już trzydziestkę, ale już zaczynałam rozumieć, kim byłam dotąd i dokąd zmierzam. Wiedziałam więc, że kiedy doczekam starości, celowo będę zachowywać się osobliwie. Zacznę malować usta jaskrawoczerwoną szminką i opowiadać pikantne historyjki o mojej rodzinie, a ludzie będą wtedy mówili: „Tak, zawsze była trochę dziwna. Wiesz, co mam na myśli”.

Nikt nie rozumiałby, dlaczego taka jestem, a ja nie zamierzałam tego tłumaczyć. Myślałam, że całymi dniami będę przesiadywać w bujanym fotelu na werandzie jakiegoś okropnego domu opieki dla zniedołężniałych dziennikarzy, upijać się burbonem z coca-colą i płakać nad losem Roana Sullivana. Byłam zaledwie dziesięcioletnią dziewczynką, kiedy widziałam go po raz ostatni, a on piętnastolatkiem. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat, ale ja nigdy o nim nie zapomniałam i byłam pewna, że on też o mnie pamięta.

„Chciałabym, żeby Roamemu dobrze się ułożyło w życiu”, wzdychała od czasu do czasu mama, a tato kiwał wtedy głową, nie patrząc jej w oczy, po czym oboje szybko porzucali ten temat. Rola, jaką odegrali w wygnaniu Roana, napełniała ich poczuciem winy, wiedzieli też dobrze, że nigdy im tego nie wybaczę. To właśnie z jego powodu nie potrafiłam im już zaufać i odnaleźć dawnej bliskości, której tak bardzo mi brakowało, odkąd bezradna i zrezygnowana wróciłam ze szpitala do domu.

Moi dwaj starsi bracia, Josh i Brady, w ogóle nie mówili o Roanem. Większość czasu, który nazwałabym epoką Roana Sullivana w naszej rodzinie,

obaj spędzili w college'u. Dwaj młodszy bracia wspominali go zawsze, gdy wracali z udanego polowania na jelenie.

- To się nawet nie umywa do tego kozła, którego ustrzelił Roan Sullivan, kiedy byliśmy dziećmi - mówił zawsze Evan do Hopa.

- Ani trochę - zgadzał się Hop, wzdychając żałośnie. - Tamten kozioł to był prawdziwy król. - Evan i Hop przekładali dręczący ich smutek na długość rogów.

Dla reszty rodziny - tej po stronie taty i tej po stronie mamy, złączonych połówek rodzinnego drzewa tak wielkiego i skomplikowanego, że dla obcych wyglądało jak przerośnięty dąb - Roan Sullivan był tylko wyblakłym odbiciem dawnych uprzedzeń, żalu i współczucia. Obraz Roana, jaki nosił w pamięci, zależał od tego, jak sami wspominali siebie i świat z tamtych czasów. Większość z nich starała się jak najrzadziej wracać myślą do tamtych bolesnych wydarzeń.

Jednak on i ja wrosliśmy na dobre w rodzinną historię, staliśmy się jej żywą i tragiczną częścią, na zawsze związaną z tą małą amerykańską społecznością, odizolowaną od reszty świata i ukrytą w górach północnej Georgii, gdzie ludzie przechowują smutne historie równie pieczołowicie jak porcelanową zastawę po dziadkach. Kryształ i porcelana mojej babci, skoro już o nich mowa, zapakowane były do skrzyni na strychu taty i mamy. Mama wciąż miała tę nikłą nadzieję, że pewnego dnia zechce z nich skorzystać, że jedyna córeczka z całej piątki dzieci przemieni się w jakiś magiczny sposób, rozkwitnie i stanie się kobietą, która będzie używać porcelanowych filiżanek, a nie plastikowych kubków.

Nie były to całkiem bezpodstawne nadzieje. Jednak to, co stało się z Roanem Sullivanem i ze mną, odmieniło życie moje i mojej rodziny. Bo w nim zobaczyliśmy siebie takimi, jakimi jesteśmy naprawdę - stworzonymi z czułości i okrucieństwa, które wiążą ludzi ze sobą poprzez krew, małżeństwo i czas. Próbowałam go uratować, a on przegrał, ratując mnie. Być może nie żył już od dwudziestu lat - wówczas nie mogłam tego wykluczyć - ale wiedziałam, że przez mego zatoczę pełne koło i że zawsze będę czekać na jego powrót.

Rozdział pierwszy

Zaczęło się to tej wiosny, kiedy występowałam jako stepujący krasnal na festynie z okazji Dnia św. Patryka, a Roan Sullivan groził mojemu kuzynowi Carltonowi, że poderżnie mu gardło zardzewiałym scyzorykiem. W tym samym roku pojawili się w Ameryce Beatlesi, Gwardia Narodowa zabiła pięciu studentów, a Josh, który walczył w Wietnamie, napisał do Brady'ego - wówczas ucznia ostatniej klasy w średniej, szkole. „Nawet nie myśl o wojsku. To gówno nie ma nic wspólnego z patriotyzmem”.

Ale wtedy miałam dopiero pięć lat. Mój świat był wąski, głęboki, zadowolony z siebie, dostatni, bardzo Południowy, bezpiecznie przywiązany do ziemi i ogromnej rodziny pochodzącej niemal w stu procentach od irlandzkich imigrantów, którzy osiedlili się w górach Georgii ponad sto trzydzieści lat wcześniej. Z mojego punktu widzenia świat kręcił się spokojnie i powoli wokół centrum, którym byłam ja sama.

Zabawa z okazji Dnia św. Patryka w niczym nie przypominała dzisiejszego hucznego święta. Nikt nie rozbijał wtedy namiotów, w których rozdawano zielone piwo, nie było artystów sprzedających misternie wykonanej koniczynki z 24-karatowego złota ani wielkich loterii z cennymi nagrodami, zagraniczni muzycy nie grali autentycznych irlandzkich melodii na rynku miasta. Teraz jest to prawdziwy festiwal, jedna z największych atrakcji turystycznych w naszym stanie.

Kiedy miałam pięć lat, była to tylko zwykła zabawa, odbywająca się na terenie należącym do kościoła Metodystów na wschód od miasteczka. Panie z organizacji kościelnych i charytatywnych sprzedawały kanapki, ciasteczka i cytrynowy poncz na rozkładanych stolikach obok niewielkiej drewnianej sceny, zespół „Chłopaki z Gór” przygrywał na banjo i gitarach, a grupa

najmłodszych dzieci ćwiczących stepowanie w szkole tańca mojej ciotki Glorii była zmuszana do publicznego występu w okropnych zielonych kostiumach irlandzkich krasnoludków.

Mama uwieczniała na niezliczonych zdjęciach ten upokarzający spektakl, w którym i ja musiałam wziąć udział. Nie byłam urodzoną tancerką. Nie miałam poczucia rytmu, zawsze uderzałam o podłogę w niewłaściwym momencie i nie cierpiałam, kiedy ktoś zajmował się kimkolwiek poza mną. Stałam na scenie, spoglądałam rezolutnie na aparat, odziana w zjadliwie zielony strój z marszczoną spódnicą, bufiastą białą bluzkę, zielone skarpetki i czarne skórzane buty do stepowania z zielonymi kokardami. Moje rude włosy splecione były w dwa grube warkocze przewiązane zielonymi wstążkami.

Wyglądałam jak nieszczęśliwa irlandzka Heidi.

Wraz z dwudziestoma podobnymi nieborakami z mojej grupy waliłam nogami o deski i szurałam w takt melodii jakiegoś nie znanego mi irlandzkiego tańca, który ciotka Gloria puszczała na cały regulator ze swojego przenośnego gramofonu, podłączonego do wzmacniaczy „Chłopaków z Gór”. Spojrzałam w dół i zobaczyłam go. Stał w tłumie tuż przed sceną, wysoki dziesięciolatek o tłustych, czarnych włosach, ubrany w jakieś stare łachmany. Roan Sullivan. Roanie. Nawet w małym miasteczku warstwy społeczne wyglądają niczym strome schody. Moja rodzina była na samej górze. Roan i jego tato nie byli na samym dole - oni zeszli już do piwnicy.

Przyglądał mi się z poważną miną, jakbym nie robiła z siebie idiotki, choć tak właśnie było. Już dwa razy stanęłam niechcący na lewej stopie mojej kuzynki Violet i uderzyłam łokciem w prawą rękę kuzynki Rebeki, więc obie odsunęły się ode mnie jak najdalej.

Zapomniałam o moich niezdarnych rękach i nogach i wpatrywałam się chciwie w Roana Sullivana, gdyż po raz pierwszy w życiu mogłam z bliska popatrzeć na okropnego, nic niewartego syna Dużego Roana Sullivana z Wąwozu Sullivana. Nie utrzymywaliśmy kontaktów z Dużym Roanem Sullivanem, chociaż on i Roanie byli naszymi najbliższymi sąsiadami od strony Drogi Mydlanych Wodospadów. Wąwóz mógłby równie dobrze znajdować się w Chinach, a nie dwie mile od naszej farmy.

- W tej nędznej dziurze znajdziesz tylko jedną rzecz: śmieci. - Tak właśnie wuj Pete i wuj Bert zawsze mawiali o Wąwozie. A ponieważ wszyscy wiedzieli, że Roan Sullivan jest śmieciem - mieszkał w śmieciach, wyglądał jak śmieć i jak śmieć śmierdział - wszyscy omijali go z daleka. Być może

właśnie dlatego nie mogłam oderwać od niego wzroku. Byliśmy oboje ludzkimi wysepkami, osadzonymi na środku pustego, samotnego morza przestrzeni.

Mój kuzyn Carlton stał kilka kroków dalej, pomiędzy Roaniem i stołem z kanapkami. W każdej rodzinie istnieje kilku krewnych, których toleruje się z najwyższym trudem. Carlton Maloney należał do tej właśnie grupy. Miał około dwunastu lat, był lekko otyły, wiecznie zadowolony z siebie i śmiał się ze mnie tak mocno, że jego oczy niemal ginęły w tłustej twarzy. On i mój brat Hop byli razem w siódmej klasie. Hop mówił, że Carlton oszukuje na sprawdzianach z matematyki. Krótko mówiąc był fałszywcem.

Zauważyłam, że ogląda się za siebie. Raz, drugi. Wuj Dwayne odpowiedzialny był za stół z jedzeniem. Ciotka Rhonda właśnie coś do niego mówiła, więc wuj słuchał jej z uwagą. Obok kartonowego pudła po butach, które służyło mu za kasę, położył kilka banknotów dolarowych.

Carlton szybko wyciągnął rękę, pochwycił pieniądze i schował je do kieszeni.

Patrzyłam na niego zupełnie ogłupiała. Ukradł pieniądze za kanapki. Okradł własnego wuja. Moi bracia i ja wychowywani byliśmy zgodnie z surowymi zasadami moralnymi i żadne-z nas nie ośmieliłoby się ukraść nawet centa z kubka, w którym tato trzymał drobniki. Przyznaję, że miałam słabość do czekoladowych ciasteczek, pakowanych w torby w dziale z pieczywem miejscowego sklepu spożywczego, i jeśli któraś z tych toreb sama spadła z półki i rozerwała się, zabierałam kilka. Ale wszelka własność niejadalna była święta. Kradzież pieniędzy była po prostu nie do pomyślenia.

Wuj Dwayne spojrzał na stół. Zmarszczył brwi. Zajrzał pomiędzy paczki z cukrowymi ciasteczkami, owinięte w celofan i przewiązane zielonymi wstążkami. Pochylił się nad Carltonem i coś do niego powiedział. Ze sceny nie mogłam usłyszeć, co wuj mówił - muzyka nieustannie dudniła mi w uszach - widziałam jednak, jak Carlton cofa się z dramatycznym gestem i kręci głową. Potem odwrócił się i wskazał palcem na Roanego.

Zastygłam w bezruchu. Nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Stałam wrośnięta w podłogę i powoli, boleśnie zdawałam sobie sprawę z tego, co dzieje się dookoła. Ludzie głośno śmiali się ze mnie, moi dziadkowie i babcie kryli uśmiechy za dłońmi, rodzice wymieniali zdumione spojrzenia. Tato, który też nie umiał tańczyć, wymachiwał swoimi wielkimi rękoma, jakbym była jakąś przestraszoną owieczką, którą znów można przynaglić do biegu.

Ale ja wcale nie byłam przestraszona. Byłam wściekła.

Wuj Dwayne z wysuniętą do przodu szczęką, obszedł stół i pochwycił Roaniego za ramię. Widziałam, jak przemawia do mego ze złością. Widziałam, jak wyraz zdumienia na twarzy Roaniego przemienia się w posepny gniew. Podejrzewam, że nie po raz pierwszy oskarżano go niesprawiedliwie.

Jego spojrzenie powędrowało ku Carltonowi. Rzucił się na niego. Obaj runęli na ziemię, ale mój kuzyn był pod spodem. Ludzie z krzykiem odskoczyli na bok. Cała Rewia Krasnoludków zatrzymała się w pół kroku. Ciotka Gloria podbiegła do gramofonu i muzyka urwała się nagle ze zgrzytem, jakby wzmocnionym odgłosem zasuwanego zamka.

Zbiegłam po schodach przystawionych z boku sceny i zaczęłam się przepychać przez tłum dorosłych.

Wuj Dwayne próbował odciągnąć Roaniego od Carltona, ale chłopiec zaplątał dłoń w kołnierzu swetra mojego kuzyna. Drugą ręką przykładał ostrze zardzewiałego scyzoryka do gardła Carltona.

- Nie zabrałem żadnych pieniędzy! - wrzeszczał Roanie. - Ty cholerny kłamco! Wtedy tato wkroczył do akcji. Wbił kolano w plecy Roaniego, wykręcił

mu rękę i wyrwał scyzoryk. Razem z wujem Dwaynem odciągnęli chłopców od siebie, a tato poderwał Roaniego na równe nogi. — On ma nóż - usłyszałam czyjś szept. - Ten chłopak Sullivana jest niebezpieczny.

- Gdzie są pieniądze? - zagrmiał wuj Dwayne, patrząc Roaniemu prosto w oczy. - Oddaj mi je, i to natychmiast.

- Nie mam żadnych pieniędzy. Nie zabrałem żadnych pieniędzy. - Mówił półgębkiem, jak jakiś dzikus z gór, połykał końcówki słów. Miał też

^zakrzywiony i nadłamany przedni ząb, który błyskał niczym jakiś wielki kieł.

- Właśnie, że tak, zabrałeś je! - wydzierał się Carlton. - Widziałem cię! Wszyscy wiedzą, że jesteś złodziejem! Jak twój ojciec!

- Roanie, oddaj pieniądze - powiedział tato. Tato miał potężny głos. Był surowy, ale sprawiedliwy. - Nie zmuszaj mnie, żebym przeszukiwał ci kieszenie - dodał. - No, chłopcze, powiedz prawdę i oddaj pieniądze.

- Nie mam ich.

Choć od Roaniego oddzielało mnie jeszcze kilka osób, widziałam zrezygnowanie i złość, jakie malowały się na jego twarzy. O tak ten chłopiec nie był świętoszkiem. Bił się, przeklinał, przykładał ludziom nóż do gardła. Przysparzał kłopotów. Zasługiwał na kłopoty.

„Ale nie jest złodziejem”.

„Nie możesz skarżyć na Carltona. Maloneyowie powinni trzymać się razem. W ten sposób jesteśmy silniejsi”. „Ale to niesprawiedliwe”.

- W porządku, Roanie, sam tego chciałeś - powiedział tato i sięgnął do kieszeni brudnych spodni Roaniego.

- On nie ukradł pieniędzy - oznajmiłam głośno. - Wziął je Carlton! Wszyscy gapili się teraz na mnie. No cóż, zdążyłam się do tego

przyzwyczaić. Napotkałam ostrożne, niepewne spojrzenie SullWana. Zdawało mi się, że mógłby przeszyć mnie na wskroś tymi swoimi oczami. Wuj Dwayne spojrział na mnie groźnie.

- Spokojnie, Claire. Jesteś pewna, że nie chcesz się odegrać na Carltonie za to, że w zeszłym tygodniu opluł cię prażonymi orzeszkami przed szkółką niedzielną?

Nie, choć przekonałam się jak bardzo gorące są prażone orzeszki ziemne.

- Roanie nie zabrał tych pieniędzy - powtórzyłam i wycelowałam palcem w Carltona. - To on je wziął. Widziałam, jak to robił, tato. Widziałam, jak włożył je do kieszeni w spodniach.

Tato i wuj Dwayne obrócili się powoli w miejscu. Twarz Carltona, zawsze spocona i zarumieniona, stała się teraz purpurowa.

- Carlton - powiedział z naciskiem wuj Dwayne.

- Ona mi tylko tak dokucza!

Wuj włożył dłoń do kieszeni Carltona i wyciągnął stamtąd dwa zwinięte w rulonik banknoty. I to już wystarczyło.

Wuj Dwayne odciągnął Carltona na bok i poszedł szukać wuja Eugene'a i ciotki Arnette, jego rodziców. Tato wypuścił Roaniego Sullivana.

- No dobra, uciekaj stąd.

- On wyciągnął nóż, Holt - odezwał się wuj Pete za moimi plecami. Tato skrzywił się lekko.

- Tym scyzorykiem nie przeciąłby nawet papierowej torebki.

- Ale groził nim Carltonowi.

- Daj już spokój, Pete. Rozejdźcie się wszyscy.

Roanie wciąż patrzył na mnie, a ja stałam jak zahipnotyzowana. Nieufność emanowała z niego i otaczała go niczym tarcza, jednak w jego oczach pojawił się ten błysk, złożony ze zdumienia, wdzięczności i podejrzliwości, który palił mnie niczym ogień. Czułam się jak oparzona. Tato położył dłoń na

kołnierzu jego wyblakłego, rozciągniętego swetra i wyciągnął Roaniego na zewnątrz. Chciałam iść za nim, ale mama zdążyła się już do mnie przecisnąć i pochwyciła mnie za sukienkę.

- Powstrzymaj się Claire Karleen Maloney. Wystarczy na dzisiaj tych popisów.

Podniosłam na nią zdumione spojrzenie. Zza jej pleców wyglądali Hop i Evan. Violet i Rebeka gapiły się na mnie z otwartymi ustami. Cała grupa Maloneyów przyglądała mi się badawczo.

- Carlton to obłudnik - wyjaśniłam wreszcie. Mama skinęła głową.

- Powiedziałaś prawdę. To dobrze. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Jestem z ciebie dumna.

- Więc dlaczego wszyscy patrzą na mnie, jakbym zwariowała?

- Bo zwariowałaś - wybuchnęła Rebeka. - Nie boisz się Roaniego Sullivana?

- Nie śmiał się, kiedy tańczyłam. Chyba jest w porządku.

- Masz dziwny sposób oceniania ludzi - kręcił głową Evan.

- Brakuje jej chyba piątej klepki - dodał Hop.

Więc to był właśnie ten rok kiedy zrozumiałam, że Roan Sullivan nie jest zwykłym śmieciem, że jest niebezpieczny i że stając po jego stronie na pewno zyskam reputację rozrabiaki, niespokojnego ducha i niezależnej myślicielki.

Od tego dnia byłam nim zafascynowana.

„ **Wielki** świat nawet nie wiedział, że istnieje miasteczko Dunderry w stanie Georgia. Szukałam nas na emaliowanym globusie w salonie i nie znalazłam. Z trudem odnalazłam Dunderry na pomiętej, poplamionej kawą mapie drogowej Georgii, którą mama i tato trzymali w schowku naszego samochodu kombi. Atlanta oznaczona była jako wielka gwiazda, a Gainesville jako kółko. Jednak Dunderry była tylko małą kropeczką. Mieszkaliśmy o cal na lewo od Gainesville i półtora cala nad Atlantą.

Mieliśmy spokój i ciszę, piękny rynecek przed budynkiem sądu, ulice wysadzone wspaniałymi drzewami, słodkie, śliczne stare domy i wielkie farmy ukryte w szerokich, żyznych dolinach, otoczone monumentalnymi górami, które zapewniały nam bezpieczeństwo.

Nasi przodkowie, którzy niegdyś założyli to miasteczko, zapewne wciąż by je rozpoznali, pomimo elektryczności, brukowanych dróg, kanalizacji i po-

mruków upamiętniających pięć wojen - łącznie z tą, która pogrzebała pięciu młodzieńców z Dunderry gdzieś w odległych stanach i dała nam w zamian czterech nieznanymi jankesów, których groby na skraju cmentarza Pierwszego Kościoła Baptistów stały się atrakcją turystyczną.

Spytałam mamy, która była Delaney z domu i wyszła za mąż za Maloneya - innymi słowy, stała dumnie na skrzyżowaniu dwóch najstarszych rodzin w Dunderry - czy rzeczywiście jesteśmy tacy mali, jak to wynika z mapy.

- Nie martw się - odpowiedziała. - Jeśli popatrzyysz na mrówkę przez szkło powiększające, będzie wielka jak słoń.

Wymiary wszystkich rzeczy zależą od tego, jak na nie patrzeć, a my jesteśmy bardzo duzi.

Przypomniałam jej, że Hop trzymał kiedyś szkło powiększające nad mrówką na podwórku i po minucie wyglądała jak ziarnko prażonego ryżu z nogami. Mama popatrzyła na mnie tak, jak wtedy kiedy kopnęłam ją niechcący w duży palec u nogi, i powiedziała, że bym nie była taka mądra.

Jednak ja postanowiłam przyglądać się wszystkim ostrożnie.

Prapradziadkowie mamy, Glen i Fiona Delaney, wyemigrowali z Irlandii w 1838, w tym samym roku co Maloneyowie. Jednak oni byli wykształconymi handlowcami z wielkiego Dublina, a Maloneyowie pochodzili z biednej chłopskiej rodziny analfabetów z jakiejś zapadłej irlandzkiej wsi. Co więcej, Delaneyowie byli protestantami, a przodkowie mojego ojca, Maloneyowie, katolikami. Glen i Fiona założyli pierwszy w Dunderry sklep tekstylny i pierwszy bank wybudowali też pierwszy piętrowy dom, a Glen został wybrany na pierwszego sędziego w okręgu. Podczas wojny secesyjnej Glen i Fiona popierali unionistów, a ich dwaj najstarsi synowie służyli w armii generała Granta. Członkowie Obrony Krajowej z Dunderry zemścili się rabując sklep Delaneyów i podpalając ich szopę na powóz. Mój prapradziadek, Liam Maloney, był dowódcą Obrony Krajowej.

Tak więc дума, różnice klasowe, religia i polityka przez kilka pokoleń powstrzymywały Delaneyów i Maloneyów od bliższych kontaktów, nawet kiedy obie rodziny stopniowo dorobiły się majątków, wstąpiły do kościoła Metodystów i zaczęły popierać demokratów. Minęło ponad sto lat, nim mama i tata wyrwali się z tej patowej sytuacji.

Dom, w którym się wychowywałam, zbudował prapradziadek Howard Maloney na fundamentach drewnianej chaty, postawionej niegdyś przez jego dziadka Seana. Tu właśnie urodził się mój dziadek Joseph Maloney i jego pięciu braci. Tu też urodził się mój tata i sześcioro jego braci i sióstr.

Każde pokolenie dokładało do niego kolejną część, niczym kolejne przedmioty do skrzyni z posagiem: kiedy urodziłam się ja i moi bracia (w szpitalu w Gainesville - jedynie Brady przyszedł na świat o dwa tygodnie za wcześniej, w sypialni na pierwszym piętrze, z której dobiegały krzyki mamy: „Holt, przynieś mi aspirynę”), dom miał dziesięć sypialni, cztery łazienki i trzy kominki. Z przodu i z tyłu budynku pojawiły się także szerokie, obszerne werandy. Cały dom stał na środku doliny Estatoe, otoczony ze wszystkich stron krągłymi, zielonymi górami. Żadna inna posesja czy nawet dym z komina nie mąciły widoku z naszych okien. Żyliśmy jak we własnym królestwie. Mama prowadziła dom niczym jakiś dobrze prosperujący interes. Wszędzie panowała idealna czystość, nie było tu miejsca dla nieporządných klientów. Łóżka zaścielone, świeże kwiaty w wazonach, posiłki o ustalonych porach, ubrania schludne i czyste, srebra wypolerowane, toalety lśniące czystością, podłogi wywoskowane, dywany i zasłony bez najmniejszej choćby drobiny kurzu. Ustalała terminy wizyt u lekarza, zajęć w szkole, pilnowała odrabiania zadań. Przyrządzała marynaty, konfitury i dżemy, gotowała i piekła ciasta; wysyłała stare krzesła do renowacji, nie zapomniała o położeniu nowej warstwy srebra na stare lustro. Ziemia należała do taty, ale dom był jej. Wszystko, co się w nim działo, musiało być zgodne z jej wolą i biada temu, kto kiedykolwiek o tym zapomniał. Kiedyś tato zabrał ją na powtórny miesiąc miodowy do Kalifornii. Dostała wtedy uczulenia i musieli wrócić dwa dni wcześniej.

- Nie mogłam już znieść tego nieróbstwa - stwierdziła po powrocie.

Kiedy byłam małą dziewczynką, mieszkała z nami babka Delaney, Angielka z pochodzenia (nigdy nie nazywałam jej babcią - nie uznawała takich zdrobnień) i Prababcia Maloney. Nauczyłam się od nich, jak być naprawdę upartą i dumną. Tato mówił, że przy babciach nawet diabeł długo by nie wytrzymał, a mama twierdziła, że ktokolwiek, kto mieszkał w jednym domu z jej mamusią i babcią taty, mógł zostać uznany za świętego. Albo wariata.

Prababcia Maloney była zwawą osiemdziesięcioośmiolatką, podczas gdy babka Delaney - o czym sama często przypominała nam swym delikatnym brytyjskim akcentem - była nadzwyczaj delikatną starszą panią po siedemdziesiątce. Delikatną jak pień cedru. Virginia Elizabeth Wallingford Delaney farbowała swe siwe włosy na wyrazisty, kasztanoworudy kolor, upinała je wysoko i dokładała do tego perukę z plecionych, kasztanowych warkoczy. Gdy założyła jeszcze swoje kanciaste binokle, wyglądała zadziwiająco młodo, niczym jakaś dystygowana królowa.

Nigdy nie wychodziła na dwór bez kapelusza o szerokim rondzie, który ocieniał jej twarz. Pomimo drobnych zmarszczek i kilku starczych plam jej cera wciąż była śnieżnobiała i delikatna jak twarz porcelanowej lalki. Nosiła wąskie, jasne sukienki z małą broszką z kamei, przytrzymującą koronkową chustkę na jej prawym ramieniu. Jeśli ktoś nie spełniał dość szybko jej życzeń, poganiała opieszalca laską z miedzianą rączką w kształcie gęsiej głowy. Zawsze przypominała nam, że miała zaledwie siedemnaście lat i była sierotą, skazaną na pobyt w angielskim internacie, kiedy w czasie pierwszej wojny światowej poznała w Londynie dziadka, Patryka Delaney. Mówiła, że dziadek był olśniewająco przystojnym amerykańskim żołnierzem, nosił w kieszeniach wizytówki tancerki z francuskiego kabaretu i raczył ją opowieściami o swojej południowej ojczyźnie. Wyszła za niego i przepłynęła ocean w nadziei, że wkrótce ujrzy bajecznie kolorowe, ogromne plantacje, które w rzeczywistości zniknęły ze Stanów już po wojnie secesyjnej.

To, co ujrzała po przyjeździe, dalekie było od tych marzeń. Chyba nigdy nie przebaczyła dziadkowi, że nie powiedział jej, jak naprawdę będzie wyglądał jej nowy dom - zamiast plantacji małe górskie miasteczko, zamiast rezydencji wiktoriańska rudera, w której-gnieździł się jeszcze apodyktyczni rodzice dziadka i jego dwie niezamężne siostry, Vida i Maedelle. Babka Elizabeth była przerażona, kiedy ujrzała, że jej szwagierki zażywają tabakę, noszą zwinięte pończochy i piją zimną herbatę.

Nie udobruchała się nawet wtedy, gdy dziadek Patryk zbudował jej wielki, śliczny dom na wzgórzu, tuż obok rynku, ani kiedy kupił jej nowiutkiego, lśniącego Forda T, w czasie gdy większość ich sąsiadów wciąż jeździła wozami ciągniętymi przez muły. Chciała elektryczności - zamiast niej miała lampy naftowe i piece opalane drewnem. Chciała tramwajów, powozów i pociągów - zamiast nich miała zakurzony samochód, który zdzierał opony na wyboistych górskich drogach.

Często wspominała wyprawy do Atlanty, nie dlatego jednak że zawsze była to wspianiała przygoda związana z pobytem w najlepszych hotelach i zakupami w ekskluzywnych sklepach - wspominała je z powodu jednej, wyjątkowej i przerażającej podróży, kiedy samochód zepsuł się na błotnistej drodze odległej o wiele mil od miasta i musiała wraz z dziadkiem spędzić noc na odludziu. Wtedy też z krzaków wyszedł jakiś pijaczek który raczył się własnoręcznie sporządzonym alkoholem i chciał kupić ją od dziadka za dwa dolary i dzban wódki.

Mimo to babka Elizabeth dożyła jakoś starości, głównie ze względu na

czterech synów i cztery córki. Po jakimś czasie czuła się tu chyba doskonale, gdyż wszystkie damy z okolicy uważały ją za prawdziwego eksperta w sprawach mody i dobrych manier, a kiedy dziadek Patryk został prezesem Banku Miejskiego w Dunderry, jej pozycja w miasteczku ostatecznie się umocniła. Zdobywała nagrody za swoje hafty, pisała do lokalnej gazety artykuły o dobrym wychowaniu i cieszyła się ogromnym wzięciem jako recytatorka, a trzeba przyznać, że deklamowała wiersze z zacięciem godnym aktorów teatru szekspirowskiego.

Kiedy miałam cztery lata, dziadek Patryk po kilku wylewach stał się kaleką. Babka Elizabeth przeniosła go wtedy do sypialni na parterze. Przez cały następny rok mogłam obserwować, jak troskliwie opiekuje się nim dzień i noc, zupełnie zapominając o tym, jaka jest delikatna. Kiedy dziadek umarł, skierowała cały swój gniew i energię samotnej kobiety na nieustanną walkę z prababcią Maloney, której sypialnia znajdowała się po przeciwnej stronie hallu. Był to stary zatarg, sięgający czasów ich młodości, cierpliwie pielęgnowany przez lata i przechowany aż do późnej starości, niczym rozżarzone węgle pod warstwą popiołu.

Prababcia nosiła imię Alice. Imię to otrzymała na cześć generała wojsk Konfederatów. Alice Stonewall McGinnis Maloney. Jej mąż, Howard Maloney, umarł na atak serca dwadzieścia lat przed moimi narodzinami. Przed śmiercią zdążył jeszcze przekazać zarządzanie nad całą farmą w ręce mojego dziadka Josepha, ale tak naprawdę, to prababcia trzymała wszystko w garści. Kiedy dziadek Joseph przeszedł na emeryturę i tato zajął jego miejsce, sytuacja wciąż wyglądała podobnie.

Moi bracia i ja nazywaliśmy ją między sobą Stonewall, czyli Kamienny Mur, gdyż nazwisko to doskonale oddawało jej władczy charakter, a zwłaszcza sposób, w jaki prowadziła samochód. Nauczyła się jeździć, kiedy na ulicach było jeszcze bardzo mało aut i nie obowiązywały żadne reguły. Linie oddzielające pasy ruchu nic dla niej nie znaczyły. W końcu pewnie zrezygnowałaby z samodzielnej jazdy, gdyby nie fakt, że jej niezależność irytowała babkę Elizabeth, która kilka lat wcześniej pozbawiona została tej możliwości - po operacji biodra zeszywniała jej noga i nie mogła już siadać za kierownicą.

Siwe włosy prababci układały się w cienkie, spiczaste loczki. Jej twarz była nieprawdopodobnie wręcz pomarszczona. Nosiła ponure brązowe sukienki i buty na grubej podeszwie, miała niemal sześć stóp wzrostu i ważyła dwieście funtów. Dzieciństwo i wczesną młodość, która przypadła na ostatnie

dziesięciolecie poprzedniego wieku, spędziła na ogromnej farmie hodowlanej, pięćdziesiąt mil na północ od Dunderry. Jej matka była unitarianką przesiedloną z Vermont, która nauczała tutaj swej religii i założyła pierwszą szkołę dla murzyńskich dzieci; ojciec był weteranem armii Konfederatów. Kiedy miał dwanaście lat stracił ramię podczas bitwy pod górą Kenesaw.

Prababka poznała Howarda Maloneya na spotkaniu towarzyskim, zorganizowanym przez Akademię dla Panien z Północnej Georgii, gdzie była nauczycielką. Na pożółkłych fotografiach z czasów jej młodości zobaczyć można wysoką, grubokościstą, poważną kobietę z masą czarnych włosów spiętych w kok, ubraną w jedną z tych czarnych sukienek o wąskim gorsecie, bufiastych rękawach i podniesionym z tyłu trenie. Stara panna podczas swych dwudziestych szóstych urodzin.

Poślubiła go miesiąc później i przeprowadziła się do naszej posiadłości w dolinie Estatoe, w okręgu Dunderry, by tutaj wychowywać dzieci, wnuki i prawnuki. Chodziła w spodniach i potrafiła wydoić krowę szybciej niż jakikolwiek mężczyzna; brała udział w marszach sufrażystek do stolicy na długo przed tym, jak zaczęto poważnie dyskutować o prawie do głosowania dla kobiet; rzuciła jajkiem w kuzyna pradziadka, doktora Arnolda Kehoe, kiedy ten wygłaszał przemówienie potępiające kontrolę urodzin. Przez kolejne dziesięciolecia walczyła przeciwko prohibicji i domagała się równości praw dla wszystkich obywateli. Zorganizowała też większość klubów kobiecych w okręgu.

Była cesarzową dla wszystkich, których przeżyła - prócz babki Elizabeth.

Kiedy babka Elizabeth przybyła z Anglii, natychmiast zajęła miejsce prababci jako najciekawszej kobiety w Dunderry i już na zawsze była jej solą w oku.

Ukryta niechęć zamieniła się w otwarty konflikt 4 kwietnia 1920 roku, kiedy to prababcia wyprawiała obiad dla pań z Towarzystwa Dobroczytnego Kościoła Metodystów. Większość dam opuściła stół prababci i z podekscytowaniem tłoczyła się wokół Elizabeth Delaney, nowego i egzotycznego członka tego zamkniętego kółka. Wszystkie wypytywały ją z przejęciem o sprawy związane z modą, dobrymi manierami, słowem, o wszystko, co brytyjskie. Prababcia zносиła to wszystko w milczeniu, choć gotowała się ze złości. Ktoś spytał babkę Elizabeth, czy jest spokrewniona z rodziną królewską. To była ostatnia kropla.

- Królewska rodzina, akurat - powiedziała prababcia do Vidy Delaney, jednak dość głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

- Gdyby nie wyszła za twojego brata, nie miałyby nawet do czego sikać, nie mówiąc już o dachu nad głową.

Babka Elizabeth, sina z wściekłości, podniosła się na pełną wysokość swoich pięciu stóp i trzech cali, po czym oznajmiła:

- Jesteś najgorzej ubraną kobietą, jaką znam, i zachowujesz się jak mężczyzna, więcej; jak prostak. Nigdy ci nie przebaczę.

Trzy lata później, w 1950, mama uciekła z domu, jak się później okazało - z moim tatą. Stało się to w nocy tuż po ceremonii zakończenia nauki w szkole średniej. Oczywiście wybuchł skandal - inteligentna i piękna córka Elizabeth Delaney, Marybeth, która właśnie została przyjęta do kobiecego college'u kościoła Metodystów, i ukochany wnuk Alice Maloney, Holt, który jeździł na motocyklu, nosił czarną, skórzaną kurtkę, porzucił naukę w technikum i pracował na fermie kurzej Maloneyów oraz naprawiał Unie elektryczne pobliskiej elektrowni. Elizabeth Delaney odgrażała się, że oskarży Holta Maloneya o uprowadzenie nieletniej i wsadzi go do więzienia. Alice Maloney starała się unieważnić małżeństwo zawarte bez zgody rodziców.

Jednak mama spodziewała się już dziecka - mojego najstarszego brata, Josha. To praktycznie przesądzało sprawę. Na dobre i złe, rodziny Maloneyów i Delaneyów zostały połączone małżeństwem. Babka Elizabeth i prababcia Alice nie przestały jednak zatruwać sobie nawzajem życia, a ponieważ obie mieszkały w naszym domu, czasami zatruwały życie i nam.

Syn prababci, Joseph, i jego żona, Dottie, kilkaset jardów dalej zajmowali niewielki domek, który wybudowali po tym, jak oddali Wielki Dom mamie i tacie - pewnie dlatego, by uwolnić się od „starych babć”. Dottie Maloney, choć stuknęła jej już sześćdziesiątka, wciąż była młoda - krzepka, energiczna ludowłosa wieża kobiecej siły, która nosiła spodnie i przepięknie haftowane swetry, która z powodzeniem obracała akcjami na giełdzie, zajmowała się księgowością na naszej farmie, grała w tenisa i kochała operę. Uwielbiałam babcię Dottie, ale to dziadek Joseph był moim ukochanym nauczycielem. Ludzie mówili, że jesteśmy do siebie bardzo podobni, zwłaszcza jeśli chodzi o temperament, choć właściwie nie wiedziałam, czy uważali to za komplement. Czasami potrafił być szczerzy aż do bólu.

Dziadek był potężnie zbudowanym, silnym mężczyzną. Poruszał się jak niedźwiedź i był niemal zupełnie łysy - jedynie z tyłu głowy został mu niewielki wianuszek siwych włosów. Potrafił przewidzieć, którego dnia pojawi się pierwszy jesienny szron, a z rehotu żab wróżył, czy lato będzie deszczowe, czy suche. Sadził i siał kierując się fazami księżycy i astrologią, a jego spichlerze zawsze wypełnione były doskonałym ziarnem.

Był także bardzo kiepskim komediantem i dowcipnisiem.

- Pociągnij mnie za palec - mówił czasem. Kiedy tylko to zrobiłam, pierdział tak głośno, że szyby drżały w oknach. Tarzałam się wtedy ze śmiechu.

Dziadek brał udział w drugiej wojnie światowej - walczył na jednej z tych zapomnianych przez Boga wysepek na Pacyfiku. Przedzierał się przez dżunglę w wiecznie mokrych, gnijących butach, zapadł na malarię, bił się na bagnety z Japończykami. Na czas wojny, babcia Dottie przeniosła mojego tatę i całą rodzinę do mieszkania w Atlancie, tak by mogła pracować w fabryce samolotów.

Kiedy po Dniu Zwycięstwa powrócili wreszcie do domu, farma była w opłakanym stanie. Dziadek utykał na lewą nogę - w jego biodrze na dobre utkwił odłamek japońskiego szrapnela. Byli zrujnowani, a musieli opiekować się siedmiorgiem dzieci. Najstarsze z nich, czyli mój tata, miało zaledwie szesnaście lat. Elektrownia z Latchakoochee przed wybuchem wojny nie rozbudowała zbyt wiele swojej sieci - większość górskich wsi i miasteczek wciąż tonęła w ciemnościach.

Dziadek Joseph skrzyknął jednak ekipę składającą się z niego samego, taty i niemal wszystkich mężczyzn z naszej-rodziny, tak samo biednych jak dziadek. Założyli własną firmę, podpisali kontrakt z elektrownią i doprowadzili prąd do wszystkich osad w naszej części stanu. Dorobili się na tym małej fortuny. Babcia Dottie, która wiedziała dużo o pieniądzach i inwestycjach -jej ojciec był bankierem w Gainesville - zaczęła pomnażać tę fortunę grając na giełdzie.

I właśnie dlatego ludzie mówili, że mamy tyle pieniędzy, że nie wiemy już, co z nimi zrobić. Nasz dom otaczały wielkie, ogrodzone pastwiska i pola pszenicy; mieliśmy pięć ogromnych stajni, kilka mniejszych szop i dziesięć długich, niskich kurników - co najmniej kilka razy w roku sprzedawaliśmy około pięćdziesięciu tysięcy kurczaków. W naszym domu mieszkali więc: prababcia, jedna stara babcia i jedna całkiem jeszcze młoda, ukochany dziadek, mama i tata, Hop i Evan, Josh - kiedy wrócił już z Wietnamu - i Brady, który co miesiąc przyjeżdżał do nas z college'u. Do tego było jeszcze sto sztuk bydła rasy Hereford, tuzin psów, pięć kotów, gosposia, dziesięciu najemnych robotników, tony dyń, kukurydzy i kapusty, no i ja.

Nie wspominając o trzynastu ciotkach i wujach z obu rodzin wraz z ich małżonkami, trzydziestu sześciu kuzynach i kuzynkach, dalszych krewnych

mamy i taty i różnych innych pociotkach, przyjaciółach i znajomych, którzy bezustannie przychodzili i wychodzili, jakby nasz dom był dworcem kolejowym w centrum wszechświata.

Na dłuższą metę Roanie nie miał szans. Od początku był jeden przeciwko wielu.

Roanie i jego ojciec mieszkali w przyczepie kempingowej w Wąwozie Sullivana, pomiędzy wrakami samochodów i górami zardzewiałych puszek, obok wąwozu wypełnionego na wpół spalonymi śmieciami. Duży Roan miał tylko jedną nogę; drugą zastępowała mu metalowa proteza - przynajmniej tak mówiono w miasteczku, ale ja nigdy jej nie widziałam. Hop i Evan twierdzili, że w tej metalowej nodze ukryty jest cały arsenał - bagnet, kusza na zatrute strzały, pazury ostre jak brzytwa - i że Duży Sullivan może je w każdej chwili wyciągnąć i zniszczyć każdego przeciwnika. Nigdy nie miałam dość odwagi, by zapytać mamę i tatę, czy to prawda.

Sullivanowie nie mieli żadnych krewnych, a przynajmniej nikt o nich nie słyszał.. Dziadek mówił, że Duży Roan przywędrował do miasta rok lub dwa przed wojną w Korei. Znalazł sobie pracę u Murphy'ego, w młynie zbożowym. Był antypatycznym nerwusem, który wyrzucał puszki po piwie przez okno pokoju wynajętego od starej panny Featherstone.

Tata i mama byli już małżeństwem, a mama wkrótce miała urodzić Josha, jednak tato zaciągnął się do wojska, bo był to obowiązek, którego Maloney-[^]owie zawsze dopełniali. To samo zrobiło zresztą kilkunastu innych mężczyzn z naszej rodziny. Ale wszyscy, łącznie z tatą, spędzili całą wojnę na terenie naszego stanu i walczyli z komunistami naprawiając jeepy i czyszcząc latryny.

Duży Roan Sullivan, który też był Irlandczykiem, miał jednak mniej szczęścia - został wezwany do wojska i natychmiast odesłano go na pierwszą linię frontu. Powrócił do Derry, bo nie miał żadnego innego miejsca, które mógłby nazwać domem, a renta inwalidzka dochodziła tu równie łatwo jak do każdego innego miasteczka. Roan stracił prawie całą prawą nogę, kiedy wszedł na minę.

Tato mówił, że Sullivan już wcześniej był zgryźliwy, ale po wojnie stał się nieznośny, chodził wiecznie pijany, co było sporym osiągnięciem, gdyż w okolicy brakowało wtedy alkoholu. Ponieważ Duży Roan Sullivan był weteranem i bohaterem, dziadek Joseph Maloney podarował mu dwa akry

ziemi we wschodniej części naszej farmy. Maconowie i organizacja weteranów kupili mu używaną przyczepę kempingową i starą ciężarówkę.

Tato i jego bracia wykopali studnię i dobudowali łazienkę z tyłu przyczepy. Rodzina Kiwanich podarowała prysznic i toaletę. Elektrownia Latchakoochee doprowadziła prąd i zwolniła go z wszelkich opłat na pół roku. Gazownia z Dunderry ofiarowała i zainstalowała zbiornik z gazem propanem. Kompania telefoniczna założyła Unię telefoniczną i podarowała aparat.

Panie z Miejskiego Klubu Kobiet uporządkowały podwórko i zasiały trawę, a mama posadziła tam kilka krzaków róż. Pięciu członków Stowarzyszenia Afrykanów w Dunderry (z których jeden był naszym krewnym, ale wtedy moja rodzina nie przyznawała się do tego publicznie, a i teraz niechętnie o tym wspomina) sprowadziło traktor i zaorało mu ogródek. Młynarz Murphy zaproponował mu tę samą pracę, którą wykonywał przed wojną. Modlili się za niego wszyscy pastory i kapłani w okolicy, łącznie z księdzem z małego, katolickiego kościołka.

Ratowanie Dużego Roana Sullivana było największym obywatelskim czynem od czasu, gdy tornado zniszczyło budynek sądu - jednak w odróżnieniu od sądu, Roan Sullivan nie mógł zostać-odbudowany.

Pozwolił, by trawnik i ogród zarosły chwastami. Krzaki róż zwiędły, przyczepa zaczęła przypominać kosz na śmieci, a Duży Roan Sullivan używał ciężarówki, tylko gdy jechał na zakupy do sklepu i po alkohol do Atlanty.

Często nocami kuśtykał na swej stalowej nodze dokoła rynku, pijąc, sikając do skrzynek z kwiatami i krzycząc bez sensu: „Do diabła z wami wszystkimi, tchórzliwe skurwysyny! Cały ten kraj może mnie pocałować w dupę!”, dopóki szeryf nie zamknął go w więzieniu, żeby wytrzeźwiał.

- Właśnie dlatego nie śmiesz mnie Otis z „Andy Griffith” - mówił dziadek Joseph. - Nie ma nic zabawnego w małym miasteczkowym pijaczku.

Jednak przynajmniej jeden organ Dużego Roana wciąż pracował jak należy, co przyciągało do niego dziewczyny określonego rodzaju, zazwyczaj takie, które mieszkałyby po złej stronie torów, gdybyśmy mieli tory, Roan nie zdradzał jednak, z kim spędza noce, aż Matka Natura kazała mu odkryć karty

i w miasteczku rozeszła się wieść, że Jenny Bolton jest w ciąży. Jenny - według relacji wszystkich, którzy ją znali - była drobną, ładną brunetką i miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, wyglądała jednak znacznie poważniej.

Przybyła w te okolice rok wcześniej z bratem i jego żoną. Nim przyjechali do Georgii szukać nowej pracy, uprawiali dzierżawioną od bogatych farmerów ziemię.

Wszyscy troje zamieszkali w dwupokojowej drewnianej chacie na farmie hodowlanej należącej do kuzyna taty, Charleya O'Briena. Kiedy ludzie dowiedzieli się, kto tak urządził Jenny, zorganizowali mocną grupę, składającą się głównie z moich krewnych, zaciągnęli Dużego Roana na farmę O'Briena i zmusili go, by zrobił, co do niego należało. Dzisiaj nazywamy to interwencją. Wtedy mówiło się o tym „ślub pod bronią”.

Jenny przeprowadziła się z Roanem do Wąwozu, kiedy jednak nadszedł czas narodzin dziecka, Roan leżał pijany do nieprzytomności za przyczepą. Mamie było trochę szkoda Jenny i dlatego niemal codziennie przychodziła zobaczyć, jak się miewa. Tego dnia znalazła ją zapłakaną i zwiniętą w kłębek na małym, brudnym łóżku we wnętrzu przyczepy. Tato przybiegł tam wezwany przez mamę i wyniósł Jenny na rękach, jakby ona sama była jeszcze dzieckiem. Razem zawieźli ją do szpitala w Gainesville najszybciej jak byli w stanie, ale lekarze musieli zastosować cesarskie cięcie - dziecko było bardzo duże, a Jenny bardzo drobna. Kiedy mama zapytała, jak Jenny chce nazwać chłopczyka, ta wydyszała:

- Roan Junior, proszę pani - po czym natychmiast zasnęła i spała przez dwanaście godzin.

Wszyscy nazywali dziecko „Roanie”, żeby odróżnić go jakoś od Dużego Roana. Pięć lat później, w tym samym miesiącu, kiedy ja się urodziłam, Jenny zachorowała na zapalenie płuc i umarła. Myślę, że całą siłę swej woli przekazała Roanemu. Potem dużo mówiło się o tym, żeby odebrać go Dużemu Roanowi, ale mało kto naprawdę gotów był to zrobić - człowiek ma przecież święte prawo do własnego potomstwa, zwłaszcza jeśli poświęcił już nogę dla ojczyzny.

Tak więc, gdy okazało się, że nawet dobrzy ludzie potrafią znaleźć wymówkę, by odsunąć od siebie zbyt skomplikowany problem, moja rodzina pozwoliła Roanemu dorastać i wychowywać się tak, jak się dotąd wychowywał.

Ja oceniłam tę sytuację tak: przyszłam na świat, by zająć miejsce jego mamy, by się nim opiekować. Nikt inny nie chciał tego zrobić.

Rozdział drugi

Kiedy zaczęłam naukę w szkole podstawowej Maloneyów, Roanie był już w szóstej klasie. Przyglądałam mu się z daleka, zaciekawiona i przerażona jednocześnie.

- Trzymaj się z dala od małego Sullivana - ostrzegała mnie mama.

- Zeszłej wiosny miał wszy.

Kobiety Maloneyów znane są ze swych wściekle rudych włosów. Gdyby nas ustawić koło siebie, wyglądałybyśmy jak garść rozpalonych zapalek. Ja sama miałam naprawdę wspaniałe włosy - ciemnorude, długie i kręcone. Sama myśl, że w tej cudownej gęstwinie mogłyby zagnieździć się wszy, skutecznie mnie odstraszyła od Roaniego.

Wszawica groziła zgoleniem włosów, a ci krótko ostrzyżeni uważani byli za ludzi najgorszej kategorii

- porządni nie mieli nigdy wszy.

Poza tym Roanie zawsze chodził brudny, a jego dżinsy jednego tygodnia były za długie, a następnego już za krótkie.

Był wysoki jak na swój wiek, ale chudy jak szczapa. Zdawało się, że jego wielkie, szare oczy zajmują pół drobnej twarzy. Czarne włosy wygolone były do samej skóry, poza małą, wiecznie tłustą kępką nad samym czołem. Gdy otworzył usta, wyglądał jeszcze groźniej, a to ze względu na krzywe i spiczaste zęby. Chciałam, żeby je wyprostował i mówił poprawnie, by ludzie go szanowali.

Evan, który chodził z nim do jednej klasy, opowiadał przy kolacji różne historie o Roaniem.

- Śmierdzi jak ta kupa śmieci w Wąwozie - mawiał. - Panna Clark sadza go czasem w oddzielnej ławce. Obgryza paznokcie do samego mięsa. Jego torebka na drugie śniadanie jest taka tłusta, że mama mogłaby na niej usmażyć kurczaka.

Zawsze ktoś zaczepiał Roaniego; był jak strap, którego inni chłopcy nie mogli przestać ruszać. „Biały śmieć”. „Świńskie gówno”. „Śmierdzi jak klozet”. Gotów był bić się z każdym - starszym, wyższym, cięższym, mocniejszym - i nie raz dostawał tęgie lanie. Dlatego też nie należał do rzadkości widok, gdy dyrektor Rafferty ciągnął Roaniego do pielęgniarki, by ta opatrzyła mu jakąś ranę albo przyłożyła lód do spuchniętej twarzy. Jego duma, gniew, samotność i opinia bezwartościowego wyrzutka fascynowały mnie, gdyż byłam jego przeciwieństwem - rozpieszczoną zabawką bogatego klanu. Miałam ogromną rodzinę i licznych krewnych, którzy naprawdę byli ze mną spokrewnieni nie tylko przez nazwisko - stanowili część mojego codziennego życia. W szkole nie mogłam wypluć gумы, żeby nie trafić w kogoś z mojej rodziny. Ale Roanie i ja mieliśmy jedną cechę wspólną: moje słabostki także były wszystkim doskonale znane. Jeśli zostałam ukarana za rozmawianie podczas lekcji albo kiedy przehandlowałam drugie śniadanie za paczkę cukierków, lub gdy przyłapano mnie na wypisywaniu głupich napisów w ubikacji, wieść o tym przestępstwie wędrowała po rodzinnym drzewie szybciej niż depesza po drucie telegraficznym. Nie wyobrażałam sobie, by ktoś chciał zdobyć rozgłos, nie korzystając przy tym z pomocy trzydziestu kuzynów i kuzynek. Miałam do swojej dyspozycji prawdziwą potęgę. Jednocześnie było mi żal Roaniego Sullivana bardziej niż kogokolwiek, kogo spotkałam w moim krótkim życiu. Wiedziałam, że zawsze mogę liczyć na dziadka Josepha i że potrafi on uszanować nawet najśłabszych. Dziadek nigdy nie chwalił się tym, ile pieniędzy zarobił albo ilu japońskich żołnierzy zabił w czasie drugiej wojny światowej; w ogóle nie mówił o wojnie. Nie oglądał nawet filmowych wojen Johna Wayne'a w telewizji. Którejś niedzieli wziął mnie na śniadanie do restauracji w Dunderry. Siedziałam tam otoczona przez sędziwych znajomych dziadka, gdy ktoś zaczął rozprawiać o wojnie w Wietnamie, a pozostali ochoczo podjęli ten temat - mówili o równaniu z ziemią całych wsi żółtków, przypiekaniu małych, skośnookich komuchów napalmem i tak dalej. Było to tuż po powrocie Josha z Wietnamu, więc wszyscy spodziewali się, że dziadek chętnie im przytaknie.

- Zamknijcie się - przemówił nagle dziadek. - Ci Wietnamczycy na pewno są głupi i podli, ale walczą i umierają za to, w co naprawdę wierzą, i mam dla nich więcej szacunku niż dla któregokolwiek z was, stare zarozumiałe dupki. - Wścikły poderwał się z miejsca, wziął mnie za rękę i poszliśmy do domu.

- Duża odległość sprawia, że zabijanie jest zbyt łatwe, bezkarne - mawiał dziadek. Podejrzewam, że nigdy nie zapomniał o tym, jak musiał zabijać Japończyków w czasie wojny. - Musisz patrzeć temu człowiekowi w oczy, zobaczyć jego strach, widzieć, jak krwawi i umiera. To wyznacza pewną równowagę. Musisz wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Wtedy będziesz już na zawsze wiedzieć, co znaczy odebrać życie innemu człowiekowi. Wiedziałam więc już, że należy szanować ludzi, z którymi się walczy, cieszyć się z wygranej i mieć nadzieję, że następnym razem będzie podobnie.

Zrozumiałam, że tak właśnie myśli o nas Roanie.

Starał się nie dopuścić, by ludzie widzieli go stojącego przy drodze w pobliżu Wąwozu. Wiedział chyba, jak wygląda, gdy czeka na szkolny autobus obok przekrzywionej skrzynki na listy, na tle zardzewiałej przyczepy i góry nadpalonych śmieci.

Ale był też inny powód - moi starsi kuzyni, Arian i Harold Delaneyowie. Obaj chodzili już do średniej szkoły i mogli prowadzić samochód. Kiedy przejeżdżali obok tej przekrzywionej skrzynki, zatrzymywali się specjalnie, żeby przywalić w nią kijem baseballowym. Jeśli Roanie nie był dość szybki i dał im się złapać, walili też w niego.

Pewnego majowego poranka spóźniłam się na autobus. Byłam wtedy w złym humorze - Mama twierdziła, że ja mam wyłącznie złe humory - bo wysypałam sobie na spódnicę cały garnek kaszy, kiedy pomagałam jej robić śniadanie. W dodatku na dworze rozpętała się akurat burza, a w czasie burzy moje włosy jeżą się niczym sierść kota. Wiedziałam, że wyglądam jak wata cukrowa z ludzką twarzą. Mama próbowała splatać moje włosy na cztery różne sposoby, w końcu dała jednak za wygraną i ułożyła je za pomocą żelu.

- Teraz wyglądam jak tłusty, pomarańczowy lizak - chlipnęłam i schowałam się w swojej łazience.

No i spóźniłam się na autobus.

Jedynie dziadek potrafił wytrzymać ze mną, kiedy zachowywałam się jak nieznośny bachor, więc to on właśnie odwiózł mnie, Hopa i Evana do szkoły. Siedziałam z ponurą miną na przednim siedzeniu jego pontiaca. To był cały

dziadek - nie jeździł jakimś starym gratem z czasów jego młodości, ale najnowszym modelem pontiaca „Trans Am” z błyszczącymi kołami i spoj-lerem.

Jechaliśmy więc razem, przecinając połacie gęstego lasu, który ciągnął się po obu stronach Drogi Mydlanych Wodospadów. Deszcz lał jak z cebra, Dziadek nucił wraz z Tammy Wynette piosenkę, którą akurat puszczała w radiu, ja siedziałam opatulona w różowy płaszcz przeciwdeszczowy w różowej chustce na głowie, Hop i Evan cisnęli się na małym, tylnym siedzeniu pontiaca. Kiedy wyjechaliśmy z za zakrętu przy Wąwozie Sullivana, zobaczyłam tył odjeżdżającej właśnie ciężarówce Arlana i Harolda.

- Znowu dopadli Roaniego! - wrzasnęłam przeraźliwie.

- Chuderlawe gnojki - mruknął dziadek cicho.

Roanie stał obok drogi, trzymając się kurczowo skrzynki na listy. Choć z nieba lały się strugi deszczu, on nie miał żadnego płaszcza czy parasola

- nic prócz plastikowej torebki wygrzebanej gdzieś ze śmieci, którą naciągnął na głowę. Jego książki leżały porozrzucone w trawie, a sądząc po tym, jak chwiała się skrzynka i on, trudno było powiedzieć, które z nich dwojga przewróci się wcześniej.

Jednak gdy tylko zobaczył następny samochód, odwrócił się, zachwiał, upadł, znów się podniósł i pobiegł w dół błotnistej drogi. Po kilku sekundach zniknął między drzewami na najbliższym wzgórzu.

- Dziadku - błagałam. - Dziadku proszę, zatrzymaj się. ' Dziadek zjechał na pobocze.

- Och, daj spokój Claire - zaprotestował Hop z tylnego siedzenia.

- Przecież go nie złapiesz.

- Zasmrodzi cały samochód - dodał Evan.

- Dziadku - oznajmiłam poważnie. - Nie ma nic bardziej śmierdzącego niż oddech Hopa, kiedy zje kiełbasę.

Dziadek przekrzywił lekko głowę i przyglądał mi się badawczo.

- To był twój pomysł, Claire. Jeśli chcesz tego chłopaka tutaj przyprowadzić, musisz wyjść na zewnątrz i zrobić to sama.

Podejrzewam, że sprawdzał, co naprawdę mną kieruje. Głupia zachcianka czy szczere współczucie. Spojrzałam na niego wyzywająco.

- I tak już jestem tłusta. Mogę też być mokra. Otworzyłam drzwi.

- Hej, zaczekaj kwiatuszku - zawołał dziadek, ale ja już byłam na zewnątrz. Potruchtalam w dół błotnistej drogi.
- Roanie! - krzyknęłam. Wiatr rzucił krople deszczu prosto w moją twarz. Pośliznęłam się nagle i usiadłam ciężko na ziemi. - Roanie, chodź'tutaj! Podwieziemy cię do szkoły! Nie chcemy ci nic zrobić! Przysięgam!
Dziadek stanął koło mnie i przyłożył dłonie do ust. Głos miał tak potężny, że mógłby chyba zastąpić trąby pod murami Jerycha.

- Choooodź tuuuutaaaaj, Roooooanie!

Cisza. Bezruch. Wołaliśmy przez dziesięć minut.

Wiedziałam, że Roanie obserwuje nas gdzieś spomiędzy drzew okrywających wzgórza wokół Wąwozu. Czułam jego spojrzenie, tak jak czułam gęsią skórkę na plecach. Ale nie podchodził do nas.

- No dobra - powiedział dziadek ze znużeniem. - Nie ściągniemy tego kociaka z drzewa.

Delikatnie podniósł mnie z błota. Cały mój żal wymieszany z bezsilną złością zlał się w ciche, rozpaczliwe łkanie. Byłam zabłocona i przemoczona, a mimo to miałam się znacznie lepiej niż Roanie.

- On myśli, że przynosimy mu pecha -"chlipałam, kiedy dziadek prowadził mnie do samochodu. - Za każdym razem, kiedy nas spotyka, przytrafia mu się coś złego.

Dziadek poklepał mnie po ramieniu.

- Nie przynosimy mu pecha. Po prostu mieszkamy po drugiej stronie płotu. Jesteśmy mu równie obcy jak on nam. Jeszcze raz odwróciłam się w stronę lasu.

- Przyjdź kiedyś do nas! - zawołałam. - Zostawiam otwartą bramkę!

Kiedy chodziłam do drugiej klasy, każdy dzień spędzony w szkole był dla mnie prawdziwym piekłem, a to za sprawą Neely'ego Tiptona. Neely był ode mnie starszy o rok i wyglądał jak typowy, klasowy osiłek - żywe ucieleśnienie stereotypu przyszłego futbolisty. Wymyślił sobie zabawę, która polegała na tym, że podkradał się do mnie od tyłu i sycząc „chuda i ruda” ciągnął za włosy tak mocno, iż łzy napływały mi do oczu, a potem uciekał, nim zdążyłam się odwrócić.

Wiedziałam oczywiście, że Evan i Hop z radością przetrzepaliby mu skórę, gdybym ich o to poprosiła, ale będąc jedyną dziewczyną w domu pełnym

chłopaków, nauczyłam się już, że najlepiej załatwiać swoje sprawy po cichu i na własną rękę. Byłam jednocześnie rozpieszczoną dziewczynką i narwaną chłopaczką. Dla mamy, która aż do przesady podkreślała moją dziewczęcość - jedyną córeczką i oczkiem w głowie, a dla Hopa i Evana - biedna mama!

- jeszcze jednym bratem, tyle że z długimi włosami i w spódnicy.

W tym wypadku problem polegał na tym, że Neely był bardzo szybki i nigdy nie zdążyłam go dosięgnąć. Zaczęłam już robić się nerwowa i zawsze oglądałam się przez ramię, trzymając dłoń gotową do ciosu.

Pewnego dnia dostał jednak porządną nauczkę i już nigdy nie próbował mnie nawet dotknąć.

Zaczął się podobnie jak wszystkie inne spotkania z Neelym. Podczas przerwy ostrożnie i powoli wyszłam na szkolne podwórko. Tymczasem on już czaił się za otwartymi drzwiami. Poczułam tylko, jak coś szarpnęło mnie za włosy, i poleciałam do tyłu, niczym rozbrykane ciele, uwiązane na zbyt krótkim sznurku. Wylądowałam plecami na betonowym stopniu i leżałam nieruchomo, chwytając ciężko powietrze. Czułam się tak, jakby przed chwilą ktoś próbował mnie oskalpować.

- Chuda i ruda, mam cię! - wydzierał się Neely.

Wciąż nieco oszołomiona podniosłam się na łokciach, słysząc tylko pospieszny tupot nóg Neely'ego, który uciekał za róg budynku. Potem usłyszałam jakiś łomot, spojrzałam do tyłu i zobaczyłam, jak Neely odbija się od ceglanej ściany i siada ciężko na żwirze.

Roanie stał nad nim wyniosły i zimny jak góra lodowa. ' -Jeszcze raz ją dotkniesz... - mówił Roanie beznamiętnym tonem - ...a tak cię załatwię, że cię rodzona mamusia nie pozna.

Wpatrywałam się w mego ze zdumieniem. Neely zaczął rozcierać nos. Podniosłam się powoli, dumnym krokiem przemaszerowałam obok Neely'ego i wałnęłam go w ucho. Moja mała prywatna zemsta - lepiej późno niż wcale.

Roanie patrzył na mnie spod półprzymkniętych powiek jednak jego spojrzenie było czujne i nieufne. Być może spodziewał się, że go zignoruję albo obrażę, albo po prostu ucieknę.

- Dzięki, Roanie - powiedziałam bardzo ostrożnie, bo nie zapomniałam jeszcze całkiem o wszach, które miał w zeszłym roku.

- Widziałem cię i słyszałem wtedy w Wąwozie - odparł. - Nie ma na świecie nikogo takiego jak ty. - Potem wzruszył tylko ramionami i odszedł.

Tego właśnie dnia pokochałam Roanego Sullivana.

Świadomość, że jestem zakochana, była czymś, co należało zestawić z romantyczną tradycją Maloneyów, która wydawała mi się majestatyczna i potężna, ale która mogła zaszkodzić zębom zakochanej osoby.

Sean i Bridget Maloney. Romantyczne irlandzkie imiona. Ja jednak nie znajdowałam ani cienia romantyzmu w dwojgu starych ludzi, moich prapra-prapradziadków, którzy patrzyli na mnie z wielkich portretów, zdobiących główny hall naszego domu. Bałam się ich - Irlandczyka z siwą brodą i poważnej kobiety o wąskiej twarzy i siwych lokach, która urodziła dwanaścioro dzieci i własnymi rękami pogrzebała sześcioro z nich.

Tato zapewniał mnie, że w tamtych czasach ludzie po prostu nie uśmiechali się na obrazach. Uśmiech był czymś meodpowiedmm, a poza tym większość starych ludzi nie miała przednich zębów. Mimo to ja byłam pewna, że moi przodkowie uważali, iż nie dorosłam do tego, by nosić nazwisko Maloney. Oni przepłynęli przez ocean. Założyli ogromną farmę w dzikiej dolinie Estatoe. Pomogli budować miasteczko, któremu sami nadali nazwę. Byli gigantami.

I wciąż pozostawali w pobliżu, pod zniszczonymi nagrobkami na kopcu za domem, otoczeni przez dzieci, które zmarły jeszcze przed nimi, i przez te, które ich przeżyły, przez żony i mężów ich dzieci i wnuków, przez coraz większe, granitowe miasteczko martwych Maloneyów. Podczas Halloweenu moi bracia i kuzyni zbierali się tutaj i opowiadali sobie historyjki o duchach, które zdawały mi się wówczas całkiem prawdopodobne i aż za bardzo rzeczywiste. W czasie jednego z takich wieczorów wuj Bert wyskoczył z cienia, ubrany w swoją sutannę i z maską Nixona na twarzy.

Większość z nas - nie wyłączając mnie - zsiękała się wtedy ze strachu.

Lepiej więc było zachować wszelkie romantyczne informacje wyłącznie dla siebie, gdyż martwi Maloneyowie wiele się po nas spodziewali, a żywi mogli napędzić człowiekowi strachu w najmniej oczekiwanym momencie.

To, co zdarzyło się następnej wiosny, później nazwane zostało przez moich krewnych dniem-w-którym-zobaczyliśmy-że-coś-się-święci. Związane było to ze mną, z Roaniem, siostrami McClendon, Wielkanocą i diabłem.

Rozdział trzeci

Siostry McClendon mieszkały na północ od miasteczka, w lesie, gdzie znajdowało się małe osiedle starych, zaniedbanych domków i przyczep kempingowych. Prowadziła tam wyboista, ślepa uliczka nazywana ulicą Sadową. Słyszałam o niej mnóstwo ponurych, niejasnych plotek, więc przeprowadziłam małe prywatne śledztwo i dowiedziałam się, że mniej oficjalnie nazywana jest - ulicą Wsadową.

Wiedziałam, że ma to coś wspólnego z różnymi częściami ciała kobiet i mężczyzn, i miałam dość blade pojęcie co i gdzie się wsadza. Wiedziałam też z rozmów podsłuchanych w domu, że gdyby któryś z moich braci pojawił się na ulicy Sadowej, mama i tata obdarliby ich ze skóry.

Mama zrobiłaby to samo ze swoim bratem Petem, gdyby tylko mogła. Wszyscy - nawet dzieci - wiedzieli doskonale, że wuj Pete Delaney spędza pół życia z siostrami McClendon na ulicy Sadowej. Słyszałam wystarczająco dużo o jego haniebnych zwyczajach, by zrozumieć, że przynosi wstyd całej rodzinie Delaneyów. Być może dlatego właśnie jego synowie, Harold i Arian, byli tak podli. Niektórzy próbują ukryć wstyd i zakłopotanie za pomocą nienawiści.

Przy ulicy Sadowej mieszkały cztery siostry McClendon - Daisy, Edna Fea, Lula i Sally. Daisy była najstarsza. Kiedy skończyłam siedem lat, ona miała trzydzieści pięć, choć tlenione włosy i głębokie zmarszczki wokół ust sprawiały, że wyglądała znacznie starszej. Była mężatką, ale nikt nie widział jej męża od wielu lat. Miała dwóch niemal dorosłych synów, którzy uciekli z domu, i dwie wychudzone, niewyrośnięte córki. Mój wuj William Delaney, który był sędzią okręgowym, i ciotka Bess Maloney, zatrudniona w opiece

społecznej, przenieśli obie dziewczynki do jakiegoś odległego miasta - nikt nie chciał mi wyjawiać, z jakiego powodu. Daisy spędzała większość czasu z Dużym Roanem Sullivanem. Myślę, że kochała go na swój sposób.

Edna Fea i Lula miały całe stada mężów, choć ich kolejni wybrańcy coraz bardziej przypominali zbłąkane psy, czekające na lepszą okazję.

- Mogłabyś rzucić garść kamieni w gromadę dzieci Edny Fea i Luli i nie natrafiłabyś dwojga, które mają tego samego tatę - mawiał dziadek.

Sally McClendon skończyła szesnaście lat i była najmłodszą z czterech sióstr. Zrezygnowała już z nauki w średniej szkole i zajmowała się głównie podkradaniem kosmetyków ze sklepu „Za jednego dolara” należącego do mojej ciotki Jean Dime. Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego po prostu nie kupi sobie tych rzeczy, skoro są takie tanie. Najgorsze było jednak to, że Sally miała dziecko. Syna. Nie mogłam zrozumieć, skąd go wzięła, skoro nie miała męża.

Słyszałam, że spośród czterech sióstr McClendon wuj Pete lubił Sally najbardziej.

Moja ciotka Dockey Maloney mówiła, że siostry McClendon są złe.

- Zło istnieje po to, byśmy umieli odróżniać rzeczy prawe od nieprawych. - Tak właśnie pouczała nas ciotka Dockey, a ponieważ była żoną wuja Berta, pastora kościoła Metodystów, i równie jak on dobrym kaznodzieją, wiedziała chyba, o czym mówi.

- Bóg daje nam wolny wybór - głosiła ciotka Dockey w szkółce niedzielnej, na zebraniach rodzinnych i przy każdej okazji, gdy miała przed sobą jakąś publiczność. - Bóg mówi: „Tu jest jedna ścieżka, a tutaj druga. Tutaj jest grzech, a tu cnota”. Jeśli dokonamy wyboru zgodnie z jego przykazaniami, nigdy nie pobleździemy.

Ciotka Dockey mówiła o sprawiedliwości i cnocie niczym o zakupach w jakimś wielkim supermarkecie.

Zrozumiałam więc, dlaczego nasze miasteczko potrzebowało sióstr McClendon. Były żywym przykładem tego, co dzieje się z ludźmi, którzy ignorują boską listę zakupów. Żyły tylko z zasiłków i dorywczej pracy - prania i sprzątanía domów innych mieszkańców miasteczka - do czego dochodziły jeszcze pieniądze od mężczyzn, którzy odwiedzali je przy ulicy Sadowej. Doszłam do wniosku, że wuj Pete jest zwyczajnym dziwakiem, skoro chce się zadawać z takimi kobietami.

Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że siostry McClendon były biedne, niewykształcone i wykorzystywane. Jednak jako siedmiolatka wiedziałam tylko, że

wzbudzały w naszej rodzinie współczucie i odrazę jednocześnie. Gdy dodać do tych dwu uczuć religijny żar, rodzi się dobroczynność. Tak właśnie Wielkanoc połączyła się z tym całym zamieszaniem.

Włuszę przyznać ze wstydem, że Wielkanoc kojarzyła mi się głównie z koszykami pełnymi jedzenia, jajkami i nowymi sukienkami, a nie z poważną uroczystością i Jezusem wstającym z grobu. Zbocza gór pokryte były białym kwieciem i delikatną, zieloną płachtą świeżych liści, ogrody wokół naszego domu mieniły się wstęgami żółtych żonkili i czerwonych azalii; powietrze było ciepłe i pełne słodkich zapachów, a dokuczliwe owady jeszcze się nie pojawiły. W okolicy pełno było cieląt, kurczaków, kociąt i szczeniąt, z którymi można było bawić się bez końca. Całe stada dzikich królików kicały po drodze rozdzielającej pola przed naszym domem, a pola zmieniały powoli zimowy, szary płaszcz na nową warstwę zieleni.

Nie mogłam być poważna. Byłam jedyną córką mamy i taty; byłam księżniczką Wielkanocy. Wszyscy dostawali nowe ubrania w Wielką Niedzielę, ale moje były wyjątkowe. Mama kupiła mi różową sukienkę przywiezioną z zagranicy, z koronką przy kołnierzu i spódnicę tak gęsto marszczoną, że odstawała od mojej talii poziomo, jak drewniana półka. Miałam nowiutkie trzewiki z białej skóry, śnieżnobiałe skarpetki z kwiatkami wyhaftowanymi na kostkach i słomiany kapelusz z szerokim rondem i różową wstążeczką, która sięgała mi aż do połowy pleców.

' -Wjelka Sobota była dniem, w którym malowało się jajka. Jajka były z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej mogłoby zabraknąć na naszej farmie. Dlatego też w wielkanocny poniedziałek zawsze robiliśmy sałatkę z jaj.

Spędziliśmy całą sobotę w kuchni, gotując jajka i zanurzając je w pastelowych farbach, rozsiewających wokół zapach octu. Josh i Braddy byli już za dorośli i za poważni na malowanie jajek; Hop i Evan kręcili się w pobliżu, ale nie chcieli przyznać, że mają ochotę się przyłączyć. Jednak mama, tata, starsi członkowie rodziny i ja po prostu nie mogli się od tego oderwać. Z pewnością Peter Faberge pracujący dla cara Rosji nie oddawał się malowaniu jajek z taką pasją jak my.

Później włożyliśmy po kilka jajek, cukierków i broszurek o Biblii do małych, wielkanocnych koszyków. Koszyki te przeznaczone były dla biednych dzieci sióstr McClendon z ulicy Sadowej. Ciotka Dockey, mama i jeszcze kilka pań ze wspólnoty kościelnej zносиły im takie koszyki co roku.

W wielkanocny poranek, jeszcze będąc w nocnej koszuli, zbiegłam jak szalona do salonu. Tam, na środku wielkiego stołu, stał mój własny, ogromny kosz wielkanocny, eksplodujący różowym celofanem, różowymi wstążkami i nieodłączną lalką. Mama i tata patrzyli na mnie zza uchylonych lekko drzwi.

- Dziękuję bardzo za laleczkę - wypowiedziawszy obowiązkową formułkę, odrzuciłam lalę na bok i zabrałam się do ciekawszych rzeczy - owiniętych w folię jajek z truflami, marcepanowych kurczaków, ogromnego czekoladowego królika z marcepanowymi oczami - ułożonych starannie na zielonej, celofanowej trawie. Natychmiast zerwałam z królika plastikowe opakowanie i delikatnie dotykałam palcami odcisnięte w czekoladzie kontury. Czułam już bogactwo smaku, wyobrażałam sobie jego puste wnętrze, smakowity kształt.

Evan wkroczył do pokoju w niebieskim wielkanocnym garniturze i białym jedwabnym krawacie, w dłoni trzymał białą Biblię. Miał dopiero dwanaście lat, ale przechodził właśnie okres, w którym człowiek stara się zadziwić świat swą pobożnością.

- Wielkanoc to coś ważniejszego niż takie przyziemne drobnostki - oświadczył. - Myślę, że powinniśmy poczekać.

- Evan ma rację - zgodziła się mama— Claire, zjesz to kiedy wrócimy z kościoła.

Królik był już w połowie drogi do moich ust. Och, pokuso! Och, nie zaspokojona chciwości! Och, grzechu łakomstwa! Och, czekoladowy króliku...

- Claire - ostrzegł tato, celowo przeciągając moje imię.

- A cholera! - wybuchnęłam.

Przeklęta. Przeklęta w chwili, gdy to paskudne słowo wyszło z moich ust. Pan nie wstał z martwych po to, by Claire Maloney mogła powiedzieć „cholera” rezygnując ze zjedzenia czekoladowego królika.

Dlatego właśnie nie mogłam wraz z innymi szukać wielkanocnych jajek i musiałam oddać mój wspaniały koszyk, czekoladowego królika, lalę i całą resztę dzieciom sióstr McClendon z ulicy Sadowej. I musiałam też tam pójść razem z mamą, ciotką Dockey i innymi paniami, by zobaczyć, dlaczego powinnam być pokorna.

Osiedle sióstr McClendon przypominało Wąwóz Sullivana. Papierowe śmieci wały się po pustym podwórku, otoczonym przez kilka zniszczonych, zaniedbanych domków i przerdzewiałych przyczep kempingowych. Nie było

tu ani śladu kwiatów czy grządek z warzywami, a las rzucał długie cienie na dwa stare samochody o łysych oponach i popękanych szybach, sklejonych brudnym plastrem. Wychudzone psy były nieufne i trzymały się od nas na bezpieczną odległość, podobnie jak dzieci. Małe ganki tonęły pod zwałami śmieci i jakichś starych gratów. Aktualny mąż Edny Fea leżał wyciągnięty na kanapie pod drzewem. Miał otwarte usta i chrapał przeraźliwie. Jego koszula była całkiem rozpięta, a jedną dłoń trzymał wetkniętą za spodnie.

- Niech Pan błogosławi nam za te dary i pozwoli pomóc tym, którzy sami nie potrafią sobie pomóc - powiedziała ciotka Dockey, zaciągając hamulec ręczny swojego cadillaca.

- Amen - dokończyła mama.

- Prosimy, zmyj z tego miejsca zmazę grzechu - zaintonowała z tylnego siedzenie Sarah Kehoe, kuzynka mamy.

- I ukarż tych, którzy chcą stracić dziesięć dolarów - dodała starsza siostra mamy, Irene.

- Więc za każdym razem Pete wydaje na to tylko dziesięć dolarów?

- zdziwiła się Ruby O'Brien, żona kuzyna taty. Uwielbiałam kuzynkę Ruby. Prowadziła sklep z ubraniami i pozwalała swoim dzieciom rysować po ścianach ich sypialni. Była trochę narwana i zawsze zadawała dobre pytania w obecności nas, czyli dzieci.

- Zmieńmy może temat - odparła mama, rzucając Ruby gniewne spojrzenie.

- Claire, ty zostaniesz przy samochodzie. Możesz rozdać kilka jajek jeśli chcesz. Wyciągniemy koszyki z bagażnika, kiedy załatwimy już wszystko w środku. . rDobrze, mamó. - Poczulałam ogromną ulgę. Nie musiałam iść z mmi do jednego z tych okropnych domów. Nie musiałam siedzieć w modlitewnym kręgu.

- Opowiedz tym dzieciom o Jezusie - pouczała mnie ciotka Dockey.

- I każ im mówić „proszę” i „dziękuję” za każdym razem, kiedy dasz im jajko. Naucz ich dobrych manier.

- Tak, ciociu.

Wysiadłyśmy z auta, a panie ze wspólnoty kościelnej zaczęły użalać się głośno nad obdartymi i brudnymi dziećmi. Te nie odpowiadały jednak tylko przebierały nerwowo nogami i zerkwały podeksycytowane na moją wspaniałą, różową spódnicę i koszyk z jajkami, który ściągnęłam z tylnego siedzenia. Cieszyłam się, że nie wzięłam kapelusza. Nagle poczułam się dziwnie zmieszana i przygnębiona.

Edna Fea, Lula i Sally wyszły, by się z nami przywitać. Wszystkie ubrane były w ciasne dżinsy i równie obcisłe, wydekoltowane bluzki, a ich twarze

pokryte były grubą warstwą pudru. Sally została już wciągnięta do klubu tlenionych włosów sióstr McClendon, a jej ciało wyglądało jak dojrzałe kantalupy upchane w ciasnym, papierowym worku. Edna Fae i Lula były pośrednimi wersjami Daisy i Sally. Razem cała czwórka stworzyłaby doskonałą galerię Dorianą Graya - twarda, podniszczona zmysłowość Daisy, więdnąca świeżość Edny Fae i Luli, no i Sally - wiedziałam doskonale, jak będzie wyglądać za kilkanaście lat, kiedy ciężkie życie wycisnie z niej sok

Byłam tak zajęta przyglądaniem się trójce sióstr, że omal nie wypuściłam koszyka.

- Ładniutka jesteś, wiesz? - powiedziała do mnie Sally z szelmowskim, nieco grabiańskim uśmiechem. Pochyliła się nade mną trochę za nisko, chwyciła garść moich włosów i przeciągała palcami przez rude loki, cały czas wpatrując się w moją twarz. - Wyglądasz jak truskawkowe ciastko z niebieskimi oczami. A te twoja oczka; błyszczą jak szafiry. Chowasz w nich cały świat, co? O czym myślisz, mała królewno?

Myślałam: Jeszcze raz dotkniesz moich włosów, a dam ci porządnego kopniaka", ale tego dnia już raz podpadłam mamie, więc siedziałam cicho.

Zresztą mama zaraz wróciła i rozdzieliła nas. Uprzejma, lecz groźna jak mała rudowłosa lwica w fioletowym kostiumie i pantofelkach. Nie powiedziała ani słowa, ale Sally natychmiast się wycofała. Sally bała się mamy i jej sióstr.

- Gdzie jest Daisy? - spytała ciotka Dockey. - Nie weźmie udziału w naszym zebraniu modlitewnym?

- Och... - powiedziała Edna Fae, zapalając papierosa i ruchem głowy wskazując na jeden z domków. - Teraz chyba nie może.

Lula zachichotała i zakryła usta dłonią.

Ciotka Dockey ściągnęła usta, spojrziała na nią z ukosa, po czym odwróciła się na moment w stronę domu wskazanego przez Ednę.

- Rozumiem. Porozmawiam z nią później.

Mama wyjęła z bagażnika pudełko z jedzeniem, nachyliła się nade mną i wyszeptała groźnie:

- Zostajesz przy samochodzie. Trzymaj się z daleka od domu Daisy albo obedrę cię ze skóry.

Nieźle. Zostałam wciągnięta do tego samego towarzystwa co moi bracia. Skinęłam głową.

I nagle znalazłam się sama na środku podwórka, otoczona przez tuzin smutnych, bosych dzieciaków, z których najstarsze były w moim wieku,

a najmłodsze dopiero nauczyły się chodzić. Wszystkie wpatrywały się łakomie w mój koszyk, jakby chciały mnie odepchnąć i go zagarnąć.

- Chcecie posłuchać czegoś o Jezusie? - spytałam. Milczenie. Westchnęłam głośno. - Chcecie trochę jajek? - Energiczne kiwanie głowami i wyciągnięte ręce.

Pogrzebałam trochę między jajkami i odszukałam najpierw te wypełnione słodyczami, bo każde dziecko wie przecież, jakie to wielkie rozczarowanie znaleźć pod celofanem zwyczajne jajko. Ale dzieci McClendon wcale o to nie dbały. Chwytały słodycze i prawdziwe jajka równie chciwie, przyglądały im się szeroko otwartymi oczyma, dotykały błyszczących złotych, potem zrywały opakowanie, brudnymi paznokciami obierały jajka z kolorowych skorupki i jadły powoli, delektując się każdym kęsem.

Było mi jeszcze bardziej wstyd i czułam, że mam już dość tego miejsca, tego smutnego miejsca i tych biednych dzieci, i wiedziałam już z całą pewnością, że siostry McClendon modliły się razem z grupką bogatych kobiet tylko po to, żeby ich dzieci mogły dostać trochę jedzenia. Sprzedawały się nam tak samo, jak mężczyznom, którzy do nich przychodzili.

Pomyślałam wtedy o Roaniem, o tym jak jest dumny i jak podły jest jego tata, tak podły, że nikt nie odważył się nigdy pojechać do Wąwozu Sullivana i przekupić jego wielkanocnymi jajkami. Cieszyłam się - roztrzęsiona i niemal płacząca z wdzięczności - że Roanie nie stał się częścią tego okropnego dobroczynnego widowiska, że nie został sprzedany jak dzieci sióstr McClendon.

Usłyszałam silnik samochodu nadjeżdżającego wyboistą drogą, rżenie rozregulowanego silnika, i nagle, jakby moje myśli mogły zamieniać się rzeczywistość, ujrzałam Roaniego, który wjeżdżał na podwórko ciężarówką swojego ojca.

Otworzyłam szeroko usta. On miał zaledwie dwanaście lat! A jednak zajechał tym starym gruchotem na podwórko, wyłączył silnik otworzył skrzypiące drzwiczki i wysiadł. Potem zamarł w bezruchu i wpatrywał się we mnie z bolesnym zdumieniem. Jego koszulka była niemożliwie brudna, a pomiędzy krawędzią znoszonych tenisówek i starych dżinsów prześwitywały gołe kostki u nóg.

Miał tylko dwanaście lat i przyjechał na ulicę Sadową do tych okropnych sióstr McClendon.

- Co ty tu robisz? - spytałam zachrypniętym głosem.

Mój oskarżycielski ton zmył zaskoczenie z jego twarzy. Wszystkie emocje

zniknęły za kamienną maską. W tym momencie drzwi domku Daisy otworzyły się z trzaskiem.

Daisy wybiegła ze środka ubrana tylko w stanik i dżinsy przycięte nad kolanami. Tłenione włosy opadały w nieładzie na jej twarz. Lewe oko otoczone było ciemną obwódką i prawie całkiem zapuchnięte.

- Zabieraj go stąd, Roanie! Zabierz z mojego łóżka tego skurwysyna! Nie zniosę już dłużej tego gówna!

Dzieciaki rozbiegły się jak karaluchy, na które nagle pada światło. Stałam jakby wrośnięta w ziemię, przestraszona i zafascynowana jednocześnie. Roanie wszedł do domku z pochyloną głową i zaciśniętymi pięściami. Daisy biegła za nim, miotając kolejne przekleństwa.

„Och, mamó chodź tutaj i wyciągnij swój pistolet”. Tak właśnie chciałam wtedy zawołać, bo wiedziałam, że mama zawsze nosi w torebce mały rewolwer, kaliber 32, jednak nie byłam w stanie otworzyć ust ani poruszyć stopami.

Cała zamieniłam się w słuch. Z domku Daisy dolatywały jakieś stłumione okrzyki i trzaski, a potem zagrzmiął niski, potężny głos Dużego Roana Sullivana.

- Zjeżdżaj stąd, dziwko, bo znowu ci przywalę.

Drzwi odskoczyły gwałtownie i z wnętrza budynku wytoczył się Duży Roan, utykając ciężko na swej metalowej nodze. Był tylko w spodniach, a pod wielkim, owłosionym brzuszyskiem zwieszał się rozpięty pasek. Duży Roan był rzeczywiście ogromny i miał szczękę niczym buldog. Zwrócił swe przekrwione oczy w moją stronę, a ja zamarłam z przerażenia.

- Nie potrzebuję, żeby jakaś Maloney gapiała się na mnie - warknął głośno.

- Świętoszki, rozmodleni hipokryci. Nie patrz się na mnie, smarkulo. Oparłam się plecami o samochód ciotki

Dockey, wciąż wpatrując się

w jego twarz. Duży Roan ruszył w moją stronę.

- Zostaw ją w spokoju, Roan - rozkazała Daisy. - To tylko mała dziewczynka.

- Zamknij się. - Ojciec Roaniego kuśtykał, wymachując szeroko rękoma.

- Widzisz tego małego, tam? - Wskazał ręką na małego, bosego chłopca o jasnych włosach. Sally musiała to widzieć z drugiego domu, bo natychmiast wypadła na podwórko i pochwyciła dziecko.

- Roan, przestań! - wrzasnęła. - On nie jest twój. Nie ruszaj go! Duży Roan spojrział na nią groźnie.

- Nic nie jest moje, ty dziwko. Rząd wysłał mnie na wojnę i zostawił bez niczego. - Znów odwrócił się w moją stronę.

- Twój tatuś i jego rodzinka.

Rząd wysłał ich tam, gdzie byli bezpieczni. Ja odwaliałem za nich brudną robotę. - Uderzył otwartą dłonią w swoją metalową nogę. - Wracam tutaj i co za to dostaję? Jakies ochłapy od rządu i gównianą dziurę zamiast domu. Przestań się na mnie gapić! Przestań!

Roanie wyszedł z domku Daisy i zbiegł po krzywych, drewnianych schodach. Stał pomiędzy mną i Dużym Roanem.

- No już! - krzyknął. - Wsiadaj do samochodu.

- Zejdź mi z drogi, chłopcze!

- Przecież to nie jej wina, że jest bogata - próbował uspokajać go Roanie. - Nic ci nie zrobiła.

- Chłopcze, kiedy będę chciał z tobą rozmawiać, dam ci znać! - Duży Roan wskazał na mnie, a potem na chłopczyka, którego Sally trzymała w ramionach. - Nie możecie zostawić dziewczyny w spokoju, co? Nie potraficie się nawet przyznać, że to wasza sprawa. Sracie na nią i na jej dziecko i udajecie, że nic nie jest warta.

- Jesteś wściekły, bo on jest za dobry, żeby mógł być twój - wrzeszczała Sally.

Myślałam, że udławię się własnym językiem. Nogi trzęsły mi się ze strachu. Oni wszyscy musieli chyba oszaleć.

Duży Roan wciąż wyciągał paluch w stronę małego chłopca.

- Ten mały, wiesz kim on jest? Spytaj swojego wujka Pete'a. Dowiesz się, że to bękart twojego wspaniałego wujka Pete'a Delaneya!

Daisy stanęła pomiędzy Dużym Roanem i Sally. - Cicho bądź, Roan! - syknęła. - Chcesz nam wszystkim narobić kłopotów?

Roanie jęknął jak zraniony pies i odepchnął swego ojca. Duży Roan stracił równowagę i runął jak długi na ziemię. Roanie stanął obok niego.

- Wstawaj - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Wstawaj!

- Nie będziesz mi rozkazywał, gówniarzu! - Duży Roan wyciągnął nagle swą potężną rękę, pochwycił syna za kostki i szarpnął. Roanie nawet nie zdążył się podeprzeć i uderzył plecami o twarde klepisko. Stracił na moment oddech i łapał powietrze ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Duży Roan błyskawicznie przetoczył się na niego i chwycił go za gardło. - Nie rozkazuj mi, gówniarzu!

Roanie zaczął się krztusić, pochwycił obiema dłońmi rękę swego ojca i próbował uwolnić się z morderczego uścisku.

- Puść go! - wydierała się piskliwie Daisy. - Udusisz go!

- Nie będzie mi rozkazywał!

Miałam mocną rękę. Mocną rękę wyćwiczoną przez braci, którzy uwielbiali baseball i nauczyli mnie celnie rzucać. Nie myślałam, nie oddychałam, byłam zaślepiona wściekłością i przerażeniem. Pochwyciłam jedno z wielkanocnych jajek pozostawionych jeszcze w moim koszyku i zamachnęłam się potężnie. Jajko uderzyło między łopatki Dużego Roana.

Wciąż trzymał dłoń na gardle Roanego, ale przekreślił się na bok i spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

Wyciągnęłam następne jajko i podeszłam o krok w jego stronę.

- Puszczaj go!

- Co do diabła? - wymamrotał Duży Roan. Trafiłam dokładnie między oczy.

Nie bez powodu mówi się jajka gotowane na twardo. Gdyby nie był pijany, takie uderzenie oszołomiłoby go tylko na chwilę. Jednak wtedy przewrócił oczami i opadł bezwładnie na plecy.

Zabiłam go. Na Wielkanoc. Byłam tego pewna.

Roanie powoli podnosił się z ziemi. Jego twarz była sina, a gardło purpurowe. Zakasłał głośno i zgiął się wpół. Z jego ust wypłynęła cienka, wodnista strużka wymiocin. Przeciagnał, dłonią po wargach, nieco się wyprostował i spojrzał na mnie.

- To za Neely'ego Tiptona - powiedziałam, nie chcąc zmuszać go do podziękowań. - I za wszystko, co zrobili ci Arian i Harold. Teraz jesteśmy kwita.

Pokiwał słabo.

Cała ta bitwa trwała zaledwie pół minuty. Mama i pozostałe kobiety biegły już do mnie, ohydny mąż Edny Fea McClendon zwłóknął się wreszcie z łóżka i razem z Edną pomógł Roanemu wciągnąć ojca na ciężarówkę i ułożyć go wygodnie.

- Czy ja go zabiłam? - spytałam ze łzami w oczach.

- Nie - odparła mama, kładąc mi dłoń na ramieniu. W drugiej ręce trzymała rewolwer. - Obawiam się, że nie.

- Mamo, on powiedział, że Sally ma tego chłopczyka od wuja Pete'a. Mama zacisnęła usta. Na policzki wypłynął jej ciemnoczerwony rumieniec.

- O pewnych sprawach nie będziemy rozmawiać.

- Ale wuj Pete ciągle tu przychodzi odwiedzać Sally! Słyszałam o tym i...

- Claire Karleen. To, co robi tutaj twój wujek, nie powinno nikogo obchodzić, a cokolwiek słyszałaś na ten temat, było tylko głupią plotką. Zapomnij o tym.

Roanie nie powiedział ani słowa. Wsiadł do kabiny ciężarówki. Dwunastoletni chłopiec, który w Wielką Niedzielę odwozi do domu swojego pijanego, nieprzytomnego ojca. Upokorzenie napinało każdy mięsień na jego twarzy. Nie mogłam mu pozwolić tak po prostu odjechać. Biegiem wróciłam do bagażnika samochodu ciotki Dockey. Bagażnik nie był zamknięty. Szybko podniosłam pokrywę i pochwyciłam gigantycznego czekoladowego królika. Mama owinęła go wcześniej w papier.

Dobiegłam do ciężarówki, kiedy Roanie zapalił silnik. Patrzył na mnie ze zdumieniem, kiedy wskoczyłam na stopień kabiny i wcisnęłam mu w rękę wielkanocny podarek.

- Weź - powiedziałam, z trudem powstrzymując płacz. - To ode mnie. Nie z okazji Wielkanocy ani nie od Jezusa i nie z litości, ale dlatego, że cię lubię. Weź tego królika i zjedz go!

Roanie przełknął ciężko. Wzruszył ramionami. Z całych sił starałam się nie odsuwać od niego pomimo smrodu wymiocin, śmieci i brudnych ubrań.

Kiedy odjechał, rozdałam wielkanocne koszyki temu stadku cichych, bojaźliwych dzieci McClendon. Sally wbiegła do domu, wciąż trzymając w ramionach swego małego synka. Synka wuja Pete'a. Mojego kuzyna. Taka była prawda. Nie mogliśmy o tym rozmawiać, ale prawda była właśnie taka.

Nie zmuszałam nawet żadnego z tych dzieci do mówienia „proszę” i „dziękuję”, kiedy chciały dostać jajko. Było mi okropnie wstyd za nas wszystkich.

Jeden z kuzynów taty, Vince O'Brien, mąż Ruby, był szeryfem w naszym miasteczku. Ruby powiedziała mu, co się stało, i szeryf wysłał dwóch zastępców do Wąwozu, żeby upewnili się, czy Duży Roan nie chce zrobić Roanemu krzywdy, kiedy się ocknie. Ale Duży Roan wciąż spał na ciężarówce. Zresztą Roanie i tak uciekł do lasu. Dobrze wiedział, kiedy powinien zniknąć.

Nasłuchałam się wtedy wielu pochwał. Mówiono mi, że zrobiłam prawdziwie chrześcijański uczynek i że przypominało to walkę Dawida z Goliatem. Evan chciał mnie nawet zmusić do przeczytania tej historii w Biblii, ale powiedziałam mu, żeby się zamknął i zostawił mnie w spokoju. Chciałam zebrać myśli.

Ja miałam za dużo, a Roanie nie miał nic. Przyrzekłam sobie, że od tego dnia będę ratować go przed złem, które przenika nasze życie.

Rozdział czwarty

Przez następne dwa lata widywałam go niezbyt często, zwłaszcza po tym jak przeszedł do średniej szkoły. Jednak regularnie docierały do mnie różne wieści o nim.

- Roanie Sullivan przyszedł wczoraj do szkoły z wielkim guzem na czole

- powiedział nam Hop pewnego wieczoru. - Słyszałem, że znowu przyłapał Arlana i Harolda, kiedy walili w jego skrzynkę na listy, no i sam nieźle oberwał.

- Mamo, zrób z tym coś - błagałam. - Przecież oni go kiedyś zabiją. Mama westchnęła i spojrzała na swoją matkę. Jednak babka Elizabeth

twierdziła uparcie, że Arian i Harold byliby znacznie lepsi, gdyby ich matka, żona wuja Pete'a, nie umarła tak młodo. W końcu byli jej wnukami.

- Mężczyźni potrzebują prawdziwej matczynej opieki przez całe dzieciństwo i tylko taka troska może ich naprawdę uszlachetnić - odparła babka Elizabeth.

Prababcia Alice parsknęła pogardliwie.

- Pete wcale nie jest lepszy od swoich synalków, a to przecież ty go wychowałaś.

Babka Elizabeth zaczęła płakać. Mama poklepała ją po dłoni i spojrzała na tatę.

- Rozmawiałam z Petem tysiące razy. Może teraz ty spróbujesz?

Tata westchnął. Był w dość bliskim kontakcie z innymi braćmi mamy

- Eldonem, Mallorym i Sonnym - ale Pete'a ledwie tolerował.

- On i tak nie słucha. Nie będę mógł pomóc Roanemu, dopóki nie wymieni konkretnych nazwisk, a Dużego Roana w ogóle to nie obchodzi.

- Roanie chyba już niedługo zrezygnuje ze szkoły - przepowiadał Evan.
- Nikt nie wytrzymałby chyba dłużej takiej udręki. - Podejrzewam, że Evan nawet wołał, by tak się stało. Kiedy był mały, miał astmę i pamiętał doskonale, ile musiał wycierpieć od innych dzieci tylko dlatego, że szybko się męczył i był słabszy od innych. Potrafił wczuć się w położenie Roaniego.

Byłam wściekła. Na najbliższym spotkaniu rodzinnym podeszłam do Arlana i Harolda.

- Mam nadzieję, że szybko umrzecie i ptaki zjedzą wam wnętrzności
- powiedziałam im bez ogródek. - Mam nadzieję, że zachorujecie i że odpadną wam ptaszki. - Obaj roześmiali się głośno.

Ale Roanie trzymał się szkoły jak rzep psiego ogona. Nie miał pieniędzy na ładne zeszyty i długopisy, na wycieczki do Atlanty do filharmonii albo do muzeum techniki - na rzeczy, które dla mnie i dla moich krewnych były czymś całkiem zwyczajnym. Nigdy nie było go stać na lunch w szkolnej kafejce, nigdy też nie miał pieniędzy na podstawowy sprzęt sportowy, choć trenerzy zawsze starali się pozyskać go do swoich zespołów ze względu na jego siłę, zaciętość i agresję. Zadowalał się tym minimum, które pozwalało mu przeżyć. Jakiś czas później, kiedy poznałam go lepiej, zrozumiałam, dlaczego tak się zachowywał.

- Jedyne, co naprawdę możesz zatrzymać - powiedział mi kiedyś - to twoje myśli, to, co masz w głowie.

I tylko raz zdarzyło mu się opuścić na jakiś czas szkołę. Było to wczesną witką, kiedy miałam dziewięć lat, po tym jak Duży Roan obrabował sklep wuja Pete'a. ,

Sklep z częściami samochodowymi mieścił się w niskim betonowym budynku, wzniesionym przez wuja Pete'a przy jednej z bocznych uliczek miasteczka, naprzeciwko placu, na którym sprzedawał używane samochody. Ulice naszego miasteczka pustoszały już około szóstej po południu, więc po zmierzchu nie było na nich już prawie nikogo. Pewnej marcowej nocy Duży Roan, pijany jak zawsze, wjechał do sklepu z częściami przez wielką szybę wystawową, po czym załadował swoją ciężarówkę filtrami oleju i węzami do chłodnicy, do czego dołożył jeszcze CB-Radio i komplet nowych opon. Jednak sklep wuja Pete'a miał jedyny w swoim rodzaju system alarmowy - Dota i Rigby Boylesów, emerytowanych

misjonarzy kościoła Baptistów, którzy mieszkali tuż obok sklepu wraz z dziesięcioma jamnikami. Jamniki zaczęły szczekać, Boylesowie wezwali szeryfa Vince'a O'Briena i po trzydziestu minutach Duży Roan był już w areszcie. Wuj William Delaney skazał go na dwa miesiące więzienia. Ponieważ Roanie liczył sobie dopiero czternaście lat i poza ojcem nie miał żadnych krewnych, moja ciotka Bess i kilku innych pracowników opieki społecznej wybrało się do Wąwozu, by go stamtąd zabrać. Roanie uciekł do lasu na wzgórzach wokół Wąwozu i ślad po nim zaginął. Tato i szeryf Vince tropili go przez kilka dni, jednak bez powodzenia.

Poszłam wtedy do domu babci i dziadka Maloneyów.

- Roanie będzie głodował - jęczałam przed dziadkiem Josephem. Dziadek położył palec na ustach. Jego oczy błysnęły jaśniej.

- Nie, nie będzie. Wiem gdzie on jest.

Jezioro Dziesięciu Skoków należało do Maloneyów od niepamiętnych czasów. Znajdowało się w odległości niecałej mili od starej brukowanej drogi, która przecinała Drogę Mydlanych Wodospadów nad naszą farmą. Otoczone było wysokimi grzbietami górskimi i prowadziła do mego tylko jedna wąska ścieżka, która wiła się u podnóży stromych zboczy niczym wąż, a miejscami zamieniała się w paskudne trzęsawisko.

Dziadek mówił, że nazwa jeziora związana jest z legendą o Indianinie z plemienia Czirokezów, który skacząc po grzbietach dziesięciu gigantycznych żółwi przedostał się na przeciwległy brzeg. Potem pomógł mojemu stryjcznemu dziadkowi Harveyowi zbudować dwuizbową chatę myśliwską. Ponieważ Harvey był emerytowanym marynarzem, który miał własną firmę ratownictwa okrętowego na wybrzeżu oceanu, jego chata była przedziwną konstrukcją, zbudowaną z belek tworzących niegdyś szkielet starego jachtu, a komin wzniesiony został z gładkich okrągłych kamieni balastowych, które Harvey zabrał z wraku osiemnastowiecznego szkunera. Jedna z siostrzenic Harveya odziedziczyła po nim ziemię i to domostwo, jednak mieszkała w Minnesocie i nigdy jej nie poznaliśmy.

Dziadek co roku płacił za nią podatki od nieruchomości.

Dziadek zaparkował samochód za wielkim zielonym krzakiem wawrzynu. Potem cichutko przemknęliśmy się wzdłuż jeziora i zatrzymaliśmy się

naprzeciwko opuszczonej chaty. Połamane okiennice i puste czarne odrzwia na drugim brzegu wyzierały zza wielkich dębów i ogromnych paproci, większych nawet ode mnie.

- Nie znajdziesz niczego podobnego w całym okręgu - wyszeptał dziadek. - To łódź w dziwnej przystani, ale właśnie tutaj jest jej miejsce.

- Czy Roanie jest właśnie tutaj?

- Tak. - Dziadek wskazał ręką na chatę. - Łowi ryby w jeziorze. Dziesiątki razy natknąłem się już na jego ślady. Widziałem go też raz czy dwa na werandzie, ale sam się nie pokazywałem.

- Dlaczego?

- To jego jedyna bezpieczna kryjówka, kwiatuszku. Czuje się tutaj jak dzikie zwierzę w swojej norze. Jeśli domyśli się, że odkryliśmy jego tajemnicę, być może nigdy już tu nie wróci. Ale tym razem, kiedy jego ojciec jest w więzieniu, nie zostawię Roaniego w spokoju.

- Tato i Kuzyn Vince wywiozą go gdzieś daleko stąd, jeśli tylko go znajdą!

- Wiem. Być może tak właśnie byłoby dla niego najlepiej, ale chyba nie mógłbym mu tego zrobić. - Czubkiem palca dotknął mojego nosa. - To nasz sekret. Prócz nas wie o tym tylko twoja babcia.

Szybko pokiwałam głową, szczęśliwa, że dziadek nie chce skrzywdzić Roaniego. Potem wróciliśmy do samochodu, dziadek wyjął z bagażnika duże tekturowe pudło z jedzeniem. Zostawiliśmy je na brzegu jeziora, przed krzakiem wawrzynu. Dziadek wyrwał kartkę z notesu, który nosił zawsze w kieszeni, i podał mi pióro, a ja napisałam: „Roanie, MOŻESZ TO JEŚĆ. Mój DZIADEK mówi, że jiiie musisz się bać. NIKOMU NIE POWIEMY. Twoja przyjaciółka, Claire”.

Jeśli zaufa komukolwiek, to tylko tobie - powiedział dziadek.

Kiedy wróciliśmy tam następnego dnia, pudełko stało na swoim miejscu, ale jedzenie zniknęło, a plastikowe pojemniki babci Dottie były umyte i poskładane. Byłam tak dumna, że potem już do każdego pudła wkładałam długi list do Roaniego.

Zostawialiśmy jedzenie codziennie, przez cały miesiąc - smakołyki babci, gotowaną szynkę, pieczone kurczaki, potrawki, ciasta i słodycze. Początkowo babcia wkładała to wszystko do pustych opakowań po margarynie, ale kiedy dziadek przez kilka dni z dumą oddawał jej dokładnie wymyte pojemniki, zaczęła wymieniać je na dobre plastikowe naczynia. Nim Duży Roan wyszedł z więzienia, Roanie dostawał jedzenie wyłącznie w taki sposób przygotowane.

- Nie mam pojęcia, gdzie ukrywał się ten chłopak - rozmyślał głośno tata,

kiedy Roanie wrócił do szkoły - ale wygląda na to, że radził sobie całkiem nieźle. Muszę przyznać, że go nie doceniłem. - Powinieneś go docenić, synu, powinieneś - odparł dziadek.

Boże Narodzenie w naszym miasteczku było cudowne, przeżywane spontanicznie i tak jasne, że aż bolały mnie od niego oczy. Po prostu uwielbiałam święta. Miejskie Stowarzyszenie Kobiece zajmowało się organizowaniem festynu bożonarodzeniowego, a ciotka Irene, starsza siostra mamy, zajmowała się stowarzyszeniem.

Tuż po Święcie Dziękczynienia wszyscy sklepikarze w miasteczku zmieniali dekoracje i szykowali się już do Bożego Narodzenia. Na wystawach sklepów królowały więc nieskończenie długie srebrne girlandy, tłumy plastikowych świętych Mikołajów, sztuczny śnieg przylepiony do okien i sznury lampek, które oplatały wielkie wiązy dokoła rynku, jakby jakiś gigantyczny pajak próbował zawinąć je w kolorową sieć. Pośrodku rynku, na trawniku przed budynkiem sądu, stał wielki żłób, a przy nim drewniane figury świętej rodziny naturalnej wielkości. Gdyby jak& ześwieczony liberał narzekał, że szopka stoi na trawniku należącym do miasta, ścigano by go pewnie jak renifery świętego Mikołaja podczas sezonu łowieckiego.

W sobotni wieczór, w środku grudnia, setki ludzi zbierały się na placu, by posłuchać śpiewu chóru, obejrzeć paradę, przyjazd świętego Mikołaja i uroczyste zapalenie świec na ogromnym cedrze obok wejścia do sądu.

My, to znaczy rodziny Maloneyów i Delaneyów, przychodziliśmy tam bardzo wcześnie i zajmowaliśmy miejsce na środku placu, gdzie ulica Główna rozdziela się na dwie mniejsze, by otoczyć gmach sądu. Stałam tam ubrana w ciepły wełniany płaszcz i grube spodnie, które skutecznie chroniły mnie przed grudniowym mrozem, i podekscytowana rozpychałam się między moimi braćmi i kuzynami. Po chwili chórzyci z kościoła Metodystów, którzy stali na podwyższeniu przed biurami Izby Handlowej, zaczęli śpiewać *Jingle Bells*, a w stronę rynku ruszył pochód prowadzony przez ciotkę Irene przebraną za anioła, z wielkimi skrzydłami zrobionymi z drutu i białego muślinu. Nagle, bez żadnego powodu, obejrzałam się do tyłu i napotkałam wzrok Roaniego. Stał zupełnie sam w cieniu metalowej markizy najbliższego sklepu. Obserwował mnie.

Miałam dziewięć lat, byłam niska i tłuściutka. On miał lat czternaście, był wysoki i szczupły. Włosy, które opadały mu na twarz grubymi, ciemnymi

kosmykami, zakładał za uszy. W starych, wytartych dżinsach i cienkiej kurteczce, przy której brakowało dwóch guzików wyglądał jak obszarpaniec. Głowę wtulał w ramiona, chroniąc się przed zimnym, nocnym powietrzem. Jego oczy błyszczały metalicznie, jak srebrne girlandy oplatające wystawę za jego plecami.

Wyobraziłam sobie, że jest młodym kowbojem, który zboczył ze szlaku i zgubił się, że całkiem splukany, ma zaledwie jedną pięciocentówkę, a jego ubranie pokryte jest kurzem dróg, a nie smarem z ciężarówki. Guziki stracił w walce z bandytą.

Pchana tą romantyczną wizją, przeciskałam się nie zauważona przez tłum, aż stanęłam przy słupku, podpierającym metalową markizę. Roanie bacznie mi się przyglądał. Przez chwilę stałam w milczeniu, trzymając spocone dłonie w kieszeniach. Serce biło mi coraz mocniej.

- Witaj, przyjacielu - wykrztusiłam wreszcie.

Roanie zastygł w bezruchu niczym posąg, choć tak naprawdę podobny był bardziej do kota, który czyha na ofiarę. Na pewno zastanawiał się wtedy, jakie konsekwencje może mieć dla niego rozmowa z egzaltowaną, przemądrzałą dziewczynką, która miała sadystycznych kuzynów i której ciekawość mogła przysporzyć mu sporo kłopotów ze strony nadopiekuńczych rodziców i kilkunastu innych członków rodziny Maloneyów, gdyby choć jeden z nich odwrócił się i zobaczył nas razem.

- Mały, śmieszny bączek - powiedział wreszcie.

- Tak jak ty - odparłam. - Duży śmieszny bączek.

- Wyglądasz jak elf z rudymi włosami.

„. Uznałam, że jest to swego rodzaju zaproszenie, więc przysunęłam się o cal Milej. Sięgałam mu zaledwie do piersi.

- Mam nadzieję, że jeszcze urosnę. Patrzył wprost przed siebie.

- Nie jesteś taka zła.

- Ty też nie.

- Pisziesz ładne listy. Uśmiechnęłam się do niego promieniście.

Rozpoczęła się parada. Wielki czerwony wóz strażacki z drabiną, na której siedziało dwunastu strażaków, wjechał powoli na plac. Strażacy rzucali w tłum różne smakołyki. Miniaturowa torebka z dropsami odbiła się od mojej głowy i wpadła w ręce Roaniego. Roanie zamknął ją w dłoni, przyglądał jej się i gładził palcem, jakby była ze złota. Potem oddał ją mnie.

- Najpierw uderzyła w ciebie - powiedział.
 - Ale ty ją złapałeś. Jest twoja. Poza tym nie lubię dropsów - skłamałam. Zastanawiałam się, czy ta mała torebka z cukierkami jest jedynym prezentem, jaki Roanie dostał na Boże Narodzenie. Po chwili wzruszył ramionami, ale schował torebkę do kieszeni kurtki i starannie ją zapiął.
 - Nie widzę parady - powiedziałam nieśmiało. - Chyba wejdem na parapet.
 - Spadniesz i coś sobie zrobisz.
 - Będę się ciebie trzymała. - Chwyciłam go za rękaw. Roanie zeszywniał na moment, potem spojrzał na moją rękę i rozejrzał się bezradnie dokoła, jakby chciał zaświadczyć przed wszystkimi, że to nie on mnie prowokuje. Zrećcznie wspiełam się na szeroki drewniany parapet wystawy i przykucnęłam. Oparłam dłoń na jego lewym ramieniu. - Nie ruszaj się tylko, a na pewno nie spadnę.
 - To wcale nie jest śmieszne. Złaż na dół.
 - Przecież nic się nie dzieje. To mój pomysł. Popatrz! - Wskazałam na ciotkę Irenę, która wychodziła właśnie zza rogu, machając energicznie drucianymi skrzydłami. - Moja ciotka Irenę wygląda jak wielka biała gęś!
 - Złaż stąd - powtórzył cicho Roanie.
- Widziałam, jak mama, stojąca w pierwszej linii widzów, pochyla głowę i szuka mnie wokół swych nóg, a potem obraca się szybko na pięcie i przeszukuje wzrokiem tłum. Kiedy zobaczyła mnie i Roaniego, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Przez moment wpatrywała się we mnie z otwartymi ze zdumienia ustami, a potem klepnęła tatę po ramieniu, i on też się odwrócił. Uśmiechnęłam się do nich radośnie. Tato uniósł brwi i przewrócił oczami. Mama zmarszczyła gniewnie czoło. Wtedy tato wziął ją pod ramię i powiedział jej coś do ucha, a ona wypuściła powietrze spomiędzy zaciśniętych warg. Oboje odwrócili się w stronę parady.
- Widzisz? - Zaszczebiotałam do Roaniego, wciąż trzymając się twardego jak skała ramienia. - Nikomu to nie przeszkadza.
 - Ty nic nie wiesz - odpowiedział po sekundzie ponurym tonem. Uważałam, że wiem wszystko, i już chciałam mu to powiedzieć, ale na plac wszedł właśnie zespół ze średniej szkoły i zagłuszył mój głos kołędą *Dzisiaj w Betlejem*. Za zespołem kroczyli wuj Dwayne i ciotka Rhonda Maloney, odgrywający Maryję i Józefa, a przyzwoici ludzie nie rozmawiają, kiedy obok przechodzi święta rodzina. Wuj Dwayne odziany był w niebieskie prześcieradła i miał długą rudą brodę, dzięki której wyglądał niezwykle dostojnie i biblijnie. Ciotka Rhonda owinięta w białe prześcieradła zachowywała się trochę

nerwowo, bo próbowała jednocześnie utrzymać w rękach plastikową lalkę, czyli dzieciątko Jezus, i nie spaść z muła, prowadzonego przez wuja Dwayna.

Później na rynku pojawili się Trzej Królowie, dosiadający przestraszonych koni. Spod starożytnych szat Królów wystawały łąki zachodnich siodeł. Pochyliłam się nad Roaniem i szepnęłam mu do ucha:

- Wiem mnóstwo rzeczy. Wiem, że powinieneś powiedzieć komuś, że Arian i Harold cię biją. Narobiłbyś im kłopotu.
- Bogate chłopaki nigdy nie mają kłopotów.
- Oni wcale nie są bogaci! Wuj Pete wydaje wszystkie pieniądze na wyścigach samochodów.
- Ty nic nie wiesz - powtórzył.
- Wiesz co? - Postanowiłam wspaniałomyślnie zmienić temat. - Mógłbyś naciąć trochę ostrokrzewu albo jemioly przy Wąwozie i przynieść to mojej mamie, bo ona przystraja tym dom. Dałaby ci za to pudełko ciastek, takich, jakie zawsze piecze na Boże Narodzenie.
- Ta. Na pewno.
- Zrobiłaby to!
- Nikt mnie nie zapraszał.
- Ja cię zapraszam.
- Ty nic nie wiesz.
- Powiedz to jeszcze raz, a wyrwę ci wszystkie włosy. Jeśli ciągle masz jeszcze te okropne wszy, to je też wydrę! - Jakież okropne głupstwo palnęłam. Jakie bezmyślne i okrutne. Poczulałam na sobie jego gniewne, oskarżycielskie spojrzenie i omal nie zakrztusiłam się własnym językiem. - Ja nie chciałam... Roanie, ja...

Dziwne poruszenie tłumu i głośnie okrzyki przerwały mi w pół zdania.

- Boże, niech ktoś go powstrzyma! - wrzasnął ktoś przeraźliwie. Duży Roan przyłączył się do pochodu. Kuśtykał środkiem ulicy Głównej, wielki jak goryl. Szyję owinał sobie srebrnymi girlandami, które opadały mu na kraciastą koszulę i wypchane robocze spodnie. Jego twarz okolona była tłustą czarną brodą. Szedł powolnym, nonszalanckim krokiem i kręcił tyłkiem, jak jakiś pokraczny tancerz. Jego usta wykrzywione były w wyrazie najwyższej pogardy. Wszedł w sam środek drużyny harcerek. Dziewczyny rzuciły chorągiew i rozpierzchnęły się na wszystkie strony jak Uście gnane wiatrem. Duży Roan parł naprzód, wymachując butelką po piwie.
- Chcecie wszyscy zobaczyć świętego Mikołaja? - ryknął. - Spuszczę portki i wszyscy będziecie mogli pocałować go w oba policzki!

Potem rzucił butelką. Uderzyła w zad jednego z nerwowych koni Trzech KróU. Koń skoczył do przodu i zderzył się z mułem ciotki Rhondy. Ciotka spadła na ziemię. Muł wyrwał się wujowi Dwayne'owi i ruszył przed siebie. Orkiestra ze średniej szkoły rozstała się na boki, a moja kuzynka przewróciła się razem ze swoją tubą. Muł przebiegł obok wozu strażackiego, a jeden ze strażaków przypadkiem rzucił w niego garścią cukierków, co tylko przynagliło zwierzę do szybszego biegu. Muł przemknął obok ciotki Irene i uderzył w jedno z jej drucianych skrzydeł. Ciotka zakręciła się w miejscu i przechyUła na jedną stronę, jak uszkodzony samolot. Zdawało mi się, że przymarzłam do parapetu. Ludzie krzyczeU. Tato z kilkoma mężczyznami wybiegł na ulicę i pochwycił Dużego Roana. Nim ten runął na ziemię, zdążył jeszcze uderzyć tatę w twarz.

Zaczęłam piszczeć przerażUwie z wściekłości i strachu. Nagle zdałam sobie sprawę, że stoję na chodniku, że Roanie zdjął mnie z parapetu i postawił tutaj i że jestem sama.

Rozpłynął się w powietrzu albo spał ze wstydu.

Gazety w Adancie i lokalna telewizja niejednokrotnie wspominały potem o bożonarodzeniowej paradzie w Dunderry. Byliśmy śmiesznymi ludźmi z małego miasteczka w górach. Byliśmy dziwakami. Zostaliśmy upokorzeni. Tato miał złamany nos. Duży Roan znów poszedł na trzy miesiące do więzienia. Cała moja rodzina, zarówno Maloneyowie i Delaneyowie, poprzysięgła, że nigdy żaden SulUvan nie przestąpi przez ich próg. Ja zaś stałam się kozłem ofiarnym całej rodziny, kiedy dowiedziano się, że w czasie parady rozmawiałam z Roaniem. Wszyscy doradzali mamie, żeby miała na mnie oko, zupełnie jakbym chciała uciec do cyrku albo głosować na repubUkanów. Kuzyn Vince tym razem działał błyskawicznie i złapał Roanego, nim ten dotarł do Jeziora Dziesięciu Skoków. Wuj WilUam podpisał decyzję sądu, a ciotka Bess wysłała go do stanowego domu opieki dla chłopców w Atlancie. Ciotka mówiła potem, że czuje ogromną ulgę, wiedząc, iż Roanie SulUvan będzie bezpieczny i nie zabraknie mu jedzenia podczas Bożego Narodzenia.

Dziadek miał rację. Czasami trudno należycie docenić przysługi, jakie wyświadczają nam bliźni.

Rozdział piąty

Ciotka Jane, która prowadziła miejską bibliotekę w Dunderry, mówiła, że najwspanialsze dzieła rodzą się ze straszliwego bólu, cierpienia i żalu nad ludzką niedolą. To chyba prawda. Bardzo chciałam pocieszyć Roaniego w ciągu tego miesiąca, który spędził z dala od domu, a pod moim materacem kryły się dziesiątki listów i wierszy, które napisałam w czasie Bożego Narodzenia. Spędziłam więcej czasu w moim pokoju niż na zewnątrz.

- Tak jasne, możesz wysyłać do Roaniego listy - zgodziła się ostrożnie mama, kiedy ją o to spytałam. - Ale najpierw będę musiała sprawdzić, czy nie ma w nich... hmm... błędów.

Ale ja nie byłam aż tak naiwna. Wiedziałam, co naprawdę ma na myśli mama. Moje listy wyglądałyby w końcu jak te, które przysyłał do domu Josh, •kiedy był w Wietnamie - pełne zamazanych linii i nie dokończonych zdań.

- Zastanowię się nad tym - odpowiedziałam.

Pomysł na mój nieszczęsny wiersz dla Roaniego Sullivana wziął się stąd, iż czytałam książki nieodpowiednie dla dziewczynek w moim wieku.

Nasz dom był pełen książek. Te odpowiednie dla mnie znajdowały się w salonie na dole, na półkach zapchanych encyklopediami, poradnikami dla rolników i oprawnymi w skórę dziełami klasyków, takich jak Szekspir czy Dickens. Stolik na kawę zawsze ugiął się pod albumami o sztuce, które należały oczywiście do mamy. Jednak prawdziwa biblioteczka mieściła się w sypialni mamy i taty.

Piramidy książek w miękkich okładkach ułożone były na podłodze i upchane pod nocnymi stolikami z drzewa wiśniowego. Po stronie taty rozciągały się dzikie terytoria zamieszkałe przez cynicznych rewolwerowców, czterorękich

kosmitów, detektywów i twardzieli, takich, co to lubią zimny dżin i gorące dziewczyny. Mickey Spillane i Louis L'Amour. Robert Heinlein i John D. McDonald. Coś dla prawdziwych mężczyzn. Kolekcja mamy była nieco bardziej zróżnicowana i równie interesująca

- Tolkien i Vonnegut, LiUian Hellman i John Le Carre, sterty grubych i słodkich romansów i powieści historycznych, obfitujących w namiętności i przygody, które rozgrywały się najczęściej w średniowiecznej Anglii - mama, dumna z ojczyznoego kraju babki Elizabeth, uważała to za część naszego dziedzictwa.

Przemycałam książki rodziców do mojego pokoju i czytałam te najbardziej szokujące, a nie zupełnie pogmatwane. Moja wyobraźnia pełna była więc bezwzględnych detektywów, kosmicznych potworów i średniowiecznych dam, a wszyscy, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, chcieli koniecznie uprawiać seks.

W naszym domu nie mówiło się o seksie. Nikt nie opowiadał żartów związanych z seksem, nawet moi bracia, a przynajmniej nie w mojej obecności. Różne części ciała i odgłosy z toalety - owszem. Części ciała różnych płci - nigdy.

Wkrótce po mojej okropnej wizycie na ulicy Sadowej, kazałam moim starszym kuzynkom wyjaśnić mi dokładnie, dlaczego wszyscy nazywali ją ulicą Wsadową. Powiedziały mi, a był to opis nadzwyczaj obrazowy i obfitujący w najdrobniejsze szczegóły. Wydawało mi się wtedy, że cały ten seks to coś straszliwie żenującego, spojrzałam więc na nie surowo i rzekłam:

- Jeśli ktoś ma choć szczyptę rozumu, nie będzie tracił czasu na takie rzeczy.

Wszystkiego, co wiedziałam o miłości, nauczyłam się oglądając stare filmy w telewizji i obserwując bacznie mamę i tatę.

Mama miała duże niebieskie oczy i pupę, która była obiektem zazdrości wszystkich kobiet w miasteczku - kształtną jak odwrócone walentynkowe serduszko. Tato uwielbiał jej tyłeczek i zawsze klepał ją po nim, kiedy myślał, że nikt ich nie widzi. Kiedy zaś przyłapaliśmy ich na robieniu podobnych rzeczy, tato uśmiechnął się do mamy szelmowsko. Tato był szczupły, miał wspaniałe mięśnie i potrafił zgiąć w rękach metalową sztabę. Miał długie, szczupłe ramiona i nogi, a jedyna odrobina tłuszczu, jakiej nie mógł się pozbyć do końca ukryta była w drobnym wzniesieniu nad sprzączką pasa. Czasami pozwalał się bić po brzuchu, który

wydawał mi się twardy jak łupina dojrzałego arbuza. Mama mówiła, że to jego zapasowy bak i lubiła go tam drapać. Kiedy tato siedział przy stole, mama przechodząc obok przesuwiała palcem między delikatnymi włoskami, które pokrywały jego kark.

Różnica była aż nadto widoczna - seks wiązał się z potem i nagością, był czymś kłopotliwym - nie mówiąc już o tym, że często zabronionym - miłość zaś była śliczna i grzeczna, a zakochani ludzie uwielbiali się nawzajem, wcale nie zdejmując przy tym ubrań.

To był właśnie ten rodzaj miłości, jaki miał połączyć mnie i Roaniego. Postanowiłam wyjaśnić moje intencje za pomocą serii wierszy, poprzedzonych odą do jego cudownych zalet.

Zawiesiłam mój pierwszy wiersz na lodówce, w widocznym miejscu pomiędzy kalendarzem „31uletynu Farmerów” a zdjęciem mamy, taty, moim i moich braci, zrobionym w korytarzu Centrum Kultury w Atlancie, kiedy byliśmy tam na przedstawieniu „Dźwięki muzyki”.

Roanie, Roanie Sullivan, Nie, to wcale nie jest drań. Męderały ma wspaniałe, Nie za duże nie za małe. Chłopak z niego jest na schwał, Świetnie by się z nami zgrał.

Claire

„Męderały” było określeniem, które znalazłam w jednej z powieści sensacyjnych mojego taty. Uznałam, że robi piorunujące wrażenie, i postanowiłam włączyć je do mojego dzieła. Czekałam niecierpliwie, aż ktoś wreszcie je przeczyta.

Ciotka Arnetta była ślepa jak kret. Nosiła grube szkła w jasnopomarańczowych oprawkach albo lecznicze okulary słoneczne ze specjalnymi niebieskimi soczewkami, które odbijały szkodliwe promienie. Wyglądała w nich jak wielka, niebieska mucha. Była poważną kobietą, która nie miała czasu na żadne bzdurki i preferowała szarobrazowe suknie z akcentami ciemniejszej szarości i brązu.

Jej priorytety i obowiązki były jasno określone i niezmiennie: Bóg, kościół, dzieci, praca, bingo. Myślę, że mój kuzyn Carlton, złodziejasek i cwaniak

był dla niej źródłem wiecznego zakłopotania i zawstydzienia. Być może właśnie dlatego starała się być tak surowa dla wszystkich. Wuj Eugene, właściciel salonu samochodowego, który swój wolny czas spędzał niemal w całości przed telewizorem, zajmował daleką pozycję na liście jej priorytetów. Ciotka pracowała dla stanowej agencji rolniczej, jako ekspert od zarządzania gospodarstwem domowym. Tego dnia ciotka Arnetta przyniosła nam nową broszurkę o gotowaniu bez soli, bo mama martwiła się wysokim ciśnieniem prababci. Kiedy weszła do kuchni, ja siedziałam przy stole kuchennym i udawałam, że czytam „Reader's Digest”. Był to mroźny styczniowy dzień. Miałam wrażenie, że za plecami ciotki do ciepłego wnętrza wsunął się strumień lodowatego powietrza.

- Zepsujesz sobie oczy, jeśli będziesz tak trzymać tę gazetę - powiedziała do mnie. - Jesteś moim książkowym Musisz nabierać dobrych przyzwyczajzeń póki czas, bo potem będziesz miała nie tylko kiepski wzrok ale i krzywe plecy.

- Och, dobrze, ciociu.

Przemknęła obok mnie, a ja przestraszyłam się, że wejdzie z powrotem do przedpokoju i w ogóle nie zwróci uwagi na lodówkę. Jednak ona namierzyła mój wiersz niczym radar i zatrzymała się. Obserwowałam w napięciu, jak pochyla się nad lodówką. Potem znów się wyprostowała. Zdjęła okulary i przetarła szkła ręką burego swetra, założyła je na nos i pochylała się raz jeszcze. Widziałam, jak wstrząsnął nią dreszcz.

- CLAIRE KARLEEN MALONEY, co to za plugastwo?

Ciotka Arnetta zerwała mój wiersz z lodówki, obróciła się na pięcie i rzuciła kartkę na stół. Poczułam, że nagle całkiem zaschło mi w ustach.

- To wiersz!

- Piszesz wiersze o... o genitaliach Roaniego Sullivana?

- Co? Nie, to jest o jego męderałach!

- Genitalia - powtórzyła Ciotka Arnetta potrząsając karteczką przed moim nosem. - Męskie narządy płciowe. Gonady. - Każde słowo wymawiała coraz głośniejszym, a kiedy wpatrywałam się w nią w niemym przerażeniu, dokończyła grzmiącym tonem. - Jego jądra.

Z trudem powstrzymałam okrzyk przerażenia. Więc to właśnie mieli na myśli mężczyźni z książki taty, kiedy mówili, że ktoś ma duże męderały?

- Nie wiedziałam! Myślałam, że męderały to mięśnie! Wspaniałe, silne mięśnie!

- Och, na pewno o tym nie wiedziałaś! Taka inteligentna dziewczynka jak

ty! Powiem ci coś, panno Claire; kto z kim przestaje, takim się staje! Gdybyś miała choć trochę oleju w głowie, trzymałabyś się z dala od tego prostaka, Roaniego Sullivana! O tak, ja położę temu kres, raz na zawsze! Zaraz powiem twojej mamie i twojemu tacie, że ten śmieć, ten plugawy śmierdzący łobuz namawia cię do pisania sprośnych wierszyków! Zerwałam się na równe nogi.

- Nie! To nie jego wina! Przeczytałam o męderałach w książce!

- W tym domu nie ma ani jednej książki, w której opisywano by męskie genitalia!

Ciotka Arnetta nie miała o tym pojęcia.

- To nie jest wina Roaniego! Nie mów o tym mamie i tacie! Chciałam tylko pokazać wszystkim, co myślę o Roaniem!

- Ach, tak bardzo go lubisz, co? Boże, jest znacznie gorzej, niż przypuszczałam! Dziewięć lat i już ugania się za chłopaczyskami! Claire Karleen Maloney, wybij sobie z głowy tego śmiecia! Prędzej ziemia zatrzyma się w miejscu, niż ta rodzina pozwoli ci związać się z Sullivanem! Wychowano go na prostaka i zawsze nim będzie! Taki człowiek nigdy niczego nie osiągnie! Za parę lat będzie żył z zasiłku w jakiejś norze mając na głowie kupę bachorów i rozpustną dziewczuchę! Twoi krewni woleliby chyba zamknąć cię w piwnicy i wyrzucić klucz przez okno niż patrzeć, jak marnujesz sobie życie z tym łachudrą!

Nim skończyła, otrząsnęłam się już z szoku i czułam, jak wzbiera we mnie okropna złość. Nigdy nie kłóć się ze starszymi. Nigdy. Wiedziałam o tym, ale, ponieważ moja reputacja i tak już została zniszczona, mogłam pójść na całość.

- Lepiej martw się o jądra wuja Eugene'a! - wrzasnęłam. - Tato mówi, że wuj nie może ich już znaleźć, bo ty trzymasz je w swoim pudełku z biżuterią!

Nigdy nie widziałam pomidora bardziej czerwonego niż twarz ciotki Arnetty w tamtej chwili. Wyjąkała coś pod nosem, a za grubymi szklami okularów błysnęły powiększone łzy. Rzuciła broszurę o zdrowym żywieniu na stół i poszła szukać taty.

Zrobiła się straszna awantura. Nasłuchiwałam się od całej rodziny, a za karę mama odebrała mi kieszonkowe do końca miesiąca i dołożyła jeszcze kilka obowiązków do tych prac domowych, które wykonywałam dotychczas. Co gorsza wszyscy doszli do wniosku, że jestem zupełnie pozbawiona rozsądku, jeśli chodzi o Roaniego Sullivana.

Na domiar złego ciotka Arnetta przez kilka miesięcy była wściekła na tatę. Tato przykazał mi, żebym nigdy, ale to nigdy nie powtarzała tego, co on mówi o ciotce i wuju Eugene. Zaginione jądra wuja Eugene'a - tak jak i moja sympatia do Roaniego - należały do tych kłopotliwych tematów, których rodzina starała się za wszelką cenę unikać. Kilka dni później zebrałam wszystkie moje wiersze i listy i spaliłam je za stodołą. Ostrożności nigdy za wiele, kiedy w grę wchodzi męderały. Zwłaszcza gdy nie ma się pewności, co to właściwie jest.

Roanie wrócił w końcu do domu razem z Dużym Roanem. Podobno Duży Roan spędzał większość czasu na ulicy Sadowej z Daisy McClendon. Dlatego właśnie ciotka Dockey i mama nie pojechały tam na Wielkanoc, a koszyki zawiózł tato i wuj Bert.

Nie wiem, jak tamtej wiosny wyglądała Wielkanoc Roaniego. Hop i Evan widzieli go w szkole i mówili, że stał się jeszcze gorszym odludkiem niż dotychczas. Próbowalam namówić Hopa, żeby przekazał mu mojego czekoladowego królika i krótki list – pisałam w nim, jak bardzo jest mi przykro, że ciotka Bess wysłała go do Atlanty i że chciała dla niego jak najlepiej. Jednak Hop powiedział, że w rodzinie Maloneyów może być tylko jedna czarna owca i że na razie on nie chce zajmować mojego miejsca.

W końcu Hop uległ i próbował porozmawiać z Roaniem, ale ten patrzył tylko na niego jak na najgorszego wroga. Przypuszczam, że wtedy rzeczywiście wszyscy byliśmy jego wrogami.

We wrześniu tego roku przekonałam się w końcu na własnej skórze, dlaczego Sean i Bridget Maloney nie chcieli się uśmiechać. Miłość nie toleruje uśmiechu. Od razu wybije ci zęby.

Cały nasz klan chodził na wszystkie mecze futbolu amerykańskiego w średniej szkole, ale najważniejszy był zawsze pierwszy mecz jesieni. Był to jeden z tych cudownych, pachnących jeszcze latem wieczorów, kiedy rozgrzane powietrze ciężkie jest od słodkich zapachów, a okrągły dojrzały księżyc wychyla się zza drzew pokrytych pierwszymi plamami złota i czerwieni.

Wraz ze spokrewnionymi rodzinami, takimi jak Kehoe'owie i O'Brienowie, Maloneyowie i Delaneyowie tworzyli połowę zespołu, a także sporą część zespołu muzycznego i drużyny dziewcząt zagrzewających graczy do walki.

Josh i Brady byli swego czasu świetnymi napastnikami, a Hop, Evan, Harold i Arian grali w obronie. Chłopcy z rodzin Maloneyów i Delaneyów podtrzymywali długą tradycję biegania za piłką i deptania innych graczy. Trybuna stadionu szkoły średniej w Dunderry osadzona była na zboczu wzgórza, u którego stóp znajdowało się boisko otoczone szarą bieżnią. Ogromne ćmy wirowały w świetle lamp, umieszczonych nad placem gry, i tańczyły w blasku, który wydobywał się z budki z jedzeniem ustawionej po drugiej stronie bieżni.

Ja także zeszłam na bieżnię, jednak to nie światło mnie tam zwabiło. Jak ćmy garną się do blasku, tak ja zawsze garnęłam się do słodyczy. Leciałam do nich w środku małego, błyszczącego stada - zdawało nam się, że niosą nas pomarańczowe szerokie na pięć stóp skrzydła, jednak teraz jestem pewna, że dla wszystkich ludzi dokoła byliśmy tylko chmurą rozchichotanych muszek.

- Kiedy zacznę chodzić do średniej szkoły, będę dopingowała chłopaków do gry - oświadczyła Rebeka, kiedy zlatywałyśmy ku bieżni.

- Ja też - zawtórowała Violet.

- A ja nie, wcale mnie to nie obchodzi - powiedziałam. Trzykrotnie oblałam testy w małym zespole dla dziewczynek w moim wieku - przede wszystkim dlatego, że za każdym razem chciałam dodawać nowe elementy do ustalonej już rutyny. Dopingowanie to nie zabawa, ale ciężka praca, wymagająca zdyscyplinowania i cierpliwości. Jeśli tylko zaczniesz improwizować, zaraz odbiorą ci pompony.

- Ja też nie będę skakać i wymachiwać rękami jak jakaś idiotka - oznajmiła z mocą Tuła Tobbler. - Będę menedżerką Alvina.

Wszystkie ze zdumieniem spojrzałyśmy na Tulę. Wyglądała jak mały elf z czekoladową skórą. Patrzyła na nas wyzywająco spod sztywno ułożonych, czarnych jak smoła włosów. Podkrecona u dołu grzywka nie podnosiła się nawet na silnym wietrze. Dzieci Tobblerów nie nosiły fryzur afro, bo Tobblerowie byli zatwardziałymi konserwatystami, tak jak Maloneyowie.

Właściwie Tobblerowie rzeczywiście byli Maloneyami, choć nikt nie mówił o tym głośno. Drzwi do naszych dwóch światów połączone były zaledwie jednym zawiasem, ale jednak były połączone. Patrząc na ciemnoskórych Tobblerów, ludzie nie mogli dostrzec najmniejszego nawet śladu tego pokrewieństwa, ale ono wciąż istniało, ukryte głęboko w przeszłości Tobblerów - mój prapradziadek stryjeczny, rudowłosy Maloney o jasnej cerze.

Na trybunie za naszymi plecami podniósł się nagle ogromny ryk. Orkiestra

szkolna zaczęła odgrywać bojową pieśń Panter z Dunderry i wszyscy odwrócili się, by obejrzeć jakiś emocjonujący fragment meczu.

Alvin Tobbler, brat Tuli, był największą gwiazdą futbolu, jaka kiedykolwiek biegła z piłką po murawie stadionu w Dunderry.

- Widzisz? - Tuła uśmiechnęła się szeroko. - Alvin będzie kiedyś grał dla dużego college'u, a potem w jakimś słynnym klubie. I będzie bogaty. A ja będę mu mówiła, co ma robić z pieniędzmi.

Wszystkie pokiwałyśmy poważnie głowami. Dla Tobblerów wszystko było możliwe, bo w ich żyłach płynęła magiczna mieszanka krwi afrykańskiej i irlandzkiej, a jeśli ktoś w to wątpił, powinien był pójść tam gdzie my i zobaczyć to z bliska.

Obok budki z hot dogami stał mały karciany stolik, na którym piętrzyła się góra jabłek. Pracował przy nim dziadek Tuli i Alvina - podczas każdego meczu dopingował w ten sposób swego wnuka.

Boss Tobbler przez całe życie zajmował się jabłkami. Jego sady rozciągały się na wzgórzach wokół miasta, a wszyscy Tobblerowie z okolicznych wsi pracowali dla niego każdej jesieni, zbierając jabłka i sprzedając potem skrzynki pełne owoców prosto z wielkiego magazynu przy drodze wylotowej z Dunderry. Sprzedawali także wszelkie przetwory z jabłek, jakie tylko ludzie zdołali wymyślić - smażone jabłka, ciasto z jabłek chleb, ciasteczka, galaretki i jabłecznik - owocowe królestwo Tobblerów nie miało końca.

Dziadek Tuli i Alvina rzeczywiście miał na imię Boss. Był niski i krępy, na jego muskularnych ramionach rosły kępki siwych włosów, jednak głowę miał zupełnie łysą. Kiedy ściągał na chwilę miękki, filcowy beret, który nosił przez okrągły rok jego łysina świeciła, jakby ktoś ją starannie wypolerował. W czasie drugiej wojny światowej był sierżantem w czarnym plutonie, zdobył „Purpurowe Serce”, przez rok uczył się w szkole dla duchownych, a potem został diakonem afrykańskiego kościoła Metodystów w Dunderry.

Boss chodził na polowania i na ryby z dziadkiem Josephem, od czasów gdy obaj byli jeszcze dziećmi. Obaj walczyli na wojnie, obaj nienawidzili głupoty i podłości i obaj byli słodsi niż miód, kiedy już poznało ich się bliżej. Dziadek nazywał go Boss T. Wszyscy pozostali mówili o nim pan Tobbler, podkreślając szczególnie słówko „pan”.

Nad stolikiem z jabłkami unosił się fantastyczny aromat, do którego dołączał zapach stopionego karmelu, bulgoczącego w wielkim, podgrzewanym garnku. Zgromadzony wokół stołu tłum przyglądał się temu z nabożnym

zdzumieniem, a kiedy my dołączyliśmy do widzów, także i nam udzielił się ten dziwny, magiczny nastrój. Pan Tobbler zakręcił korbą maszynki od obierania jabłek. Wstęgi czerwonej i żółtej skórki opadły na całą stertę obierzyn, która sięgała już do łudek pana Tobblera. Ten wyciągnął jabłko z maszynki, zreżnie pokroił je na kawałki ostrym jak brzytwa nożem, rozłożył pokrojone plasterki na papierowym talerzyku i pokropił roztopionym karmelem. Potem podał talerzyk jednej z czekających cierpliwie osób, mężczyźnie, który włożył dolara do puszkę po kawie, ustawionej na taborecie przed stołem, mężczyźnie, który bardzo ostrożnie sięgał po swoje jabłko z karmelem, bo nikt nie miał dość odwagi, by wejść w krąg małych pomocników Bossa Tobblera.

Wokół pana Tobblera krążyły setki żółtych os. Chodziły po obierzynach, roily się wokół maszynki do obierania, siadały na koszuli i na rękach, przywierały do kepek siwych włosów pokrywających jego grube ramiona.

Ale nie robiły mu krzywdy. Podobno nigdy go nie użądły. Zawarł jakiś magiczny pakt z tymi małymi, kąśliwymi stworzeniami, a te zawsze go przestrzegały. Szanowały Bossa Tobblera.

- Dziadziu - zaczęła delikatnie Tuła. - Zrobisz nam trochę jabłek z karmelem? Pan Tobbler powoli i poważnie skinął głową.

- Ale nie pozwolę już, żebyście stały z tyłu jak dzieci. - Wsunął następne jabłko do maszynki. Osy zawisły nad jego dłońmi jak maleńkie czarodziejki. - Jesteście już prawie dorosłe. Wiecie, że nie ma się czego bać. To właśnie strach może was użądlić. Podejdźcie bliżej. No chodźcie...

Rebeka i Violet nawet nie drgnęły, ale ja powoli ruszyłam do przodu. Tuła zrobią to samo - wiedziała pewnie, że łączy nas obie magiczna moc. Szłam bardzo powoli i czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Osy oblepiły nasze dłonie, całe ręce. Jedna usiadła na paznokciu mojego małego palca i siedziała tam spokojnie, pocierając głowę przedmą nóżką, jak kot, który się myje.

Byłam pewna, że lada moment poczuję piekący ból użądlenia.

- No widzicie, teraz już wiedzą, że macie dobre serce - szepnął pan Tobbler, podając nam dwa wypełnione jabłkami talerzyki. - Wiedzą, że się z nimi podzielicie. - Zwycięstwo! Odetchnęłam z ulgą, kiedy już odsunęliśmy się od stolika. Moja prywatna osa odleciała nie czyniąc mi żadnej krzywdy.

- Nieźle - mruknęła Rebeka.

Violet trzymała obie dłonie przy ustach i patrzyła na nas w niemym zdumieniu. Podziękowałyśmy grzecznie i wrzuciłyśmy dwa dolary do puszkę,

bo pan Tobbler przekazywał zarobione w ten sposób pieniądze dla szkolnego klubu modelarskiego.

A potem wszystkie cztery wycofałyśmy się pospiesznie. Nawet Tula wyglądała na zadowoloną, kiedy byliśmy już całkiem poza zasięgiem owadów.

- To nic trudnego - kłamałam z dumą. - Wcale się nie bałam. Włożyłam pokropiony karmelem skrawek jabłka do ust, pogryzłam go,

połknęłam i rozejrzałam się dokoła, by zobaczyć, kto jeszcze może mnie podziwiać.

Był tam Roanie. Stał ukryty w cieniu na trawiastym zboczu, tuż nad budką z hot dogami.

Zatrzymałam się. Nie byłam w stanie określić, czy patrzy na mnie z podziwem, czy też nie. Nigdy nie mogłam odgadnąć, co kryje się za tym wilczym spojrzeniem jego szarych oczu. Stał tam, trzymając dłonie w kieszeniach, z jedną nogą wysuniętą nieco do boku. „J^ubię cię, chcę być właśnie tutaj, nie zaczepiaj mnie”, ostrzegął całą swoją postawą.

Choć miał dopiero czternaście lat, dorównywał już wzrostem dorosłym mężczyznom. Jak zawsze miał na sobie zniszczone džinsy i roboczą koszulę ze sklepu z używaną odzieżą - ogromni, połatana koszula z czerwonej flaneli, którą włożył tego dnia, od razu wydała mi się znajoma. Babcia Dottie oddała niedawno cały worek ubrań dziadka do tego właśnie sklepu. Co prawda Roanie wyglądał, jakby włożył na siebie namiot, ale uznałam to za dobry znak.

- Claire, chodź już, no chodź - ponaglała mnie nerwowo Violet i ciągnęła mnie za rękaw.

- Dlaczego on gapi się na ciebie? - wyszeptła Rebeka. - Powinien chyba wiedzieć, że nie wolno mu gapić się na Maloneyów.

- Wie, że ja go nie użądle.

Tula chwyciła mnie za drugi rękaw.

- Ale on może użądlić ciebie.

Wiedziałam jednak dobrze, że to nieprawda. Jak zahipnotyzowana wspinałam się po zboczu w jego stronę, a z każdym krokiem moje nogi stawały się coraz cięższe. Roanie stanął prosto, podniósł głowę i zmarszczył brwi.

Rebeka zawołała z dołu:

- Lepiej pójdziemy powiedzieć o tym cioci Marybeth! Claire? Powiemy twojej mamie!

Kątem oka dojrzałam, jak Rebeka, Violet i Tula biegną w stronę stadionu.

- Wracaj - zawołał Roanie, rozglądając się dokoła z niepokojem. Jego głos był teraz niższy i głębszy niż ten, który zapamiętałam z Bożego Narodzenia. Chciałam krzyknąć „Przez lato urosłam dwa cale”, ale nie byłam w stanie otworzyć szerzej ust. - Wracaj - powtórzył z naciskiem. - Bączku, nie chcę żadnych kłopotów.

Zatrzymałam się, czując, że zaraz z żalu i smutku pęknie mi serce. Kiedy jego twarz stała się jeszcze bardziej posępna, wybuchnęłam:

- Ja nie boję się os. Jak to możliwe, żebyś ty bał się mnie?

- Nie powinnaś za mną ganiać - odparł burkliwie. - Jesteś jeszcze maluchem. Nie masz pojęcia, jak to wygląda. No już, wracaj.

- Nie jesteś wcale taki stary!

- Hej! - zawołał ktoś z tyłu.

Odwróciłam się. Mój kuzyn Carlton, który kończył w tym roku szkołę średnią, był wielki i gruby, tak że nawet trener drużyny futbolowej dał za wygraną i nie próbował już zmuszać go do wysiłku. Właśnie on stał u podnóża góry i patrzył na nas groźnie. Było tam jeszcze kilku jego kumpli. Oni także nie nadawali się do futbolu, ale w grupie byli wystarczająco silni i wystarczająco podli.

- Złaż na dół, Claire! - wrzasnął Carlton. - Zostaw tego białego śmiecia w spokoju.

Nikt i nic nie mogło mnie wtedy zmusić, bym go posłuchała. Podeszłam jeszcze kilka kroków i stanęłam obok Roaniego. Później, kiedy jeszcze raz analizowałam w myślach całą tę sytuację, zrozumiałam, że w chwili gdy wyszłam z kręgu światła i znalazłam się wraz z Roaniem w cieniu, on podjął jakieś nowe wyzwanie. Zaciskając mocno pięści, stanął przeciwko całemu światu w obronie nas dwojga.

- Powiedziałem... - Carlton odchylił głowę do tyłu i podniósł głos. - ...zostaw tego białego czarnucha w spokoju!

Carlton wypowiedział słowo, które oddzielało jedną, drobną część rodziny Maloneyów od całej reszty. Słowo tak małostkowe i podłe, że nie miało wstępu do naszego domu nigdy i dla żadnej przyczyny. Słowo, które wzywało do walki każdego, do kogo zostało skierowane, czarnego czy białego. Dziadek zawsze nam powtarzał, że jeśli kiedykolwiek nazwiemy tym słowem jakiegoś człowieka, już nigdy nie będziemy mogli spojrzeć Tobblerom prosto w oczy.

Upuściłam mój talerzyk.

- Chcesz mu to darować? Wypruj z niego flaki! Ja już wytłumaczę wszystkim, dlaczego musiałeś to zrobić.

- Zjeżdżaj stąd, Claire - rozkazał Roanie niskim głosem, w którym pobrzmiwały niebezpieczne nutki. Spojrzenie, którym obdarzył Carltona - powinno było zostawić siniaki na jego twarzy. - Sam decyduję, z kim chcę się bić.

- Ale... ale nie możesz przecież pozwolić, żeby tak cię przezywał! Nie możesz nikomu na to pozwolić! Co się z tobą dzieje? No już! Przywal mu! Wiem przecież, że nie boisz się Carltona. Ty nie boisz się nikogo!

Byłam straszliwą, małą idiotką, kiedy mierzyłam jego dumę swoją miarą i pograżałam go coraz bardziej. Nie wiem, co zrobiłby - pewnie po prostu odwrócił się i odszedł - gdyby Carlton nie podszedł nagle do mnie.

- Przysięgam - syknął mi do ucha - że w takim samym tempie jak teraz zlecisz z tej górki i skończysz na ulicy Sadowej z kurwami McClendon.

Chwycił mnie za ramię. Szarpnęłam do tyłu i kopnęłam go w goleń. Zachłysnął się z bólu i zdziwienia. Potem potrząsnął mną mocno, ale tylko raz. Bo Roanie już był przy nim.

Są walki bokserskie i walki psów. W tych pierwszych walczy się ostrożnie, w ochraniaczach i do rozsądnych granic, te drugie to dzika, bezlitosna i nienawistna mieszanina palców, które jak pazury wbijają się w ciało przeciwnika, i gołych pięści, opadających z głuchym traskiem na jego głowę.

Tak właśnie bił Roanie, kiedy rzucił się na Carltona. Zepchnął go ze zbocza, Carlton wrzeszczał wniebogłosy, przewracał się, próbował bezskutecznie oddać. Gdyby cała walka szybko się skończyła, wyglądałaby jak okrutna, lecz krótka i czysta potyczka psa z dokuczliwą muchą. Ale zastygli w zdumieniu kolesie Carltona natychmiast do niego dołączyli. Żaden z nich nie ośmieliłby się walczyć w pojedynkę z Roaniem, ale razem mieli w sobie dość odwagi, by się na niego rzucić.

Nagle znalazł się więc sam w kręgu wirujących pięści i nóg. Raz po raz jego głowa odskakiwała do tyłu, gdy ktoś uderzył go w szczękę, to znów całe ciało zginało się w pół, gdy czyjeś kolano ugodziło go w brzuch. Dorośli mężczyźni biegli już w naszą stronę, krzycząc, by chłopcy przestali się bić. Pan Tobbler wyskoczył zza stołu, wymachując potężnymi ramionami, a osy rozstąpiły się przed nim jak chmura.

Nie mogłam bezczynnie czekać na odsiecz, kiedy na moich oczach katowano Roaniego. Zbiegłam ze zbocza, z rozpędu wskoczyłam na plecy

Carltona i zatopiłam zęby w jego karku. Carlton zakwicział jak wieprz i zrzucił mnie z siebie.

Spadłam wprost pod pracujące bezustannie tłoki rąk i nóg, ktoś ciężkim buciorem przydepnął mi dłoń, a potem, kiedy próbowałam się podnieść, Carlton wziął potężny zamach i przez moment widziałam tylko jego wielką pięść, która uderzyła prosto w usta.

JSiedy się ocknęłam, mama trzymała moją głowę na kolanach. Krzyczała właśnie do taty, żeby przyniósł trochę lodu, a ja czułam, że po brodzie ścieka mi wąska-strużka krwi. Jak przez mgłę docierały do mnie krzyki zgromadzonych wokół nas ludzi i bojowa piosenka drużyny futbolowej, którą szkolna orkiestra odgrywała gdzieś w dali, gdzie dum wciąż oglądał mecz.

Leżałam na' trawiastym, ocienionym zbocz, otumaniona, roztrzęsiona i jęcząca. Zdawało mi się, że moje usta wypełnia płynny ogień. Mama delikatnie ocierała mi wargi skrawkiem koszuli. „toanie”, pomyślałam leniwie. „Co się stało z Roaniem?” Podniosłam wzrok i ujrzałam nad sobą spokojne niebieskie oczy babci Maloney.

- Marybeth - powiedziała babcia. - Ona straciła dwa zęby.

- O mój Boże! - krzyknęła mama.

Zęby? Coś jakby dwie twarde pestki łaskotało mnie w gardło. Otworzyłam szeroko usta i wyrzuciłam je z siebie jak mały kotek który połknął coś niesmacznego. Dwie zakrwawione kostki upadły na spódnicę mamy. Czubkiem języka dotknęłam wielkiej dziury w dziąsłach, jęknęłam „aaaaa”, ze zdumieniem i żalem, po czym znów opadłam na plecy. Babcia podniosła moje zęby i zawinęła je w chusteczkę.

- Powrócą na swoje miejsce - obiecała mamie.

- Och, ale jej uśmiech, jej uśmiech - zawołała mama. - Kiedy tylko dostanę w swoje ręce Roanego Sullivana...

- Roanie! - krzyknęłam najwyraźniej, jak potrafiłam, i usiadłam prosto. Był zaledwie kilka kroków dalej. Klęczał na ziemi, podpierając się obiema

rękami. Dziadek Maloney i Pan Tobbler kucnęli obok niego i przystawiali skrawek koszuli - koszuli, którą Dziadek Maloney sam niedawno nosił - do jego ust. Materiał nasiąknięty był krwią, która spływała mu powoli po brodzie i kapiała na spodnie, tworząc tam straszny, jasnoczerwony wzór. Dziadek i Pan Tobbler rozmawiali półszepem i kiwali ponuro głowami jak

dwa konie zaprzęgnięte do jednego ciężkiego wozu. Roanie podniósł głowę i spojrzał na mnie. Ponad karmazynowym kołnierzem koszuli, pomiędzy wargami rozchylonymi w grymasie bólu, w miejscu gdzie powinien znajdować się przedni ząb widniał ciemny otwór. Oboje zostaliśmy więc pozbawieni pięknego uśmiechu.

- Twój ząb - powiedziałam smutno.

Na pół przytomna, obolała, otworzyłam usta i pokazałam mu, że i mnie spotkało podobne upokorzenie. Ujrzałam jednak w jego oczach takie przerażenie, że szybko zamknęłam buzię, i z trudem hamując płacz oświadczyłam głośno:

- Łoanie nie złościł nis złego. To Całton.

Mama przygarnęła mnie do siebie i zamknęła w mocnym uścisku.

- Cichutko kochanie, cicho.

Tato wbiegł na wzgórze i wcisnął kubek z lodem w ręce mamy. Jego twarz była teraz jeszcze bardziej czerwona niż włosy, w jego oczach płonął niebezpieczny ogień.

- Tato - błagałam. To Całton zaczął. Szałpał mnie. Łoanie go uderzył. To Całton walnął mnie w buzię.

- Spokojnie - uciszał mnie. - Mówisz całkiem od rzeczy, kochanie. Tato odwrócił się do Roaniego i chwycił go za ramię.

- Nie obchodzi mnie, w jakim jesteś stanie. Albo mi powiesz, dlaczego wciągnąłeś moją córkę w tę bijatykę, albo połamię ci wszystkie kości.

- Tato!

Oczy Roaniego rozblęły na moment. Potrząsnął głową. Krople krwi rozprysły się dookoła. Jęknął cicho i położył rękę na żebrach.

- Nigdy nie pozwolę, żeby ktoś ją skrzywdził...

- Nie pozwolisz jej skrzywdzić? - krzyknął tato. - A jak myślisz, co jej zrobiłeś przed chwilą?

- Synu, zostaw go - rozkazał dziadek. - Roanie nie jest temu winny. To sprawka Carltona, cholera. Boss T. widział wszystko. Tato cofnął się o krok, zaciskając usta z determinacją.

- Czy to prawda, panie Tobbler?

Pan Tobbler opowiedział o wszystkim. Powiedział tacie o obelgach Carltona, a kiedy wypowiadał słowa „biały czarnuch”, co uczynił z wojskową godnością starego wojownika, tato rozprostował ramiona.

- Ten Carlton uderzył twoją dziewczynkę prosto w usta - dodał pan

Tobbler posępnym tonem. - i zrobił to celowo. Holcie Maloney, jeśli chcesz skrócić komuś kark, skróć kark swojemu bratankowi.

Czułam, jak mama wstrzymuje oddech. Potem ona i tato jednocześnie spojrzeli na Roaniego. Tato wyciągnął do niego rękę.

- Ja...ja...słuchaj, chłopcze, ja...

Ale Roanie wzruszył tylko ramionami, spróbował wstać, ale osunął się ciężko na ziemię, wycierając usta wierzchem dłoni, a drugą rękę przykładając do żeber. Cały czas się chwiał.

- Nikt z was nie musi martwić się o Claire, kiedy ja jestem w pobliżu. Nie skrzywdzę jej. Wiem, co myśleliście, ale wcale tak nie jest. Nie ruszyłbym nikogo, gdyby Carlton jej nie zaczepiał. Nie...nie pozwolę, żeby stało jej się coś złego. Nigdy. Bez względu na to, co o tym myślicie.

- Łoanie - zakwiliłam.

Spróbował wstać jeszcze raz, ale nie dał rady.

Tato wziął go pod jedną rękę, dziadek pod drugą. Jeśli nawet nie chciał niczyjej pomocy, i tak ją otrzymał.

Ranny, nieufny, osłabiony nie miał innego wyjścia. Ja też nie.

Tak więc to był właśnie ten wrześniowy, ciepły i zaczarowany wieczór, kiedy Roanie stał się częścią mojej rodziny. Zabrano nas do gabinetu wuja Mallory'ego Delaneya. Lekarza. Nic groźnego prócz dwóch wybitych zębów i posiniaczonej dłoni w moim przypadku i wybitego zęba i złamanego zębra w przypadku Roaniego.

Potem, w gabinecie wuja Mallony'ego - dentysty - miał miejsce bolesny zabieg mocowania moich zębów na swoje miejsce. Zmierzono też wyrwę w uzębieniu Roaniego, by później wstawić mu tam mostek.

Wreszcie zabraliśmy Roaniego pod nasz dach, na farmę. Mama umieściła go w wolnym pokoju. Tato próbował zadzwonić do Dużego Roana, ale nie mógł go znaleźć ani w Wąwozie, ani na ulicy Sadowej. Pewnie upijał się gdzieś poza miastem. Zresztą i tak wcale by go to nie obchodziło.

Tego wieczoru widziałam w oczach Raoniego nieufne, przerażone błyski. Niełatwo było mu uwierzyć w odrobinę szczęścia i w dobre intencje Maloneyów. Rankiem okno w jego sypialni było otwarte, a pokój pusty.

Wtedy ja postanowiłam zaufać mojej rodzinie i powiedziałam mamie i tacie o Jeziorze Skoków. Tato i szeryf Vince złapali go tam kilka godzin później.

Rozdział piąty

Carlton leżał w szpitalu w Gainesville. Miał złamaną szczękę, kilka szwów w różnych miejscach, torebkę z lodem na jądrach i bandaż na karku. Ciotka Arnette chciała koniecznie ukarać Roanego. Wniosła oskarżenie.

- Przykro mi. - Usłyszałam głos szeryfa Vince'a, kiedy rozmawiał tego wieczoru z mamą i tatą. - Złapałem go i jako szeryf, muszę wypełniać swoje obowiązki. On nie może już chodzić własnymi ścieżkami. Duży Roan nie bierze na siebie odpowiedzialności za syna, a Roanie nie ma gdzie się podziać.

- Przyrowadź go tutaj - powiedział tata. - My się nim zaopiekujemy.

- Holt! Nie pozwolę, żeby ten chłopak przebywał w pobliżu Claire!

- Stanowczy głos mamy słyhać było wyraźnie zza przymkniętych, podwójnych dębowych drzwi salonu. Hop, Evan i ja czailiśmy się tuż za ścianą, przykucnięci i czujni, jak trzy rudowłose szympansy. Wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Wzdrygnęłam się i pochyliłam bliżej, przykładając niemal ucho do szpary między drzwiami i futryną. - Wciąż niewiele o nim wiemy

- mówiła dalej mama. - Claire ma do niego jakąś dziwną słabość. O Boże, Holt, a jeśli on jest zboczeńcem?

- Więc szybko stanie się martwym zboczeńcem - odparł twardo tata. Zapadła cisza, przerywana tylko pochłpywaniem mamy. Zajrzałam ostrożnie do wnętrza pokoju i zobaczyłam, jak tato przytula ją mocno do siebie. Potem powiedział: - Gdybym tylko podejrzewał, że z tym chłopcem jest coś nie tak, nie przekroczyłyby progu naszego domu.

- A skąd wiesz, że wszystko jest z nim w porządku?

- Bo nigdy nie dotknął żadnej dziewczynki w szkole. Nigdy nawet nie był dla nich niemiły. Mówili mi to Evan i Hop.

Hop szepnął za moimi plecami:

- Tak, bo nigdy do niego nie podchodzą. On śmierdzi.

- Zamknij się - rzuciłam do tyłu.

- Poza szkołą też są kobiety - mówiła mama. - Na przykład siostry McClendon.

- Roanie nie zadaje się z kobietami swojego ojca. Uwierz mi, wiedziałbym coś o tym. Plotki o kobietach i seksie szybko się rozchodzą.

- Ahaa. Zdaje się, że na tych niedzielnych pogaduszkach w knajpie nie rozmawiasz z braćmi tylko o pogodzie.

- Ha! Chciałbym być muchą na ścianie pokoju, w którym ty spotykasz się z siostrami. Pewnie odpadłyby mi uszy. I znów cisza. Moja twarz była czerwona jak burak. Plotki o seksie. Odpadające uszy. Zboczeńcy. Moja słabość do Roaniego. Łączenie tego wszystkiego w jedną całość było okropną niesprawiedliwością. Wiedziałam, że Roanie nie jest zboczeńcem, bo nie pasował zupełnie do definicji zboczeńca, którą już dawno sama sobie opracowałam. Na długo przed tym jak się urodziłam, dziadek stryjeczny Victor Delaney przeprowadził się do Ohio i poślubił jakąś kobietę, której nasza rodzina nigdy nie poznała. Dziadek Victor umarł bardzo młodo i zostawił jej wszystkie swoje pieniądze. Kilkadziesiąt lat później, kiedy wdowa zestarzała się i ciężko rozchorowała, lekarz rozebrał ją i odkrył, że Dziadek ożenił się z mężczyzną.

Wszyscy mówili, że dziadek Victor był zboczeńcem. Albo wariatem.

- A co powiemy rodzinie? - Znów głos mamy. Spokojny i zrezygnowany. Irene do dzisiaj płacze, kiedy ktoś wspomni o paradzie bożonarodzeniowej.

- "Nie wiń syna za grzechy ojca. To właśnie powiemy. Nie można winić Roaniego, że urodził się w takim miejscu. Żal mi tego chłopca i trochę gryzie mnie sumienie. Ciebie pewnie też, co?"

- Pewnie, że tak.

- Powinniśmy byli zająć się nim, kiedy tylko przyszedł na świat, Marybeth. Albo kiedy umarła jego matka. - Tato mówił niskim, poważnym głosem. - Do diabła z całą tą gadką o prawie Dużego Roana do wychowywania własnego syna. Duży Roan wcale się nim nie zajmował, to cud, że chłopak nie jest złodziejem ani narkomanem. Uważam, że on musi mieć w sobie jakiś zalążek dobra, coś na tyle silnego, by dać mu szansę. Nie możemy odwrócić się od niego po raz drugi.

- Ależ, Holt, żadne dziecko nie wyrośnie na dobrego człowieka, jeśli

wciąż żyje w otoczeniu zła. On nie ma żadnych solidnych podstaw. Wystarczy go popchnąć na złą drogę, a on już na niej zostanie. Nie chcę, żeby Claire była w pobliżu, kiedy tak się właśnie stanie.

- Claire to jeszcze mała dziewczynka. On ma dopiero czternaście lat i ważniejsze sprawy na głowie. Mój Boże, kochanie, chłopiec w tym wieku interesuje się kobietami straszymi od siebie, a nie młodszymi. Nie wydaje mi się, by Claire była dla niego czymś więcej jak nieznośnym małym kociakiem. Tak samo jak dla Evana i Hopa.

„Nieznośny mały kociak”. Byłam zdruzgotana.

- Poza tym - kontynuował tato - przedstawię mu krótki regulamin grzeczności, powiem: na tej farmie zachowujesz się względem kobiet jak dżentelmen albo skręcę ci kark.

- No dobrze - odparła mama znużonym głosem. - Ale muszę znaleźć jakiś sposób, żeby go oczyścić. Zaczę z zewnątrz, a potem postaram dostać się do wnętrza.

Omam nie krzyknęłam z radości. To było nie do uwierzenia. To było coś cudownego. W ten sposób odpowiedzialność za Roaniego zostanie rozłożona pomiędzy mnie, mamę i tatę, bo to, co chcieli zaoferować Roaniemu, musiało rozszłościć wszystkich Maloneyów i Delaneyów w całym okręgu.

Claire, Claire, czym się tak martwisz? - Spytała mama tego wieczoru, kiedy usiadła na moim różowym łóżku w moim różowym pokoju.

- Mamo, Roanie nie jest zbrojeńcem.

- Ktoś podsłuchiwał pod drzwiami salonu - powiedziała mama surowym tonem.

- Wiem, że sobie świetnie poradzi. Duży Roan nie może go już wziąć do siebie, prawda?

Mama spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Duży Roan powiedział, że nie obchodzi go, gdzie mieszka Roanie, jeśli tylko będzie mu posyłał trochę pieniędzy.

Odetchnęłam głośno z ulgą, choć z drugiej strony było mi żal Roaniego.

- Duży Roan go nie chce - powiedziałam. - Nigdy go nie chciał. Ale ja go chcę - ożywiłam się nagle.

- Kiedy Roanie tu zamieszka - mówiła powoli mama, przyglądając mi się badawczo - będziesz go traktować tak samo jak swoich braci, prawda?

Jak braci, akurat, pomyślałam, ale nie odezwałam się głośno. Opowiedziałam mamie, jak Roanie walnął Neely'ego Tiptona, kiedy byłam jeszcze całkiem małą. Przez chwilę milczała w zamyśleniu, bawiąc się maleńkim kosmykiem włosów, który opadał jej na ramię. Miała włosy typowe dla kobiet z rodziny Delaney, rude i lśniące, delikatne i proste. Nosiła je zawsze ściągnięte do tyłu gumką albo małą spinką. Podobnie jak jej matka wyglądała na bardzo delikatną kobietę i tak jak w przypadku jej matki, było to mylne wrażenie. Uwielbiała też filigranowe, delikatne przedmioty. Zawsze nosiła kolczyki z diamentami - prezent od taty - nawet gdy ubrana była w dżinsy i starą koszulkę, kiedy przestawiała ciężkie garnki w kuchni i gdy kopała coś w ogródku.

- Claire - powiedziała wreszcie cicho, a w jej niebieskich oczach malował się niepokój. - Co ty w nim widzisz?

- On jest moim wyzwaniem. Nikt poza mną go nie lubi. On jest inny. Tak jak ja.

- A w jaki sposób ty jesteś inna?

- Przez cały czas muszę być w ruchu. Muszę myśleć. Wszyscy inni po prostu przyjmują, że tak już jest, i tyle. Ale dlaczego wszystko jest ustalone w taki sposób, a nie inny? Dlaczego jest tak wiele reguł?

- Żeby przyzwoici ludzie mogli żyć obok siebie w spokoju.

- Dlaczego? Przecież mamy tu dokoła strasznie dużo spokoju. Aż za dużo. Mama westchnęła. Pochyliła się nade mną i pogładziła wierzchem swych spracowanych palców po policzku.

, - Spróbuj zrozumieć jedną rzecz. Jesteś bardzo ładną dziewczynką. Jesteś idealną dziewczynką, a niedługo będziesz idealną młodą damą. Chcę, żebyś nadal taka była, żebyś poszła do dobrego college'u, dostała jakąś idealną pracę, wyszła za idealnego mężczyznę i miała idealne dzieci. Wiem, że to trudne zadanie, ale ty musisz je wykonać i nic nie powinno cię rozpraszać.

- Myślisz, że chcę wyjść za Roaniego? Och! Ja nie chcę wychodzić za nikogo! Ja nawet nie chcę pocałować chłopaka!

- W porządku. - Uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko. - To mi się podoba.

- Więc nie bój się, że polubię Roaniego w taki sposób. Po prostu myślę, że możemy razem wykonywać to zadanie. Te słowa przyćmiły nieco radość, jaka ogarnęła przed chwilą moją mamę. Przez chwilę wpatrywała się w różowy dywan, pocierając brodę i wzdychając ciężko. Potem odchrząknęła i spojrzała na mnie z powagą.

- Przed nim są zupełnie inne zadania.

- Słucham?

- Zrozumiesz, jak podrośniesz. - Z dziwnym grymasem na twarzy pocałowała mnie na dobranoc i wyłączyła światło. Miałam dziwne sny. Zadania. Roanie. I kiedy nie będę już zachowywać się jak dziewczynka, idealna czy też nie. On miał zamieszkać z nami. I tylko to się teraz liczyło. Miałam swoje plany.

Następnego ranka tato i dziadek pojechali do miasta i wyciągnęli Roaniego z aresztu. Potem zebrali jego rzeczy w Wąwozie i przywieźli go do mnie.

Jestem pewna, że oni myśleli o tym w trochę inny sposób, ale ja właśnie tak postrzegałam całą sytuację.

Powrót na terytorium Maloneyów, których tym razem miał traktować jako dobroczyńców, musiał być dla mego jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie dokonał w swoim życiu. Kiedy ukryta na poddaszu jednej ze stajń dojrzałam nadjeżdżający samochód taty, omal nie spadłam z drabiny, spiesząc się na dół. Roanie wysiadł z auta i stanął bezradnie na końcu drogi rozdzielającej pola przed domem, gdzie najemni robotnicy układali właśnie żółte dynie na przyczepy. Stanął tam celowo; chciał okazać, że nie uważa się za byle kogo, że jeśli nawet nikt inny go nie szanuje, on szanuje sam siebie.

Jedną ręką strzepałam siano ze spodni i swetra, przeciągnęłam palcem po obolałych dźwiągach i świeżo wstawionych zębach, i w biegu pochwyciłam czarnego szczeniaka z zakreconym ogonkiem. Szczeniaki to dobry temat na początek rozmowy.

W tej chwili z domu wyszła mama i zatrzymała mnie w pół drogi. Tato i dziadek popychali lekko Roaniego do przodu, ale on znów zatrzymał się pod dębem, posepny i nieufny. Nasze grube psy zbiegły się do niego, jakby był kawałkiem wieprzowiny usmażonym nad ogniskiem. Stałam obok taty i utkwiałam wzrok w twarzy Roaniego. Ale on nie chciał spojrzeć w moją stronę.

- Jeśli mieszkasz w moim domu - powiedziała mama - musisz stosować się do moich reguł.

- Chciałem powiedzieć... - Roanie odchrząknął niepewnie. - Chciałem powiedzieć, że nie chcę niczego za darmo.

- Miło mi to słyszeć. Co jeszcze masz nam do powiedzenia?

- Zapłaciliście lekarzowi. Zapłaciliście za mój ząb. Teraz muszę tu mieszkać. Ale nie chcę niczego za darmo.

- Świetnie - odparowała mama. - Więc jak chcesz się nam odplacić? Serce biło mi tak szybko, jakby miało wyrwać mi się z piersi. Czerwień pokryła policzki Roaniego.

- Wymyślę coś.

- **Ja** mam dwadzieścia dolców - oznajmiłam głośno. - Możecie je sobie wziąć.

- Claire - powiedział tato groźnym tonem i pokiwał ostrzegawczo palcem.

- Ale tato...

- **Ja...** ja będę dla pana pracował, panie Maloney. Zrobię, co pan każe. Cokolwiek.

Tato włożył ręce do kieszeni i wpatrywał się w ziemię. Zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał, i wydał usta. Włożyłam dwa palce za jego szlufkę i szarpałam jak ryba na wędce. Tato spojrzał na mnie z naganą, po czym odwrócił się do Roaniego.

- Zostaniesz w szkole, będziesz wykonywał wszystkie prace domowe tak samo jak Claire i moi chłopcy, a także pracował na polu. A ja będę ci wypłacał pensję. Zarobisz na swoje utrzymanie.

Przyglądałam się badawczo twarzy Roaniego. Wyglądał na przygnębionego.

- No więc? - spytał tato.

- Tak. Tak, proszę pana. Oczywiście. Pewnie. **Jasne.** Dziękuję. - To ciężka praca. I nie uznaję żadnych wymówek.

- Ode mnie nie usłyszysz pan ani jednej. Przysięgam na Boga.

- Nie przysięgaj - rozkazała mama. - To moja pierwsza zasada.

- Tak, proszę pani!

Po raz drugi w moim życiu dostrzegłam w jego oczach cień zadowolenia. Podobnie patrzył, kiedy przyłożył Neely'emu Tiptonowi.

Gestem zaprosiłam go do naszego wielkiego, gościnnego domu. Kiedy postawiłam szczeniaka na ziemi, ten pobiegł prosto do Roaniego, wymachując wesoło ogonem.

- Mówiłam, że będziesz tu mile widziany! - ryknęłam.

Doskonale pamiętałam wszelkie kłótnie i spory. Rodzinna cecha Maloneyów. W jego oczach malowała się jednocześnie rozpacz i nadzieja. Spojrzał na mnie tylko i wzruszył ramionami.

Dobytek Roaniego był bardzo skromny. Oprócz siebie samego przywiózł z Wąwozu niewielkie pudło z ubraniami i butami, stare zdjęcie swojej matki i pożółkłą książkę w miękkich okładkach, w której mnóstwo kartek miało pozaginane rogi, jakby Roanie zaznaczał w ten **sposób** co ciekawsze fragmenty. Mama przygotowała mu pokój na dole, obok sypialni Evana i Hopa. Powiedziała, że będzie korzystał z tej samej łazienki co chłopcy, i tak jak oni musi zawsze po sobie sprzątać. Nim Roanie wprowadził się do siebie, zostawiłam na jego łóżku mały wiklinowy koszyczek, do którego włożyłam butelkę płynu do kąpieli i moje dwa mydła w kształcie róży i o różanym zapachu. To była ostatnia szansa, żeby dostać się do jego pokoju. Później nie miałam już tam prawa wstępu, tak jak nie miałam wstępu do pokoju moich braci. Ta zasada została ustalona po tym, jak wygrzebałam spod łóżka Hopa stertę „Playboyów”, a później jeszcze większą znalazłam pod łóżkiem Evana. Mnóstwo nagich kobiet i żartów, których ani trochę nie rozumiałam. Siedziałam tam zgorziona i oszołomiona, dopóki nie nakryła mnie mama. „Playboye” powędrowały do pieca, Hop i Evan przez cały miesiąc musieli czyścić wszystkie toalety w domu i poprzysięgli, że powieszą mnie za włosy, jeśli kiedykolwiek jeszcze postawię nogę w ich pokoju. Kręciłam się więc na korytarzu przed pokojem Roaniego i obserwowałam, jak starannie i powoli układa swoje stare, zniszczone ubrania na półkach w szafce. Po chwili moją uwagę przyciągnęła leżąca na nocnym stoliku książka. *Sila pozytywnego myślenia*, autorstwa Normana Vincenta Peale'a.

- Czy to twoja ulubiona książka? - spytałam.

- Tak.

- Lubisz czytać.

- Tak.

- Świetnie! Mamy strasznie dużo książek. Ciągłe coś czytamy. Ty też możesz czytać wszystkie książki, które są u nas. - Wiem.

- Więc co jest w tej twojej książce?

- Głębokie myśli.

- **Jakie** na przykład?

- Na przykład: „Zawsze patrz na jasną stronę”.

- Na jasną stronę czego?

- Wszystkiego.

- To dobrze. Teraz jesteś po jasnej stronie, prawda? Znieruchomiał nagle, trzymając w jednej ręce parę popękanych skórzanych

butów, a w drugiej za dużą koszulkę bawełnianą z naderwanym rękawem. Jego twarz była blada i tylko na policzkach pojawiły się różowe plamy. Zauważyłam, że jego broda i górna warga pokryte są delikatnym meszkiem.

- Mój stary to co innego, nie? - powiedział wreszcie chrapliwym głosem. - Poważna sprawa.

- Jest ci smutno? Chciałeś z nim zostać?

- Nie.

- Chciałeś się dalej ukrywać nad Jeziorem Skoków?

- Nie.

- To dobrze. W takim razie będziesz mieszkał z nami. Dobra? Dobra?

- Tak.

- Na zawsze. Potrząsnął głową.

- Tego nie wiem, Claire. Nie wiem, jak mieszkać z miłymi ludźmi. Nie chcę robić żadnych błędów. - Przerwał na moment. - Jeśli to się nie uda, to nie mam już gdzie pójść.

- Hej, stary - zawołałam, czując, że zbiera mi się na płacz. - Przecież świetnie ci idzie. Ja ci we wszystkim pomogę. Możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz! Szybko się nauczysz, co wolno robić, a czego nie.

- Mały bączek - rzucił w odpowiedzi.

- Uśmiechnij się - rozkazałam.

, Uśmiechnął się powoli, trochę niezręcznie, bo przecież nie robił tego zbyt często. Miał już nowy ząb, ładny, prosty i dopasowany do pozostałych. Przyjrzałam mi się dokładnie i próbowałam przywołać na twarz nonszalancką minę. Wyglądał wspaniale. Przystojnie. Miał uśmiech ładniejszy niż Donny Osmond i wszyscy Bee Geesi razem wzięci.

- Taa... wyglądasz nieźle - powiedziałam niedbale. - Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. - Byłam jednak tak zadowolona, że nie mogłam wypowiedzieć ani słowa więcej.

Evan i Hop nabijali się trochę ze mnie, kiedy zobaczyli na półce mój płyn do kąpieli i różane mydło obok ich męskich kosmetyków „Boraxo”. Gdy jednak Roanie zszedł na kolację, był zadziwiająco, lśniaco czysty. Przyciął włosy, a jego policzki wyglądały tak, jakby próbował ściągnąć z nich skórę. Rozsiewał wokół siebie różany aromat, jakby wykapał się w ubraniu w moim dziewczęcym mydle.

Usiadł naprzeciwko mnie przy stole w jadalni, sztywny i milczący. Jego szare oczy spoglądały na nas ze zdumieniem i czujnością. Kiedy dotykał naczyń z białej kamionki - była to zwykła zastawa do codziennego użytku - czynił to tak ostrożnie, jakby stłuczenie choć jednego talerza oznaczało wieczne potępienie. Wziął jedną z serwetek mamy w czerwoną kratę i położył sobie na kolanach, naśladując przy tym dokładnie każdy mój ruch - myślę, że gdybym zawiązała serwetkę wokół głowy, jak chustę, Roanie zrobiłby to samo.

Później dowiedziałam się, że rury doprowadzające wodę do przyczepy jego taty pękły któreś zimy, kiedy Roanie był jeszcze całkiem mały, a Duży Roan nigdy tego nie naprawił. Zbił z kilku desek zwykły wychodek i ustawił go za przyczepą. Duży Roan nigdy też nie miał pralki, a po tym jak przyłapano go kiedyś na kradzieży cudzych ubrań, nie miał dostępu do automatu w mieście.

Wreszcie zrozumiałam więc, dlaczego Roanie chodził w brudnych ubraniach i śmierdział. Tego wieczoru siedziałam smutna i dręczona wyrzutami sumienia w mojej własnej, osobistej łazience z różowymi firaneczkami i ozdóbkami, i rozmyślałam o wszystkim, przez co przeszedł Roanie.

Jeśli czystość miała coś wspólnego z iroskością, to Roanie chciał nam pokazać, że się ochrzcił.

Muszę tu wspomnieć, że nadaliśmy imię szczeniakowi. Myślę, że ten mały piesek wyczuł w Roaniem tę samą łagodność, która zauroczyła mnie. Postanowiłam, że będzie to tylko jego pies. Poprosiłam tatę o pozwolenie i tato się zgodził. Więc Roanie i ja nazwaliśmy go Generał Patton. Nie Patton, nie Generał, tylko Generał Patton. Nadaliśmy mu wysoką rangę i włączyliśmy go do arystokratycznej, prawdziwie żołnierskiej rodziny.

W końcu był to pies Roaniego.

Rozdział siódmy

Nigdy nie spieraj się z pijakiem, skunksem albo rudowłosą kobietą - mawiał mój dziadek, pewnie dlatego, że większość kobiet w rodzinie Maloneyów miała rude włosy, a on lubił się z nimi droczyć. Jednak ja byłam dumna, że ktoś bierze mnie na poważnie.

Teraz miałam Roaniego. Teraz Roanie był bezpieczny, niczym gąsienica owinięta w kokon. Potrzebował tylko spokoju i ciszy, by rozwinąć piękne kolorowe skrzydła. Moje poetyckie porównanie kończyło się w tym miejscu. Nie mogłam sobie wyobrazić, by mój osobisty, wyhodowany w domu motyl uleciał kiedyś i zniknął w przestworzach. Kochałam moich rodziców, braci i dziadków za to, że traktowali Roaniego z szacunkiem, bo widziałam, że on chłonie ten szacunek jak sucha gąbka. Mama była dla niego bardzo dobra.

^ Roanie! Zrobisz coś dla mnie? Przejrzyj ubrania w tej szafie i sprawdź, czy nie ma tam czegoś, co mógłbyś nosić. Za każdym razem kiedy Josh i Brady przyjeżdżają do domu, zostawiają tyle ciuchów, że nie ma ich nawet gdzie schować. Ta szafa za chwilę pęknie, jeśli się nią nie zajmiesz.

- Roanie! Powinieneś mieć zegarek. Proszę, spróbuj ten. Kupiłam go dla Hopa, ale nie spodobał mu się pasek. Jeśli zechcesz, możesz go zatrzymać.

Tato i dziadek zajmowali się innymi dziedzinami jego edukacji i rozmawiali z nim o poważnych męskich sprawach, o tym jak utrzymać traktor w dobrym stanie albo jak należy opiekować wieprzowe żeberka. Hop i Evan dokuczali mu trochę, jak wszystkim chłopakom. „Chłopie, aleś ty się dzisiaj wystroił” albo: „Nie daj się tak przedstawiać tej Claire. Niedługo każe ci nosić różowe skarpetki z falbankami”. Na początku zaciskał tylko wargi i spozierał

gniewnie na Hopa i Evana, później jednak zrozumiał, że oni go lubią. Chłopcy często sobie dogryzają i pokazują w ten sposób, że traktują innych jak równych sobie. Kiedy po raz pierwszy uśmiechnął się, słysząc jeden z ich docinków, wiedziałam już, że to pojął. Później jednak wszedł w drogę Renfrew.

Jeśli chodziło o utrzymanie naszego domu, mama wierzyła tylko jednej osobie - pani Sugar MacFarland, owdowiałej młodszej siostrze starej panny Featherstone. Nigdy nie uważaliśmy jej za naszą służącą, bo nie uznawała ona żadnej zwierzchności poza mamą. Moi bracia i ja nazywaliśmy ją głośno Miz Mac, ale kiedy zobaczyłam w telewizji film *Dracula*, wiedziałam już, jak naprawdę musiała się nazywać. Od tego czasu nie myślałam o mej inaczej jak „Renfrew”. Oddany sługa Draculi, który żywił się robakami.

Renfrew była niską, szczupłą, zasuszoną kobietą, niemal zupełnie pozbawioną pośladków i piersi. Jej wargi były tak wąskie i płaskie, że nie dałoby się wcisnąć między nie nawet pięciocentówki. Było w niej coś, co zawsze kojarzyło mi się z grzybami i starymi gazetami. Nie była stara, nie miała nawet siwych włosów, jednak jej głowę pokrywała cienka warstwa zniszczonych kasztanowatych kosmyków, które chowała w staromodnej siatce na włosy, ściągniętej tak mocno, że sprzączka siatki zostawiała zawsze na jej czole ciemną plamę, podobną do hipnotyzującego rubinu na środku hinduskiego turbanu.

Czyściła toalety i pastowała podłogi, łuskała kukurydzę i oporządzała kurczaki. Mama płaciła jej dość dużo, ale jej praca była naprawdę ciężka i Renfrew nie miała najmniejszej ochoty użerać się na dodatek z nami, dziećmiakami.

Nigdy nie robiła nam krzywdy, ale jeśli przyłapała nas na jakimś gałgaństwie, natychmiast informowała o tym mamę. Albo czekała dopóki mama nie wyjdzie ze swojej pracowni garncarskiej.

Mama miała pracownię garncarską tuż obok kuchni. Było to cudowne, trochę zagracone pomieszczenie; kawałki brązowej gliny przyklejały się niemal do wszystkiego - do podłogi z nie heblowanych desek, do ścian, do koła garncarskiego, do pieca i do małego przenośnego radia, zawieszzonego na haczyku przy jednym z okien. Półki wypełnione były gotowymi już wyrobami i tymi, które czekały dopiero na obróbkę. Mama zamykała za sobą drzwi pracowni, włączała radio i zajmowała się swoim hobby - w tym jej

sanktuarium nikt nie miał prawa przeszkadzać. Renfrew pilnowała drzwi jak wierny pies.

A jeśli pojawiały się wtedy jakieś problemy, Renfrew radziła sobie z nimi sama.

- Oddaj mi to, ty dzikusie - usłyszałam kiedyś jej syczący głos. Podbiegłam do drzwi Roaniego. Roanie stał po jednej stronie swojego

łóżka, Renfrew po drugiej. Roanie przyciskał do piersi swoje brudne ubrania. Podeszłam bliżej.

- Co się dzieje?

- Żadna kobieta nie będzie prała moich ciuchów - oświadczył gniewnie.

- Chłopcze, nie możesz bez końca trzymać brudnych ubrań pod materacem! - odparowała Renfrew. - Zedrę z ciebie skórę i wyrzucę ją do śmieci!

Roanie spojrzał na nią krzywo.

- Sam je wypiorę!

- Nie, nie będziesz ich prał sam!

Pochwyciłam jego poduszkę, zdarłam z niej poszewkę i wręczyłam ją Roanemu.

- Włóż je do tego, a wtedy Ren... Miz Mac wsadzi to wszystko razem do pralki i nie będzie zaglądać do środka.

Powoli, jakby wciąż nam nie dowierzając, wypchał poszewkę swoją bielizną, zapiał guziki, ale nie mógł się przemóc i podać jej Renfrew. Wsunęłam palce pod jego dłonie, odciągnęłam je od poszewki i wzięłam ją od niego. Renfrew natychmiast wyrwała mi ją z dłoni, syknęła jeszcze coś na odchodnym i zniknęła za drzwiami.

Roanie opuścił bezradnie ręce.

- Nie mogę się w tym połapać.

Szeptem powiedziałam mu, jak nazywam w myślach Miz Mac, a on powoli zaczął się uśmiechać. Od tego czasu on także nie myślał o mej inaczej jak Renfrew. Był to nasz wspólny sekret, dzięki któremu czuł się u nas jak w domu.

Jedzenie określało moją rodzinę. Jedzenie oznaczało współzawodnictwo i komplementy. Co tydzień urządzaliśmy nasze własne nieformalne targi, na których największą nagrodą był widok pustych garnków i wylizanych do czysta talerzy.

Przygotowywaliśmy prawdziwe ucztę; specjalnie przyprawiane jaja, gotowane kurczaki, pieczona wołowina, smażone pstragi; ogromne misy z kapustą, grochem i słodkimi ziemniakami zalanymi roztopionym masłem; ciasteczka - prawdziwe dzieła sztuki, delikatne drożdżowe bułeczki i chleb kukurydziany; sałatki z owoców i warzyw, potrawki z serem i przeróżne zupy; ciastka kokosowe, napoje z jabłek, ciasta orzechowe i galaretki z winogronami, wiśniami i kawałkami ananasa, które wyglądały jak piękne witraże. Do tego wszystkiego dokładano jeszcze mrożoną herbatę, gorącą kawę i mnóstwo innych napojów.

Kobiety znosiły swoje wyroby do kuchni i ustawiały je na stole, a na wszystkie pytania odpowiadały skromnie: „Och, po prostu wrzuciłam to wszystko do garnka”. W rzeczywistości każda z nich miała własny skarbiec skrywanych zazdrośnie przepisów i tajemnych sposobów, których nie potrafiłby odgadnąć nawet najlepszy kucharz. Wszyscy podejrzewaliśmy na przykład, że doskonała sałatka ziemniaczana ciotki Lucille zawdzięcza swój nieoceniony smak idealnie równym kawałeczkom selera, które mieszała z ziemniakami - jestem przekonana, że przy krojeniu posługiwała się linijką i kątomierzem.

Myślę, że te nasze rodzinne spotkania trochę przerażały i onieśmiały Roaniego. Wyczuwałam, że zamyka się wtedy w sobie, że znów rodzi się w nim nieufność i poczucie wyobcowania. Przy długim zastawionym jedzeniem stole częstowaliśmy się nawzajem i wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć; wiedzieliśmy, gdzie jest nasze miejsce. Roanie nie czuł tej więzi, nie miał poczucia bezpieczeństwa i nasycenia. Nigdy nie jadł razem z nami. Kiedy tylko w okolicy pojawiali się niektórzy z naszych krewnych, Roanie znikał gdzieś bez śladu. Znacznie później dowiedziałam się od Evana i Hopa, że Arian, Harold i Carlton ubhżaU mu i szydzili z niego przy każdej okazji, ale on nie bił się z nimi, wiedząc, że wówczas straciłby dom. Tak więc w niedzielę, kiedy rodziny Delaneyów i Maloneyów spotykały się, by razem zjeść obiad, Roanie opuszczał nas i wracał dopiero wieczorem.

Wiesz chyba, na co idą pieniądze Roaniego Sullivana, co? - Spytała mamę ciotka Irene. Mama, ciotka Irene, ciotka Jane i Ciotka Lucille wypoczywały na werandzie w bujanych fotelach. Ciotki usiadły po obu

stronach mamy, niczym strażnicy pilnujący więźnia. Tymczasem ja ukryłam się między krzakami azalii i rzędami jaśminu, by stamtąd podsłuchiwać rozmowę toczącą się na werandzie.

Minał właśnie miesiąc, odkąd Roanie wprowadził się do naszego domu. Nie mogłam ciągle kręcić się wokół mego. Nie mogłam chodzić za nim po całej farmie. On miał swoją pracę, a ja musiałam wykonywać polecenia rodziców.

- On daje twoje pieniądze' swojemu ojcu - powiedziała ciotka Irene, uderzając szklanką z burbonem o oparcie fotela.
- Tylko dlatego Duży Roan pozwala mu tu zostać. Żeby dawał mu pieniądze.

Wtedy uważałam, że siostry mamy są już naprawdę stare, ale w rzeczywistości wszystkie miały dopiero około czterdziestki - ładne, rudowłose kobiety Delaney w kwiecie wieku, królowe naszej małomiasteczkowej społeczności, jak mama i babka Elizabeth pewne swego miejsca w świecie. Nic dziwnego, że tato oszalał na punkcie mamy i porwał ją ze sobą.

- Duży Roan kupił nowe ubrania dla Daisy i Sally McClendon - włączyła się do rozmowy Ciotka Jane. - Jednej i drugiej. On kręci z dwiema siostrami McClendon. Jednocześnie.

Ciotka Jane była drobną, gadatliwą kobietką. Zawsze uważałam, że jest człowiekiem otwartym na nowe idee i pomysły. Prowadziła bibliotekę i czyniła to z zamiłowania. Kochała książki i ludzi, którzy kochają czytać.

Wprowadziła mnie w cudowne światy C. S. Lewisa. Pozwalała mi pożyczać więcej książek niż na to pozwalał regulamin.

. - Daisy przyszła wczoraj sprzątać dom Lilah Johnson. Miała na sobie nowy sweter i powiedziała Lilah, że dostała go od „przyjaciela”.

- Wszyscy wiedzą, że Daisy ciągle zadaje się z Dużym Roanem - dołączyła swój głos ciotka Lucille. - A teraz, kiedy dostaje od Roaniego dodatkowe pieniądze, może też dobierać się do Sally. Mogę się założyć o każdą sumę, że ten chłopczyk Sally to jego syn.

- Wszystkie wiemy, kto jest odpowiedzialny za to dziecko - odparła mama z nutką gniewu w głosie. - Zajęłabym się tym, gdybym wiedziała, że nie rozbiję w ten sposób rodziny. Wzięłabym chłopca od Sally. Wychowała go porządnie. Jesteśmy jego ciotkami.

- Marybeth, przysięgam, że kiedy patrzę na tego dzieciaka, nie widzę w nim ani śladu podobieństwa do Pete'a.

- Zobaczysz, jak przyjrzesz się lepiej.

- No cóż, nie ma na to żadnego dowodu, a Sally i tak go nie wyda. Poza tym masz zupełną rację. Nikt z rodziny Delaneyów nie postawiłby nogi w tym domu, gdybyś ty i Holt wzięli to dziecko do siebie. I złamałabyś serce mamusi. Mój Boże, i tak wywołałaś dość plotek, przygarniając Roaniego Sullivana.

- Zajęliśmy się nim, bo to dobry chłopiec. Może oddawać swoje pieniądze tacie, jeśli tylko chce. W pewnym sensie szanuję go za to. Nie opuszcza swojego ojca.

Ciotka Irenę parsknęła lekceważąco.

- Utrzymujesz dziwki Dużego Roana.

- Nie, dajemy jego synowi szansę, żeby wyrósł na porządnego człowieka.

- Ten chłopak to przegrana sprawa. Złe wychowanie. Złe wpływy. Lucille wie coś o tym. Widziałam, jak ciotka Lucille, która uczyła socjologii w średniej szkole, kiwa potakująco głową.

- Milczek. Brudny, zapuszczony. Ledwie przechodzi z klasy do klasy. Nerwowy. Marybeth, on ma spojrzenie zaszczutego psa. Kiedyś poderżnie komuś gardło. Wspomnisz moje słowa.

- Wcale bym go za to nie winiła - odparła mama. Mama potrafiła stanąć okoniem, kiedy ktoś ją prowokował. - Przez całe swoje nędzne życie doświadczał tylko upokorzeń i pogardy. Powinniśmy się wstydzić. Jeśli rzeczywiście zrobi komuś krzywdę, to będzie tylko nasza wina.

- Marybeth! - pisnęła ciotka Jane. - Musisz pamiętać o mamusi!

- Jakby ona sama i jej siostrzyczki całymi dniami rozmyślały tylko babce Elizabeth, pomyślałam. Wszystkie cieszyły się, że to mama, a nie one zajmują się babką.

- A co będzie, jeśli Roanie Sullivan rozbije głowę naszej mamusi? Albo starej babci Maloney?

- Nie będę musiała użerać się z dwiema złośliwymi staruszkami.

- Marybeth!

- Och, przecież on nie jest mordercą. - Mama wzruszyła ramionami, zdegustowana. - Na miłość boską...

Ciotka Irenę oznajmiła surowym tonem:

- Holt usłyszał w mieście sporo gorzkich słów. Wszyscy radzili mu, żeby się dobrze zastanowił nad tym nonsensem. Pete jest wściekły. Mówi, że mógłby równie dobrze zostawić otwarte drzwi do sklepu, żeby Duży Roan

nie musiał rozbijać okna przy następnym włamaniu. Mówi, że przynajmniej będzie wiedział, gdzie szukać swoich rzeczy. Tym razem to mama parsknęła z pogardą.

- Mogę się założyć, że nie powiedział tego Holtowi prosto w oczy.

- No... nie, ale...

- No dobrze, a co z Dwaynem? - spytała ciotka Jane. - Prawie się nie odzywa do Holta. Mówi, że Rhonda ciągle jeszcze miewa koszmarnie sny o tym, jak spada z tego przekłętego muła.

- Dwayne w ogóle rzadko kiedy się odzywa - powiedziała mama. - Gdyby nie to, że musi rozmawiać z klientami w aptece, milczałby przez całe życie.

Ciotka Lucille odchrząknęła głośno.

- Muszę ci powiedzieć, Marybeth, że nie chcę, by Violet odwiedzała Claire, kiedy ten Sullivan tutaj mieszka. Nie chcę, żeby zaczęła pisać pornograficzne wierszyki, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Zapadła niezręczna cisza. Zagryzłam wargi. Violet była moją najlepszą przyjaciółką, niepozornym, drobnym żołnierzem, który gotów był pójść wszędzie i zrobić wszystko, jeśli tylko obiecałam, że nie narobimy sobie przez to zbyt wiele kłopotów.

- Ja też nie chcę, żeby moja Aster przebywała w jego towarzystwie - dodała ciotka Irene gniewnym tonem. - Myślała nawet, żeby zrezygnować z grania w orkiestrze po... paradzie bożonarodzeniowej.

- Claire miała dobre intencje pisząc ten wierszyk - powiedziała mama słabo. - Źle tylko dobrała słowa.

• Marybeth, bądźże poważna - skrzywiła się ciotka Lucille i umilkła. Rozczarowała mnie. Wyglądała surowo i śmiertelnie poważnie, wyprostowana, jakby połknęła kij od szczotki, ubrana w idealnie wyprasowany, beżowy kostium.

- Marybeth, całym sercem popieram dobre chrześcijańskie uczynki - kontynuowała ciotka Esther. - Ale najlepszą i najbardziej chrześcijańską rzeczą, jaką ty i Holt moglibyście zrobić dla Roanego Sullivana, byłoby oddanie sprawy w ręce sądu. William wysłałby tego chłopca do jakiegoś sierocińca. Mieszkałby z ludźmi swego pokroju. Miałby tam opiekę aż do ukończenia osiemnastu lat.

Zrobiło mi się nagle słabo. Och, proszę... Mama i tata nie zmieniliby chyba zdania tak łatwo?

- Pozbyć się go? - odrzekła mama spokojnie. - Odesłać do jakichś

zupełnie obcych ludzi i pozwolić, żeby zamknęli go w jakimś sierocińcu nie lepszym od zakładu dla młodocianych przestępców? To nie po chrześcijańsku. Ciotka Ireneę warknęła:

- Wcześniej jakoś ci to nie przeszkadzało. Po tym... tym... po mojej paradzie... - Głos ciotki Ireneę załamał się i ucichł.

- Myliliśmy się - powiedziała mama. - Teraz posłuchajcie mnie, drogie siostry. Długo się modliłam i posłuchałam mego wewnętrznego głosu...

- Och, Marybeth, czasami mówisz jak jakiś hipis!

- Mojego sumienia - poprawiła się mama. - I wiem, że Roanie ma dobre serce. Holt myśli tak samo. Chłopiec ciężko pracuje i szybko się uczy. Mówię wam, że jeszcze wyjdzie na ludzi.

Kochałam mamę za te słowa, ale musiałam jeszcze coś zrobić. Wyciągnęłam z kieszeni spodni długą grubą jaszczurkę i położyłam ją na skraju werandy. Wyciągnęłam ją jakąś godzinę wcześniej z kryjówki pod liśćmi, za jedną ze stodół. W chłodnym październikowym powietrzu poruszała się niemrawo i ospale, jednak ciepło mojej kieszeni rozgrzało nieco jej krew. Dmuchałam na nią i skierowałam w stronę tenisówek ciotki Jane.

Ciotka Jane pisnęła przeraźliwie, kiedy jaszczurka przemknęła po jej butach.

Ciotka Lucille odsunęła fotel do tyłu.

Mama podniosła swoje pantofelki i przepuściła gada.

Ciotka Ireneę przydepnęła go z hukiem.

- Dopadłam małego diabła - oznajmiła z satysfakcją.

Jeszcze przez długi czas miałam wyrzuty sumienia z powodu tej biednej jaszczurki.

Musiałam wyjaśnić sobie z Roaniem pewne sprawy. Na osobności. Nie było to łatwe, bo tata prawie nie spuszczał go z oka i powiedział, że jeśli przyłapie nas kiedyś tylko we dwoje, powiesi mnie za pięty, aż moja twarz nabierze koloru moich włosów.

Nigdy nie zrobił czegoś podobnego ani mi, ani też nikomu innemu. Jednak moi bracia i ja byliśmy pewni, że byłby w stanie spełnić swoje groźby.

Nim dołączył do nas Roanie, na farmie było dziesięciu robotników. Tato traktował ich wszystkich tak samo - jak żołnierzy swojej prywatnej armii. Roanie wciąż zajmował w niej miejsce rekruta. Musiałam namówić go do SAMOWOLKI, żeby z nim porozmawiać.

Nazajutrz po południu Roanie i Nat Fortner pracowali razem w jednym z kurników, wybierając śmieci spod długich szeregów kurzych klatek. „Śmieci” to eufemistyczne określenie szarawej gęstej papki, czyli kurzego łajna, składnika doskonałego nawozu. Niezwykły „aromat”, jaki unosi się wokół kurnika z dwoma tysiącami dobrze odżywionych kur, może urwać nos zwykłemu człowiekowi. Jednak jeśli ktoś od dziecka wychowywał się w takim właśnie otoczeniu jak ja, zapach ten staje się dla niego nie tylko całkiem zwyczajny, ale i przyjemny.

Przeszłam środkową alejką kurnika, otoczona przez symfonię gdakań i odgłosów defekacji, i zatrzymałam się przed Natem i Roaniem. Ładowali właśnie guano na niewielką przyczepę. Spodnie i stara, przepocona koszula Roanego pokryte były kurzem, a wysokie robocze gumowce, które pożyczył od Holta, ginęły niemal pod warstwą łajna. Generał Patton siedział w rogu i merdał bez ustanku swoim zakręconym ogonkiem. Kiedy Roanie mnie zobaczył, stał z brody maleńkie białe piórko.

- Kodkoda - powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego.

Jego oczy rozblęsnęły jaśniej. Zdawało się, że nigdy nie był bardziej szczęśliwy jak teraz, kiedy pracował utyłany w kurzych kupach. Uważał to chyba za spory awans. Skinął głową, ale milczał. Podejrzewam, że bał się przemówić choćby słowem, dopóki nie był całkiem pewny, do jakich reguł powinien się stosować.

- Cześć, panno Claire - huknął Nat, szczerząc zęby w uśmiechu. - Czego byś chciała?

Nat był chudym blondasem o niekomplentym uzębieniu. Pracował u nas, odkąd wyrzucono go ze szkoły w ósmej klasie, a teraz miał już koło trzydziestki. Uśmiechał się zwykle powoli, jakby w zwolnionym tempie, i tak samo myślał. Nie stanowił żadnego zagrożenia.

- Moja mama chce, żeby Roanie przyszedł do domu - skłamałam gładko. - Chce, żeby przymierzył spodnie Josha.

- O nie - odparł Nat, marszcząc brwi i kręcąc głową. - Pan Holt kazał mi nauczyć go tej roboty.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem. Nat był chyba jedynym człowiekiem na farmie, który nie potrafił szybko i porządnie wygarnąć kurzego łajna.

- W porządku. - Zaczęłam się odwracać w stronę wyjścia. - Wrócę i powiem, że nie chcesz go puścić.

- Och nie! Nie rób tego! Ale... ale musisz zapytać pana Holta. Albo twojego dziadka. Albo kogoś innego. Nie mnie.

- Wszyscy inni pracują w polu - westchnęłam. - Po prostu pójdę do mamy i powiem jej, że nie chcesz robić tego, co ci kazała.
- Nie, nie, nie! - Nat chwycił łopatę Roaniego. - Idź, Roanie. Ale zaraz wracaj. Zaraz.
- Tak jest - skinął głową Roanie i rzucił mi dziwne, podejrzliwe spojrzenie. Gwizdałam radośnie pod nosem, kiedy wychodziliśmy z kurnika. Włosy schowałam wcześniej pod czapkę, nie miałam jeszcze piersi - i nic nie wskazywało na to, że wkrótce zaczną mi rosnać - uważałam więc, że wyglądam jak zwykły chłopak w rozmemłanej szarej koszuli, workowatych dżinsach i brudnych tenisówkach. Roanie dostosował swój długi krok do moich drobnych kroczków, cały czas jednak trzymał się nieco z tyłu.
- Co ty robisz? - spytałam zdumiona.
- Zachowuję odpowiedni dystans. Próbuję zgadnąć, dlaczego wymyśliłaś tę historyjkę, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.
- Wymyśliłam historyjkę? Chłopie, aleś ty podejrzliwy.
- Jestem ekspertem od kłamstw. Rozpoznaję kłamcę od razu.
- Więc dlaczego wyszedłeś ze mną?
- A dlaczego chciałaś, żebym wyszedł?
- Nie wiem. Nie rozmawiam z chłopakami. To strata czasu.
- A ja niby kim jestem, hę?
- Och, zamknij się. Roanie zatrzymał się nagle.
- Wracam do pracy. Nie zawracaj mi więcej głowy takimi dziecinnymi zabawami. Nie jestem malutkim chłopczykiem, i wcale mnie to nie bawi.
- Czekaj! Muszę cię o coś zapytać! - spojrzałam na niego z wahaniem. - Czy ty... czy ty oddajesz pieniądze swojemu tacie, żeby on mógł wydać je na dziwki? Twarz Roaniego pociemniała. Odwrócił wzrok.
- Oddaję mu pieniądze, a on je wydaje. Mnie zostawia w spokoju. I to mi odpowiada.
- Ale to nieuczciwe.
- Podoba mi się tutaj. Nie obchodzi mnie, co ojciec robi z pieniędzmi.
- Ale to twoje pieniądze. Mógłbyś kupić za nie rzeczy, o których zawsze marzyłeś.
- Już to zrobiłem. W pewnym sensie.

- Jak to?

Podniósł wzrok i patrzył na mnie przez całą długą minutę. Tylko patrzył. Potem objął spojrzeniem pobliskie wzgórza i odległe góry, ogromne błękitne niebo, nasz wielki stary dom, dęby, grządki z kwiatami, szopy stajnie i kurniki połączone zwirową drogą. Patrzył na to wszystko i gdy zatoczył pełne koło, powrócił do mnie.

- Podoba mi się tutaj - powtórzył.

- No dobra. - Pomyślałam przez chwilę, po czym wyciągnęłam z kieszeni kawałek wilgotnego, sprasowanego tytoniu. - Chcesz trochę?

Zagryzł dolną wargą i spojrział na mnie z ukosa.

- Nieee...

- A ja chcę. Josh nauczył mnie żuć". On i Brady robią to często. Evan i Hop też. No i ja. Ciągłe. - Kłamstwa, kłamstwa, przekłete kłamstwa. Josh pozwolił mi kiedyś pożuć kawałek a ja przez następne dwie godziny bez przerwy płukałam usta.

- No to weź sobie - powiedział Roanie.

Urwałam wielki, okropny kawałek i wsadziłam go sobie pod policzek. Ostry, kwaskowaty sok natychmiast wypełnił mi usta. Myślałam, że zwymiotuję. Rozpoczęłam więc długi, nieustający monolog o moich chłopięcych wyczynach. O małym zaskrońcu, którego hodowałam w słoiku, dopóki nie uciekł z niego którejś nocy i nie schował się w kapciach prababci. O tym, jak pomagałam moim braciom trenować baseball. O tym, jak to uciełam włosy dwóm lalkom Barbie, żeby zobaczyć, czy odrosną. Tego rodzaju rewelacje. . . - Taaaak - powiedział Roanie powoli, przyglądając mi się z uwagą, jakbym nagle straciła rozum.

- Więc nie traktuj mnie więcej jak jakiejś dziewczynki. - Przypadkiem połknęłam trochę soku. Mój żołądek skurczył się na moment z bólu. - Wyśmieją cię tylko.

- Wiesz co, Claire, powiem ci coś. Nie mogę cię traktować jak każdego innego chłopaka.

Podobało mi się to, jak wypowiedział moje imię. Czułam się dziwnie podekscytowana. A może to był tylko tytoń.

- Czemu nie? Boisz się?

- Nieee... Po prostu podoba mi się tak jak jest. Spojrzałam na niego groźnie.

- Jeśli będziesz traktował mnie jak dziewczynę, wyśmieję cię.

Roanie spowaźniał nagle.

- Nie rób tego. Jesteś inna niż wszyscy. Serce natychmiast zmiękło mi jak wosk.

- No dobrze, nie będę się z ciebie śmiać. Ale... ale będę chodziła wszędzie, gdzie zechcę, i nie pozwolę, żeby mama trzymała mnie przy sobie, bo się

o mnie boi.

- Co to miało znaczyć? Przewróciłam oczami.

- Och, bo ona to by się tylko martwiła. Ale ja wiem, że ty mnie nie złapiesz ani nie walniesz w głowę, czy coś takiego.

Roanie zastygł nieruchomo niczym posąg.

- Ona myśli, że j a bym to zrobił?

Wciągnęłam gwałtownie powietrze i zakrztusiłam się sokiem z tytoniu.

- Nieee... Nie, nie, ona tylko...

- Nigdy nie zrobię krzywdy dziewczynie - zachnął się Roanie. - Nigdy nie zrobiłem i nie zrobię. Nie chcę, żeby kręciły się przy mnie jakieś dziewczyny. Nie chcę skończyć jako ojciec dzieci, którymi nie będę się nawet zajmował. Jak ktoś dorobi się dzieciaka, ta powinien się nim zajmować. Jak ktoś nie zajmuje się własnym dzieckiem, to niewart nawet splunięcia.

- Mówisz o wujku Pete - powiedziałam powoli. - O tym właśnie mówisz, prawda? Masz rację. Dziecko Sally McClendon należy do niego.

Milczał. Przez chwilę poruszał tylko żuchwą, wreszcie odparł:

- Mówię o wszystkich takich i owakich, którzy pozwalają dziecku żyć bez prawdziwego ojca. Ja nie jestem z tych, których musiałaby się bać twoja mama. Idź już. Wracaj do domu, zanim ktoś nas złapie i pomyśli, że stary wstrętny Roanie Sullivan chce cię zjeść żywcem.

- Do cholery - mruknęłam, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę domu. Podciągnęłam do góry nogawki dżinsów i splunęłam cienkim strumyczkiem soku z tytoniu, bo chciałam pokazać Roanemu, że potrafię to zrobić.

Nie próbujcie nigdy płuć, kiedy jesteście wzburzeni. Wciąganie powietrza

i spluwanie wykluczają się nawzajem. Czułam się tak, jakby cały, wielki kawałek tytoniu wleciał mi do tchawicy i utknął tam na dobre. Krztusiłam się, charczałam i trzymając się za gardło próbowałam złapać oddech. Walłam się pięścią jpo piersiach. Z mego nosa i ust wyciekła jakaś wodnista substancja. Ale nie tytoń.

- Wciągnij powietrze! - wrzeszczał Roanie.

Pewnie, że wciągnęłabym, gdyby to było takie proste. Przed oczami zaczęły mi tańczyć jasne, ogniste plamki. Osunęłam się na kolana. Coś uderzyło mnie mocno w plecy. Roanie stał nade mną, trzymając jedną rękę w górze. - Oddychaj! - rozkazał chrapliwym głosem.

Rozpaczliwie próbowałam wciągnąć choćby krztynę powietrza, potrząsając jednocześnie głową. Roanie pochwyił mnie w pół i pobiegł w stronę domu. Kiedy dotarł do podwórza, oboje przewróciliśmy się na trawnik. Mama i babcia Dottie wybiegły z domu. Babka Elizabeth i prababcia Alice wyglądały zaniepokojone przez okna. Wszyscy mogli opacznie zrozumieć widok, jaki roztaczał się przed ich oczami: Roanie Sullivan, pokryty kurzem łajnem, wali mnie z całych sił po plecach. Na szczęście, kiedy uderzył mnie jeszcze raz, przewróciłam się na brzuch, a z ust wyleciał mi kawałek tytoniu. Chwytałam powietrze wielkimi haustami.

- Rozepnij jej spodnie! - rozkazała babcia. - Niech się nałyka powietrza! Jest purpurowa!

Mama opadła na kolana przy moim boku i zaczęła zmagać się z guzikami przy spodniach. W następnej sekundzie Roanie ściągnął moje dżinsy przez buty i odrzucił je - razem z moimi tenisówkami - za siebie.

Totalne upokorzenie. Leżałam na trawniku w koszuli i różowych majtkach. Roanie obrócił się do mnie plecami. Bez wątpienia był dżentelmenem. A ja bez wątpienia nim nie byłam.

- Mama usiadła na piętach, jakby nagle uszły z niej wszystkie siły.

- Skąd masz ten tytoń? - spytała. Zakaszlałam gwałtownie i wykrztusiłam:

- Z szu... szuflady Hhh-opa.

Roanie podniósł się z ziemi i wciąż stojąc do mnie plecami, powiedział:

- Jeśli nie jestem pani już do niczego potrzebny, wrócę do pracy, pani Maloney.

- Poczekaj. - Mama zarzuciła ścierkę na moje różowe majtki i podeszła do niego. - Co robiłeś tutaj w czasie, kiedy powinieneś zajmować się pracą?

- Ja tylko... tylko wyszedłem na minutę.

- Więc teraz wejdź do domu i poczekaj na pana Maloneya. Wyjaśnisz mu, dlaczego nie potrafisz przestrzegać najprostszych reguł.

- Mamo... - próbowałam bronić Roaniego, choć zdawało nń się, że moja głowa i żołądek wirują wokół własnej osi. - Mamo, to była moja...

- Milcz, młoda damo. Narobiłaś sobie już dosyć kłopotów.

Zaczęłam płakać, chlipać jak mała przerażona dziewczynka. To ja byłam wszystkiemu winna.

Nat zwabiony hałasem stał kilka jardów dalej, przestępując nerwowo z nogi na nogę i potrząsając głową.

- Przepraszam, Pani Maloney. Powinienem być pójść z nią po te spodnie dla Roaniego.

Mama przeszła mnie wzrokiem.

- A-ha - powiedziała krótko i wprowadziła mnie i Roaniego do domu. Wciąż osłabiona, leżałam w salonie na kanapie, przykryta wełnianym kocem, a Roanie przysiadł nieśmiało na krawędzi prostego plecionego krzesła przy pianinie. Od czasu do czasu poruszał swoimi wielkimi kościstymi stopami, jak gdyby miękki dotyk perskiego dywanu był dlań niezwykłym i niepowtarzalnym przeżyciem. Mama kazała mu zostawić brudne kalosze na werandzie.

Patrzyłam, jak powoli ogarnia spojrzeniem wielki pokój, jak przygląda się uważnie wszystkim szczegółom, być może podejrzewając, że widzi je po raz ostatni. Dla mnie był to dom rodzinny - próbowałam spojrzeć nań zdumionym wzrokiem Roaniego - eleganckie, luksusowe meble, półki wypełnione książkami, szeroki kamienny kominek, wytworne lampki, telewizor i sprzęt stereo, a do tego jeszcze setki płyt. Zdumiewający, nieprawdopodobny luksus.

Mama położyła wcześniej na kolanach Roaniego niebieski ręcznik, w który mógł wytrzeć ręce. Wysmarowane były sokiem z tytoniu, który wyplułam z siebie kilka minut wcześniej. Pomyślałam, że można by to uznać za jakąś rytualną więź, że moje upokorzenie przesiąknięte żółcią i kwasem może jakoś zrównoważyć jego niedolę.

Ale oczy Roaniego nie wyrażały żadnych emocji.

Do pokoju weszła mama. Roanie zeszywniał i patrzył teraz wprost przed siebie. Mama położyła na pianinie jakieś brązowe ubranie.

- To są właśnie te spodnie, które masz przymierzyć - powiedziała. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Ale...

- Mamo, on nie zrobił nic złego - błagałam.

- Och, już ja wiem dobrze, kto tu jest winny. - Mama spojrzała na mnie z ukosa.

Wstrzymałam oddech. Mama przyglądała się Roanemu ze smutnym, zamyślonym wyrazem twarzy.

- Idź się wykapać - powiedziała wreszcie. - I włóż te spodnie. Dobrze?

- To znaczy, że nie zrobiłem nic złego, proszę pani?

- Dobry Boże, jasne, że nie. Claire pewnie wyglądałby teraz znacznie gorzej, gdybyś nie był w pobliżu i nie pomógł jej. Dziękuję ci. - Posłała mi spojrzenie, które mówiło: „Gdyby nie to, że i tak już źle się czujesz...”, po czym wyszła z pokoju, wycierając dłonie w dżinsową spódnicę, jakby odganiała od siebie wszelkie wątpliwości.

- Widzisz? - wykrzyknęłam radośnie. - Mama wcale nie myśli, że zjesz mnie żywcem.

- Mam nadzieję. Stałabyś mi w gardle, gdybym spróbował.

- Wtedy waliłabym cię w plecy, ażbyś mnie wypluł.

Widziałam, że nie wie, co mi na to odpowiedzieć. Uśmiechnęłam się, zadowolona z siebie. Uczyliśmy się nawzajem oddychać.

Rozdział ósmy

Od tego dnia, pomimo dobrych rad wszystkich członków rodziny, mama i tata pozwalali mi przebywać w towarzystwie Roaniego, kiedy tylko chciałam. Codziennie kręciłam się więc koło mego i gadałam jak nakręcona. Dzięki temu zyskałam sobie niezwykłą reputację w czwartej klasie szkoły podstawowej. Moje kuzynki i koleżanki uważały, że Roanie roztacza wokół siebie jakąś mroczną aurę niebezpieczeństwa - a ja bez lęku przebywałam w jego towarzystwie, czym zdobyłam sobie ogólne uznanie i podziw. Wyglądało to tak, jakbym go oswoiła, niczym jakiegoś dzikiego wilka.

Ciotka Lucille w końcu ustąpiła i pozwoliła Violet odwiedzać mnie. Którejś niedzieli namówiłam ją, żeby poszła ze mną do garażu, gdzie Roanie naprawiał **silnik** traktora. Znał się świetnie na mechanice - musiał się nauczyć budowy silnika, żeby naprawiać ciężarówkę Dużego Roana.

Violet była sztywna ze strachu. Rude włosy wystawały jej spod czapki, jakby ktoś poraził ją prądem. Wprowadziłam ją do wielkiego budynku przesyconego zapachem oleju i benzyny. Twarz i ręce Roaniego pomazane były smarem. W wojskowej kurtce i zielonych spodniach wyglądał jak romantyczny wojownik. W jego oczach odbijał się blask dwóch lampek przyczepionych do kierownicy traktora. Siedział na brezentowej płachcie pośrodku rozłożonych w półkolu części zamiennych, a obok niego leżał zwinięty w kłębek Generał Patton. Roanie zmierzył mnie i Violet ponurym spojrzeniem. Wskazałam na niego palcem, jakbym go wytresowała.

- Powiedz coś - rozkazałam.

- Buuu! - zahuczał posepnie. Violet od razu uciekła do domu.

- Przestraszyłeś ją! - złościłam się na Roaniego. - Chciałam, żebyś zrobił na niej dobre wrażenie!
- Chciałaś się popisać - poprawił mnie łagodnie, wycierając dłonie w zatłuszczoną szmatę. - Ale jeśli przyprowadzisz ją tu z powrotem, powiem, że żartowałem.
- A dlaczego nie pójdziesz ze mną i nie powiesz tego przed wszystkimi? Dostałbyś wtedy coś do jedzenia. Mógłbyś usiąść przy stole kuchennym.
- Nie, nie mógłbym. To rodzinny obiad. Poza tym nie chcę, żeby wszyscy gapili się na mnie i szeptali na mój temat.
- Nie będą tego robić. Nie pozwolę im.
- Szkoda, że nie rządźysz całym światem, Claire, naprawdę żałuję.
- Proszę cię, chodź do domu - powtórzyłam żałośnie.
- Buu.
- Och, sam sobie zrób buu. Wcale mnie to nie przeraża.
- Ty mnie przerażasz - sposepniał nagle. -1 co na to powiesz?
- Wcale nie. Niby jak?

Nie odpowiedział od razu. Przetarł wysmarowane olejem klucze i dokręcił brakujące części. Pospępne i tajemnicze milczenie zdawało się głębokie jak studnia. Wreszcie przemówił:

- Bo któregoś dnia dorosisz i będziesz taka sama jak wszyscy inni.
- Nie będę. - Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, ale byłam pewna, że zawsze pozostanę wyjątkowa. - Nigdy nie będę się ciebie bać, a kiedy dorosnę, będę miała własny dom, a ty będziesz mógł siadać przy moim stole, kiedy tylko zechcesz.

Spojrzał na mnie poważnie.

- Ja też będę miał dom, najlepszy dom na świecie, a ty będziesz mogła siedzieć przy moim stole.
- Dobra. Niech będzie. Przybij. - Wyciągnęłam do niego dłoń, a on zamknął ją ostrożnie w swych twardych brudnych palcach i w ten sposób przypieczętowaliśmy umowę.

nie potrafiłam zrozumieć do końca uczuć, jakie wzbudzała we mnie Sally McClendon. Przyprawiała mnie o dreszcze i zazdrościłam jej, bo ona miała już piersi, a ja jeszcze nie, z drugiej znów strony było mi jej żal. Zderzenie tak różnych emocji sprawiało, że nie wiedziałam zupełnie, jak się mam zachować względem tej kobiety.

Któregoś jesiennego popołudnia spotkałam się z nią twarzą w twarz. Siedziałam na ladzie w sklepie z narzędziami wuja Eldona Delaneya i czekałam, aż tato wróci z pokoju na zapleczu, gdzie razem z wujem dyskutowali najpierw o piłach do drewna, a potem przeszli oczywiście do polityki. Był to zresztą gorący temat, który poruszał wówczas niemal wszystkich dorosłych mieszkańców miasteczka, gdyż nasz gubernator Carter aspirował do Białego Domu. Z zaplecza dochodziły mnie podniesione głosy obu mężczyzn.

- Wciąż jestem demokratą, ale prawdziwym - grzmiał wujek Eldon. - A Carter jest tak daleki od centrum, że właściwie wcale już nie różni się od socjalistów.

- Och, do diabła - zirytował się tata. - Przecież ty nie rozpoznałbyś socjalisty, nawet jakby wszedł tu do sklepu i przywalił Ci młotkiem po głowie.

- Wiem tylko, że ci przekłęci demokraci nie mówią już nic, czego warto byłoby słuchać.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz głosował na republikanów?

- A pewnie, że będę!

- Dobry Boże!

Wzdrygnęłam się. Głosować na republikanów? Mielibyśmy mnóstwo pracy na cmentarzu - wszyscy Delaneyowie i Maloneyowie zniszczyliby pewnie grządki, przewracając się w grobach.

Siedziałam więc dalej, marszcząc brwi i waląc piętami o grubą, drewnianą ścianę kontuaru. Lubiłam być inna, ale nie lubiłam gwałtownych zmian. Ten sklep i ta lada miały ponad sto lat. Lada zbita została z wypolerowanych desek uschniętego kasztana. Każda z nich miała dwie stopy szerokości, a drzewo, z którego je wycięto, musiało być naprawdę wielkie, majestatyczne

i wspaniałe. Kasa, ustawiona po drugiej stronie kontuaru, należała kiedyś do pradziadka Thurmana Delaney. Była to prawdziwa wiktoriańska katedra wśród innych kas, ozdobiona mosiężnymi zakrętami, z wysokimi cyferkami, które wyskakiwały z trzaskiem jak drewniane tarcze na karnawałowej strzelnicy, gdy wuj Eldon przyciskał emaliowane klawisze.

Ale ja siedziałam na ladzie pomiędzy stertą czasopism z Cher na okładce a wielką drewnianą misą, wypełnioną plastikowymi znaczkami z uśmiechniętą buzią i napisem „Miłego dnia”, i tacą z pierścionkami, których kolor miał określać samopoczucie właściciela. Włożyłam jeden z nich na palec, przyjrzałam się badawczo ciemnej powierzchni plastikowego klejnotu i odczekałam chwilę, by dowiedzieć się, w jakim jestem nastroju.

Pierścionek wciąż był ciemny.

Jedno ze skrzydeł ciężkich drewnianych drzwi otworzyło się tak mocno, że zadrżały szyby w oknach. Do sklepu weszła Sally. Jej uda opięte były ciasnymi džinsami, piersi ledwo mieściły się w obcisłym swetrze, czerwone buty na grubych podszewkach waliły ciężko w drewnianą podłogę. Z każdym rokiem jej włosy stawały się coraz jaśniejsze i coraz bardziej rozcapierzone, a warstwa tuszu na rzęsach coraz grubsza, tak iż w wieku lat osiemnastu wyglądała jak wielki jasnowłosa szop.

Podeszła prosto do mnie i spojrzała mi w twarz.

- Czego może chcieć od Roaniego taka różowa, słodziutka dziewczynka jak ty?
- Na przykład mogła wprawić mu nowego zęba. A poza tym on nie należy do ciebie.
- On nie należy do nikogo, nie jest potulnym barankiem do zabawy.
- Masz dość chłopców. Dużych i małych. Po co ci jeszcze jeden?
- Nie ma drugiego takiego jak on. Wy wszyscy przewracacie mu tylko w głowie, gadacie mu głupoty, a potem wyrzucicie jak śmiecia.

Przyszła mi do głowy pewna straszna myśl, którą natychmiast wypowiedziałam głośno.

- Pilnuj swojego nosa! On nie chce robić dzieci z tobą ani z kimkolwiek innym!
- Dzieci. Dzieci? Królewno, ja nie chcę więcej dzieci. Jeden bękart z twojej krwi już mi wystarczy.
- To dziecko nie jest nawet podobne do mojego wuja Pete'a! Lepiej na nie uważaj. Gdyby moja mama wiedziała, to na pewno zabrałaby je do siebie.
- Nawet nie wiesz, co by się działo, gdyby twoja mama wiedziała na pewno.
- Co to ma znaczyć?

Uśniechnęła się krzywo i pochyliła nade mną.

- Nie jesteś dość sprytna, żeby utrzymać się przy Roaniem. Ty i cała twoja rodzinka jesteście ślepi jak krety.

Wzięłam jeden ze znaczków „Miłego dnia”, wyjęłam z niego pinezkę i podsunęłam ją pod brodę Sally.

Postanowiłam choć raz wykorzystać wyrażenia, które znalazłam w książkach taty, albo podsłuchałam u Evana i Hopa. Szepnęłam więc do Sally:

- Masz coś do mnie, koteczku? Lepiej uważaj, bo ci przefasonuję tę piękną buźkę.

Sally otworzyła szeroko oczy. Cofnęła się - przypuszczam, że raczej ze zdumienia niż ze strachu.

Nagle drzwi znów się otworzyły i do wnętrza sklepu zajrzał Duży Roan. Słyszałam za plecami pospieszne kroki.

Tato i wujek Eldon.

- Zabieraj się stąd - powiedział Duży Roan chrapliwym głosem. - Jak wydasz moje pieniądze, to zedrę z ciebie skórę.

- Pieniądze Roaniego - odparowała, ale wycofała się bokiem, zerkając z wyrzutem na Dużego Roana i rzucając posępne spojrzenia w moim kierunku. Czekałam w napięciu, aż zamkną się za nimi drzwi. Kiedy wyszli, podbiegłam do okna i patrzyłam, jak Roan kuśtyka, a Sally kręci biodrami. Chwycił ją jedną ręką za tyłek i ścisnął tak mocno, że Sally omal nie wyskoczyła z butów.

- Kto tu był? - spytał tato, podchodząc do mnie z pociemniałym na twarzy wujem Eldonem, który wciąż mruczał coś pod nosem o polityce.

- Sally McClendon. Tato nachmurzył się.

- Czego chciała?

- Ee...e zdaje się, że przyjdzie jeszcze później. Szukała chyba śrubokręta - przyszło mi nagle do głowy. Przywołałam na twarz niewinną minę. Tato przyglądał mi się podejrzliwie, ale wuj Eldon zaczął walić w ladę i rozprawiać ponownie o gubernatorze Carterze, więc tato dał mi spokój.

Ściągnęłam z palca pierścioneł i odłożyłam go na tacę. Plastikowy kamień był teraz znacznie, znacznie ciemniejszy.

Gdy tylko wróciliśmy do domu, odszukałam Roaniego. W jednym z magazynów układał worki z nawozem.

Podkrađłam się do niego na palcach, wysunęłam powoli rękę i z całych sił uszczypnęłam go w pośladek.

Upuścił worek i obrócił się na pięcie, podnosząc pięść niczym młotek. Kiedy zobaczył, kto go atakuje, opuścił rękę, ale wysoko uniesione brwi wciąż tworzyły groźny znak V.

- Co ty robisz? Trzymaj ręce przy sobie!

- To ty trzymaj ręce przy sobie! - wrzasnęłam. - Jeśli nie przestaniesz się kręcić koło starej cycatej Sally McClendon, następnym razem uszczypnę cię obcęgami!

- Kto powiedział, że kręcę się koło Sally McClendon?!

- Ona mówi, że należysz do niej!

- No to kłamie!
- Czy ty... czy ty... czy ty kiedykolwiek...
- Nie, nigdy! I nie będę rozmawiał z tobą o takich rzeczach! A teraz zabieraj stąd te swoje małe sprytne paluszki!
- To tylko chciałam wiedzieć - powiedziałam słodko. - Bo ja ci wierzę.
- Dziękuję ci bardzo. Masz dosyć paskudne myśli jak na taką małą dziewczynkę.
To oznaczało wojnę.
- Sally i tak jest zajęta! - szydziłam. - Była z twoim tatą i widziałam, jak ją złapał za tyłek!
Jego twarz. Och, ten straszliwy wstyd, który zalał ciemnym rumieńcem jego policzki. W tej samej sekundzie pragnęłam połknąć te słowa, które wypluł z siebie mój wstrętny charakter, ale było już za późno. Roanie usiadł na sterce worków i wbił wzrok w zakurzoną podłogę.
- Może... może ja się pomyliłam - skłamałam szybko. - Tak... eee... ja wcale nie widziałam...
- Tak, widziałaś - przerwał mi stłumionym głosem.
- No to twój tata pewnie chciał być miły. To znaczy... bo Sally nie jest jego dziewczyną czy coś takiego. To znaczy... no bo on jest tatą, eee... a ona jest jeszcze młoda, no i poza tym Daisy jest jego dziewczyną. - Umilkłam na moment i spjrzałam w twarz Roaniego. - Prawda?
- Tak.
- Czy ty... ty chyba nie jesteś zdenerwowany z powodu Sally? To znaczy, jeśli ona jest twoją dziewczyną...
- Claire, na miłość boską, ona nie jest moją dziewczyną.
- No to, w porządku. - Przełknęłam szybko ślinę. Potem spytałam cichutko: - Czy ona jest dziewczyną Dużego Roana, tak jak... Daisy?
- Tak.
- Ach... no tak... cholera. - Usiadłam na podłodze, u jego stóp. - To nic - powiedziałam wreszcie i poklepałam czubek jego buta. - I tak nikomu nie powiem.
- Wszyscy wiedzą. - Wciąż siedział na workach i wpatrywał się tępo w podłogę.
Dalej klepałam go po bucie. Delikatna, ostrożna pieszczota przez twardą skórę. Nic dziwnego, że nie chciał mieć do czynienia z dziewczynami, które były dość duże, by to robić. Duży Roan mógł go zawsze uprzedzić.

Co roku popełniałam ten sam błąd - nadawałam imiona nowo narodzonym cielakom i czyniłam z nich swoich ulubieńców. Zawsze miałam jednego faworyta i zawsze następnego lata jedliśmy właśnie tego wybrańca. Nigdy się nie myliłam.

Tamtej jesieni przyszłą zawartością naszej zamrażarki był młody wół, którego nazwałam Herbert. Herbert Hereford. Wiedziałam oczywiście, że śliczne czerwono-białe byki rasy Hereford hodowane były w jednym tylko celu - by dorosły, potem zostały wykastrowane, a wreszcie zabite, nim ich mięso stanie się zbyt twarde. Albo jedliśmy je my sami, albo robił to ktoś inny. W latach, gdy rodziło wyjątkowo dużo cieląt, tato sprzedawał je rzeźnikowi. Cielaki włożyły do wielkich ciężarówek i znikaly na zawsze.

Herbert był podobny do wszystkich wykastrowanych byków - łagodny i ufny, z ciemnymi, dobrymi oczyma i miękkim pyskiem, z którego wydobywał się słodki zapach trawy. Kiedy był młodszy, miał jakieś kłopoty z nogami, a ja pomagałam przy karmieniu go specjalnym mlekiem z wielkiej butelki ze smoczką. Drapałam go między oczami, kiedy w lecie dokuczały mu muchy. Śmiałam się głośno i mówiłam mu;

- Herbert, będziesz na pewno bardzo smaczny - bo muszę przyznać, że kiedy Herbert już nie żył, przestawałam myśleć o nim jako o Herbercie. Stawał się zwykłym stekiem.

Znałam więc doskonale los każdego byka i mogłam sobie żartować z niego z tym samym rubasznym humorem, jaki przejawiali moi bracia, tyle że kiedy nadchodziła ta przełomowa godzina, wpadałam w czarną rozpacz.

W dzień egzekucji Herberta ukryłam się na strychu największej stajni i wypłakiwałam oczy ze smutku.

Roanie znalazł mnie tam, leżącą na brzuchu, między piramidami sprasowanej słomy, z głową ukrytą w ramionach.

Przyniósł ze sobą Generała Pattona i posadził obok mnie. Generał Patton powąchał moje włosy i zaskomlał. Szybko usiadłam prosto, otarłam oczy i spojrzałam ze smutkiem na Roaniego.

- Tato zaraz zastrzeli Herberta. Nie mogę na to patrzeć.

- Tak myślałem. Dziadek Maloney powiedział mi, że właśnie dlatego tutaj pobiegłaś. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli dotrzymam ci towarzystwa.

- Dziękuję ci.

- Muszę zejść za chwileczkę. Mam pomagać przy zdzieraniu skóry.

- Tak. Ja też.

- Ty też?

Usta trzęsły mi się jeszcze od płaczu, ale wzruszyłam ramionami.

- Nie jestem jakaś beksa lala. Pokiwał głową z powagą.

- Tak, wiem.

- Widziałam już chyba wszystkie martwe zwierzęta. Widziałam, jak dziadek ucinał głowę kurczakowi. Chłopie, jak te kurczaki się rzucają. Potem wsadza się je do gorącej wody i wydiera wszystkie pióra, potem czyści i rozcina i potem to już wyglądają jak te kurczaki w sklepie z mięsem.

- Tak. I wtedy nie musisz już myśleć o tym, co się robi, żeby tak wyglądały.

- Josh ustrzelił kiedyś kilka wiewiórek. Zjedliśmy je. Dał mi ich ogony. Zrobiłam sobie z nich naszyjnik.

- Ciężko zjeść wiewiórkę.

- Ciotka Arnette poluje. Siedzi w takiej ambonie i strzela do wszystkiego, co się rusza. Tato mówi, że wuj Eugene jesienią w ogóle nie wychodzi z domu. Boi się, że i jego by ustrzeliła. - Spojrzałam ostrożnie na Roaniego.

- Ty też chodzisz na polowania?

- Tak.

- Dziadek już nie poluje. Josh przestał odkąd wrócił z Wietnamu. A tato przestał, bo mama powiedziała, że nie może już wieszać więcej wypchanych łbów na ścianach w salonie. Powiedziała, że jeszcze trochę i nie będzie tam mogła czytać. Że czuje się, jakby miała publiczność.

- Ja też nie lubię polować. - To dlaczego to robisz?

Pogłaskał Generała Pattona i milczał przez chwilę. Potem powiedział:

- Przyzwyczailem się. Woląłem już polować niż ciągle jeść kaszę i kanapki z tanim dżemem.

Chciałam powiedzieć, że my nie karmimy go tanim dżemem, ale odległy huk pistoletu ojca rzucił mnie na podłogę. Przycisnęłam dłoń do uszu.

- Herbert - jęknęłam.

Roanie położył dłoń na mojej głowie i bardzo delikatnie gładził moje włosy.

- To stało się bardzo szybko - mówił cicho. - Herbert nic nie poczuł.

- Przerwał na moment. - Powiedziałbym więc nawet, że miał szczęście. Roanieniu niewiele trzeba było do szczęścia.

Chciał tylko, by obeszło się bez bólu.

Tato pożyczył mu strzelbę na jelenie. Razem z Hopem i Evanem poszedł na polowanie i ustrzelił szesnastopunktowego kozła, o świcie, w lesie na przełęczy Old Shanty.

Dzięki temu kozłowi stał się znaną osobistością. Dla myśliwego szesnasto-punktowe poroże - to znaczy, że po każdej stronie jest osiem odnóg - to coś cenniejszego niż wysadzana klejnotami korona. Nawet dziadek Maloney nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ktoś ostatnio ustrzelił równie wspaniałe zwierzę.

Całe pochody mężczyzn i chłopców zatrzymywały się przy naszej farmie, by choć przez chwilę tęsknym wzrokiem popatrzeć na wielkie poroże, które spoczywało na honorowym miejscu, na ławce przed stodołą.

- W komorę czy w serce? - pytali Roaniego poważnym i zasadniczym tonem, niczym lekarze, dowiadujący się o stan pacjenta.

- W serce - odpowiadał.

Wyjęłam swój aparat fotograficzny i zrobiłam zdjęcie Roanieniu, siedzącemu obok głowy kozła. Znałam pana Cicero, wydawcę lokalnego tygodnika „Koniczynka” - byłam sekretarką szkolnego klubu zainteresowań, a pan Cicero zamieszczał w swojej gazecie artykułiki o pracach klubu, podpisane moim imieniem i nazwiskiem. Uważałam więc, że mam pewne wpływy w lokalnej prasie.

- W przyszłym tygodniu będzie o tobie artykuł w gazecie - oświadczyłam Roanieniu z dumą.

- W komorę czy w serce? - odparł. Nie rozumiałam jego humoru, ale mimo to uśmiechnęłam się.

Wkrótce potem przyjechał wuj Cully. Z twarzą posępną i zdumioną jednocześnie przyglądał się porożu. Na ścianach poczekalni do gabinetu dentystycznego wuja Cully'ego wisiało dwadzieścia łbów kozłów. Wuj Cully kochał poroża bardziej nawet niż zęby.

- Och, jest piękny - powiedział wuj do Roaniego, pieszcząc rozłożyste rogi. Roanie spojrział na wuja.

- Czy wystarczyłby na rachunek za mój ząb? - Wszyscy wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Zdumiony szept obiegł tłumek zazdrosnych myśliwych.

Wuj Cully otworzył szeroko usta.

- Ależ... twój rachunek został zapłacony.

- Wiem. Czy odda pan pieniądze panu Maloney?

- Nie musisz tego robić - powiedział tato, marszcząc brwi. - Powiedziałem ci już, że możesz oddawać część twojej tygodniowej wypłaty.

- Będę spłacał ten ząb do końca życia. Chciałbym to załatwić jak najszybciej.

Tato spojrział na niego surowo.

- Nie lubisz mieć długów, co?

- Nie, proszę pana. To naprawdę nic osobistego. Po prostu nie podoba mi się to.

- W porządku. Szanuję to. Cully, zgadzasz się na taki układ?

- Och, Boże, jasne - odparł wujek Cully i pięć minut później wyjechał do domu z porożem.

- I tak zaniosę twoje zdjęcie do gazety - obiecałam Roaniemu. - A kiedy pójdziemy do gabinetu wuja Cully, będziesz mógł przywitać się ze swoim kozłem.

Skinął głową. Wątpię jednak, czy zależało mu na tym, żeby jeszcze kiedykolwiek zobaczyć to poroże. Spełniło już swoje zadanie.

- Zwracam chłopakowi honor - powiedziała mama tego wieczoru, z ogromnym szacunkiem w głosie. - Wie dobrze, czego chce.

Byłam naprawdę dumna. Roanie zawsze był sprytniejszy od wszystkich z wyjątkiem mnie. Był jedynym znanym mi człowiekiem, który wymienił ołowianą kulkę na nowy ząb.

Rozdział dziewiąty

W odróżnieniu od wszystkich ciotek babka Elizabeth i prababcia Alice nie bały się Roaniego. Nie bały się niczego prócz opinii, jaką miały o sobie nawzajem. Nie mogły się pogodzić z myślą, że ta, która umrze pierwsza, nie będzie mogła mieć ostatniego słowa.

Pewnej mroźnej soboty, tuż przed Świętem Dziękczynienia, Roanie został nagle wrzucony w sam środek wojny między babciami.

Zaczęło się przy śniadaniu. Nasze rodzinne posiłki, nawet te najzwyczajniejsze, zawsze były tłoczne i gwarne. Śniadanie jadano przy długim dębowym stole w kuchni, która stanowiła królestwo samo w sobie, wielka, zalana słońcem i wiecznie zagracona, ze skrzypiącą drewnianą podłogą, wysokimi białymi szafkami i porysowanym blatem kredensu. Było to miejsce prawdziwej, poważnej pracy - stała tam wielka, przemysłowa lodówka o stalowych drzwiach i szeroka, przysadzista zamrażarka, dwa wielkie piece. Nad stołem zwieszały się garnki i rondle, przy ścianie tkwił ogromny zlewozmywak do którego można było włożyć chyba całego cielaka, obok zaś stało jedyne narzędzie będące ustępstwem na rzecz wygody i lenistwa - zmywarka do naczyń, hucząca i świszcząca codziennie niemal od świtu do nocy.

Tego ranka przy stole zasiadałam ja, Roanie, Hop, Evan, mama i tata, dziadek i babcia Maloney - którzy często przychodzili do nas na wspólne posiłki - i oczywiście babka Maloney i prababcia Alice. Do tego dochodzili jeszcze robotnicy, którzy zawsze mogli liczyć na ciastka i kawę, rozdawaną przez mamę na werandzie z tyłu domu.

Spokojnie jedliśmy ogromne wiejskie śniadanie, składające się z parówek, jajek, ciastek, sosu i kawałków ostatnich już kantalup z przydomowego

ogródka. Byłam senna, miałam na sobie jeszcze piżamę i szlafrok. Siedziałam między babką Elizabeth i prababcia Alice, które także były jeszcze w szlafrokach. Jednym z moich stałych obowiązków było podawanie im tac z jedzeniem, tak żeby nie musiały odzywać się do siebie choćby jednym słowem.

- Jadę dzisiaj na zakupy - oświadczyła nagle prababcia. - Jadę do Atlanty. Do „Richa”.

To nie była prośba. To była powzięta już decyzja. Oznaczało to, że ktoś musiał zasiąść za kierownicą samochodu, odbyć dwugodzinną podróż do Atlanty i wjechać w sam środek zatłoczonego, kipiącego samochodami centrum wielkiego miasta, bo bez względu na to, ile sklepów Richa znajdowało się na przedmieściach, dla prababci istniał tylko ten jeden jedyny prawdziwy w śródmieściu Atlanty.

Babka Elizabeth przemówiła nagle piskliwym głosem:

- Ja chyba też pojedę.

Widelce zatrzymały się w pół drogi do ust. Kubki z kawą i szklanki soku zawisły w powietrzu. Marvin - wiewiórka Hopa - wyrzwał nad blat stołu ze swego ulubionego miejsca na udzie Hopa. Marvin potrafił doskonale wyczuć kłopoty. Zastygł w bezruchu. Roanie był jedynym spośród nas, który nie rozumiał grozy sytuacji. Jednak i on przestał jeść. i przyglądał nam się czujnie.

Prababcia poprawiła aparat słuchowy i podniosła siwą brew.

- Ciebie nie zapraszałam, Elizabeth.

- Mamusiu, zabiorę cię w przyszłym tygodniu - szybko zapewniła swoją matkę mama. - Obiecuję.

Babka Elizabeth otarła oczy rąbkiem serwetki. Potrafiła w każdej chwili ronić łzy i natychmiast je powstrzymać, jak zraszarka do trawników.

- Jak mam zrobić bożonarodzeniowe zakupy, jeśli każdy przesuwam mnie jak mebel? Wy możecie sobie układać plany, jak wam się tylko spodoba, ale ja nie mogę już polegać na własnych siłach. - Pojedyncza łza spłynęła po jej białym policzku. - Przypuszczam, że będę musiała obywać się bez odpowiednich prezentów, teraz kiedy jestem stara i niedołężna. Po prostu rozdaję wszystkim koperty z pieniędzmi. Właśnie taki los spotyka stare bezradne kobiety.

Mam nadzieję, że mi wszyscy wybaczą.

Prababcia Alice wydeła usta.

- Przestań się mazgać i zajmij się swoimi sprawami. Dziadek podniósł obie ręce.

- Mamo - zwrócił się do prababci, jakby wciąż był małym chłopcem.
 - Wolę sobie raczej uciąć obie dłonie niż słuchać tego dalej.
 - To ona zaczęła, Josephie. A ja nigdy w życiu nie wycofałam się z waha. Babka Elizabeth skorzystała z chwili ciszy:
 - Jestem całkowicie pewna, że pojedę dzisiaj z tobą na zakupy. Wezmę ze sobą Claire. Będzie nosić moje paczki. Poczułam się jak Marvin. Niezdolna do ruchu.
 - Claire będzie nosić moje paczki - powiedziała prababcia. Babka natychmiast zripostowała:
 - Ponieważ jesteś za stara, żeby zawieźć nas do Atlanty, Alice, nie bardzo rozumiem, jak możesz decydować za mnie. Nie masz nic do powiedzenia, jeśli chodzi o to, kto będzie mi towarzyszył i kto będzie nosił moje pakunki.
 - To mój cholerny samochód. Noś sobie sama swoje cholerne pakunki.
 - Nie zamierzam podróżować twoim małym, niewygodnym rupieciem. Śmierdzi tymi wstrętnymi perfumami z róży, którymi się codziennie polewasz.
 - Babka Elizabeth uśmiechnęła się promieniście i powiodła wzrokiem dokoła stołu. - Taak, więc kto nas zawiezie? Kto dostąpi tego zaszczytu?
- Nagle okazało się, że wszyscy mają jakieś niesłychanie ważne zajęcia. Tato i dziadek musieli jechać do Gainesville, aby kupić nowy pasek do jednej z kosiarek. Mama musiała obrać i przerobić pięć koszyków jabłek. Evan był jeszcze za młody, by prowadzić samochód, a Hop zbyt niedoświadczony, by sam jeździć po wielkich autostradach w sercu Atlanty. Ale babcia Dottie schwytna została w potrzask i nie mogła się już wywinąć. Ona też o tym wiedziała. Widziałam przerażenie w jej oczach. Nie potrafiła wymyślić niczego na poczekaniu.
- Ja... eee... ja muszę... - zaczęła.
 - Nie jesteś dziś zajęta, córko - oznajmiła prababcia. - Możesz nas zawieźć. Przykro mi, że Elizabeth też się wepchała. Jeśli nie możesz wytrzymać w jej towarzystwie, przywiążemy ją do bagażnika na dachu.
 - To nie ja jestem starą złośliwą kłepą w tej rodzinie - odparła cierpko Elizabeth. - Wszyscy wiemy, kto nią jest.
 - W porządku, w porządku. Uciszcie się już obie - powiedziała babcia Dottie. - Pojadę. Zawiozę was. Ale uspokójcie się! - Zapaliła papierosa i w milczeniu przeżywała gorzkie porażki.
- Dziadek próbował ratować sytuację.
- Właściwie wszyscy możecie jechać dzisiaj do Atlanty - powiedział.

- Nie pozwolę wam wałęsać się po mieście beze mnie, Holta albo któregoś z chłopców do pomocy. To już nie jest bezpieczne. Tato skinął głową.

- To prawda.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - oznajmiła babka Elizabeth, wskazując laską na Roaniego. - Nikt nie ośmieli się niepokoić biednej niedołęznej Alice, kiedy będzie nam towarzyszył ten śniady rycerz. On z nami pojedzie.

- A kiedy Elizabeth przewróci się na własnej lasce - włączyła się gładko prababcia - może zarzucić ją na plecy i przenieść jak worek z końskim nawozem.

- Uciekaj - szepnęłam do Roaniego.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. Ale było już za późno.

Oabcia Dottie prowadziła swój wielki, paliwożerny samochód, trzymając jedną dłoń mocno zaciśniętą na kierownicy, drugą zaś wystawiając za okno - trzymała w mej zapalonego papierosa. Wyglądała godnie i nieporuszenie, niczym Statua Wolności z zapaloną pochodnią.

Roanie miał szczęście. Siedział obok niej na przednim siedzeniu. Wpatrywałam się w tył jego głowy, widziałam, jak porusza nią lekko raz w jedną, raz w drugą stronę, przyglądając się wielkiemu miastu, do którego właśnie wjechaliśmy. Zastanawiałam się, o czym myśli, co widzi w wielkich budynkach, drapaczach chmur, sklepach i reklamach, czy to miasto jest dla niego obietnicą czegoś, czego nawet nie mogę sobie wyobrazić. Słyszałam, jak przed wyjazdem tato zapewniał go, że dostanie swoją zapłatę tak samo, jakby pracował na farmie.

- Ale ta podróż to nie jest żadna praca - sprzeciwił się Roanie.

- Wierz mi, to będzie coś znacznie gorszego - odparł cierpko tata.

Z pewnością dla mnie było to najgorsze z możliwych doświadczeń. Zajmowałam miejsce na tylnym siedzeniu i byłam żywym buforem, oddzielającym prababcie i babkę. Siedziałam tam zeszywniała, nieszczęśliwa i spocona. Dłonie trzymałam splecione na kolanach, białe podkolanówki i tenisówki przesiąknięte były potem, ramiona okrywał obcisły wełniany sweterek. Żałowałam, że nie jestem ogmoodporną.

- No i oczywiście, jako sekeretarz Brytyjskiego Stowarzyszenia Magnolii

zajmowałam honorowe miejsce podczas uroczystości, która nastąpiła po premierze - opowiadała babka Elizabeth. - Więc kiedy ona i Laurence Olivier, bo wtedy był to jeszcze tylko pan Olivier, a nie szlachcic, więc kiedy ona i pan Olivier doszli do mnie, wyciągnęłam rękę i powiedziałam: „Panno Leigh, jesteście szczęśliwi, mogą gościć panią w Atlancie”, a Vivien pochwyciła wtedy moją dłoń i przesłała mi najśłodszy uśmiech. „Och - powiedziała - jak miło usłyszeć głos z naszej ojczyzny!”

Była to opowieść o premierze *Przeminęło z wiatrem*, którą Babka Elizabeth powtarzała przy każdej nadarzającej się okazji - jak to ona i dziadek Delaney zostali zaproszeni na światową premierę filmu w 1939 roku, jak czarujący był wtedy Loew's Grand Theatre, ozdobiony wspaniałymi żyrandolami i stiukami, jakie tłumy, co za osobistości, nieustanny błysk fleszy, autentyczny podpis Margaret Mitchell „Najlepsze życzenia dla Pana i Pani Delaney, Peggy Mitchell” na programie teatralnym babki, cudowna suknia z jedwabiu i tafty, w którą ubrana była babka na balu po premierze, dziadek Delaney przystojny jak sam Clark Gable we wspaniałym wieczorowym stroju, dwustronicowy artykuł zamieszczony przez Babkę w „Koniczynie”, wreszcie zachwyty wszystkich, ale to wszystkich mieszkańców Dunderry, którzy przysięgali, że ona, Elizabeth Delaney wyglądała równie pięknie angielsko i południowo jak Vivien Leigh, Scarlett O'Hara we własnej osobie.

Babka Elizabeth skończyła opowiadanie i wyciągnęła z torebki małą kosmetyczkę, poprawiła zwoje sztucznych rudych warkoczy, przeciągnęła szminką po wargach i przejrzała się w lusterku, jakby wciąż widziała tam odbicie Vivien i Scarlett.

Jej opowieść zawsze fascynowała wszystkich prócz prababci, która już nie mogła tego słuchać. Babka Elizabeth dobrze o tym wiedziała. Oczywiście, jak z łatwością można było przewidzieć, prababcia przez cały czas patrzyła za okno samochodu, udając, że dawno już wyłączyła aparat słuchowy. Jednak po chwili ciszy wyrzekła teatralnym szeptem:

- Stara wariatka.
- Słucham? - spytała uprzejmie babka.
- Vivien Leigh - prychnęła prababcia. - Przed śmiercią całkiem zwariowała.
- Z pewnością nic takiego się nie wydarzyło.
- A Margaret Mitchel była małą, żalną pijaczką, która nie skleciłaby sama dwóch zdań. Ukradła całą fabułę tej książki z opowiadań starych

żołnierzy, których nasłuchiwała się jako młoda dziewczyna. A ty, stara kłamczucho, sama podpisałaś sobie ten program i opowiadałaś potem wszystkim, że to jej autograf. Babka Elizabeth wzięła głęboki, głośny oddech.

- Zatrzymaj samochód Dottie. Wypuść mnie. Wolę chyba iść na piechotę. Babka zawsze żądała, by ją wypuszczono z samochodu, kiedy już przez

jakiś czas podróżowała z prababcia. W deszczu, w śnieżycy, w środku miasta, w dzikiej górskiej okolicy. Pędziliśmy teraz z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, środkiem wielopasmowej autostrady, otoczeni przez setki samochodów i wielkich ciężarówek.

- Wypuść mnie, Dottie!

Babcia Dottie zaciągnęła się mocno i wypuściła dym przez okno.

- Pomyślę o tym - mruknęła - kiedy dojedziemy do następnego zjazdu.

- Wywal tę starą zrzęde na środek ulicy - rozkazała prababcia. -1 tak jej tu nikt nie zapraszał.

- Wiem, kiedy jestem gdzieś mile widziana, a kiedy nie - odparła babka, roztrzęsionym głosem.

- Świetnie - huknęła prababcia. - No to wynoś się.

Już dawno nauczyłam się, kiedy należy kierować rozmowę na inne tory. Nachyliłam się nad przednim siedzeniem.

- Może byśmy pojechali do cukierni w Richu i kupili trochę ekierek?

- Jasne, kochanie - odparła babcia Dottie.

Stuknęłam Roaniego w ramię. Odwrócił głowę w moją stronę. . . Te ciastka zostały nazwane na moją cześć - oświadczyłam poważnym tonem. - E-Claireki.

Roanie uśmiechnął się lekko kącikiem ust. Spojrzał szybko na obrażone babcię i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak prababcia zrobiła to szybciej.

- Chyba wiecie, że to Żydzi? - Spytała znienacka. Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

- Ekierki są żydowskie? - spytałam niepewnie. Nie wiedziałam zbyt wiele o Żydach, ani o ich jedzeniu, więc wydawało mi się to całkiem możliwe. Przynajmniej była to jakaś zmiana tematu.

- Nie - odparła prababcia. - Właściciele sklepów Richa są Żydami. Węgierskimi Żydami z pochodzenia.

- Ach, tak. - Znów stuknęłam Roaniego w ramię. - To nie znaczy, że

przyszli tu na piechotę - powiedziałam, uznając to za świetny dowcip.

- Tylko że ich dziadkowie byli Węgrami.

- To bardzo mili ludzie - dodała prababcia. - Prawdziwi filantropi. Uprzejmi i życzliwi dla każdego. Nikt nie mógłby nawet przypuszczać, że kiedyś byli cudzoziemcami. - Prababcia zrobiła wymowną pauzę. - W odróżnieniu od pewnych ludzi, których nazwiska mogłabym tu wymienić.

- Jedna z moich ciotek była Żydówką - odparowała babka Elizabeth. Wszyscy wiedzieliśmy o tym. Niektórzy członkowie rodziny Maloneyów

szeptali o tym po kątach, jakby była to jakaś wstydliva tajemnica. Nie byłam w stanie połączyć tej tajemniczej ułomności z Babką Elizabeth. Drobna skaza

- owszem. Ale nie hańba.

- Polką i Żydówką - dodała babka. - Wyjątkowe połączenie. Prababcia parsknęła pogardliwie.

- O la la. Za chwilę powiesz pewnie, że jesteś spokrewniona z samym Jezusem Chrystusem.

- Nie bluźnij.

- Jezus i Vivien Leigh.

- Dottie, zatrzymaj samochód. Chcę wysiąść. Babcia Dottie przyspieszyła.

Sklep Richa w centrum Atlanty był niczym pałac ze snu, miejsce cudowne i zaczarowane. Można tam było kupić meble do całego domu, książki i biżuterię, pościel i najdelikatniejszą bieliznę. Można było zjeść lunch w specjalnym pokoju, albo tylko jedno ciastko. Można było kupować na kredyt, i to duży, a gdyby ktoś wrócił tam po dziesięciu latach z niemodną już bluzką w zakurzonym i wyblakłym zielonym pudle od Richa, mówiąc, że chciałby to oddać, z pewnością zwrócono by mu pieniądze.

Czarny czy biały, biedny czy bogaty, z miasta czy ze wsi, wszyscy mogli kupować w „Richu”. Wielki, masywny, pełen majestatu budynek zaczynał już tracić swój dawny blask, kiedy byłam dziewczynką. Minęło jednak jeszcze wiele lat, nim całkiem podupadł.

Babcia zaparkowała samochód i zamknęła drzwiczki. Byliśmy sami w ciemnym, betonowym łonie sklepowego parkingu, drażliwa grupa dzieci i staruszek. Babka Elizabeth tupała powoli, podpierając się laską, a prababcia stawiała ciężkie kroki, charakterystyczne dla człowieka o chorych stawach

kolanowych. Położyła dłoń na moim ramieniu i oparła się o mnie. Wołałabym, żeby spokorniała choć trochę i kupiła sobie laskę.

W zachowaniu Roaniego zaszła drobna, lecz znacząca zmiana. Jestem pewna, że przed wyjazdem tato i dziadek Maloney powiedzieli mu, że jego zadaniem jest obrona kobiet Teraz rozglądał się bezustannie po mrocznych alejkach podziemnego parkingu i poruszał się tak lekko, jakby nie dotykał podłogi. Ręce odsunął nieco od ciała.

Wyglądał groźnie, był opanowany, lecz czujny.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Nie bałam się ciemnych zakamarków parkingu, bandytów, gwałcicieli i innych potworów w ludzkiej skórze, które zamieszkiwały wielkie miasta, o czym często słyszałam w domu. Nie, ja bałam się Roaniego, a może raczej wzbudzał we mnie pewien niepokój, choć jednocześnie czułam dziwne podekscytowanie - była to dziwna mieszanka, związana w jakiś sposób z moją kobiecością.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w sklepie, otuleni łagodnym światłem i dziesiątkami delikatnych zapachów, bezpieczni, pomiędzy ładnie ubranymi ludźmi i wspaniałymi towarami, ja wciąż przyglądałam się Roanieniu i czułam, że tego dnia kłopoty nas nie ominą.

Byliśmy w dziale z artykułami dla mężczyzn, kiedy zdarzyła się ta historia.

Stare babcie potrafiły szybko zmęczyć swych towarzyszy. Natychmiast po wejściu do sklepu rozpoczynały tradycyjną procedurę, polegającą na tym, że babcia Dottie przekonywała jakiegoś sprzedawcę, by pozwolił wyciągnąć nain z przebieralni dwa krzesła, na których zasiadały obie starsze damy, poważne i skupione niczym sędziowie, podczas gdy my prezentowaliśmy im różne towary i czekaliśmy na ich werdykt.

Babcia Dottie sprytnie usadziła babcie po przeciwnych stronach sklepu, po czym wzdychając ciężko, uciekła na kilka minut do pokoju wypoczynkowego, zostawiając mnie i Roaniego na posterunku. Chodziliśmy w te i wewte, przenosząc dziesiątki krawatów, rękawiczek, swetrów, buteleczek z wodą kolońską i innych artykułów, które babcie poddawały surowej ocenie. Te, które pomyślnie przeszły wszystkie testy, układane były obok krzeseł, inne zaś powracały na swoje miejsce.

W sklepie było zaledwie kilku innych klientów. Najbardziej rzucała się w oczy elegancko ubrana para z synkiem - ruchliwym blondaskiem, który

miał może cztery lata. Chłopiec biegał po sklepie i przedzierał się przez rzędy płaszczy i garniturów, rozgarniając je obiema rękami na boki. Jego tato wyglądał na wiecznego zgryźliwca i nerwusa, a choć w ogóle go nie znałam, czułam od razu, że go nie znoszę.

- Uważaj! - warknął na towarzyszącą mu kobietę, kiedy ta pomagała mu przymierzyć tweedową marynarkę. - Zawadziłaś rękawem o mój zegarek. Na przyszłość bądź trochę ostrożniejsza.

Kobieta uśmiechnęła się i przeprosiła go szybko. Nie wyobrażałam sobie, by tato kiedykolwiek zwracał się do mamy tym tonem, nie mówiąc już o tym, by mama przyjmowała to z taką pokorą.

Udręczony sprzedawca, który wydawał mi się wówczas niezwykle stateczny i poważny, choć w rzeczywistości nie miał pewnie więcej niż dwadzieścia pięć lat, płaszczył się przed eleganckim mężczyzną i bez słowa protestu poprawiał wszystkie ubrania rozrzucone przez chłopczyka. A kiedy przez chwilę nie był zajęty bawieniem rozbrykanego dziecka, chodził krok w krok za Roaniem i rzucał mu groźne spojrzenia, choć ten nie robił nic złego.

Twarz Roaniego pochmurniała z każdą sekundą. Staralam się być przy nim przez cały czas, opowiadałam dowcipy krpbiłam głupie komentarze, próbowałam choć trochę go rozweselić, jednak nawet najmniejszy mięsień nie drgnął na jego twarzy. Nie mogłam zrozumieć, co się dzieje, dopóki babka Elizabeth nie przywołała sprzedawcy do siebie. Młodzieniec natychmiast podszedł do niej i uklonił się głęboko, babka zaś szepnęła mu do ucha:

- Młody człowieku, jeśli boisz się, że dojdzie tu do kradzieży, radziłabym ci, byś przestał zajmować się moimi pomocnikami, a skupił raczej uwagę na tej starszej damie naprzeciwko. Jest już trochę zniedołężniała fizycznie i umysłowo. Niestety ma w zwyczaju chować różne drobiazgi do kieszeni płaszcza.

Sprzedawca otworzył na moment usta. Potem nerwowo poprawił krawat. Byłam wściekła - więc on naprawdę przypuszczał, że Roanie może coś ukraść. Ruszył powoli w stronę prababci, niepewnie przenosząc spojrzenie z niej na Roaniego i z powrotem. Stałam na jego drodze i oznajmiłam wściekłym szeptem:

- Moje babcie są trochę zwariowane, ale nie kradną, drogi panie. Nie robi tego też mój... chłopak. Proszę zostawić go w spokoju, albo każę mu skopać panu tyłek.

Sprzedawca otarł spocone czoło.

- Nie powinienem był nigdy zrezygnować ze szkoły dla barmanów - mruknął pod nosem i podszedł do stoiska z wodą kolońską, by tam zająć się przeglądaniem faktur. Myślę, że poddał się ostatecznie. Schował się przed nami wszystkimi.

Wróciła babcia Dottie. Szybko zrelacjonowałam jej przebieg wydarzeń - babka Elizabeth próbowała narobić kłopotów prababci, sprzedawca zrobił z Roaniego złodzieja. Babcia Dottie zamknęła oczy na sekundę, potarła skronie opalonymi na brązowo dłońmi i powiedziała:

- Wracaj do pracy, kochanie. Zróbmy szybko, co musimy zrobić, i wracajmy do domu. Boh mnie głowa.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Mały chłopiec przebiegł obok nas. Jego mama przyłożyła do gardła palce o długich, polakierowanych na różowo paznokciach i zawołała:

- Jimmy, kochanie, wolniej.

Wtedy ojciec chłopczyka wyszedł z alejki między wieszakami i pochwycił go za kołnierz.

- Mówiłem ci, żebyś nie wchodził mi w drogę - warknął głośno mężczyzna. Potem potrząsnął mocno swym synem, a ten krzyknął przeraźliwie. - Cicho bądź - rozkazał elegant, ale dziecko wrzeszczało jeszcze głośniej. Kobieta wyciągnęła do niego ręce w bezradnym geście, a mężczyzna wziął szeroki zamach i wymierzył swemu synowi siarczysty policzek.

Uderzenie odrzuciło chłopczyka kilka jardów do tyłu. Malec upadł na podłogę, zwinął się w kłębek i zaczął rozpaczliwie płakać.

Patrzyłam na tę scenę w niemym przerażeniu. Widziałam już kiedyś, jak mama przeciągnęła Brady'ego łodygą forsycji po łydkach, kiedy ten powiedział głośno „pieprzyć”. W ciągu roku tato wymierzał mi kilka klapsów w pupę, ale były to okazje tak rzadkie, że przechodziły potem do legendy. Miałam kuzynów, którzy śmiali się otwarcie ze zrytualizowanych spektakli wymierzania kilku pasów, jakie odgrywali czasem moi wujkowie lub ciotki. Ale nigdy jeszcze nie widziałam podobnego wybuchu nieopanowanej przemocy, zwróconej przeciw małemu dziecku.

Babcia Dottie położyła dłoń na moim ramieniu. Czulałam, jak się trzęsie, a kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam na jej twarzy wściekłość i narastający z każdą sekundą gniew, który mógł doprowadzić do potężnej eksplozji. „Zrób coś”, krzyczałam w duchu.

Mama chłopczyka wzięła synka w ramiona i rozejrzała się dokoła, czerwieniąc się, unikając naszych spojrzeń.

- Zabierz go stąd - rozkazał mężczyzna. - Ty za niego odpowiadasz. Nie mogę nic kupić, kiedy on płacze się pod nogami. No już.

- Przepraszam - mruknęła żona. - Jest po prostu zmęczony. Mężczyzna zauważył, że wszyscy wpatrujemy się w mego.

- Co się tak gapicie? - warknął. - Nie znacie lepszych widoków?

- Nie znamy gorszych - odparła babcia Dottie sztywno.

Elegant odwrócił się do nas plecami i zaczął przeglądać kolejny rząd garniturów. Jego żona odeszła z chłopcem w odległą część sklepu. Płacz dziecka powoli przycichał.

- Widziałam to - odezwała się nagle prababcia za naszymi plecami. - To było wstrętne.

- Ja widziałam to wcześniej - dodała babka Elizabeth. - Człowiek, który . traktuje swoje dziecko w ten sposób, powinien zostać wychłostany.

Starsze damy stanęły obok babcie Dottie, mrużąc pod nosem i wbijając jak sztylety spojrzenia w plecy nieznajomego, jednak nic nie robiły. Tymczasem ja stałam zamknięta w moim własnym, milczącym świecie pytań, na które nie ma odpowiedzi. „Jalczego nie mogliśmy nic zrobić? Czy nie powinniśmy powiedzieć czegoś?

Opowiedzieć o tym komuś?”

I znów wszystko działo się bardzo szybko. Przemoc przychodzi łatwo; sprawiedliwość ma ciężką rękę. Roanie przyzwyczajony do tej pierwszej, rzadko doświadczał tej drugiej. Podszedł ciężkim krokiem do mężczyzny i chwycił go za ramię. Nigdy nie zapomnę tego widoku - Roanie, zaniedbany, chudy czternastolatek który wbija mordercze spojrzenie w dorosłego mężczyznę. Dziki młody wilk naprzeciwko rozpieszczonego spaniela. Twarz Roaniego ściągnięta była gniewem. Później zrozumiałam, że był o krok od płaczu.

- Ty skurwysynie - powiedział zdławionym głosem.

- Hej - zmarszczył brwi mężczyzna, cofając się o krok - Zostaw mnie w spokoju.

- Cholerny osiłek. Mężczyzna podniósł obie ręce.

- Słuchaj, nie muszę wcale spokojnie wysłuchiwać tych bzdur.

- Ciekawe, co ty byś powiedział, gdyby ktoś cię tak walnął?

- Nie próbuj mi grozić, wieśniaku.

Wtedy Roanie go uderzył. Walnął prosto w szczękę. Mężczyzna rozłożył szeroko ręce, poleciał do tyłu i zniknął między rzędami garniturów, jakby został przez nie połknięty.

Krzyknęłam. Potem wyrwałam się z uścisku babci i podbiegłam do Roaniego. Przykucnęłam przed nim i zajrzałam między garnitury. Mężczyzna pół-siedział, pół-leżał na podłodze, jęcząc cicho. Z dolnej wargi ciekła mu krew.

- Walnij go jeszcze raz, Roanie! - krzyknęłam. Podbiegł do nas sprzedawca, otwierając usta ze zdumienia.

- Spokojnie, spokojnie, moje dziecko - powiedział, trzymając się z dala od Roaniego. - Wezwałem już ochronę!

Och, tylko nie to. Z ataku przeszłam szybko do defensywy. Chciałam odepchnąć Roaniego do tyłu, ale równie dobrze mogłabym pchać ceglany mur. Wbiłam się w jego pierś jak buldożer. Potem odrzuciłam głowę do tyłu i spojrzałam na niego błagalnym wzrokiem. Jego oczy zasnutę były gniewem, usta wykrzywione we wściekłym grymasie.

- Roanie, to ja, Claire. Hej, hej. Spójrz na mnie.

- Nigdy więcej nie bij dziecka - rzucił Roanie nad moją głową do nieznajomego. - To nie jest w porządku. To nie fair.

- Roanie, ja wiem - błagałam. - Chodź już.

- Napaść - jęczał mężczyzna. - Wpakuję cię do więzienia.

Nagle babcia Dottie stanęła przy moim boku i objęła nas oboje w mocnym uścisku.

- Roanie - rozkazała wściekłym głosem. - Idź z Claire na parking. Ja zostanę z tyłu razem z babciami. Idź już. No, idź. Ale ludzie już zaczęli się gromadzić wokół nas. Wkrótce przybiegła dwójka strażników. Objęłam Roaniego w pasie i mocno przywarłam do niego. Chciałam go schować, sprawić, by stał się niewidzialny. „Wiem, dlaczego on taki jest. Wszyscy wiemy. Duży Roan właśnie tak go bił. Kiedy był jeszcze za mały, żeby oddać. I nikt nie zrobił nic, by go powstrzymać”.

- Zadzwońcie na policję - odezwała się nagle babka Elizabeth. Nie widziałam jej, ale słyszałam delikatny, lecz pewny głos. Czulałam, jak serce Roaniego bije tuż koło mojego ucha. - Zobaczymy, kto tu zasługuje na więzienie - mówiła dalej babka. - Opowiem im dokładnie, co tutaj zaszło.

- Ja też - dołączyła się prababcia. - Niech prawo wkroczy w tę sytuację. Widziałam, jak dorosły mężczyzna uderzył małe dziecko z taką siłą, że odleciało pięć stóp do tyłu.

- O tak, ja też to widziałam. - Znów babka Elizabeth. - Zgadzam się z tobą w każdym calu.

Myślę, że przez chwilę świat przestał się wtedy kręcić.

By nie rozwodzić się zbyt długo nad tą historią, powiem tylko, że nieznajomy mężczyzna przestał mówić o więzieniu, kiedy stare babcie opowiedziały dokładnie, dlaczego Roanie go uderzył. Sprzedawca, choć nie bez oporów, potwierdził ich wersję. Strażnicy zaczęli się krzywić i widać było, że chcą tylko, byśmy sobie wszyscy poszli już z tego sklepu. Wreszcie mogliśmy odejść.

I wyszliśmy. Nie wyglądało to jak zwycięski pochód - ja wciąż byłam przyklejona do boku Roaniego, babcia Dottie popychała nas oboje, Roanie ciężko powłóczył nogami, a babcie powoli kuśtykały za nami.

Nie mogłam zmienić przyszłości małego blondynka i jego zastraszonej matki, tak jak nie mogłam zmienić przeszłości Roaniego. Jedyne, co mi pozostało, to zadowolenie, jakie dawał mi mocny uścisk Roaniego, nasza jedność w kłopotach i pełne poparcie dwóch bardzo starych babć i jednej młodszej.

Przez całą drogę do domu babka i prababcia z zapalem rozprawiały

o bójce. Siedziały obok siebie na tylnej kanapie. Ja siedziałam z przodu, między Roaniem i babcią Dottie. Musiałam się w czymś upewnić. Szepnęłam do Roaniego: ~<

- Gdyby jakiś, hm... bandyta próbował napaść na mnie, no wiesz... gdyby chciał mnie skrzywdzić, to co byś zrobił? Nie wahał się ani przez sekundę. Bez mrugnięcia okiem odparł:

- Spróbowałbym go zabić.

Splotłam moje pulchne paluszki z jego spracowanymi, twardymi palcami

i zacisnęłam je mocno. Jego skóra była spocona i zimna. Nie wiedziałam tego wtedy, ale Roanie był chory ze strachu.

Bał się, że uznają go kryminahstę, że odeślą go gdzieś daleko za to, co zrobił.

Oczywiście nic podobnego się nie stało. Tato pouczył go o konsekwencjach, jakie niesie ze sobą rozwiązywanie sporów za pomocą pięści, ale było to raczej łagodne napomnienie, podobne do tych, jakimi raczył moich braci.

Mama usadziła go przy stole w kuchni, owinęła jego spuchniętą pięść ręcznikiem, do którego włożyła kostki lodu, i kazała mu siedzieć tak dopóki nie nakryjemy do stołu i nie zaczniemy jeść kolacji.

Później przyszli Hop, Evan i dziadek Maloney - chcieli znać każdy szczegół krótkiej walki stoczonej przez Roaniego. Tymczasem Roanie wciąż

wyglądał tak, jakby się bał, że za chwilę zostanie posadzony na krześle elektrycznym. Wyglądaliśmy dosyć dziwnie - wszyscy wpatrywaliśmy się w niego z zainteresowaniem, prababcia kiwała głową, babka Elizabeth uśmiechała się do niego nieśmiało spoza swej szczupłej dłoni, pokrytej błękitną siateczką żył.

- **Jesteś** bohaterem - wyrzuciłam z siebie. - Bohaterowie muszą siedzieć przy stole, a wszyscy inni ich podziwiają. Odsunął się instynktownie.

- Ale ja niczego nie zmieniłem.

- Próbowałeś - oświadczyła stanowczo babcia Dottie. - Większości ludzi nie stać nawet na to. My też nie mieliśmy na tyle odwagi, żeby zareagować. I chciałam cię teraz przeprosić, że nie zrobiliśmy nic więcej i że nie zrobiliśmy tego wcześniej. W sprawach podobnych do tej. W porządku?

- Bierz się do jedzenia, Roanie - rozkazała mama. - Kolacja stygnie. Prababcia i babka Elizabeth były dla niego słodkie jak miód i bez końca

rozmawiały o jego czynie. A ja obiecałam mu, że kiedy następnym razem pojedziemy do Richa, kupimy sobie całą torbę ekierek.

- Och, tak - włączyła się prababcia. - Muszę tam pojechać w przyszłym tygodniu i jeszcze raz zrobić zakupy.

- No cóż, ja też muszę to zrobić - oświadczyła babka Elizabeth stanowczym tonem.

- Nie wtedy gdy pojedę ja, Elizabeth.

- Kiedy tylko zechcę, Alice.

Roanie jadł, słuchał i cierpiał w milczeniu. Jak my wszyscy. Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

Świat opleciony jest niezliczonymi mostami, które łączą ludzi ze sobą. Roanie przeszedł właśnie przez następny.

Rozdział dziesiąty

Święto Dziękczynienia. Dla mnie było to wspaniałe święto, choć oczywiście nie mogło się równać z Wielkanocą czy Bożym Narodzeniem, jako że nie dostawałam z tej okazji żadnych prezentów. Święto Dziękczynienia wiązało się z meczami futbolowymi, z indykiem i z odświętnym ubraniem, a cały dom wypełniony był aż po dach krewnymi z miasteczka. Było to nasze wielkie rodzinne święto.

- Nogę z indyka? - spytałam Roaniego.<

Siedział na strychu wielkiej stajni, obok otwartych wrót, a przy jego boku usadowił się Generał Patton. Wepchałam się pomiędzy nich, wyciągnęłam pieczoną nogę z pudełka, w którym zgromadziłam mnóstwo świątecznego jedzenia, i podsunęłam ją Roanieniu pod nos.

Spojrzelśmy na siebie jak starzy małżonkowie, którzy nie mogą bez siebie żyć, ale czasem mają też dość swojego towarzystwa.

- Dlaczego zawsze mnie szukasz, kiedy przyjeżdża twoja rodzina? - spytał. - Nigdy się do nich nie przyłączę, jasne?

- Po prostu postanowiłam zjeść tutaj. Ach, i ty tu jesteś. Och, mój Boże, w takim razie zamknij się i jedzmy.

To też zrobiliśmy. Miłość jest prosta, gdy się o niej za dużo nie rozmawia.

Ze strychu stajni mieliśmy doskonały widok na coroczny wielki mecz futbolowy z okazji Święta Dziękczynienia rozgrywany pomiędzy rodzinami Maloneyów i Delaneyów. Usiedliśmy po przeciwnych stronach wielkich wrót, wyciągając nogi na miękkim sianie. Powietrze było przyjemnie chłodne, niebo błękitne, w oddali szczyty gór płonęły barwami jesieni.

- Tak, to jest prawdziwe święto - powiedziałam do Roaniego.

- Tak - odparł cicho. - Tak właśnie wyobrażałem sobie życie tutaj.

Pod nami, na przyszczyżonym, zbrązowiałym już pastwisku, rodzina rozsiadła się na krzesłach i kocach. Tato zaznaczył wapnem końcowe linie boiska. Potem zaczął się mecz - mnóstwo bieganiny, wrzasków i dobrotliwych wyzwisk - i właśnie dlatego, tak bardzo lubiłam go oglądać.

Najstarszym graczem był brat mamy, Winston, który miał już trochę siwych włosów i był gruby jak beka. Najmłodszy - Hop i Evan - byli na tyle krepzi, że potrafiłam już wyobrazić ich sobie z podobnymi brzuchami.

Josh i Brady przyjechali z college'u, więc oni także brali udział w meczu. Był też kuzyn mamy, Stuart Kehoe, burmistrz i jego żona, Noona, okręgowy taksator, kuzyn mamy Randy Pinkett, pełnomocnik rządu w naszym kręgu, i jego żona, Edytha, zajmująca się sprzedażą produktów „Avon” i handlem nieruchomościami. Do tego jeszcze mnóstwo krewnych, których Roanie znał aż za dobrze, łącznie z wujem Williamem, ciotką Bess, wujem Petem, synami wuja Pete'a, Arlanem i Haroldem, wujem Dwaynem i ciotką Rhondą, wujem Eugene' em i ciotką Arnettą, no i Carltonem.

Postanowiłam, że opowiem mu o naszych krewnych spoza miasta, których nie musiał przecież unikać.

- To jest kuzyn mamy, Sonny Delaney - powiedziałam, wskazując palcem. - Mieszka w Blairsville. Jest senatorem stanowym. Jeśli potrzebujemy czegoś od rządu, po prostu dzwoniemy do Sonny'ego. Jest w bliskiej przyjaźni z gubernatorem Carterem.

- Zna gubernatora? - spytał powoli Roanie.

- Och, jasne, że go zna. - Znów wyciągnęłam rękę. - A to brat dziadka, Mack. Dziadek Mack Maloney. Mieszka w Tennessee. W Nashville. Jest zawodowym muzykiem, gitarzystą. Możesz usłyszeć jego gitarę w niektórych piosenkach Elvisa.

- On zna Elvisa?

- Pewnie. A przynajmniej znał. Zanim Elvis przeniósł się do Las Vegas. A tam dalej, to wuj Ralph Maloney. Jest prawnikiem i mieszka w Atlancie. Jeśli chcesz wiedzieć, jak zabić kogoś i wymigać się od kary, spytaj wuja Ralpha. Tak mówi tata. Tam na lewo, na tym kocu, to cioteczna babka Sue Maloney. Była kiedyś w Korpusie Pokoju. Przez całe dwa lata mieszkała w Afryce. Poznała też prezydenta Kennedy'ego. To znaczy, nie kiedy była w Afryce, lecz dopiero gdy wróciła.

- Kiedyś będę większy od nich wszystkich - powiedział nagle Roanie.

- Co?

- Powiedziałem: „Kiedyś będę większy od nich wszystkich”.
- Co to niby ma znaczyć? Czyś ty zwariował? Ja się wcale nie przechwalałam.
- Ludzie będą mnie szanować. Ludzie będą kręcić się koło mnie, żeby zrobić dla mnie, co tylko zechcą. Przysięgam. Poczekaj tylko. Zobaczysz.

Byłam zdumiona i trochę oburzona. Znaczna część okręgu należała do naszej rodziny albo była przez nią zarządzana. Nasza rodzina miała też wpływ na wszystko, co działo się w okręgu. Pod naszymi kwiatami kryły się twarde kłęczka. Nikt nie mógł nas zniszczyć, nikt nie mógł ciągnąć nas za korzenie i nikt nie mógł wepchać się między nas, jeśli na to sami nie pozwoliliśmy. Być może właśnie dlatego ludzie tacy jak Roanie nie mogli się z nami porozumieć. Ale Roanie był już częścią nas. Należał do nas. Należał do mnie. Nie mógł mówić tak, jakby chciał nas wszystkich ściąć przy samej ziemi.

Udawałam, że patrzę na mecz, jednak od czasu do czasu rzucałam ukradkowe spojrzenia na jego profil. On jest o wiele starszy ode mnie, uświadomiłam sobie nagle ze smutkiem. I czasem jest tak odległy, że nie potrafię sprowadzić go z powrotem do siebie.

Byliśmy na pchlim targu obok młyna Murphy'ego. Pan Murphy postawił w jednym ze swych magazynów sto drewnianych straganów i w czasie weekendu zjeżdżali tu ludzie z całej okolicy, by targować się z handlarzami, którzy sprzedawali **niemal** wszystko - od rupieci do, hm... dobrych rupieci. Mama lubiła tu przychodzić w poszukiwaniu książek i porcelany. Ja lubiłam szukać Beepa.

Beep Murphy był najstarszym synem pana Murphy'ego. W rzeczywistości dawno już dorósł, był jednak cofnięty w rozwoju. Miał drobne, krągłe, mongoidalne rysy, które już na zawsze uczyniły z jego twarzy twarz dziecka. Chodził zawsze w ogrodnickach i grubym swetrze, wiecznie uśmiechnięty zamiatał podłogi, czyścił przenośne toalety na zewnątrz budynku i zbierał śmieci, które gromadził w plastikowym wiaderku ozdobionym kwiecistymi wzorkami. Uwielbiał dzieci, bo tak naprawdę sam był jednym z nich i wiedział dobrze, na które dzieciaki może liczyć. Kiedy mnie zauważył, schował się za bocznymi drzwiami.

- Chodź tam - powiedziałam do Roaniego.
- Po co?
- Musimy złapać Beepa. Nigdy nie ścigałeś Beepa?
- Nieeee...

- No to chodź!

Wybiegłam na zewnątrz. Był to jasny, zimny, grudniowy dzień. Weszłam pomiędzy samochody i ciężarówki zaparkowane na żwirowym placu, okalającym magazyn.

- Beep, Beep! - wolałam, przeszukując kolejne alejki. Obeszłam kolejny samochód.

- BEEP!. - Wrzasnął nagle Beep, ukryty za kołem samochodu. Jedną ręką walił w swoje wiadro ze śmieciami. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Jak leci, panie Beep?

- Beep.

Roanie podszedł do mnie i stanął przy moim boku. Beep uśmiechnął się do mego radośnie.

- Beep.

- Odpowiedz mu tak samo - szepnęłam.

- Raczej nie'- odparł Roanie z godnością.

- BEEP - powtórzył Beep z naciskiem.

- Powtórz to, Roanie. Albo będzie chodził za tobą, dopóki tego nie zrobisz. To taka gra.

Roanie milczał, marszcząc brwi w ponurym grymasie.

- Beep. - Było to najsmutniejsze „beep” jakie kiedykolwiek słyszałam. Ale Beep skinął głową i roześmiał się, zadowolony. Poderwał się na równe nogi.

- Beep! - Rzucił jeszcze przez ramię, wracając do magazynu.

- Teraz jesteś już członkiem Stowarzyszenia Beepa - oświadczyłam poważnym tonem. - Zostałeś beeptystą.

- A ja myślałem, że mam wyjątkowego pecha - odparł cierpko.

- Nie lubisz Beepa?

- Szkoda mi go. Zachowuje się jak głupek. Ludzie śmieją się z niego.

- Ja się z niego nie śmiałam.

- Nie mówię o tobie. Mówię o innych. On nie wie, jak ma z tym walczyć, więc robi, co mu każą.

- Nie! Jest szczęśliwy.

- On nie rozumie tych dowcipów.

- Pewnie, że rozumie. Lubi je.

Z twarzą ściągniętą gniewem, Roanie oparł się o samochód i włożył ręce do kieszeni.

- Widziałem go kiedyś w mieście. Czekał przed sklepem, kiedy jego stary robił zakupy. Czterech czy pięciu chłopaków chciało się z nim „zabawić”. Otoczyli go i zaczęli przezywać. Nazywali go idiotą, mówili mu, że jest głupi. Rozpłakał się.

Było mi głupio, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Roanie wiedział, co musiał wtedy czuć Beep, bo sam doświadczył podobnego traktowania. Chciałam dodać mu otuchy, uściskać mu dłoń albo objąć, ale wiedziałam, że wcale by mu się to nie podobało. Ani tutaj, przy ludziach, ani na osobności. To tak, jakby dotykanie było czymś niebezpiecznym, i wcale nie myślę tutaj o sprawach damsko-męskich.

- Nic wtedy nie zrobiłem - dodał beznamiętnym tonem. - Było ich tak wielu. Po prostu patrzyłem. Nienawidziłem tego.

- Tak właśnie się czułam, kiedy ktoś cię bił w szkole - powiedziałam. -1 na Wielkanoc, i w czasie parady bożonarodzeniowej, i kiedy ciotka Bessy odesłała cię do sierocińca. - Nagle załamał mi się głos. Roanie patrzył na mnie, już nie rozzłoszczony, ale smutny i łagodny. - Nic nie mogłam zrobić - kontynuowałam, przełykając ciężko i walcząc z drżeniem warg. - Kiedy zeszłej jesieni powiedziałam, że chowasz się przy Jeziorze Skoków, a oni cię tam złapali, czułam się okropnie. Zrobiłam, to, żeby ci pomóc, ale bałam się, że to nic nie da. Przepraszam. Przepraszam.

- Zrobiłaś dobrze. Zrobiłaś mnóstwo dobrego. Więcej niż ktokolwiek.

- Nie, wcale nie. Na przykład co?

- Sprawiałaś, że nadal chce mi się próbować.

- Próbować czego?

- Próbować się nie poddawać. Rozpromieniłam się z radości.

- Naprawdę?

- Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Uderzyłam go lekko w ramię.

- Teraz ty się ze mną droczysz!

- Beep - powiedział ponuro.

Ruszyliśmy w stronę pchlego targu, ale tuż obok nas przejechał właśnie stary sedan, który zaparkował nieopodal. Odpadająca farba. Koła bez kołpaków. Okna poklejone taśmą. Tak. Samochód sióstr McClendon. Ze środka wygramoliła się Sally. Ubrana była w pikowaną białą kurtkę, obcisłe dżinsy i puchate białe buty. Włosy upięła w żółty kok. Zobaczyła nas i zmierzyła Roanego wzrokiem od stóp do głów. Może nigdy jeszcze nie widziała go ubranego w nowe i czyste rzeczy.

Roanie pchnął mnie do przodu, w stronę magazynu. Zaparłam się piętami w zwirowym podłożu i odwróciłam do niego.

- Co ty robisz? Chcę z nią porozmawiać.

- Nie, nie chcesz.

- Nie podoba mi się to, jak na ciebie patrzy. Powiem jej, żeby pilnowała własnego nosa.

- Ona głośno szczeka, ale wcale nie gryzie - odparł posępnym tonem. - Jeśli chcesz się nad kimś użalać, poużalaj się nad nią.

To skutecznie zamknęło mi usta.

- Dobra z ciebie niańka, Roanie - zawołała Sally, szczerząc zęby, kiedy podeszła trochę bliżej. - Brakuje nam ciebie. „Niańka”. Miałam ochotę wyrwać jej wszystkie włosy. Roanie położył dłoń na moim ramieniu. -

- Mam już dość wożenia mojego starego do domu, kiedy ty i Daisy wywalacie go od siebie. Powinnyście to zrobić raz a dobrze. Zatrzymała się przed nami. Uśmiech powoli zniknął z jej ust.

- Nigdy do nas nie wrócisz, prawda? - spytała cicho.

- Nie mogę zmienić tego, co się tam dzieje, ale nie muszę brać w tym udziału.

- Nie jesteś podobny do swojego taty. - Lekki uśmiezek powrócił na jej usta. - On nie potrafi trzymać się od nas z daleka. Nie może też ani na chwilę zapiąć rozporka.

Roanie odwrócił mnie i pchnął w stronę drzwi. Jego twarz była czerwona.

- Claire, wracaj do środka. Przyjdę tam za minutkę. Odwróciłam się na pięcie i spojrzałam na niego chmurnie. •V O nie. Nie wycofam się.

- Claire.

- Nie.

Sally najwyraźniej chciała coś powiedzieć Roanemu. Przysunęła się do niego bliżej.

- To łajdak, ale wielu z tych „uczciwych” mężczyzn, co się tu kręca, wcale nie jest lepszych od niego. Kiedyś to wszystko wyjdzie na jaw. Zrobi się niezłe piekło. Już niedługo stąd zniknę. Ciągle mam te pieniądze, które mi dałeś.

Pieniądze? Roanie dał jej pieniądze?

- Nie jestem taka jak ty, Roanie - mówiła dalej smutnym głosem. - Nie oszukuję się. - Wyciągnęła rękę i poprawiła kołnierz u jego kurtki.

Roanie potrząsnął głową.

- Są ludzie, którzy dadzą ci szansę na lepsze życie. Ale ty też musisz do nich wyjść.
 - Co? - Wskazała na mnie. - Ona i jej rodzinka? Oni cię okłamują. Nic ich nie obchodzisz. Niczym się od nas nie różnią. Jej wuj Pete pieprzy wszystko, co przed nim nie ucieka. I nie tylko on.
- Wrzasnęłam przeraźliwie i rzuciłam się na nią z pięściami. Roanie pochwycił mnie. Nie mówiąc ani słowa, objął mnie w pasie, podniósł i trzymał pod pachą jak rozbrykaną owieczkę. Wymachiwałam rękami, kopałam i próbowałam uwolnić się z uścisku. Sally roześmiała się głośno.
- Nie bądź zazdrosna, mała królewno. Uciekł, zanim miałam jakąś okazję. Opiekuj się nim, słyszysz?
 - Puść mnie! - wrzeszczałam, kiedy Roanie unosił mnie z dala od Sally. Zaniósł mnie do wnętrza budynku i postawił w rogu, za jednym ze straganów.
 - Uspokój się.
 - O czym ona mówiła? Dawałeś jej pieniądze?
 - Tak dawałem.
 - Dlaczego?
 - Bo ona potrzebuje pomocy, Claire.
 - Dlaczego?
 - Mówiłem ci już o Beepie. Po prostu nie mogę stać z boku i patrzeć, jak komuś dzieje się krzywda.
- Wzięłam kilka głębokich oddechów.
- Próbuję jej współczuć - powiedziałam. - Naprawdę się staram. Ale najpierw muszę jej wyrwać parę kłaków.
- Pochylił się nade mną. Jego palące spojrzenie wbiło się w moją zaciętą w gniewie twarz.
- Jest krzywdzona w sposób, jakiego nigdy nie mogłem znieść. Rozumiesz? Była niewiele starsza od ciebie, a już bała się mężczyzn. B a ł a s i ę. Dlatego właśnie tak się zachowuje.
- Spojrzałam na niego ze zdumieniem, które powoli przeradzało się w przerażenie.
- Powinna była poprosić o pomoc.
 - Tak jak ja? Nie przyjąłbym niczyjej pomocy, gdyby nie ty. Ona nie ma nikogo takiego jak ty.
 - Beep? - Powiedział Beep, wystawiając głowę zza rogu i potrząsając swym wiaderkiem.

Podbiegłam do mego. Objęłam go wpół i mocno uścisnęłam. Beep był całkiem oszołomiony.

- Beep - mruknął i niezręcznie poklepał mnie po plecach. Odwróciłam się i napotkałam udręczone spojrzenie Roaniego.

- Ja naprawdę się staram - powiedziałam powoli. - Nie zapominaj o tym.

Powiedziałam mamie, że Sally wspomniała coś o ucieczce z miasta. Myślałam, że mama przyjmie taką wiadomość z ulgą. Myliłam się.

- To jej dziecko nie jest dla nas kimś obcym - mówiła z płaczem do taty tego wieczoru. Razem z Roaniem podsłuchiwalismy ich rozmowę, ukryci na schodach. - Biedny mały Matthew. Nikt z nas nawet nie nazywa go po imieniu, jakby był tylko przedmiotem. Nawet nie wiem, czy Sally nazwała go tak na cześć apostoła, czy Matta Dillon z „Gunsmoke”. Jakie on będzie miał życie, kiedy Sally zdecyduje się na ucieczkę?

- Powiem ci, co się stanie, jeśli spróbujesz go odebrać Sally - odparł tato cicho. - Będziemy musieli pójść z tym do sądu, a żaden sędzia nie stanie po naszej stronie. Ona jest matką tego chłopca. Ma do niego pełne prawo.

- Och, Holt! Z tego, co słyszałam, ona jest jak kotka! Kiedy jakiś nowy kocur mrugnie na nią tylko, ona zapomina, że w ogóle ma dziecko.

- Kochanie, nawet jeśli moglibyśmy adoptować Matthew, nigdy nie przekonalibyśmy twojego brata, żeby przyznał się do ojcostwa. Co byś chciała zrobić? Zmusić Pete'a, żeby sprawdził grupę krwi?

- Moglibyśmy **to** zrobić. Ralph mówił mi, że może załatwić nakaz...

- Chcesz nasłać mojego brata na swojego? Mój Boże, kochanie, nie zrobisz tego naszej rodzinie. Co z twoją matką? Jest już stara, a Pete i tak przysparza jej zmartwień i wstydu. Jeśli nadal będziesz ją przekonywać, że Matthew to jego syn, złamiesz jej serce.

Słyszałam, jak mama płacze, a tato próbuje ją delikatnie uspokajać. Spojrzałam na Roaniego, który wpatrywał się tępo w przestrzeń, marszcząc gniewnie brwi. Nigdy nie mogłam go namówić, żeby powiedział mi, o czym myślał tamtego wieczoru.

Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że nie ma nic gorszego niż poznać granice dobrej woli.

Rozdział jedenasty

Problem Roaniego polegał na tym, że on wciąż nie znał swego miejsca - zbyt często wrywano go razem z korzeniami. W mojej rodzinie często mówiło się o „miejscu”. I nie chodziło tutaj o miejsce w wielkim świecie, nie o to miejsce, którego należy się trzymać - jak mawiają czasem chytry ludzie, chodziło o przynależność. Miejsce przy stole. Miejsce w rodzinie. Miejsce na ziemi. Miejsce w sercu.

Często były to miejsca związane mocno z Południem. Ciotka Jane była założycielką i prezesem Stowarzyszenia Literackiego im. Eudory Welty, którego członkowie spotykali się w bibliotece co wtorek. Nieprzypadkowo ciotka nazwała swoje towarzystwo miłośników książek imieniem pisarki z Południa, która mówiła, że mamy głębokie poczucie własnego miejsca i że nasze uczucia są z nim nierozzerwalnie związane.

Roanie miał miejsce w naszej rodzinie, i jeśli o mnie chodziło, miał też bezpieczne, mocno osadzone miejsce w moim sercu, on jednak potrzebował czegoś innego. Nie mogłam zrozumieć, co to jest, dopóki dziadek nie zabrał nas na górę Dunshinnog, gdzie mieliśmy nazrywać gałązek jemioli.

Dunshinnog wznosiła się dumnie nad południową krawędzią naszej doliny, niczym władca wszystkich gór. Należała do Maloneyów od czasów pierwszego rozdawnictwa ziemi, co było dosyć zdumiewające, jeśli wziąć pod uwagę, jak oszczędne i skromne życie musieli prowadzić Sean i Bridget Maloney, by przetrwać w tej głuszy i dorobić się czegoś.

Dunshinnog nie była tak cenna jak ziemia uprawna, położona w dolinie. Można było tylko patrzeć na nią, podziwiać i kochać ją. Myślę, że właśnie

taki, a nie inny wybór, uczyniony przez moich przodków, mówił wiele

o ich sercach, o tym, że musieli być romantykami, nawet jeśli nie mieli zębów.

Szczyt góry był rozległy i niemal zupełnie płaski. Część szczytu zajmowała piękna, naturalna polana. Wspinaliśmy się na górę najłagodniejszym, zachodnim zboczem, gdzie kiedyś, jakiś od dawna już nie żyjący Maloney utworzył płaskie, terasowate pastwiska dla bydła, zarosłe teraz sosnowym lasem. Mogłam też bez trudu odnaleźć fundamenty domu

i stodoły na jednym z dłuższych grzbietów, ale tylko dlatego, że wiedziałam, gdzie ich szukać.

Poza tym góra pokryta była starym drzewostanem. Każdej wiosny z zachwytem patrzyliśmy na chmury kwiatów derenia, a potem na różowe pęki wawrzynu. Jesienią zbocza mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni, brązu i złota. Wczesną zimą, kiedy pojechałam tam z Roaniem i dziadkiem, Dunshinnog była surową krainą ponurej szarości. Przemierzały ją małe stada saren, szopy i dzikie indyki. W pogodne dni nad lasem wisiały jastrzębie, a kiedyś widzieliśmy nawet orła. Kiedy byłam dziewczynką, żyły tam podobno jeszcze dwa niedźwiedzie, ale nigdy ich nie zobaczyliśmy.

Jednak to lisy były bohaterami miejscowych legend, lisy i tajemnicze istoty z irlandzkich bajek przywiezione tutaj przez rudowłosych imigrantów. Tak jak pan Tobbler miał swoje osy, my, Maloneyowie, hodowcy kur, już wiele lat temu zawarliśmy pokój z naszymi największymi wrogami.

- Opowiedz Roaniemu, jak Sean i Bridget nazwali tę górę - poprosiłam dziadka, kiedy wspinaliśmy się na szczyt.

Dziadek uśmiechnął się szeroko.

- Sidhe trzymają tutaj straż.

- Irlandzkie wróżki - wyjaśniłam Roaniemu, który uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Sidhe pomagały lisom zakradać się nocą do doliny i podkradać kury Maloneyów - kontynuował dziadek dramatycznym tonem. - A lisy były w tym naprawdę dobre, bo czarodziejki wkładały im na pazury maleńkie napastrki, tak że nikt nie mógł usłyszeć, kiedy wchodziły do kurników ani kiedy z nich wychodziły. - Dziadek podniósł ręce i przebierał palcami, obrazując scenę kradzieży. - Co noc wróżki zdejmowały pąki z kwiatów i zakładały je na pazury lisów, a kiedy rankiem lisy wracały z polowania, sidhe odkładały pąki na miejsce, tak by nikt nie odgadł, co się stało.

- Naparstnice - wtrąciłam swoje trzy grosze. - Dlatego właśnie te kwiatki nazywają się naparstnice. W środku pąka możesz zobaczyć ślady palców czarodziejek. Malutkie plamki. Tylko tak możesz przekonać się, co wyprawiały sidhe.

- Claire - zirytował się dziadek. - Uciszyć się i nie przerywać. Kiedy się zestarzejesz, też będziesz mogła opowiadać bajki. Teraz moja kolej.

- Och, przepraszam.

- Więc Sean i Bridget, którzy pochodzili przecież ze starego kraju, wiedzieli, że jedyne co mogą zrobić, to uhonorować lisy i wróżki, oddać im ich część i cieszyć się, że z bożej łaski mają się czym **dzielić** z innymi

- zakończył dziadek, majestatycznie kiwając głową. - Więc nazwali tę górę „Dun-sion-nach-sidh”, co po irlandzku znaczy „forteca lisów i wróżek”.

- Ale przy takiej długiej nazwie można sobie było połamać język

- oświadczyłam poważnie. - I niełatwo też napisać. Więc teraz nazywa się Dunshinnog. No właśnie. Co o tym myślisz?

Roanie zastanawiał się przez sekundę. Gdyby śmiać się z tej historyjki, straciłby bardzo wiele szacunku w oczach Maloneyów.

- Jak dla mnie całkiem sensowna - powiedział wreszcie.

Zielona jemiola zwieszała się na czubkach najwyższych drzew jak pozostałość zapomnianego już lata. Dziadek wyciągnął z plecaka strzelbę z obciętą lufą. Na zmianę z Roaniem strzelali w gałęzie. Kępy jemioly spadały na niższe konary, a wtedy dziadek podsadzał mnie, żebym zrzuciła je na ziemię. Polowanie na jemiolę było wspaniałą zabawą. Zapakowaliśmy prawie wszystko do plecaka, jednak ja zatrzymałam jedną gałązkę przy sobie.

Nie robiłam tego bez celu. Ja też miałam swoje tradycje.

- Mam ochotę na całusa - oznajmiłam.

Dziadek roześmiał się. Pochylił się nade mną, ja przytrzymałam jemiolę nad jego głową i pocałowałam go w policzek, a potem on pocałował mnie. Spojrzałam na Roanego. Czulałam się jednocześnie trochę przestraszona i podekscytowana, jak wtedy w podziemnym parkingu Richa, choć nie mogłam zrozumieć dlaczego. Wiedziałam tylko, że jego też muszę pocałować.

- Chodź **tutaj**.

Nerwowo przestąpił z nogi na nogę i wbił ręce w kieszenie.

- No już, załatw to raz dwa - dziadek śmiał się jeszcze głośniejsze. - To coś, co Claire musi robić co roku. Roanie przykucnął. Moja ręka trzęsła się coraz mocniej. Przytrzymałam jemiołę nad jego ciemną głową i szybko pocałowałam go w szczękę. Miał taką ciepłą skórę.

- Teraz ty musisz pocałować mnie - powiedziałam cicho, chrapliwym głosem. Nigdy jeszcze mnie nie pocałował, i wcale nie byłam pewna, czy zrobi to teraz. - No już, już - pisałam zniecierpliwiona. - Skończmy z tym. Odwrócił twarz w moją stronę. Nasze spojrzenia spotkały się na moment.

- Myślę, że ty też jesteś jakąś wróżką - drażnił się ze mną. Potem delikatnie dotknął wargami mojego czoła. Zamknęłam oczy.

Czułam się, jakbym płonęła i jakbym miała zaraz pofrunąć.

- Chodźmy popatrzeć na okolicę - powiedział dziadek. Poprowadził nas przez polanę do gładkiej, granitowej polki, która wystawała ze zbocza góry niczym daszek od czapki. Pod nami rozciągał się dobrze mi znany świat - należące do Maloneyów pastwiska i pola, nasz wielki dom z szerokimi werandami i potrójnymi kominami, nasze stodoły, stajnie i długie, niskie kurniki i mały domek, w którym mieszkali dziadek i babcia Maloney-owie. W oddali widać było nawet wąską brukowaną wstążkę Drogi Mydlanych Wodospadów, prześwitującą między rzędami drzew. Zdawało się, że Wąwóz Sullivana w ogóle nie istnieje, bo było to jedyne miejsce, którego nie mogliśmy zobaczyć z Dunshinnog.

- To dobre miejsce - powiedział Roanie ochryplym głosem. - Wznosi się ponad wszystkimi. To wspaniałe miejsce. Tak. Wierzę, że tutaj są prawdziwe czary".

Dziadek odprawił małą ceremonię, której nauczył go jego dziadek, a ten z kolei nauczył się jej od swojego dziadka - rytualna wędrówka przez pokolenia aż do samego Seana Maloney. Wyjął z kieszeni irlandzki cynowy flecik, przebiegł swymi grubymi palcami po sześciu małych otworach wywierconych w blaszanej tulejce, przyłożył go do ust i zagrał starą irlandzką pieśń.

Słodki, ulotny dźwięk otoczył nas i uniesiony przez wiatr popłynął w stronę doliny. Dostałam gęsiej skórki. Oczy Roaniego błyszczały, jego usta rozchylone były w cudownym zachwycie.

Stał się wtedy, na szczycie góry, chłopcem, który odnalazł magię i historię,

który dołączył do tradycji, mogącej wypełnić puste miejsca w głębi jego serca. Sidhe podarowały memu lisowi widok na świat, podarowały go mnie; nasze łapy zanurzone były w ich czarach. Mogliśmy odchodzić i przychodzić, kiedy tylko zechcieliśmy, razem. Od tego czasu góra Dunshinnog była dla nas szczególnym miejscem.

Josh i Brady przyjechali z college'u na Boże Narodzenie. Wyglądali jak supermeni, opanowani i przystojni, ze strzechą rudych włosów i pięknym uśmiechem. Mieli wspaniale umięśnione ramiona i brzuchy tak twarde, że moja piąstka odbijała się od nich jak od ściany, kiedy próbowałam w nie uderzyć. Jeździli wspaniałymi sportowymi samochodami i chodzili na randki z pięknymi dziewczynami z college'u, które przymilały się do mnie bezwstydnie, tylko dlatego, że byłam siostrzyczką Josha i Brady'ego Maloney.

Josh miał dwadzieścia pięć lat - był o cztery lata starszy od Brady'ego - obaj jednak studiowali na ostatnim roku, a to dlatego, że Josh po ukończeniu średniej szkoły spędził cztery lata w wojsku. Służył jako żandarm wojskowy w Sajgonie.

Pamiętam jeszcze smutne, niepokojące fale strachu, które ogarniały nasz dom, kiedy wszyscy co wieczór gromadzili się przed telewizorem, by oglądać wiadomości, pamiętam płacz mamy, kiedy pakowała paczki i listy do Josha, pamiętam też, jak dokładałam do tych listów własnoręcznie wykonane portrety całej rodziny i obrazki naszej farmy, żeby wiedział, że u nas wszystko w porządku. Malowane grubymi liniami, poplamione i niewyraźne, ale moje. Później dowiedziałam się, że Josh spędzał większość czasu przerywając bójki w barach, patrolując burdele i wyciągając żołnierzy z palarni opium. Było mnóstwo rzeczy, o których nie chciał opowiadać, i właśnie tym najbardziej martwili się tata i mama. On nie był po prostu moim najstarszym bratem, on był s t a r y m bratem, z siatką zmarszczek wokół oczu. Nie śmiał się zbyt często i rozmawiał głównie o polityce.

Brady, z drugiej strony, niczego nie brał na poważnie. Brady miał wielkie marzenia, nowoczesne marzenia. Grał na perkusji mniej więcej tak dobrze jak wytresowana małpa, ale w średniej szkole założył własny zespół rockowy. Tato pozwolił mu koncertować na jednym z naszych pól. Brady przeciągnął

tam kilka kabli i zbudował scenę z drewnianych skrzynek, jednak na każdym koncercie pojawiała się nie więcej jak dwudziestu najbliższych przyjaciół. Muzyka Brady'ego była aż tak kiepska.

Któregoś wieczoru, ulubiony terrier mamy o imieniu Jawbone, przegryzł jeden z kabli. Koncert zakończył się nagle przeraźliwym skowytom Jawbone i ostatnim, piskliwym akordem jednej z piosenek Rolling Stonesów. Po tym incydencie Jawbone już nigdy nie był sobą, a mama położyła kres marzeniom Brady'ego o cudownym życiu gwiazdy rocka. Na uniwersytecie studiował biznes i był przewodniczącym stowarzyszenia studentów, a kiedy nie mówił o dziewczynach, mówił o pieniądzach.

Brady zachowywał się tak jakby w ogóle nie zauważał obecności Roaniego. Josh wyraźnie go unikał. Któregoś dnia Josh wziął mnie na barana i poszedł ze mną nad strumień. ~

- Co ty kombinujesz, siostrzyczko? Chcesz mieć jeszcze jednego brata? - spytał.

- He?

- Roaniego.

Zachichotałam pod nosem.

- On jest lepszy niż brat. Mogę mu rozkazywać, a on zrobi wszystko, co mu każe.

Oboje przykucnęliśmy nad brzegiem strumienia. Josh wpatrywał się przez chwilę w zimną, srebrzystą wodę.

- Czasami można się łatwo pogubić, oceniając innych ludzi - przemówił cierpliwym tonem starszego i mądrzejszego brata. - Czasami zaprzyjaźniasz się z kimś tylko dlatego, że czujesz się samotny. A kiedy już nie jesteś sam, nie potrzebujesz tego przyjaciela. To nie fair względem tego człowieka, prawda?

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Josh kiedykolwiek mógł się w czymś pogubić.

- Nie jestem samotna. A Roanie jest całkiem w porządku.

- Kiedy byłem w Wietnamie, zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi, którzy myśleli zupełnie inaczej niż ja. Zacząłem mówić jak oni, zachowywać się jak oni i myśleć jak oni. Kiedy wróciłem do domu, trudno mi było to zmienić.

Musiałem nad tym pracować. Czasami wciąż jeszcze muszę.

- Co to byli za ludzie, ci twoi dziwni przyjaciele?

Josh przeciągnął dłonią po twarzy. Po jego skroni spłynęła pojedyncza

kropla potu. Na dworze było zimno, ale Josh zawsze wyglądał tak, jakby w jego umyśle płonął jakiś ogień.

- Chodzi o to, malutka, że możesz zrobić krzywdę innym ludziom, jeśli zaprzyjaźniasz się z nimi z niewłaściwej przyczyny. Możesz skrzywdzić samą siebie i możesz skrzywdzić swoją rodzinę.

Zastanawiałam się nad tymi słowami w ciszy przerywanej tylko chlupotem strumyka. Tłumaczenie Joshowi, jak to naprawdę wygląda, nie miało sensu. Niektórzy ludzie - mawiał dziadek - tracą czas, przeklinając ciemność, podczas gdy wystarczyłoby tylko zapalić świecę.

Parada bożonarodzeniowa odbyła się tego roku bez żadnych zakłóceń. Ale Roanie nie przyszedł jej oglądać, choć namawiałam go i błagałam, i byłam na niego wściekła przez cały wieczór.

Następnego dnia dowiedziałam się, że poprosił szeryfa Vince'a, by ten wysłał swego zastępcę na ulicę Sadową.

Roanie i ten zastępca siedzieli w samochodzie i pilnowali, by Duży Roan nie wychodził z domu Daisy.

Rozdział dwunasty

Podczas tych świąt osiągnęłam nowy poziom samokontroli. Zawsze wstawałam pierwsza w bożonarodzeniowy poranek, zawsze, i prosto z łóżka wybiegałam na schody, w nocnej koszuli, szlafroku i futrzanych, różowych pantoflach. Jeszcze na wpół śpiąca zjawiłam się w salonie, gdzie blade światło wstającego dopiero słońca rzucało szare cienie na ściany, a cały dom wypełniony był magiczną, wyczekującą ciszą. Zawsze byłam wtedy sama. Jednak tym razem zbiegłam po schodach i na paluszkach przemknęłam pod ścianą do drzwi Roaniego. Pukałam delikatnie i cierpliwie, choć musiałam wykorzystać do tego całą siłę woli, jaka mi jeszcze została. Szeptałam: „Roanie, obudź się”. Wreszcie drzwi uchyliły się lekko i wyjrzała zza nich zasoana twarz Roaniego.

- 'Co się stało? - spytał natychmiast.

- Nic. Jest Boże Narodzenie. Chodź ze mną.

- Zaczekaj. Po co?

- Och, przecież, ty nie wiesz. Zapomniałam. Nie wiesz, co to znaczy.

- Nerwowo rozejrzałam się po pustym hallu. - No, chodź! - ponaglałam Roaniego dramatycznym szeptem.

- Poczekaj. Muszę się ubrać.

- Nie, nie, nie. Nikt się tak od razu nie ubiera na Boże Narodzenie.

- Zajrzałam przez wąską szparę, ciekawa, w jakiej piżamie śpi. Roanie stał owinięty w kołdrę, spod której wystawał kołnierz bawełnianej koszulki. Poniżej dojrzałam wyblakłe spodnie od dresu z dziurą na kolanie i rozciągnięte skarpetki, przetarte na piętach i palcach. - Wyglądasz świetnie - przysięgałam.

Chwyciłam skrawek kołdry i szarpnęłam mocno. - No chodź już. Hop i Evan wyleżą za parę minut, a wtedy to już wszyscy się pobudzą. Mamy mało czasu. Zdziwiony i zdezorientowany, Roanie ruszył za mną w dół korytarza. Zaprowadziłam go przed drzwi salonu i tam zatrzymałam się na moment.

- Teraz patrz - wyszeptałam. Wstrzymując oddech nacisnęłam długie, mosiężne klamki i otworzyłam drzwi powoli, by nie zaskrzypiały. Czułam się tak, jakbym zaglądała przez lustro do Krainy Czarów.

Błyszcząca, mrugająca dziesiątkami światełek choinka stała obok kominka, w którym płonął mały ogień.

Oczywiście wtedy wiedziałam już, że to nie święty Mikołaj postawił tu choinkę i nie on zapalił ogień, że to mama wśliznęła się do salonu pół godziny wcześniej, jednak nie mówiłam o tym Roaniem, który musiał zobaczyć na własne oczy, jakie cuda zostawił tu święty Mikołaj. Kilka paczek, które zwykli śmiertelnicy położyli obok drzewa poprzedniego wieczoru, zmieniło się w ciągu nocy w prawdziwy skarb. Cały róg salonu po prostu kipiał od prezentów. Z magnetofonu płynęły delikatne dźwięki kolęd śpiewanych przez jakiś chór.

Słyszałam, jak Roanie głośno wciąga powietrze. Spojrzałam na niego z nadzieją, a jego twarz była spokojna i uśmiechnięta.

- Chodź - ponagliłam go jeszcze raz. Wsunęliśmy się do pokoju. Przyciągnęłam go do kominka. - Popatrz. - Stała tam pusta szklanka po mleku i porcelanowy talerzyk, pokryty okruszkami z cynamonowych ciastek mamy. - Oczywiście tato je zjadł - oświadczyłam poważnie. - Ale kiedyś myślałam, że to Mikołaj.

- Nie myślałam nigdy, że coś takiego zobaczę. Chyba tylko w telewizji.

- Och, to wszystko jest prawdziwe. Siadaj. Usiądź przy kominku. Ja muszę otworzyć jeden prezent przed wszystkimi, bo ja wstałam pierwsza. Więc ty też możesz otworzyć jeden. To będzie sprawiedliwe.

Patrzył na mnie, jakbym z niego żartowała.

- Dostałem prezenty?

- Oczywiście. - Podeszłam do choinki, odepchnęłam na bok sterty paczek i wczółgałam się za nie, by po chwili wynurzyć się stamtąd z dużym prostokątnym pudełkiem opakowanym w czerwony błyszczący papier i ozdobionym wielką złotą kokardą. - To ode mnie.

Wyciągnęłam paczkę przed siebie, czekając niecierpliwie, aż ją otworzy. Przez sekundę stał zupełnie nieruchomy, po czym podszedł do drzewka i przykucnął. Kiedy znów się podniósł, trzymał w dłoni maleńkie pudełeczko, owinięte w zielony papier z malutkimi, czerwonymi dzwoneczkami. Całe

oklejone było bezbarwną taśmą, a zielona kokardka była większa od samej paczuszki.

- To dla ciebie - oznajmił niedbałym tonem. - Babcie pomogły mi wybrać. - Wzruszył ramionami. Ten gest powiedział mi, że to było ważne.

Zrobiło mi się tak ciepło, jakbym była świeczką na choince. Wymieniliśmy prezenty, po czym usiedliśmy oboje przy kominku.

- Najpierw otwórz swoje - rozkazałam, choć moje palce automatycznie zaczęły już ściągać taśmę z jego pudełka. Robił to bardzo ostrożnie, nie chcąc zapewne zniszczyć papieru. Zaczęłam szurać nerwowo stopami. Otworzył pudełko i wyjął niebieski sweter, który kupiłam mu kilka dni wcześniej. Obchodził się z nim jak z papierem, w który zapakowałam pudło, delikatnie, niepewnie, dotykając czubkami palców grubych włóczkowych ściągów.

- Jest nowy - nie wytrzymałam. - Nie zdjęłam jeszcze metki, więc jeśli nie będzie pasował, albo jeśli ci się nie spodoba, możesz go wymienić na inny.

- Żadnych dziur - powiedział. - Pachnie nowością. Podoba mi się.

- Włóż go.

Zawiązał kołdrę wokół talii i naciągnął sweter na koszulkę. Choć sweter był odrobinę za duży, Roanie wyglądał w nim dobrze.

- Chciałam ci kupić coś fajnego - powiedziałam, uprzedzając ewentualną lekceważącą reakcję z jego strony. - Jakiś fajny nóż albo coś w tym rodzaju. Ale babcia Dottie powiedziała, że sweter ci się spodoba. - Westchnęłam głośno. - Ale ubrania to nic fajnego.

Roanie spojrzał na mnie poważnie.

- To pierwsza nowa rzecz, jaką kiedykolwiek dostałem, Claire. Jest wspaniała.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Wiedziałam, że się ucieszysz.

- Teraz otwórz swój prezent.

Moje palce poruszały się szybko i zręcznie. Zerwałam kokardę i papier z pudełeczka i otworzyłam wieczko. W środku, na poduszce z białej bawełny leżał delikatny złoty naszyjnik, na który nawleczono emaliowany zielony wisiołek w kształcie koniczynki.

- Och! - Uwielbiałam biżuterię bardziej chyba niż wiewiórka Hopa uwielbiała orzechy. Mama ograniczyła moją kolekcję do kilku delikatnych naszyjników, zegarka na srebrnym łańcuszku i pary klipsów z perełkami.

Gdyby nie to, wydawałbym całe moje kieszonkowe na tanie świece, którymi obwiesiłabym się potem jak choinka. - Jest piękny!

Naszynnik był akurat na tyle duży, że mogłam go przewlec przez głowę, nie otwierając zapinki. Rozpuściłam moje długie rude włosy i zamknęłam koniczynkę w dłoni.

- To najlepszy bożonarodzeniowy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. - Spojrzałam na Roaniego i z bijącym sercem powiedziałam: - Kocham cię.

- Cccc... - Rozejrzał się dokoła, jakbyśmy nie byli sami. - Ja wiem, co chcesz przez to powiedzieć, ale nikt inny by tego nie zrozumiał.

- Powiedz mi to samo. Powiedz.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

- Powiedz tylko, że to na zawsze. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Na zawsze - przyznał miękko.

Tego dnia w naszym domu roіło się od gości. Roanie chował się po kątach i obserwował wszystko w milczeniu, jak zaszczute zwierzę, które zbyt długo przebywało w klatce, by pomimo otwartych nagle drzwi szybko uciec.

Musiałam potem przyznać, że właściwie tak było lepiej, bo niektóre wydarzenia, które miały miejsce tego dnia, zgasiły nieco mój optymizm.

Moja kuzynka Aster, ta, która w czasie poprzednich świąt upadła z tubą, była liderem anty-Raoniowej frakcji dziewcząt. Szesnastolatka, otyła, nawet jak na naszą rodzinę, gdzie wszyscy lubili sobie dobrze podjeść, miała grube, kłocowate nogi o kolanach, które lekko wyginały jej się do środka, i wciąż nosiła aparat nazębny - trzeba być naprawdę niezłym twardzielem, żeby grać na tubie z takimi drutami na zębach. Miała długie proste włosy, podkreślone na końcach. Na dodatek używała niebieskich cieni do powiek. Naprawdę, było na co popatrzeć.

- Gdzie jest twój chłopak, Claire? - droczyła się Aster. Weszła do mojego pokoju, gdzie razem z Violet i Rebeką przeglądałyśmy swoje prezenty. - Pokaż mi no ten naszynnik. - Aster pochylili się nade mną i potarła palcami koniczynkę.

Odepchnęłam ją od siebie.

- Hej, to moje.

Aster parsknęła pogardliwie.

- To taniocza. Teraz jest zielone, ale poczekaj tylko parę miesięcy.

- Och, idź sobie stąd - zezłościła się Rebeka. - Wcale nie chcemy wiedzieć, co o tym myślisz.

Obdarzyłam Aster zimnym jak lód spojrzeniem i schowałam naszyjnik za kołnierz mojego czerwonego swetra.

Siedziałam po turecku na moim łóżku, a na kolanach trzymałam przenośną maszynę do pisania, którą dostałam od mamy i taty. Aster oparła się o jeden ze słupków podtrzymujących baldachim i głową wskazała na maszynę.

- Kim chcesz zostać? Sekretarką?

- Nie. Będę pisarką. I kiedyś napiszę też o tobie, więc uważaj.

- Jesteś rozpuszczonym bachorem. Podejrzewam, że ciotka Marybeth po prostu nie dba o to, co myślą ludzie. Gdyby to moja mama cię wychowywała, nie pozwoliłaby ci przyjąć taniego świecidełka od Roaniego Sullivana. Założę się, że ukradł z jakiegoś dziadowskiego sklepiku.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Powinnaś chyba zamienić sobie twarz z pośladkami, bo masz w głowie pełno gówna.

Violet i Rebeka omal nie krzyknęły ze zgorzienia. Nagle uświadomiłam sobie, że jedyną osobą, w której obecności powiedziałam słowo „gówno” był Roanie. - Gówniany łeb - dodałam radośnie.

Aster gapiała się na mnie, jak na jakieś dziwadło.

- Pewnie nauczyłaś się tego od Roaniego Sullivana.

- Nie, sama to wymyśliłam.

- Ten chłopak to po prostu zwykły śmieć. Będzie się uganiał za dziewczkami tak samo jak jego ojciec. Chciałabym, żeby po prostu stąd zniknął.

- Chciałabym, żebyś ty stąd zniknęła. Roanie jest w porządku. Wszyscy go lubimy. Ja go lubię.

Aster wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiešku.

- Więc chcesz być pisarką i dziewczką jednocześnie?

Violet i Rebeka zakryły dłońmi usta. Nie uszy, oczywiście - chciały usłyszeć każde plugastwo, jakie mogło paść z naszych ust. Nie chciały tylko ryzykować, że to, co usłyszą, wejdzie do ich głowy jednym otworem, a wyjdzie drugim.

Uśmiechnęłam się słodko do Aster.

- Jasne! Będę największą dziewczką w Dunderry! Przynajmniej nie będę się kiwać na grubaśnych, krzywych nogach i nie będę obśliniać tuby.

- Już sobie wyobrażam, co ty będziesz obśliniać - odparowała Aster i wyszła z pokoju.

Zła i zmieszana wzruszyłam ramionami. Patrząc na mnie oczami wielkimi jak spodki, Violet powoli odsunęła dłoń od ust.

- Jak myślisz, co ona miała na myśli?

- E tam, czy to ważne?

Rebeka, zaczerwieniona, przyłożyła dłonie do ucha Violet i szepnęła jej coś. Violet zmarszczyła nos i popatrzyła na mnie z jeszcze większym zgorszeniem.

- O mój Boże...

Na chwilę w pokoju zapadło nerwowe milczenie. Moje przyjaciółki przyglądały mi się z zainteresowaniem, jakby pod dobrze im znaną twarzą Claire Maloney krył się jakiś potwór. Zdawało mi się, że koniczynka rozgrzała się nagle do czerwoności.

- Och, wcale nie zamierzam być dziwką - zapewniłam je. - Żartowałam tylko.

- Więc nie wymawiaj więcej tego słowa na „g” - błagała Violet. Rebeka przysunęła się do mnie bliżej.

- Czego jeszcze nauczył cię Roanie Sullivan?

- Roanie nie nauczył mnie tego słowa.

- Myślę, że to by było naprawdę coś^wspaniałego, gdyby on ukraść dla ciebie ten naszyjnik - dodała Rebeka.

- On tego nie ukraść! On nie kradnie!

Rebeka i Violet wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Myślę, że to naprawdę wspaniałe - powtórzyła Rebeka. - Założę się, że kiedy już dostanie prawo jazdy, ukradnie samochód.

Byłam taka wściekła, że omal nie powiedziałam „gówno” raz jeszcze. Ale właśnie wtedy zrozumiałam, że wszyscy sądzą Roaniego po moich niecnych uczynkach.

Jeśli wziąć pod uwagę moje naturalne skłonności, Roanie mógł się spodziewać znacznie gorszych zarzutów, niż kiedykolwiek przypuszczałam.

Tego wieczoru poszliśmy do kościoła.

Roanie ubrany w błękitny garnitur Josha i szeroki, prążkowany krawat taty, przyciągał uwagę wszystkich, którzy przyszli na mszę, a głowy zdumionych mieszkańców Dunderry obracały się częściej niż na meczu tenisowym.

Siedział w ławce, nieruchomy jak narośl na drzewie, ale trzeba przyznać, że był całkiem przystojną naroślą.

- Śpiewaj - szepnęłam, kiedy zaczęła się *Cicha noc* i szturchnęłam go pod żebro.
- Nie jestem żaden śpiewak - odparł, także szepsem. - A ty śpiewasz tak głośno, że wystarczy za nas oboje.
- Nie jestem śpiewakiem - poprawiłam. - Ty nie jesteś śpiewakiem. My nie jesteśmy śpiewakami.
- W porządku - skrzywił się lekko. - Ty też nie jesteś żaden śpiewak. Kiedy wróciliśmy do domu, tato spytał go, czy nie chciałby poznać trochę

Biblię, a potem czytać Pismo przy ołtarzu podczas mszy. Dostać zbawienia, wyjaśnił tato. Zasłużyć sobie na zbawienie, to tak jak zasłużyć sobie na miejsce w drużynie futbolowej. Boskiej drużynie. Oznaczało to, że dany zawodnik chce grać zgodnie z ustalonymi regułami.

- Ja już jestem zbawiony, panie Maloney - odparł cicho Roanie.

Tato, niech Bóg pobłogosławi jego dobre serce, nie powracał już do tego więcej.

Źilka dni później usłyszałam głębokie głosy Josha i Brady'ego w korytarzu, obok mojego pokoju. Wyczuwałam jakąś intrygę, jak mysz ser. Podeszłam cichutko do drzwi, uchyliłam je leciutko i słuchałam.

- Bałam się, że będziemy go musieli siłą przetrzymać w miejscu.
- Widziałaś jego oczy? Kiedy tato wspomniał coś o rozmowie z ciotką Bess i wujem Billym? Myślałem, że wybuchnie, zanim jeszcze tato wszystko .mu wyjaśni.
- To twardy dzieciak.
- On nie jest dzieckiem. Od wielu lat.
- Tak, myślę, że to powinno być ciekawe.
- Mama mówi, że rzuciłby się na tygrysa, gdyby trzeba było ochronić Claire. Chyba ma rację.
- A posłuchaj tylko, jak babcie o nim rozmawiają. Chyba też mają do niego słabość.
- Taak... co za cudowny chłopak.

Roanie. Rozmawiali o Roaniem. Wyskoczyłam zza drzwi i od razu zapytałam:

- Co się dzieje?

Josh spojrzął na Brady'ego z niepokojem.

- Małe dzieci mają duże uszy.

- Rozmawiacie o Roaniem. Co się dzieje?

Wymienili poważne, dorosłe spojrzenia. Popatrzyłam na nich ze złością i zbiegłam na dół, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Mama i tata siedzieli przy stole w kuchni, poważni i milczący, Zatrzymałam się.

- Co się dzieje z Roaniem?

Cmi też wymienili poważne spojrzenia. Tato gestem przywołał mnie do siebie i objął w pól.

- Upewniliśmy się, że Roanie nigdy już nie wróci do Wąwozu. Już tu zostanie, kwiatuszku.

- To znaczy, że Roanie już zawsze będzie mieszkał z nami?

Tato spojrzał na mnie, jakby moja reakcja zmartwiła go w jakiś sposób. Wstrzymałam oddech.

- Tak, właśnie tak, kochanie.

- Obiecujecie?

- Obiecujemy - odparł tato, a mama uderzyła się w piersi i podniosła dwa palce do góry.

Wybiegłam na dwór. Dopiero po dłuższej chwili udało mi się odnaleźć Roaniego. Był na jednym z pastwisk za domem, siedział na pagórku.

- Słyszałam już - powiedziałam, sadowiac się obok niego. - Zostajesz z nami na zawsze!

- Tak, to jest coś - odparł z błyszczącymi oczyma. - Miałaś rację. Delikatnie dotknęłam jego ramienia.

- Kocham cię.

Odwrócił głowę. Potem spojrzał na mnie.

- Ja też cię kocham - powiedział. - Nie mów o tym nikomu.

Tuż przed zachodem słońca wyszliśmy na szczyt Dunshinnog. Zapaliliśmy kilka rac i w milczeniu patrzyliśmy, jak płoną na tle zimnego, purpurowego nieba.

Roanie stał obok mnie, z głową odrzuconą do tyłu, milczący. Spojrzałam na jego twarz i poczułam, jak rośnie we mnie ogromna radość.

Nie chciał, nie potrafił śpiewać w kościele, ale śpiewał wtedy na Dunshinnog, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku. Wychował się w Wąwozie Sullivana, najniższym miejscu, jakie można było znaleźć. Uwielbiał wysokość.

Rozdział trzynasty

Wielka gra w „Monopoly”, jaka miała miejsce w lutym, potwierdziła moje wcześniejsze przypuszczenia. Kiedy chodziło o ziemie i pieniądze, Roanie radził sobie co najmniej równie dobrze jak każdy Maloney czy Delaney. Wszyscy meteorolodzy z Atlanty powtarzali w telewizji, że jest za ciepło na śnieżycę, ale dziadek Maloney wiedział swoje.

- Będzie gorzej niż na Alasce i zimniej niż w nosie Eskimosa - ostrzegał, kiedy w sobotę rano tata z mamą pakowali prababcie Alicję i babkę Elizabeth do samochodu. Stare babcie wybierały się do Atlanty na przedstawienie *Hallo, Dolly* z Carolem Channingiem i nic nie mogło ich odwieść od tego zamiaru.

- Wrócimy, nim zamkną drogi - powiedział tato. - Wolałbym raczej jodmrozić sobie nos niż powiedzieć babciom, że nie zobaczą Carola Channinga.

- Synu, będziesz jeszcze żałował, że w ogóle wsiadłeś do samochodu

- obiecał mu dziadek.

Ale pojechali. Hop i Evan byli w południowej Kalifornii na tygodniowych feriach sponsorowanych przez Kościół. Prosił Roaniego, żeby jechał z nim, ale on nie chciał. Powiedział, że musi zająć się pracą semestralną. Być może jednak ta decyzja miała coś wspólnego z ponurym obrazem tych kościelnych zjazdów, jaki przedstawiłam mu kilka dni wcześniej.

- Przez cały czas musisz studiować Biblię, modlić się i jeść stare hot dogi

- wyjaśniłam. Zapomniałam tylko wspomnieć, że jeżdżą tam też dziewczyny w jego wieku.

Tak czy siak, zostałam w domu z Roaniem i dziadkiem i babcią Maloney. Dokładnie jak przepowiedział dziadek, o czwartej po południu cała farma

pokryta była warstwą zamrznętego, zlodowaciałego śniegu, a policja zamknęła wszystkie drogi. Dziadek i babcia zostali w naszym domu ze mną, Roaniem, Generałem Pattonem, pozostałymi psami, wszystkimi kotami i wiewiórką Maranem, który zwinął się w kłębek i spał smacznie obok kominka. Zadzwoił tata i powiedział dziadkowi, że on, mama i stare babcie muszą zostać na noc w hotelu. Kiedy dziadek odwiesił słuchawkę, odwrócił się do babci Dottie, chichocząc pod nosem.

- Będzie miał nauczkę. Mama i Elizabeth kłóca się o cenę pokoju.

Nic chyba nie mogło mnie bardziej ucieszyć. Zrobiliśmy sobie z Roaniem popcorn i oglądaliśmy telewizję. Potem wyszliśmy z dziadkiem na zewnątrz i omal nie zamrznęliśmy, pomagając mu przy karmieniu zwierząt. Generał Patton ścigał Marana, choć bez żadnych złych zamiarów. Koty uważały Marana za jeszcze jednego małego kotka z długim ogonem, który chowa sobie orzeszki do poduszek i pod tapicerkę mebli. Psy, oczywiście poza Generałem Pattonem, były za leniwe, by zwracać na niego uwagę.

Niedługo po zmierzchu wyłączono prąd. Zjedliśmy kilka kanapek. Dziadek poszedł spać na rozkładanym fotelu, owinąwszy się wcześniej kocem i posadziwszy sobie kota na brzuchu. Babcia zapaliła dwie lampy naftowe na stole w bibliotece, strzeliła palcami zapytała przebiegle:

- Kto ma ochotę na partyjkę „Monopoly”?

- Nie ja - odparłam natychmiast. - Ona jest prawdziwym rekinem - szepnęłam Roaniem do ucha. - Wygra wszystkie twoje pieniądze i będzie cię łaskotać, kiedy poprosisz o pożyczkę.

Roanie był świetnym graczem. Zawsze zgarniał pieniądze Hopa i Evana, nim ci mrugnęli okiem. **Ja** sprzedawałam wszystko i ryzykowałam bez sensu, ale Roanie trzymał się swojej ziemi i pieniędzy jak najgorszy skąpiec.

- **Ja** zagram - odparł z chytrym uśmiechem.

Więc babcia i Roanie siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, a pomiędzy nimi rozpościerała się plansza „Monopoly” niczym wielkie pole bitwy. Światło lamp odbijało się w ich stalowych oczach. Przyglądałam się temu z kanapy, owinięta w kołdrę i coraz bardziej śpiąca.

- Ona nigdy nie przegrywa - mruknęłam i zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, drżąc z zimna, był wczesny ranek. Ogień zgasł, lampy zgasły, Generał Patton zwinął się w kłębek na moich kolanach, a dziadek chrapał.

- **Jeszcze** jedna partia - usłyszałam ochrypy głos babci. - Ta będzie najlepsza ze wszystkich. Nie możesz się teraz wycofać. Zasługuję na rewanż.

Zamrugalam, przetralam oczy i podnioslam sie na lokciu. Skulony przy stole, z na wpol przymkietymi oczyma, Roanie opieral glowe na dloni i patrzyl na babcie.

- Tak mi sie chce spac, ze nawet nie moge juz znalezc Parku - wychrypial. - Proszę sie poddac, Pani Dottie. Nie wygra pani ze mna.

- Jeszcze jedna partyjka.

Babcia pochylala sie nad stolem, a jej rude i siwe wlosy wygladaly tak, jakby ktos porzadnie je wytargal.

- Przykro mi. Po prostu nie moge.

- Zrobie kawę. Jesteś świetnym biznesmenem, Roanie Sullivan. Nie odmawiaj •mi jeszcze jednego rewanżu. Dobra, zawrzyjmy umowę. Jeśli będziesz grał dalej, jeszcze raz powiem ci o wysoko oprocentowanych obligacjach.

Roanie skinął głową.

- Dobra - mruknął.

Babcia wyszła z salonu znużonym krokiem.

- Chyba oboje dostaliście kota - oświadczyłam. - Niedługo Generał Patton zacznie was ścigać po pokoju.

Roanie zwłókł się z krzesła, usiadł obok mnie na podłodze i oparł się ciężko o kanapę, zamykając oczy.

- Powiedz jej, że jesteś wykończony - poradziłam mu. - Ona to zrozumie. Powinna.

Roanie ziewnął szeroko. „... - Obiecała, że nauczy mnie czegoś o giełdzie i akcjach. Chciałbym... wiedzieć... - Jego głowa oparła się o Generała Pattona. Oddychał powoli i równomiernie, głęboko uspiiony.

Popatrzyłam wokół ukradkiem i pogłaskałam go po włosach, tak by niczego nie poczuł. Roanie bardzo interesował się pieniędzmi. Tato mówił, że to jego najbardziej irlandzka cecha. Otworzył już nawet swoje konto w banku. Co tydzień dzielił zarobione pieniądze na trzy części - jedną wkładał do koperty i wrzucał do skrzynki pocztowej swojego taty w Wąwozie, drugą wpłacał do banku, a trzecią, tę najmniejszą zachowywał dla siebie.

Wkrótce wróciła babcia i obudziła go. Kazała mu wypić dwie filiżanki kawy. Grali w „Monopoly”, aż obudził się dziadek i znowu musieliśmy wyjść na dwór, żeby nakarmić zwierzęta. Potem babcia znów kazała Roaniemu grać.

Kiedy po południu mama, tata i stare babcie wrócili wreszcie do domu,

znaleźli Roaniego śpiącego na podłodze w salonie, a babcię na kanapie. Oboje przyciskali do piersi pieniądze z „Monopoly”.

Wszyscy byliśmy co do tego zgodni - każdy, kto potrafił udobruchać ciotkę Irenę i wygrać w „Monopoly” z babcią Dottie, na pewno dokona kiedyś wielkich rzeczy.

Postanowiłam, że ja też przeznaczona jestem do -wielkich czynów. Zaplanowałam wielki skok w świat literatury, który wyniosłby mnie daleko poza wątpliwą sławę korespondenta klubu szkolnego dla „Koniczynki”.

„Chcemy opowieści o waszych rodzinnych miastach”, głosił nagłówek w jednym z kobiecych czasopism mamy, takich, co to poradzą szanownym czytelniczkom, jak przyrządzić doskonały krem do ciasta, jak zachować wspaniałą sylwetkę, a na okładce zamieszczą zdjęcie Mary Tyler Moore, jako przykład dla kobiet, które chcą zostać gwiazdami telewizji, a mimo to być miłe dla ludzi.

Redakcja czasopisma nagradzała najlepsze opowiadania pięćdziesięcioma dolarami. Pięćdziesiąt dolców! A przecież ja znałam mnóstwo doskonałych opowieści. Pchana do czynu pewnością wygranej, wystukałam po kryjomu pięć stron na mojej nowej maszynie do pisania. Używając wspaniałych metafor i niezliczonej ilości przymiotników, które wyszukałam w wielkim słowniku w salonie, opowiedziałam, jak Roanie ustrzelił kozła, by zapłacić wujowi Cully za nowy ząb. Dołożyłam do tego mnóstwo dywagacji, na przykład o tym jak dziadek zabijał japońskich żołnierzy, a tato mojego ukochanego Herberta. Po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że motywem przewodnim mojego opowiadania jest smutek, jaki ogarnia ludzi z mojego miasteczka, kiedy strzelają do kogoś lub czegoś. Dlatego właśnie wszyscy mieszkańcy Dunderry i okolic są równie mili, jak Mary Tyler Moore.

Podeszłam do tego zadania bardzo profesjonalnie. Zakreśliłam wszystkie błędy i kiedy po raz kolejny przepisałam opowiadanie, ograniczyłam ich liczbę do kilkunastu zaledwie. Napisałam też krótki Ust wprowadzający, który brzmiał następująco: „Wiem, że spodoba wam się ta historia. Nagrodę proszę przesłać gotówką.” U dołu złożyłam podpis czerwonym tuszem: „Z poważaniem, Claire K. Maloney”. Potem złożyłam całość na pół i włożyłam do różowej koperty, na której złotymi literami wypisałam mój adres.

Redakcja czasopisma mieściła się w Nowym Jorku. Ten adres też napisałam

złotym tuszem. Pomyślałam, że to zrobi wrażenie na ludziach z Nowego Jorku. Na wszelki wypadek przykleiłam dwa znaczki i któregoś mroźnego ranka, kiedy czekałam na autobus, ukradkiem wepchnęłam list do naszej skrzynki pocztowej.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Krótki zwięzły list w szarej urzędowej kopercie. Dzięki Bogu sama opróżniałam tego dnia skrzynkę, jak to zresztą robiłam codziennie, odkąd wysłałam opowiadanie, więc nikt tego nie zauważył.

Droga Pani/Panno Maloney:

Styl Pani opowiadania jest infantylny i niedopracowany. Pojedynczy odstęp między wierszami i liczne błędy sprawiły, że Pani list był prawie nieczytelny. Przekroczyła Pani co najmniej dwukrotnie dozwolony limit słów. Nie mogę zwrócić Pani Jej lista, gdyż nie załączyła Pani koperty zwrotnej. Przede wszystkim zaś, jako osoba pochodząca z Japonii, uważam, że porównanie japońskich żołnierzy do krów obraża cały mój naród i mnie osobiście. Życzę powodzenia w przyszłości.

Asystent redaktora naczelnego Jane Takahashi

|

Byłam zrozpaczona. Podarłam kartki z pierwszą wersją mojego opowiadania i spałam je. Roanie poczuł dym albo wyczuł moją rozpacz. Znalazł mnie za jednym z kurników, zwiniętą w kłębek, z resztkami popiołu na dżinsach i twarzą zapuchniętą od płaczu.

- Hej, co się stało, bączku? - spytał przestraszony, kucając obok mnie.

- Nic.

W tej chwili, kiedy doznałam tak wielkiego zawodowego upokorzenia, potrzebowałam samotności. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Będę w pobliżu, żeby zobaczyć, co podpalasz następnym razem.

- Nie, idź sobie. Myślę.

Mimo to Roanie usiadł obok mnie.

- Może pomyślałabyś na głos? Udawaj, że mnie tu nie ma.

- Że mnie tu nie ma. Nie potrafię udawać aż tak dobrze. W ogóle nie potrafię udawać. - W tym momencie wyrwało mi się kilka stłumionych chlipnięć. Wtedy nie wytrzymałam już dłużej i ze złamanym sercem wylałam

z siebie cały mój żal, opowiedziałam całą tę straszną historię, podczas gdy on słuchał w milczeniu, poważny i skupiony.

- Nie umiem nawet pisać na maszynie - jęczałam. - Nie mam za grosz wyczucia stylu. Obraziłam Japonkę. Nie wiedziałam, że trzeba przysłać kopertę zwrotną. Nawet nie wiem, co to jest.

- Napisałaś o mnie? - spytał. Wytarłam oczy.

- Tak, ale nie martw się. Zmieniłam twoje imię. Zmieniłam wszystkie imiona.

- I jak mnie nazwałaś?

- Dirk DeBlane. - Brwi Roaniego powędrowały do góry. Skuliłam się, czekając na wybuch śmiechu. A to imię wydawało mi się przedtem takie romantyczne. Jak imiona rycerzy z romansów mamy. - Widzę, że ci się nie podoba - stwierdziłam smutno.

- Nie... Eee... Podoba mi się. Dotąd nikt o mnie nie pisał. - Przez chwilę rozważał w myślach to dziwne imię, kiwając głową. - Dlaczego tak mnie właśnie nazwałaś?

- Bo to takie... romantyczne. - Moja-twarz płonęła. - Mam już prawie dziesięć lat. Mama mówi, że mogę zacząć spotykać się z chłopakami, kiedy będę miała szesnaście. Więc musisz czekać tylko sześć lat, żebyśmy mogli pójść razem na randkę. Ale romantyczni możemy być już teraz.

- Nie, dzięki - odparł sucho.

- Zresztą... i tak będziesz zajęty. Pójdiesz na studia.

- Może. Nie myślałem jeszcze o studiach.

- Oczywiście, że będziesz studiował. A potem ja będę studiować, a kiedy skończę, wyjedziemy i razem będziemy podróżować po świecie. Jak moja kuzynka Liza. Pojechała do Anglii na rok.

- Co tylko zechcesz, bączku.

Czasami potrafił być taki „stary”, taki cierpliwy i poważny, że czułam się jak dokuczliwa muszka, która brzęczy mi koło ucha. Przechyliłam głowę i zmierzyłam go wzrokiem.

- Myślę jednak, że do tego czasu będziemy musieli się pobrać. Żeby oszczędzić na hotelach i wynajmować tylko jeden pokój.

- Kiedyś będę zarabiał bardzo dużo pieniędzy - odparł, spoglądając na mnie z determinacją, ale na jego ustach błędził delikatny uśmiezek. - Będziemy mogli pozwolić sobie na dwa pokoje. Nie musimy się od razu pobierać.

- Myślę, że tak będzie nawet lepiej. Oczywiście, jeśli nie zechcesz się ożenić z kimś innym.
 - Nie zamierzam.
 - Więc nie potrzebujesz żadnych dziewczyn, tak? To znaczy, masz już mnie.
 - Spokojnie. W najbliższym czasie nie będę się spotykał z żadnymi dziewczynami. Do tego trzeba pieniędzy. I samochodu. Niełatwo zabawiać dziewczuchy.
 - Niełatwo zabawiać dziewczyny - poprawiłam surowo.
 - To prawda - roześmiał się.
 - Słuchaj, nie jestem głupia. Widzę, jak patrzysz na te dziewczyny, które kręcą się koło Hopa i Evana. Widzę, jak one patrzą na ciebie. Zauważyłam to już. One mają cycki, a ja nie. Ale będę miała. Poczekaj tylko.
- Ściągnął brwi.
- Ty nie jesteś - dziewczyną. Ty jesteś Claire.
 - Dlaczego musisz patrzeć na nie?
 - Bo są śmieszne. Ale za dużo z nimi kłopotu. - Słowo „kłopot” wypowiedział ze szczególnym naciskiem.
 - Tak. Ze mną nie ma kłopotu. I jestem bardzo śmieszna.
 - To nie to samo. Są takie rzeczy, o których ty i ja nie będziemy rozmawiać. To jest jedna z nich. Nie opowiadaj wszystkim ludziom dokoła, że jestem twoim chłopakiem. To co innego, a w ten sposób narobisz mi tylko kłopotów.
- ^ Jak to „co innego”?
- Przyglądał mi się przez chwilę, nieruchomy, jakby chłonał mój obraz.
- Wiesz, czym ty jesteś? Jesteś całym dobrem, jakie mogłem sobie tylko wyobrazić.
 - Co?
- Nachyliłam się do niego. Czułam, jak robi mi się ciepło w środku, jak schną łyzy, jak zapominam już o swoim nieszczęściu.
- Widzisz różne rzeczy inaczej niż wszyscy ludzie. Dałaś mi szansę, jakiej nie dałby mi nikt inny. Kiedyś ludzie będą słuchać tego, co masz im do powiedzenia. Może nie ci z tej gazety, ale ludzie, którzy wiedzą, czego warto słuchać. Tylko się nie poddawaj. Pisz dalej. Inni nie będą mogli nic powiedzieć, jeśli ty nie będziesz mówić za nich.

Poczułam, że rośnie we mnie nowa nadzieja. Oparłam głowę na jego ramieniu i popłakałam sobie jeszcze trochę.

- Kiedy będziesz już wystarczająco duża, spróbuję być taki jak ten stary Dirk - powiedział.

Spójrz tylko na niego - usłyszałam szept ciotki Lucille pewnego piątkowego wieczoru. Siedziała obok mamy przy stole w kafejce średniej szkoły. Szkolna orkiestra wydała właśnie pierwszą w roku kolację ze spaghetti, by zebrać pieniądze na nowe uniformy. Ciotka Lucille i mama nie wiedziały, że stoję za ich plecami. - Pasuje tutaj jak kwiatek do kożucha, Marybeth. Popatrz. Idzie. Nabiera jedzenie, bierze talerz na zewnątrz i siedzi tam sam, na zimnie.

- Po prostu jest nieśmiały - odparła mama.

- Kiedy przyprowadzacie go ze sobą do mojego domu, przechadza się wszędzie sam. To samo u Irene. I u Jane. Wszędzie, gdzie pójdzie. Później Claire idzie go szukać i siedzą razem jak dwie stare kury na grzędzie. Kiedy rodzina przychodzi do was w odwiedziny, jego nigdy nie ma w pobliżu. Ani Claire. Co do diabła oni robią razem?

- Pracujemy nad jego gramatyką - oświadczyłam. Obie obróciły się na krzesłach i spojrzały na mnie. - Uczę go kongregacji czasowników.

- Koniugacji - poprawiła mnie mama.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała ciotka Lucille z irytacją i niezbyt szczerze. - Ale może Hop i Evan mogliby to zrobić, a ty spędzałyś wtedy więcej czasu ze swoimi przyjaciółmi.

- Nie przeszkadza mi to. Lubię odmieniać.

- Roanie musi się zaprzyjaźnić ze swoimi rówieśnikami, Claire. Wiesz, że jesteś dla mego jak mała siostrzyczka. Niedługo nie będzie miał dla ciebie czasu. Będzie chodził na randki. Będzie miał swoją dziewczynę. To nie mogło się zdarzyć. Nie zniosłabym tego. To było po prostu nie do pomyślenia.

- Nie rozumiem dlaczego - odpowiedziałam jej. - On nie chce się uczyć odmiany z nikim innym.

Ciotka Lucille parsknęła i spojrzała na mamę.

- Claire - powiedziała mama.

Ciotka Lucille uśmiechnęła się nerwowo.

- Claire, jeśli będziesz odkładać dziesięć centów za każdym razem, kiedy zmienisz chłopca, jeszcze przed ślubem staniesz się bardzo bogatą osobą. Obiecuję ci to.
- Jeśli będę bogata, to nie wyjdę za mąż.
- Och tak, wyjdiesz z pewnością.
- W takim razie wyjdę za Roaniego.

Ciotka Lucille wpatrywała się we mnie ze zdumieniem. Mama zamknęła oczy, jakby całkiem się poddała, a potem machnęła ręką, żebym sobie już poszła.

Odeszłam całkiem zadowolona. Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że mam wyjątkowy talent do ucinania wszelkich rozmów o Roanem. Przynajmniej tych, które mogłam usłyszeć.

Rozdział czternasty

Ostatniego dnia marca Roanie kończył piętnaście lat. Nigdy dotąd nikt nie obchodził jego urodzin. Dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że wspomniał o tym dziadkowi.

Dziadek uczył moich braci jazdy samochodem, przygotowywał ich do wszystkich egzaminów i dopilnował, by dostali swoje prawa jazdy - był w tej dziedzinie największym autorytetem. W© wrześniu załatwił Evanowi pozwolenie na jazdę szkoleniową; od tego czasu Evan wjechał w Thunderbirda mamy, który z kolei uderzył w kombi babci, potem zniszczył znak drogowy ciężarówką taty i rozjechał krzak bzu w ogrodzie ciotki Irene. Kiedy cofał, zniszczył też jej karmnik dla ptaków.

Dziadek dopiero niedawno odzyskał poczucie humoru, które stracił na pewien czas, udzielając lekcji Evanowi.

- Roanie kończy w sobotę piętnaście lat - powiedział dziadek tacie. - Powiedziałem mu, że zabiorę go na posterunek policji drogowej i załatwię pozwolenie na jazdę. - Dziadek zachichotał. - Potrzebujemy nowego szofera. Nawet stare babcie nie pojadą nigdzie z Evanem.

Piętnaście lat. Urodziny. Skonsultowałam się z mamą.

- O mój Boże - powiedziała mama smutno. - Twój tato i ja powinniśmy o tym pamiętać.

- Oczywiście, byli przecież przy tym, jak biedna Jenny Sullivan go rodziła. Dręczona wyrzutami sumienia, mama zrobiła wielki przekładany tort

z białą polewą, niebieskimi różami z cukru i piętnastoma błękitnymi świeczkami. Powiedziałam jej, że muszę mieć w tym jakiś udział, więc mama

napełniła jeden z rozków zielonym lukrem, a ja napisałam na torcie: „Wszystkiego najlepszego, Roanie”. Mój lukrowy napis wyglądał jak dzieło jakiegoś pijanego ślimaka. Mama stwierdziła uprzejmie, że to nadaje tortowi wyjątkowy charakter, ale zmieniła „Roanie” na „Roan”.

- Jest już za stary, żeby dalej nazywać się Roanie - wyjaśniła.

Nie chciałam, żeby był aż tak stary. Ja nie mogłam się spodziewać podobnej zmiany w moim imieniu. Nawet gdybym opuściła „e”, wciąż wymawiałoby się je tak samo.

Nigdy nie widziałam podobnego zdumienia na twarzy Roaniego, jak wtedy, gdy wyniosłam ze spiżarki tort z zapalonymi świecami i postawiłam go przed nim na stole. Nie było to tylko zdumienie i wdzięczność, ale powolny, coraz bardziej intensywny blask zrozumienia. Właśnie to jest najważniejsze we wszystkich rodzinach - kiedy wszyscy okazują radość z tego, że właśnie ileś tam lat temu przyszedłeś na świat.

- Wypowiedz jakieś życzenie i zdmuchnij świece, Roan - poinstruowała go mama.

- Chyba musisz zażyczyć sobie gaśnicy - wtrącił się Hop. - Chłopie, jak pochyłisz się jeszcze niżej nad tymi świecami, stracisz rzęsy i brwi.

- Życz sobie, żeby różne rzeczy przestały mi się pchać pod koła - powiedział ponuro Evan.

- Nie, poproś o wczesną wiosnę - włączył się dziadek. - Inaczej w ogóle jej nie będzie.

- Poproś o dodatkowy deszcz tego lata - dodał tato.

- I żeby przestał mnie boleć łokieć - powiedziała babcia Dottie, uśmiechając się do Roaniego.

- Ja nie musiałabym się zastanawiać ani przez chwilę, gdyby ktoś mnie zapytał, czego sobie życzę. - Babka Elizabeth spojrzała znacząco na prababcie.

- Ja też bym chciała, żebyś wreszcie się położyła i umarła - odgryzła się prababcia.

- Ona była wyjątkowa, prawda - powiedział nagle Roanie. Zdumiona cisza.

- Kto? - spytałam niepewnie.

W milczeniu patrzył na twarze siedzących przy stole, wreszcie zatrzymał wzrok na mamie i tacie.

- Moja... moja mama. To znaczy... Ona nie zrobiła nikomu krzywdy. Nikomu. Byłaby prawdziwą damą, gdyby tylko dano jej szansę. Prawda?

Znów cisza. Delikatna jak kieliszki, które trzymaliśmy w dłoniach. Babcia Maloney podniosła dłoń do ust, by stłumić cichy, smutny dźwięk. Mama mrugała szybko oczami. Tata i dziadek przybrali ten śmieszny wyraz twarzy, za jakim chowają się mężczyźni, kiedy nie chcą okazać swych uczuć. Hop i Evan wyglądali tak, jakby ktoś kazał im wyrecytować wiersz miłosny przed całą gromadą dziewczyn.

- Pewnie - powiedziałam szybko. - Przecież wyszła za mąż i w ogóle. Była damą.
Mama odchrząknęła.

- Roan, twoja mama była wspaniałą dziewczyną i bardzo cię kochała. Robiła wszystko, co w jej mocy. Była damą. I wiem, że teraz byłaby z ciebie dumna.

Roanie siedział przez chwilę nieruchomo. Jego twarz mieniła się pasmami cienia i światła, rzucanego przez piętnaście lat niepewności. Wreszcie skinął głową i zdmuchnął świece.

- Pomyślałeś sobie życzenie? - dopytywałam się nerwowo.

- Zapomniałem.

- No to szybko, wymyślaj! Zanim świeczki zgasną.

- No więc... życzę sobie...

- Nie na głos! Jeśli wypowiesz je głośno, na pewno się nie spełni! Hop parsknął.

- Claire zna wszystkie zasady wymyślania życzeń. Pewnie jest jakąś czarownicą.

- Nie jestem żadną czarownicą!

- Wiedźmą - dodał Evan poważnym tonem. - Elfem, trollem... Roanie dmuchnął na dymiące jeszcze świeczki.

Spojrzałam na niego.

- Pomyślałeś życzenie?

- Tak.

- To dobrze. Powiedz mi, jak już się spełni.

- Powiem - odparł cicho.

Czar złego nastroju prysnął. Odpłynął razem z dymem. Ulga. Poruszenie. Pogalopowałam do spizarki i wróciłam z naręczem prezentów. Roanie gapił się na nie z otwartymi ustami. Musiałam dźgnąć go lekko w ramię, żeby wreszcie zabrał się do rozpakowywania paczek.

Mama, która dyrygowała kupnem prezentów, myślała przede wszystkim

o rzeczach praktycznych: ładny skórzany pasek do spodni, nowe skarpetki, spinki do mankietów i temu podobne drobiazgi. Jednak ja przekonałam ją, by pozwoliła mi kupić coś naprawdę fajnego. Roanie wyjął mój prezent z pudełka

i przyjrzał mu się z uśmiechem. Był to jeden z tych grubych szwajcarskich scyzoryków. Roanie otworzył wszystkie części noża, by wszyscy mogli ujrzeć go w całej okazałości: kilka ostrzy, otwieracz do butelek, korkociąg i nożyczki. Dla mnie nie był to zwykły scyzoryk, to był symbol. Przebyliśmy bardzo długą drogę przez ostatnie pięć lat, od dnia kiedy Roan chciał poderżnąć gardło Carltonowi. Teraz pewnie nie groziłby nikomu nożem, ale jeśli już miałby to zrobić, miał przynajmniej porządny nóż.

- Popatrz - powiedziałam do Roanego i wyciągnęłam jeszcze wykałaczkę z jednej strony scyzoryka. Rzuciłam mroczne spojrzenie w stronę Hopa i Evana. - To jest miecz czarowników. - Lekko uderzyłam nią Roanego w oba ramiona. - Teraz jesteś sir Roan. Możesz zabijać smoki dla króla Artura i przechodzić po tęczycy do szmaragdowego miasta.

- Och, sir Roan! - Zawołała babka Elizabeth i klasnęła w dłonie. - Nieustraszony rycerzu! Pogromco smoków!

- Pomieszałaś zwykle bajki z rycerzami okrągłego stołu i czarnoksiężnikiem z Oz - powiedziała mama.

Przecież dobrze o tym wiedziałam.

- Tak, bo ona jest damą Okrągłego Czoła - pokpiwał Evan, kręcąc palcem kółko na czole.

., Westchnęłam zrezygnowana. Roanie popatrzył na mnie ostrożnie. '- Przyrowadź smoka, Claire. Wyczyszczę mu zęby. Wszyscy się śmiali. Nawet ja.

Moje dziesiąte urodziny były, przede wszystkim, kamieniem milowym. Roanie położył tego ranka pod moimi drzwiami tuzin czerwonych goździków, a ja myślałam, że umrę ze szczęścia.

Nie potrafię do końca opisać, czym musiałam wtedy być dla mego: ucieleśnieniem niewinności, lojalności, akceptacji - apodyktyczna mała dziewczynka, której mógł trochę podokuczać, którą mógł chronić i z którą mógł rozmawiać na bezpiecznym poziomie, jaki nie istniał nigdzie indziej w jego życiu. Różnica wieku i marzeń, jaka nas dzieliła, wtedy była dla mnie

niewidzialna, bo ja kochałam go czystą dziecinną miłością, nie skażoną wpływem ponurej rzeczywistości czy szalejących hormonów.

Nigdy nie dowiem się, jak wyglądałaby nasza miłość, gdybyśmy dorastali razem. Przeczytałam *Wichrowe Wzgórze*, kiedy byłam jeszcze dziewczynką, i wtedy nienawidziłam Katy za jej snobistyczne okrucieństwo, z jakim traktowała Heathcliffa. Wiele lat później przeczytałam tę książkę jeszcze raz i doszłam do smutnego wniosku, że od samego początku, oboje skazani byli na przegraną.

Nie wiedziałam tego w dniu moich urodzin, ale właśnie doszliśmy do kresu drogi, która była nam wtedy przeznaczona.

Rozdział piętnasty

Nasze czary straciły swą moc w sobotę na początku czerwca. Był to parny, niespokojny dzień, wielkie burzowe chmury jedna za drugą przepływały po niebie nad szczytem Dunshinnog, a powietrze było gęste jak zupa. Pamiętam zapach świeżo przyoranej ziemi, trawy, kwiatów i wiatru. Pamiętam, jak myślałam już o smaku pierwszego słodkiego arbuza, jaki mieliśmy zjeść tego lata, pamiętam bzyczenie pszczół i delikatny śpiew ptaków.

Pamiętam ten dzień przeraźliwie dokładnie, każdy bolesny szczegół. Pamiętam, jak się ten dzień zaczął i jak się skończył.

Mama i babcia Dottie wzięły babkę Elizabeth na zakupy do Atlanty. Tato i dziadek pojechali na obiad wydawany przez stowarzyszenie hodowców drobiu w Gainesville. Hop i Evan poszli łowić okonie z wujem Winstonem i jego chłopakami. Josh i Brady nie wrócili jeszcze z college'u.

Roan został w domu i dłubał w silniku starego volkswagena, który dziadek wymienił za jakiegoś innego grata.

Dziadek powiedział mu, że jeśli uruchomi ten samochód, sprzedadzą go i podzielą się zyskiem. Roan traktował tego okropnego żółtego garbusa z takim szacunkiem, jakby pokryty był warstwą złota.

Ja miałam towarzyszyć prababci w drodze do salonu piękności. Właśnie skończyła dziewięćdziesiąt trzy lata. Nie jeździła już nigdzie sama. W ogóle nie powinna była prowadzić samochodu. Potrzebowała pomocy przy wysiadaniu ze swojego błękitnego Chevy, a do tego musiał jej towarzyszyć obserwator, który krzyczał, kiedy podjeżdżała zbyt blisko nieruchomych obiektów, takich jak drzewo. Jazda z prababcią była swego rodzaju obrzędem

inicjacyjnym - moi bracia musieli przez to przejść, dopóki nie dostali pozwolenia na samodzielną jazdę. Teraz nadeszła moja kolej.

Droga Mydlanych Wodospadów wiodła przez szeroki, kilkumilowy pas lasu i strome wzgórza pokryte krzakami **Wawrzyńca**. Tato i dziadek zawsze nalegali, by prababcia jeździła do miasta właśnie tą drogą, bo nie było niej prawie żadnego ruchu, a poza tym z obu stron chroniły ją wysokie zbocza.

No więc jechałyśmy tamtędy, a właściwie mknęłyśmy środkiem drogi, niczym bobsleiści zamknięci w wąskim torze. Białe rękawiczki prababci leżały na jej kolanach, okrytych błękitną sukienką, wewnątrz samochodu wypełnione było zapachem pudru i różanych perfum. Ja miałam na sobie ogrodniczki, różowy T-shirt i tenisówki. Przyciskałam do piersi książkę Laury Ingalls Wilder, którą zamierzałam czytać, w czasie gdy prababcia będzie robić sobie trwałą. Żałowałam, że nie mogę być na prerii z Laurą. W tej chwili mogłabym ją nauczyć kilku rzeczy o tym, jak przetrwać w ekstremalnych warunkach.

Zza zakrętu wyjechała wielka ciężarówka, wioząca kurczaki. Jej kierowca nie ustąpił miejsca prababci - nie potrafił myśleć na tyle szybko, by przemieścić kilka ton stali i kurczaki na pobocze.

- Uważaj! - wrzasnęłam.

- Psiakrew - mruknęła prababcia pod nosem i skierowała samochód na pobocze z drugiej strony drogi.

Skuliłam się na siedzeniu, skamieniała ze strachu. Przemknęłyśmy tuż obok skrzynek z przerażonymi kurczakami i znaku Farmy Drobiowej Kehoe. Prawe światło Chevy ściągnęło wielki płat ziemi z miękkiego zbocza po naszej prawej stronie i samochód zatrzymał się ze zgrzytem. Spod maski unosiły się wielkie kłęby pary.

Ciężarówka kurczaków razem jej kierowcą zniknęła za zakrętem i nie pokazała się więcej. Albo kierowca w ogóle nie widział, co się stało, albo chciał dowiedzieć wszystkie te zszokowane kurczaki do miejsca przeznaczenia, nim zemdlałyby ze strachu.

Przez następne pięć minut prababcia obrzucała go wyzwiskami i dowodziła, że to wszystko jego wina. Potem wyjęła z torebki tabletkę nitroglicerynową, włożyła ją pod język i oparła głowę o siedzenie. Jej kościste, starcze dłonie wciąż się trzęsły. Ja trzęsłam się cała.

- Prababciu, nic ci nie jest?

- Muszę tylko odpocząć i uspokoić serce - odparła słabo.

- Sprowadzę pomoc!

Wyskoczyłam z samochodu. Cieszyłam się, że mam jeszcze nogi. Spojrzałam do tyłu na drogę, którą już przebyłyśmy. Do domu? Tak. Nie - za daleko. Obróciłam się na pięcie i spojrzałam przed siebie. Wąwóz był najbliżej.

Wąwóz. Duży Roan.

Nie mogłam tracić czasu, a dom był już całkiem daleko. Pobiełam w stronę Wąwozu.

Myślałam tylko o tym, że muszę nieprzerwanie poruszać nogami. Kiedy dotarłam do bocznej dróżki, prowadzącej do Wąwozu, zatrzymałam się na moment przy przechylonej skrzynce pocztowej i oddychałam głęboko, modląc się w duchu, by z nieba zstąpił anioł i towarzyszył mi w dalszej drodze, tak jak opowiadał nam kiedyś kaznodzieja z kościoła Metodystów.

Zaczęłam schodzić ze wzgórza. Nigdy jeszcze nie byłam na podwórku Dużego Roana, nigdy jeszcze nie byłam w tej okropnej przyczepie. Jego zardzewiały samochód stał zaparkowany przy drewnianych schodach. Przełknęłam ciężko ślinę. Zdawało mi się, że moja grdyka jest wielka jak piłka do baseballu.

Stapałam ostrożnie między gnijącymi torbami na śmieci i starymi oponami, omijałam ośki do samochodów, zardzewiałą pralkę z oderwanymi drzwiczkami i sterty starych, tłustych puszek, w których aż roiło się od robaków. Otaczały mnie roje much. Wdychałam smród, w którym żył Roan, smród, który niósł ze sobą w ubraniu, wdychałam go i starałam się nie zwymiotować.

Weszłam na schody, ciężkim krokiem, jakby moje stopy odlane były z ołowiu, otworzyłam powyginane zewnętrzne drzwi i zastukałam w drugie. Po minucie zastukałam jeszcze raz, głośniej. Usłyszałam jakieś huki, potem ciężkie kroki, aż wreszcie Duży Roan otworzył drzwi z trzaskiem i spojrzał na mnie z góry, marszcząc gniewnie brwi. Miał brudne, tłuste włosy, a jego koszulka pokryta była wilgotnymi plamami. Dzięki Bogu założył swoją metalową nogę. I spodnie.

- Czego chcesz? - warknął, kiwając się z boku na bok. Owionął mnie jego kwaśny, cuchnący oddech.

Niech ten cholerny anioł zjawi się tu wreszcie.

- Przepraszam bardzo, czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu?

- Po jaką cholere?

- Moja prababcia miała wypadek niedaleko stąd. Chciałam zadzwonić po pomoc.

Roanie. Roanie po nas przyjdzie.

- Hmm...

Duży Roan potarł nie ogoloną brodę. Kiedy jego usta wykrzywiły się w czymś, co miało przypominać uśmiech, zobaczyłam białą pianę na jego zębach. Miał podkrążone oczy, a na policzkach widać było popękane żyłki, przypominające maleńkie, szerniałe pęknięcia na starych talerzach.

Odchylił się lekko na bok a ja precisnęłam się obok niego. Prawie całą powierzchnię przyczepy zajmowały stare meble, między którymi została tylko wąziutka ścieżka. Elektryczny wiatraczek bezskutecznie próbował poruszyć stęchłe powietrze. Na ekranie małego czarno-białego telewizora rozgrywał się właśnie mecz baseballowy.

Przekrzywiona antena owinięta była w folię aluminiową. Wszędzie walały się puszki po piwie i butelki po wódce.

- Boisz się mnie? - spytał Duży Roan.

- Nie, proszę pana.

Kopnęłam niechcący w brzeg tapczanu, wzbijając tym samym kłęby kurzu. Duży Roan pokuśtykał do starego fotela o głęboko zapadniętym siedzeniu i zwałił się nań ciężko. Nie powiedział ani słowa więcej, siedział tylko i patrzył na mnie. Szeroko rozłożył nogi, tę sztuczną kładąc na mojej drodze. Brzydki, czarny telefon stał na stercie gazet obok jego krzesła. Na okładce pierwszej z nich widniało zdjęcie nagiej kobiety. Widziałam ją od pasa w dół, bo tyle wystawało spod telefonu.

Szybko przeskoczyłam nad wyciągniętą nogą Dużego Roana.

Jego oślisłe spojrzenie nie odrywało się ode mnie ani na moment, kiedy podnosiłam słuchawkę i wykręcałam numer. Nikt nie odbiera. Sygnał. Jeszcze raz. Roanie był na zewnątrz. Nie mógł usłyszeć. Oprócz niego nikogo nie było w domu. Powinnam była pobiec tam, a nie do Wąwozu. Nie do skrzywionej twarzy Dużego Roana, jego przerażających oczu, obrzydliwych spojrzeń i smrodu.

- Halo? - odezwał się Roan. Jednak istnieją anioły.

- Przyjedź po nas! Miałyśmy wypadek! Jestem w Wąwozie! Prababcia została w samochodzie! Jestem w Wąwozie! Przyjedź po nas!

- Claire, wracaj na drogę - odpowiedział natychmiast. Mówił powoli, beznamiętnie, a ja zrozumiałam, że nie chce okazywać swego zdenerwowania. Zaczęłam się naprawdę bać. - Wracaj natychmiast - dodał. - Wezmę

samochód dziadka Maloneya i będę tam za pięć minut. Przysięgam na Boga. Odlóż tylko słuchawkę i wracaj na drogę.

- Dobrze! Pospiesz się!

Ostrożnie odłożyłam słuchawkę na miejsce.

- Dziękuję, Panie Sullivan - wyrzekłam piskliwym głosem. - Poczekam na drodze. Dziękuję.

Odwróciłam się. Duży Roan wciąż na mnie patrzył. Nagle podniósł metalową nogę i oparł sztuczną stopę na kanapie, która stała naprzeciwko jego fotela. Jakby jego noga była szlabanem kolejowym, którym odgrodził mnie od nadjeżdżającego pociągu. Złapał mnie po swojej stronie drogi.

- To był mój chłopak, co? - spytał monotonnym głosem. - Chcesz, żeby po ciebie przyjechał.

- Ja... ja już muszę iść, panie Sullivan.

- Nigdzie nie pójdziesz, do diabła. Chcę z tobą pogadać.

Wbiłam wzrok w nogawkę jego spodni, która zwisała z metalowej nogi tak jakby pod spodem był tylko szkielet.

- Lepiej będzie, jeśli postawi pan nogę na ziemi, panie Sullivan. - Strach niemal zupełnie odebrał mi głos. - Nie chciałabym się na nią wspinać albo coś takiego. To znaczy... mogłabym ją zgiąć.

- Gówno - parsknął w odpowiedzi.

I nie poruszył się. Ja też stałam nieruchoma jak posąg. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, która zdawała się być całą wiecznością. On mierzył mnie wzrokiem, wodził oczami przypominającymi wilgotny marmur, ja starałam się, ze wszystkich sił nie okazywać strachu. Słyszałam odgłosy meczu dobiegające z telewizora. Słyszałam, jak krew pulsuje mi w skroniach. Liczyłam cicho kolejne minuty, odmierzane przez zegar stojący na skrzynce telewizora. Wreszcie on pochylił się i szepnął:

- Zbuntowałaś mi chłopaka. Napuszczasz go na mnie. Lód w moich żyłach.

- Nie - wyszeptałam w odpowiedzi. - To nieprawda, proszę pana. Nie sądzę...

- Niby co w tobie jest takiego specjalnego? - Wyciągnął rękę i pochwycił rąbek mojej koszulki. Wzdrygnęłam się.

Jego palce mięły materiał. - Za dobra jesteś, żeby ze mną gadać, co?

- Rozmawiam przecież. Widzi pan? Rozmawiam. Ale muszę już iść, proszę pana.

- Jak tyś mu zawróciła we łbie, kurczaku? - Dalej miał brzeg mojej koszulki między kciukiem i palcem wskazującym. - Ty mała różowa wścibska papło. Myślisz pewnie, że jesteś ładniutka, co? Uprzejmość nie przynosiła żadnego skutku. Odruchowo cofnęłam głowę, przerażona bliskością, smrodem, gorącem. Spróbowałam być stanowcza.

- Puść moją koszulę. Połóż nogę na podłodze. Natychmiast. Albo... albo powiem mojemu tacie, a on przyjdzie tutaj i zrobi z ciebie marmoladę.

Pozostało mi tylko straszenie tatą. Jednak nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby zadzierać z dziećmi Holta Maloneya.

Oczy Dużego Roana rozbłysły jakimś dziwnym blaskiem. Nie miał szarych oczu, jak Roanie. Jego oczy były bezbarwne, nijakie, kryły się pod napuchniętymi powiekami, jak oczy aligatora, czatującego w błotnistej wodzie na ofiarę. Szarpnął mnie mocno za koszulę.

- Nie jesteś córeczką tatusia. Jesteś małą tłuściutką dziwką. Sięgnął ręką do moich włosów. Uderzyłam go w twarz. Ryknął z bólu i ze zdumienia i pochwycił mnie obiema dłońmi. Wrzeszczałam z całych sił, wierzgałam nogami, waliłam rękami we wszystkie strony. Przeklinając i sapiąc, wciągnął mnie na siebie. Uderzyłam go w twarz jeszcze raz, a wtedy on uderzył mnie, mocno, nie tylko w twarz, ale w całą w głowę. Poleciałam do tyłu i uderzyłam w coś całym ciałem. Słyszałam jakieś trzaski. Przez chwilę widziałam tylko gwiazdy, nie mogłam myśleć, nie wiedziałam, gdzie jestem.

Potem chwycił mnie za ramię, rzucił na podłogę. Leżałam twarzą do ziemi, wciśnięta między jakieś śmiecie i meble, on siedział na mnie, miażdżąc mi płuca. Wierciłam się, wywijałam, słuchałam własnego krzyku. Wykręcił mi jedną rękę do tyłu i wtedy coś się zerwało, coś wewnątrz mojego ramienia, a ból zalał mnie jak wielka, czarna fala. Zerwał szelki moich ogrodniczek, podniósł, ściągnął spodnie do kostek. Potem chwycił mnie między nogami.

Wiedziałam tylko, że znalazłam się w straszliwych objęciach nocnego koszmaru, że potwory, które mieszkają pod łóżkami dzieci i w ich szafach są prawdziwe, i że nic, nic w całym moim życiu nie będzie już takie samo.

Potem doszły mnie jakieś nowe dźwięki, krzyki, głos Roaniego, chrapliwy i dziki, jak warczenie wściekłego psa. Nie wiem dokładnie, co się stało. Jakieś huki, przemoc, chaos. Nagle byłam wolna, nic mnie już nie gniotło. Słyszałam sapanie Dużego Roana, wrzaski, przekleństwa, dotykały mnie dłonie Roaniego, ciągnęły po brudnej podłodze.

Ryk Dużego Roana:

- Cholerny gówniarzu, jak podniesiesz na mnie rękę, to... A potem wystrzał.

To oczyściło nagle mój umysł. Zerwało zasłonę ciemności sprzed moich oczu. Jęcząc, płacząc, przekreśliłam się na plecy i patrzyłam szeroko rozwartymi oczyma. Jezu, Jezu, Jezu.

Nigdy jeszcze nie widziałam człowieka, któremu odstrzelono pół głowy.

Roanie przyczołgał się do mnie na kolanach. Byłam cała obolała. Na chwilę straciłam przytomność. Roanie klęczał obok mnie, pochylał się nade mną. Trzymał mnie za rękę. Płakał.

- Claire - powtarzał - Claire.

Była to scena, na którą musiał patrzeć sam Bóg, Jezus i wszyscy aniołowie - z których żaden nie był godny zaufania, jak zdecydowałam później - prawie dorosły chłopak i mała dziewczynka, o twarzach pomazanych krwią, przytuleni do siebie, skuleni w najniższym, najciemniejszym miejscu na tym świecie, przerażeni i obolali.

A dokoła panowała absolutna cisza.

To, co działo się później, docierało do mnie z opóźnieniem, jak przez mgłę - pewnie było to wynikiem szoku - jakbym oglądała jakiś horror, zakrywając twarz dłońmi i zerkając na ekran tylko jednym okiem. Nigdy wcześniej nie widziałam, by mama i babcia Dome wpadły w histerię. Nigdy dotąd nie widziałam taty płaczącego z bezsilnej złości!

Hop i Evan jeszcze nigdy nie byli dla mnie tak rozdzierająco dobrzy.

Potem zabrano nas oboje do wuja Mallory'ego. Nasze rozbite wargi, moje podbite oko, wywichnięte ramię - byłam obojętna na wszystkie zabiegi i to, co się wokół mnie działo, dopóki mama i babcia nie rozebrały mnie do majtek, a ja zrozumiałam, że wuj Mallory chce z jakiegoś nie znanego mi powodu zajrzeć między moje nogi. Potem wybuchnęłam konwulsyjnym szlochom i musiałam leżeć na jego stole, ubrana tylko w papierowe prześcieradło, podczas gdy mama płakała cicho i trzymała mnie za zdrową rękę, a wuj dotykał tam, gdzie nikt prócz mnie samej nie miał prawa dotykać.

Kiedy już ubrano mnie z powrotem, nafaszerowano jakimś lekarstwem, po

którym stałam się całkiem słaba i bezwładna, kiedy włożono mi rękę w temblak i posmarowano rozbitą wargę żółtą maścią, tato wniósł mnie do poczekalni, a tam siedział Roan, patrzył na mnie w napięciu i przerażeniu, jego dolna warga i broda też były żółte. Jedyne, co mogłam zrobić, to pomachać mu słabo zdrową ręką, spróbować go dosięgnąć, ale kiedy on wyciągnął do mnie rękę, tato odwrócił się nagle.

- Wszystko w porządku? - spytał Roan chrapliwie.

- Tak - odparł tato, ale było to gorzkie słowo, ściągnięte gniewem, nie takie, na jakie Roanie zasługiwał. Gniew taty utkwiał w moich otepiałych myślach.

Zabrano mnie do domu i położono w łóżku taty i mamy. Prababcia leżała już w swoim pokoju. Babka Elizabeth siedziała przy niej i obie popijały brzoskwińową brandy. Babka trzymała prababcię za rękę.

Pan Tobbler przyszedł do naszego domu.

- Cholerny biały śmieć - powiedział mojej rodzime, i on też się rozplakał. Renfrew nie płakała. Zajęła się kuchnią i zaczęła gotować dla całego tłumu.

Wszyscy krewni, którzy nie mieszkają zbyt daleko, przyjeżdżali do nas natychmiast, gdy tylko dowiedzieli się, co zaszło. Wkrótce pojawił się też kuzyn Vince i jego zastępcy, i jeszcze inni ludzie w mundurach. Ludzie, których nie znałam, zabrali Roanego do salonu i zamknęli drzwi.

Próbowałam wypytać się o mego, ale język odmówił mi posłuszeństwa. Zanurzyłam się w dziwnym, bezradnym półśnie.

- Moja mała dziewczynka, moja biedna dziewczynka - słyszałam pochlipywanie mamy. - Wszyscy mieli rację, Holt. Popatrz, czym się to skończyło.

- Nie martw się, ona jest prawdziwym twardzielem - odparł tata.

- Przynajmniej nie została... Duży Roan... - Głos taty załamał się nagle.

- Zrobiłby to - powiedziała mama. - Na pewno właśnie to chciał zrobić. O mój Boże...

- Ale Roanie mnie uratował i Duży Roan nie zrobił mi nic złego

- mamrotałam do każdego, kto się do mnie zbliżał, aż dziadek który zajął się wszystkim tak cicho i niepostrzeżenie, jak tylko on potrafił, wszedł na górę, i zrozumiał, co mnie dręczy, szepnął mi do ucha:

- Nie martw się, słoneczko, Roan nie pójdzie do więzienia. Zrobił to, co należało.

W porządku. Więc możemy po prostu zapomnieć o Dużym Roanie i żyć jak przedtem. Oczywiście. Zasnęłam. Gdzie jest Roan? - To była pierwsza rzecz, jaką chciałam wiedzieć, kiedy się obudziłam. Na dworze zapadł już zmierzch.

- Jest w swoim pokoju - powiedziała mama, głaszcząc mnie po głowie. Wyglądała tak, jakby lada chwila miała się znowu rozplakać. - Hop i Evan są z nim.

- Chcę go zobaczyć. Muszę go zobaczyć.

- Nie teraz.

- Dlaczego nie?

- Vince chce z tobą porozmawiać - powiedział burkliwie tato. - Jeśli oczywiście czujesz się na siłach.

- W porządku, mogę rozmawiać. Dlaczego wściekasz się na Roana?

- Wściekam się... bo mojej małej dziewczynce stała się krzywda.

- Ale Roan nie zrobił nic złego! Przyszedł mi pomóc. To była moja wina.

- Och, kochanie, to wcale nie była twoja wina. Nie martw się teraz o Roana.

- A kiedy będę się mogła o niego martwić?

- Wciąż byłam nieco oszołomiona.

- Już nigdy więcej, jeśli będzie to w mojej mocy - odparła mama. Pomyślałam, że to brzmi obiecująco.

Mama pomogła mi włożyć nocną koszulę i mój różowy szlafrok frotte. Dała mi jakąś tabletkę. Nic mnie nie bolało. Właściwie czułam się całkiem dobrze. Tato zniósł mnie na dół. Były tam wszystkie moje ciotki i wszyscy wujkowie, i kilku dorosłych kuzynów. Pamiętam zapłakane twarze, twarze napięte, ściągnięte gniewem, twarze pełne współczucia.

- Cześć, czuję się świetnie - oświadczyłam z determinacją, kiedy mijaliśmy tłum w korytarzu. - Roanie też się świetnie czuje. Nic nam nie jest.

- Spójrz na jej oko - jęczała ciotka Lucille. - I jej usta. O mój Boże.

- Oto do czego prowadzi spoufalanie się z hołotą - mówiła głośno ciotka Arnette. - Mówiłam wszystkim, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Ale czy ktoś w tym domu mnie słucha?

- Nikt się teraz z tobą nie spiera - warknął wuj Eldon.

Chętnie bym powiedziała, co o tym wszystkim myślę, ale wchodziliśmy już do salonu, jeszcze nie byłam w stanie szybko zebrać myśli.

Zrozumiałam, że sprawy mają się kiepsko, kiedy tylko zobaczyłam wuja Ralpa. Jeśli wuj Ralph przyjechał aż z Atlanty, to oznaczało, że potrzebujemy rady prawnika. Usiadł obok mnie i powiedział, że byłam bardzo dzielna. Siedziałam na kolanach taty. Trzymałam mamę za rękę. Szeryf Vince siedział naprzeciwko. Uśmiechnął się do mnie i poprosił, żebym opowiedziała mu dokładnie, co się wydarzyło w przyczepie Dużego Roana. Opowiedziałam mu raz, potem drugi. Przez cały czas robił jakieś notatki.

- Roan płakał - wybuchnęłam nagle. - Płakał, bo musiał go zastrzelić. Wiem, że było mu przykro.

- A teraz pomyśl dobrze - powiedział Vince. - Co krzyczał Duży Roan, zanim padł wystrzał?

Powtórzyłam jeszcze raz: „Cholerny gówniarzu, jak podniesiesz na mnie rękę, to...”.

Wreszcie jednak zrozumiałam, do czego zmierza, i co muszę zrobić dla Roanego. Zapatrzyłam się w przestrzeń.

Udawałam, że głęboko nad czymś rozmyślam. Wreszcie wydałam z siebie dramatyczny okrzyk i spojrzałam prosto w oczy Vince'a:

- Pan Sullivan krzyknął: „Cholerny gówniarzu, jak podniesiesz na mnie rękę, to cię zabiję.

Dwa słowa. Tylko te dwa słowa. Vince odetchnął z ulgą.

- Jesteś pewna, że tak właśnie powiedział, Claire? Pokiwałam głową.

- Zapomniałam przedtem. Ale teraz jestem pewna.

- No to jesteśmy w domu - powiedział wuj Ralph. - To rozwiązuje całą sprawę. Nie mam żadnych wątpliwości. Ta ostatnia informacja utwierdza mnie tylko w tym przekonaniu. Sprawa jest zamknięta.

- Roan nie może iść do więzienia! - krzyknęłam. - To nie była jego wina!

- Hej, hej, wszystko w porządku, Claire - uspokajał mnie Vince. - Chcieliśmy tylko poznać wszystkie szczegóły.

Roanemu nic nie grozi.

Głośno wypuściłam powietrze, wciąż roztrzęsiona.

- Obiecujecie? - spojrzałam na mamę, tatę, wuja Ralpa. - Obiecujecie?

- Obiecuję - powiedział wuj Ralph.
- Wszyscy obiecujecie?
- Roan nie pójdzie do więzienia - powiedział tata, odwracając wzrok.
- Mamo?
- Obiecuję ~ odparła mama, zakrywając twarz jedną dłonią.
- W porządku. W takim razie pójdę zobaczyć, co się z nim dzieje.
- Nie - stanowczo sprzeciwiła się mama. - Teraz Roan potrzebuje odpoczynku.

Działo się coś dziwnego. Nie mogłam tylko zrozumieć co.

Leżałam w ciemności obok mamy, na jej wielkim łóżku i patrzyłam na ciemniejsze plamy belek pod sufitem.

Czułam się jak we śnie, w takim, w którym człowiek może tylko myśleć, a nie jest w stanie poruszać się ani mówić.

Moje małe, ważne kłamstewko uwierało mnie jak cierń, a mama i tata chyba się tego domyślali.

Około północy przyjechali z college'u Josh i Brady. Słyszałam dwanaście uderzeń zegara i niskie, głębokie głosy moich braci w hallu. Potem obaj wyszli razem z dziadkiem i tatą do wuja Berta na jakąś naradę.

„Roan na pewno zostanie tutaj już na zawsze”, myślałam, zasypiając. Bo nie ma już Dużego Roana, a Roan zrobił to, co należało zrobić. Sprawiedliwości stało się zadość.

Nie podejrzewałam wtedy, że sprawiedliwość nie miała z tym nic wspólnego.

Rozdział szesnasty

Tej nocy spłonął Wąwóz Sullivana. Rozbryzgana krew i mózg Dużego Roana, jego przyczepa, jego śmiecie, samochód, wszystko. Oczywiście nie był to wypadek. Zrobił to mój tata, moi bracia i krewni, choć nikt nie mówił o tym głośno.

Następnego ranka tato zawiózł tam nasz buldożer i zepchnął wszystko, co pozostało po Dużym Roanie, do żlebu na dnie Wąwozu, przykrył to ziemią i posiał na niej perz, co jest największą obrazą, jaką farmer może wyrządzić czyjejś ziemi. Rozerwał skrzynkę pocztową i rozjeździł dróżkę, prowadzącą do głównej drogi. Już na zawsze wymazał Sullivana z Wąwozu Sullivana. I chciał też wymazać Roana.

Ale o tym dowiedziałam się nieco później.

Gdzie jest Roan? - spytałam nazajutrz rano, kiedy tato zniósł mnie ze schodów. Przy stole w kuchni oprócz nas dwojga siedziała tylko mama. W domu było dziwnie cicho, niepokojąco cicho. W dodatku to wcale nie był ranek, jak odkryłam po chwili. Spałam aż do obiadu.

- Poszedł z dziadkiem na Dunshinnog - powiedział tato. Widziałam, jak wymienił z mamą ostrożne spojrzenia.

- Dlaczego?

Mama stanęła za mną, położyła dłonie na mojej głowie, delikatnie gładziła włosy.

Tato odrzekł mrukliwie: - Porozmawiać o różnych rzeczach.

161

Zamrugałam oczami ze zdumienia. To nie miało sensu. To było dziwne. Zdawało mi się, że mój mózg odłączony jest od reszty ciała. Mogłam myśleć, ale moje myśli nie docierały do moich członków.

- Na miłość boską, Holt - przemówiła mama płaczącym głosem. - Dałam jej lekarstwo, kiedy się obudziła. Jest teraz rozkojarzona. Nie próbuj z nią rozmawiać w tej chwili.

- Ona wszystko rozumie. Musi wiedzieć. Claire, próbujemy zdecydować razem, co będzie najlepsze dla Roana.

- Idę na Dunshinnog - szepnęłam. - Muszę mu pomóc. Wiecie, że on mnie potrzebuje. Bo to przeze mnie zastrzelił Dużego Roana.

Mama znów się rozplakała. Nie poszłam wtedy na Dunshinnog. Nie pomogłam Roanowi, kiedy mnie potrzebował. Musiałam wrócić do łóżka nawet nie protestowałam.

Tak bardzo było mi żal Roaniego, że ogarnęła mnie dziwna apatia.

Moja rodzina nie pozwoliła pochować Dużego Roana w naszym okręgu, w ziemi Dunderry, jak gdyby mógł przemknąć do gleby i zatruć ją. To, co zostało z jego ciała, wywieziono z dala od naszego miasta i pochowano na jakimś anonimowym publicznym cmentarzu. Dziadek i babcia zabrali Roana na pogrzeb. Byli tam tylko oni i ciotka Dockey, która na własne życzenie pojechała, by zmówić krótką modlitwę, bo nie chciał zrobić tego żaden pastor. Później pokazała się na farmie Daisy. Słyszałam, jak krzyczała na podwórku, że, to wszystko z zazdrości, że Roan zabił Dużego Roana, bo był zazdrosny o Sally, że Duży Roan nie skrzywdziłby małej dziewczynki, że nakładliśmy Roanemu głupot do głowy, że zbuntowaliśmy go przeciwko rodzonemu ojcu.

Sally rozdmuchwała tylko plotki, znikając któreś nocy bez śladu, razem ze swoimi rzeczami i z dzieckiem. Nie powiedziała, dokąd wyjeżdża nawet swoim siostram. Duży Roan nie żył. Dziecko wuja Pete'a przepadło bez wieści. Wiadomości o oskarżeniach Daisy szybko rozeszły się po okolicy - w żaden sposób nie można było powstrzymać tych głupich plotek, tak jak nie można było zaprzeczyć pogłoskom, że jestem w strasznej depresji, że zostałam prawie zgwałcona i że w jakiś sposób na zawsze już będę naznaczona.

Ale ja nie słyszałam tego wszystkiego, nie wtedy. Tkwiłam wciąż w moim sennym, bolesnym, dryfującym świecie, niemalże uwięziona w sypialni mamy i taty. Dla mojego własnego dobra, jak twierdzili oboje.

Po pogrzebie usłyszałam głośną rozmowę na dole i zwlokłam się z łóżka. Babka Elizabeth siedziała w fotelu przy łóżku i trzymała przy mnie straż, jednak właśnie zasnęła. Moje nogi były dziwnie słabe. Powoli schodziłam schodami prowadzącymi do kuchni. Zdrową ręką trzymałam się kurczowo poręczy. Druga spoczywała na temblaku. Różowa koszula nocna plątała mi się między nogami.

Głos taty.

- To nie jest kara. To nie jest więzienie. To sierociniec prowadzony przez kościół Metodystów. To dobrzy ludzie. Będziesz tam tylko przez pewien czas, dopóki wszystko nie ucichnie. - Opadłam bezsilnie na ostatni stopień, łapiąc oddech, mrugając mocno powiekami. Bolała mnie głowa. Wystarczyło, bym poruszyła palcami, a całe ramię ogarniał piekący ból. Sierociniec? Co to ma znaczyć?

- Nie jestem dla was dość dobry. - Głos Roana, zawzięty i zrezygnowany jednocześnie. - Właśnie to chcecie powiedzieć. Nigdy nie będę dość dobry. Wszyscy mówią o mnie „morderca”, i właśnie o tym myślicie za każdym razem, kiedy na mnie patrzycie. I nawet jeśli zrobiłem, co musiałem zrobić, a wy dobrze o tym wiecie, i mówicie, że wszystko jest w porządku, to głęboko, w duszy myślicie; „Jego stary chciał zrobić Claire coś strasznego. Nie możemy trzymać w domu takiego zła”.

- Roanie, wszędzie poza tym domem otaczają cię podejrzenia. - Głos mamy. - Proszę, spróbuj to zrozumieć.

- Ufałem wam wszystkim. Pracowałem tak ciężko, jak tylko mogłem. Robiłem wszystko tak, jak tego chcieliście. Nie możecie mnie odesłać. Nie możecie.

Nie wiem, jaki dźwięk wydałam wtedy z siebie. Chwiejnym krokiem wbiegłam do kuchni, zataczałam się jak pijana, płakałam.

- Co wy chcecie mu zrobić? Nie. Nie.

Byli tam mama i tata, Josh i Brady, dziadek i babcia. I Roan, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, stojący na środku kuchni, sam pomiędzy mmi.

Spojrzał na mnie. Och, wyglądał okropnie. Poraniony wewnątrz i na zewnątrz, z kamienną twarzą, jego wzrok tak przeraźliwie samotny i zrezygnowany, że nagle poczułam, jak serce zamiera we mnie z rozpacz. Wymknęłam się Joshowi, który próbował mnie zatrzymać, podbiegłam do Roana, objęłam go zdrową ręką i mocno przytuliłam się do niego. Chciałam wpełznąć w niego i upewnić się, że jego serce nadal bije. Osunął się na kolana, przygarbnił mnie do siebie i oparł swoją głowę o moją.

Wszyscy płakali albo mówili coś jedno przez drugie.

- Będiesz mogła **pisać** do niego, Claire — wołała mama. - Obiecuję.

- Nie odsyłajcie go! Jesteśmy jego rodziną! Nie możecie go odesłać! To niesprawiedliwe!

- To nie będzie trwało wiecznie - powiedział tato, kucając obok nas.

- Zaopiekuję się Claire - błagał Roanie. - Proszę. Próbowałem już. Nie pozwolę, by kiedykolwiek znów stało jej się coś złego. Proszę.

- Nie - odparł tata szorstko. - Czasem można iść naprzód, ale czasem trzeba się też cofnąć. Wszyscy tego potrzebujemy. Potrzebujesz czasu, Roan. Spójrz na nią. Jest chora. Jest ranna. Wiesz dobrze, że nie winimy cię za to, co się stało. Ten dom kościelny - to tylko na kilka miesięcy. Masz na to moje słowo.

- Umrę, jeśli każecie mu wyjechać - szlochałam. - Nie chcę do niego pisać! Chcę, żeby tutaj był!

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Uwierz mi - powiedział dziadek i wziął mnie za zdrową rękę. - No chodź już, puść.

Ale ja nie chciałam puścić. Odrzuciłam głowę do tyłu i spojrzałam na Roana.

- Nie pozwolę nikomu cię odesłać. Zobaczysz. Oni po prostu nie wiedzą, co robić, to wszystko. Powiedz im. Powiedz im, że mnie kochasz, i że się pobierzemy, kiedy będziemy dorośli!

Tym oświadczeniem prawdopodobnie ostatecznie przesądziłam sprawę. A kiedy pochylił się do mnie i wyszeptał żalem, rozgoryczeniem i determinacją: „Nigdy cię nie zapomnę, nigdy o tym nie zapomnę”, wiedziałam już, że odjedzie i że nikt tego nie zmieni.

Pocałowałam go. Moje spuchnięte usta dotknęły jego rozbitej wargi. Nie cofnął się, nie oddał pocałunku, był nieruchomy i zimny jak skała. Właśnie to mu zrobiliśmy. Zamknął się w sobie już na zawsze.

Następnego ranka tato i kilku moich wujków **wywieźli** go z domu.

Nikt nie chciał, żebym wiedziała, kiedy wyjeżdża, ale dziadek się na to nie zgodził. Wszedł do sypialni taty i mamy i podniósł mnie z łóżka. Usiadł na krześle przy oknie, posadził mnie na swoich kolanach i powiedział mi. Nie wiedziałam, co robić, straciłam wszelką nadzieję. Przycisnęłam zdrową rękę do szyby i patrzyłam, jak Roan idzie do samochodu.

Może spojrzy do góry. Może coś poczuje.

Nie spojrział. Może nie chciał. Nim wyjechał, już go tutaj nie było.

Jego pokój pusty. Jego głos gdzieś daleko, gdzie moje uszy nie mogą go dosłyszeć. Jego uśmiech za moim horyzontem. Ten dom kościelny, do którego go wysłali, był gdzieś w Tennessee. Nie tak daleko, sąsiedni stan. Ale nigdy jeszcze nie czułam takiego bólu, takiej pustki. Co noc spałam z Generałem Pattonem na jego łóżku.

Mama dała mi adres tego domu. Nie rozmawiałam z nią. Nie rozmawiałam z nikim. Violet i Rebeka przychodziły mnie odwiedzać, ale im też nie miałam nic do powiedzenia. Zmieniłam się. Myślały, że jestem zrozpaczona, że popadłam w depresję, ale ja przepelniona byłam ponurą, bezsilną wściekłością. Pewnie się ucieszyły, kiedy mama powiedziała im, że mogą przychodzić do mnie tylko na chwilę.

Miałam swoje plany. Roanie wróci do domu najpóźniej za kilka miesięcy. Musiałam napisać wiele listów, gdy tylko moja ręka całkiem wyzdrowieje. Usiadłam przy biurku, gapiąc się za okno i myśląc, co chciałabym mu powiedzieć.

Pójdziemy pływać. Wystrzelimy kilka fajerwerków na Dunshinnog. Wszyscy zapominają już o tym, co się stało. W ogóle o tym nie mówią. Kiedy wrócisz do domu, my też nie musimy o tym rozmawiać-

Tydzień później zaczęłam pisać. Minał tydzień, a on nie odpisywał. Wyczuwałam w domu coś straszego, jakiś smutny sekret, który krył się za tym milczeniem.

- Zadzwoń do niego - oświadczyłam wszystkim, kiedy kolejny hst pozostał bez odpowiedzi. - Po prostu zadzwonię, dobrze? Kiedy mogę zadzwonić? Może teraz?

W końcu, po kilku dniach wymówek i wykrętów, mama i tata powiedzieli mi prawdę. Roan uciekł z tego domu w Tennessee już następnego dnia, jak go tam wysłali.

I nikt nie mógł go odnaleźć.

Nawet wtedy nie wierzyłam, że odszedł na zawsze. Nadal do niego pisałam. Nie wiem, co rodzina robiła z moimi Ustami - prawdopodobnie po prostu je wyrzucano. Czekałam całe lato. Wyczuwałam w mojej rodzime spóźniony żal i wstyd. Otaczał nas jak gorący, kwaśny wiatr. Podśluchiwałam nie kończące się, bolesne dyskusje, toczone podczas rodzinnych obiadów. Karmiłam moje nadzieje szczerym żalem moich rodziców i wierzyłam, że

Roan jakoś to wyczuje, że będzie wiedział, że oni chcą mu to wszystko wynagrodzić, jeśli tylko wróci do domu. Wynajęli prywatnego detektywa, poleconego przez wuja Ralpha. Szeryf Vince wysłał noty do szeryfów i komendantów policji w innych stanach. Ciotka Bess kontaktowała się z pracownikami opieki społecznej ze wszystkich południowych stanów. Szukali też Sally McClendon i małego synka wuja Pete'a. Wszystkie te starania nie przynosiły żadnego rezultatu. Roan i Sally spędzili całe życie, ucząc się chować przed dobrymi intencjami ludzi, którym nie ufali.

Dziadek, który nagle bardzo szybko się postarzał, zabrał mnie jesienią do Dunshinnog. Od kilku miesięcy prawie nie wychodziłam z domu. Przysiadłam na skalnej półce, schowałam głowę między kolana i płakałam cicho, a dziadek gładził mnie po głowie trzęsącymi się palcami.

- Popatrz, co przyniosłem - powiedział ochryple, wyciągając z kieszeni garść liści i korzeni. - Zrobimy coś tutaj, Claire Karleen. Przygotujemy specjalne miejsce.

Znałam te rośliny. Były to młode jeszcze pędy, które wyrastały wokół swych rodziców pod koniec lata wzdłuż drewnianego płotu, otaczającego grządki babci Dottie. Na wiosnę strzelały w górę, otoczone wielkimi, miękkimi liśćmi, wzbijały w powietrze wysokie łodygi, pokryte delikatnymi, różowolawendowymi kwiatami w kształcie dzwoneczków, w których wnętrzu można było dojrzeć drobne, ciemniejsze plamki. • Naparstnice. To one rozkwitały właśnie, kiedy odesłano Roana.

- Czary - mówił dziadek.

Myślał, że Roan wróci kiedyś, jeśli będą tu rosły naparstnice, które słać się będą pod jego stopami miękkim dywanem. Pomogłam dziadkowi zasadzić je w soczystej ziemi polany, bo są silne, bo pilnują ich irlandzkie wróżki, bo nawet pozostawione na szczycie góry, zawsze powrócą.

Jednak pewnego ranka, niedługo po tej wycieczce, tuż przed zimnym świtem obudziłam się ze złego snu czując, że Roan gdzieś marznie, że umrze, gdzieś z dala ode mnie, sam, a ja nie mogę mu pomóc, i nawet gdyby mu się coś stało, nigdy bym się o tym nie dowiedziała.

Zeszłam na parter, wzięłam z pracowni mamy nożyczki, wróciłam do swojej łazienki i bardzo ostrożnie ścięłam włosy niemal przy samej skórze,

tak że nie były nawet na cal długie. Znalazłam jakąś pincetę i wyskubałam sobie brwi, a potem obciąłam nawet rzęsy. Mama wyszła na górę, żeby zawołać mnie na śniadanie, spojrzała na moje nierówno obcięte włosy i niepokorne oczy, usiadła na podłodze i schowała twarz w dłoniach. Wkrótce nadszedł tato. Ona wciąż tam siedziała, a ja patrzyłam na nich oboje w cichej, kamiennej udręce, która wydzierała mi serce z piersi. Tato przykucnął między nami.

- Poradzimy sobie z tym. Będziemy dalej szukać.

Od tego dnia minęło już wiele czasu.

Część II

*Wszędzie nosił ze sobą drabinę
i po jakimś czasie ludzie
zostawili mu wszystkie wysokie miejsca
Brian Andreas*

Luty, 1983

Droga Claire!

Piszę do Ciebie listy, których nigdy nie wyślę. Prawdopodobnie wcale nie potrzebujesz się ze mną kontaktować. Ani nie chcesz. Byłaś taka mała i taka nieszczęśliwa z mojego powodu, kiedy Twoja rodzina mnie odesłała. A teraz są rzeczy, którymi muszę się zajmować. Rzeczy, które muszę robić ze względu na ciebie, ze względu na mnie i z wielu innych powodów. Me nienawidzę Twojej rodziny, nie ufam im ani niczego już od nich nie oczekuję, ale nie mam wielkiego żalu. Musiałem sobie z tym poradzić, żeby zrobić to, co do mnie należy. Więc to nie dlatego muszę to robić w sposób, w jaki robię. Wciąż noszę w sobie wiarę. Muszę. Ty mi ją dałaś. Muszę udowodnić, że jestem lepszy od mojego ojca.

Od dawna śledzę przebieg Twojej kariery. Zaprenumerowałem też gazetę uniwersytecką, odkąd tam pisujesz. Więc mogę czytać wszystko, co wyszło spod Twej ręki. Wiem też o wszystkich Twoich nagrodach. Z pewnością masz talent do pisania. Ale ja i tak zawsze o tym wiedziałem. Łatwo się domyślić, że nie jesteś już dzieckiem. Ani ty, ani ja. Gdybyś mogła mnie teraz zobaczyć, pomyślałabyś, że ciągle nie jestem zbyt piękny, choć większy i trochę pełniejszy. Wydobrałem już całkiem po kilku ciężkich ciosach. Mam odpowiedzialne zadania. Jak Ci o tym powiedzieć? Nie mogę. Nie wiem, jak opowiedzieć Ci wszystko, co się ze mną działo. Jak dziwnie się to wszystko potoczyło. Nie wiem, jak na tę nagą prawdę zareagowałabyś Ty i Twoja rodzina.

169

Musiałem Cię zobaczyć. Jak wariat jechałem do Georgii. Omal nie zamarzłem na dworze. Polowałem na Ciebie przed Twoją szkołą. Mnie uniwersytet wcale nie interesuje. Do diabła, mogę robić pieniądze i bez tego. Ale CZYTAM. Przysięgam. Czytam, myślę, uczę się, zarabiam. Słucham mądrych ludzi. Ty mnie tego nauczyłaś. Znasz mnie. Zawsze mnie znałaś.

Więc czekałem przed akademikiem. Żeby Cię tylko zobaczyć. Widziałem, jak szłaś przez podwórko. Chciałem zobaczyć, jak wyrosłaś. Szłaś tak lekko, jakbyś płynęła. Mój Boże, Twoje włosy są naprawdę piękne. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę tego koloru. Twoje oczy wciąż takie duże i błękitne. Wyglądałaś tak, jakbyś się gdzieś spieszyła, byłaś silna, zręczna. Wyglądałaś wspaniale. I ten sposób, w jaki się poruszałaś. Jak zmieniło się Twoje ciało. Dziewiętnaście lat i kształty jak... dajmy temu spokój. Nie mogłem sobie wymarzyć Ciebie piękniejszej. Tak to powiem.

Jak brz/niało to śmieszne imię, które wymyśliłaś dla mnie, pisząc to opowiadanie? Dirk DeBlane? Mówiłaś, że to było romantyczne. Szkoda, że nie wiem, jak on powinien według Ciebie opowiedzieć to wszystko.

No i proszę. Jedno spojrzenie i już chciałem Cię pochwycić. Nie, to znaczy przytulić. No dobra, pochwycić, a potem przytulić. Do diabła, i tak nigdy tego nie przeczytasz Chciałem Cię pocałować. Chciałem robić z Tobą wszystko. Nie mogę tego wypowiedzieć. Ale nie jesteśmy już dziećmi i nasze uczucia trochę się zmieniły.

Chciałem Cię kochać. W porządku, powiem wprost. Chciałem Cię stamtąd zabrać i kochać się z Tobą, całować Twoje włosy i słyszeć, jak wymawiasz moje imię i uśmiechasz się, bo wciąż jesteśmy wyjątkowi, choć w inny sposób. Oszalałem. Przecież Ty już wcale mnie nie znasz Pewnie nigdy już nie poznasz Pewnie nie chcesz mnie znać.

Dorostaś, i ja też muszę.

Przepraszam, że przyjechałem popatrzeć na Ciebie. Teraz już wiem, jak sobie Ciebie wyobrażać. To boli. Bardzo. Ale będę czuwał, a jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, będę o tym wiedział. Będę tam. Obiecuję. Jeśli tylko będziesz mnie potrzebować.

Będę tam.

Roan

Rozdział pierwszy

1995

Zycie zatacza wielkie kręgi, zbyt wielkie, by je zauważyć, dopóki nie wrócisz do jakiegoś znaku, do domu, do popekanych wspomnień jakiegoś sanktuarium, o którym już prawie zapomniałeś, nie przypuszczając, że jeszcze kiedykolwiek będziesz go potrzebować. v.

Nad północną Florydą wstał piękny marcowy poranek. Szłam na śniadanie boczną uliczką, która graniczyła z brzoskwiowym budynkiem - siedzibą redakcji gazety codziennej „Herald Courier”. Poranne wydanie wciąż leżało na wystawach kiosków, ustawionych wzdłuż krawężnika. Artykuł wiodący, zamieszczony pod kolorowym zdjęciem miejscowej drużyny baseballowej, kuśił nadziejami związanymi z nowym sezonem. Tuż obok, na kolumnie, podkreślonej jasnoniebieskim tłem i złotymi literami, widniała promocyjna notka:

TERRICAULFIELD - OD STRACHU DO NADZIEI

Opowieść o jej nieszczęśliwym małżeństwie, o jej odwadze i triumfie poruszyła w zeszłym roku wszystkich czytelników. Terri Caulfield opowiada

o swych planach na przyszłość w kolejnej serii artykułów pióra naszej reporterki Claire Maloney, której poprzednie prace zdobyły liczne nagrody i zmieniły samotne zmagania młodej mieszkanki Jacksonville w otwartą wojnę całej społeczności miasta z przemocą w rodzinie.

171

Poszłam dalej, zadowolona. Terri Caulfield nie miała wcześniej zbyt wielu okazji, by ktoś ją zauważył albo przejął się jej losem. Wykorzystywana przez wujka, który ją wychowywał, bita, a potem prześladowana przez męża, z którym się rozwiodła, miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, była wystraszona, przygnębiona i chętnie ze mną rozmawiała. Poznałam ją, szukając materiału do tekstów o programie pomocy dla kobiet prześladowanych przez własnych mężów. Kiedy wróciłam do biura i powiedziałam redaktorowi, że znalazłam doskonały przypadek na całą serię artykułów o przemocy w rodzinie, ten rozpromienił się cały.

- Mogłabyś przejść z nią przez cały system - rozmyślał na głos. - Pokazać, jak działa.

- Wcale nie działa - odparowałam. - Jej eks-mąż dwa razy uciekał z przepustek w zeszłym roku. Wychodzi z więzienia i znów ją dręczy. Przychodzi do niej do domu, do pracy, wszędzie. W zeszłym miesiącu podpalił jej samochód. Ukrywa się w schronisku dla kobiet, bo sędzia postawił go w stan oskarżenia. Groził, że ją zabije, jeśli będzie świadczyć przeciwko niemu. Opublikowanie jej opowieści może go powstrzymać.

- Hmm. Czy ona **mi** się spodoba? Czyja będę jej chociaż współczuł? To chyba nie jest jakaś naćpana czarownica na bezrobociu, z kupą nieślubnych dzieci?

Skrzywiłam się. „Herald-Courier” zatrudnił zespół konsultantów, którzy mieli zbadać przyczyny malejącego zainteresowania czytelników i sporządzić plan uzdrowienia sytuacji. Gazeta walczyła o publikę w świecie zdominowanym przez „National Enquirer” i małe stacje telewizyjne, nastawione wyłącznie na sensację. Po przeprowadzeniu szczegółowej analizy rynku, konsultanci zaproponowali strategię zwaną „Kiedy złe rzeczy przytrafiają się dobrym czytelnikom”, **co** oznaczało, mniej więcej, że gwałty, morderstwa i straszliwe dramaty rodzinne, których bohaterami **są** ludzie należący do klasy średniej, sprzedają się najlepiej wśród członków tejże klasy. Rozumiałam ekonomiczne uwarunkowania profesji dziennikarskiej.

- To miła, biała higienistka dentystyczna - odparłam sardonicznie. - Przynajmniej była higienistką, do czasu gdy **jej** nienormalny eks-mąż pokazał się w **jej** pracy o jeden raz **za** dużo. Jest **na** bezrobociu, odkąd została zwolniona. A teraz posłuchaj: zeszłej jesieni napisała do gubernatora Ust z prośbą o pomoc. Biuro gubernatora przez pomyłkę odesłało niewłaściwy formularz; „Dziękujemy **za** wsparcie przekazane **na** rzecz stanowych parków”.

- O cholera - uśmiechnął się pod nosem redaktor.

Po spotkaniu z pozostałymi członkami redakcji oznajmił mi z zadowoleniem:

- Możesz się za to zabierać. Jeśli jest ładna i sympatyczna, zrobimy z mej sztandarową ofiarę małżeńskiej przemocy. Sześć miesięcy i sześć artykułów później uczyniłam z niej osobistość, znaną wszystkim mieszkańcom północnej Florydy. Wystąpiła razem ze mną w lokalnej telewizji. Udzieliłyśmy też wywiadu dla publicznego radia. Jedna z popularnych stacji telewizyjnych zajęła się jej przypadkiem i zapłaciła jej dwa tysiące dolarów za wywiad. Seria moich artykułów trafiła do agencji wydawniczych w całym kraju.

Pod presją opinii publicznej sędzia wydał surowy wyrok na jej eks-męża, który oskarżony był o podpalenie. Skazany już od kilku miesięcy przebywał w więzieniu.

Miasto wokół mnie tętniło życiem, jasne słońce Florydy odbijało się w lśniących karoseriach samochodów, których błotniki oblepione były słonym piaskiem oceanicznych plaż, a lusterka wsteczne obwieszane odświeżaczami powietrza w kształcie rozłożystych palm. Mieszkałam tutaj i pracowałam, od kiedy skończyłam studia. Siedem lat. Od Dunderry dzielił mnie tylko jeden dzień jazdy samochodem albo niewiele ponad godzina lotu samolotem, jednak nie byłam w domu od czasu śmierci dziadka, prawie cały rok.

Zapowiadał się miły dzień, wszystko toczyło się gładko i bezproblemowo. Miałam trzydzieści lat i był to ten rok, w którym moje życie miało nabrać dla mnie sensu. Tak powiedział mi stryjeczny dziadek Fen Delaney, kiedy miałam lat trzynaście.

Przyjechaliśmy wtedy do Południowej Karoliny na ślub jego wnuczki. Wysoki, szczupły, z małą ptasią główką, osadzoną na chudej szyi, Fen był republikaninem, wielbicielem prezydenta Reagana, a także właścicielem sieci sklepów spożywczych w Charleston. Jednak pod tą twardą, konserwatywną skorupą kryła się dziwna natura. Fen wierzył w numerologię, UFO i w Yeti.

Zaprosił mnie na spacer. Oczywiście wiedział, że jestem skłócona z rodziną. Usiedliśmy na długiej kamiennej ławce w parku wodnym Charleston i przyglądaliśmy się kaczkom i pelikanom.

- Sześć to twoja liczba, Claire Karleen - powiedział. - W twoim imieniu kryje się sześć liter. Jesteś jednym z pięciorga dzieci, a sześć razy pięć to trzydzieści. Przewiduję więc, że będziesz miała trzydzieści lat, nim naprawdę zrozumiesz, kim jesteś. Właśnie wtedy zajdą w twoim życiu istotne zmiany.

Miałam nadzieję, że się nie myli. Starłam się, by moje życie przebiegało bez większych zakłóceń, wypełnione długimi godzinami pracy i wielkich ambicji. Samotność wpychała się między sterty papierów na moim redakcyjnym biurku, do mego małego mieszkania, do nie kończącego się pochodów ludzi i wydarzeń, które opisywałam, rozrywając życie i motywy innych ludzi niczym głodna krowa.

- Ty ciągle żyjesz jakby na krawędzi czegoś - powiedziała mi niedawno Violet, kiedy przyjechała do mnie ze swoimi córeczkami. - Czy to cię podnieca? Wszyscy się nad tym zastanawiają. Twoja rodzina, Claire. Tak strasznie się martwią...

- Życie jest krótkie - przerwałam jej szybko. - Pracuj ciężko, graj szybko i nigdy nie oglądaj się za siebie.

- On zawsze tam będzie, prawda? - Spytała cicho. - Roanie Sullivan. Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Przecież on i tak pewnie dawno umarł. Staram się o nim nie myśleć. Kłamstwa, kłamstwa, cholerne kłamstwa.

Prawie przekonałam samą siebie. Skręciłam w jedną z przecznic, minęłam budkę z tytoniem i sklep z koszulkami. Szłam obok wielkich okien wystawowych, w których mogłam dojrzeć swoje odbicie. Niebieska spódnica i szary blezer, niezłe, naprawdę niezłe nogi w białych drewniakach, grzywa falistych rudych włosów, ściągniętych do tyłu białą chustą, płócienna torba wypchana notesami, między które wepchnęłam miniaturowy magnetofon. Kiedy nie pracowałam, nosiłam zazwyczaj stare, rurkowane džinsy i bawełnianą koszulkę. Na randki i na jakieś uroczyste okazje wkładałam długie czarne suknie. Nie za dużo biżuterii, skromny makijaż, duży, prosty zegarek na rękę, palce poplamione atramentem i zgrubienie na kciuku od ciągłego pisania w reporterskim notatniku. Wyrosłam na pięć stóp i dziewięć cali, wymiary może nie modelowe, ale tam gdzie trzeba, wszystkiego było dość. Całkiem przyzwoita kombinacja mocnych kości Maloney i delikatnych proporcji Delaney. Kierowca jakiejś ciężarówki gwizdnął przeciągle na mój widok. Pomachałam mu ręką.

- Jak idzie, Emilio? - przywitałam się z wytatuowanym ulicznym handlarzem, który sprzedawał hamburgery z ulicznej budki. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i jak zawsze odpowiedział ze śpiewnym akcentem:

- Cześć ślicznotko, kiedy napiszesz coś o mnie?

- Kiedy będziesz mnie karmił za darmo - odpowiedziałam, sięgając po serwetkę. Roześmiał się głośno.

Kiedy stałam tam, czekając na swojego hamburgera, przy drugim końcu ulicy zatrzymała się taksówka. Spojrzałam na nią przelotnie, kiedy otworzyły się tylne drzwiczki. Z samochodu wysiadł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna.

Prawie dojrzałam jego twarz, nim wszedł do pobliskiej kawiarni.

- Dokąd idziesz? - zawołał Emilio. Wsadziłam mu do ręki pięciodolarowy banknot i pobiegłam w górę ulicy, próbując przytrzymać w miejscu torbę, która obijała się o moje biodro.

Wpadłam do kawiarni, wzięłam głęboki oddech i zatrzymałam się za nieznanym, który stał przy wejściu, czekając, aż kelnerka wskaże mu stolik.

Odwrócił się. Jego oczy były niebieskie, a nie szare, a twarz była mi zupełnie obca.

- Słucham panią? - rzekł niskim głosem. Podniósł brew i przyjrzał mi się z uznaniem, którego wcale nie potrzebowałam. Odwróciłam się na pięcie i wyszłam, mrużąc oczy i zakrywając je dłonią przed oślepiającymi promieniami słońca. Drugą, roztrzęsioną i spoconą, zacisnęłam na pasku od torby.

Przez ostatnie dwadzieścia lat zdarzały mi się podobne rzeczy tysiące razy. Wciąż czekałam, obserwowałam, wciąż byłam czujna. Wiele lat temu, kiedy byłam na drugim roku studiów, zdawała mi się, że dojrzałam Roana przed moim akademikiem. Szłam przez trawnik i nagle coś kazało mi się obejrzeć przez ramię. Mogłabym przysiąc, że dojrzałam go w samochodzie zaparkowanym za jakimiś krzakami przy chodniku. Przez jedną irracjonalną sekundę byłam przekonana, że to musi być Roan - jakbym mogła wiedzieć, jak wygląda prawie dziesięć lat później - ale nim odwróciłam się całkiem, nieznajomy już odjeżdżał. Biegłam dobre ćwierć mili, próbując dogonić to cholerne auto. Zbyt długo już uganiałam się za zjawami. Musiałam przestać upokarzać się w ten sposób. Obiecałam sobie, że to zrobię. Stawałam się już za stara na podobne fantazje.

Tydzień później dzięki jakiejś idiotycznej, biurokratycznej pomyłce, eks-mąż Terri dostał nagle przepustkę i wyszedł na wolność. Tego samego dnia Terri znalazła w skrzynce pocztowej uduszonego kociaka, z przywiązaną do szyi karteczką. „Ty będziesz następna, kłamliwa dziwko”.

Tej nocy, przerażona, siedziała na kanapie w moim salonie, ubrana w bladożółtą koszulkę i stare dżinsy. Kiedy przyniosłam jej filiżankę gorącej

herbaty, popijała ją drobnymi łyżkami, jak zdenerwowany kanarek, i obserwowała, jak sprawdzam zamki i zabezpieczenia przy drzwiach wejściowych do mojego mieszkania.

- Wszystko będzie w porządku - obiecałam. - Jutro pojedziesz do Miami i zamieszkaś we wspaniałym hotelu.

Będiesz piła drinki, opalała się. Gliny zwiną go tak szybko, że nie zdążysz nawet dostać kaca ani udaru słonecznego

- klarowałam jej z uśmiechem, modląc się w duchu, by mój optymizm był naprawdę uzasadniony.

- Dlaczego robisz dla mnie to wszystko? - spytała smutno.

Ręką, w której trzymałam kubek z piwem, machnęłam na ścianę obwieszoną nagrodami prasowymi stanu Floryda.

- Być może jesteś moim biletem do nominacji do Pulitzera. To ty sprzedajesz naszą gazetę. Jesteś dobrym tematem.

- Och, daj spokój. Zawsze piszesz o bezdomnych, o zaniedbanych dzieciakach i maltretowanych kobietach. Ale dla mnie ciągle jesteś zagadką, Claire. Jak to się stało, że tak bardzo martwisz się o innych, a sama nie masz męża ani dzieci?

Roześmiałam się.

- Jestem zbyt nerwowa, żeby być żoną, i zbyt oderwana od rzeczywistości, żeby być matką.

- Chciałabym, żeby coś oderwało mnie teraz od rzeczywistości. Przechadzała się po moim mieszkaniu, kręcąc głową, przyglądając się

oprawionym plakatami z różnych wystaw i stertom książek odnowionym meblom, kupionym niegdyś na pchlim targu, i mahoniowemu biurku, które zostawił mi dziadek. Właśnie na tym biurku obok przenośnego komputera i faksu leżały albumy z rodzinnymi fotografiami. Co roku na moje urodziny mama przysyłała mi nowy. Wyzwanie, prośba i zwykły sentyment, który miał wywołać we mnie poczucie winy. Skoro ja nie przyjeżdżałam do domu zbyt często, dom przyjeżdżał do mnie.

Terri przeniosła całe naręcz albumów na kanapę i zaczęła je przeglądać, wreszcie nieco ożywiona. Po chwili spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Wszyscy ci ludzie to twoi krewni? - spytała.

- To moi bracia - odparłam, kiedy wskazała konkretne zdjęcie. - I ich żony. Mam jedenaścioro bratanków i bratanic.

To mój najstarszy brat Josh. Jego żona zmarła przy narodzinach córki. Na tym zdjęciu jest właśnie ona z kuzynami. Amanda. Ma teraz dziesięć lat. Mieszka z moimi rodzicami.

- Podobna do ciebie. Założę się, że niezła z niej rozrabiaka.

- Nie wiem. Pewnie tak.

Terri rzuciła mi dziwne spojrzenie. Powiedziałam jej jeszcze, że Brady zajmuje się nieruchomościami, Hop i Evan pracują razem w budownictwie, a Josh jest senatorem stanowym.

- Jezu... - mruknęła. Wzruszyłam ramionami.

- W przyszłych wyborach chce kandydować na gubernatora. Konserwatysta.

- Wygląda na ważną figurę.

- Hmmm. Jest wiecznie zajęty. Przepracowany. Podróżuje, wygłasza przemówienia. Zajmuje się też naszą farmą drobiową. Moi rodzice zrezygnowali częściowo z pracy kilka lat temu, po tym jak tata miał niegroźny atak serca. -

Głową wskazałam na parę glinianych waz, stojących na stoliku do kawy. - Moja mama jest garncarzem; teraz sprzedaje swoje prace do kilku sklepów i galerii. Tato kupił niedawno kilka lam i zajmuje się ich hodowlą.

Terri przewróciła następną stronę i uśmiechnęła się na widok zdjęcia stada lam.

- Wyglądają jak wielbłądy przykryte jakimś kudłatym dywanem.

- Tato mówi, że kiedy są złe, plują. Zdaje się, że okropnie je lubi.

- Co za cudowna rodzina. Często ich odwiedzasz? Musisz za nimi tęsknić, skoro mieszkasz tak daleko do domu.

- Wyprowadziłam się, kiedy poszłam na studia. Rzadko bywam w domu.

- Aha... Dlaczego?

Niełatwo streścić w kilku słowach dwadzieścia lat wyobcowania. Nie przychodzi to też bez bólu.

- Były pewne nieporozumienia.

Oskarżycielskie milczenie z mojej strony, ta smutna mieszanka miłości i zemsty, która płynie zimnym strumieniem pod powierzchnią wielu rodzin. Nieustający żal i wyrzuty sumienia drugiej strony w niczym tego nie zmieniały.

Terri westchnęła.

- Gdybym ja miała dużą rodzinę, siedziałabym w jej środku i dziękowała Bogu za wszystkie dobrodziejstwa. Masz szczęście.

- Będiesz miała dużą rodzinę. Dobrego męża, a kiedyś i dzieci i dom. Obiecuję.

- Claire, nigdy dotąd nie wierzyłam w żadne obietnice. Ale teraz już wiem, że mogę to mieć. - Rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę okna. - Bo wiem, że ludzie naprawdę mi pomogą. Bo ty się mną zajęłaś.

Odchrząknęłam.

- Potrzebowałam tylko trochę rozgłosu i kogoś, kto by cię pchnął w odpowiednim kierunku.

Nagle usłyszałyśmy ciężkie kroki na schodach prowadzących do mojego mieszkania na drugim piętrze. Terri zbladła jak ściana. Przycisnęła album do piersi. Roześmiałam się uspokajająco.

- To tylko księgowy, który mieszka obok. Uspokój się.

- Jak na księgowego ma dosyć ciężki krok.

- Może niesie księgi podatkowe. - Odstawiłam kubek z piwem. - Słuchaj, twój mąż cię tu nie znajdzie. Nie ma pojęcia, gdzie jesteś.

Kroki były coraz bliżej.

- To on, Claire - powiedziała Terri z przerażeniem.

Posłusznie wyszłam do kuchni, przyniosłam mały pistolet, który trzymałam w szufladzie przy zlewie, i odbezpieczyłam go. Kroki ucichły. Ktoś zaczął walić w moje drzwi.

- Wiem że tam jesteś, ty mała cipo! Terri zerwała się na równe nogi.

- Musimy stąd uciekać!

Nagle ogarnął mnie dziwny, lodowaty spokój. Stałam między nią i drzwiami, trzymając przed sobą pistolet.

- Podnieś słuchawkę - rozkazałam cicho. - Wykręć 911. Drzwi zatrzęsły się pod gradem uderzeń.

- Mówiłem ci, że cię znajdę! Mała kłamliwa suka! Otwieraj te cholerne drzwi!

- ' On tu wejdzie. Dostanie mnie. - Terri wrosła w podłogę ze strachu.

- Nie wejdzie do tego mieszkania. Zastrzelę gnojka, jeśli będę musiała. Zdawało się, że drzwi nie wytrzymają kolejnej nawałnicy wściekłych ciosów.

- Zadzwoń na policję - powtórzyłam.

Terri trzęsącymi się rękami sięgnęła po słuchawkę.

- Dziewięć, je...

Ogłuszający huk przerwał mi w pół słowa. Drzwi wybuchnęły fontanną drzazg. Jedna z nich ugodziła mnie w ramię.

Ogłuszona i oszołomiona wpatrywałam się w wielką dziurę pośrodku moich drzwi.

Terri porwała ze stołu kluczyki do mojego jeepa i pobiegła w stronę tylnego wyjścia. Krzyknęłam, żeby się zatrzymała. Jej eks-mąż strzelał bez opamiętania, powiększając dziurę w drzwiach.

Pomyślałam, że Terri wjedzie prosto w stado dzieciaków, które wieczorem grały w koszykówkę pod latarniami przy wyjeździe z parkingu. Pobiełam za nią, słysząc jeszcze, jak drzwi z trzaskiem ustępują pod naporem wielkiego cielska jej męża.

Powinam była go zastrzelić. Ucieczka była naszym najgorszym błędem.

Terri kulila się na przednim siedzeniu jeepa. Chora z przerażenia oglądała się bez przerwy do tyłu, na rzekę świateł płynącą autostradą. Palmy i wysokie krzewy przelatywały niby słupy telegraficzne po obu stronach drogi, rzucając białe cienie na betonowe pobocze, upstrzone muszelkami i kamieniami. Powietrze było wilgotne i ciężkie, przez otwarte okno samochodu wpływał do wnętrza kwaśny smród podmokłej ziemi.

Mój pistolet leżał na półeczce między fotelami. Rzuciłam telefon na kolana Terri.

- Dzwon na policję - powtórzyłam, choć nie odniosło to żadnego skutku; Terri przywarła obiema dłońmi do zagłówka i bez ustanku przeszukiwała wzrokiem drogę za nami. Wpychałam się między wolniejsze samochody, pędząc z prędkością stu mil na godzinę.

- Jest! - krzyknęła.

Spojrzałam w lusterko wsteczne i zobaczyłam stary sedan, który jak szalony lawirował między samochodami.

Kierowcy trąbili na niego, błyskali światłami. Sedan był coraz bliżej.

Nagle pojawiły się przed nami dwie cysterny z benzyną, blokujące obydwa pasy. Zjechałam na pas awaryjny i wyprzedziłam je. Po prawej stronie mignął szereg sklepów. Drapacze chmur błyszczwały na tle ciemnego nieba.

W pewnej chwili sedan znalazł się obok nas, na saadnim pasie. Obejrzałam się przez ramię i zamarłam. Eks-mąż Terri trzymał w jednej dłoni kierownicę, a w drugiej strzelbę z obciętą lufą, której wylot skierowany był na mnie.

Wszystko toczyło się dziwnie powoli, jakby w zwolnionym tempie: z całych sił nacisnęłam na hamulec.

O Jezu - jęknęła Terri.

Opuszczona do połowy szyba eksplodowała. Instynktownie podniosłam rękę, kiedy spadł na mnie grad odłamków.

Chaos. Świat wiruje dokoła. Przewraca się na drugą stronę. Chwytam coś, wrzeszczę: „Mam, mam, mam”, wreszcie wszystko zapada się w nicość.

Cisza. Jasne światła. Moja lewa noga w imadle. Kierownica jeepa o cal od mojego gardła. Gapiłam się, zdumiona, na stalowy słup, który wgrzył się w pokierszowaną maskę samochodu i wykrzywił jak słomka do napojów. Kłęby pary, wydobywające się z chłodnicy syczały złowrogo. Leżałyśmy przewrócone w rowie. Przed nami migał zielony neon pobliskiej stacji benzynowej.

Terri opadła bezwładnie na siedzenie, jej twarz ściągnięta w śmiertelnym grymasie, krew tryskająca na deskę rozdzielczą.

- Przepraszam - szepnęłam do młodej kobiety, której obiecałam bezpieczeństwo i ochronę.

Ogarniały mnie coraz silniejsze, ciemne fale bólu i nudności. Wreszcie zakryły mnie całkiem, pomieszały moje myśli, wciągnęły je w wir i zatraciły. Śmierć i chybione intencje wróciły **do** Roana, do mnie, do nas. Sprowadziłam je znowu, niczym przekleństwo.

Do kogo mamy zadzwonić? - spytali mnie w szpitalu.

Leżałam odrętwiała, przerażona, otoczona przez rozmazane twarze ludzi stojących wokół mojego łóżka - lekarze, pielęgniarki, policjanci, mój kolega, reporter z „Herald-Union”, który wśliznął się ukradkiem na oddział i już robił jakieś notatki.

- Do kogo mamy zadzwonić? - spytali ponownie. Młoda stażystka w oślepiająco białym fartuchu, zapewniała mnie, że nie stracę prawej nogi. Byłam otepiąta, nic nie czułam - naszpikowana morfiną, nie wiedziałam nawet, czy do moich myśli dołączone jest jakieś ciało. Byłam jednym, wielkim umysłem, który produkował bez ustanku tylko połowicznie sformułowane myśli, obawy, pytania, przerażenie.

- Noga - powtórzyłam. - Co z Terri?

- Proszę, niech pani spróbuje nas zrozumieć. Pani Caulfield została zastrzelona. Nie udało jej się. Przykro mi.

Później powiedziano mi, że jej eks-mąż stał obok jeepa i celował w moją głowę, nim zmienił zdanie, włożył lufę między zęby i pociągnął za spust.

„Nie udało jej się”. Niedopowiedzenie. Terri leżała martwa w jeepie kilka sekund po tym, jak dosięgła jej kula.

Wszystko przeze mnie. Jakaż byłam głupia, niebezpiecznie głupia. Wpychając nos w nie swoje sprawy. Dokładnie tak jak przedtem.

- Do kogo mamy zadzwonić? - pytała cierpliwie stażystka. Kim ja jestem? Kim zawsze byłam?

- Maloney - odparłam.

- Rodzina - zapisała młoda pani doktor. - Do kogo konkretnie?

Nie mogłam ponownie połączyć się ze sobą, ale nigdy nie zostałam odłączona od mojej rodziny. Nie do końca.

Mama i tata. Marybeth i Holt Maloney w Dunderry, Georgia. Szeptem podałam numer telefonu.

- Proszę im powiedzieć, że nic mi nie jest. Proszę ich nie straszyć.

Nie spałam tej nocy, kiedy przyjechali mama i tata. Mój ojciec przygarnął mnie do siebie, a moja matka płakała gorzko, tuląc pochcek do mojej twarzy. Chciałam mojej rodziny, rozpaczliwie, bez cienia wątpliwości, po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Claire!

Piszę to w samolocie lecącym na wschód. Myślałem, że oszaleję, jeśli nie „porozmawiam” z Tobą, choć oczywiście nie możemy rozmawiać naprawdę. Dwie godziny temu dowiedziałem się o wszystkim od detektywa z Florydy.

Zatrudniłem go w zeszłym roku, kiedy zaczęłaś tę serię o Terri Cauifieki Niebezpieczna sytuacja, myślałem Mój szósty zmysł. Ludzie jak jej eks-mąż przypominają mi mojego ojca. Nie mogłem po prostu tego czytać. Martwiłem się, cholera. Cholera. Chol...

Zawiodłem Cię. Powinienem był tam być. Powinienem był wcześniej zrobić coś dla Ciebie. Przez wszystkie te lata próbowałem trzymać się z dala, nie bez powodu -czy on ma teraz jakieś znaczenie? Nic nie jest ważne prócz tego, Że muszę Cię znowu zobaczyć. Upewnić się, że wszystko będzie dobrze. Potem, wszystko będzie zależeć od Ciebie. Nie mogę jednak powiedzieć Ci prawdy, dopóki nie będziesz silniejsza. Zbyt wielu ludziom mogłaby stać się krzywda.

Proszę, nie umieraj. Proszę, wyzdrowiej. Proszę.

Rozdział drugi

Kiedy doszłam do siebie po operacji - po raz pierwszy od dwóch dni byłam całkiem przytomna i mogłam normalnie rozumować - mój umysł wypełniły zupełnie irracjonalne myśli.

- ...Przerwane wiązadła, rozerwane mięśnie - mówił chirurg do babci Dottie, która siedziała obok mojego łóżka. - Pęknięcie kości udowej... połączyliśmy tkankę miękką... przerwana część nerwów... powróci do zdrowia za jakieś sześć miesięcy, choć jej noga długo jeszcze nie będzie działać jak należy. Co najmniej rok to jeszcze potrwa.

- Czy ktoś tutaj był? - spytałam, kiedy wyszedł lekarz. Babcia Dottie wciąż dobrze się trzymała, choć była już całkiem siwa i zreumatyzowana. Na jej kolanach leżał ostatni numer „Wall Street Journal”. Złożyła go ostrożnie, jednak cały czas patrzyła na mnie. - Czy byłam sama tej nocy?

- Byliśmy tu wszyscy - odparła łagodnie.

- Cały czas? Co do minuty?

- Nie, nie co do minuty, kochanie. Ale pilnowaliśmy cię jak oka w głowie. Pół rodziny zjechało na Florydę, żeby trzymać przy tobie straż.

- Czy nikt nie zauważył czegoś... dziwnego?

Zerknęła na mnie zza okularów, zdumiona i najwyraźniej zaniepokojona. Ja też byłam zaniepokojona, ale starałam się tego nie okazywać.

- Myślisz, że był tu ktoś obcy? - odważyła się zapytać babcia.

- Nie... nie wiem.

Do pokoju weszli moi rodzice, niosąc ze sobą jeszcze więcej kwiatów i kosze z owocami, które dołączyli do tuzina podobnych prezentów rozłożonych wokół mego łóżka.

- Myśli, że ktoś obcy odwiedził ją wczoraj w nocy - słyszałam szept babci Dottie. - Pewnie jej się coś przyśniło, kiedy przestało działać znieczulenie.

Mama spojrzała na mnie, zobaczyła, że jestem na tyle przytomna, by móc z nią rozmawiać, i wybuchnęła płaczem. Ja też, choć z całkiem innego powodu. Myślałam, że w nocy rozmawiałam z Roanem.

Kiedy byłam młodsza, marzyłam często, że któregoś dnia podniosę wzrok i zobaczę przed sobą Roana. Że podejdzie do mnie z błyszczącymi oczyma. Zmierzy mnie wzrokiem i zdumiony powie:

- Jesteś piękna. Zawsze wiedziałem, że będziesz piękna.

Albo nie powie nic, ale ja będę wiedzieć, że nie jest mną rozczarowany, że zapomniał już tę małą dziewczynkę, leżącą na podłodze w przyczepie Dużego Roana, posiniaczoną i półnągą.

Jednak to, co stało się tej nocy w szpitalu, musiało być tylko pięknym snem, wywołanym przez środki znieczulające. Traciłam przytomność, potem ją odzyskiwałam, niektórych fragmentów rozmowy w ogóle nie pamiętałam, niektóre pamiętałam co do słowa, każdy najmniejszy nawet szczegół.

Światło w jednym rogu pokoju paliło się przez cały czas. Pielęgniarki wchodziły i wychodziły. Zaglądały do mnie częściej, niż zagląda się do piekarnika, w którym leży święteczny indyk. Dręczyły mnie koszmary - samochód, wypadek, szklane oczy Terri, jej wykrzywiona twarz i krew na desce rozdzielczej. Do tego jeszcze dawniejsze koszmary - obrzydliwa twarz Dużego Roana, jego głowa rozlatująca się na kawałki. Groza i przemoc, smutek i strach przewijały się bezwolnie przez moją głowę. Patrzyłam na nie z boku, jakbym oglądała film wideo z napisami. „Tutaj zrobiło mi się niedobrze, a tutaj byłam przerażona”.

Usłyszałam, jak ktoś delikatnie stąpa po twardej, antyseptycznej podłodze, potem szelest odsuwanej kołdry, uścisk dłoni na moim ramieniu. Powoli otworzyłam oczy. Leżałam w jakimś ciepłym tunelu, patrzyłam lekko w bok, z mojego ciemnego miejsca prosto w światło, podobnie jak w wielkiej stajni, kiedy w jasny letni dzień siedziałam z Roanem na sianie.

Dłoń - czubki palców - odgarnęły mi włosy z czoła i delikatnie musnęły policzek. Spojrzałam w bok, nie odwracając głowy. Zobaczyłam srebrzyste oczy pełne łez i zmęczoną twarz o boleśnie znajomych rysach - a jednak innych - starszych, twardszych, osadzonych mocno na granitowych kościach,

zwieńczonych falistymi, ciemnymi włosami. Przystojny mężczyzna w jasnej skórzanej kurtce i rozpiętej pod szyją koszuli. Delikatny zapach tytoniu na jego palcach.

Serce zamarło mi w piersiach. Ten obraz podpisany był w moim umyśle słowami „ulga” i „uwielbienie”.

- Claire - powiedział niskim, głębokim głosem.

Czas stanął w miejscu. Nigdy nie mijał obok nas. Byłam zadowolona.

- Oni cię nie zostawią w tym domu dla chłopców - powiedziałam.

- Wiedzą, że zrobili źle. Nie martw się. Och, Roanie, tak bardzo cię kocham.

- Myślałam... - powiedział, pochylając się nade mną i głaszcząc moje włosy. - ...że zapomniałaś. Że chciałabyś zapomnieć. - Jego głos stał się ochryply.

Obraz rozmył się na moment, potem powrócił. Film w mojej głowie został zmieniony. Minęło dwadzieścia lat.

- Roan - mruknęłam. - Ona umarła przeze mnie. Jak Duży Roan. Przepraszam.

- Mój Boże - szepnął. Pochylił się jeszcze niżej. Te szare oczy tak mocno błyszczały w moim śnie, dzikie i udęczone. - Wiem o tobie wszystko. Co piszesz, co zrobiłaś. To nie była twoja wina. Ani wtedy, ani teraz.

Potem usiadł na krześle, które przysunął do łóżka, i mówił do mnie

- minuty, godziny, dni, lata - nie miałam pojęcia. Patrzyłam na niego zamglonym, zamroczonym wzrokiem, słyszałam jego głos, nie słowa, ale ich sens, ich dźwięk uspokajał mnie, koił. Wreszcie powiedziałam:

„Nie potrzebujesz już lekcji gramatyki - a on oparł głowę na dłoniach i przez chwilę nic nie mówił. Więc ja opowiadałam, a on siedział i patrzył na mnie. Sama jednak nie byłam pewna, o czym mówię.

Było mi dobrze, czułam się bezpieczna i spokojna, bo nie zawiodłam go całkiem. Przywiodły go tutaj nasze wspólne wspomnienia, to dzięki nim wrócił do mnie. Wiedziałam, że później zrozumie to wszystko i że on zrozumie, że nikt nie chciał, by znienawidził naszą rodzinę, by zniknął, pozostawiając za sobą wstyd i wyrzuty sumienia.

- Nadal cię kocham - powtórzyłam.

Wstał, delikatnie przeciągnął dłonią po gipsie, który pokrywał moją prawą nogę od biodra do kostki, potem pocałował mnie w usta. Jego oddech był ciepły, jakby należał do rzeczywistości.

- Ja też nadal cię kocham - powiedział.

Koniecznienie chciałam pójść na pogrzeb Terri. Mama i tata zgromadzili całą rodzinę, rozsianą po różnych hotelach w Jacksonville. Przyjechaliśmy na cmentarz wynajętą furgonetką, pod zachmurzonym niebem Florydy, które przygniatało nas ciężkim, oceanicznym powietrzem. Tato pchał mój wózek inwalidzki przez szeroki trawnik. Otaczali nas bliżsi i dalsi krewni.

- O mój Boże - powiedziałam słabo.

Tłum, który zgromadził się na cmentarzu, liczył co najmniej tysiąc osób. Ponad głowami ludzi, niczym dziwne kwiaty, wyrastały dziesiątki transparentów.

MĘŻCZYŹNI U WŁADZY = ŚMIERĆ KOBIET PRAWDZIWYMI OFIARAMI SĄ ZAWSZE CZARNE KOBIETY PRZESTAŃCIE UCZYĆ DZIECI PRZEMOCY

Policjanci kierowali ruchem w pobliżu cmentarza. Nad naszymi głowami latał helikopter miejscowej telewizji.

Nieopodal kręciły się ekipy kilku innych stacji telewizyjnych z Florydy. Jakiś reporter dojrzał mnie z dala i biegiem ruszył w moją stronę. Policjanci, którzy także mnie rozpoznali, zrobili dla mnie miejsce w tłumie.

Ciotka Jane, wciąż żwawa i energiczna, spytała głośno:

- To pogrzeb czy demonstracja polityczna?

Z głośników ustawionych obok wielkiego namiotu pogrzebowego huknął potężny głos jakiegoś pastora, który witał wszystkich zgromadzonych na cmentarzu. Nadbiegająca ekipa telewizyjna próbowała prześliznąć się obok moich braci, którzy stanęli im na drodze.

- Claire, tu Mark Creeson z Kanału Trzeciego! Czy mogłabyś mi poświęcić dziesięć sekund?

- Weźcie stąd tego człowieka - syknęła mama.

Tato zatrzymał mój wózek i stanął przede mną. Rebeka i Violet osłaniały mnie po bokach. Babcia Dottie trzymała mnie od tyłu za ramiona. Zaczęłam drżeć. Strużki potu spływały mi po twarzy, na siniaki i świeże jeszcze rany, które znaczyły moje policzki. Noga unieruchomiona w gipsie, stercząca niczym lufa przed moim wózkiem, zaczęła mnie coraz bardziej boleć. Grupki ciekawych ludzi odwróciły się od cmentarza i napierały na żywą barykadę mojej rodziny. Nieznajome twarze wciskały się pomiędzy moich krewnych, by popatrzeć na mnie.

- Czy mogę prosić pana o autograf? - wrzasnęła jakaś kobieta.
 - Muszę się stąd wydostać - powiedziałam. - To nie ma nic wspólnego z Terri. To cyrk i ja jestem za niego odpowiedzialna.
 - Utknęliśmy. Jak my stąd wyjdziemy? - jęczała moja kuzynka Rebeka. Dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn przepchało się między moimi braćmi. Tato stanął na ich drodze z zimnym, zdeterminowanym grymasem na twarzy.
 - Chcemy panu pomóc, panie Maloney - rzekł jeden z nich uprzejmym tonem. - Zaprowadzimy was z powrotem do samochodu.
 - Kim jesteście, u diabła? - huknął tata.
 - Ochrona osobista. Wynajęta przez przyjaciela.
 - Czyjego przyjaciela?
 - Pańskiej córki.
- Słyszałam to wszystko jakby przez ścianę, było mi słabo. Co za przyjaciel? Próbowałam skupić myśli, kiedy moja rodzina i ja posuwaliśmy się w przeciwnym kierunku, a dwaj ochroniarze torowali nam drogę w tłumie, bezpardonowo rozpychając ludzi na boki. Hop i Evan posadzili mnie na tylnym siedzeniu. Ochroniarze zniknęli, nim zdążyłam zapytać, kto ich przysłał.
- Czułam, że jeśli uda mi zebrać myśli i przypomnieć sobie, kim jestem, nie stracę całkiem rozumu.
- Chciałabym pojechać do domu - powiedziałam.

Rozdział trzeci

Wróciłam więc do błękitnozielonych gór, do rodziny, do farmy, do naszego wielkiego domu, w którym wyrastały kolejne pokolenia Maloneyów, otoczona przez nie kończący się ciąg wydarzeń i rodzinnych interesów - pracowników naszej farmy, którzy wchodzili i wychodzili z kuchni, tak samo jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką, dziesiątki ludzi, którzy dzwonili do Josha albo odwiedzali go osobiście, bo jako senator stanowy reprezentował dziesięć górskich okręgów. Każdego dnia przez dom przepływał też strumień okolicznych mieszkańców konferujących z tatą, który został wybrany na pełnomocnika rządu, w naszym okręgu, po tym jak przekazał farmę drobiową w ręce Josha, wreszcie stada kobiet, związanych z różnymi stowarzyszeniami artystycznymi i dobroczynnymi, do których należała mama. Córka Josha, Amanda, mieszkała z moimi rodzicami, bo Josh często wyjeżdżał. Została moją najwierniejszą towarzyszką.

Siedziałam więc w domu, bezradna, obiekt niezdrowej ciekawości obcych, jedyna nieruchoma część dobrze naoiliwionej maszyny.

Wyjechałam stąd na studia, kiedy miałam siedemnaście lat, przyrzekając, że nigdy już nie zamieszkam w Dunderry. Rok później tato miał atak serca i po prostu nie mogłam nie przyjechać, spędziłam więc w domu wakacje. Mama zażywała przez rok tabletki antydepresyjne, kiedy po studiach wyprowadziłam się na Florydę. Przyjechałam znowu, gdy przy narodzinach Amandy umarła żona Josha: przyjechałam też wtedy, gdy babcia Dottie upadła i złamała kość biodrową, a potem kiedy umarł dziadek. Jednak za każdym razem dawałam wszystkim do zrozumienia, że tylko narodziny, śmierć i choroba mogą mnie zmusić do odwiedzin.

Wreszcie teraz złamałam ten cykl, sama stając się jego częścią.

Mama umieściła mnie w starym pokoju Roana, bo był na parterze i blisko kuchni. Hop i Evan zawiesili jeden uchwyt w kształcie trapezu nad łóżkiem, które tato wypożyczył ze szpitala, a drugi pod prysznicem w łazience. Mogłam poprosić o cokolwiek i dostałabym to bez zbędnych pytań. Aby wezwać kogoś do pomocy, dęłam w róg, pożyczony od ciotki Irene.

Kiedy nadeszła pełnia wiosny, przesiadywałam godzinami na werandzie i przy oknie, chłonąc widoki, które jawiły mi się z jakąś mistyczną czystością, spychając poczucie winy i gniew głęboko pod pokłady dziecięcej niewinności. Chciałam zapomnieć, kim byłam przed wypadkiem. Chciałam wymazać ambitną, lekkomyślną kobietę, która ryzykowała życie innych ludzi. Chciałam ujarzmić tę Claire, która traktowała pracę w gazecie jako intryganckie gierki, która wkradała się do życia innych ludzi, przekupując, czarując, zawierając znajomości służące tylko jednej sprawie. Byłam bezwzględna i zdeterminowana, potrafiłam ubrać się w obcisłą czarną sukienkę, wkręcić się na inauguracyjny bal u gubernatora i tańczyć prowokacyjnie z jednym z młodych pomocników nowego szefa.

Pozwalałam mu zaglądać za mój dekolt, pytając go jednocześnie, czy podczas kampanii gubernator korzystał z pomocy kilku developerów, którzy sprzeciwiali się budowie sieci schronisk dla bezdomnych.

Młody urzędnik był jeszcze naiwnym i niedoświadczonym politykiem i zakładał, że wszystko, co mi powie, pozostanie tylko między nami. Zakładał też, że jeszcze tej samej nocy pójdzie ze mną do łóżka. Oczywiście nie zamierzałam spełnić żadnego z tych pobożnych życzeń mojego lekkomyślnego rozmówcy.

Więc opisałam całą historię i dostałam kolejną nagrodę. Młody pomocnik wyleciał z pracy. Wielu ludzi z administracji gubernatora zasłużyło sobie na to, by ktoś wreszcie przytarł im nosa, ale ten miły, nieszkodliwy chłopak był ostatnią z osób, jakie powinnam do tego wykorzystać.

Krótko mówiąc, chciałam teraz wymazać tę Claire, która nie zawsze dokonywała najlepszych, najmądrzejszych wyborów. Która nie potrafiła ochronić ludzi, będących źródłem jej informacji. Claire, której umysł tak mocno tkwił w dziecinnych fantazjach i koszmarach, że prowadziła urojone rozmowy z człowiekiem, wygnanym z jej domu dwadzieścia lat wcześniej - także z powodu jej lekkomyślnych poczynań. Wciąż próbowałam - nadaremnie - przypomnieć sobie wszystko, co Roan powiedział tamtej nocy w szpitalu co ja mówiłam do mego.

Jakby to wszystko było rzeczywiste. Ale Roan, w odróżnieniu ode mnie, nigdy nie mógł już odnaleźć drogi do domu. Renfrew wciąż pracowała dla mojej rodziny, tak jak i Nat Former. Cały wielki klan nadal gromadził się na rodzinnych obiadach. Wiele się zmieniło, ale wiele tylko dojrzało.

Wzdłuż dróg prowadzących do miasta wciąż stały stare domy pokryte czerwoną dachówką, stodoły i stajnie, za którymi ciągnęły się pastwiska tak mocno zrosnięte już z górami, że głębokie ścieżki i nierówne polne drogi były po prostu integralną częścią krajobrazu, jakby istniały tam od zawsze. Stare farmy wciąż otaczały Dunderry jak delikatny, wełniany szal.

Wuj Dwayne i ciotka Rhonda stracili większość klientów swojej apteki i drogerii na rzecz wielkiego sklepu, który wybudowano przy autostradzie międzystanowej piętnaście mil dalej. Odnowili więc stary marmurowy barek, przy którym sprzedawali niegdyś wodę sodową, dobudowali ekskluzywną kawiarnię, a puste półki po lekarstwach wypełnili pamiątkami i drobiazgami dla turystów.

Ciotka Irene została współprzewodniczącą Stowarzyszenia Artystów Plastyków w Dunderry, którą to funkcję dzieliła z mamą. Zamierzały odbudować i odnowić stare kino w Dunderry.

Tam gdzie dwadzieścia lat temu znajdował się sklep z tanimi rzeczami, sprzedawano teraz antyki. Wuj Eldon przeniósł swój sklep z narzędziami za miasto i znacznie go rozbudował - można tam było kupić także sadzonki, nasiona i wszystkie artykuły ogrodnicze. W starej restauracji serwowano teraz smażone zielone pomidory z salsą. I kanapki z avocado. I ciastka. Władze okręgowe wybudowały nowy ratusz na obrzeżach miasta, więc mały budynek sądu z białymi kolumnami na środku rynku zamieniony został na centrum turystyczne i galerię. Mama sprzedawała tam część swoich wyrobów.

Po zaciętych bojach i wojnie religijnej władze okręgu zezwoliły na sprzedaż alkoholu w Dunderry. Metodyści byli neutralni, baptyści zdecydowanie przeciw, katolicy i episkopaliańscy zdecydowanie za. Wszyscy pozostali mieli tylko nadzieję, że nie będą nadal zmuszeni jechać aż do Gainesville po kilka piw czy butelkę wina.

Ciotka Jane zrezygnowała z prowadzenia biblioteki i na spółkę z kuzynką

Ruby otworzyła księgarnię i pijalnię herbaty, w miejscu gdzie kiedyś Ruby sprzedawała najlepsze poliestrowe kostiumy w północnej Georgii.

Rebeka, podobnie jak Violet, wyszła za miłego faceta i miała przemiłe dzieci. Prowadziła w miasteczku butik, gdzie pod szyldem „Towary Importowane z Irlandii” sprzedawała kryształ z Waterford i pościel. Tula Tobbler odziedziczyła po swym dziadku Bossie sady z jabłkami i cały zwiąany z tym biznes. Jej brat Alvin zrobił dokładnie to, co przepowiadała - grał w futbol przez dziesięć lat, w zespole Dallas Cowboys, dopóki nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa. Tuła zainwestowała pieniądze Alvina w imperium jabłczane Tobblerów, otworzyła sklep, zaczęła wydawać katalogi i powodziło jej się doskonale. Kiedy Alvin zrezygnował z futbolu, powrócił do domu i został zastępcą szeryfa. Dwa lata temu, kiedy Vince przeszedł na emeryturę, Alvin został nominowany na jego miejsce. W mieście istniał teraz Komitet Ochrony Historii, który toczył zacięte boje z każdym, kto chciałby zmienić choćby najmniejszy szczegół w wyglądzie rynku. Rebeka zasadziła kiedyś przez pomyłkę różowe niecierpki w donicach przed jej sklepem. Godzinę później Aster, która przewodniczyła komitetowi, wyrwała je wszystkie z korzeniami.

- Kwiaty mają być w tym roku białe i czerwone - powiedziała Rebece.

- Nie czytałaś rezolucji?

Od tego czasu Rebeka nazywała ją przewodniczącą Komitetu Ochrony Historii.

Szopka bożonarodzeniowa z drewnianych figur została zastąpiona przez „żywy obraz”, z ochotnikami przebranymi w odpowiednie kostiumy, dwiema żywymi owcami i osłem, a także trójką wielbłądów, wypożyczonych z zoo w Gainesville.

Kiedy przewodniczącą komitetu, zajmującego się przygotowaniem uroczystości bożonarodzeniowych, została ciotka Dockey, tato chciał dołączyć do szopki kilka lam.

- W Ziemi Świętej nie było żadnych lam, Holt - odparła ciotka gniewnie.

- A Chrystus nie urodził się w szopce na trawniku przed apteką Dwayna

- odparował tato.

Stowarzyszenie handlowców zadbało o odpowiedni wystrój w sklepach Dunderry. Sklepikarze dekorowali wystawy tylko białymi światłami, dokładając do tego naturalne, a czasem nawet jadalne, łańcuchy i girlandy. Nie było już plastikowych Mikołajów, sztucznego śniegu i srebrzystych choinek, kręcących się w świetle niebieskich i różowych lampek.

Wuj Eugene w końcu odzyskał swoje „męderały” i uciekł z sekretarką, która pracowała w jego przedstawicielstwie Forda. Ciotka Arnetta pogodziła się z tym jakoś i nadal była rządowym ekspertem od zarządzania gospodarstwem domowym. Carlton pracował w bankowości, przeniósł się do Virginii, i w zeszłym roku został aresztowany za defraudację. Wujek Ralph zatrudnił najlepszych i najdroższych prawników i załatwił mu odroczenie kary na okres próbny.

Neely Tipton ożenił się z jedną z moich kuzynek. Słyszałam, że ich syn chodził do szkoły podstawowej, chował się za drzwiami i ciągnął dziewczynki za włosy. Nigdy jednak nie odważył się tknąć nikogo z rodziny Maloneyów czy Delaneyów.

Wuj Pete umarł podczas polowania, w wyniku jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Jego syn Harold zginął na torze wyścigów samochodowych w Taledega. Arian przeprowadził się do Nowego Orleanu i prawie nie utrzymywał z nami kontaktu. Cała rodzina przyjęła to z ogromną ulgą.

Daisy McClendon i jej dwie siostry wyprowadziły się nie wiadomo dokąd wkrótce po ucieczce Roaniego i zniknięciu Sally. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Rodzina wchłaniała wszystkie narodziny, śmierci, straty i skandale jak zawsze z tolerancją i dystansem, cichym wysiłkiem i głośnymi debatami.

Jednak nikt i nigdy nie rozmawiał o Roanie albo Dużym Roanie. Przynajmniej nie w mojej obecności.

Pan Cicero, mój stary wydawca z „Koniczynki”, przyszedł do mnie z wizytą. Jego twarz była pomarszczona jak stary akordeon, nosił okulary

o potrójnych soczewkach, a resztką siwych włosów próbował zakryć wielką łysinę. Podczas drugiej wojny światowej pracował jako korespondent w Europie, potem zaś, został redaktorem wielkonakładowej gazety w Missisipi. Z dumą pokazywał mi zdjęcie nowej redakcji naszej lokalnej gazetki i centrum dystrybucji, obsługiwane przez jedną ciężarówkę. Zastawił swój dom, żeby ją kupić.

Budynek nowej redakcji przypominał mały bunkier w stacji radarowej NASA. Pan Cicero zainstalował na dachu wielką antenę satelitarną, żeby mógł oglądać CNN przez cały dzień, tak jakby musiał znać na bieżąco, co do minuty, wszystkie wiadomości, które w jakikolwiek sposób dotyczyły

Dunderry. Podłączył się też do jednej z największych w kraju sieci komputerowej. Dochody ze sprzedaży i reklam zamieszczanych w gazecie ledwie pokrywały rachunki, ale pan Cicero myślał i marzył globalnie. Zawsze nazywał mnie „dziewczynką”.

- Dziewczynko - mówił - pisałaś dla mnie przez całą szkołę średnią. I nie mógłbym chyba być dumniejszy z tego, co osiągnęłaś od tamtej pory

- Panie Cicero, patrzę na pana i myślę sobie, że może jest jeszcze coś, z czego mogłabym być dumna.

- Oczywiście, że jest! Dlaczego w ogóle mówisz takie rzeczy, dziewczynko?

- Zaczęłam wierzyć we własne referencje. Podejrzewam, że chciałam być sławna.

- Ba! Wplątałaś się w historię, która omal cię nie zabiła. Nie zrobiłaś nic złego.

Wskazałam na telewizor, który stał pod ścianą.

- Oglądałam wiadomości. Właśnie przeszli gładko od informacji o podwójnym morderstwie do zdjęć nowego goryla w zoo w Atlancie. Nie mieli nawet na tyle przyzwoitości, żeby wsadzić w środek reklamę. Nic świętego, nic szokującego, nic ważnego. To wszystko jest czystą rozrywką. Jakiś czas temu też zaczęłam tak myśleć.

- Pewnie, że zaczęłaś - odparł sarkastycznie. - Wiesz dobrze, że potrzebujemy więcej wyzysku i okrucieństwa.

- Potrzebujemy wstydu i poczucia winy - rzekłam poważnie. - Reporterzy pchają się z kamerami do ludzi, którzy przeżyli właśnie jakąś straszną tragedię, i pokazują ich płacz, żeby reszta świata mogła popatrzeć na ich rozpacz, a potem mówią, że to ważna wiadomość. Ale to nie jest ważna wiadomość. To zwyczajne wścibstwo.

Spojrzał na mnie krzywo, trochę rozzłoszczony.

- Widziałaś kiedyś podobne zdjęcie w „Koniczynie”?

- Oczywiście, że nie. Ale pan wie, co ja...

- Wiem, że mamy tutaj różne problemy i że trzeba kogoś młodszego niż ja, żeby przyjrzeć im się z bliska. Chciwi starcy i chciwi młodzieńcy grasują w mieście i wokół mego, rozszarpują ziemię uprawną na drobne kawałki, w jakimś szale dzielenia. Tej jesieni rozstrzygnie się wiele spraw, dziewczynko. Po pierwsze, twój brat będzie kandydował na gubernatora, po drugie, ludzie związani z Kościołem chcą dobrać się do skóry nauczycielom. Nawet nie

możesz sobie wyobrazić, ile szumu chcą narobić wokół nauczania w szkole ewolucjonizmu i kreacjonizmu.

Mogłabyś pisać na ten temat w gazecie.

- Nie wyjeżdżam z miasta. Ale nie planuję też powrotu do dziennikarstwa. Pan Cicero wstał, zbierając się do wyjścia, i powiedział cicho:

- Zdaje się, że nie planujesz nic, poza siedzeniem na tyłku i użalaniem się nad sobą.

Claire!

Twój dziadek Joe mawiał, że na świecie są dwa rodzaje ludzi. Jedni są tak cholernie głupi, że nie martwią się niczym, bo nie wiedzą, że powinni się martwić. Inni są tak modrzy, że wiedzą dobrze, że nie ma na tym świecie nic, o co warto by się martwić.

Próbuję cały czas zajmować się pracą i nie martwić o Ciebie. Mogłabyś powiedzieć, że załatwiłem sobie dostęp do szpitalnych zapisów. Kupiłem je od ludzi, którzy specjalizują się w zdobywaniu informacji. Przepraszam, ale muszę wiedzieć, jak sobie radzisz

Z moich informacji wynika, że nie jest z Tobą najlepiej. Czy mógłbym jeszcze pogorszyć Twój stan, odwiedzając Cię właśnie teraz? Pewnie tak.

Kiedy poczujesz się lepiej, przyjdę Ci z pomocą. Zabiorę Cię wszędzie, gdzie zechcesz pojechać, znajdę Ci pracę w tej samej gazecie albo w jakiegokolwiek innej. Do diabła, kupię Ci nawet jakąś gazetkę, jeśli chcesz sama coś wydawać. Nie pozwolę Ci gnić na farmie i zapomnieć o wszystkim, co dotąd osiągnęłaś. Jeśli obwiniasz się za to, co się stało, i zamierzasz do końca życia chować się przed światem, sprawię, że zmienisz zdanie. Przysięgam Ci.

Wiem, że nim te moje przechwałki nabiorą sensu, będziemy musieli poznać się od nowa, ale pracuję nad tym.

Nie poddawaj się. Nigdy wcześniej tego nie robiłaś.

Sześć miesięcy według przewidywań chirurgów. Sześć miesięcy i będę normalnie chodzić. Miałam szczęście - wszystko wskazywało na to, że moja noga szybko wraca do zdrowia. Złączone mięśnie poruszały się bez kłopotów. Blizny po cięciach operacyjnych, skryte pod gipsem, wyrównywały się szybko i swędziały coraz mocniej, co było oznaką, że się goiły. Nerwy, poszarpane podczas wypadku, a potem pracowicie łączone przez lekarzy, emanowały przeszywającym bólem. Brałam mnóstwo tabletek przeciwbólowych i prawie nie wstawałam z łóżka.

Ten żalony stan oznaczał, że proces zdrowienia przebiega nadzwyczaj dobrze.

Żółte, kwietniowe pąki żonkili hipnotyzowały mnie jak oczy węża. Zapach jaśminu, który unosił się nad werandą, był niemal zbyt piękny, by go znieść. Dunshinnog wznosiła się jak naturalna katedra z białych kwiatów derenia na tle błękitnego nieba.

Teraz należała do mnie. Dziadek zapisał mi swoją ukochaną górę w testamencie. Zeszłej jesieni wyszedł na szczyt, żeby zobaczyć kwitnące naparstnice. Kiedy nie wracał przez kilka godzin, tato poszedł za nim. Znalazł dziadka siedzącego pod drzewem, opartego o pień i wpatzonego w dolinę, miejsce, gdzie się urodził, gdzie żył i gdzie umarł. Bardzo mi go brakowało i nie mogłam się nadziwić, jak babcia Dottie wypełnia swój czas, zajmując się wnukami i prawnukami, grając na giełdzie i oglądając mecze tenisa w telewizji. Spała we flanelowych koszulkach dziadka i nosiła jego zegarek.

Pamiętam, że jako nastolatka zapytałam kiedyś dziadka, dlaczego babka Elizabeth i prababcia Alice spędzają tak wiele czasu przy oknach swoich sypialni, patrząc na Dunshinnog.

- Siedziałyby tam, na górze, gdyby mogły - odparł. - Są zajęte wspomnieniami. Stare kobiety chciałyby zobaczyć jak najwięcej, zapatrzeć się jak najdalej.

Przypuszczam, że tak jak on, zapatrzyły się w końcu wystarczająco daleko. Kiedy miałam czternaście lat, obie stare babcie umarły w domu, w swoich łóżkach, tej samej nocy. Po wszystkich tych latach walki i niepewności, kto przeżyje kogo, żadna z nich nie mogła mieć ostatniego słowa. ' Znalazłam martwą babkę Elizabeth, kiedy przyszłam zbudzić ją na śniadanie. W pokoju panował idealny porządek, babka leżała wyprostowana na plecach, jakby wciąż jeszcze spała, ale jej oczy były na wpół otwarte, a jej twarz wyglądała po śmierci znacznie młodziej. Wiedziałam, co się stało, gdy tylko ją zobaczyłam.

Dotknęłam jej zimnej twarzy i zapadłam w coś, co rozpoznałam później, kiedy byłam o wiele starsza, jako trans cichej żałoby. Poruszyłam się dopiero, gdy do pokoju wpadła mama, która odkryła przed momentem, że prababcia Alice leży martwa w łóżku.

- Nie patrz - powiedziałam, ale mama usiadła obok drobnego ciała swej matki i wzięła ją za rękę.

- Och, mamusiu - szepnęła. - Po prostu nie mogłaś być lepsza od babci Alice, prawda?

Zacząła płakać, a kiedy ja stałam obok niej, też płacząc, wzięła mnie za rękę, tak iż utworzyliśmy łańcuch - babcia, matka i córka - i stałyśmy tak, dopóki nie znalazł nas tato.

- Och, kochanie, tak mi przykro - szepnął i objął mamę.

Dziadek siedział przy swojej matce, prababci Alice, tego samego ranka, syn i matka; on gładził ją po ramieniu: ona leżała skulona na boku, i tak jak babka Elizabeth wyglądała po śmierci znacznie młodziej. Po raz pierwszy w życiu widziałam, jak dziadek płacze. Babcia Dottie pochylała się nad nim, przytulała do piersi jego łysą głowę i nuciła coś uspokajająco, jakby był dzieckiem. Była w tym nauka i pocieszenie - widząc, jak rozrywają się więzy między mną a innymi pokoleniami, zrozumiałam, że jestem tylko częścią podróży, następnym stopniem.

Więc życie toczyło się dalej. Na farmie panował błogi spokój, ja wyglądałam za okno i patrzyłam na zielone, wiosenne pola i kudłate lamy, które pasły się na nich. Wciąż odczuwałam ból, źle jadłam, spałam tak długo, jak tylko byłam w stanie, często płakałam w samotności i rozmyślałam bez końca o tym, jak bardzo zawiodłam Terri Caulfield.

Jednak nie to było najgorsze. Spędziłam wiele nerwowych godzin w mojej sypialni, dzwoniąc z telefonu komórkowego do Jacksonville. Wypytywałam wszystkich lekarzy, pielęgniarki, sprzątaczkę strażników, którzy pełnili wartę w noc po mojej operacji. Nikt z nich nie przypominał sobie, by widział mężczyznę podobnego do Roana.

Niektóre części mojej duszy wcale nie wracały do zdrowia.

Moja bratanica Amanda, ruda, piegowata, czarująca trzpiotka, przyniosła mi świeżo upieczone ciasteczka.

Przyniosła też do mojej sypialni parę nowych szczeniaków - potomków Generała Pattona. Opowiedziała mi o swoich dziecięcych kłopotach i spytała o zdanie w kilku kwestiach. Rysowała gwiazdy i kwiaty na moim gipsie i przykleiła na nim kilka naklejek.

Była rozpaczliwie samotna, pozbawiona matczynej opieki, zaniedbana przez Josha. Chłoneła każdą drobinę uwagi, jaką poświęcali jej dziadkowie, kuzyni, wujkowie, ciotki i ja. Pokochałam ją od razu, bo ona mnie potrzebowała.

Nie wiedziałam jeszcze, czego ja potrzebuję.

- Co ty tam robisz? - zawołała z werandy mama którejs nocy. C)dpowiedział jej mój beznamiętny i metodyczny głos.

- Kopię w ogródku.
- Po co? - spytała mama rozsądnie.
- Zasadzam miętę.
- Jest ciemno- Nie muszę widzieć. Muszę sadzić.

Pewnego dnia upadłam, próbując usiąść na sedesie w mojej łazience. Renfrew pospieszyła mi z pomocą. Włosy Renfrew, ukryte pod czarną siateczką, posiwiały już zupełnie. Kilka lat temu rzuciła palenie, zaczęła żuć tytoń. Wypluwała sok z tytoniowych liści do małej puszki, którą nosiła w fartuchu. Podobno pluła na moich bratanków i bratanice, kiedy ją sprowokowali. Mnie jeszcze nie opluła.

- Przynieś mi filiżankę do herbaty, Miz Mac - powiedziałam sarkastycznie. - Zdaje się, że zostanę już na tej podłodze i naszczę do filiżanki.

- Nie wyrażaj się - odrzekła ostro, wymachując żyłastymi rękami. - Nie będę cię niańczyć jak cała ta banda. Zawsze mówiłam twojej mamie, że nic by ci nie było, gdybyśmy tylko mogli wcześniej ściągnąć cię do domu. Ale nie możesz ciągle snuć się jak cień.

- Nigdy nie byłam damą, Miz Mac. I wróciłam do domu przy cholernie nieprzyjemnej okazji.

- Lepiej wstawaj i bierz się do roboty!

- Nie mogę wstać - ryknęłam. - i nie wezmę się do roboty.

- No to sikaj na podłogę - odparła i wyszła.

Kiedy zdjęto mi gips, poruszałam się o kulach. Moja prawa noga była dzrwna - po prostu była sobie, spuchnięta, ale zdolna do ruchu, jakby przyłączono ją do mnie bez mojej zgody, jakby część mnie powróciła do domu po długiej wizycie w ciele innej osoby. Wiedziałam, że zdrowieję, że jest to tylko kwestia czasu i ćwiczeń, lecz nie czułam się z tym związana.

Słodka, miła Violet, atletyczna kobieta o kasztanowych włosach, była fizykoterapeutką. Chodziła w różowym dresie i uśmiechała się radośnie. Prowadziła ze mną codziennie zajęcia rehabilitacyjne w pokoju, który moi rodzice dobudowali z tyłu domu, przy ogrodzie. Zginałam nogę, ćwiczyłam równowagę, zaczęłam nawet podnosić na niej drobne ciężary.

Ale Violet powiedziała o jeden raz za dużo „och, będziesz zdrowa jak rydz”, i kiedy potem odwróciła się do mnie plecami, podniosłam z wiklinowej sofy twardą poduszkę do ćwiczeń i rzuciłam w nią najmocniej jak potrafiłam.

Podskoczyła jak oparzona, okręciła się na pięcie i spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Claire?

- Kobieta nie żyje, bo ja nie potrafiłam się nią zaopiekować, a teraz wszyscy dokoła oczekują, że całkiem o tym zapomnę. Uważają, że powinnam udawać, że nic się nie stało, i z radością wracać do zdrowia. Jak jeszcze raz usłyszę ten szczebiot, zabiję cię. Moja noga będzie pewnie zdrowa jak rydz, ale cała reszta zostanie całkiem pokręcona.

Ten niespodziewany atak na Bogu ducha winną kobietę sprowokował moją rodzinę do zwołania specjalnej narady.

- Rozumiem cię, siostrzyczko - mówił Josh cierpliwie. - Wiem, skąd wracasz. Ideały nie mają żadnego znaczenia, co? Popełniłaś błąd. W porządku. Musisz się z tym pogodzić i żyć dalej.

Brady garbił się na krześle, trzymając w objęciach małą walizkę.

- Twoja historia warta jest sporo pieniędzy - powiedział. - Można by z tego zrobić świetną książkę, Claire. Cztery stacje telewizyjne chcą kupić prawa do nakręcenia filmu. No i wywiady, talk-showy... Słuchaj, mam tutaj gotową umowę. Przejrzeliśmy ją razem - z wujem Ralphem. Jest dobra. Powinnaś ją podpisać. Kuj żelazo, póki gorące.

Spojrzałam na mamę i tatę, którzy najwyraźniej nie byli zadowoleni ze swoich synów. Nigdy tego nie powiedzieli, ale teraz wszyscy troje posiadliśmy wspólną mądrość: - dobre intencje nie zawsze wychodzą na dobre.

- Ten cholerny psychopata pewnie i tak zabiłby swoją żonę, bez względu na to, jak ty byś postąpiła - zauważył tato.

- Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś.

- Wykorzystałam ją, tato. Taka jest prawda. Sprzedałam. Sprzedałam ją.

- Problem polega na tym - oświadczyła mama gniewnie - że omal nie straciłaś życia, próbując pomóc tej biedaczce, a teraz stado sępów próbuje zrobić na niej pieniądze. Na niej i na tobie. A jednym z nich - spojrzała wymownie na Brady'ego - jest twój własny brat.

- Och, to wszystko filozofia - odparł Brady, nie zrozumiawszy ani słowa z tego, co mówiła mama. - Claire ma prawo korzystać z popularności. Sprzedać swoją historię...

- Nie mam żadnego prawa do tego, by robić pieniądze na nieszczęściu Terri Caulfield. - Usiadłam prosto na łóżku. - Wyciągnijcie ją z grobu i przekażcie jej dobre wiadomości. Że każdy chce robić na niej pieniądze. Będzie szczęśliwa. Martwa, ale szczęśliwa.

Brady gapił się na mnie z niedowierzaniem. Josh zagryzł dolną wargę i obserwował mnie spod przymrużonych powiek. Sprowadzono ciotkę Dockey, która kilka lat wcześniej została duchownym Kościoła unitariańskiego.

- Zrobiłaś, co należało, choć to nie wystarczyło. Ale to nie twoja wina. Czas wrócić do życia, Claire Karleen. Jesteś dorosłą kobietą. Ładną i inteligentną kobietą. Co zamierzasz robić; zostać wariatką?

- Nie wiem jeszcze, co zamierzam robić. Ale nie chcę słyszeć, jaka jestem szczęśliwa.

- Modlisz się często?

- Nie, do diabła, wcale się nie modlę.

- No dobrze, a co z jakimś hobby?

- Nie.

- A może szybki i bolesny kopniak w tyłek? Roześmiałam się. Ona nie.

Mama rozpakowała moje nagrody dziennikarskie.

- Może powieszę je na ścianie naprzeciwko twojego łóżka? - spytała.

- To już nie jest moje życie - odparłam. - Włóż je z powrotem do pudełka. Moja matka, silna, wyprostowana kobieta, kobieta, która została zaproszona

do Anglii, na seminarium poświęcone ceramice sponsorowane przez słynną fabrykę porcelany Wedgwood, spojrzała na mnie tak, jakbym zamieniła ją właśnie w najdehkatniejsze ze szklanych naczyń.

- Kiedy wreszcie zdobędziesz prawo do szczęścia? - spytała cicho. - Kiedy nadejdzie czas na miłość? Na dom, męża, dzieci?

- Nie potrzebuję tego, co ty, mamo.

- Kłamiesz. Spotykałaś się z różnymi mężczyznami. Violet i Rebeka opowiadały nam o każdym z nich.

- Przelotna znajomość i małżeństwo to dwie różne sprawy.

- Nikt nie może się mierzyć z Roaniem Sullivanem. O to ci chodzi. Przyznaj się.

- Mamo, miałam dziesięć lat, kiedy on zniknął. On miał tylko piętnaście. Nawet nie wiedziałam wtedy, co mam oceniać. Więc nie, to nie jest powód...

- Gdyby Roan Sullivan wrócił tutaj, wszedł do tego pokoju i powiedział: „Ożenię się z tobą i wyjedziemy stąd”, wyjechałabyś.

- Wróciłby wiele lat temu, gdyby mu tak na tym zależało. Albo mu nie zależy, albo od dawna już nie żyje. Tak czy siak, nie jestem zainteresowana małżeństwem z kimkolwiek innym.

- Widzisz? Z kimkolwiek innym.

- Z kimkolwiek. To właśnie miałam na myśli.

- Nie chcę, żebyś została tutaj tylko dlatego, że nie potrafisz ułożyć sobie życia gdzie indziej.

Odwrociłam wzrok i nie odpowiedziałam.

Kiedyś, gdy ciotka Jane szczebiotała coś do mnie, pomagając mi przy kąpieli, mruknęłam wściekle:

- Czuję się jak najważniejsza kurwa w haremie.

Ciotka Jane pochyliła się niżej i spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Co ona powiedziała? - spytała ciotka Irene z za drzwi łazienki, gdzie zmieniała pościel na moim łóżku. Nie miałam ani odrobiny prywatności.

- Powiedziała, że... boi się dostać anemię - skłamała ciotka Jane.

Siedziałam obok taty z tyłu ciężarówki stojącej na środku jednego z naszych pastwisk. Wokół nas tłoczyły się lamy, które delikatnym jak aksamit pyszczkami wybierały z naszych dłoni ziarna kukurydzy. Tato przywiózł mnie tutaj, bym nadała imię jednej z jego nowych ulubienic-Mała lama stała na krzywych, lekko drżących nogach obok swej kosmatej mamy. Na peryskopie cienkiej, długiej szyi osadzona była malutka głowa, z której patrzyły na mnie ciemne, poważne oczy.

- Doiły - powiedziałam. - Nazywa się Dolly Lama.

Tato przyglądał resztkę siwych włosów i roześmiał się. Grzało nas gorące wiosenne słońce, żółte promienie odbijały się od łysiny taty, a nad ziemią unosił się rozkoszny, niepowtarzalny zapach świeżej trawy. Śmiech ucichł. Przez chwilę siedzieliśmy oboje w milczeniu. Lamy zbierały ostatnie ziarna kukurydzy, które spadły na moje dzinsy, i ocierały głowy o moje kule.

- Chcesz całkiem zrezygnować z pisania? - spytał.

- Nie wiem, tato. Naprawdę, nie mogę o tym jeszcze myśleć.

- Pan Cicero jest ucieszony, że wróciłaś do domu. Chce zrezygnować z pracy w „Koniczynce” i przejść na emeryturę. Mówi, że zaproponowałby ci całkiem niezłe warunki, gdybyś chciała zająć jego miejsce.

- Na razie nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

- Wiele rzeczy zmieniło się w mieście i wokół niego. Więcej turystów, więcej sąsiadów. Sprowadzają się tutaj ludzie z Atlanty. Ze wszystkich stron. Rozmawiamy o tym na zebraniach zarządu okręgu. Jeszcze kilka lat, a eksperci od planowania zrobią z nas okręg miejski. Nie podoba mi się to.

- To tylko nazwa bez żadnego znaczenia.
 - Pan Cicero już teraz musi sobie radzić z konkurencją. Nowi osadnicy wydają w miasteczku dwie gazetki. Pan Cicero mówi, że to tylko ulotki z ogłoszeniami, ale ja je widziałem. Prócz reklam i ogłoszeń publikują też normalne artykuły, jak prawdziwe gazety.
 - Nie sądzę, żebym to ja właśnie była tym człowiekiem, który uratuje „Koniczynkę” przed konkurencją.
 - Mogłabyś ją kupić. Wykorzystać pieniądze, które zostawił ci dziadek. Ja i mama moglibyśmy zainwestować. Twój bracia też. I to nie tylko dlatego, że chcemy, byś tutaj została. Bylibyśmy dumni, mogąc to zrobić.
- Uścisnęłam jego dłoń.
- Pomyślę o tym. Wiesz co? Kocham cię. Ciebie i mamę. Wszystkich. Widziałam ulgę na jego twarzy i czułam, jak smutek i rozpacz wnikają jeszcze głębiej w moją duszę. Tato spojrzał na Dunshinnog.
 - Kiedy w końcu wyjdiesz za mąż, zbudujecie tam z mężem wspólny dom.
- Wątpiłam, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż. Zaczęłam też wątpić, czy kiedykolwiek jeszcze opuszczę dom. W redakcji „Herald-Couriera” czekał na mnie awans i podwyżka. Pod koniec maja powiedziałam mojemu szefowi, że nie wracam.
- Więc zrezygnowałaś z pracy. Pewni ludzie przekazują mi stamtąd informacje, więc wiem jut o tym. Próbuję Cię zrozumieć, Claire. Czyżbyś się przestraszyła? To do Ciebie niepodobne. Wkrótce tam wrócę - załatwiłem już prawie wszystko - i mam nadzieję, że dowiem się wszystkiego od Ciebie.*
- Obserwuj nocami naszą górę. Mój Boże, mówię ci o tym, jakbyś to miała przeczytać. Na początku nie będzie mi łatwo rozmawiać z Tobą twarzą w twarz*
- Tylko o tym mogę teraz myśleć. Do zobaczenia.*

Rozdział czwarty

U słyszałam głośną rozmowę w salonie. Włożyłam szlafrok i najszybciej jak potrafiłam zesłam o kulach ze schodów. Na dole ujrzałam zdumionych mamę i tatę zatopionych w rozmowie z Hopem i Evanem.

- Córka Wilmy wystawia Dziesięć Skoków na sprzedaż - powtórzył dla mnie Evan. -1 wygląda na to, że znalazła już kupca. Nie wiemy kto to, ale sprawa jest już przesądzona. -

Wihna była naszą krewną z Minnesoty, która odziedziczyła Dziesięć Skoków. Niedawno jezioro przeszło na własność jej córki.

- Zarzekała się, że kiedyś to zrobi - powiedziała mama żalobnym tonem. - Powinniśmy byli jej uwierzyć.

- Ktoś musi mnie tam zabrać. - Mój głos wydawał mi się dziwnie słaby i odległy. Zdumione spojrzenia.

Podkuśtykałam bliżej, nie zwracając na nie uwagi. Śmiały pomysł jak na niedołączną pustelnicę.

- Dlaczego? - spytał tato łagodnie, choć w jego głosie krył się niepokój.

- Po prostu muszę tam pojechać. Hop? Evan?

- Skoro rzeczywiście chcesz tam pojechać - odparł powoli Evan, spoglądając na mnie badawczo i gładząc się po brodzie - wezmę mojego land-rovera. Wczoraj w nocy padało. Może się skończyć na tym, że utkniemy gdzieś w błocie.

- Weźmiemy łom i latarki.

Zakończywszy swą kwestię tym tajemniczym pokazem brawury, pokuśtykałam z powrotem do swej sypialni, usadziłam się na szpitalnym łóżku i wpatrywałam suchymi oczyma w sufit.

Pojechaliśmy nad jezioro, Evan, ja i nieustraszona żona Evana, Luanne. Landrover ociekał wodą i błotem, nim dotarliśmy nad brzeg, do miejsca, gdzie stała chata, otoczona przez wielkie, wysokie prawie na dziesięć stóp hałdy jeżyn.

- Zdumiewające - powiedziała Luanne. - **Jak** to możliwe, że ta chatka jeszcze się nie zawaliła po tylu latach?

Evan pokiwał głową z uznaniem.

- Bale grube na dwanaście cali, podwójnie cynkowany dach na tekowych deskach. A te kamienne podpory mogłyby utrzymać Pałac Buckingham. Spójrz na ten komin i te kolumny pod werandą.

- Dobry Boże. To nie jest chata. To dwupokojowa łódź, zacumowana na suchej ziemi. Taka malusieńka Arka Noego.

- Raczej rudera z rodowodem - odparłam.

Wysiedliśmy z samochodu. Siedziałam w otwartych drzwiach, czekając, że Evan przyniesie mi kule.

Ładnie tu - zauważyła Luanne. - Dziko, pusto, cicho. Podoba mi się to jezioro. Evan pomógł mi stanąć na ziemi.

- W porządku, siostrzycko, jesteś tutaj. Po co to wszystko?

- Pokażę ci, kiedy wejdziemy do środka. Może całkiem podziurawiły ją termyty. Może rozpadła się na kawałki. Daj mi najpierw popatrzeć.

Przedzierałam się przez jeżyny, które Luanne i Evan rozgarniali przede mną na boki.

- Przytulnie jak u pana Boga za piecem - powiedziała Luanne, oglądając stare[^] zakurzone wnętrze chaty. Uderzyła w ścianę, kopnęła obcasem w grubą, tekową podłogę. - Solidne.

- Pełno robactwa - mruknął Evan, strzepując z ubrania pajęczynę. Zapalił latarkę, omiół snopem światła puste gniazdo os i resztki żołądki, pozostawione przez wiewiórki. Wiatr jęczał w czeluściach komina.

- Tam - wskazałam głową na drzwi. - Drugi pokój.

Evan oświetlał mi drogę, a ja z hukiem wkroczyłam do drugiego pokoju.

- Tam jest. - Światło padło na wąskie, prostokątne wejście, zasłonięte jeszcze resztką jakiegoś wilgotnego materiału.

- Przyszedł tutaj, żeby zobaczyć ten schowek? - Zdumiał się Evan. Zerwał resztki zasłony. Kłęby kurzu. Oświetlił wąskie zagłębienie, zajrzał na moment do wnętrza, po czym spojrzął na mnie wyczekująco. - Tak. To wciąż tylko zwykły schowek, siostrzyczko.

Przeszłam obok mego, wsunęłam się do wnętrza schowka i oparłam

o zimną ścianę za moimi plecami.

- Latarka. - Evan podał mi lampkę, a ja, wstrzymując oddech, zwróciłam ją na deskę tuż nad moją głowę. - Właśnie tego chciałam.

Evan stanął obok mnie, odchylił głowę do tyłu i spojrzał.

- Mój Boże, siostrzyczko - mruknął.

Ukryty w ciemnym zakamarku, w miejscu gdzie nikt nie zaglądał od dziesięcioleci, wyryty w desce napis głosił: „Roan i Claire”.

- Roan to zrobił - wyjaśniłam. - Znalazłam to po jego wyjeździe. Wzięłam deskę do domu i włożyłam ją do szuflady w moim pokoju. Nikt nie powiedział ani słowa.

Teraz już tu będziesz mieszkać, prawda? - spytała Amanda podczas niedzielnego obiadu, kiedy skryłyśmy się obie w wiklinowych fotelach, w pokoju przy ogrodzie. - Prawda? - powtórzyła - zostaniesz tutaj na zawsze?

- Nie wiem. Ale na pewno będę tutaj dość długo.

Amanda bawiła się małym, różowym kwiatkiem, który, stał w doniczce między naszymi fotelami.

- To dobrze, będziemy razem robić różne rzeczy, co? Bo babcia zawsze jest zajęta tymi swoimi garnkami, a taty ciągle nie ma. A ciotka Luanne

i ciotka Ginger, i ciotka Simone, one mają pracę i swoje dzieciaki i swoje rzeczy do zrobienia. Ale ty nie masz już pracy i nie masz dzieci, więc... więc możemy robić coś razem, co?

- Pewnie. Zawsze będę robiła coś z tobą, a kiedy będę już stara, zamieszkać z tobą i twoje dzieci będą mogły udawać, że jestem ich babcią. - Straciłam okruszki ciasta z moich spodni. Czubkami palców wyczułam głęboką bliznę, ukrytą pod materiałem. - A kiedy umrę, dostaniesz moje pieniądze.

- Super! - rozpromieniła się Amanda. - Nie obchodzi mnie nawet, czy **masz** jakieś pieniądze. Babcia Arnetta mówi, że prędzej świnie nauczą się latać, niż ty będziesz coś warta. Co to znaczy?

Wzruszyłam ramionami.

- To znaczy, że muszę nauczyć się chrumkać.

- Tata mówi, że musimy być cierpliwi i dobrzy dla ciebie. Słyszałam, jak rozmawiał o tym wczoraj z dziadkiem. Tata jest trochę zły, że „zraniłaś uczucia” Nany, tak powiedział.

Wszystkie moje bratanice i bratankowie, nazywali moją mamę „Nana”.

- Nie chciałam tego zrobić - odparłam. - Twoja Nana ma szafę pełną ubrań dla dzieci, których ja nie mam.

Powiedziałam jej, że powinna się ich pozbyć.

- Dlaczego?

- Och... Porozmawiajmy lepiej o czymś innym.

Amanda skrzywiła twarz, wylizując nadzienie z szarlotki. Obie byłyśmy łakomczuchami. Zwykle brałyśmy więcej, niż byłyśmy w stanie zjeść.

- Nie powinnam podsłuchiwać taty - szepnęła do mnie. - Ale nie mogłam wytrzymać.

- Więc co jeszcze mówił o mnie twój tata i dziadek?

- Dziadek powiedział, że musimy na wiele ci pozwalać i wiele wybaczać. Bo kiedy byłaś mała, przydarzyła ci się smutna rzecz, i nigdy sobie z tym nie poradziłaś. A teraz jesteś w o wiele gorszym stanie, powiedział jeszcze. Muszę wiedzieć. Czy to naprawdę było bardzo smutne? Co się stało?

Emocjonalna pułapka. Skurczyłam się w sobie i poczułam, jakby dwadzieścia lat paliło mnie w piersiach żywym ogniem.

- To było smutne tylko dlatego, że skończyło się tak, a nie inaczej. - Ostrożnie dobierałam słowa. - Przedtem było po prostu cudowne.

Opowiedziałam jej o Roanie. Od festynu w Dzień świętego Patryka do chwili, kiedy Roan zniknął bez wieści. O wspaniałym Bożym Narodzeniu, które spędziliśmy razem w naszym domu, i o naszyjniku, który mi podarował.

O Dużym Roanie. O Wąwozie Sullivana, który zarośnięty jest teraz sosnami

i właściwie wcale go nie ma, tak jak nie ma Roana. Opuściłam drastyczne szczegóły. Nie powiedziałam jej, że Roan zniknął, bo jej ukochani dziadkowie, Nana i dziadziu, odesłali go do jakiegoś kościelnego sierocińca. Była jeszcze za mała, by zrozumieć, że pod wpływem chwili nawet dobrzy ludzie popełniają czasem straszliwe pomyłki.

- Roan się wyprowadził - opowiadałam. - I wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Kiedy twój dziadek mówi, że nigdy sobie z tym nie poradziłam, to ma na myśli to samo, co ty czasem opowiadasz mi o swojej mamie. O tym, jak śnisz, że ona stoi po drugiej stronie przepaści, a ty nie możesz skoczyć tak daleko, i nie możesz się do niej dostać. Tak właśnie dzieje się, gdy odchodzi ktoś, kogo kochasz. Zawsze jest w tobie coś, co szepcze „Skacz!”, choć ty wiesz, że jest za daleko.

Amanda patrzyła na mnie z otwartymi ustami i oczami pełnymi romantycz-

nego żalu. Wyglądała dokładnie tak, jak miliony małych dziewczynek, które oglądają po raz pierwszy *Camelot* i nagle zdają sobie sprawę, że Ginewra nie zatrzyma przy sobie Lancelota.

- Och, ciociu Claire - szepnęła. - Roan Sullivan skoczy z powrotem po ciebie. Ja po prostu wiem, że on to zrobi. Oto czego mogłam oczekiwać, dzieląc się swą tragedią z dzieckiem. Kopniak prosto w splot słoneczny. Oślepiające błyski przed oczami. Potem głęboki oddech, i wracam do przytomności, do trzeźwego rozumowania.

- Nie, słoneczko - powiedziałam cicho. - Czasami ludzie się zmieniają. Dorastają i oddalają się od siebie, aż całkiem zapomną, jak skakać. - Nie wspomniałam o rzeczy najbardziej oczywistej. Nie mogłam skoczyć, nawet gdybym chciała. - Nie jestem skoczkiem - zakończyłam. - Potrafię tylko siedzieć.

Jej oczy rozbłysły jeszcze mocniej. Spojrzała na mnie tak, jak ja spojrzałabym na samą siebie, kiedy byłam jeszcze całkiem młoda uparta i sentymentalna.

- Czasami wydaje mi się, że nie starasz się dość mocno - oskarżyła mnie łagodnie. - Nie starzej się i nie dziwaczejrciociu Claire.

Coś ścisnęło mnie w gardle i nie mogłam wypowiedzieć ani słowa. Poczekaj, aż zacznę rozmawiać z pomidorami i robić na drutach sweterki dla kotów.

Tej nocy przebudziłam się gwałtownie, nie krzycząc, ale wrzeszcząc, i wałam pięściami w łóżko. Pokuśtykałam do szafki i wyjęłam z niej małe drewniane pudełko, które przechowywałam od wielu lat. Chowałam do niego różne pamiątki, takie, na które nie mogłam patrzeć, ale których nie potrafiłam też wyrzucić. Wyjęłam z malutkiej, bawełnianej torebeczki mój stary naszyjnik i wyblakłą, emaliowaną koniczynkę. Nosiłam ją przez tyle lat, że zieleń starła się całkiem, a naszyjnik stracił złoty blask i przybrał barwę zaśniedziałego niklu.

Nie byłam w stanie zliczyć wszystkich godzin, jakie spędziłam w ruchliwych miejscach różnych miast, gapiąc się na przechodzących obok mężczyzn, wszystkich urodzin i świąt, kiedy nerwowo przeglądałam korespondencję, myśląc: „Tym razem na pewno przysłał kartkę”. Wszystkich ulotnych chwil, kiedy zadzwonił telefon, dzwonek u drzwi, kiedy ktoś zapukał, a ja łudziłam się przez sekundę, że to może być Roan. M o ż e b y ć.

Prawie całkiem zapomniałam o dziewczynce, upartej na tyle, by wstawić się za chłopcem, którego nikt inny nie chciał.

Nie mogłam spać. Siedziałam w ciemności przy oknie. Dunshinnog otulona była gęstymi chmurami, które przesłaniały co chwila pełny księżyc. Wyniosła góra ginęła powoli w ciemności, pogrążała mnie w coraz głębszej rozpaczy, jak moje własne myśli.

Zobaczyłam światło. Małe i migotliwe na szczycie Dunshinnog. Zamknęłam oczy i światełko zniknęło. A więc nie wyobrażałam sobie tego. Ono naprawdę tam było.

Ktoś był na mojej górze, do jasnej cholery. Nim obudzę cały dom i pokażę im to, co teraz widziałam, nieznajomy natręt może zniknąć. Znów wszyscy z niepokojem będą szeptać po kątach o stanie mego umysłu.

Zarzuciłam wiatrówkę na nocną koszulę i wypelzłam na zewnątrz przez okno mojej sypialni. Było to bardziej wyczerpujące i bolesne niż wszystkie ćwiczenia, którymi raczyła mnie Violet. Nim wylądowałam wreszcie w ogródku, za rządkiem kamelii, z trudem łapałam oddech.

Obeszłam dom, przez cały czas obserwując szczyt Dunshinnog. Światełko było na swoim miejscu. Wcisnęłam się jakoś do szoferki starej ciężarówki, zaparkowanej za jedną ze stodół, uruchomiłam silnik i ruszyłam w stronę góry, dość niepewnie, gdyż musiałam naciskać pedały lewą stopą.

Jechałam starą wyboistą drogą, wspinającą się na południowe zbocze Dunshinnog. Kiedy dotarłam do polany na szczycie góry, światła ciężarówki odsłoniły nie znany mi samochód, z rejestracjami wypożyczalni. Na skalnej półce po drugiej stronie polany płonęło małe ognisko, ułożone z chrustu i gałęzi.

Zdumiona, ruszyłam o kulach w stronę ognia, rozglądając się dokoła niespokojnie. Nie widziałam w pobliżu nikogo. Któż by ośmielił się wtargnąć w nocy na moją własność? Księżyc i gwiazdy zniknęły już całkiem za grubą zasłoną chmur, rozświetlanej co jakiś czas odległą błyskawicą. Czułam w powietrzu deszcz.

- Kim jesteś? - krzyknęłam. - Gdzie jesteś? To prywatna posiadłość! Prywatna!

Deptalam bosymi stopami naparstnice, potomstwo roślin, które dwadzieścia lat temu zasadziłam tutaj z dziadkiem. Patrzyłam, nasłuchiwałam, chwiałam się na boki. Nagle znienawidziłam te kwiaty za to, że przetrwały, że nie dotrzymały obietnicy danej mi wiele lat temu, że wpuściły tutaj jakiegoś

obcego człowieka. Zaczęłam walić w nie kulą, niczym jakieś wściekłe zwierzę o drewnianych rogach.

- Wyłaż stamtąd! - wrzasnęłam w stronę lasu po drugiej stronie polany. Zaczął padać deszcz - grube, zimne krople, które natychmiast przemoczyły mnie do suchej nitki. Ogień prychał i wyrzucał z siebie kłęby białej pary. Pośliznęłam się na skalnej półce i upadłam. Potem czułam tylko, że jakieś mocne ramiona unoszą mnie w powietrze.

Nie wiedziałam, kto ani co mnie pochwyciło. Było ciemno i zimno, woda zalewała mi oczy, po nagłym upadku kręciło mi się w głowie, wstrząsały mną dreszcze, byłam bezsilna, bezradna wobec obcej ściany kości i mięśni. Wszystko to przypominało mi nocny koszmar. Zaczęłam się wyrywać.

- Claire - powiedział ochryply głęboki głos.

To wystarczyło. Znałam własne imię i znałam ten głos. Odwróciłam moją przemokniętą głowę w jego stronę. Nad górą rozjarzyła się błyskawica i zobaczyłam wreszcie jego twarz wyrzeźbioną w ciemności nocy, jego oczy wpatrzone w moje, trzymające mnie na uwięzi.

- Roan - szepnęłam, a mój głos zginał w ogłuszającym grzmocie, który zatrzęsł mną i pozbawił tchu w piersiach.

Roan.

Rozdział piąty

Przeżyłam tę noc na granicy świadomości, tak jakbym wciąż tonęła. Wiele szczegółów być może nigdy do mnie nie wróci, poza jakimiś wizjami, znakami okrytymi w mglisty symbolizm, jakbym patrzyła na nie przez przyciemnioną szybę.

Deszcz smagał nas bez litości. Błyskawica przedarła na mgnienie oka zasłonę wody, a towarzyszący jej grzmot przetoczył się z rykiem przez dolinę. Ognisko - sygnał? Pierwotny sposób na ściągnięcie czyjejś uwagi? - zginęło zupełnie w oparach dymu, które ogarnęły nas, gdy Roan niósł mnie do auta. Nie pytałam dokąd jedziemy - w tej chwili zupełnie mnie to nie obchodziło.

Roan prowadził, a ja wcisnęłam się w drzwi samochodu i przyglądałam się jego profilowi, korzystając ze światła każdej błyskawicy. Na podłodze leżał zmięty bilet lotniczy. W szczelinę między siedzeniem kierowcy a środkową konsolą wcisnięty był kosztowny skórzany portfel. W otwartej popielniczce leżało zgaszone cygaro.

Głos zamarzył mi w gardle. Woda ściekała strumyczkami po mej twarzy i przyklejała nocną koszulę do nóg. Bose stopy były oblepione błotem. Nie wiedziałam, gdzie są moje kule.

On żyje. Wrócił do domu. Nie zapomniał o mnie.

Wkrótce zorientowałam się, że jedzie przez nierówny, błotnisty teren i z trudem przedziera się do przodu. Mokra gałąź uderzała o dach, a brudna woda chlapała raz po raz na przednią szybę, by po sekundzie zniknąć w szerokich pasmach wycieraczek.

- Porywasz mnie? - spytałam.

Spojrzał w moją stronę. Nie mogłam zobaczyć, co kryje się w jego oczach, ale dojrzałam przelotny uśmiech na jego twarzy.

- Do diabła, tak.

- Roan. - Była to jednocześnie prośba i podziękowanie.

Nagle zatrzymał samochód, wyskoczył w ciemność i po sekundzie pojawił się przy moich drzwiach. Znow wzię mnie w ramiona i przeniósł przez jakieś krzaki, rosnące na nierównym gruncie. Błyskawica rozświetliła na moment ciemności. W krótkim rozbłysku dojrzałam starą chatę. Dziesięć Skoków. Przywiózł mnie do Dziesięciu Skoków. Jedną dłonią trzymałam go za koszulę, Jego skóra i włosy pachniały jak letni deszcz. Jego pierś była twarda i mocna. **Wszystko** to wydawało mi się nierealne, szalone. Roan wszedł na krzywe schody, przecisnął się bokiem przez wąskie wejście, ograbione z drzwi, nim jeszcze którekolwiek z nas się urodziło, wreszcie stanął we wnętrzu twardej skorupy z drewna okrętowego. Mokry wiatr dał w otwór, w którym niegdyś znajdowało się okno, ale i tak miałam wrażenie, że znaleźliśmy się w ciepłej jaskini, niedostępnej dla wszelkich żywiołów.

Położył mnie na podłodze, która zdawała mi się zadziwiająco miękka. Nie widziałam go. Słyszałam tylko, jak się porusza. Usiadłam prosto, podpierając się z tyłu rękami i wyciągając obie nogi przed siebie. W pobliżu coś zasyczało i nagle chata napełniła się światłem. Roan kuczał obok małej podręcznej latarenki. Ja siedziałam na dmuchanym materacu. W kącie małego, pustego pokoju stał pojemnik z lodem i wypchana torba turystyczna.

Przez wiele lat zmagalam się z dręczącym snem, w którym jakiś pozbawiony twarzy człowiek wyciągał do mnie rękę przez ogień. Intuicja podpowiadała mi, że to Roan, ale ponieważ nie widziałam jego twarzy, nie mogłam przyjąć jego dłoni. Zniknęły przecież wszelkie dowody jego istnienia, pozostał tylko w opowieściach innych ludzi.

„Będiesz miała trzydzieści lat, nim zrozumiesz, kim jesteś naprawdę.”

I wreszcie znalazłam się tutaj, z bolącym sercem, po dwudziestu latach, czekałam, by dowiedzieć się, jaka to przepowiednia sprowadziła tu Roana.

Przysiadł obok mnie na materacu, podpierając głowę ręką. W dziwnym, bladym świetle lampki wyglądał jak osmagana wiatrem marmurowa rzeźba. Tylko szare oczy, o intensywnym, przenikliwym spojrzeniu wyglądały, jakby

odlano je z rtęci. Nie musieliśmy nic mówić. Zdumienie i szok pierwszych chwil i tak odebrały nam słowa. Niczym dzikie zwierzęta staraliśmy się ocenić niebezpieczną sytuację, w absolutnym bezruchu zbadać zamiary przeciwnika. W końcu po dwudziestu latach nie wyjaśnionej nieobecności powiedział z żalem raczej niż z sarkazmem:

- Nareszcie w domu.

Spojrzałam w twarz chłopca, którego pamiętałam z dzieciństwa, teraz już dorosłego mężczyzny, o błyszczących oczach, ukrytych pod ciężkimi brwiami, ciemnych włosach, odgarniętych bezładnie z szerokich kości policzkowych i wysokiego czoła.

- Tak - odparłam cicho.

Podniósł dłoń do mojej twarzy. Jego palce stały delikatnie wodę z moich oczu, ust, przesunęły się pod brodę, jakby przypominając sobie znajome kształty.

- Znam cię - szepnęłam, oszołomiona. - Wciąż cię rozpoznaję.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym myślał, że nie chcesz mnie widzieć. Kolejny grzmot zatrzęsł chatą. W mojej rozgorączkowanej wyobraźni, świat kończył się i zaczynał na nowo, przeszłość i przyszłość ścierały się ze sobą z ogromną siłą, która wynosiła prawdę z głębin ziemi na samą jej powierzchnię.

Roan wyciągnął z torby biało-czerwony koc i otulił mnie nim. Nagle zdałam sobie sprawę, że cała się trzęsę. Ale on poruszał się za szybko, z niepowtarzalnym wdziękiem sprawnych męskich mięśni. Być może zobaczył niepokój na mej twarzy. Zmarszczył brwi, przyklęknął i rozejrzał się po chacie, należącej niegdyś do mego przodka.

- Kupiłem to miejsce - powiedział.

Znów milczenie. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć jakoś fakt, że zarobił tak dużo pieniędzy, że wydał je w sekrecie i że ten ogromny wydatek miał coś wspólnego ze mną.

Deszcz bębnił o dach. Wyobrażałam sobie, jak wody jeziora podnoszą się coraz wyżej, sięgają do krzaków jeżyn, podchodzą pod próg, aż wreszcie cały dom odplywa. Wielkie żółwie wojownika Czirokezów mogłyby się przydać. Roan usiadł, podciągnął jedną nogę do góry i oparł ręce na kolanie. Zaczęła mnie boleć noga. Nagle poczułam się straszliwie zmęczona, zakręciło mi się w głowie. Upadek na skalnej półce pozostawił świeżą, piekącą ranę na moim policzku. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Czułam się bezsilna i bezwładna.

- Muszę odpocząć - przyznałam wreszcie.

- Nie chcę odwozić cię dzisiaj na farmę - powiedział. Łagodność zniknęła z jego twarzy, która nabrała teraz życia, stała się bardziej realna. - A może chcesz, żebym cię tam zawiózł?

Nie zakładał, że naprawdę chciałabym tam wrócić; traktował moją rodzinę jako swego rodzaju obowiązek. Nie mogłabym jednak wytłumaczyć szybko moim krewnym, co zaszło, a dopiero potem wrócić do niego; on też winien był mi pewne wyjaśnienia.

- Nie, nie zamierzam spuścić z ciebie oka. Nawet nie jestem jeszcze całkiem pewna, czy ty istniejesz naprawdę. Wyciągnął rękę, ostrożnie, a ja wyteżyłam całą siłę woli, by siedzieć nieruchomo. Na moment położył dłoń na moim policzku.

- Jestem równie prawdziwy jak ty - szepnął.

Dwadzieścia lat. Nie musiałam mówić tego głośno; jego oczy pociemniały; skinął głową. Nadal owinięta w koc położyłam się na boku najzręczniejsz, jak tylko potrafiłam, co nie wyglądało zbyt wdzięcznie. Roan wyciągnął nie wiadomo skąd grubą poduszkę obleczonej w delikatną niebieską pościel. Położył ją przy mnie, jakby chciał zastąpić tym wszystkie słowa. Wszystko wydawało mi się w tej chwili symboliczne. Wsunęłam poduszkę pod głowę. Puch, miękki delikatny puch. Na dmuchanym materacu, w chacie bez żadnych wygod, w lesie, tylko we dwoje, ukryci przed światem, bo przecież nikt nie mógł wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Odwrócił się do lampki. Jego dłoń, obrysowana światłem, powoli sięgnęła do pokrętła. Objęła nas atramentowa ciemność, pachnąca deszczem i wilgotną ziemią. Przez ułamek sekundy byłam dezorientowana.

- Mów do mnie - powiedziałam szybko. - Mów o wszystkim, co jest dla ciebie ważne. Chcę słyszeć twój głos.

- Siedzę obok ciebie - odpowiedział lekko zachrypniętym głosem. - Słucham deszczu. Słucham twego oddechu. To chyba najspokojniejsza chwila w moim życiu.

Mgielka zadowolenia i radości, która kryła się w jego głosie, zaczęła powoli tulić mnie do snu. Dziwne, bo wiedziałam już, że w głębi duszy byłam na niego wściekła. Obserwował mnie przez te wszystkie lata i nigdy nie dał znaku życia.

- Śniło mi się, że przyszedłeś do szpitala - szepnęłam.

- Byłem tam.

Pierwsze promienie słońca obmyły surowe, iście spartańskie wnętrze chaty. Para kolibrów walczyła ze sobą o miejsce w pomarańczowym pąku kwiatu, który wyrósł obok wyłamane go okna. Słyszałam szelest delikatnych skrzydeł, uderzających o siebie w kolejnych starciach. Czułam dziwną mieszankę rozpacz i podniecenia.

Roan.

Trzymając się ściany i futryn, powoli przeszłam na werandę. Moje kule leżały oparte o wyłamany fragment poręczy. Nawet nie zauważyłam, że Roan zabrał je wczoraj ze sobą.

Roan stał na małej polance pięćdziesiąt jardów dalej, odwrócony do mnie plecami. Starszy, większy, dojrzały. Niesamowity spokój, bezruch drapieznika, choć i obrońcy, który nosił w sobie jeszcze jako chłopiec, pozwoliły mi zrozumieć, jak silny duchowo jest teraz. Zdawało się, że pozwolił, by błękitne poranne niebo i platynowa powierzchnia jeziora wchłonęły go w siebie bez reszty.

On jest tutaj. Naprawdę jest w domu.

Spojrzałam na ścieżkę, która prowadziła do Roana. Splątane kłacza jeżyn, wążutki, błotnisty pas ziemi, wydeptany przez dzikie zwierzęta, kępy młodej szkarłatki. Dziadek zawsze na wiosnę gotował młode szkarłatki; zaklinał się, że grube, włókniste łądygi oczyszczają go z resztek zimy. Później, gdy już dorastały, stawały się trujące.

Krok po kroku posuwałam się naprzód. Koc Roana spadł mi z ramion, osunął się na biodra. Spojrzałam pod stopy. Rozsuwałam ostrożnie kolejne kłacza jeżyn, z trudem łapałam równowagę. Miałam na sobie nocną koszulę z palmą wyszytą na piersiach, żółtą wiatrówkę i żadnych butów. Dysząc, przeklinając pod nosem, weszłam wreszcie na polanę. Roan odwrócił się, słysząc jakieś dźwięki za plecami, i wyciągnął do mnie ręce. W tym momencie triumfu zawadziłam końcem kuli o jakiś kamień.

Złapał mnie, kiedy zaczęłam upadać. Zacerwieniłam się, zmieszana, ale gdy zauważyłam ciemne kręgi pod jego oczami, zapomniałam o swoim niedołęstwie.

- Ładny przechwyty - zauważyłam.

- Cieszę się, że nie pozwoliłem ci upaść. Szkoda, że nie byłem przy tobie dwa miesiące temu.

- Byłeś. Wszystko, co robiłam dla innych ludzi, to tylko substytut tego, czego nie mogłam zrobić dwadzieścia lat temu.

212

- Więc jesteśmy do siebie podobni. Przez cały ten czas próbowałem żyć tak, by odrobić to, co się stało. Wszystkie pytania bez odpowiedzi, wszystkie te lata, tak wiele zmian, a jednak tak mało.

- Nie mogę teraz myśleć - powiedziałam. - Muszę ci się przyjrzeć. Zdawało mi się, że był jednocześnie zadowolony i zmartwiony. Schował głowę w ramiona i patrzył na mnie, jakby przewiercał "mnie na wylot spojrzeniem stalowych oczu.

- Może powiesz mi, co widzisz?

Mogłam to podsumować, a jednocześnie nie powiedzieć najważniejszego. Najpierw rzuciły mi się w oczy grube spodnie khaki, traperki z meraeskimi sznurówkami i stara bawełniana koszula z podwiniętymi rękawami. Później zauważyłam ciężki złoty zegarek gęste ciemne włosy, spracowane dłonie. Dolną część jego twarzy pokrywał delikatny cień jednodniowego czarnego zarostu.

- Jesteś doskonała - powiedziałam.

Natychmiast przywróciłam sobie o mojej bladej, cienkiej nodze, pokrytej bliznami po operacji. Otuliłam się szczelniej kocem, tak iż było widać tylko moją twarz ze strzechą rudych włosów. Powędrował spojrzeniem do ukrytej nogi, potem wrócił do mojej twarzy. Prowadziliśmy się nawzajem niewidzialnymi sygnałami.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w swym życiu - powiedział cicho. - Ustalmy to od razu.

W mężczyźnie, który wypowiada takie słowa, jest dziwna moc, ukryta nie tyle w samych wyrazach, lecz w muzyce jego głosu, w jego głębi. Przyglądałam mu się z uwagą. Wszystko, czego dowiadaliśmy się o sobie, każde, najmniejsze nawet odkrycie, było jak woda, spadająca na spieczoną żarem ziemię - potrzebowała czasu, by wsiąknąć w twarde grunto, by znaleźć stare kanały.

- Zawsze się bałam - mówiłam powoli - że zobaczę cię pewnego dnia; w sklepie, w restauracji, gdziekolwiek. I że cię rozpoznam. Że podejść do ciebie i wypowiem twoje imię, a ty spojrzysz na mnie i nie będziesz miał pojęcia, kim jestem. Że będę musiała ci to wyjaśnić. Byłbyś uprzejmy, ale poirytowany, może nawet oziębły, bo ostatnią rzeczą, jaką chciałbyś robić, byłoby grzebanie w bolesnych wspomnieniach. Próbowałabym ci powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczyłeś, kiedy byliśmy dziećmi, ale ty nie chciałbyś tego

śłuchać. I że wtedy zrozumiałaby, jak wiele było w tym sentymentalnych fantazji małej dziewczynki o starszym chłopcu.

- Ja widziałem to inaczej - odparł cicho. - Podeszedłbym do ciebie i wymówił twoje imię, a ty cofnęłabyś się o krok. Spytałabyś mnie, czego do diabła chcę od ciebie. Spytałabyś mnie dlaczego chcę, żebyś pamiętała. Spojrzałabyś na mnie, ale widziałabyś tylko mojego ojca.

Opadłam trochę z sił. Roan wyciągnął składane krzeselko i postawił je obok kuchenki turystycznej, na której gotowała się właśnie woda. Osunęłam się na nie ciężko. Roan nalał mi kawy.

Odstawiłam kubek i oparłam głowę na dłoniach.

- Jak ci się wiodło? - spytałam. Prawie uprzejmie. Prawie jak kogoś obcego. To było bolesne i absurdalne.

- Kiedy zobaczyłem cię w szpitalu, kiedy wiedziałem, że mnie potrzebujesz, nic poza tym już mnie nie obchodziło. Chciałbym tylko, żeby ze względu na ciebie to wszystko przetoczyło się inaczej.

- Potoczyło - poprawiłam.

Po prostu wyrwało mi się. Trudno wyzbyć się starych nawyków. Spojrzeliśmy na siebie z uśmiechem. Pochylił się nade mną, jego ciemne, rozwichrzone włosy niemal ocierały me czoło, i w tym momencie nie było między nami ani trochę niewinności. Jego zapach i mój zapach mieszały się ze sobą jak oddechy rannych zwierząt, ciepło ich ciał.

- To łatwe - mruzczał. - Kiedy jesteśmy razem. Nikt nie rozumiał tego, kiedy byliśmy dziećmi, i nikt nie zrozumie tego teraz.

Odchyliłam się do tyłu.

- Skąd wiesz o mnie tak dużo?

- Przeczytałem wszystkie twoje artykuły. Nie tylko te z „Herald-Courier”, ale i te, które napisałaś jako redaktor gazetki studenckiej. I jeszcze wcześniejsze. Wszystkie numery „Koniczynki”. Nie napisałaś ani słowa, którego bym nie przeczytał.

Milczeliśmy przez długą chwilę. Jezioro lśniło w słońcu. Pierwsze w tym roku ważki przelatywały nad jego powierzchnią. Mała sarna wyszła z lasu po przeciwnej stronie, patrzyła na nas przez moment i powoli wycofała się między drzewa. Kiedy spojrzałam na Roana, pomyślałam, że musi być tak samo odrętwiały jak ja. Jego oczy i usta naznaczone były goryczą i samotnością.

Przemówiłam powoli:

- Przez te dwadzieścia lat przychodziły mi do głowy różne dziwne myśli. Myślałam na przykład, że skoro nigdy nie dałeś mi znaku życia, to albo

o mnie zapomniałeś, albo nie żyjesz.

- Kiedy siedziałem przy twoim łóżku tamtej nocy w szpitalu, powiedziałaś, że zrujnowałaś mi życie. Że czujesz się winna śmierci Terri Caulfield, tak jak czujesz się winna temu, co stało się ze mną. - Roan wskazał ruchem głowy kierunek, w którym leżał kiedyś Wąwóz, ścieżkę wzdłuż zdradliwych grzbietów i wąwozów, które przemierzał jako chłopiec, by dostać się tutaj, do tego sanktuarium. - Czy to właśnie cię pcha? Ja wiem, co sam widzę, kiedy patrzę na siebie. Widzę mojego ojca. Czy ty widzisz to samo?

- Nie. Powinieneś być przynajmniej dać mi znać, że żyjesz i że nic ci nie jest.

- Przez całe życie radziłem sobie z tą historią i dalej będę sobie radził. Nie pozwolę też, żeby jego demony zjadły cię żywcem.

- Radziłeś sobie? - szepnęłam z wściekłością. - Kupiłeś całą tę ziemię w tajemnicy. Do szpitala przyszedłeś potajemnie i nie powiedziałeś mojej rodzinie, że chcesz mnie odwiedzić. Dlaczego? Dlaczego? Nie wierzę, byś wstydział się tego, kim jesteś. Kim jesteś? Gdzie byłeś? Czy tak bardzo nienawidzisz moją rodzinę, że najpierw musisz iść na Dunshinnog i udowodnić, że...

- Ty mnie o to prosiłaś.

Kiedy patrzyłam na niego z niedowierzaniem, powiedział:

- Nie pamiętasz. W szpitalu. Powiedziałaś mi, że najpierw muszę dać górze znak, że wróciłem do domu. Mówiłaś coś o naparstnicach. Nie rozumiałem tego, ale obiecałem ci, że wyjdę tam i rozpalę ogień.

- Czy ja też kazałam ci kupić tę posiadłość?

- Nie. - Przykucnął bok mnie. - Mam mnóstwo posiadłości. Kupuję. Sprzedaję. To dla mnie naturalne, że wkupuję się w różne sytuacje. Wtedy jest to bardzo proste. A chciałem mieć to miejsce. Wiele dla mnie znaczy. Nie chcę, żeby ta chata po prostu tu stała i gniła. Później będę musiał zdecydować, co z tym począć. Na razie spróbuję zrobić dla ciebie to samo, co ty robiłaś dla mnie, kiedy byliśmy dziećmi.

- A cóż to takiego? Chcesz wmieszać się w moje sprawy, obiecać mi, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nauczę się ufać, a potem mnie skrzywdzić? Tak jak ja to zrobiłam.

- Dałaś mi coś, w co mogłem wierzyć. Wierzyłem w ciebie i nigdy nie przestałem.

Słońce paliło w oczy. Ogarnęłam spojrzeniem polankę, na której siedzieliśmy.

- Nie mogłeś wrócić, nim kupiłeś tę ziemię? Pokazać, że masz władzę i pieniądze? Czy o to ci chodziło?

Nie odpowiedział.

- Zadzwoiłem do nich, dla ciebie - powiedział nagle. Podniósł się na równe nogi. - Zadzwoiłem z samochodu. O świcie. Być może jestem zimnym sukinsynem, Claire, ale powiedziałem im, że jesteś tu ze mną, i że nic ci się nie stało. Dziwne, że twoja rodzina nie pokazała się tutaj jeszcze, żeby nam przeszkodzić.

- Myślisz, że to pierwsza rzecz, jaką chcieliby zrobić? Uratować mnie przed tobą? Nie wiesz nawet, jak bardzo chcieli cię odnaleźć przez te wszystkie lata.

- Nie obchodzi mnie już, co oni czują.

- Musi cię obchodzić. Ja... potrzebuję odpowiedzi. Chcesz, żebym uwierzyła ci, że jesteś tutaj tylko po to, by wyrównać stare rachunki. Nie chcę być traktowana jak dług, który musisz spłacić. Nie rozumiem cię. Jest coś, o czym mi nie mówisz. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Patrzył na mnie nieruchomy, milczący, jego oczy ściemniały jak szeroko otwarte soczewki aparatu, tak samo jak moje. Badaliśmy się nawzajem, błądziliśmy w niewidzialnym labiryncie dymu i luster, szukając się na różnych ścieżkach, otwierając drzwi, skręcając, zawracając, idąc naprzód, szukając drogi w kompletnych ciemnościach, w zimnej, nieruchomej ciszy. Sięgnął do koszuli i wyjął kawałek zmiętego, pożółkłego papieru, który był składany i rozkładany tyle razy, że na zgięciach przypominał teraz delikatną skórę starca.

- Napisałem to do ciebie pierwszego lata - powiedział. - Mam więcej listów, które być może chciałabyś przeczytać, ale na razie przeczytaj ten jeden.

Z sercem w gardle wzięłam od niego trzęsącymi się rękami kartkę. Słowa napisane były wyblakłym ołówkiem; łzy napłynęły mi do oczu.

Tobie słowa przychodzą łatwo. Mi nigdy nie przychodziły tak łatwo. Ale będę ćwiczył pisanie do Ciebie, tak jak Ty pisałaś do mnie, kiedy byłem taki samotny przy 10 Skokach, że chciałem umrzeć. Czuję, że teraz też mógłbym umrzeć z samotności. Ciężko mi pisać. Ciężko mi dzisiaj myśleć. Jesteś w moim sercu.

Uciekam dzisiaj z tego gównianego sierocińca. Uciekam. Przepraszam. To tak bardzo boli. Co zrobił Ci mój ojciec. Co twoi rodzice zrobili mi. Przepraszam. Nauczę się być kimś nowym. Będę lepszy niż mój ojciec. Udowodnię to jakoś.

Jeśli kiedykolwiek Cię jeszcze zobaczę, będę miał tylko nadzieję, że zapomniałaś, co mój stary Ci zrobił. Jeśli odejdę, być może wyrośniesz normalnie i nie będziesz dziewczynką, którą Duży Roan Sullivan skrzywdził w ten sposób.

Ciągle jesteś małą dziewczynką, słyszysz mnie? Zapomnij o tym, co się stało, zapomnij o mnie, i wszystko będzie dobrze. Walcz o ludzi, tak jak walczyłaś o mnie. Nie bój się chłopców przeze mnie i mojego ojca. Nie wiń swoich rodziców za to, że mnie odesłali. Musiałem odejść. Wiedziałem o tym gdzieś głęboko.

Ale kocham Cię, mały bączku. I nie ma w tym nic wstrętnego, żadnego seksu. To jedyna łatwa rzecz jaką robiłem w całym moim cholernym życiu.

Złożyłam Ust i przycisnęłam go mocno do piersi. Płakałam.

- Chcę przeczytać wszystkie - powiedziałam. - Wszystkie co do jednego. Każdy list, który do mnie napisałeś. Muszę zrozumieć, dlaczego nie mogłeś wrócić wcześniej.

Wyciągnął do mnie rękę.

- Ale dziś rano, tylko dzisiaj, bądź znowu dzieckiem. Takim, które nie potrzebowało odpowiedzi, zanim zdecydowało się mi pomóc.

Mój umysł znalazł się nagle niepokojąco blisko krawędzi brzytwy. Przez ułamek sekundy ujrzałam jakieś inne odległe wyjście, opuszczone i smutne, lecz uczciwe, w nas obojgu. Wzięłam go za rękę.

Rozdział szósty

Roan miał dwusilnikową cessnę. Zważywszy na moje doświadczenia z samolotami, znaczyło to dla mnie więcej niż ten prosty fakt, że Roan mógł sobie pozwolić na prywatny samolot.

Moja matka wychowywała się pod okiem babci ze strony swego ojca. Cnienna Kehoe Delaney, stara wdowa, mieszkała z rodziną mamy w wielkim domu Delaneyów w mieście. Quenna mówiła ze śpiewnym akcentem ze starego kraju, była zagorzałą katoliczką i miała chorobliwie wręcz ponure usposobienie. Twierdziła, że to jest właśnie prawdziwie irlandzka cecha.

Kehoeowie byli bogatą i znaczącą irlandzką rodziną. Kiedy Quenna była nastolatką, cała rodzina wyemigrowała do Bostonu, co odbyło się w całkiem przyzwoitych, a nawet luksusowych warunkach. Działo się to w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a więc pół wieku po tym, jak prawdziwi pionierzy, brudni Maloneyowie, Delaneyowie i inni biedacy z Irlandii osiedlili się w górach Georgii. Quenna miała dwóch braci - jeden z nich był księdzem. Jakiś źle poinformowany urzędnik z kurii diecezjalnej wysłał go na południe, w dzikie okolice Dunderry, przypuszczając zapewne, że miasteczko założone przez irlandzkie rodziny i zamieszkane niemal wyłącznie przez ich potomstwo po prostu rozpaczliwie łaknie katolickiej parafii. Wraz z księdzem przywędrowała tutaj Quenna i jej drugi brat Ryan.

Ojciec Kehoe szybko zrozumiał, że ma do czynienia z trzecią generacją południowców, w głównej mierze metodystów, którzy nierzadko okazywali wrogość wszystkim jankesom, nawet jeśli pochodzili oni z Irlandii. Jednak on ze stoickim spokojem zabrał się do organizowania parafii i budowy kościoła, który stoi tu do dzisiaj. W końcu jednak wrócił do Bostonu. Quenna wyszła

za Thurmana Delaneya, mojego pradziadka. Ryan Kehoe ożenił się z kobietą z rodziny O'Brien, bliską kuzynką Delaneyów, i tych dwoje założyło w Dunderry klan Kehoeów.

Kiedy moja mama była jeszcze małą dziewczynką, na początku lat czterdziestych, jej babcia Quenna poleciała do Bostonu, na jakieś rodzinne spotkanie. Wszystko układało się doskonale, dopóki moja prababcia nie wylądowała w Atlancie, w drodze powrotnej do domu. Port lotniczy w Atlancie przypominał wtedy raczej prowincjonalną stację kolejową, a nie prawdziwe lotnisko. Podczas lądowania samolot uderzył w zbłąkane stado kaczek z Rhode Island. Prababcia Quenna przyrzekła sobie wtedy, że nigdy więcej nie wejdzie do samolotu, mama zaś przez całe dzieciństwo wysłuchiwała mrożącej krew w żyłach opowieści. Jej babcia przy każdej okazji opowiadała przebieg straszliwej katastrofy, nie opuszczając przy tym żadnego, najdrobniejszego nawet szczegółu: z upodobaniem opisywała, jak śmigła samolotu odrzucały do tyłu rozplątane na pół ciała ptaków i jakie okropne wrażenie zrobiły na niej krwawe wnętrzności oblepiające okna pasażerów.

Nigdy nie wiedzieliśmy do końca, czy ta groteskowa historia wywołała u mamy chorobliwy strach przed lataniem, czy też był ona raczej wynikiem przesądnej celtyckiej natury.

Mama okropnie bała się latać. Robiła to w razie konieczności, bo zawsze żywiła pogardę dla pewnych ułomności charakteru, bez względu na to, czy chodziło kogoś innego, czy o nią samą. Widziałam, jak wchodzi do wielkich odrzutowców, spocona, blada jak ściana, na trzęsących się nogach. Przypuszczam, że ponieważ zawsze chciałam być silniejsza od mojej mamy, wręcz pokochałam latanie.

Kiedyś leciałam do Tallahassee po materiał do reportażu. Niebo nad Florydą było wtedy zakryte gęstymi chmurami, a porywisty wiatr rzucał na wszystkie strony małym pasażerskim samolotem, przeznaczonym na krótkie trasy. Wszyscy pasażerowie trzymali się wtedy kurczowo poręczy foteli i wlewali w siebie kolejne kieliszki whisky. Ja czytałam książkę, a potem zasnęłam. Następnego lata wzięłam kilka lekcji pilotażu u przyjaciela, który zajmował się wynajmem samolotów.

Kiedy znaleźliśmy się na maleńkim lotnisku na obrzeżach Dunderry - dwa asfaltowe pasy, cztery hangary i wieża - usiadłam obok Roaniego, w kabinie jego złoto-niebieskiej cessny. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu, a pierś wypełnia ogromna radość.

- To przeze mnie, przez samolot czy przez całą sytuację? - spytał, nałożywszy słuchawki i lotnicze okulary przeciwsłoneczne.

- Lubię latać. Dziękuję ci.

Podał mi okulary przeznaczone dla gościa. Zastanawiałam się beznamiętnie, jakich to gości - kobiety, mężczyzn, partnerów w interesach czy miłości - zabierał zazwyczaj ze sobą. Założyłam szkła na oczy.

- Dziwię się, że nie znasz kierownika lotniska - powiedział Roan, kiedy już wzbiliśmy się w powietrze i mknęliśmy nad zielonymi polami.

- Nie znam wszystkich z okręgu Dunderry. Nie bywałam tu zbyt często, odkąd zaczęłam studiować. Pojawiło się mnóstwo nowych twarzy. Kilka minut później wznieśliśmy się jeszcze wyżej i płynęliśmy spokojnie po bezchmurnym niebie, otoczeni oślepiającym blaskiem słońca. - Jakiś konkretny cel? - spytałam.

- Nie, tylko krótki lot po okolicy.

- Chcesz, żebym powiedziała, że jestem pod wrażeniem. Jestem.

- Kupiłem tę cenną kilka lat temu. Podróżuję nią w interesach.

- Gdzie?

- Daleko na zachodzie.

- Jak daleko?

- Na zachód od Gór Skalistych.

Obniżył lot i przeleciał tuż nad powierzchnią Dziesięciu Skoków. Stado kaczek krzyżówek rozproszyło się nad jeziorem, a ich cienie płynęły po wodzie niczym uciekające duchy. Przemknęliśmy nad wstążką Drogi Mydlanych Wodospadów. Po prawej stronie dojrzałam w oddali naszą farmę i Dunshinnog. Na lewo ciągnęły się pokryte drzewami grzbiety górskie, prowadzące na zachód, do Wąwozu. Wąwóz jawił się z tej perspektywy jako sosnowy zagajnik, zarośnięty pokrzywami i perzem, dżungla na skraju pięknego lasu. Cóż mogłam powiedzieć w chwili, gdy powróciły do nas straszliwe wspomnienia? - Musiałeś to zobaczyć z góry, prawda?

Położył maszynę na skrzydło i kilkakrotnie okrążył to miejsce, przyglądając mu się z zaciśniętymi ustami.

- Musiałem zobaczyć je z odpowiedniej perspektywy - powiedział wreszcie.

- W porządku. Zostawmy to już. Zawsze odwracałam oczy, kiedy przejeżdżał tędy szkolny autobus. Kiedy dostałam własny samochód, nie jeździłam nigdy tą drogą. Nie chcę, żebyś teraz o tym myślał.

- To zawsze jest tutaj. Zawsze będzie.

Poczułam nagle mnóstwo sprzecznych emocji bolesnych i ostrych jak kawałki szkła. Podniosłam wzrok i patrzyłam na błękitne niebo, dopóki nie

zorientowałam się, że przelatujemy właśnie nad Dunshinnog, a potem suniemy nad szeroką, zieloną doliną, w której położona była farma.

Odpowiednia perspektywa. Pomniejszona skala.

Mimo to dom wydawał się duży i piękny, otoczony kwiatami i chroniony przez gałęzie potężnych dębów.

Nie byliśmy wyżej niż sto stóp nad domem. Moi rodzice i Amanda wybiegli na zewnątrz. Towarzyszyła im cała gromada krewnych, których nie miałam czasu rozpoznać. Na podwórku stało kilkanaście samochodów. Goście w środku tygodnia. Amanda nie poszła do szkoły. Wydarzenie. Powrót Roana Sullivana.

Pomachałam im ręką. Wszyscy przysłonili oczy dłońmi i patrzyli w górę. Amanda zaczęła w odpowiedzi energicznie wymachiwać obiema rękami.

- Czujesz się lepiej? - spytałam, kiedy rodzina i zielona dolina zniknęły za ogonem samolotu. - Co chcesz mi pokazać, Roan? O co w tym wszystkim chodzi?

- To tylko mój punkt widzenia.

Lecielśmy na północ, w stronę miasta, nad nowymi domami, oblepiającymi zbocza gór, nowymi drogami, centrum handlowym i supermarketem, które wybudowano w ostatnich latach. Wielu przybyszów.

- Pozwól mi przez chwilę pilotować ten samolot - powiedziałam nagle. - Miałam kilka lekcji.

- Wiem. - Spojrzał na mnie, unosząc lekko jedną brew. - Właściciel wypożyczalni. Napisałaś o nim artykuł, kilka lat temu. Myślałem, że zrobiłaś z niego o wiele bardziej interesującego faceta, niż był w rzeczywistości. Pomyślałem, że to właśnie było interesujące. Że wpakowałaś się w kłopoty.

- No cóż - odparłam - dobrze, że nie pisałam o innych mężczyznach, z którymi się spotykałam.

Usiadł wygodnie na swym fotelu i położył ręce na kolanach. Przerazona, pochwycałam drążek sterowniczy po mojej stronie. Przez moment samolot nurkował niemal pionowo, potem wyrównałam lot. Musieliśmy pracować razem - jego nogi na pedałach, moje ręce na wolancie.

- Spójrz na to - rzekłam przez zaciśnięte zęby. Przeleciałam tuż nad dachami miasteczka, potem krążyłam wokół rynku, nad starymi, wielkimi domami, z których każdy miał z tyłu oddzielne, duże podwórko. Zrobiłam też dwa kółka tuż nad dachem wiktoriańskiego domostwa. W końcu wyszła z niego siwowłosa kobieta i pogroziła nam pięścią.

- Ciotka Arnetta jest porządnie wkurzona - zauważyłam. Kiedy spojrzałam

na Roaniego, ten obserwował mnie z lekkim uśmiechem na ustach. - Znow straciłeś ząb? - Spytałam.

- Co?

- Ząb, który wstawił ci wuj Cully. Musiałeś go znowu stracić. W ogóle nie pokazujesz zębów, kiedy się uśmiechasz. Powoli rozchylił wargi.

- Wszystkie są na miejscu.

Moje dłonie znow zaczęły drżeć. Wstydziłam się tego dziwnego podniecenia, a jednocześnie byłam od mego uzależniona. Kiedyś już wprowadził mnie w podobny stan.

- Zaufaj mi - powiedział. - Claire.

Wyprowadziłam cесsnę z powrotem za miasto. Małeńki pas lotniska pojawił się na horyzoncie, między polami z sianem.

- A czy ty ufasz mnie? - spytałam. - Jeszcze nigdy nie próbowałam samodzielnie lądować. Mogę nas...

- Ląduj - odparł krótko.

I zrobiłam to. Niezbyt ładnie, ale Roan nawet nie ruszył ręką, żeby mnie poprawić. Kiedy sunęliśmy już po wąskim, asfaltowym pasie, przekazałam mu stery, a on zatrzymał samolot. Dopiero wtedy wydał z siebie długie westchnienie. Ja ociekałam potem i chwytalam ciężko powietrze.

- Czy pamiętasz opowieści mojej mamy o jej babci Ouennie? Zmarszczył brwi i potarł dłonią brodę. Oczywiście, że nie pamiętał. Był

zasypywany opowieściami z rodzin Maloneyów i Delaneyów, kiedy mieszkał zonami. Żałowałam, że zadałam mu to pytanie, bo nie wiedziałam, czy te wszystkie dziwaczne opowiastki nie wzmagaly w nim jeszcze poczucia wyobcowania. Po chwili przechylił głowę i spojrzał na mnie ciepło.

- To było doskonałe lądowanie bez kaczek - powiedział.

Więc pamiętał, i to z najdrobniejszymi szczegółami. Zatrzymał w sobie wiarę, czy tego chciał, czy nie.

- O mój Boże - szepnęłam. - Cokolwiek się z nami stanie, muszę coś powiedzieć. Jeśli znowu znikniesz, nie powracaj już więcej. To byłoby znacznie gorsze niż teraz. Złamałbyś mi serce.

Nakrył moje dłonie swoimi.

- Takiej opcji nie musimy brać pod uwagę. Możesz żałować, że w ogóle wróciłem, albo powiedzieć mi, że bym wynosił się do diabła z twojego życia.

- Nie sądzę.

Podniósł ręce i wplótł palce w moje włosy. Kciukami pocierał delikatnie moje policzki. W jego oczach pojawiły się łzy i ja też poczułam wilgoć na twarzy. Nie wiem, co wtedy mówiliśmy. Niewiele, może nic, On nie patrzył na mnie, on mnie chłonał, moje oczy, moją twarz, moje chore ciało. A ja chłonełam jego.

A potem, wciąż wcielając się w rolę starej - młodej, bezkompromisowej Claire Maloney, którą oboje kiedyś znaliśmy, wzięłam głęboki oddech i wykrztusiłam surowym tonem:

- Powinnam obedrzeć cię ze skóry, chłopie.

On mnie uratował, a ja wygłaszałam mu kazanie. Zaczaj się śmiać. Przypominało to do złudzenia stare czasy, choć nie było ani trochę tym samym.

Odwiózł mnie na Dunshinnog, żebym mogła zabrać stamtąd ciężarówkę, którą porzuciłam poprzedniego wieczoru, jednak samochodu już tam nie było. Tato pewnie wysłał po nią starego dobrodusznego Nata - nie dlatego, by martwił się o auto, ale by mieć pewność, że Roan odwiezie mnie do domu osobiście.

Stałam oparta o kule, bosa, w wiatrówce włożonej na nocną koszulę, pośrodku morza naporstnic, lśniących w świeżym, różowawym blasku słońca. Pokrywały niemal całą polanę na szczycie Dunshinnog, kołysały się ciężko w delikatnych porywach wiatru, który zbłądził między wyniosłe ściany dębów i buków, świerków i smukłych sosen. Powiedziałam Roanemu, dlaczego dziadek zasadził je tutaj, powtórzyłam jego opowieść o wrózkach i lisach, o mistycznym przeznaczeniu.

- Miał rację - zakończyłam. - One w końcu sprowadziły cię do domu. Roan spacerował między kwiatami.

Dzwoneczki pąków ocierały się o jego

spodnie, łodygi tańczyły w miejscach, gdzie właśnie przeszedł, wszystkie kwiaty jakby chciały mi go pokazać raz jeszcze. Był to obraz, który na zawsze pozostał w mojej pamięci. Roan zatrzymał się przede mną, przenosząc spojrzenie z otaczających nas kwiatów na mnie. Była między nami jakaś udręczona słodycz, której nie mógł wymazać żaden ogrom nie wyjaśnionego żalu i rozpacz.

Dwadzieścia lat. Dorosły mężczyzna, dorosła kobieta. Nie ma już niewinności małej dziewczynki, nie ma już mądrości starszego brata. Tysiące pytań bez odpowiedzi, ale pod powierzchnią szoku pulsował rwący nurt, dziki i prowokujący.

Pochyliłam się i pocałowałam go lekko w policzek Musnęłam kącik ust. Przechylił głowę. Złączył nas jeden oddech. Powoli, bardzo powoli, zbliżyliś-

my się do siebie. Najpierw delikatnie, potem z dziką namiętnością, chłonąc gorący, delikatny, wilgotny świat między nami.

Trzymał mnie w ramionach, pochylał się nade mną. Dotknęłam jego policzka, a on obrócił twarz, podejmując pieśczętę. Przyciągnęłam dłonie, zwinęłam je w ciasną pięść, powoli położyłam ją na piersiach.

Nagle usłyszeliśmy jakiś szum i hałas, dobiegający z krzaków wawrzynu, okalających polanę. Wychynęła z nich Amanda, z całą kopą liści i gałązek w splątanych, rudych włosach, i okularami dyndającymi na długim rzemyku, który oplatał jej szyję. Ubrana była w tenisówki, ogrodniczki i koszulkę tak różową jak jej twarz. Zatrzymała się na skraju polany, kilkanaście jardów od nas, i przyłożyła dłonie do ust, wołając:

- Cociu Claire, on naprawdę wrócił! Mówiłam ci, że on wróci! Wszyscy czekają na niego! Och! On jest cudowny! Potem odwróciła się na pięcie i wskoczyła z powrotem w krzaki, by dzikim biegiem ruszyć w dół zbocza. Po chwili tupot jej nóg ucichł w oddali.

- Opowiadałaś tej dziewczynce o mnie - powiedział Roanie cicho. - Twoja bratanica? Powiedziałaś jej o mnie. Kiedy?

- Niedawno.

- Dlaczego?

- Bo musi uwierzyć w czary. - I znów diabli wzięli moją samokontrolę. Odwróciłam wzrok nadaremnie uciekając przed jego spojrzeniem. - Zdaje się, że wpadliśmy w pułapkę jakiejś wróżki - powiedziałam wreszcie.

otary trakt, wiodący wzdłuż zbocza góry, dołącza do Drogi Mydlanych Wodospadów tuż nad drogą dojazdową do naszej farmy. Wkrótce otoczył nas znajomy rolniczy krajobraz. Minęliśmy skrzynkę pocztową z napisem FARMA MALONEYÓW, pomalowaną w białe, kwadratowe koperty. Dwadzieścia lat po tym, jak go stąd wygnano, Roanie prowadził samochód z kamienną twarzą, podobną raczej do maski niż do twarzy żywego człowieka. Mijaliśmy rozległe pastwiska i pola kukurydzy. Chmara psów z farmy wybiegła nam na spotkanie, szczekając i merdając ogonami.

Mama i tata czekali na werandzie. Miałam nadzieję, że Roan widzi ich tak, jak ja - znacznie starszych, tak bardzo ludzkich, zupełnie niepodobnych do tych surowych mędrców, jakimi jawili się w oczach dziecka. Mój ojciec zamieniał się już w dziadka - był niemal całkiem łysy, a posturą przypominał

starego niedźwiedzia. Mama, drobna i delikatna, zachowała jeszcze wokół siebie kruchą aurę młodości. Stała na werandzie ubrana w beżowe spodnie i złoty sweter, długie do ramion włosy pofarbowane były na kosztowne odcienie brązu i miedzi, błękitne oczy delikatnie pociągnęła w kącikach ciemną kreską. Babcia Dottie usadowiła się na białym fotelu bujanym, a Roan mógł bez wątpienia dojrzeć, że stała się drobną staruszką, choć miała na sobie jasnoniebieskie legginsy i długą koszulę a la Pavarotti, którą zamówiła w telezakupach. W kąciku ust trzymała długie, zapalone cygaro, a jej oczy spoglądały surowo zza grubych szkieł.

Amanda, która stała na szerokich, kamiennych schodach werandy, prze-stępowała z nogi na nogę, jakby w rytm jakiejś piosenki, nuconej w duchu. Widziałam twarz Renfrew. Spoglądała z okna pokoju na górze, pod brodą trzymała wysoką, długą szczotkę do ścierania kurzu, jej głowa wyglądała jak jakaś dziwaczna rzeźba z siatką na włosach, okolona kwiecistym cokołem. Nat gapił się na nas zza krzaków kamelii w ogródku, brzuchaty, w ogrodniczkach, z blond włosami, rozwianymi przez ciepły wiosenny wiatr. Samochody gości zniknęły. Moi rodzice rozsądnie pozbyli się tłumu krewnych. .. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć i jakporadzić sobie z tą chwila pojednania. Żołądek ciążył mi jak kamień. Roan zatrzymał samochód obok rzędu starych krzaków róż, które rozkwiatały właśnie w całej okazałości. Nim otworzył drzwi samochodu, przytrzymałam go w miejscu, kładąc dłoń na jego przedramieniu. Poniżej zwiniętych rękawów koszuli, jego mięśnie były naprężone i twarde jak stal. W tym momencie gotowa byłam uwierzyć, że rozbije mur gołymi pięściami.

- Kiedy mój tato wywoził cię samochodem, ja stałam przy oknie, patrzyłam i płakałam, aż brakowało mi tchu - powiedziałam cicho. - Dziadek mnie wtedy podtrzymywał. Tym razem nie potrzebuję, żeby ktoś mnie podtrzymywał i nie mam zamiaru płakać. Proszę cię tylko, żebyś wysłuchał wszystkiego, co mają ci do powiedzenia. Słuchał i nie zapominał, że byłam tu wtedy i jestem teraz.

Nie odpowiedział i gwałtownie wysiadł z samochodu. Otworzyłam drzwiczki, nim on mógł zrobić to za mnie, i stanęłam na ziemi, opierając się o ramę okna. Odszukałam spojrzeniem mamę i tatę. Na ich twarzach malował się smutek, stary, nie uleczony żal i dziwne zmartwienie. Dla wszystkich, którzy brali w tym udział, była to boleśnie upokarzająca konfrontacja. Z przerażeniem pomyślałam, że nikt nie wyrzeknie ani słowa, że to, co czują nie mieści się w słowach.

Roan wziął moje kule z tylnego siedzenia i pomógł mi włożyć je pod pachy, potem zamknął drzwi, wyszedł o krok przede mną i zatrzymał się.

Stał sztywno jak moi rodzice, milcząc, z głową podniesioną do góry, rękami zwieszonymi przy bokach. Wszyscy przyglądali mu się, jakby wychynął właśnie z chmury siarczanego dymu. Potem patrzyli na mnie, na moje białe stopy, nocną koszulę i potargane włosy.

Tato wyciągnął ręce i zszedł do nas po stopniach werandy. Mama pospiesznie ruszyła za nim.

- Twoja matka i ja., nie możemy powiedzieć ci, co masz robić - zwrócił się do mnie. - Ale możemy ci powiedzieć, że nie musisz dokonywać żadnych wyborów. Roan jest w tym domu mile widziany. Słyszysz mnie, Roan? To prawda. Roan skinął lekko głową, przyjmując i odrzucając. Mama powiedziała:

- Claire potrzebuje spokoju, ciszy i odpoczynku. Nie jestem pewna, czy dobrze to rozumiesz.

- Myślicie od razu o najgorszym - odparł Roan.

- Nie, Roan. Nie. - Jej twarz była biała jak ściana. Jej oczy błyszczały. - Możesz myśleć, co zechcesz, Roan. Nie winię cię za to. Jeśli jesteś tylko w połowie tak dumny chłopiec, którego odesłaliśmy stąd, popełniając chyba największe głupstwo w naszym życiu, nie musisz tłumaczyć niczego mnie ani nikomu innemu.

- Przyjechałem tutaj, żeby w miarę moich możliwości pomóc Claire. Zrobię to, jeśli tylko ona mi pozwoli. Nie oczekuję niczego od kogokolwiek innego.

- Ufamy ci. Będę to mówiła i mówiła, i mówiła; wszystko, co powinnam była powiedzieć, kiedy byłeś chłopcem. Będę to powtarzać, dopóki nie uwierzysz. Jesteś tu mile widziany. Wciąż masz dom w tej społeczności i ludzi, którzy nigdy nie chcieli cię utracić.

- Teraz to naprawdę nie ma dla mnie znaczenia. - Roan odwrócił się do mnie. - Mam trochę pracy przy Dziesięciu Skokach. Pewne plany. Więc wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Nie odchodź w ten sposób. Wejź do środka - namawiałam go gorączkowo. - Myślałem, że zamierzasz to zrobić.

- Tak, proszę, proszę wejź do środka - przyłączyła się mama. - Porozmawiaj z nami. Opowiedz nam o sobie.

Roan wyprostował się dumnie.

- To nie takie proste.

Tato także próbował go przekonać:

- Ta stara chata nie ma zbyt wiele do zaoferowania. Tutaj jest mnóstwo

miejsca dla ciebie. Naprawdę. To smutne zaproszenie, wiem, że tak właśnie brzmi. Odepchnięty jako chłopiec, kiedy najbardziej tego potrzebował, a teraz zaproszony ponownie jako niezwykle, wspaniały gość. Ale posłuchaj mnie, Roan. Zrobiliśmy to, co wtedy uważaliśmy za stosowne. Nie zamierzaliśmy na zawsze oddzielać cię od rodziny.

- To... - Roan omiółł spojrzeniem moją rodzinę, dom, dolinę, Dunshinnog, całą farmę wreszcie zatrzymał palący wzrok na mnie. -... to był kiedyś cały mój świat, wszystko, na czym mi zależało. I wciąż zależy. Ale na innych warunkach. Na moich warunkach.

- Więc tak właśnie chcesz to rozwiązać? - spytałam, oszołomiona. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Chciałam nim potrząsnąć. - Nie ustalaj warunków. Ludzie przegrywają, ustalając własne pieprzone warunki. Gniew i frustracja zabarwiły moje słowa w znacznie większym stopniu niż przekleństwo. Gdy tylko je wypowiedziałam, Roan dotknął mojej twarzy czubkami palców, obdarzył mnie spojrzeniem, które mówiło, że zdradziłam go, nie rozumiejąc, i ruszył w stronę samochodu.

Nagle po raz pierwszy ujrzałam siebie taką, jaką on musiał mnie widzieć - wyraźnie, w jasnym, brutalnym blasku słońca - moją potrzebę rodziny, niezaprzeczalny dowód, że z własnej woli dołączałam do ludzi, którzy go zranili. Zaślepiona bezradnym gniewem, który podnosił się we mnie jak fala przyływu, próbowałam go dogonić:

- To nie jest wybór! Jesteś częścią nas! Wciąż jesteś częścią tej rodziny, czy ci się to podoba, czy też nie! Musisz chcieć im przebaczyć!

Doszłam do rzędu kamieni, tworzących stopnie, które dzieliły tę część podwórza na dwie części. Końce moich kul utknęły między głazami i upadłam ciężko na ziemię.

Poprzedniej nocy na Dunshinnog, potem przy Dziesięciu Skokach i teraz znowu. Chciałam zlać się w jedno z płaską ziemią, na której leżałam, łapiąc ciężko powietrze, obolała i przeraźliwie bezradna. Słyszałam krzyk mamy i kroki obojga rodziców, biegnących w moją stronę.

Roan był już przy mnie, klęczał.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał. Wziął mnie pod ramiona.

- Nie dotykaj mnie. Powiedziałam ci już, że nikt nie musi mnie teraz podtrzymywać. Nawet ty. Nie będę już więcej upadać. To głupie. Wróciłeś do domu. Chyba nie zrobiłeś tego bez ważnego powodu. Nie możesz teraz tak po prostu odejść.

- Holt, stój. Pozwól im... - powiedziała mama łamiącym się głosem.

- Przecież pozwalam. Ale to nie jest dla niej dobre. To jej nie pomaga. Roan, do cholery, wleciesz ją ze sobą po okolicy i przywozisz do domu jak szmacianą lalkę...

- Holt! Tato umilkł.

- Spójrz na mnie - poprosił Roan.

Przeciagnałam językiem po wargach, poruszyłam szczęką, podniosłam głowę i spojrzałam spokojnie, z brutalną uczciwością w jego oczy:

- Nie mogę cię ścigać - powiedziałam.

Przyglądał mi się powoli, mierzył wzrokiem, łamiąc mi serce i hipnotyzując. Podniósł boleśnie znajomą, ciężką dłoń o silnych palcach i delikatnie odgarnął z mojego czoła poplątane włosy.

- Musisz próbować - powiedział. - Jeśli nie zmuszę cię do tego, byś próbowała, będziesz tu siedzieć jak prawdziwa inwalidka. - Wzdrygnęłam się. Jego akcent, niegdyś szorstki, nabrał teraz łagodnych, bursztynowych tonów. - Pamiętam dziewczynkę, która nigdy nie pozwalała mi się ukryć, jeśli nie była razem ze mną, jeśli nie miała pewności, że nic mi nie jest - mówił dalej, rozdzierając mi serce na kawałki.

Powoli objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie. Zesztywniałam. Pochylił swą głowę nade mną.

- Ile razy widziałas mnie brudnego, skrzywdzonego, samotnego?

- To nie to samo.

- Chcesz zawsze być bezradna?

- Nie.

- No to wstań. Możesz to zrobić.

Mocno chwyciłam jego dłonie. Moje nogi były jak z ołowiu. Zmagalam się ze sobą. Spocona, zdyszana, nie odrywając wzroku od jego twarzy, podniosłam się na kolana, podciągnęłam jedną nogę i postawiłam bosą stopę na ziemi, zachwiałam się niebezpiecznie. Nocna koszula zaplątała mi się gdzieś między udami. Roanie mocniej uściśnął me dłonie, czułam zgrubienia na jego skórze, silne, choć delikatne palce ześliznęły się na moje nadgarstki.

Pochwycił mnie i podciągnął. Z całych sił odepchnęłam się od ziemi.

Stałam. Stałam. Bez kul, chwiejąc się, oszołomiona, z zaciśniętymi zębami, ale stałam. Pojawiło się między nami jakieś niewypowiedziane oddanie i wyzwanie.

- Chcę te listy, które do mnie napisałeś - powiedziałam. - Chcę, żebyś przyniósł je tutaj zaraz i siedział przy mnie, kiedy będę je czytać. Wszystkie.

Uniósł lekko brew.

- Jeśli chcesz dostać listy, musisz przyjść do Dziesięciu Skoków. Patrzyłam na niego w milczeniu. Nie chciał ustąpić nawet o cal. Nagle podbiegła do nas Amanda.

- Poproś, żeby został z nami i wszedł do środka! Poproś go, ciociu Claire!

- Już został zaproszony, słoneczko. On rozumie, że nie poruszam się jeszcze zbyt sprawnie. Wróci tu, żeby posiedzieć ze mną i porozmawiać ze wszystkimi.

Roan uśmiechnął się lekko, przejrzawszy mój plan, i nachylił się z szacunkiem do mojej bratanicy. Ten nieznaczący, lecz zdumiewający gest zrobił wrażenie na nas wszystkich. Na pewno zrobił ogromne wrażenie na mnie.

- Czy twoja ciocia mówiła ci kiedykolwiek, jak przymilać się do innych ludzi? - spytał.

Na sekundę Amanda zakryła dłońmi usta, zbyt oszołomiona, by mu odpowiedzieć. Legendarny Roan Sullivan, opanowany i potężny - nie tylko raczył ją zauważyć, ale zrobił to z ogromnym czarem i uprzejmością.

- Tak, proszę pana - odparła cichutko. - Mówiła, że trzeba mówić im dokładnie to, co chcą usłyszeć, a oni będą mi jeść z ręki.

- Osy siadały na jej dłoniach - mruzczał. - Była przerażona, ale nigdy się do tego nie przyznała.

- Bo była dla nich miłą - odszepnęła Amanda. Skinął głową.

- Zdaje się, że znów ćwiczysz, jak przypocholebiać się osom. Miej ją na oku i daj mi znać, jakby co.

- Och tak! Na pewno! Roan spojrział na mnie.

- Będę w pobliżu. Możesz mnie znaleźć, jeśli zechcesz.

- To coś nowego - odparłam. - Można cię znaleźć.

Stałam w bezruchu i patrzyłam, jak odjeżdża. Była to jedna z najtrudniejszych chwil w moim życiu. Za moimi plecami stali rodzice. Nie mówili nic, ani razem, ani każde z osobna. Kiedy odwróciłam się w końcu i spojrzałam na nich, wyglądali na wstrząśniętych, ale zdecydowanych twardo dążyć do celu.

- Popracujemy nad nim - powiedział tato.

- Za wiele oczekuje od ciebie - dodała mama. - A za mało od nas.

- Myśli, że jesteś milutka - westchnęła Amanda. - Myśli, że jesteś słodziutka jak miód. Dzięki Bogu, nie miała racji. *Skończyłem trzydzieści lat, Claire, i odłożyłem pierwszy milion w banku. Ciekawe, co byś o tym powiedziała? Pewnie właśnie tego byś się spodziewała. Pieniądze to potęga. Mam nadzieję, że byłabyś ze mnie dumna. Piszę ten list na czerpanym papierze. Dwadzieścia pięć dolarów za malutkie pudełeczko. Zazwyczaj wypisuję na nim podziękowania za zaproszenia na przyjęcia. Wielkie interesy. Wielkie przyjęcia. Pieniądze. Ziemia. Okazje. Kobiety...*

Kobiety. Mam nadzieję, że opowiem Ci kiedyś o nich. Co tylko zechcesz wiedzieć. Ty opowiesz mi o mężczyznach, z którymi byłaś. A potem nie będziemy już rozmawiać o tej części naszej przeszłości, zapomnimy o tym, co było tylko samotnością i zwykłą ludzką potrzebą.

Uczę się grać w golfa. Pomyśl tylko! To cały rytuał, Claire. Sposób na wejście do odpowiednich sfer. Nauczyłem się sporo o rytuałach od twojej rodziny. Grasz w pewien sposób - pasujesz do reszty. Nie grasz nie pasujesz Ułomność ludzkiej natury, jak sądzę.

Golf może zwieść naiwnych graczy. Wygląda na łatwy, ale wygrana ukryta jest w drobnych szczegółach. Szanuję to, nie zrozum mnie źle. Podoba mi się ta gra. Jest precyzyjna. Ale na Boga - ja ubrany w koszulkę do golfa, spodnie khaki i buty z klinami. Wydający tysiące dolarów na zwykłą grę. Traktuję to jako inwestycję. Wszystko traktuję w kategoriach interesu. Włożyłbym na siebie skórę małpy, gdybym właśnie to musiał zrobić, żeby ubić dobry interes z innymi małpami...

Dziwna rzecz te listy. Rozmawiam z Tobą na papierze i zamykam listy w pudełku. Nikt z moich obecnych znajomych nie uwierzyłby, że jestem aż tak sentymentalny. Ale oni nie znają mnie naprawdę. Co za cholerne marnotrawstwo.

Dwadzieścia pięć dolarów za papier listowy.

Ale gdybym tylko mógł, pisałbym do Ciebie na czystym złocie.

Rozdział siódmy

Przez kilka dni ledwo mogłam się ruszać. Kolano i kostka chorej nogi mocno opuchły i były gorące w dotyku; każdy mięsień mojego ciała karał mnie za to, że spałam na materacu, za to, że upadłam dwa razy w ciągu dnia, za to, że zbyt długo stałam na chorej nodze. Emocjonalnie czułam się tak, jak wtedy gdy kazano mi opisać skutki huraganu na Florydzie - przestraszona i podniecona jednocześnie.

- Roan wrócił, żeby się zemścić - powiedział ktoś z rodziny.

- Zasłużyliśmy sobie na to - odparli inni.

Upiorne, ponure opowieści znów pojawiły się w rozmowach rodziny i starych przyjaciół - o Dużym Roanie i Jenny, o Wąwozie, Roanie i siostrach McClendon z ulicy Sadowej, wuju Pete i Sally, o Roanie i mojej rodzinie, o Roanie i o mnie. Ludzie mieszała plotki w okruchami prawdy, rozmawiając

o nas na werandach w ciepłe, wiosenne wieczory przesycone zapachem róż

i traw, rozmawiając o nas przy śniadaniu i przy kolacji, w sklepach, w biurach i na polach. Dowiedziałam się, że Roanie zbił fortunę na narkotykach i hazardzie; że planuje zbudować publiczny park zabaw i poświęcić go pamięci swej matki; że kupił Dziesięć Skoków, żeby wybudować tam kondominium, mieszkania, magazyny przemysłowe, centrum handlowe.

Słyszałam też, że pierwszej nocy zabrał mnie na Dunshinnog wbrew mej woli, że chciał mi dać jakąś ogromną sumę pieniędzy, bylebym tylko wyjechała z nim z miasta, że mama i tata nie pozwolili mu postawić nogi na naszej farmie, że moi bracia grozili mu i przestrzegali, by nie próbował się ze mną spotykać, i że jego powrót spowodował u mnie nerwowe załamanie, i że dlatego właśnie jestem taka blada, prawie nie śpiam i zamknęłam się w sobie, odkąd wrócił Roan.

Byliśmy równie dobrym tematem, jak wszystkie historyjki, które opisywałam w gazetach. W czasie mojej kariery dziennikarskiej zagłębiałam się w życiorysy mnóstwa zupełnie obcych mi osób, prezentowałam ich smutki, tragedie, nadzieje i porażki, po to tylko, by inni obcy mi ludzie mogli o tym przeczytać. Dziennikarstwo to szlachetne, lecz okrutne prawo w wolnym społeczeństwie. Zawsze gotowa byłam bronić zasad, na których się opierało, jednak podobne teorie przyjmuje się znacznie łatwiej niż konkretną rzeczywistość, świadomość, że twoje życie jest obiektem niezdrowej ciekawości innych ludzi. Chciałam zaoszczędzić Roanowi wszystkich plotek i spekulacji, które wokół nas krążyły.

I chciałam zmusić go, żeby przyszedł do mnie, bo byłam wściekła i czułam się zraniona. Przez dwadzieścia lat pozwalał mi cierpieć, martwić się i polować na niego, podczas gdy on przyglądał mi się spokojnie z oddali. Winien był mi sporo wyjaśnień.

Josh powrócił z konferencji ustawodawczej w Atlancie, gdzie wynajmował mieszkanie w centrum. Przyjechał też Brady, Hop i Evan. Któregoś wieczoru, gdy Amanda poszła już spać, rodzina zebrała się w salonie. Pierwszy odezwał się Josh, który nie owijał rzeczy w bawełnę i potrafił jakimś dziwnym sposobem zmienić cudze nieszczęście we własny problem.

- Rozumiem, że ktoś może szukać kogoś, kto wiele dla niego znaczy, i nie zapominać o lojalności, nie poddawać się, ale Roan zawsze wiedział, gdzie cię znaleźć. Dlaczego wrócił dopiero teraz, po dwudziestu latach?

To było pytanie, które dręczyło nas wszystkich. Czułam, że moja twarz płonie. '- Nie wiem. Josh wydał usta.

- Chce nam coś udowodnić. Mógł się z tobą skontaktować, zadzwonić, napisać. Co go powstrzymywało? Zamiast tego, szpieguje cię, podgląda, a kiedy jesteś bezbronna, wpycha się w twoje życie jak buldożer, kiedy właśnie wróciłaś do domu, kiedy zaczynasz wracać do siebie. Bo oddzielenie cię od rodziny byłoby doskonałą zemstą. Rozumiem, że mógł się martwić tym, jak będzie wyglądało wasze spotkanie po latach. Zawsze zastanawiał się pewnie, czy go nie odrzucisz, czy nie zrobił źle, opuszczając cię w tedy, jako dziecko. Ale z drugiej strony możesz być dla mego tylko swego rodzaju trofeum, siostrzyczko.

- Niezbyt imponującym trofeum - odpowiedziałam ze znużeniem.

- Przyjechał do szpitala, żeby się z tobą zobaczyć, ale potem czekał dwa miesiące, żeby przygotować sobie wielkie wejście. Pewnie jesteś wściekła jak diabli z tego powodu i pewnie chcesz odpowiedzi, których on ci nie udzieli. Powiedz mi, siostrzyczko, jak uważasz, czego Roan chce od ciebie i od rodziny? Pytam, bo pewnie nikt jeszcze nie zmusił cię, żebyś się nad tym zastanowiła.

- Jeszcze nie wiem.

Josh pochylił się do przodu, opierając dłonie o kolana pokryte eleganckimi spodniami. Czasami bywał natarczywy i dociekliwy aż do przesady, jakby lada moment miał wybuchnąć gniewem. Zachowywał się tak, jakby zawsze za czymś gonił. Byłby z niego dobry reporter.

- Nie próbuję narobić mu tutaj kłopotów - kontynuował Josh. - Ale znam wielu ludzi, którzy wydobyli się z szamba środkami i sposobami, do których nie chcą się teraz przyznać, a ich największą ambicją jest karanie wszystkich ludzi, którzy wcześniej nie szczydzili im kopniaków. To typowa postawa w polityce, zresztą nie tylko w polityce. Pomagaj swoim sprzymierzeńcom, niszczy przeciwników, tam, gdzie możesz, idź na kompromis, a przede wszystkim nigdy nie mów otwarcie o swoich prawdziwych zamiarach.

Tato skrzywił się lekko. Mama wyprostowała się i ściągnęła usta.

- Synu - zaczęła niskim, łagodnym głosem. - Powinieneś spędzać mniej czasu z politykami, a więcej ze zwykłymi, uczciwymi ludźmi. Zdaje się, że widzisz brudne motywy i spiski za każdym drzewem i kamieniem.

To przerwało na moment rozmowę, gdyż wszyscy czekali, aż opadnie chwilowe napięcie.

- Wstrzymajmy się na razie z wnioskami - powiedział w końcu Brady. - Może Roan jest zainteresowany inwestycjami w mieście. Mógłbym z nim o tym porozmawiać.

- Brady, na miłość boską - zachnął się Evan. - Czy ty masz dolara wytatuowanego na...

- Trudno oczekiwać od Roana, żeby darzył nas wszystkich płomienną miłością - wtrącił się Hop. - Ale nie mogę też uwierzyć, że chciałby nam jakoś zaszkodzić. Jestem pewien, że interesuje go tylko Claire.

- Zgadza się z tym - powiedział Evan, gładząc swą brodę. Słuchałam otepiała, jak rodzina zagłębi się w dyskusji na temat naszej

sytuacji, jak mój ojciec i brat rozprawiają o mnie niczym biblijni patriarchowie. Gdybym czuła się nieco lepiej, uprzejmie wysłuchałabym taty, tak jak mu się

to należy, a z braćmi porozmawiałabym na osobności i zamknęłabym im usta kilkoma celnymi słowami. Ale teraz nie miałam siły na takie potyczki.

- Jedno jest pewne; Roan nigdy nie zrezygnuje z Claire, tak jak ona nie zrezygnuje z niego - zakończyła moja mama. Pokuśtykałam na werandę i usiadłam na bujanym fotelu, otoczona przez migotanie pierwszych wiosennych światełek. Patrzyłam na wschód, w stronę Wąwozu i Dziesięciu Skoków, odizolowana od wszystkich, wreszcie sama.

Patrzyłam na Dunshinnog, jakbym spodziewała się, że znów ujrzę tam światło. Ale niebo pozostawało ciemne. Właściwie poczułam ulgę. Oczekiwał, że będę chodzić za nim wszędzie, tak jak robiłam to, gdy byliśmy dziećmi. Tym razem z dala od rodziny, z dala od domu, nigdy nie wyjaśniając sobie zrad i żalów obu stron. Bałam się, że poprosi mnie, bym z nim wyjechała.

I że już podejrzewa, że wcześniej czy później wyjadę.

1989

Claire

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, kim byłem kiedyś. Dlatego właśnie teraz próbuję wyrzucić jak największe wrażenie na ludziach. Żeby nie było żadnych wątpliwości. Żeby wszyscy zrozumieli, że mają do czynienia z kimś, kogo należy traktować poważnie.

Kiedy byłem dzieckiem, tylko Ty patrzyłaś na mnie, nie myśląc przy tym od razu, skąd przychodzę.

Spędziłem mnóstwo czasu, myśląc o tym, jak Twoi rodzice traktowali Ciebie i jwoich braci. Nauka, dyscyplina, szacunek. Staram się przypomnieć sobie, jak oni to robili, i postępować podobnie. Albo jak robił to Twój dziadek Joe. Dziwna rzecz Claire. Próbuję zobaczyć świat, tak jak oni go widzieli, uczyć się od nich. Sam nauczyłem się więcej, niż przypuszczałem.

Staram się przekazać to mojemu chłopakowi..

Rozdział ósmy

Kupił u mnie dwie paczki herbaty, „Earl Greya” i „English Breakfast” - oświadczyła ciotka Jane mamie i pozostałym siostronom podczas sobotniego śniadania w jadalni Klubu przy Wzgórzach Sokołów, położonym jakieś dziesięć mil na południe od miasta. Klub był częścią większej inwestycji Brady'ego, który urządził tu także pole golfowe. W pobliżu klubu nie ma już żadnych sokołów, a same wzgórza zostały ogołoczone z drzew, żadna z sióstr mojej mamy ani ona sama nie gra w golfa, ale wszystkie te niedorzeczności były niczym w porównaniu z faktem, że Roan kupił herbatę u kogoś z naszej rodziny.

- Był bardzo uprzejmy, ale niezbyt rozmowny - zwierzała się dalej ciotka Jane. - Mimo wszystko, uważam to za dobry znak. Widocznie miło mnie wspomina. Myślę, że byłam jedną z jego ulubionych ciotek.

- Dobry Boże - oburzyła się ciotka Irene. - To ja prosiłam zawsze na niedzielnych obiadach o specjalne dokładki dla niego. I na pewno nie rozmawiał wtedy z nikim innym.

- Arnetta jest lepsza od was wszystkich - powiedziała im mama. - Twierdzi, że próbowała przekonać mnie i Holta, żebyśmy nie wysyłali Roana do tego sierocińca. Ja pamiętam, że było trochę inaczej. Boże, przebacz nam wszystkim.

- Nasze wspomnienia są dla nas łagodniejsze niż prawda - zgodziła się smutno ciotka Jane. - Podejrzewam, że chciał tylko kupić trochę herbaty.

Po tych słowach przy stole zapadło głucho milczenie. Szybko zrozumiałam, że Roan nie potrzebował niczyich referencji, nawet moich.

Sprowadził własną ekipę do remontu chaty przy Dziesięciu Skokach. Wuj Eldon powiedział nam o tym w dniu, w którym sprzedał kierownikowi tej

grupy przyczepę dłużyc, przeróżnych rur, kabli, gwoździ, śrubek, cementu i innych materiałów budowlanych. Wuj Winston, właściciel motelu w Dunderry, w którym ekipa budowlana wynajęła pokoje, mówił, że Roan z dwunastoma ludźmi pracuje dzień i noc przy Dziesięciu Skokach.

- Mają dwa wielkie generatory - opowiadał Winston. - I tyle reflektorów, że mogliby oświetlić boisko futbolowe. Kiedy popatrzyacie w nocy na zachód, zobaczycie lunę.

Miał rację. Kiedy całą rodziną usiedliśmy wieczorem na werandzie, horyzont nad Dziesięcioma Skokami był całkiem jasny.

Ekipa Roana błyskawicznie oczyściła, wyrównała i posypała żwirem drogę, prowadzącą do jeziora i chaty, potem wybudowała parę kamiennych kolumn, w miejscu gdzie podjazd dołączał do drogi publicznej, i zamocowała na nich ciężką, bogato zdobioną bramę z żelaza. Wszyscy byli tym zdumieni.

- Nie wiem, co mam myśleć o tej bramie - powiedział mój ojciec ze złością.

- Roan gra nam na nosie. Co zamierzasz z tym zrobić? - zwrócił się do mnie.

- Co zamierzasz z nim zrobić? - sprecyzowała mama. - Bo on tutaj nie wróci. To oczywiste.

- Obawiam się, że jeśli tam pójdę, stracę coś - odparłam, kręcąc głową.

- Boję się, że każe mi dokonać wyboru i że będzie to wybór na całe życie. A nie wiem, co mam wybrać. Nie chcę, żeby kazał mi stanąć po którejś ze stron.

Moi rodzice wpatrywali się we mnie, poruszeni tym szczerym wyznaniem.

- Musisz się szybko zdecydować - nalegał tata - zanim zaczniesz budować mury.

Mama przyszła do mnie później, sama. Powiedziała, że bardzo jej brakowało mojej „młodej kobiecości”, bo wyjechałam na studia i zawsze byłam taka zajęta. Obie znałyśmy prawdę - porzuciłam ją i tatę, gdy tylko byłam na tyle dorosła, by wyjechać z domu. Mama jednak dalej opowiadała mi, jak bardzo brakowało jej wtedy tych wszystkich wzruszeń, jakie dzieli matka z dorastającą córką, a ja przyznałam, że też za tym tęskniłam. Natychmiast się rozpromieniła i przeszła do razu do rzeczy:

- Nie wiedziałam nawet, kiedy po raz pierwszy kochałaś się z mężczyzną

- powiedziała - bo zakładam, że już to robiłaś.

Patrzyłam na nią ogłupiałym wzrokiem. Zrobiło mi się gorąco.

- Tak - zdołałam wykrztusić.

- Chodzi mi o to... Rozumiem, że jesteś w niezręcznej sytuacji, dorosła

kobieta, mieszkająca w domu rodziców. Jeśli chcesz kupić jakieś środki antykoncepcyjne... to nie musisz się z tym kryć. Ja wszystko załatwię. - Przerwała na moment. - Oczywiście, nie powiemy o tym twojemu tacie.

Miałam ochotę głośno się roześmiać, ale chciałam też przytulić się do niej mocno, uścisnąć ją, wtulić głowę w jej piersi. Być znów małą dziewczynką i dać nam jeszcze raz szansę przeżycia wszystkich lat, które obie straciłyśmy. Wzięłam ją za rękę. - Nie zamierzam robić tego z Roanem w najbliższym czasie, a może w ogóle. Ale dziękuję. Kocham cię.

Pomyślała nad czymś przez chwilę.

- Podejrzewam, że Roan jest na to przygotowany, ale na wszelki wypadek przyniosę ci kilka prezerwatyw - oświadczyła.

Tej nocy śniłam o kobietach bez twarzy, które tańczyły nago przy ognisku, o kotach śpiących na twardej poduszkach i o innych, aż nazbyt oczywistych symbolach, wśród których znalazłam się ja i Roan i które kazały mi zapomnieć, że kiedy się poruszam, boli mnie chora noga.

Jedzenie. Oczywiście. Jak za starych dobrych czasów. Poślę mu jedzenie.

Poprosiłam Hopa i Evana, wuja Winstona i kilku kuzynów, by mu je zanieśli. Przy pomocy mamy, Renfrew i różnych ciotek i kuzynek zapakowałam do pudełek i przenośnych lodówek tyle jedzenia, że można by nim nakarmić całą armię robotników, i to przez kilka dni. Jedzenie to prymitywny gest powitalny; jedzenie to przeprosiny; jedzenie to sakrament. W ciastach i potrawkach kryje się często więcej szlachetnych intencji niż w tysiącu pobożnych słów.

Oboje znaleźliśmy to kiedyś na pamięć - miałam nadzieję, że on nadal o tym pamięta.

Przejrzałam kilka nie rozpakowanych jeszcze pudeł, które przywiozłam ze sobą z Florydy. Znalazłam wielki atlas samochodowy - jedno z tych wielkich, kolorowych wydań z mapą każdego stanu na oddzielnej stronie. Atlas był już zniszczony, kartki pozaginane na rogach. Największe miasta i miasteczka każdego stanu obwiedzione były czarną linią.

Owinęłam atlas w papier pakowy i dołączyłam krótką notkę:

Straciłam na to wiele lat i mnóstwo pieniędzy na rachunki telefoniczne, ale każde z tych czarnych kółek oznacza miejsce, gdzie dowiadywałam się o numer telefonu Roana Sullivana. Dzwoniłam pod każdy z nich. Nigdy nie byłeś to Ty. Czy teraz jest inaczej?

- Co powiedział? - spytałam, kiedy moi przysadziści, dobroduszni bracia powrócili znad jeziora. Siedzieliśmy w salonie z dziećmiakami Hopa, które oglądały jakąś bajkę na wideo w rogu pokoju.

- Wydaje mi się, że wyglądał na zadowolonego - odparł Hop, marszcząc czoło. - Wiesz co? Pamiętam ten jego wzrok, kiedy był jeszcze chłopcem, ale teraz wyostrzył go tak, że mógłby przeciąć nim człowieka na pół. Ma w sobie coś morderczego, coś jak Clint Eastwood-Brudny Harry, kiedy spojrzy na ciebie i nie wiesz wtedy, czy zaraz się uśmiechnie, czy rzuci ci się do gardła. Powiedziałem mu, że nie powinien być tu sprowadzać obcych, że ja i Evan przysłałibyśmy mu ekipę, ale on tylko wzruszył ramionami. Gdyby nie uściskał nam rąk, zrobiłoby się całkiem nieprzyjemnie. On i ci jego ludzie pracują tak, jakby nie mieli ani chwili do stracenia. Powinnaś zobaczyć, co zrobił z tym miejscem w ciągu tygodnia.

- Właśnie to mówił Roan - wtrącił się Evan. - „Powiedzcie jej, żeby tu przyszła i zobaczyła to sama. Potrzebuję ładnego miejsca, żebyśmy znów mogli się poznać nawzajem. Jest prawie gotowe. Może przyjsć, kiedy tylko zechce.”
- Pokiwał energicznie głową. - Kiedy popatrzył na tę paczkę, która mu przysłałaś, miał taką dziwną minę. Trafiłaś go w jakieś czułe miejsce, siostrzyczko. Dał mi też coś dla ciebie. To na początek. - Evan podał mi wielką, wypchaną kopertę.

Położyłam ją na kolanach, rozerwałam szybko i wyciągnęłam grube na pół cala portfoho, oprawione w skórę. Pospiesznie przebiegłam wzrokiem długie kolumny i listy, elegancko wydrukowane wewnątrz grubej broszury. Zobaczyłam adres w Seattle. Na drugim końcu kraju. Ze wszystkich możliwych miast, właśnie to. Dlaczego w Seattle? Hop i Evan bezczelnie zaglądali mi przez ramię.

Ziemia. Domy. Mieszkania. Magazyny. Sprzedaż. Kupno. Wynajem. Kilkanaście stanów, kilkadziesiąt miast. Byłam oszołomiona ogromem tego wyliczenia, choć widziałam zaledwie nazwy wypisane czarnym drukiem na papierze. Roan był z siebie dumny, ale ta ambicja była tylko częścią większej tajemnicy, która utrzymywała go z dala ode mnie przez dwie dekady.

- Mój Boże - szepnął Hop. - To jakiś prospekt o jego nieruchomościach i inwestycjach.

Evan głośno wypuścił powietrze.

- On chce ci powiedzieć, co jest wart, siostrzyczko. A wart jest fortunę. Roan przesłał też notkę, na szarym papierze listowym.

Twój dziadek Joe powiedział mi kiedyś, że on i Twoja babcia przez pół roku wymieniali między sobą prezenty, nim ona chciała się z nim zobaczyć bez towarzystwa przyzwoitki. Miał złą reputację. Ona posyłała mu szarlotkę, a on jej kwiaty. W końcu kupił jej jakąś płytę do jej starego gramofonu. „Nie pamiętam, co to było za wycie - mówił Twój dziadek - ale było tam pełno skrzypiec, a ona oszalała na punkcie tej płyty i na moim”.

Więc posyłam Ci prezent w zamian za jedzenie. W zamian za atlas. Teraz Ty jesteś mi winna następny prezent. Widzisz? Pamiętam, jak dochować tradycji w rodzinie. Nigdy nie zapomniałem o tym, co najlepsze. Ani o tym, co najgorsze.

Myślę, że wiem, czego się boisz.

Zamierzam wyciągnąć Cię z tego domu, z Twojego łóżka, Claire. Na Boga, przyjdiesz tu i zajmiesz się sama swoim losem. Teraz jestem już żywym, rzeczywistym człowiekiem, a nie bezimiennym numerem telefonu.

Wyjęłam z szuflady starą deskę, na której wyrył nasze imiona. Owinęłam ją w ładny papier, przewiązałam wstążeczką, a Hop dostarczył ją Roanowi razem z listem.

*Nie chcę Twojego resume. Nie chcę wiedzieć, ile cholernych pieniędzy już zarobiłeś ani że zajmujesz się handlem ziemią i budynkami, ani że budujesz domy nad Pacyfikiem. Chcę wiedzieć, co działo się z chłopcem, który wyrył nasze imiona na tej desce. Jeśli masz jeszcze odwagę, żeby **PODZIELIĆ SIĘ TYM CHŁOPCEM ZE MNĄ**, nic innego nie jest już ważne. **PRZYJDŹ TUTAJ I PRZYNIĘŚ SWOJE LISTY.***

Tym razem nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Nazajutrz wstałam o świcie. Włożyłam biały szlafrok frotte i buty do biegania, powoli przeszłam do pokoju przy ogrodzie i bardzo ostrożnie weszłam na mechaniczny deptak, który przesłała mi Violet, po tym jak rzuciłam w nią poduszką. Powiedziała, że mi przebaczyła, a ja wysłałam do niej długi list z przeprosinami, wołała jednak nie ryzykować kolejnego siniaka - kazała mi chodzić.

Josh wszedł za mną do pokoju. Późną nocą wrócił z Atianty w swoim statecznym, szarym samochodzie, który był wyraźnym znakiem, że jego właściciel jest dobrze

sytuowanym konserwatystą. Buty mojego brata zastukały nagle o rdzawoczerwone płytki - wykonane na specjalne zamówienie przez przyjaciela mojej mamy z Meksyku - a ja aż podskoczyłam, zaskoczona tym nagłym wtargnięciem.

Wymieniliśmy mrukliwe pozdrowienia. On usiadł w wiklinowym fotelu, trzymając na kolanie filiżankę z kawą. Posturą przypominał beczkę na dwóch nogach, rude włosy przerzedziły się mocno z przodu i cofnęły, tworząc na jego głowie wielkie V. Nazywam to Republikańskim Irokezem", a Josh ma na tyle poczucia humoru, że potrafi się śmiać sam z siebie.

Poprawił jakieś niewidzialne zmarszczki na swojej białej koszuli i prążkowanych spodniach, jedną ręką zaciągnął mocniej jedwabny krawat, przez cały czas trzymając w drugiej filiżankę kawy. Powiedział mi, że ma już zaplanowany cały tydzień - przemówienia, spotkania, projekty i pomysły, które miały polepszyć przyszłość reprezentowanego przezeń regionu. Wciąż korzystał ze swojej starej sypialni, inną zaś zamienił na biuro. Ale na każdy tydzień spędzony w domu, przypadały przynajmniej trzy poza nim, kiedy podróżował lub brał udział w sesjach ustawodawczych w Atlancie. Sypiał z pewną kobietą ze stanowego departamentu transportu. Nazywała się Lin Su i pracowała właśnie nad pracą magisterską na wydziale nauk politycznych uniwersytetu stanowego w Georgii. Miała tylko dwadzieścia pięć lat i choć urodziła się w Ameryce, była Wietnamką z pochodzenia. Mama i tata wciąż go prosili, by im ją przedstawił, ale Josh twierdził uparcie, że to nic ważnego.

- Nie mam ani krzty szacunku dla Roana, jeśli przyjechał tutaj, żeby narobić nam kłopotów - powiedział w końcu. - Zrobił wielkie pieniądze, ale pieniądze to nie to samo co rodzina< Nie może kupić rodziny.

" - Proszę, nie praw mi kazań - odparłam.

- Żyłas z dala od domu. Ty i ja jesteśmy tu jedynymi ludźmi, którzy przekonali się na własnej skórze, jaki naprawdę jest ten świat. Brady postrzega świat jako jeden wielki słój z powidłami. Hop i Evan nie mają dość wyobraźni, żeby martwić się problemami na większą skalę. Mama i tata po cichu marzą o tym, żeby Eisenhower wciąż był prezydentem.

- Przejdź do rzeczy, bracie.

- To, że wróciłaś wreszcie do domu, ma dla mamy i taty ogromne znaczenie. Mogą być wreszcie blisko ciebie. Nie chcę, żeby rodzina znów się rozleciała przez ciebie i Roana.

- Więc nie próbuj stawiać mnie po którejś za stron.

- Mama powie ci wszystko, co tylko zechcesz usłyszeć, bo pragnie, żebyś

jej przebaczyła. Tato jest dumny ze swojej uczciwości; stanie, na głowie, żeby naprawić stare zło. Większość pozostałych krewnych będzie milczeć, przez szacunek. Ja bawię się tylko w adwokata diabła. Ktoś musi to zrobić.

- Nie mam zamiaru rozbijać rodziny. Roan pokazał nam, jacy jesteśmy naprawdę. - Dyszałam ciężko. - Wyciągnął na wierzch to, co w nas najlepsze, i to, co najgorsze. Teraz nadszedł czas, by udowodnić, że zmieniliśmy się na lepsze.
- Myślisz, że jestem hipokrytą.
- Wprost przeciwnie. Myślę, że bardzo chcesz wierzyć, że ten świat nie jest całkiem zepsuty. Dlatego właśnie boisz się zbliżyć do własnej córki. Boisz się za mocno angażować. Wiem, jak to jest.
- Nie zmieniaj tematu. Jak zamierzasz poradzić sobie z Roanem?
- Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby poczuł się chciany w tej rodzinie. Żeby uwierzył, że wciąż może być jej częścią.

Josh przekrzywił głowę.

- Mówisz tak, jakbyś chciała za niego wyjść. Ale on jest kimś obcym, Claire.
- Dla mnie nie jest obcym. Nigdy nim nie będzie. Nigdy nie był, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Ale nie mówię o zamążpójściu...
- Tak, właśnie o tym mówisz. Bo to wszystko właśnie do tego zmierza, prawda? Czy tobie całkiem rozum odebrało? Wyszłabyś za mężczyznę, którego nie widziałaś od dwudziestu lat, i którego prawie nie znasz?
- Przestań przekreślać moje słowa.
- Musisz mieć tę świadomość, że być może Roan wcale nie zamierza rozwiązywać czegośkolwiek. Że możesz się... przywiązać do niego, a potem zostać zmuszona do dokonania wyboru, który pozostawi cię okaleczoną do końca życia.
- To się nie zdarzy. Nie pozwolę na to.
- Posłuchaj mnie. - Josh pochylił się do przodu. Miękkim, łagodnym, niemal monotonnym głosem powiedział: - Kiedy pewnej nocy stałem na warcie w Sajgonie, widziałem, jak jakaś kompletnie pijana dziewczyna z baru wylewa sobie alkohol na głowę i zapala zapalkę. To stało się tak szybko, że nie zdążyłem jej powstrzymać. Więc paliła się jak jakaś cholerna choinka. Nie minęło nawet dziesięć sekund, a to, co zostało z jej twarzy, nie przypominało już w niczym twarzy człowieka. Czy ja byłem temu winny? Nie, do diabła. Gdybym przez te wszystkie lata tylko siedział na tyłku i rozmyślał, co powinienem zrobić w tej sytuacji, pewnie sam wylałbym sobie na głowę butelkę wódki i sięgnął po zapalki.

Zeszłam z deptaka i wzięłam kilka głębokich oddechów. W tej krótkiej historyjce mój najstarszy brat powiedział mi o sobie więcej, niż kiedykolwiek sama byłabym w stanie zrozumieć.

- Wszyscy wracamy z naszych wojen z bliznami, które zostają nam na całe życie - powiedziałam miękko. - Czy to dlatego winisz Amandę za to, że się urodziła? Straciłeś żonę, dostałeś w zamian córkę i teraz nie możesz się pogodzić z tą zamianą? Czy to dlatego sypiasz z kobietą, która przypomina ci o Wietnamie, ale nie chcesz, by stała się częścią naszej rodziny? Czego się wstydzisz?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Jeszcze bardzo mało o mnie wiesz, siostrzyczko - powiedział cicho. Poprawił krawat, wstał z fotela i wyszedł.

Lato, 1992

Następna kobieta powiedziała mi, że jestem beznadziejnym przypadkiem. Powiedziała, że przyłapuje mnie na tym, jak patrzę przez nią, jakby była powietrzem. Lubię ją i przykro mi, że odeszła ode mnie w takim właśnie nastroju. Ale ona ma rację. Jakaś część mnie jest jeszcze nie dokończona. Po prostu nie istnieje. Wiem, że nie ma sensu wierzyć, że przy Tobie czułbym się inaczej. Wiem, że nic z tego nie ma sensu, po wszystkich tych latach.

Nie będziemy mieli przyszłości, dopóki przeszłość nie zostanie rozdarta i dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkiego, ja i Twoja rodzina. Dopóki my dwoje nie spojrzymy na siebie i nie zdecydujemy, ilu ludzi gotowi jesteśmy skrzywdzić. Zawsze coś ukrywam. Słucham, jak inni ludzie rozmawiają o swoim dorastaniu o ich rodzinach i szczęśliwych czasach dzieciństwa, i wiem, że ja nie mam nic prócz tych chwil, które spędziłem z Tobą i Twoją rodziną. To tak, jakbyś któregoś dnia pomogła mi się odnaleźć. Jak Frankenstein. Jestem złożony z części, które dali mi inni ludzie. Nie chcę zbliżać się do innych ludzi, bo nie chcę mówić im o sobie. Zabiłem własnego ojca. O takich rzeczach nie mówi się obcy. Zawsze będę stał na uboczu.

Chcę mieć coś, co będę mógł dobrze wspominać, Claire. Coś, na czym będę mógł się oprzeć, co wymaze te straszne zdarzenia z przeszłości. Być może, kiedy spojrzysz na mnie pewnego dnia, będziesz pamiętać tylko o złych rzeczach - o tym, co złamane.

Chcę, żebyś porozmawiała z tym dzieciakiem, którym kiedyś byłem, i żebyś powiedziała mu, że może wracać do domu. Ze wcióż go kochasz

Rozdział dziewiąty

Amanda była na mnie wściekła. Pewnego popołudnia zderzyłyśmy się na korytarzu.

- Nie rozmawiam z tobą - oświadczyła obrażonym tonem. Siła uderzenia zaparła mi na moment dech w piersiach.

Amanda spojrzała na mnie z rozpaczą. - Dlaczego nie pójdziesz zobaczyć się z panem Sullianem?

- Kochanie, ty tego nie rozumiesz. Musimy się najpierw dobrze poznać, bardzo powoli i ostrożnie, żeby...

- Dziadek i Nana powiedzieli mi wszystko. Powiedzieli mi, że go odesłali i że to zraniło twoje uczucia, i zraniło jego uczucia, i że jest im bardzo przykro z tego powodu, robią, co mogą, żeby to naprawić. Ale ty musisz pomóc.

- Staram się pomagać, słoneczko. Ale kiedy będziesz starsza, zrozumiesz, że dorośli mężczyźni i dorosłe kobiety muszą traktować swoją przyjaźń z wielką odpowiedzialnością. Muszą poruszać się powoli. Muszą być względem siebie bardzo uczciwi i muszą przystać na pewne reguły, dotyczące ich...

Oczy Amandy napęłniły się łzami.

- Mówisz jak tata. On tak dużo myśli o regułach i prawach, że całkiem o mnie zapomina.

- Twój tata jest po prostu zajęty. Bardzo cię kocha.

- Nie, nie kocha mnie. Nigdy mi tego nie mówi, więc na pewno mnie nie kocha. Nie ożeni się jeszcze raz i nie da mi żadnych braci ani sióstr, bo on mnie nawet nie lubi. I ty na pewno też nie kochasz pana Sullivana, bo nawet nie chce ci się mu tego powiedzieć.

- Słoneczko, kocham pana Sullivana w pewien sposób. Ale czasami, nawet jeśli kogoś kochasz, nie wiesz, co właściwie powinnaś powiedzieć tej

osobie. Wolisz nawet, żeby trzymała się od ciebie z daleka, dopóki nie zrozumiesz, że musisz mu to powiedzieć.

- Pocałowałaś go! W usta. Zaraz jak tylko wrócił do domu! Pocałowałaś go, a on całował ciebie i to długo!

- Ludzie całują się z wielu powodów...

- Opowiedziałam mu o tobie. - Spojrzała na mnie triumfalnie. - Byłam wczoraj w sklepie z ciotką Luanne i on tam był, kupował gazetę. Wszyscy patrzyli się na niego, ale ja podeszłam i powiedziałam: „Moja ciocia Claire jest bardzo ładna, prawda?”, a on powiedział „Jest najładniejszą, najmądrzejszą i najsilniejszą kobietą, jaką znam”. A wtedy ja powiedziałam: „No tak, ale jeśli nie przyjdzie pan do niej, to nigdy jej pan nie zobaczy, bo ona nie wychodzi nawet do miasta”. A on powiedział: „Założę się, że kiedyś ją do tego namówię”.

- Jesteś bardzo podobna do swojego taty. Jesteś małym politykiem. Kiedy zostaniesz prezydentem, przyjadę do ciebie, żeby przespać się w pokoju Lincolna i ukradnę wszystkie poszewki z poduszek.

- Powiedziałam mu wszystko, co ty mi o nim opowiadałaś! Jak mówiłaś, że jest cudowny i że nigdy o nim nie zapomniłaś, i powiedziałam mu, jaka byłaś smutna, kiedy ja ci powiedziałam, że jestem pewna, że jeszcze skoczy po ciebie! I powiedziałam mu, że ciągle masz w swoim pudełku na biżuterię jego naszyjnik z koniczynką!

Zamknęłam oczy.

- Zabiorę też prześcieradła Lincolna - postanowiłam.

Oglądałem dzisiaj w telewizji Alvina Tobblera. Jest sobota, zimno i mokro, nawet jak na Seattle. Siedzę na kanapie, w kominku pali się ogień, a ja patrzę jak Al Tobbler gra w futbol gdzieś na drugim końcu kraju i myślę o tym, ile piątkowych wieczorów spędziłem oglądając go osobiście, na szkolnym stadionie, i myślę o tym wieczorze, kiedy oboje, Ty i ja, straciliśmy zęby.

To właśnie tego wieczoru twoja rodzina zabrała mnie na farmę. Nigdy wcześniej nie spałem w łóżku z czystą, białą pościelą. Sypialnia pachniała jak bukiet kwiatów. Nie mogłem uwierzyć, że tam jestem. Że twoja rodzina zadbała o mnie, dokładnie tak, jak powiedziałaś. Że poza Tobą jest jeszcze ktoś, kogo obchodzi mój los.

Zastanawiałem się dzisiaj, czy ty też oglądasz mecz z Alem, siedziałem tam myśląc, w jak wielkim stopniu jesteś częścią mojego codziennego życia, jakbyś siedziała tam obok mnie.

Alvin Tobbler, wnuk pana Tobblera, brat Tuli, były zawodnik Dallas Cowboys, mój daleki, ciemnoskóry kuzyn i następca kuzyna Vince'a na stanowisku szeryfa, przyszedł kiedyś zobaczyć się ze mną. Wysoki, barczysty, siedział obok mnie na werandzie.

- Poszedłem powiedzieć mu cześć, Claire. Uścisnąć mu dłoń. Dać jakiś drobny prezent z okazji powrotu do domu. Siostra go zrobiła. Smażone jabłka. Galaretka. Ciastka. Sama wiesz. Próbki całego inwentarza. Ona zawsze szuka nowych klientów.

- Dziękuję ci.

- Pomyślałem, że chciałabyś o tym wiedzieć. Niedawno odwiedził pana Leroya.

Kiedy Alvin powrócił do domu z wielkiego świata ze schorowanymi kolanami i fortuną w kieszeni, ożenił się z Mae Brandy Walker, swoją wielką miłością jeszcze z czasów dzieciństwa. Mae Brandy przeczekała cierpliwie jego dziesięcioletnią nieobecność i wszystkie dziewczęta, z którymi się spotykał, co przeszło do lokalnej historii jako przykład zwycięstwa wiary i wielkiego ducha nad ludzkimi słabościami. Ojciec Mae, Leroy Walker, prowadził przy rynku w Dunderry małą restaurację z grillem, a dumą i celem jego życia było przyrządzenie najwspanialszej pieczeni, jaka kiedykolwiek znalazła się na restauracyjnym stole. Kiedy kilka lat temu pan Leroy przeszedł na emeryturę, sprzedał swój zakład ciotce Jane.

- Czego chciał od twojego teścia?

- Pan Leroy dbał kiedyś o to, żeby Roan nie chodził głodny - wyjaśnił krótko Alvin. - No wiesz, kiedy Roan był jeszcze mały, zanim twoja rodzina wzięła go do siebie. Tak.

Pochyliłam się do Alvina, oniemiała ze zdumienia. Skinął jeszcze raz głową.

- Roanie podkradał się do restauracji tylnymi drzwiami i kradł resztki ze stołu. Pan Leroy zaczął mu zostawiać kanapki. Nigdy nic nie powiedział. Po prostu zostawiał je tam. - Alvin przyglądał mi się przez chwilę. - Nie wiedziałaś o tym, prawda?

- Nie.

- Więc Roan przyszedł kilka dni temu do domu pana Leroya. Powiedział starszemu, że zabierze go na kolację do najlepszej restauracji w Atlancie. - Alvin uśmiechnął się smutno. - Właśnie takim człowiekiem jest Roan Sullivan. Nie zapomniał o nikim, kto okazał mu srebro. My też nie zapominamy. Wiesz, że mój dziadek też zawsze dobrze o nim myślał.

Milczałam, przypominając sobie Bossa Tobblera i jego surową uprzejmość, myśląc o tym, jak bardzo on i mój dziadek byli do siebie podobni, przepełnieni tym samym rodzajem miłości do świata, rodzącej się w starych ludziach, którzy przeżyli wojnę i czas nietolerancji. Alvin wpatrywał się w przestrzeń, potem powiedział cicho:

- Jeden z moich wujów z Alabamy maszerował z dr. Kingiem w sześćdziesiątych w latach. Gryzły go policyjne psy, katowali policjanci. Tutaj nigdy nie było aż tak źle, ale nie było też dobrze.
- Alvin, wiem. Nikt nie mówił o tym otwarciu, ale wszyscy wiemy.
- Najgorszy mecz, jaki kiedykolwiek rozegrałem, był w Pittsburghu...
- Kiedy po raz ostatni rozerwałś kolano?
- Tak. Leżałem tam na boisku, czując się tak, jakby ktoś wbijał mi rozżarzony pogrzebacz w nogę, ale słyszałem tylko krzyk kibiców z Pittsburgha; „Do-bij-go, do-bij-go...”
- Al, tak mi przykro.
- Cholerni jankesi - zachichotał, potem zmarszczył brwi i spojrzał na mnie. - Wtedy wiedziałem już, że wracam do domu. Że w Dunderry wciąż jest mój dom. Powiedziałem Roanowi, dlaczego wróciłem, i powiedziałem mu, co się tu zmieniło. Żadne miejsce nie jest doskonałe, ale niektóre są wyjątkowe.
- I co on ci odpowiedział?
- Powiedział, że nie może pozwolić sobie na sentymenty.
- I to wszystko? Nie wyjaśnił, co ma na myśli?
- Nie sądzę, żeby on cokolwiek komuś wyjaśniał, Claire. Myślę, że ten 'człowiek ma wiele tajemnic.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Mam nadzieję, że się mylisz. Boję się, że się nie mylisz.

Alvin włożył kapelusz, popatrzył na mnie i wydał z siebie ciężkie westchnienie, w którym kryło się współczucie dla całego świata.

- Musisz nad nim pracować. I nad sobą też. - Uderzył się w kolano. - Nogi można wyleczyć. A co do tej kobiety... tej dziewczyny, którą...
- Terri. Terri Caulfield. Nie mogę pozwolić, by ludzie zapomnieli jej imię. Do końca życia będę pamiętać o niej i o ludziach, którzy byli z nią związani w taki czy inny sposób.
- Masz rację. Prawie codziennie odsyłam kobiety do schroniska w Gainesville, Claire. Wszystkie mają jedną wspólną cechę. Myślą, że nikogo nie

obchodzą. Że są zupełnie samotne w swoim nieszczęściu. Ale ty, Claire, ty się nimi zainteresowałaś, i one sporo o tobie wiedzą. Niektóre z twoich artykułów wiszą na ich gazetkach ściennych. Nie uważają, że zrobiłaś coś złego. Myślą, że to, co ją spotkało, i tak stałoby się wcześniej czy później, bez względu na to, co ty robiłaś.

- Dzięki, że mi o tym mówisz.

. - Rodzina musi się trzymać razem.

- Hej, może powinniśmy pójść na talk-show z Oprah - powiedziałam, dotykając tematu, który zawsze krył się pod powierzchnią uprzejmych kontaktów między Tobblerami i Maloneyami. - Ty, ja i Tula. Byłoby super.

Alvin wyprostował się i lekko uchylił przede mną kapelusza.

- Nie zamierzam pokazywać się w telewizji i opowiadać, jak kiedyś daleką kuzynkę Tobblerów spotkało nieszczęście. - Przerwał na moment. - Zwłaszcza małą, białą kuzynkę, która traci czas, siedząc na werandzie, zamiast zajmować się swoimi interesami, jeśli wiesz, o kim mówię.

Wyszedł. Ja pozostałam na werandzie, bawiąc się pąkami kwiatów, patrząc, jak zamykają się między moimi ciepłymi palcami.

Ulice i drogi wokół Dunderry nie nosiły przypadkowych, niepoważnych nazw. Wskazywały podróżnym drogę do najstarszych rodzinnych posiadłości, do ciekawostek geograficznych, pomagały zaspokoić podstawowe potrzeby i dziwaczne kaprysy. Nazwy dróg nie tylko mówiły, gdzie ktoś zmierza, ale i dlaczego.

- Trochę na lewo - powiedziałam. Słońce paliło mnie w głowę. Siedziałam na platformie żółtej ciężarówki należącej do służb porządkowych naszego okręgu. Samochód stał zaparkowany obok nowej eleganckiej bramy Roana. Moją twarz chronił przed słonecznym blaskiem słomiany kapelusz o szerokim rondzie i ciemne okulary. W ustach trzymałam źdźbło trawy. Tata, który siedział obok mnie, pokręcił głową.

- Lewa ręka to ta, na której nosisz zegarek, Nat.

Nat spojrział na nas krzywo, osadzając wysoki metalowy znak w ziemi.

- Mmm... - Oliver Kehoe, jeden z moich młodych kuzynów, który skończył właśnie politechnikę, zdobywszy tytuł inżyniera budownictwa lądowego, nucił coś pod nosem, zalewając betonem wielką dziurę wokół metalowego słupa. Mój ojciec przyglądał się ze zmarszczonym czołem żelaznej bramie, zamkniętej teraz na kłódkę.

- Zakładam - rozpoczął posepnym tonem - że Roan postawił tutaj tę bramę, żeby powstrzymać przed wtargnięciem na jego teren ciekawskich turystów, a nie nas.

Oliver i Nat skończyli. Cofnęli się o krok Spojrzałam na wąską zieloną tabliczkę, która stała teraz przy wjeździe do Dziesięciu Skoków.

- Dziękuję - powiedziałam do taty, który wyciągnął z kieszeni cygaro i odchrząknął z lekceważeniem. - To jego prawo. Czasami dobrze być we władzach okręgu. Można szybko załatwić pewne rzeczy.

Wysoki znak głosił DROGA SULLIVANA.

- Teraz jest tu oficjalnie - powiedziałam.

On umieścił tutaj swoją bramę. Ja umieściłam go na mapie.

Jeszcze tego samego dnia otrzymałam od Roana małe złote pudełeczko. Dostarczył je kierownik ekipy budowlanej Roana, krępy mężczyzna w średnim wieku, który stał nieruchomo pod dębem, trzymając rękę na sercu i spoglądając na przemian na dom, na mnie, na mamę i na Renfrew.

- Doprawdy nie wiem, co jest piękniejsze - oświadczył z nieoczekiwaną kurtuazją - szanowne panie czy ten wspaniały dom. Pan Sullivan powinien był mnie ostrzec.

Oparłam się mocniej na lasce, którą pożyczyłam od babci Dottie. Roan wynajął jakiegoś taniego amanta", pomyślałam, lecz w porę ugryzłam się w język.

- Pracował pan już wcześniej dla pana Sullivana? - spytałam. ' - Pracowałem tu i tam przez kilka lat.

- A co dokładnie pan robił?

- Och, to i owo.

- Rozumiem: tu i tam to i owo. Żadnych zbędnych „ale” czy „jeśli”. Jest pan bardzo dyskretny.

Uśmiechnął się.

- Jestem bardzo dobrze opłacany i lubię pracować dla Roana Sullivana. Słyszałem już, że była pani reporterką, więc podejrzewam, że próbuje pani teraz wyciągnąć ode mnie wszelkiego rodzaju informacje.

- Chyba trochę zardzewiałam. Powinnam być mniej bezpośrednia.

- O wszystkie szczegóły będzie pani musiała wypytać pana Sullivana osobiście.

Mama pokiwała głową w zamyśleniu.

- Pan Sullivan - powtórzyła.

- Szef i pracodawca - przyłączyła się Renfrew. Żadna z nich nie zechciała się odsunąć, kiedy marszcząc brwi otwierałam pakunek.

We wnętrzu podłużnego, wąskiego pudełeczka leżał delikatny złoty naszyjnik i mała, filigranowa koniczynka, ozdobiona błyszczącymi kamieniami. Koniczynka, która miała zastąpić tandetny tani oryginał. Z wrażenia zaparło mi na moment dech w piersiach.

- Dobry Boże - mruknęła Renfrew. - Te kamyki nie są ze szkła.

- To szmaragdy - powiedziała mama ze zdumieniem i niepokojem. - I diamenty.

Roan próbował odbudować, wymazać albo podnieść na wyższy poziom wszystko, co wiązało się z naszą przeszłością.

- Czy chce pani przekazać jakąś odpowiedź panu Sullivanowi? - spytał mężczyzna.

Zawahałam się. Mama spojrzała na mnie stanowczo.

- Wychowywałam cię na człowieka, który nie ucieka, nie oglądając się za siebie, tak jak to było ze mną i twoim, tatą, albo twoją babką Elizabeth i dziadkiem Patrickiem, kiedy poznali się w Londynie wiele lat temu. Ale nie można też zaprzeczyć, że jesteś córką i wnuczką kobiet, które nie potrafiły oprzeć się wyzwaniu. Fakt, że podjęłyśmy to wyzwanie, wyszedł na dobre twoim dziadkom i twoim rodzicom. Więc obiecaj mi tylko, że jeśli pójdziesz nad Dziesięć Skoków i Roan wyprowadzi cię z równowagi, to mimo wszystko w końcu wrócisz do domu i sprawisz, by on też tutaj wrócił.

Poczułam się tak, jakbyśmy obie, mama i ja, powróciły właśnie do domu, do zrozumienia i zaufania, jakie łączyło nas, kiedy byłam dzieckiem. Skinęłam głową.

- Obiecuję. - Potem zwróciłam się do wysłannika Roana, który przyglądał nam się z kamienną twarzą.

- Proszę powiedzieć panu Sullivanowi - oświadczyłam najspokojniej jak byłam w stanie - że przyjdę do niego jutro o świcie, i że zamierzam wymienić ten naszyjnik na listy, które jest mi winien.

- No cóż, jednak cuda się zdarzają - westchnęła Renfrew. Mama uściśnęła mnie mocno.

Odetchnęłam z ulgą, jakbym wstrzymywała oddech przez wiele lat.

Rozdział dziesiąty

To, co Roan wraz ze swoimi ludźmi zrobił przy Dziesięciu Skokach w niecałe dwa tygodnie, miało się stać tematem miejscowych legend.

Zbudował pas startowy dla swojej cessny. Mały samolot przysiadł na zwirowym pasie, niczym wielka ważka, których całe chmary oblegały paprocie nad brzegiem jeziora.

Odbudował starą chatę - nowy dach, nowa weranda, drzwi, okna, instalacja elektryczna, kanalizacja, bieżąca woda. Dobudował też kuchnię z tyłu domu i wielki, nisko osadzony pomost, który prowadził do jeziora, przy samym zaś brzegu zmieniał się w wąską, kamienistą ścieżkę i znikał pod gałęziami dębów, w altance.

Gdy przyjechałam tam o brzasku, kiedy pierwsze promienie różowego słońca dopiero przeganiały noc, miałam na sobie ubranie pasujące do placu Wdowy, a nie do sielankowej sceny, która mogłaby służyć za tło w jakimś eleganckim katalogu. Wsiadłam z ciężarówki, ubrana w džinsy, bawełnianą koszulkę i traperki, i nagle stanęłam naprzeciwko małego Edenu. Dokoła kręcili się jeszcze robotnicy, którzy układali płyty zielonej, wilgotnej murawy na wygładzonej dokładnie ziemi, w miejscu gdzie jeszcze niedawno rosły krzaki jeżyn.

- Niesłychane - szepnęłam tuż przed tym, jak Roan doszedł do samochodu, stanął przede mną i pocałował mnie mocno w usta.

To stało się tak szybko - czułam jeszcze pocałunek odcisnięty na moich wargach. Zakręciło mi się w głowie i przestałam na moment oddychać. Robotnicy przyglądali nam się z ciekawością, trzymając w dłoniach zielone kawałki murawy.

Ruchem głowy wskazałam na łaskę, na której się opierałam.

- Pożyczyłam ją od babci. Żadnych kul.

- I żadnych wymówek? - spytał cicho Roan.

- Kto tu ucieka przed rzeczywistością? Ja czy ty?

Podniósł brew w niemym pytaniu, a potem ujął mnie pod ramię, ostrożnie i delikatnie, jakbyśmy oboje byli parą starszuchów, wybierających się na spacer - tyle że jego ramię było mocne i twarde, i że celowo, jak przypuszczam, musnął nim moje piersi.

- Dajmy na chwilę spokój rzeczywistości - odparł z uprzejmym, jakby niedbałym uśmiechem. Był tak przystojny, jak tylko mogłam sobie wymarzyć. Czułam się onieśmielona i podekscytowana jednocześnie.

Przez dwadzieścia lat nauczył się doskonale, jak być miłym dla ludzi, jak im się przypocholebiać. Wiedział dobrze, co robi.

- Właśnie kończą - powiedział, niedbałym ruchem ręki wskazując na robotników, jak gdyby cała przebudowa nie stanowiła dla niego najmniejszego problemu. - Przed południem stąd wyjadą. Chata jest już całkowicie umeblowana.

- Zawahał się na moment. - Chciałabyś zajrzeć do środka?

- Nie - odparłam, prawie warknęłam. - Nie, dziękuję - dodałam normalnym głosem. - Może później.

Usiedliśmy w altance przy drewnianym stoliku, nakrytym Imanym obrusem i ozdobionym srebrną wazą z czerwonymi różami. Z magnetofonu, ustawionego na stercie gruzu obok altanki, dochodziła muzyka Mozarta.

- Z tego miejsca nie widać nawet, że z tyłu domu jest przybudówka - powiedział Roan.

- Dziadek cieszyłby się, że kupiłeś to miejsce.

- A ty się z tego cieszysz? Patrzyłam na niego przez kilka sekund.

- Przecież wiesz, że tak - powiedziałam w końcu.

- Szkoda, że nie nosisz naszyjnika.

- Noszę. - Wyciągnęłam go spod koszulki. Był to ten stary, zmatowiały łańcuszek i starta koniczynka.

Roan przymrużył oczy i przyglądał mi się przez chwilę.

- Chciałbym, żebyś nosiła nowy naszyjnik.

- A ja chcę listy, które do mnie pisałeś. Są moje. Skinął głową i wskazał ręką na chatę.

- Powiedziałem ci, że musisz tylko przyjść po nie osobiście. Ale byłbym wdzięczny, gdybyś poczekała, aż wyjadą robotnicy. To osobista sprawa.

Tym razem ja skinęłam głową, powoli, z godnością.

Roan przedstawił mnie po kolei każdemu z członków ekipy. Wolfgang, kierownik załogi który przyniósł mi naszyjnik, uklonił się nisko. Właściwie nie był kierownikiem - posiadał własną firmę budowlaną, a pozostali robotnicy byli u niego zatrudnieni.

Roan powiedział mi, że Wolfgang zajął się budownictwem, żeby utrzymać żonę i pięcioro dzieci, ale przedtem był disc jockeyem w małej rozgłośni radiowej, która nadawała muzykę poważną. Mozart był jego ulubieńcem. Koledzy z ekipy bezustannie płatali mu figle, wymieniając kasety i płyty z muzyką Mozarta na nagrania Snoop Doggy Doga i Hanka Williamsa.

W tych opisach-było wiele sympatii i ciepła, wielu ludzi i zdarzeń z życia Roana, których z nim nie dzieliłam - choć i on mógł powiedzieć o mnie to samo.

- Myślałam, że kupujesz i sprzedajesz ziemię - powiedziałam. - Do czego ci potrzebny przedsiębiorca budowlany?

- Zaczynałem od kupowania zniszczonych domów w biednej okolicy. Kupiłem jeden, sam go wyremontowałem, sprzedałem z zyskiem i kupiłem dwa następne. Odnawiałem i odsprzedawałem. Kupowałem jeszcze więcej. Teraz Wolfgang robi dla mnie wszystkie remonty. To uboczna działalność.

- Robisz to tylko dla pieniędzy? Nie sądzę.

- Dla pieniędzy i satysfakcji - odparł, wzruszając ramionami.

- Powiedz mi coś więcej o swoich interesach. Powiedz mi, jak się Hialazleś na zachodnim wybrzeżu.

Przesunął krzesło, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko mnie. Wsunęłam dłonie między kolana, ściągnęłam ramiona, zwarta i skupiona. Tworzyłam wąski kanał, którym chciałam wchłonąć wszystkie informacje.

- Wynajduję grunty w obiecujących miejscach - zaczął ostrożnie. - Tam, gdzie może rozwinąć się handel, przemysł. Analizuję dokładnie wszystkie podziały, prospekty, plany perspektywiczne. Czytam lokalne gazety, badam trendy rynkowe. - Przerwał na moment. - Potem kupuję ziemię, kiedy nie jest jeszcze wiele warta, czekam i odsprzedaję, kiedy jej cena jest już znacznie wyższa.

- Kupujesz tanio, sprzedajesz drogo. Bierzesz to, co innym wydaje się bezwartościowe, a potem udowadniasz, że to coś wyjątkowego.

- Po prostu przyglądałam się dokładniej niż inni i patrzę dalej niż oni. Nauczyłam się tego od ciebie. Ogarnął nas delikatny, czuły, dziwnie łagodny nastrój. Jednak ponieważ nie wiedziałam, jak mogę to zrobić inaczej, łatwiej, zapytałam wprost:

- Jesteś żonaty?

- Dobry Boże... Nie.

- Dlaczego mówisz o tym w ten sposób?

- Bo mogłabyś pomyśleć, że nie powiem ci tego, nawet gdybym w rzeczywistości był żonaty.

- A dlaczego nie jesteś? Nigdy nie miałeś żony?

- Nigdy - odparł powoli, spoglądając na mnie badawczo. - Dlaczego ty nie wyszłaś za mąż?

- Ciągle byłam w ruchu. Nigdy nie czułam takiej potrzeby.

- Tak samo jak ja.

- Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których mi nie powiedziałeś.

Sięgnął pod stół, wyciągnął folder i podał mi go. Otworzyłam i rzuciłam okiem na dokumenty. Posiadłości na zachodnim wybrzeżu. Adres firmy o nazwie „Racavan Inc.". Zamknęłam folder i odłożyłam go na bok.

- Wciąż uważasz, że właśnie to mnie najbardziej interesuje? Ile masz pieniędzy?

- Chciałem tylko, żebyś najpierw dowiedziała się o tym, co zdziałałem.

- Raczej, żeby dowiedziała się o tym rodzina.

- W porządku. Chciałem, żeby wiedzieli. - Napełnił dwa kryształowe kieliszki szampanem, który chłodził się w wiaderku ochlapanym zastygłym betonem. - Nie przypomina to być może ekskluzywnej restauracji - powiedział z uśmiechem - ale ten gatunek szampana należy do najlepszych.

Wręczył mi kieliszek, a potem delikatnie się ze mną stuknął. Trzymając swój kieliszek pod słońce i przyglądając się iskierkom porannego słońca tańczącym w szampanie, dodał:

- Nie piję zbyt często, ale kiedy już to robię, zwracam uwagę na jakość, a nie na ilość.

„J^ilnuje się, bo pamięta jak pił Duży Roan”, pomyślałam. Chciałam to powiedzieć, i sądząc po wyrazie jego twarzy, on też czekał na właściwe słowa, lecz w końcu stuknęliśmy się tylko jeszcze raz kieliszkami. Odchrząknęłam.

- Nie piłam od czasu, hmm... od tego wieczoru...

- Kiedy miałaś wypadek. Po prostu powiedz to. Wyrzuć to z siebie.

- To nie był wypadek. Nie wiem, jak to nazwać.

- To by 1 wypadek, jak wszystko, czym los doświadcza niewinnych ludzi. - Roan pochylił się do mnie. - Jedyną częścią mego życia, która wydaje mi się prawdziwym przeznaczeniem, a nie zwykłym przypadkiem, jesteś ty. Schyliłam głowę. Z jakiegoś powodu nie chciałam płakać w jego obecności. Nie chciałam jeszcze tak bardzo się odsłonić.

- Śmiało, pozwól sobie na słabość - szepnął. - Ze mną jesteś bezpieczna. Bezpieczeństwo nie miało z tym nic wspólnego. Rozpaczliwa jedność, napięta łagodność, coś mrocznego, seksualnego i jednocześnie uprzejmie odległego, przestrzeń dwudziestu lat między dzieciństwem i dorosłością, ściśnięta w jedno jak w pętli czasowej. Odsunęłam się, wypłam szampana i wbiłam tępe spojrzenie w bryły kilku przenośnych toalet, ustawionych obok domu. Jedna z nich ukryta była za krzakiem wawrzynu i ozdobiona odręcznym napisem TYLKO DLA PANI.

- Dzięki za ukrycie mojego osobistego wychodka za krzakiem. Podejrzewam, że teraz masz już toalety w środku domu.

- To na wypadek gdybyś przyjechała wcześniej. Nie chciałem, żebyś czuła się skrepowana.

- Miałam nadzieję, że uda mi się tego uniknąć, ze względu na nas oboje.

- Nie uda nam się. Wiedziałem o tym, kiedy tu tylko przyjechałem. Jenny Sullivan przekazała swemu synowi rysy, które nie zachowały okropnego podobieństwa do tępej, grubej twarzy jego ojca. Duży Roan dał mu ciemne włosy, wzrost, potężne ramiona i klatkę piersiową, ale Jenny obdarzyła go wielkimi szarymi oczami i ładnymi ustami.

- Wyglądasz, jakbyś był nietykalny, ale ja wiem, że tak nie jest - powiedziałam. - 1 chcę cię dotknąć, ale nie chcę zranić.

- Tak samo jak ja w stosunku do ciebie.

Siedziałam w milczeniu, bezradnie mrugając powiekami. Oboje chcieliśmy bardzo wydostać się poza te ostrożne niedomówienia, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, jak mamy to zrobić.

- Co znaczy Racavan? - spytałam.

Wyjął ołówek z zakurzonej kieszeni roboczej koszuli, przeciągnął folder na środek stołu i napisał Rathcabhain".

- To po irlandzku - oświadczył uroczyście. - Jestem trochę... sentymentalny. Jak Maloneyowie i Delaneyowie. Uprościłem to trochę i wyszło Racavan.

- „Rath”. Forteca. - Skrzywiłam się, próbując przetłumaczyć drugie słowo.

- Wąwóz. Kotlina. - powiedział. - Forteca Wąwozu.

Robotnicy wyjechali tuż przed południem. Patrzyłam, jak przychodzili do mego z różnymi pytaniami i sugestiami, a on zachowywał się z niewymuszoną pewnością siebie człowieka, który przywykł do tego, by zwracano się doń „proszę pana”, choć żaden z członków ekipy nie rozmawiał z nim aż tak oficjalnie.

- Musisz zjeść lunch - powiedział Roan, kiedy zostaliśmy sami. Zanim zdążyłam powiedzieć, że najpierw chcę przeczytać listy, on poderwał się na równe nogi i zostawił mnie w altance, a sam zniknął we wnętrzu chaty. Kilka minut później wrócił niosąc ze sobą wikhnowy koszyk, z którego wyjął i rozłożył na stole porcelanowe talerzyki, ciężkie srebrne sztuce, białe serwetki i wysokie smukłe szklanki, które napełnił lodem z małego pojemnika próżniowego. Potem z gracją doskonale wyszkolonego kelnera dostawił jeszcze tace, do których nałożył gotowane krewetki, kolorowe sałatki i rogaliki. Na koniec nalał do kieliszków schłodzone białe wino z wysokiej butelki.

Wpatrywałam się ze zdumieniem w tę ucztę.

- Czy ten koszyk jest bez dna? Przechylił lekko głowę.

- Nie, ale bardzo chciałem przyjąć cię po królewsku. Zawsze przynosiłaś mi jedzenie. Teraz ja chcę cię nakarmić.

- W takim razie będę musiała to zjeść - powiedziałam miękko, oszołomiona i bezradna.

„Listy”, szepnął mój zdrowy rozsądek.

Rozmawialiśmy przez całe popołudnie.

Po każdym kolejnym kieliszku wina dzień wydawał mi się coraz spokojniejszy. Błękit nieba sączył się przez powietrze, aż światło nabrało blasku, jakie mają promienie słońca przenikające przez witraże; czysty zapach wody, lasu i świeżo rozkopanej ziemi, zmieszane z winem i emocjami, kazały mi odwrócić się nagle do Roana, chwycić go za rękę i spojrzeć nań oczami pełnymi łez. Wtedy przekonałam się, że nie ma w nim żadnych zwodniczych zamiarów, jak się tego wcześniej obawiałam - była tylko łagodność i pewien rodzaj zakłopotania, napięcia, jakby musiał odmierzać każde słowo i gest.

Powiedziałam mu, że jestem przypisana do tego miejsca tak samo jak on, że mamy wspólne korzenie, choć nie łączą nas więzy krwi. Te słowa jakby znów oddaliły nas trochę od siebie, zniszczyły nastrój, choć jego duże, silne palce nadal gładziły me dłonie. Marszcząc brwi, odpowiedział, że uważam chyba wszystkich ludzi o irlandzkim pochodzeniu za krewnych, na co ja odparłam, że tak jest w istocie i że alkohol nastroił mnie do filozoficznych rozmów i musi mnie wysłuchać.

Znał moją rodzinę, wiedział, jak się zachowujemy. Najmilsze, najcieplejsze słowa, jakie mamy dla siebie, rzadko wypowiedane są na głos - zamiast tego wszyscy moi dalsi i bliżsi krewni przynoszą coś dobrego do zjedzenia, drobne prezenty, fotografie. Sięgnęłam do mojej wypchanej jak zwykle torby, wyjęłam z niej album ze zdjęciami, otworzyłam go i położyłam na stole.

- Popatrz - powiedziałam, uderzając dłonią w album. - Pochody, uroczystości, pojednania, przyjęcia, kluby, stowarzyszenia. Kościół, państwo, społeczność. Ty jesteś częścią tego wszystkiego.

- Widzisz mnie na którymś z tych zdjęć? - spytał ze znużeniem.

- Gdybyś nie uciekł z tego sierocińca, wróciłbyś wkrótce na farmę. Wszystko dobrze by się skończyło, gdybyś tylko bardziej mi zaufał.

- Zaufał ci? Bączku, jesteś jedyną osobą, której naprawdę ufałem. Ale nie mogłaś zmienić mojego losu, bez względu na to, co o tym sądzisz.

„Bączku”. Łzy pociekły mi po twarzy. Otarłam je gniewnym gestem.

- Wkrótce naprawdę poczujesz się tutaj jak w domu - nalegałam. - Przyniosę ci zaszczepia krzewów z naszego ogrodu. Z roślin hodowanych przez moich dziadków, które zasadzone były jeszcze przez ich dziadków, a ci znowu dostali je od swoich krewnych i przyjaciół.

- Zaszczepia? - powtórzył, rozbawiony. - Tu wszędzie i tak pełno jest śladów twojej rodziny.

Jednak ja nadal namawiałam go gorąco, przekonywałam, że uprzejmy kompromis może być cnotą; że trzeba dać spokój waśniom, bo nic nie jest ważniejsze niż zachowanie korzeni. Pamiętamy, jak się tu znaleźliśmy; twoi Sullivanowie musieli czuć się podobnie - samotni i biedni, obcy w dzikich górach, gdzie zimą można było zamarznąć na śmierć, gdzie wdowa i jej dzieci musiały umrzeć z głodu, jeśli nie pracowały z innymi.

Teraz przenosimy się z miejsca na miejsce, podróżujemy: w ciągu kilku godzin pokonujemy ogromne odległości, satelity pozwalają nam poznać, zobaczyć ludzi z innych części świata, możemy latać samolotami; świat stał

się znacznie mniejszy niż wtedy, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, mniejszy i bliższy. Mój ojciec i moi bracia dyskutują w pubie o komputerach i **Internecie**. Mama koresponduje za pomocą poczty elektronicznej z garncarzami z całego kraju i nie tylko. Lamy taty zapomniały już dawno jak daleko na północ wywędrowały ze swej peruwiańskiej ojczyzny; Tato przybija im podkowy hufnalami wykutymi przez jego dziadka kowala w czasie, gdy jego nie było jeszcze na świecie; Josh zaprasza japońskich oficjeli do restauracji w Atlancie, a potem wraca na farmę, siada w ciemności na fotelu w swojej starej sypialni i pali fajkę, którą jeden z naszych prapradziadków kupił od Czirokezów, gdy żołnierze wypierali ostatnich Indian z ich ojczystej ziemi, z tych gór.

A ponieważ Roan narodził się w obecności moich rodziców i przy ich pomocy, ponieważ moja mama trzymała go w ramionach, nim zrobiła to jego własna matka, był nasz. Zawiedliśmy go kiedyś, ale wciąż mamy szansę.

Powiedziałam mu to wszystko.

On mówił mało, ale wyczułam w nim jakąś zmianę, jakbyśmy zaczęli się coraz lepiej rozumieć.

- Tak naprawdę nie wierzysz, że powróciłem, by tutaj zostać. To prawda, jestem tu tylko na jakiś czas. Pozostanę do chwili, gdy uda mi się ciebie przekonać, żebyś wyjechała ze mną.

- Zostaniesz - odparłam stanowczo. - A w tej chwili nie mogę ścierpieć myśli, że miałbyś tutaj zostać sam na noc. Chodź do domu. Zostałeś zaproszony. No chodź. Musisz się przemóc.

- Jesteś dorosłą kobietą. Nie musisz zachowywać pozorów. Zostań tutaj. Dotrzymaj mi towarzystwa.

- Mieszkam pod dachem moich rodziców. To był mój wybór. Nie chcę sprawić im przykrości, a także, żeby źle o tobie myśleli.

- Nie obchodzi mnie, co twoi rodzice o mnie pomyślą - odparował szybko. - Skoro nie chcesz zostać tutaj, to może zgodzisz się na to, byśmy wsiedli do samolotu i polecieeli nad ocean. Znajdziemy jakiś hotel nad morzem.

- Próbujesz uwieść kobietę, która może stać tylko na jednej nodze?

- Jeśli cię uwiodę, nie będziesz musiała na niej stać.

Spiętrzone doznania działały jak narkotyk. Znów czułam - żar jego ust, delikatny smak szampana, ciepło majowego popołudnia, upojenie, które nie zdołało wszystkiego zrozumieć, uporządkować, które wciąż szukało sensu. Wstałam, wzięłam laskę i ruszyłam na spacer wzdłuż brzegu jeziora, bo

czułam potrzebę ruchu. On szedł obok, między mną a Unią wody, jakby bał się, że wpadnę tam i utopię się.

- Mam burzę myśli w głowie - oznajmiłam - a cała reszta mojego ciała nie bardzo może się z nią dogadać.

- W porządku - powiedział, przechodząc na moją lewą stronę i podając mi rękę. - W takim razie oprzyj całą resztę swojego ciała na moim ramieniu, a ja pokażę ci dom.

Przeniosłam spojrzenie z jego twarzy na chatę otoczoną soczystą świeżą zielenią. Odnowa. Zaufanie. Komfort.

Pokusa ucieczki od świata. Strach przed zbytnią zażyłością, intymnością, bo wtedy nie byłoby już miejsca na zdrowy rozsądek.

Powinam już sobie pójść. Trzymać się jeszcze na **odległość**.

W strumieniach wieczornego światła przemykały nad naszymi głowami nietoperze i jaskółki. Nad jeziorem zaczęła się gromadzić mgła. Samotna gołębica wleciała między drzewa, jakby chciała przelecieć nad górami, które prowadziły do Wąwozu.

Wąwóz. Nagle zostaliśmy połączeni z tą samą ziemią, która zakryła Wąwóz. Straszliwe wspomnienia podeszły zbyt blisko; widziałam je w oczach Roana i czułam je w sobie.

- Nie myśl już o tym - powiedziałam nagle do niego i do siebie. - Teraz nie jesteś tu sam.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością. Ja wzięłam go pod ramię i razem zeszliśmy z łagodnego zbocza.

Siedziałam w głębokim, puchatym fotelu, otoczona istic królewskim przepychem, jaki wypełniał teraz odnowiony duży pokój chaty. Stopy opierałam o grubą pluszową otomanę, a z boku grzał mnie ogień, płonący w nowym kominku. Roan poruszał się między mosiężnymi lampami, ciężkimi plecionymi gobelinami i ciemnymi meblami, które nosiły w sobie piętno tej czarującej niezdarności i lekceważącego stosunku do wystroju wnętrza, tak typowych dla wielu mężczyzn. „To jest krzesło, a to jest stół. Są drewniane”.

- Jesteś jeszcze gorszy niż ja. Jako handlarz antyków nie zarobiłbyś nawet na chleb z masłem - powiedziałam z uśmiechem. - To coś w rogu to armoire, a nie pudło na ubrania.

- Dobry Boże. - Zastukał palcem w ciężkie drzwi armoire. - Wiec dlatego było takie drogie.

- Nie rozmawiasz tutaj z Marią Stewart, uwierz mi. Mogę tylko powiedzieć, że masz ładne, ciężkie, staromodne meble, że nie lubisz zbędnych ozdóbek, i że widzę tu głównie sosnę i dąb, może Shaker albo styl wiejski, i że podoba mi się ta stojąca lampa z żelazną winoroślą przy podstawie.

- Nigdy nie pozwalali pisać ci do działu porad domowych w gazecie, co?

- Ta łagodna przymówka sprowadziła nas na zły temat; moją zaprzepaszczoną karierę. Uśmiechnęłam się, ale szybko skupiłam uwagę na starym kocu, rozpostartym pod moim fotelem.

- Turecki - powiedziałam słabo, wskazując nań palcem. - Albo jakiś wiktoriański wzór.

- Nie wiem - przyznał. - Podoba mi się, bo jest biało-zielony. - Przesunął się między ciężkim stolikiem na kawę a głęboką pluszową kanapą, podszedł do drzwi drugiego pokoju i gestem zaprosił mnie do środka. - Powinnaś zobaczyć sypialnię. Nie będę bawił się w fałszywą skromność; chcę, żebyś zobaczyła, jaka jest ładna. Podmósłam się z fotela, podeszłam do drzwi i przyglądałam się przez chwilę wielkiemu łożu na drewnianej ramie, wspartej na grubych, kwadratowych nogach, prawdopodobnie sosnowych. Łóżko przykryte było ciemnozieloną pościelą i wspaniałą grubą narzutą, także zieloną. Roan patrzył na mnie w milczeniu, opierając dłonie na biodrach.

- Lubię zieleń - powtórzył. - Żona Wolfganga wyszukała dla mnie te wszystkie rzeczy w zeszłym miesiącu. Potem musiałem to tylko przewieźć. Pracuje jako dekoratorka wewnątrz w Portland. Opisałem jej chatę i powiedziałem, że lubię prostotę i zieleń. Kiedy pierwszy raz usiadłem na tej narzucie, poczułem się jak wielki królik w koszyku wielkanocnym.

Roześmiałam się, a potem pomyślałam o koszykach wielkanocnych, o siostrach McClendon i Dużym Roanie, o nieślubnym synu wuja Pete'a,

o tym, co stało się tamtego dnia na ulicy Sadowej. Odwróciłam się, usiadłam na swoim miejscu w fotelu i spojrzałam na Roana, który podszedł do mnie i uklęknął przy moich stopach. Przez kilka sekund przyglądaliśmy się sobie w napiętej ciszy. Potem podniósł moje nogi i z powrotem ułożył je na otomanie, zdjął mi buty i skarpetki, podczas gdy ja gapiłam się na niego, oniemiała, jakby zaczarowana. Roan wziął w dłonie stopę mojej zranionej nogi i nacisnął na nią lekko palcami.

- Zrobię ci tylko masaż stóp, nie obawiaj się - powiedział. - Chciałbym ci pomóc, jeśli pozwolisz oczywiście, zauważyłem, że ciągle poruszasz tą nogą, jakby cię bolała.

W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy, ale pokusa była silniejsza. Delikatny nacisk jego palców był taki przyjemny...

- Czasami mięśnie tak reagują. Chirurg powiedział, że powinnam się tego spodziewać. Mówi, że to coś w rodzaju testów przeprowadzanych przez nerwy, które zaczynają normalnie działać. Ale przyznam się, że trochę mnie to boli. Ból i ozdrowienie. Jedno nie mogło się obyć bez drugiego.

Roan zaczął masować skórę w pobliżu mej zranionej kostki. Niebo, rozżarzone blaskiem zachodzącego słońca, zdawało się wpływać do wnętrza domu przez ogromne okno, które niemal w całości zastąpiło jedną ze ścian. Ciepło, które obejmowało moje piersi i brzuch, stawało się pełniejsze, bogatsze, nagłące. Zamknęłam oczy, aby stworzył jakąś barierę, ale to tylko wzmogło nacisk jego palców.

Pozwalałam mu robić ze mną, co chciał, leżałam nieruchomo w fotelu, jakby pozbawiona woli. Roan nie tylko wiedział dobrze, do czego zmierza, ale i sam padł ofiarą tego samego zaklęcia.

- Nie wiem, co mam z tobą zrobić - szepnęłam. - Tak się cieszę, że żyjesz. Znieruchomiał na moment. Pochylił się powoli nad moją stopą, którą trzymał w dłoniach, a potem oparł policzek na różowej linii blizny.

- Bałem się, że cię straciłem, na zawsze. Teraz już nie pozwolę, żeby kiedykolwiek znów stała ci się krzywda. Nie obchodzi mnie, czy ktoś zrdzumie, jak możemy być znów ze sobą tak szybko. Pragnę cię.

Drżałam. Musnęłam dłonią jego włosy, przeciągnęłam palcami po jego twarzy, kiedy on z cichym oddaniem uniósł lekko głowę. To było niesamowicie intymne, wyłącznie nasze, ta gorączka, energia, która nas łączyła. Czulość, rozbijająca delikatność, wezbrane emocje, zmysłowe napięcie, wyzwolone z uwięzi przez niewidzialne sygnały.

Wstał, pochylił się nade mną. Odkrywaliśmy się na nowo w długich, łagodnych pocałunkach.

- Niech wszystko będzie dziś proste, najprostsze - szepnął, sięgając po moje ręce. Już podnosiłam się z fotela, już chciałam objąć go i zapomnieć o reszcie świata, kiedy przypomniałam sobie te wszystkie dni, miesiące, lata, kiedy nie dawał znaku życia, kiedy pozwalał mi zadrećcać się przypuszczeniami i nadaremnie szukać po całym kraju.

Odepchnęłam go od siebie.

- Nie rób mi tego. To nieuczciwe, i ty dobrze o tym wiesz. Roan patrzył na mnie z gorzkim uśmiechem na twarzy.

- Czy świat kiedykolwiek był uczciwy względem nas?

- Kocham cię! - wrzasnęłam. - Wiem, że cię kocham, choć nie wiem, czy ma sens miłość do człowieka, którego nie widziałam przez dwadzieścia lat. Kocham cię; Jeśli spróbujesz mnie wykorzystać, udowodnić, że możesz mnie posiadać, nadal będę cię kochać, ale już nigdy nie pozwolę ci się dotknąć. - Szarpałam go z całych sił za koszulę. - Jeśli nie możesz mi powiedzieć, dlaczego zniknąłeś na dwadzieścia lat, nie będzie między nami nic prócz kłamstwa. Wyprostował się powoli. Świat wokół nas zastygł w ciszy pełnej napięcia i oczekiwania. Potem Roan odwrócił się i wszedł do sypialni. Przesunęłam się na skraj fotela i pochwyciłam swoją laskę, chcąc pójść za nim, ale on wracał już do mnie, niosąc głębokie, metalowe pudło, powyginane i zardzewiałe na rogach. Postawił je przede mną na otomanie, sam uklękł obok i wykręcił kombinację cyfr na małej szyfrowej kłódce, zamykającej pudło.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Wreszcie powiedział cicho:

- Kiedy to przeczytasz, być może nie zechcesz już nigdy mnie dotknąć. Takich pudeł jest znacznie więcej, Tutaj trzymam tylko listy z pierwszych lat.

Otworzył metalowy pojemnik, przez kilka sekund grzebał w jego wnętrzu, by wreszcie wyciągnąć kilka zmiętych kartek papieru z czerwonym znaczkiem.

- Najpierw powinnaś przeczytać ten - wyjaśnił, kładąc Ust na moich kolanach.

Trzęsącymi się rękami podniosłam pożółkłe kartki papieru Ustowego z firmowym znakiem „Racavan Inc.” wydrukowanym u góry. Kartki pokryte były pochyłym, chaotycznym pismem, jakby Roan przelewał na nie emocje, które jeszcze nim targaly.

Omal nie umarł w tym tygodniu, i teraz wiem jut co muszę zrobić, Claire.

Ta zima jest wyjątkowo chłodna i wilgotna, jakby cały ocean zamieniał się nagle w chmurę i wyływał nad miasto. Mam mnóstwo pracy na kilku zniszczonych ranczach, które zeszłej jesieni kupiłem na aukcji rządowej. Codziennie zabieram go po szkole do pracy i daję mu różne narzędzia, żeby nauczył się nimi pracować. Ostatnio uczyłem go, jak posługiwać się piłą i skrzynką uciosową. Jest naprawdę niezły i ciężko pracuje, ale nigdy nie

będzie się zajmował tym co ja. Nie interesują go nieruchomości. Ma bzika na punkcie zwierząt. Zdaje się, że jest urodzonym farmerem albo kimś w tym rodzaju. Urodzonym. Świetnie sobie radzi ze wszystkimi zwierzakami. Mamy psa. Zabiera go ze sobą wszędzie, gdzie idziemy. To byłoby nawet zabawne, gdyby tylko jego zachowanie, gesty nie przypominały mi tak bardzo...

Nieważne. Więc kilka dni temu strasznie rozboleł go brzuch, kiedy ze mną pracował, a wieczorem dostał okropnej gorączki, i zabrałem go na pogotowie. To był wyrostek robaczkowy. Musieli go wyciąć. Kiedy go operowali, chodziłem po korytarzu jak dzikie zwierzę. Tak strasznie się bałem, że umrze. Nie mógłbym drugi raz znieść takiej strasznej samotności.

Kiedy obudził się po operacji, chwycił mnie za rękę i trzymał mocno, tak jak wtedy, kiedy był jeszcze malutkim dzieckiem. Powiedział, że wcale się nie boi, bo ja jestem z nim. Wziąłem go na ręce i kołysałem jak niemowlaka, i obiecałem mu, że zawsze przy nim będę.

Wtedy zrozumiałem, jak bardzo go kocham i jak on kocha mnie. Nie mogę ryzykować, że ktoś mi go odbierze. Dać mu to, co inni nazywają dobrym domem. Nie ze mną. Do diabła, wiem, jak wyglądam. Śmieć z wielkimi marzeniami. Nawet nie mam tylu lat, żeby opiekować się dzieckiem.

Nie mogę postawić go gdzieś na środku i pozwolić, żeby obcy ludzie bili się o niego. Nie mogę ryzykować, że nikt go nie zechce, bo wiem dobrze, jak to jest, i wiem, co mogłoby się z nim stać. Jeśli nawet nigdy nie zrobię wżyciu nic dobrego, to przynajmniej mogę go wychować - być pewnym, że jest szczęśliwy, że jest wykształcony i uczciwy. Mogę być takim tatą, jakiego sam nigdy nie miałem, i może w ten sposób nadrobię jakoś krzywdę, którą wyrządził Ci mój ojciec. I będę się starał zrobić dla mojego dziecka to, co Ty robiłaś dla mnie, Claire. Nigdy go nie zawieść.

Ale teraz już wiem że nie mogę ci powiedzieć, gdzie jestem Chciałem to zrobić. Myślałem o tym i planowałem to od dnia, kiedy uciekłem z sierocińca Ale jeśli się z tobą skontaktuję, twoja rodzina wcześniej czy później mnie znajdzie. Nie mogę na to pozwolić, przynajmniej do czasu, gdy będzie miał dość lat, by sam o sobie decydował. I dlatego dziś wieczorem brak mi Ciebie jeszcze bardziej niż zwykle. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze mnie zechcesz; muszę wierzyć, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni, że kiedyś będziemy razem i że to będzie cudowne - wyjątkowe - kiedy znów się spotkamy. Niektórzy ludzie mają zwariowane marzenia. To jedno jest moje. Moje marzenie. Moja nadzieja. Chcę wychować tego chłopca, bo go kocham, bo on przypomina mi Ciebie, bo jest mostem, który nas łączy.

Myślę, że chciałabyś, żebym to zrobił. Bo gdybyś wiedziała o nim to, co wiem ja, zrozumiałabyś, dlaczego twoja rodzina wolałaby nigdy nie poznać prawdy.

A Ty być może nie chciałabyś już, żebym do Ciebie wrócił.

Nie mogłam oddychać. Podniosłam wzrok na Roana, który przyglądał mi się badawczo.

- Masz syna? - Zawahał się, potem skinął głową. - Mogłeś mi powiedzieć. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

- Adoptowałem go.

- W porządku. Więc znałeś jego matkę. Musiałeś ją kochać. Kiedy to było? Kto to był?

- Nie kochałem jej - odparł bezbarwnym głosem. - Żyłem z nią i tym chłopcem przez kilka lat. Po tym jak uciekłem.

Potem ona umarła. Chłopak miał wtedy tylko siedem lat.

- Dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć? Dlaczego nie mogłeś zaryzykować, że rodzina dowie się, gdzie jesteś, i. że wychowujesz dziecko? Czy naprawdę myślałeś, że cię odrzucę, bo...

- Claire, posłuchaj mnie. - Twarz Roana, ukryta w półmroku, który wypełniał chatę, nabrała brutalnych, twardych rysów. - On ma na imię Matthew.

Zamrugałam powiekami, nie rozumiejąc jeszcze.

- Matthew?

Roan wziął mnie za rękę i uścisnął mocno.

- **Jego** matką była Sally McClendon.

Opadłam na fotel, ogłuszona. Prawda powoli docierała do mojego umysłu.

- Matthew - szepnęłam. Mój kuzyn. Syn wuja Pete'a. Roan wychował Matthew Delaneya.

Rozdział jedenasty

Księżyc wisiał na nocnym niebie jak wielka biała moneta, rzucając srebrny blask na czarne zwierciadło jeziora. Żaby śpiewały swoją pieśń pochwalną na cześć nowej pory roku; świeże, radosne życie, szukające towarzystwa w ciemności. Delikatna, słodka bryza poruszała gałęzie dębów. Zwodniczy spokój.

Siedziałam na skraju nowej werandy. Roan stał na grubym dywanie trawy, wciskając ręce w kieszenie spodni, lekko przygarbiony. Przekuliśmy już fakty na długie łańcuchy słów; nadszedł czas, by się wyciszyć, uspokoić, odnaleźć drogę w labiryncie emocji.

Są pewne rodzaje zazdrości zbyt prymitywne, by walczyć z nimi rozumem. Pamiętałam Sally bardzo dobrze - piersią, cwana nastolatkę z ruder przy ulicy Sadowej. Tylko ona i ja rozumiałyśmy dwadzieścia lat temu, że Roan jest kimś wyjątkowym. Zasługiwała na współczucie, ale ja dręczyłam się piekącymi obrazami, wyobrażałam sobie z bólem, jak leży w uściskach Dużego Roana, a potem Roana. Ty? Z nią?

Jako chłopiec słuchał czasem Sally, kiedy mówiła mu o swoich marzeniach. Kiedy wyjechała, wiedział dobrze, gdzie jej szukać. Odnalazł ją w miasteczku, którego nazwy nie chciał wymieniać. Mieszkała w jakiejś norze i pracowała w nocnym klubie.

Sally wzięła go do siebie, ukrywała, a on został z nią przez następnych kilka lat.

- Cieszę się, że Sally ci pomogła. Dziękuję za to Bogu - powiedziałam. Roan podszedł do werandy i usiadł obok mnie na stopniach.

- Nie jestem święty - mruknął. - Ale nie sypiałem z nią. Pokój

i wyżywienie. To wszystko. Ona wiedziała, że zawsze będę pamiętał o niej i o moim ojcu.

- Myślałam... przecież byliście tylko ludźmi. A ty wiele jej zawdzięczałeś. Roan odwrócił głowę i spojrzał na mnie w milczeniu.

- To nie był tego rodzaju dług. Mój ojciec już wcześniej dobrze jej się odplacił.

- Chciałam tylko powiedzieć...

- Wiem. - Przeciągnął dłonią po twarzy. - Ale ona i tak miała dość obleśnych facetów. Codziennie musiała się do nich przymilać w tym swoim klubie. Potrzebowała przyjaciela i opiekuna do dziecka.

Skinęłam głową, nie okazując, jak wielką poczułam ulgę.

Sally załatwiła mu pracę, jedyną pracę, w jakiej nie zadawano zbędnych pytań. Pracował w warsztacie samochodowym, gdzie rozbierano na części skradzione auta. Był w tym dobry, bardzo dobry, chłopak który świetnie znał się na mechanice i który mógł na tym sporo zarobić.

- Pewnej nocy pojechałam na patrol z glinami z Jacksonville - wtrąciłam. - Nakryli właśnie taką dziuplę. - Dostycie niezdarnie próbowałam okazać zrozumienie. Zawahałam się. Potem dodałam: - Nie obchodzi mnie, czy rozbierałeś kradzione samochody. To nie ma teraz znaczenia.

- Zdażyłem się już nawrócić - odparł z ponurym uśmiechem.

- Co się stało z Sally?

- Została zamordowana. - Jak?

- Narkotyki, alkohol. Którejś nocy wypłała trochę za dużo i poderwała niewłaściwego faceta, a on skatował ją na śmierć w motelu.

- De miałeś wtedy lat? Jak długo z nią mieszkałeś?

- Skończyłem dziewiętnaście, więc byłem z nią i z Matthew jakieś cztery lata. Matthew zawsze mógł na mnie liczyć, zresztą nie pamięta nawet dobrze matki. Do diabła, Claire, ja go karmiłem, zmieniałem mu pieluchy, uczyłem go różnych zabaw, czytałem mu bajki przed snem. Sally go kochała, naprawdę, i była dla niego tak dobra, jak tylko umiała być, ale czasami znikła. Ja się nim zajmowałem. Zawsze.

- Mogłeś poprosić mnie o pomoc, kiedy byłam już na tyle dorosła, żeby sama o sobie decydować. A rodzina...

- Nie mów mi o tym. Nigdy nie uwierzę w tę gadkę o rodzime. Twoja rodzina nie chciała nawet przyznać, że Matthew to ich krewny, nie mówiąc

już o tym, żeby go wychowywali. Wysłaliby go do jakiegoś sierocińca, tak jak mnie. I mnie też nie pozwoliliby się nim zajmować.

- Mylisz się. Kochaliby go. Z otwartymi rękami przyjęliby i jego, i ciebie. Nie popełniliby po raz drugi tego samego błędu, nie skrzywdziliby was.

- Nie mam ochoty na takie bezsensowne spory. Stało się. Właściwie to ja go wykradłem po śmierci Sally. Załatwiłem fałszywe świadectwo urodzenia, zmieniłem nazwisko na Sullivan i obaj wyjechaliśmy na zachód, możliwie najdalej.

- Och, Roan.

- Człowiek, który nie uznawał połowicznych rozwiązań, który znał tylko całkowite oddanie i całkowite odrzucenie, nie chciałby nawet wysłuchiwać żarliwych zapewnień, że nie ma się czego obawiać, nie wierzyłby w żadne obietnice. On nie wykradł Matthew, on go uratował. Byłam pewna, że kiedy rodzina się o tym dowie, obdarzy Roana większą miłością i podziwem, niż mógłby to sobie wyobrazić. I że równie żarliwie pokocha Matthew.

- Musimy im to powiedzieć - oświadczyłam z desperacją.

- Oni go nie chcą. I uwierz mi; on też ich nie chce. Wie wszystko o swojej przeszłości. Nie ma do nikogo żalu, wie tylko, że nie ma tu nic, do czego mógłby wrócić.

- Och, Roan, to nieprawda. Jest tutaj wiele rzeczy i osób, do których może wrócić. Wiele rzeczy się zmieniło. Wuj Pete nie żyje już od kilku lat. Harold zginął podczas wyścigów samochodowych. Arian właściwie został opuszczony przez rodzinę. Mieszka w Luizjanie i nie zamierza tu wrócić. Możesz o nich -całkiem zapomnieć.

- Wiem wszystko o Pete i jego chłopakach - odparł Roan posepnie. - Staralem się wiedzieć o nich jak najwięcej. O całej rodzinie. Mało jest rzeczy, o których jeszcze nie wiem.

- Rozumiem. - Milczenie. - Nie mogę obiecać, że cały klan Maloneyów i Delaneyów rzuci się Matthew w ramiona, ale jestem pewna, że moja najbliższa rodzina...

Roan roześmiał się chrapliwie.

- Mylisz się. Ja mogę spokojnie przyjąć wszystkie bzdury, jakie ludzie o mnie wygadują, ale nie chcę, żeby jego traktowano jak śmiecia. I nie chcę też, żebyś ty została w to wmieszana.

Zeszłam kilka stopni niżej i przyklękawszy na zdrowej nodze, wsunęłam się między kolana Roana. Oparłam łokcie na jego piersi, a dłońmi objęłam jego twarz.

- Poczujesz się lepiej, kiedy porozmawiamy o tym jeszcze parę razy. Możemy to jakoś rozwiązać. Wszystko będzie dobrze.

Dehkatnie nakrył me dłonie swoimi.

- Przez całe dwadzieścia lat każdego dnia coraz bardziej chciałem cię zobaczyć. Nie wiedziałem, jak poradzimy sobie z tym, co musiałem ci powiedzieć, i wciąż tego nie wiem. Ale kocham cię. Nigdy o tym nie zapominaj.

Objęłam go. Przez dwadzieścia lat ukrywał prawdę przed wszystkimi, nawet przede mną, choć mógł mi przecież zaufać, a ja bym mu: wtedy dopomogła. Ale nigdy nie dawano mu wyboru. Dokonał wspaniałego poświęcenia i ofiary, chcąc chronić niewinność dziecka w zamian za niewinność, którą kiedyś oboje utraciliśmy. I utraciliśmy siebie nawzajem, na całe dwadzieścia lat, bo ludzie odebrali mu zaufanie i nadzieję.

- Nigdy nie dbałam o to, co mówią o nas inni ludzie - szepnęłam. - Ważne jest tylko to, że znów wiem, kim jesteś. Witaj. Witaj, chłopie.

Jego oczy rozbłysły. Roześmiał się głośno i pocałował mnie, i oboje upajaliśmy się tą chwilą, z całych sił przywierając do siebie. Gładził moje włosy, moją twarz; lata bladły i niknęły w nicości, słodycz wypełniała nasze usta, straszliwe wspomnienia z dzieciństwa zmieniały się w popiół.

- Chcesz prostoty? - spytałam - więc przestań gadać i zrób coś. Wniósł mnie do wnętrza chaty i położył na ogromnym, głębokim i zielonym łożu. Najpierw powoli się rozbierał, podczas gdy ja patrzyłam nań w milczeniu, potem pomógł mi zdjąć moje ubranie.

- No to jesteśmy w domu - powiedział cicho, mierząc mnie wzrokiem, który przyprawił mnie o gęsią skórkę. Czubkami palców dotknęłam jego podbrzusza.

- To chyba jedyna część twojego ciała, której nie widziałam, gdy byliśmy jeszcze dziećmi.

- Możesz badać je do woli - odparł jeśli tylko pozwolisz mi na to samo. Bez tchu całowałam całe jego ciało, a on całował moje. Leżeliśmy obok

siebie, nadzy, a nasze dłonie odkrywały nasze ciała. Drżeliśmy oboje, schwytam, zamknięci w świetle nowych doznań, w poznawaniu własnej seksualności. Czasami byliśmy niezręczni, namiętni, ślepi w pragnieniu dzielenia się sobą, łączyliśmy się w dotyku, w oddechu, drobnych ruchach i dźwiękach, zatraceni w miejscu tak gorącym i zmysłowym, jak letnia noc, wypełniona światłem błyskawic. Jego oczy pociemniały, wpatrywał się w moją twarz, szukając w niej jakichś wskazówek.

- Mogło tak być wiele lat temu. Pierwszy raz. Gdybyśmy mieli szansę
- powiedział miękko. - Nie wiem, czy byłoby w tym wiele wdzięku, ale na pewno morze miłości.
- Teraz potrzebuję jedynie odrobiny wdzięku i morza miłości - odparłam.
- To jest nasz pierwszy raz. Ta noc jest nasza.

Podłożył poduszkę pod moją chorą nogę. Powiedziałam mu, że mnie nie boli, a on zarzekał się, że będzie ostrożny, choć dobrze o tym wiedziałam. Wygiął moje ciało jak kwiat. Kiedy już znalazł się między moimi udami, delikatnie chwyciłam go jedną dłonią, a drugą objęłam go za szyję. Powoli pchnęłam go naprzód. On włożył ręce pod moje ramiona, ułożył moją głowę w swojej dłoni, pochylił się nade mną.

- Pomóż mi wrócić tam, gdzie moje miejsce - szepnął. Zrobiłam to.

Rozdział dwunasty

Otworzyła się przed nami droga do nadziei i pojednania. Wierzyłam, że uda nam się nakłonić Matthew McClendon Delaneya Sullivana, by wrócił do domu. Wierzyłam, że przywieziemy go tutaj z powrotem

- porzuconego syna wuja Pete'a, mojego dorosłego kuzyna, adoptowanego syna Roana, świadectwo naszej wiary, wzajemnego zaufania i wielkiego serca Roana Sullivana. Wszystkie jego tajemnice będą mogły wreszcie zostać wyjaśnione, a wszyscy, którzy kiedykolwiek w niego wątpili, zostaną zawstydzeni. Tak wielkiej nadziei i pogody ducha nie czułam od miesięcy. Od lat.

Z góry zakładałam, że wszystko się uda.

Moi rodzice wzniesli kiedyś wokół swych dzieci ochronny mur. Mama powtarzała mi zawsze, że kiedyś będę dość duża, by zobaczyć więcej niż ona i tato, by wspiąć się wyżej i wyjść poza nich. Ale mówiła też, że ich ściana zostanie tam na zawsze, że będzie mnie podpirać, bez względu na to jak mali, starzy i bezradni będą wydawać się z mojej perspektywy.

- Dzięki, że zadzwoniłaś wczoraj i powiedziałaś nam, że wrócisz rano

- powiedziała mama cierpko, kiedy o świcie stanęliśmy z Roanem na werandzie. - Doceniamy tę uprzejmość.

- Musieliśmy porozmawiać z Roanem o wielu sprawach - odparłam, by uczynić zadość przyzwoitości. - I czytałam trochę listów, które napisał do mnie przez te wszystkie lata. Jest ich całe mnóstwo.

Ale mama i tata stali nieruchomo jak dwa sfinksy w szlafrokach, nie wiedząc, jak poradzić sobie z faktem, że oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy spędzili razem noc, robiąc rzeczy, których oni woleli sobie nie

wyobrażać. Oczywiście mama się tego spodziewała i teraz zapewne czuła tylko ulgę, że nie wyjechaliśmy po kryjomu. Tato nie wyglądał na szczęśliwego, ale powiedział tylko:

- Musieliście cię okropnie nagadać. Mam nadzieję, że nie rozboleły was od tego języki.

Roan wysunął się o krok i stanął przede mną, a ja położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Poprosiłem Claire, żeby wyjechała ze mną na kilka dni na zachodnie wybrzeże - powiedział cicho.

Mama zbladła jak ściana. Tato zacisnął pięści.

- Seattle? - warknął. - Zabierasz ją do siebie do Seattle?

- Nie. Chcę chronić swoją prywatność, przynajmniej na razie, więc wolałbym raczej nie mówić, gdzie jedziemy. Ani dlaczego.

- Co? - spytała mama, zaskoczona.

- Wszystko w porządku - powiedziałam łagodnie. - Nie martwcie się. Po prostu musimy wyjechać na kilka dni.

- Obiecałaś - przypomniała mi mama.

- Wrócimy - powtórzyłam. - i przywieziemy wam prezent.

południu tego samego dnia byliśmy już w połowie drogi, zostawiwszy za sobą większą część kraju, i cofnęliśmy czas na więcej sposobów, niż pozwalały na to sztuczne strefy czasowe. Rankiem odbyliśmy krótką naradę, zastanawiając się, jaką obrać drogę i czym podróżować: samolot Roana nie wchodził w grę - nie byłam w stanie ani też nie chciałam spędzić kilku dni w ciasnej kabinie cessny, przeskakując z lotniska na lotnisko. Poleciliśmy pierwszą klasą.

Mój głos brzmiał jak rechot żaby, a Roan wydawał z siebie dźwięki, przypominające zgrzyt smyczka o zbyt mocno naciągnięte struny wiolonczeli. Noga bolała mnie jak diabli po wędrówce przez korytarze i halle lotniska w Atlancie. Nie chciałam skorzystać z wózka.

Roanie był w kiepskim, drażliwym nastroju. Ja też. W tej chwili trudno byłoby komukolwiek uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu leżeliśmy w jednym łóżku, tak sobie bliscy, jak tylko może być sobie bliskich dwoje ludzi.

- Co tam masz? - spytał Roan, wskazując na wypchaną torbę z brezentu, którą wepchnęłam pod fotel.

Łyknęłam Krwawej Mary i poruszałam zeszywniałą, prawą nogą.

- Albumy ze zdjęciami i rodzinne opowieści.

Wymieniliśmy spojrzenia; moje stanowcze, choć przeprasające, jego zrezygnowane.

- Obejrzy z uprzejmości - powiedział Roan - ale nie będzie zainteresowany.

Och wy, ludzie małej wiary, pomyślałam.

Resztę popołudnia spędziliśmy w Seattie. A dokładnie w miasteczku na obrzeżach Seatle. Przypominało mi trochę Dunderry z czasów dzieciństwa

- jedna główna ulica bez świateł, mnóstwo pickupów, ładny park **miejski** z ławeczkami. Przez chwilę przyglądaliśmy się dwojgu młodych ludzi, którzy siedzieli na kocu w parku. Mieli na sobie luźne, turystyczne ubrania, a obok nich leżały dwa plecaki. Byli sobą pochłonięci bez reszty. On bawił się końcami jej włosów, ona drapała go pieścotliwie z tyłu głowy. Było to niesamowicie spokojna, prosta, niezapomniana scena miłosna.

- Kiedy znów tu przyjedziemy i będziemy mieli więcej czasu, usiądziemy tam i zrobimy to samo - powiedział Roan.

- Ale moglibyśmy zrobić to lepiej przy Dziesięciu Skokach - odparłam.

- Nie musielibyśmy mieć na sobie żadnych ubrań.

Spojrzał na mnie przymrużonymi oczyma. Podrapałam go z tyłu głowy.

Pomyślałam, że nieprzypadkowo Roan zamieszkał w tym mieście. Wybrał miejsce podobne do domu.

„Racavan Inc.” mieściło się w czteropokojowym biurze, w małym ceglany budynku, stojącym w pobliżu kawiarni.

Roan przedstawił mnie Bei, swojej asystentce i menedżerce małej, trzyosobowej grupy sekretarek. Była opiekuńcza i pracowita, nosiła jednoczęściowy kombinezon z małymi, kolorowymi kwiatuskami wyszytymi na kołnierzu.

Należała do kobiet, które używają zdjęć swoich wnucząt jako wygaszaczy ekranów komputerowych. Które jedną ręką mogą przygotowywać portfolio nowych nieruchomości, a drugą piec ciasto. Uścisnęła mnie serdecznie na powitanie i podała mi filiżankę gorącej kawy.

- Teraz jesteś w krainie kawy - powiedziała. Od dawna już nie nazywała Roana po imieniu, ale używała jego inicjałów. - R.S. ostrzegł mnie przed tobą - dodała radośnie.

Roan powiedział do mnie suchym tonem:

- Wyjaśniłem jej, że to ty prawdopodobnie byłaś tą tajemniczą businesswoman, która dzwoniła tutaj, udając, że szuka jakiegoś pomieszczenia na sklep. Nie ukryjesz swojego akcentu.

Zrobiło mi się gorąco, ale wzruszyłam tylko ramionami.

- Jestem dziennikarką. To dla mnie naturalne, że kiedy dostaję tylko trochę informacji, staram się zdobyć więcej. Chciałam się tylko dowiedzieć czegoś o twojej firmie. Jacy ludzie pracują dla ciebie. Nie widzę w tym nic złego. - Po raz pierwszy od śmierci Terri mówiłam tak, jakbym wciąż uważała się za reporterkę.

- R. S. mówił, że trudno będzie ci się oprzeć - powiedziała Bea.

- Wydaje mi się, że sam radzi sobie z tym doskonale. Roześmiała się.

- No i chwala Bogu. Tutaj tylko tacy ludzie mogą utrzymać się na powierzchni.

- Nie chciałabym zbyt szybko zmieniać tematu, ale czy znasz dobrze... Matthew?

Brwi Bei powędrowały do góry.

- Jasne. Kiedy był młodszy, zostawał zawsze ze mną, gdy R. S. gdzieś wyjeżdżał. Moi wnukowie są jego przyjaciółmi. W szkole grali razem w koszykówkę. Matthew był w kółku dyskusyjnym, w drużynie piłki nożnej, w'chórze, i skończył szkołę z wyróżnieniem. A teraz skończył właśnie uniwersytet, też z wyróżnieniem. I ożenił się z najładniejszą dziewczyną na świecie. Ale ty przecież wiesz to wszystko.

- Oczywiście. Dziękuję.

- On jest żonaty? - Spojrzałam pytająco na Roana, kiedy minutę później wyszliśmy na zewnątrz. - Uznałeś, że nie warto mi o tym mówić?

- Musiałem być na jego ślubie i na zakończeniu roku - odparł Roan. - Dlatego właśnie nie mogłem przyjechać do ciebie wcześniej. Nie lubię o tym mówić, bo ciężko mi było odkładać wyjazd.

- Miałaś rację, zostając na jego ślubie - powiedziałam cicho. - Jesteś jego rodziną. Rozumiem to.

- Wiem, że to rozumiesz. - Roan uśmiechnął się i objął mnie mocniej.

Dom Roana był oddalony tylko o kilka minut jazdy od miasteczka. Ze światem łączyła go wąska boczna droga, wiodąca przez las. Roan powiedział, że kupił go ponad dziesięć lat temu, nim jeszcze zaczął zarabiać naprawdę duże pieniądze, więc nie było to nic nadzwyczajnego. Nie zamierzał jednak wyprowadzać się w najbliższym czasie, bo przecież tu znalazł prawdziwy dom dla siebie i dla Matthew. Był to ładny, piętrowy budynek z drewnianych, cedrowych bah, wzmocniony tu i ówdzie miedzianą ramą i kamiennymi podporami. Do garażu prowadził wyłożony kamieniami podjazd, chroniony przez ogrodzenie z drewna i głązów. Dokoła ciągnęły się łagodne wzgórza, porośnięte wysokimi jodłami, paprocią i winoroślą. Całe to miejsce przesiąknięte było chłodną, mglistą, oceaniczną atmosferą.

- Serdeczny - powiedziałam, patrząc z uznaniem na żelazne donice z kwiatami, które ustawione były na werandzie. - To dobry, serdeczny dom z obręczą do koszykówki nad garażem. Podoba mi się.

- Może spodoba ci się życie tutaj - powiedział Roan, kiedy weszliśmy do hallu, ozdobionego ciężkimi, drewnianymi meblami i gobelinami. Roan poruszał się szybko i pewnie na swoim terytorium. Zauważyłam to już w biurze, a w domu zachowywał się tak samo - wskoczył do wielkiego salonu obok hallu, zapalił ciężkie mosiężne i miedziane lampy, poprawił termostat na ścianie pokrytej topograficzną mapą stanów zachodniego wybrzeża. Powoli pokuśtykałam do salonu, opierając się na lasce babci Dottie.

- Chętnie tutaj zamieszkać, kiedy znów odwiedzimy Seattle. Spojrzeliśmy na siebie ze smutkiem i porzuciliśmy ten temat.

Jeszcze tego dnia dowiedziałam się o kilku cennych szczegółach. Jeździł najnowszym modelem Suburbana z odtwarzaczem kompaktowym, do którego włożona była tylko jedna płyta - reedycja albumu „Creedence Clearwater Revival”. Radio ustawione było na stację podającą tylko wiadomości. Samochód był nieskazitelnie czysty, może prócz okruszków popiołu z cygara tu i tam. Na desce rozdzielczej przyklejona była stara, wyblakła naklejka z kaczorem Donaldem. Wyglądała tak, jakby zdzierano ją już kilkakrotnie z innych miejsc i przyklejano na nowo.

- Matthew dostał ją dawno temu, kiedy zabrałem go do Disneylandu - wyjaśnił Roan, pstrykając od niechcenia w wytarty brzeg naklejki. - Już od dawna zamierzam ją wyrzucić.

Skinęłam głową.

- Jasne - powiedziałam miękko.

Roan przechowywał cały zapas ręcznie skręcanych cygar w zgrabnym, drewnianym pudełku, które stało na szafce obok łóżka w jego sypialni. Sypialnia też była ciepła i serdeczna - duże meble i zdecydowane kolory. Okna wychodziły na skalny ogródek i staw z prostą fontanną. Kiedy otworzył okno, pokój wypełniła uspokajająca melodia chlupoczącej wody.

Wielkie szafy Roana mieściły w sobie dziesiątki eleganckich garniturów, butów i kilka toreb z kijami do golfa, ale także cały rząd nie wypastowanych kowbojek, o startych obcasach i zakręconych czubkach - Roan uwielbiał chyba chodzić w takich właśnie butach.

Półki na książki, sięgające od podłogi do samego sufitu, zapchane były powieściami i różnego rodzaju encyklopediami, poradnikami itp. W małym pokoiku przy sypialni stał komputer, drukarka, faks i kserokopiarka, wszystkie słoczone na wielkim, starym, dębowym biurku.

- Praca. Sen. Praca. Sen - żartowałam dobrotliwie, wskazując raz na biurko, raz na łóżko. Zbliżał się już wieczór. Byłam zmęczona i senna. Roan też wyglądał na znużonego. Uścisnęłam delikatnie jego dłoń. - Jutro czeka nas długi lot. Co wolałbyś teraz robić? Pracować czy spać?

Wziął mnie na ręce.

- Wiesz, co wolałbym teraz robić.

- Sprytny facet - odparłam. Poszliśmy do łóżka.

Leżeliśmy skuleni, wtuleni w siebie, zanurzeni w delikatnych, perłowych cieniach nocy. Roan przytulał się do moich pleców i bioder, lewą rękę trzymał pod moją głową jak poduszkę, drugą obejmował mnie mocno. Ja trzymałam jego dłoń w swojej, przyciskałam ją do piersi. Drżący, ukojeni, nasyceni, nasze palce splecione ze sobą. Czasem przychodziły takie chwile, kiedy potrafiliśmy zapomnieć o wszystkim i odnaleźć w sobie dzieci, bawiąc się delikatnie, ostrożnie, zdumieni cudownością tej nowej gry.

Roan na moment przywarł do mnie mocniej. Oddałam uścisk. Czułam, jak się rozluźnia. Jego wilgotna naga pierś dotykała moich wilgotnych nagich pleców. Westchnął, wyzwolił dłoń z mojego uścisku i pogłaskał mnie. Miałam w ustach jego smak jego zapach na moich rękach.

- Patrzyłam kiedyś, jak śpisz, gdy jeszcze byliśmy dziećmi - szepnęłam. - Niedługo po tym, jak zacząłeś u nas mieszkać, wśliznęłam się któreś nocy do twojego pokoju, kiedy spałeś.

Podniósł się lekko, oparł na łokciu i odgarnął mi włosy z czoła.

- Wiedziałem, że stoisz obok i cholernie się bałem.

- Dlaczego?

- Bo ty byłaś małą dziewczynką, a ja miałem pięć lat więcej. Wszystko, co kobiecie, było kłopotliwe. Prowokujące i niebezpieczne.

- Nie mogłam jeszcze wiedzieć, jak nastoletni chłopak reaguje w takiej sytuacji. Przepraszam.

- Prędzej bym umarł, niż zachował się względem ciebie niewłaściwie. Uścisnęłam jego dłoń.

- Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Byłeś moją miłością. To nie miało nic wspólnego z wiekiem.

- Za nic bym cię nie dotknął, kiedy byliśmy dziećmi. Nie pozwoliłbym sobie nawet myśleć o tobie w podobny sposób.

- Wiem o tym. Tamtej nocy myślałam: „On ściska kołdrę. Śpi na środku łóżka. Kiedy dorośniemy i będziemy spać razem, jak mama i tata, będzie mnie ściskał”. - Roześmiałam się. - Właśnie tak patrzyłaś na twój sen. Ze względów praktycznych.

Roan chwycił mnie za podbródek, wydał z siebie jakiś dziwny, gardłowy dźwięk, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił, wreszcie odsunął się ode mnie. Przekręciłam się na drugi bok i patrzyłam, jak sięga po szlafrok leżący na drugim końcu łóżka.

Zarzucił szlafrok na ramiona i podszedł do otwartego okna. Stał tam z opuszczonymi rękami, obrysowany księżycowym blaskiem. Usiadłam prosto, okrywając się splątanymi prześcieradłami.

- Czym się tak martwisz? - spytałam.

- Nie chcę, żeby Matthew jechał do rodziny - wyrzucił z siebie. - To nie przyniesie nic dobrego. Dla nikogo. Westchnęłam.

Nie mógł się uspokoić. A ja wiedziałam przecież, że wszystko będzie dobrze.

- Ale nie będziesz mi przeszkadzał, kiedy spróbuję go namówić? - spytałam ostrożnie. - Prawda?

- Postaram się siedzieć cicho - odrzekł. - Zresztą i tak jestem pewien, że zmienisz zdanie, kiedy go poznasz.

„Nie, nie zmienię”, pomyślałam, ale głośno poprosiłam tylko, by wrócił do łóżka.

Zawsze staram się, by pierwsze wrażenie, jakie wywieram na innych ludziach, było efektem moich świadomych zabiegów - nigdy zresztą nie próbowałam temu przeczyć. Proste, brązowe pantofle miały świadczyć o praktyczności i inteligencji, długa do połowy łydek spódnica z drelichu zakrywała okaleczoną nogę i nadawała wyraz niedbałej elegancji, zielony sweter z delikatnym wzorkiem tworzył obraz hm... delikatności właśnie, a do tego wszystkiego okropny żółty płaszcz przeciwdeszczowy z logo Seattle, który kupiłam w sklepie na lotnisku nim wsiedliśmy do samolotu Unii „Alaska Air”. Byłam przekonana, że zarówno w Seattle, jak i na Alasce niemal przez okrągły rok pada deszcz albo śnieg.

Roan w wymiętych spodniach khaki, niebieskiej lnianej koszuli, traperkach i brązowej skórzanej kurtce lotniczej, wyglądał jak tajemniczy i posępny poszukiwacz przygód, a ja jak odrzucona modelka z reklamy Izby Handlowej w Seattle.

- Tak się denerwuję, że aż mnie brzuch rozboleł - poskarżyłam się Roanowi.

- Wyglądasz świetnie. Na pewno zrobisz na Matthew ogromne wrażenie.

- I podbiję jego serce?

- Nie, tylko zrobisz wrażenie.

- Jestem jego kuzynką, Roan. Będziemy się doskonale rozumieć.

- Jesteś dla niego tylko wścibską nieznajomą, bączku.

- No cóż, wygląda na to, że potrafię się nieźle wścibiać. - Spojrzałam znacząco na Roana. - W końcu cię odzyskałam, prawda?

W porównaniu ze spokojnymi, błękitnozielonymi wzniesieniami, które otaczały naszą farmę, góry Alaski były ogromne, dzikie i niedostępne. Kanały oceaniczne, które ciągnęły się pod schodzącym do lądowania odrzutowcem, były znacznie głębsze i bardziej surowe niż te, które znałam z Georgii. Doszłam do wniosku, że Alaska to kraina skrajności. Czego mój kuzyn Matthew nauczył się od Roana? Niezależności, siły, skrytości? A może zamykał się w sobie, jak Roan?

Przypuszczałam, że Juneau, będące przecież stołeczną stacją, to normalne, w pełni rozwinięte miasto. Nie ujrzałam jednak drapaczy chmur, ani autostrad, lecz sieć zwykłych, wąskich ulic, niemalże miasteczko wciśnięte między góry i wodę na krawędzi kontynentu. Pomyślałam, że jesteśmy przecież całkiem blisko Rosji i kręgu polarnego.

Roan trzymał mnie za rękę, kiedy nasz odrzutowiec wylądował na lotnisku za kanałem, nad którym leży Juneau. Słońce wyszło zza chmur. Nad pasem startowym unosiły się kłęby pary. Samolot kołował w stronę niewielkiego budynku portu lotniczego, a ja wyteżałam wzrok usiłując dojrzeć twarze ludzi, czekających za metalową barierką. Roan pochylił się nade mną i spojrzał w tym samym kierunku.

- Nie pokazuj mi go - rozkazałam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. - Zobaczymy, czy potrafię go rozpoznać. Jednak odrzutowiec skręcił w jakiś boczny pas i oddał się od grupy oczekujących. Sfrustrowana i zdenerwowana patrzyłam, jak Roan wyciąga nasze bagaże ze schowka pod sufitem.

- Tutaj nie podsuwają rękawa pod schody - oświadczył krótko, mocując się z naszymi torbami. - Pozwól, że ja wyjde pierwszy i pomogę ci zejść. Nie spiesz się. Poczekajmy, aż wysiądą inni pasażerowie. Nie próbuj pchać się na sam przód.

- Czy ja wyglądam na zdenerwowaną? - Roan spojrzał na mnie bez słowa. Nagle zdałam sobie sprawę, że przerabiam palcami obu dłoni i stukam o podłogę zdrową stopą. - Nieważne.

Kiedy po krótkim oczekiwaniu stanęłam wreszcie na szczycie schodów, w chłodnym, wilgotnym powietrzu, roziskrzonym słonecznym blaskiem, mogłam wreszcie spokojnie obserwować ludzi czekających na przylot.

- Ten młody facet zbudowany jak kulturysta - powiedziałam - z rudawymi włosami. Delaneyów to na pewno Matthew.

- Powoli, po jednym schodku - ostrzegął Roan napiętym głosem. Bagażowy zniósł nasze torby. Roan wziął ode mnie laskę i schodził przede

mną, powoli, cierpliwie. Jedną ręką trzymałam się jego ramienia, drugą zaś poręczy przy schodkach. Jednocześnie cały czas patrzyłam przed siebie, szukając. Potknęłam się na ostatnim stopniu, a Roan pochwycił mnie szybko, klnąc pod nosem. Ja jednak nie przejęłam się tym zbyt i nadal wypatrywałam mojego kuzyna.

Wysoki, młody człowiek zdecydowanym krokiem zmierzał w naszą stronę. Ubrany był w ciemnoszare spodnie, kraciastą koszulę, niebieski sweter i traperki. Przy jego boku truchtała niska, pulchna dziewczyna o miłej, ładniutkiej buzi, ubrana niemal dokładnie tak samo jak jej towarzysz. Kosmyki blond włosów spadały jej na twarz jak źdźbła pszenicy. Przy każdym kroku chłopaka, ona musiała zrobić dwa mniejsze. Oboje wyglądali

zdrowo i krzepko. Jak pierwsi mieszkańcy Alaski. Pionierzy. Ostatni z jasnowłosych pionierów mieszkali jeszcze na Alasce.

Przekrzywiłam głowę, żeby nie stracić z oczu mężczyzny z włosami Delaneyów. On jednak zniknął gdzieś w tłumie, przywitawszy się wcześniej z dwójką pasażerów naszego samolotu.

Zmarszczyłam brwi, zdezorientowana. Roan objął mnie w pół i razem zwróciliśmy się w stronę nadchodzącej pary. Moje zdumione spojrzenie spoczęło w końcu na tych dwojgu, którzy także patrzyli na nas. Młody pionier bez wahania podszedł do nas, a jego zielone oczy zwrócone były najpierw na mnie, potem na twarz Roana, potem znów na mnie. Był wyższy ode mnie, ale niższy o jakiś cal od Roana.

Po raz pierwszy w życiu nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Matthew. Dziecko otoczone przez świat przemocy, ofiara absurdalnych aktów wielkanocnej dobroczynności. Odrzucony przez swojego wuja, osierocony przez swoją matkę, odłączony od swoich ciotek McClendon. Jednak dzięki Roanowi - i tylko dzięki niemu - wyrósł na zdrowego, uczciwego i szczęśliwego człowieka.

Wyciągnął do mnie mocną, zręczną dłoń. Drżała. Jego żona, która stała obok, zakryła dłońmi usta i zaczęła cichutko płakać. Roan ścisnął mnie mocniej. Czułam, jak rośnie w nim napięcie. Nie zawiodę cię.

- Nie podani ci ręki - oświadczyłam - bo nie jestem kimś obcym. Jestem twoją kuzynką. Ty jesteś częścią mojej rodziny. - Spojrzałam na młodą kobietę u jego boku. - I twoja żona także jest częścią mojej rodziny, nawet jeśli nie wiem jeszcze, jak się nazywa.

Jestem Mildred - powiedziała, prawie już szlochając. - Ale wszyscy mówią do mnie Tweet.

- Witaj, Tweet. Jestem Claire. Twoja kuzynka. - Potem zwróciłam się do Matthew, który patrzył na mnie ogłupiałym wzrokiem. - Chcę cię uściskać, jeśli to w ogóle możliwe.

Nagle wpadłam mu w ramiona i uścisnęłam serdecznie, a po krótkiej chwili wahania i zdumienia, on oddał uścisk, ostrożnie, jakby bał się, że mnie zgniecie. Potem uścisnęliśmy się z Tweet, aż w końcu wróciłam do Roana, który stał nieruchomo, z kamienną twarzą jak smagany wiatrem posąg na szczycie góry, którą tylko on może ochronić.

Chwyciłam go za rękę. Widzisz, spojrzałam nań triumfalnie.

Pomyślałam, że najgorsze już za nami.

Rozdział trzynasty

Ludzie osiedlają się w jakimś miejscu nie tylko dlatego, że jest im tam wygodnie, ale także dlatego, że to miejsce daje im poczucie komfortu, pozwala czuć się dobrze. Przede wszystkim postanowiłam więc dowiedzieć się, co przyciągnęło Matthew na Alaskę.

Matthew zabrał nas do swojego samochodu - obłoconego jeepa z kawałkiem wielorybiego żebra przywieszonym na wstecznym lusterku - i obwoził chwilę po okolicy. Zająłam miejsce obok Roana na tylnym siedzeniu i z tego niezbyt dogodnego punktu obserwowałam zarówno okolicę, jak i Matthew i jego żonę, starając się zanotować w myślach najważniejsze spostrzeżenia.

Najpierw obejrzelśmy zimne, zatopione w szarości i odizolowane od reszty świata Juneau, później przenieśliśmy się w bardziej dzikie okolice. Letni miesiąc miodowy na Alasce był jednym z prezentów ślubnych, jakie Roan ofiarował Matthew i Tweet. Roan kupił tutaj mały domek letniskowy, kiedy Matthew miał szesnaście lat. Mój kuzyn uwielbiał wędrować po górach, fotografować dzikie zwierzęta i łowić pstrągi. Roanowi po prostu spodobało się to surowe miejsce.

Kiedy lecieliśmy na spotkanie z Matthew, Roan powiedział mi, że cała Alaska, prócz kilku małych ości cywilizacji, nadal jest dziką krainą wciśniętą między ocean, góry i lodowate rzeki. W jakim innym kraju przedmieścia stolicy opanowane są przez niedźwiedzie, łosie, wilki, wieloryby, ogromne lodowce i nieprzebytą dzicz?

- Lubię takie miejsca, gdzie zasady są proste i uczciwe; możesz tam wejść, ale wiesz, że ryzykujesz, że możesz zostać zraniony, pożarty - mówił Roan z jakąś mroczną przyjemnością. - Dzięki temu wciąż jestem czujny.

Roan z chorobliwą wprost nieufnością odnosił się do wszystkiego, co zbyt łatwe i zbyt wygodne. Zaczęłam się nawet martwić, że ukrywa przede mną coś jeszcze, lecz udało mi się przekonać samą siebie, że jest ze mną całkiem szczerzy. Nie mogłam dostrzec w grubych rysach Matthew podobieństwa do twarzy wuja Pete'a, i nie pamiętałam dość dobrze Sally, by odnaleźć w nim jakąkolwiek cechę typową dla sióstr McClendon - prócz szmaragdowych oczu o twardym, stanowczym spojrzeniu, oczu Sally. Być może odnalazłabym ślad podobieństwa do Delaneyów w grubej, mocnej żuchwie, jednak jeśli chodziło o powierzchowność, Matthew był dla mnie zagadką. Próbowałam odsunąć od siebie te natrętne porównania. Sullivan. Matthew Sullivan. Tak właśnie nazywał go Roanie. I on tak siebie nazywał. Tak miałam o nim myśleć.

Dr Matthew Sullivan i dr Mildred „Tweet” Sullivan. Oboje byli weterynarzami, świeżo upieczonymi absolwentami Uniwersytetu Stanu Waszyngton. Inteligentni i chętni do pracy, oczywiście. Młodzi, wrażliwi, zdyscyplinowani, nie bali się ubrudzić sobie rąk. Adoptowany syn Roana i jego synowa. Jednak nie potrafiłam jakoś wyobrazić sobie Roana jako zastępczego ojca Matthew. Dzieliło ich zaledwie jedenaście lat. Matthew był tylko sześć lat młodszy ode mnie. Gdyby kiedykolwiek powiedział do mnie „mamo”, palnęłabym go w ucho.

Roan wprost emanował dumą i zadowoleniem za każdym razem, gdy rozmawiał ze mną o Matthew i Tweet. Powiedział mi w zaufaniu, że są dość konserwatywni i nieśmiali. Chodzili regularnie do kościoła, pracowali .z zapalem i planowali - całkiem poważnie - dochować się sześciorga dzieci.

- Dr Sullivan - powtarzał z naciskiem. - Wychowałem Matthew, a teraz on jest lekarzem. I ożenił się ze wspaniałą, inteligentną dziewczyną, która też jest lekarzem. To jest coś, prawda? Doktorostwo Sullivanowie. Dzięki nim jestem teraz dumny z mojego nazwiska.

Taki zaszczyt dla sponiewieranego nazwiska Sullivan. Chciałam potrząsnąć nim mocno, żeby wreszcie zrozumiał. To on odkupił to nazwisko i nadał mu znaczenie.

Tweet bezustannie odwracała się do mnie, to z uśmiechem, to znów ocierając łzy. Było mi jej żal - najwyraźniej bardzo chciała okazać mi sympatię, ale żadne z nas nie wiedziało jeszcze, jak ma się zachowywać. Pochyliłam się do przodu i poklepałam ją po ramieniu.

- Słyszałam, że oboje jesteście weterynarzami. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła z wdzięcznością.
 - Zupełnie nowymi lekarzami! Te wakacje na Alasce to nasz prezent ślubny od Roana, ale wcale się tu nie objamy. Zastanawiamy się nad naszą przyszłością, szukamy najlepszego rozwiązania. Chcemy razem pracować na stażu. Matthew zajmuje się dużymi zwierzętami. Ja małymi.
 - A co sądzisz o kurczakach i lamach? Spojrzała na mnie ze zdumieniem.
 - Chciałabym specjalizować się w zwierzętach domowych. Ale Matthew chce pracować z hodowlanymi. Dlaczego pytasz?
 - Po prostu byłam ciekawa - odparłam i uśmiechnęłam się.
 - Najpierw chcemy praktykować u jakiegoś doświadczonego lekarza weterynarii. Może w Oregonie. Albo w Waszyngtonie. Teraz pracujemy ochotniczo dla grupy zajmującej się ochroną przyrody. Leczenie dzikich zwierząt.
 - Coś w rodzaju pogotowia - dodał Matthew. - Orły, które połknęły haczyk od wędkę, wilki potrącone przez samochody, takie rzeczy.
- Spojrzałam z wyrzutem na Roana. Lekko, niemal niezauważalnie skinął głową. Widać, że był bardzo dumny.
- Powiem ci, dlaczego przede wszystkim wybraliśmy to miejsce na wakacje - odezwał się znów Matthew. - Roan mówił, że prawdopodobnie będzie musiał powiedzieć twojej rodzinie o mnie, i chciałem być gdzieś, gdzie nie mogliby się ze mną skontaktować, jeśli ja sam bym tego nie zechciał.
- Bolesna cisza. Tweet odwróciła się i położyła dłoń na przedramieniu Matthew. Widziałam, jak wbija palce w jego rękę, i domyśliłam się, że chce go uspokoić.
- Właściwie to był mój plan - powiedział cicho Roan. - I nigdy nie zamierzałem włączać w to ciebie. Dlatego właśnie jesteśmy tu teraz.
 - Rozumiem - przełknęłam ciężko i skinęłam głową. - Masz prawo sam decydować o swoim życiu i chronić swoją prywatność, Matthew. Proszę cię tylko, byś nie zamykał się w niej zupełnie.
 - Zobaczą, co się da zrobić - odparł sztywno.
- Tweet znów się odwróciła i przywołała na twarz uśmiech.
- Claire, słyszeliśmy, że jesteś reporterką prasową.
 - Byłam - odparłam i odwróciłam się do okna.
 - Ja, eee..., my... Roan powiedział nam wszystko o... - Umilkła. Niepewna,

zaczerwieniona rzuciła okiem na moje nogi, a potem szybko odwróciła wzrok - To, co robiłaś, było wspaniałe, byłaś bohaterką. Mam nadzieję, że... wracasz do zdrowia.

- Nie mogę narzekać.

Nie radziłam sobie dobrze z tego rodzaju rozmowami. Roan wziął moją dłoń i ukrył ją w swoich.

- Wiem, co zrobimy - oświadczył. - Chciałbym, żeby Claire poznała trochę lepiej miasto. - Delikamie pogładził moją dłoń. - Obwieź nas po okolicy, Matthew. Nie komplikujmy sobie życia.

- Nie komplikujmy? - powtórzył Matthew ponuro, jakby nic nie mogło być już proste, odkąd go odnalazłam. Ale zawrócił i wjechał w ulicę, która pięła się łagodnie pod górę.

Jeździ jeszcze gorzej niż Evan, pomyślałam, gdy Matthew niemal otarł jeepem o jakąś skrzynkę pocztową. Evan nadal był równie kiepskim kierowcą jak w czasach gdy miał kilkanaście lat, a jego kłopoty z samochodem były tematem wielu anegdot w naszej rodzinie.

Matthew jeździł po wąskich, krętych uliczkach, które wspinały się w górę stromych zboczy, to znów spadały w doliny. Robiłam się coraz bardziej senna. Podróżowaliśmy z Roanem od wielu godzin, napędzam przez adrenalinę, jedzenie w dworcowych restauracjach, morze kawy i nużące drzemki w fotelach samolotów. Otumaniona i na wpół śpiąca, oparłam się o jego ramię, zsunąwszy przedtem buty. Roan podniósł moją chorą nogę, położył ją sobie na kolanie i wsunął rękę pod brzeg mojej długiej spódnicy, masując kostkę i kolano, naciskając je i wygładzając na przemian. Jego ciemne włosy były zmierzwiłone, usta zaciśnięte w wąską Urnę, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

- Przygotowaliśmy dla ciebie pokój gościnny, Większy - oznajmił Matthew, spoglądając na nasze odbicie we wstecznym lusterku. Wjechaliśmy właśnie na stromą uliczkę, wzdłuż której stały małe jednorodzinne domki, otoczone ogródkami kwiatowymi. - To nic nadzwyczajnego, Claire, ale ma oddzielną łazienkę i duże... - nie dokończył zdania, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Duże co? - wymamrotałam. - I coś większego, tak? Tweet odwróciła się do nas i znów zaczerwieniła się jak burak.

- Łóżko, na tyle duże, żebyście się oboje w nim zmieścili - dokończyła. Była naprawdę bardzo czerwona. - A „Większy” to przezwisko Roana.

Spojrzałam na Roana.

- Mój Boże, R. S., ileż ty masz przezwisk?

- Kiedy Matthew zaczął podstawówkę, zrozumiał, że jestem jeszcze za młody, żeby zwracać się do mnie „tato” przy innych dzieciach - wyjaśnił Roan z zakłopotaniem. - A „brat” też nie bardzo pasowało do sytuacji. Więc postanowił mówić do mnie „Większy”. I tak już zostało.

- Większy - powtórzyłam miękko. - Dobrze. Brzmi zabawnie, ale pasuje do ciebie.

- Wcale nie uważałem, że to brzmi zabawnie, kiedy byłem dzieckiem potrzebującym opieki i kogoś, kogo mógłbym szanować - odezwał się nagle ostrym tonem Matthew. Spojrzałam w lusterko wsteczne i zobaczyłam gniew w jego oczach. W porządku, więc pod uprzejmą powierzchownością krył niepokój i nieufność. - Jeśli chodzi o mnie - dodał sztywno - będzie dla mnie zawsze największym człowiekiem na świecie.

Roan pochylił się do przodu, zaciskając zęby.

- Uspokój się - rozkazał cicho. - Claire nie przyjechała tutaj, żeby...

- Uwierz mi, Matthew - przerwałam Roanowi - on jest także największym człowiekiem, jakiego ja znam.

Roan powrócił na miejsce, marszcząc brwi. Matthew wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Przepraszam Claire. Po prostu nie wiem, co mam ci powiedzieć. Przyjechałaś tutaj, bo ci na nas zależy, i doceniam to, ale Większy i ja radziliśmy sobie świetnie przez wszystkie te lata bez niczyjej pomocy.

- Powiedziałaś mi „witaj” - odparłam miękko. - Przyjąłeś mnie w gościnę. To na razie wszystko, czego potrzebuję, i wszystko, czego od ciebie oczekuję.

- Potrzebujesz odpoczynku - powiedział Roan.

Martwił się o mnie, ale pewnie nie chciał też, by doszło do jakiejś dłuższej rozmowy. Wszyscy byliśmy spięci i drażliwi. Wzięłam kilka głębszych oddechów, by uspokoić siebie i otoczenie.

- Kuśtykam jak jednonoga kaczka. Jeszcze kilka tygodni temu byłam w bardzo kiepskim stanie. Prawie przez cały czas leżałam w łóżku. Roan zmienił to wszystko. Może nie jestem jeszcze „superwoman”, ale jeśli dasz mi kolację i znajdziesz jakieś wygodne miejsce dla moich stóp, powiem ci wszystko co chciałbyś wiedzieć o naszej rodzinie, Matthew.

- O twojej rodzinie, nie mojej - odparował Matthew.

- To także twoja rodzina, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie mam wielu pytań. Twoi krewni mnie nie chcieli. Nie chcieli też Roana. On jest jedyną rodziną, jaka ma dla mnie znaczenie. On i Tweet. Więc

dlaczego miałbym się dowiadywać czegoś o Delaneyach? Przykro mi, Claire. Jesteś tu mile widziana, bo Roan cię kocha. Wiem o tobie wszystko. Powiedział mi. Ale co do mnie... Jeśli przyjechałaś tutaj tylko po mnie, to musisz wiedzieć, że na próżno.

- No cóż, zobaczymy - odparłam.

Obserwowałam, jak Matthew pociera dłonią włosy na czubku głowy, a potem ciągnie palcami za płatki uszne, jakby osadzał mocniej głowę na karku. Pomyślałam ze zdumieniem, że tak samo zachowują się moi bracia, kiedy coś ich martwi. I mama. No i ja. To z pewnością cecha odziedziczona po Delaneyach. Byłam pewna, że uda mi się zwabić go do Dunderry, że będzie siedział na naszej werandzie i wreszcie uśmiechnie się uśmiechem Delaneyów.

- Ale wiesz co - powiedziałam nagle, zamieniając się w uosobienie czaru i cierpliwości. - Teraz chciałbym jedynie dowiedzieć się wszystkiego o was dwojgu.

- Och, jak ty to cudownie powiedziałaś! - wykrzyknęła Tweet i po raz kolejny odwróciła się, ściskając dłoń, którą położyłam jej na ramieniu. Najwyraźniej Tweet lubiła płakać. Łzy napływały jej do oczu za każdym razem, gdy na mnie spojrzała. - Tak się cieszę, że tu jesteś! Jesteś kuzynką Matthew! Jego kuzynką! To znaczy tak wiele dla... My naprawdę też chcemy dowiedzieć się czegoś o tobie! Naprawdę! Matthew tego chce, naprawdę tego chce!

- W porządku, Matthew, nie musisz mnie lubić, rozumiem to - mówiłam cierpliwym tonem. - Wiem, że reprezentuję dla ciebie...

- To nie jest tak... że cię nie lubię - przerwał mi Matthew, znów ciągnąc się za uszy. - Nawet się cieszę, że cię poznałem. Zawsze będziesz mile widzianym gościem w moim domu.

- Dziękuję ci, to dla mnie wiele znaczy - odparłam i nagle zdałam sobie sprawę, że i ja ciągnę się za uszy. Spojrzałam na Roana, który przyglądał mi się badawczo spod przymrużonych powiek. Uśmiechnęłam się niewinnie. Roan podniósł rękę i dotknął mojego prawego ucha, potem lewego. Zrozumiał. Pamiętał. Zamierzałam urobić jego chłopca na swoją modłę, i on wiedział, że podjęłam już decyzję.

Juneau przypominało raczej duże, malownicze, staromodne miasteczko niż metropolię. Obok nowoczesnych rządowych biurowców stały stare ciekawe kamienice. Dzielnica położona najbliżej oceanu obejmowała szeroki plac,

upstrzony ławkami i kioskami, na którego obrzeżach znajdowały się betonowe doki, gdzie cumowały dwa ogromne okręty wycieczkowe. Sklepy z przełomu wieków zajmowały partery wszystkich budynków w pobliżu doków. Sprzedawano w nich przede wszystkim pamiątki i artykuły dla wycieczkowiczów.

Prawie cała reszta miasta położona była na wzgórzach. Siedziba gubernatora ulokowana została chyba najwyżej. Otaczały ją eleganckie ogrody, podwórka i wysokie jodły. Przyglądałam się długiej grządce kwiatów w jednym z ogrodów, ich długim, deUkatnym łodygom, z których skapywały małeńkie czerwone i białe pąki. Sama siedziba gubernatora była zadziwiająco skromna; duży, ładny dom, który nie był jednak otoczony żadnymi murami i właściwie nie miał nawet podwórza. Pod bramą wjazdową stał tylko jeden pick-up, i gdybym tylko zechciała, mogłabym bez problemu podejść do okna i zajrzeć do wnętrza budynku.

Stwierdziłam więc, że Matthew i Roan wybrali Alaskę ze względów praktycznych - wszystko było naturalne i proste, nikt nie bawił się tutaj w nadęte parady. Cała wielkość tego miejsca kryła się w nim samym, i to przemawiało także do mnie. Stada orłów krążyły nad wyrzuconymi resztkami z fabryki konserw rybnych. Ludzie nie zwracali nawet na nie uwagi.

Dom znajdował się na stromym zboczu dobre sto stóp ponad uliczką, przy której zaparkowaliśmy samochód. Był to niski, przysadzisty budynek zbity z grubych desek. Prowadziły do niego drewniane schody, podzielone na trzy długie odcinki. Wokół schodów rosły jakieś wysokogórskie krzewy, a weranda przed domem opleciona była pnączami nie znanych mi roślin. Pale, podtrzymujące werandę, były niemal w całości oblepione karmnikami dla ptaków.

Oparłam się na mojej lasce i patrzyłam bezmyślnie na trzy kondygnacje stromych, prawie całkiem pionowych schodów. Czułam na sobie wzrok Matthew, który chciał się teraz przekonać, z jakiej gliny mnie ulepiono.

- Większy i ja możemy cię nieść między sobą - zaproponował.

- Och, mogę spokojnie sama wejść na te schody, ale dziękuję. Oczywiście nikt, nawet ja sama, nie wierzył, że byłabym w stanie pójść po

tych stopniach. Matthew i Tweet spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Roan wziął mnie pod rękę.

- Potrzebujesz chyba jeszcze trochę czasu, zanim zaczniesz wspinać się po górach - burknął.

Podprowadził mnie kilka kroków dalej i zatrzymał się przy drewnianej, kwadratowej platformie, wielkości blatu od sporego stolika. Platforma wzmocniona była metalowymi prętami, które sunęły po drewnianej szynie

ułożonej bezpośrednio na zboczu góry i ciągnącej się aż do samej werandy. Metalowa podstawa połączona była też z linami, za pomocą których wciągano ją na górę.

- Możesz wyjechać na tym - powiedział Roan. - Wciągamy w ten sposób jedzenie i meble...

- Przecież ona może spaść - zawołała Tweet z przestachem.

- Nie, ja będę przy mej.

- Byłoby bezpieczniej, gdybyśmy cię nieśli, Claire - powtórzył Matthew. Spojrzałam w jego oczy. Zielone. Oczy Sally McClendon. Wyzywające.

- Nikt nie będzie mnie nosił - powiedziałam z naciskiem. - Jeśli jesteście w stanie wyciągnąć mój tyłek aż tak wysoko na tej ekologicznej windzie, to zróbcie to.

Tweet znów krzyknęła, tym razem z radości.

- Ja będę kręcić korbą!

Biegiem ruszyła na schody. Jej krótkie, mocne nogi pracowały równomiernie i lekko jak dobrze naoliwione tłoki, a opięty spodniami tyłeczek kołysał się rytmicznie. Zazdrość ścisnęła mi serce - miałam już dość bezruchu i kalectwa.

- Kochanie, nie wypuszczaj jeszcze psów - zawołał za nią Matthew. - Wiesz, co się dzieje, kiedy widzą, jak kręcisz korbą.

- Psy? To muszą być latające psy - zdumiałam się. - A co się dzieje? Matthew przywołał na twarz posępną minę.

- Skaczą po niej i czasami korba wyslizguje jej się z rąk.

- A platforma spada na ziemię, co? . Matthew rozpogodził się nieco.

Tak, ale straciłabyś przytomność, zanim byś coś poczuła. Machnęłam ręką.

- W takim razie nie ma problemu.

- On cię tak nabiera - powiedział Roan.

Przyglądałam się licznym karmnikom dla ptaków, które znajdowały się teraz niemal dokładnie nad moją głową.

Spojrzałam na małą platformę i drewnianą szynę. Miałam porządnego stracha, ale nie zamierzałam przyznać się do tego.

- Dajcie mi kawałek surowego mięsa. Pomacham nim trochę, a wtedy pewnie zlecą się tu tutaj tysiące orłów i wyniosą mnie na tę werandę. To byłoby też patriotyczne. Orły. No dobra, w porządku, skorzystam z tej waszej windy. Ale wypuście mnie na piętrze z artykułami dla domu. Muszę kupić jakiś prezent dla gospodarzy.

Matthew przyglądał mi się badawczo, ściągnąwszy brwi w jedną, płaską linię, która powoli wykrzywiła się ku górze w wyrazie uznania. Potem podszedł **do** Roana, objął **go** jedną ręką i mocno uścisnął. Roan poklepał go łągodnie **po** plecach. Matthew skinął głową w moją stronę.

— Większy powiedział mi, **że** nigdy się nie cofasz i nigdy nie poddajesz. Teraz rozumiem, **co** miał **na** myśli. Przełamaliśmy więc pierwsze lody. Roan pomógł mi usadowić się na platformie. Kiedy Tweet zaczęła kręcić skrzypiącą korbą, winda powoli wzniosła się nad ziemię. Roan i Matthew wspinali się **na** zbocze po obu stronach platformy, odgarniając **na** bok krzewy i łodygi jakichś chwastów. Obaj trzymali przede mną wyciągnięte ręce, **na** wypadek gdybym poleciała **do** przodu. Nie drgnęłam, nie mrugnęłam nawet okiem. Wreszcie zdałam sobie sprawę, jak wiele odziedziczyłam **po** babce Elizabeth, jak ważny jest dla mnie **jej** angielski królewski upór i godność. Za arystokratyczną pozą można było ukryć całe morze strachu i zmartwień.

Tego dnia babka Elizabeth byłaby **ze** mnie dumna, byłaby dumna z Roana i z Matthew, swego utraconego wnuka. **Matthew** i Tweet mieli dwa psy, jednego dużego i jednego małego, kudłate mieszańce, które merdały radośnie ogonami, skakały i przewracały się **na** grzbiet, prosząc, bym drapała **je po** brzuchu. W rogu największego pokoju, który pełnił tutaj rolę salonu, tkwiło kilkanaście poziomych drążków, zamocowanych **na** różnych poziomach, zaś pod nimi stała szeroka taca poplamiona ptasimi odchodami. Sześć wielkich, kolorowych i napuszonych papug siedziało **na** drążkach niczym kury **na** grzędzie, skrzecząc z radosną rubasnością, która przywodziła mi **na** myśl żarty dziadka Maloneya.

Spartańskie warunki, w jakich mój cudem odnaleziony kuzyn i jego małżonka spędzali swój miesiąc miodowy, były jednak tylko pozorem - poczynając **od** pary doskonałych i bardzo drogich kajaków, które wisały pod sufitem **na** tylnej werandzie, a kończąc **na** zaręczynowym pierścieniu z diamentami, jaki Tweet nosiła **na** swej zgrabnej ręczce, oboje przeżywali raczej luksusową wersję pionierskiej przygody, a wszystko zawdzięczali Roanowi.

Nie oznaczało **to** jednak wcale, **że** są tylko parą naiwnych i rozpieszczonych

dzieciaków. Oboje pracowali w czasie studiów jako asystenci lekarzy weterynarii, a Roan uczył Matthew, jak zarabiać pieniądze i jak z nich korzystać, kiedy ten był jeszcze małym chłopcem. Wiedziałam, że przez te pierwsze lata mieszkali obaj w jakichś tanich mieszkaniach i zniszczonych domach, które Roan kupował i odnawiał, by potem sprzedać je z zyskiem

- Matthew nie wychowywał się więc w luksusowych warunkach. Z drugiej jednak strony, nigdy nie brakowało mu jedzenia, nie był zaniedbany i bity, nie musiał zмагаć się z przygłupimi osiłkami z sąsiedztwa, a w domu nie czekał na niego okrutny ojciec alkoholik.

Wiedziałam, że więcej informacji wyciągnę od Tweet niż od niego samego. Reporterzy wyrabiają sobie pewien instynkt, który pozwala im bez trudu odnaleźć osobę gotową do rozmowy, a Tweet była jedną z najbardziej otwartych i prostoUnijnych osób, jakie spotkałam w swym życiu. Kiedy Roan i Matthew toczyli ponure dyskusje na jakieś poważne tematy, przygotowując smażonego pstrąga na werandzie z tyłu domu, ja usiadłam z Tweet w salonie. Dom był całkiem nieduży - salon, kuchnia, dwie sypialnie - lecz bardzo przytulny, z wygodnymi meblami, pełen książek - głównie podręczników weterynarii i powieści, zabawnych lamp ręcznej roboty i różnych drobiazgów, zazwyczaj związanych ze zwierzętami. Rozsiadłam się wygodnie na szarej pluszowej kanapie i przykryłam nogi wełnianym kocem. Nawet w czerwcu wieczory na Alasce były dość chłodne, by docenić uroki ciepłego nakrycia i ognia płonącego w osmalonym kominku przy kanapie. Koc ozdobiony był motywem wielkiego zielonego drzewa, na którym przysiadły kolorowe ptaszki. . - Może posuwam się za daleko - powiedziałam do Tweet, kiedy ta przedstawiła mi już swoich pierzastych ulubieńców - ale mogę się założyć o każdą sumę, że twoje przezwisko...

- Tak - potwierdziła, uśmiechając się szeroko. - Kocham ptaki. Zawsze je kochałam. Każdego z tych, które tu siedzą, wychowałam od pisklęcia. Ten... - pogłaskała jedną z papug, a ta delikatnie wzięła do dzioba jej palec...

- był moim pierwszym ptakiem. Dostałam go od rodziców. Jest już stary. Wyobraziłam sobie, jak Tweet przyjeżdża na farmę i przechadza się po kurnikach, między rzędami kurczaków przeznaczonych na ubój. Miałam nadzieję, że nie zakocha się w jadalnych ptakach.

- Gdzie mieszkają twoi rodzice?

- Nie żyją. - Sięgnęła po kieliszek wina, który stał na ładnym dębowym stoliku przy kanapie, i pociągnęła łyk. Ja napiłam się ze swojego kieliszka

i czekałam cierpliwie. - Zginęli w wypadku na łodzi, kiedy miałam dwanaście lat. Niedaleko Seattle. Zaopiekowali się mnfc przyjaciele moich rodziców - dodała. Uśmiechnęła się w sposób, w jaki uśmiechają się doświadczeni przez los ludzie, którzy chcąc uspokoić innych i dać im do zrozumienia, że mówienie o ich nieszczęściu już ich nie boli. - Więc dorastałam podobnie jak Matthew. Jako adoptowane dziecko.

Pomyślałam, że to może być bardzo interesujące, i spojrzałam na Tweet z zaciekawieniem, co zachęciło ją do dalszych zwierzeń. Podeszła na palcach do okna i wyjrzała ostrożnie przez zamknięte okno, wychodzące na ganek. Uspokojona wróciła i usiadła obok mnie.

- Roan nic o tym nie wie, myśli, że poznaliśmy się studiach, ale tak naprawdę to poznałam Matthew na obozie przystosowawczym. Dla adoptowanych dzieci.

Wciągnęłam głośno powietrze.

- Dlaczego nigdy nie powiedzieliście o tym Roanowi?

- Bo on nie rozumie, jak adoptowane dzieci potrafią fantazjować na temat swoich biologicznych rodziców. Słuchaj, ja znałam swoich rodziców, mam cudowne wspomnienia. Moi opiekunowiejo wspaniali ludzie, ale nigdy nie zajęli miejsca mojej mamy i mojego taty. Dobra, zła czy nijaka, twoja rodzina pozostaje dla Matthew wielką zagadką, a przy tym on prawie w ogóle nie pamięta swojej matki i jej sióstr. Więc można powiedzieć, że ja nie muszę dręczyć pytaniami o swoich rodziców, bo wiem, że mnie kochali, ale Matthew nie może przestać o tym myśleć.

Opadłam na oparcie kanapy, kręcąc głową ze zdumienia.

- Nie mogę uwierzyć, że on nigdy nie przyznał się do tego Roanemu. Są ze sobą tak blisko.

- I tu właśnie leży problem. Matthew wie, jak bardzo skrzywdziłby Roana przyznając się do tego. Nie chce, żeby Roan czuł się zdradzony. Roan zawsze był przeciwny temu, żeby Matthew kontaktował się ze swoimi krewnymi. Kiedy powiedział nam nagle, że jedzie do Georgii, żeby ci pomóc, byliśmy zszokowani. Myśleliśmy, że Roan nie ma żadnych dobrych wspomnień związanych z twoją rodziną. Że zupełnie nie ma tam po co wracać. Właśnie dlatego Matthew nigdy nie chciał o tym mówić. Ze względu na Roana.

Siedziałam przez chwilę w milczeniu, jak ogłuszona.

- Ale Roanowi chodziło przede wszystkim o to, by ochronić Matthew, nim ten będzie pełnoletni. Myślał, że moja rodzina go odnajdzie i zacznie się

wtrącać w jego wychowanie. Nie miał racji; próbowałam go przekonać, że moi krewni byliby dobrzy i dla Matthew, i dla niego, gdyby tylko powiedział nam, gdzie jest. A teraz, oczywiście, Matthew jest już dorosły. Nie ma się czym martwić.

- Tak tyle że Matthew nie chce robić niczego bez zgody Roana - szepnęła Tweet, zerkając w stronę kuchni. - Nie zrobi niczego, co mogłoby sprawić, że Roan poczułby się odrzucony. A Roan nie docenia znaczenia dużej rodziny, tak jak ja i Matthew.

- Nie docenia? To nieprawda.

- Nawet Matthew mówi, że trudno zrozumieć Roana. Na przykład, Roan lubi kobiety, naprawdę je lubi, a one lubią jego, spotykał się z naprawdę pięknymi i ciekawymi kobietami i nie traktował tego jak przygody na jedną noc, to znaczy zawsze był bardzo szarmancki i dyskretny, jeśli chodziło o jego przyjaciółki... ale małżeństwo? Nigdy. Nigdy nie myślał o tym, żeby się ożenić i mieć więcej dzieci. Mam nadzieję, że nie myślisz o mnie źle, bo ci to wszystko opowiadam?

Zbyłam to przypuszczenie niecierpliwym gestem ręki. Tweet nie rozumiała istoty sprawy.

- Mówisz o człowieku - tłumaczyłam z naciskiem - który poświęcił się samotnemu wychowywaniu dziecka, kiedy sam nie był jeszcze dorosły. Rodzina jest dla niego wszystkim.

- Wiem, wiem, to nie ma sensu. Przepraszam. A co do kobiet, to Roan na pewno nie traktuje tak ciebie. Nigdy jeszcze nie było kogoś takiego jak ty. Na przykład, nigdy jeszcze nie przyprowadził kobiety, żeby... spała z nami w jednym domu.

- Potraktuję to jako komplement. Posłuchaj mnie. Jeśli Matthew naprawdę chce poznać rodzinę, Roan poprze jego decyzję. Zrobi to, co najlepsze dla Matthew. Musicie w to uwierzyć.

- Nie zrozum mnie źle. Roan jest bardzo dobry dla Matthew, zawsze taki był. I dla mnie też. Kiedy straciłam stypendium na trzecim roku studiów, płacił moje czesne. Robił wiele takich rzeczy. Nie tylko dając mi pieniądze, ale... akceptując mnie, obdarzając szacunkiem. - Stuknęła brzegiem swojego kieliszka o mój. - Bakaratowy kryształ. Powinnaś zobaczyć cały zestaw. To był jeden z wielu prezentów, jakie dostaliśmy od Roana na nasze zaręczyny. A na następny dzień po tym, jak wybraliśmy porcelanę i srebra, sklep dostarczył do naszego mieszkania wszystko, co zapisaliśmy na liście prezentów ślubnych. Szkoda, że nie mogłaś być na naszym weselu tej wiosny.

„Tej wiosny”. Roan odwiedził mnie w szpitalu, ale nie mógł zostać. Musiał być na zakończeniu roku Matthew i Tweet, a potem na ich weselu. Próbował zrobić wszystko dla mnie i dla nich. Nie było to łatwe.

- Wyglądasz na zmartwioną - zasmuciła się Tweet. - Zdenerwowałam cię czymś. Przepraszam. Lepiej sobie radzę ze zwierzętami niż z ludźmi.

- Nie. Mów dalej. Opowiedz mi o weselu.

- Roan pokrył wszystkie koszty. Trzystu gości, orkiestra. Mnóstwo ważnych ludzi, biznesmenów, znajomych Roana. Ja pochodzę z innego środowiska i jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. To było zdumiewające. Magiczne. - Ukradkiem otarła oczy. Jej lekko rozczochrane złote włosy tańczyły w blasku ognia. Jedna z papug opuściła swój drążek przeleciała przez pokój i usiadła na ramieniu Tweet, dziobiąc delikatnie jej włosy.

- Matthew poprosił Roana, żeby był jego drużbą. Roan bardzo się z tego cieszył, wiem to na pewno. Ale podczas ceremonii wyglądał na strasznie nieszczęśliwego, jakby chciał stamtąd uciec. Wszyscy rozmawiali potem na ten temat. On nienawidzi pokazywać się przed tłumem, być na wystawie. On tak to właśnie nazywa: „być na wystawie”. Właściwie to zachowywał się dziwnie przez całą wiosnę, ale teraz wiemy już dlaczego - martwił się o ciebie, ale powiedział nam o wszystkim dopiero po ślubie.

Tweet nie rozumiała motywów postępowania Roana - ani ona, ani Matthew nie mogli tego zrozumieć, bo nie wiedzieli, jak wyglądało dzieciństwo Roana. Zbyt często w swym życiu był „na wystawie”, i zawsze towarzyszyło temu upokorzenie. Nauczył się chować z tyłu. Jeśli ludzie nie wiedzieli o nim zbyt wiele, nie mogli go zranić.

- Nie chciał zepsuć wam tych najwspanialszych chwil - powiedziałam.

- Rozumiesz to, prawda? Zrobił to, co mógł dla Matthew i dla ciebie, i tylko to się liczy. Zaufaj mi. On wie, co znaczy lojalność w rodzime.

- Ja chciałam tylko powiedzieć, że on nie czuje się za dobrze w takich sytuacjach, nie przepada za tymi wszystkimi ceremoniami, tradycjami, pompą, nie interesuje go to. Chciałam tylko powiedzieć, że sam nie jest dość sentymentalny, by zrozumieć, że Matthew jest bardzo sentymentalny, zwłaszcza jeśli chodzi o krewnych, których nigdy nie poznał.

Ugryzłam się w język. Roan i ja straciliśmy siebie na dwadzieścia lat, bo on poświęcił się tworzeniu rodziny dla Matthew, by udowodnić, że on sam zasługuje na rodzinę. Za nic w świecie nie pozwoliłabym teraz, cokolwiek lub ktokolwiek odebrał nam jeszcze więcej czasu. Chciałam powiedzieć to

Tweet, jednak w ostatniej chwili pomyślałam, że może to zabrzmieć jak wyrzut.

- Wyglądasz na jeszcze bardziej zmartwioną - westchnęła Tweet. - Przepraszam. Bez przerwy kłapię dziobem i kłapię. Jak papuga.

- Przynajmniej nie robisz pod siebie, kiedy mówisz. - Chyba trochę przesadziłam. Na szczęście Tweet uśmiechnęła się tylko. Odetchnęłam z ulgą i łyknęłam trochę wina. - Próbuję tylko poukładać sobie to wszystko, dowiedzieć się o was jak najwięcej. Musisz zdać sobie sprawę, że Roan powiedział mi o Matthew zaledwie dwa dni temu. I jestem jedyną osobą w rodzinie, która o nim wie.

Tweet pochyliła się do mnie.

- Będę z tobą szczerą. - Jej okrągła, słodka twarzyczka stężała nagle w stanowczym, dzikim wyrazie; głos drżał z emocji. - Nie chcę, żeby Matthew jechał do twojej rodziny, boję się, że go odrzucą.

- Do rodziny Matthew - poprawiłam. - I na pewno nikt go nie odrzuci.

- Hmm. Matthew rozumie punkt widzenia Roana. W końcu jego matka nie była świętoszką i umarła, kiedy on był mały, a jego... twój wuj...

- Też nie żyje. Zginął podczas polowania na indyki. Musiałabyś znać mojego wuja Pete'a, by zrozumieć, jak szczęśliwy był to dzień dla reszty świata. A co do przyrodnych braci Matthew, Harolda i Arlana, no cóż, Harold zginął w wypadku na torze wyścigów samochodowych, a Arian wyjechał, żeby poznać świat. Wiem, że nie brzmi to zbyt zachęcająco, ale...

- Czy większość twojej rodziny jest naprawdę tak serdeczna jak ty? Czy rzeczywiście się ucieszą, kiedy poznają Matthew?

- Na pewno. A ty wyświadczysz mu przysługę, jeśli zachęcisz go do tej podróży.

- On nie pojedzie, jeśli Roan się na to nie zgodzi.

- Zgodzi się. Ty i Matthew - mówiłam powoli - nie znacie Roana tak jak ja od dzieciństwa. On was nie zawiedzie.

- Wiemy, że był biedny, oczywiście. Matthew mi opowiadał, ale chyba nie lubi o tym mówić, bo robi to bardzo rzadko.

- Wiecie, jak moja rodzina traktowała Roana? - spytałam ostrożnie.

- Roan mówił mi, że twoi krewni byli dla niego bardzo dobrzy, tylko z niektórymi miał jakieś kłopoty. I że twoi rodzice postanowili w końcu, że lepiej będzie, jeśli odeślą go do sierocińca. Wydaje mi się to trochę, jak by to powiedzieć... bezduszne, że twoja rodzina potraktowała go w ten sposób.

- Moi rodzice nigdy sobie tego nie przebaczyli - powiedziałam, ważąc każde słowo. - Okoliczności były wtedy trochę inne. Trudno to wytłumaczyć. Musiałabyś tam być. Musiałabyś znać Roana i rodzinę z tamtych czasów. Wszyscy się zmieniliśmy. On nas zmienił.

Tweet zagryzła dolną wargę.

- Roan miał chyba trudny charakter.

- Roan nie zrobił nic, czym zasłużyłby sobie na wygnanie, jeśli do tego zmierzasz.

- Nie, nie. Miałam na myśli... Rozumiem chyba, dlaczego oni mogli się go bać.

- Co takiego?

- Zaraz to wyjaśnię. Roan zawsze był cudowny dla mnie i dla Matthew. Chodzi o to... Bałam się go, kiedy Matthew zaprowadził mnie do swego domu, żebym mogła go poznać... Mój Boże, mieliśmy wtedy tylko siedemnaście lat. Pierwszy rok studiów. Bardzo chciał, żebym poznała jego... przybranego ojca, który był jeszcze za młody, żeby naprawdę być jego ojcem, i Medy przedstawił mnie Roanowi, widziałam tylko wielkiego, ciemnowłosego, poważnego, niemal złowieszczonego biznesmena, który wydawał mi się tak stary psychicznie. Niedostępny. Ciągle bałam się, że powie, że nie jestem wystarczająco dobra dla Matthew, albo że jesteśmy jeszcze za młodzi, żeby tak mocno się ze sobą wiązać. Bałam się, że spyta mnie, czy poluję na pieniądze Matthew. Ale on nigdy nie zrobił mi żadnej przykrości. Był dla mnie wspierały.

- Więc rozumiesz sama, że nie jest kimś, kogo należałoby się bać. To, co wydarzyło się pomiędzy moją rodziną a nim, nie było jego winą. I nikt nie chciał też stracić z oczu Matthew, uwierz mi. To była okropna sytuacja. Wszystko wyglądało wtedy inaczej. Teraz staram się, jak tylko mogę, zebrać wszystkich z powrotem. Sama czuję potrzebę odkupienia. Roan liczył na mnie, kiedy byliśmy dziećmi, i dlatego został skrzywdzony. A w tym roku ktoś zginaj, bo postanowił mi zaufać...

Tweet zmarszczyła brwi.

- Mówisz zupełnie jak Roan. Oboje macie jakieś obsesyjne poczucie winy i odpowiedzialności. Czegoś mi tutaj brakuje. Tylko... czego? - zachichotała. - Czegoś, co dodawali wam do picia, kiedy byliście dziećmi?

Wpatrywałam się w nią przez moment, osłupiała. Wreszcie powiedziałam:

- Ty i Matthew, znając dobrze Roana, rozumiecie, że trudno jest mu

zaufać innym ludziom. Wiecie też sporo o mnie i wiecie, co stało się z ojcem Roana.

- Och tak - spowaźniała i pokiwała głową. - Byłaś jedyną przyjaciółką Roana. On był biedny, a ty próbowałaś mu pomóc, jego matka umarła, kiedy był jeszcze całkiem mały. Widzisz więc, jak wiele wspólnego mają on i Matthew? No i wiem oczywiście, że ojciec Roana był dość nieciekawym człowiekiem i umarł młodo, a wtedy Roan został odesłany do sierocińca.

„Był dość nieciekawym człowiekiem? I umarł" młodo? To był bardzo łagodny opis życia Dużego Roana Sullivana i jego śmierci. Przyglądałam się Tweet z coraz większym przerażeniem.

- Ojciec Roana umarł, kiedy Roan miał piętnaście lat - ciągnęłam niepewnie, próbując ją wybadać, choć serce podchodziło mi do gardła.

- Umarł... nagle. Ale wy o tym wiecie.

- Oczywiście, że Matthew i ja znamy wszystkie ważne szczegóły z życia Roana. Myślisz, że Roan nie powiedziałby Matthew o tego rodzaju rzeczach?

- Przez chwilę przyglądała mi się z niecierpliwością, potem zaczęła wyliczać na palcach. - Ojciec Roana był inwalidą wojennym, walczył w Korei. Pił za dużo. Często wpadał w okropny nastrój i wtedy nie można było się do niego zbliżyć. - Przerwała, by złapać oddech. - A potem umarł na atak serca.

O mój Boże. Matthew i Tweet nie mieli pojęcia, jakim potworem był Duży Roan, ani jak wiele Roan wycierpiał z jego powodu. Nie wiedzieli nawet, że Roan go zabił. Zabił, ratując mnie.

- Och proszę, rozchmurz się trochę! - wykrzyknęła nagle Tweet. - Wszystko będzie dobrze! - Jeszcze raz stuknęła w mój kieliszek. - Popatrz tylko, jak wiele już dowiedzieliśmy się o tobie, a ty o nas! Mam wrażenie, że znaliśmy cię od wieków! Tak się cieszę, że jesteś tutaj! - Objęła mnie nagle i uściśnęła mocno.

Siedziałam nieruchomo, zmartwiała. Wreszcie zrozumiałam. Jeśli przywieziemy Matthew do Dunderry, Roan nie będzie już mógł dłużej ukrywać, jak daleko sam zaszedł, ani co zrobił, by przetrwać.

Oiedzieliśmy do późna w nocy, rozmawiając z Matthew i Tweet. Konsekwentnie realizowałam swój plan, zadając Matthew mnóstwo nieszkodliwych pytań związanych z nim i Tweet, aż mój kuzyn zupełnie się rozchmurzył i zapalał do mnie wielką sympatią. Roan obserwował nas

z ostrożnym półuśmieszkiem, świadom, że jestem zawodowcem i ekspertem w urabianiu ludzi do swoich celów. I udało mi się. Kiedy mówiliśmy sobie dobranoc, Matthew uściśnął mnie serdecznie. Tweet też. Polubiłam ich oboje. Było im ze sobą dobrze, uwielbiali się nawzajem, wymieniali nieznaczące delikatne pieszczoty i rozumieli się bez słów. Mama rozplęnęłaby się w romantycznym zachwycie, gdyby zobaczyła taką parę. Wszyscy by się wzruszyli. Byłam chora ze zmartwienia.

Roan wziął mnie pod ramię i przeszliśmy do pokoju gościnnego. Zamknął drzwi. Miły uśmiech natychmiast opuścił moją twarz i osunęłam się na łóżko. Roan usiadł na krześle przy oknie, nie zapaliwszy żadnej lampy. Sypialnia była mała i zagracona - w jednym rogu stały jakieś pudła, w drugim leżała sterta podręczników weterynaryjnych, a w trzecim sprzęt turystyczny. Ale samo łóżko było duże, przykryte białą narzutą. Pragnęłam tylko zasnąć przy jego boku i nic nie mówić.

Roan siedział nieruchomo, wysunawszy jedną nogę do przodu, drugą trzymając pod krzesłem. W swoich ciemnych spodniach, szarym swetrze i traperkach wyglądał jak część tego dzikiego świata, sprężysty i wytrzymały, jak świerk, który kołysał się za oknem. Oparł brodę na zaciśniętych pięściach.

- Gdy byłaś małą dziewczynką, zawsze wiedziałem, kiedy czegoś chciałaś ode mnie - powiedział cicho. - Twoje policzki różowiły się wtedy lekko i patrzyłaś prosto na mnie, w ogóle nie mrugając. Te wielkie, nieruchome błękitne oczy. Byłem przekonany, że próbujesz mnie zahipnotyzować. Czuję się zahipnotyzowany.

- To działa. Nauczyła mnie tego prababcia.

- Czego chcesz ode mnie dzisiaj, bączku? Wpatrywałaś się we mnie przez cały wieczór.

- Musisz mi coś wytłumaczyć, chłopie.

Zmarszczył brwi, ale wstał z krzesła i usiadł na łóżku, obok mnie. Wziął mnie za rękę i delikatnie ją gładził. Potem przyłożył dłoń do mojego gardła i przesuwając ją powoli w dół, aż czubki jego palców zaczęły łagodnie masować moje piersi.

- To mnie nie powstrzyma. Nie teraz.

- To niedobrze.

- Co powiedziałaś Matthew o swojej przeszłości? O tym jak dorastałaś w Dunderry?

Położył się na plecach i splótł dłonie pod głową.

- Wie, że nie miałem nic. Że pracowałem ciężko dla twojej rodziny. Wie, że wyjechałem, kiedy umarł mój ojciec.

- Nigdy nie powiedziałaś mu prawdy o tym, jak umarł twój ojciec. I jaką ja odegrałam w tym rolę. Roan, to jest nieuniknione. Musisz mu to powiedzieć.

Znów usiadł prosto. Cisza. Napięcie rosło. Na chwilę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, wyglądał nagle na bardzo zmęczonego.

- Próbowałem powiedzieć mu o tym, kiedy był mały. Próbowałem, kiedy podrosł. Próbowałem setki razy, ale zawsze coś mnie powstrzymywało. Doszedłem do wniosku, że był jeszcze za młody. Potem miał kłopoty z dziećmi, które dokuczały mu, że nie ma prawdziwych rodziców. Był taki czas, kiedy powinienem był mu powiedzieć - gdy nie był już zbyt młody, by to źle zrozumieć, i nie był jeszcze dość stary, by mieć do mnie żal, że mam przed nim jakieś tajemnice. Przegapiłem tę szansę. Szczerze mówiąc, nie chciałem mu tego powiedzieć. Bałem się, że wszystko zepsuję, a tego nie mógłbym znieść.

- Nie zmieniłbyś przecież jego uczuć-dla ciebie. Znam go dopiero od kilku godzin, ale od razu zauważyłam, jak ogromną miłością i szacunkiem darzy cię on i Tweet. Wyjaw mu prawdę teraz i powiedz mu, dlaczego czekałeś tak długo - on zrozumie.

- Będzie się nade mną litował - powiedział Roan głucho.

- Nie, będzie ci współczuł. To różnica, ogromna.

- Może nie myśli o mnie jako o swoim ojcu, ale na pewno mnie szanuje. Staralem się być dla mego dobry. Nie chcę, żeby kiedykolwiek się nade mną litował. Albo żeby wstydził się swojego nazwiska. Z żadnej przyczyny.

- Wstyd. Tego właśnie najbardziej nienawidzisz. Daj spokój, Roan, on cię nie odrzuci.

Roan odwrócił do mnie zagniewaną twarz.

- Po tych wszystkich latach, kiedy prawie nic nie mówiłem mu o sobie, mam nagle teraz oświadczyć: Och, przy okazji, zapomniałem wspomnieć, że odstrzeliłem mojemu ojcu pół głowy, kiedy zobaczyłem, jak rzuca Claire na podłogę i ściąga z niej ubranie.

- Jeśli wolisz to zrobić w ten sposób, lepsze to niż nic.

- I powiedzieć mu, jak twoja rodzina, jego rodzina, rodzina którą ma według ciebie pokochać, wyrzuciła mnie z domu, bo nie mogła już znieść widoku Sullivana?

- Tak. - Drżałam na całym ciele. - Opowiedz mi dokładnie, jak to było, i wtedy sobie z tym poradzimy.
- Ty możesz z góry zakładać, że rodzina cię nie odrzuci. Ja nie mogę pozwolić sobie na taki luksus. Nie mogę.
- Jesteś mi winien prawdę. Cokolwiek innego jest tylko wymówką na własny użytek.
- Myślisz, że jestem egoistą? - odparował Roan, zaciskając zęby. - Myślisz, że martwię się tylko o swoją cholerną dumę?
- Chcesz, żebyśmy wszyscy udowodnili, jak bardzo cię kochamy, ale nie możesz nawet zrozumieć, dlaczego cię kochamy.
- Nie chcę, żeby widział Wąwóz. Nie chcę, żeby ludzie opowiadali mi o mnie - o tym śmieciu, Roaniem Sullivanie, który miał zepsute zęby i śmierdział jak ściervo. On wie, że dorastałem w biedzie, ale jego pojęcie biedy odpowiada temu, co sam przeżył, kiedy był jeszcze mały, a ja nie mogłem dać mu wszystkiego. Myśli, że mój ojciec kupował mi na Boże Narodzenie używane rowery zamiast całkiem nowych. Że czasem kupowaliśmy na kredyt i że nosiłem dzinsy z łatami na kolanach. On nie ma pojęcia, czym dla mnie była bieda. On nie wie, kim ja byłem.
- Byłeś kimś wyjątkowym. Silnym, uczciwym i wrażliwym. Wszystkie okropieństwa, o jakich się dowie, pozwolą mi tylko zrozumieć, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, który dokonał w życiu tak wiele, który wydzwignął się tak nieprawdopodobnie wysoko.
- Nie mogę nic poradzić na to, że on nie chce tam wracać. Powtarzam ci, że to jego decyzja.
- Roan. To nieprawda. - Wzięłam jego twarz w dłonie i powtórzyłam wszystko, co Tweet powiedziała mi o motywach zachowania Matthew. - On chce tam pojechać - zakończyłam. - Zawsze chciał przekonać się, jacy są jego krewni; źli, dobrzy, nijacy. Ale jest lojalny względem ciebie, a ty musisz dać mu do zrozumienia, że się zgadzasz. Twarz Roana wyrażała kolejno smutek, szok wreszcie rezygnację.
- Och, Boże - jęknął, opierając swoje czoło o moje. - Nigdy nawet o tym nie wspomniał. Nie miałem pojęcia.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ty nie jesteś jedynym człowiekiem na tym świecie, który potrafi zachować kamienną twarz i skrywać przez lata swoje uczucia. Nauczył się tego od ciebie. - Objęłam go i przez chwilę

Dwa większe tomy w twardych okładkach nosiły na grzbietach znaczki małych, lokalnych wydawnictw.

- Książki o Delaneyach, Maloneyach i historia Dunderry - wyjaśniłam z udawaną nonszalancją. - Nic nadzwyczajnego. Twoja ciotka Jane i moja matka, twoja ciotka Marybeth, napisały jedną z historii Delaneyów. Najnowsza historia Maloneyów wyszła spod pióra mojego wuja Winstona kilka lat temu. Ja ją wydałam. Wuj Winston pisze jakby był prezesem Rady Hodowców Drobiu z Północnej Georgii. Innymi słowy, w tym tekście aż roiłoby się od opowieści o kurczakach, gdybym w porę nie zainterweniowała.

Tweet wciąż wpatrywała się w książki.

- Ilu jest Maloneyów i Delaneyów - spytała - w porównaniu do kurczaków?

- Dość, żeby gdać o sobie nawzajem, za każdym razem gdy wylęga się nowe pokolenie - odpowiedział jej Roan. Wyszedł na wyższy pokład i stał w drzwiach korytarza jadalni, patrząc, jak srebrne wody portu oddalają się od naszego promu.

Matthew skrzywił się i zarumienił lekko.

- Przepraszam. Nie musiał tego mówić.

- Wyjdź na górę i ostrzeż go, że ja pójdę za nim, jeśli tutaj nie wróci i będzie ze mną współpracował. Powiedz mu, że chcę, by on też oglądał z nami rodzinne albumy Sullivanów. Zaczniemy od nich, kiedy już coś zjemy.

Matthew skrzywił się jeszcze raz i wyszedł po Roana. Uśmiechnęłam się do Tweet, która nie mogła oderwać zdumionego wzroku od rozłożonych na stole tomów.

- Du krewnych ma Matthew?

. Policzyłam Delaneyów na palcach.

- Dwudziestu kuzynów pierwszego stopnia. Cztery ciotki - włączając moją mamę - i trzech wujków. Około czterdziestu dalszych kuzynów. I nie liczę stryjecznych dziadków, babć i innych pociotków.

- Dobry Boże...

- Co najmniej połowa z nich mieszka w Dunderry albo nie dalej niż godzinę jazdy samochodem od naszej farmy.

- Dobry Boże - uśmiechnęła się.

Matthew i Roan powrócili do jadami i usiedli na swoich miejscach. Odsunęłam książki na bok, kiedy brodaty kelner w niebieskich dzinsach i białej marynarce zaczął ustawiać naczynia na stole. Matthew był wyraźnie czymś poruszony. Po chwili odwrócił się na swym krześle i położył dłoń na stercie albumów ze zdjęciami mojej rodziny.

- Claire, wydaje mi się, że pokazywanie wszystkich tych zdjęć nie ma sensu. - Wyprostowanym kciukiem wskazał na siebie. - Na pewno nie znajduję tam ani siebie, ani Większego. - Spojrzał na Roana. - Co o tym myślisz, Większy? Roan był bezlitosny.

- Myślę, że masz rację. To nie ma sensu.

- Claire, nie obchodzi mnie, co mówią ci dwaj - mruknęła Tweet. - Ja chętnie pooglądam twoje fotografie, kiedy skończymy jeść.

- Dziękuję ci - powiedziałam z godnością.

Podczas posiłku nie odrywałam spojrzenia od Roana. Gdyby mógł, na zawsze odciągnąłby Matthew od naszej rodziny. Nie chciałam opowiedzieć mu o swojej przeszłości, choćbym błagała go o to na kolanach. Pozwalał mi unikać wszelkich kontaktów z moją rodziną, choć teraz mógłby już zmienić zdanie bez szkody dla siebie, a z korzyścią dla nas wszystkich. Dlaczego był tak okrutny dla Matthew? I dlaczego był tak okrutny dla mnie?

Lodowiec był błękitny. Opalizująco Wękitny, jak niebo za zamarznętym oknem. Kapitan „Jodowego Tancerza” wprowadził prom do małej zatoczki, gdzie woda miała delikatny, mleczny poblask, który nadawał jej lód i skały sączące się powoli z wielkiego lodowca. Siedziałam na krawędzi ławki na górnym pokładzie, opierając ręce na relingu.

Roan stanął obok mnie i także oparł się na poręczy. Oderwałam wzrok od ściany prążkowanego lazuru i spojrzałam na niego. Jego twarz odcinała się wyraźnie od masywnych języków lodu. Po chwili on także popatrzył na mnie.

- Ten lód ma barwę twoich oczu w blasku słońca - powiedział. - Przestań tak na mnie patrzeć. - Delikatnie przeciągnął palcem pod moimi oczyma.

- Najwyraźniej nie mogę cię zahipnotyzować. Nie mogę wpłynąć na twoje decyzje. Nie mogę przekonać cię do niczego, nim nie wygrasz bitwy z własnymi, osobistymi demonami. Nie mogę zmusić cię do tego, byś zobaczył, jak bardzo się rozczarowałam. Z jaką zaciętością bronisz nam dostępu do szczęścia, nam i Matthew. Więc dobrze, nadal ignoruj prawdę. Wiesz, jak to robić.

Nie mieliśmy czasu, by opowiedzieć cokolwiek więcej, gdyż dołączyli do nas Matthew i Tweet. Matthew objął Tweet od tyłu i oparł podbródek na jej głowie. Byli rozluźnieni, szczęśliwi, nie bali się okazywać sobie uczuć przy

innych. Nagle zdałam sobie sprawę, że ja i Roan zachowujemy się zupełnie inaczej, skrywamy wszelkie odruchy, szukamy bezpieczeństwa w odosobnieniu, prywatności.

- Pięknie tutaj, prawda? - dopytywała się Tweet z entuzjazmem. Poczułam się nagle dumna ze swych rodzinnych stron - świat był tutaj

naprawdę wspaniały, ale Matthew powinien zobaczyć nasze łagodne, błękit-nozielone góry wokół Dunderry.

Opowiedziałam Matthew i Tweet o Dun-shinnog, o legendzie, jaka wiąże się z tą nazwą, o tym, jak z Roanem i moim dziadkiem poszliśmy po jemiolę, i że zbocza góry są o tej porze roku pokryte zielenią i biało-różowymi pękami kwiatów wawrzynu, który nie zdążył jeszcze całkiem przekwitnąć.

- Roan i ja uwielbialiśmy Dunshinnog, gdy byliśmy dziećmi - zakończyłam ostrożnie. - Kiedy ją zobaczycie, zrozumiecie dlaczego.

Matthew jakby trochę przygasł, wyciszył się, w jego oczach dojrzałam smutek, a mój umysł zaczął gorączkowo czegoś szukać. Matthew był mi dziwnie znajomy, ale nie w sposób, jakiego się wcześniej spodziewałam. Roan poruszył się, wyprostował i położył dłoń na moim ramieniu. Mocny uścisk jego dłoni wyrażał całkowitą dezaprobatę. . Nagle od masywu lodowca oderwał się długi, cienki kawałek lodu, czemu towarzyszył rozdzierający, przeciągły jęk.

- Ciekawy widok, prawda? - ożywił się Matthew. - Miejscowi mówią w takiej sytuacji, że lodowiec się „ocielił”. Woda u podstawy lodowca zagotowała się. Oderwany fragment lodu, ściskany i kształtowany przez setki, a może nawet tysiące lat, wzburzył spokojną dotąd taflę wody. Nasz prom zakołysał się lekko, jakby włączając nas w tę zdumiewającą chwilę, która zbliżała się do nas od wielu pokoleń.

We wszystkim widziałam symbole.

- Myślę, że najpierw powinniśmy pooglądać zdjęcia Sullivanów - powiedziałam.

Czy ty zostałeś wampirem? - zawołałam do Roana z wymuszonym uśmiechem.

- Co? - Stał po drugiej stronie pokładu. Od dwóch godzin niemal bez przerwy palił cygaro i przechadzał się od jednej burty do drugiej, podczas gdy Matthew, Tweet i ja oglądaliśmy ich albumy. Wszyscy usiedliśmy obok

siebie na jednej ławce, ja w środku, ich dwoje po bokach, skąd widzieli dobrze fotografie i mogli mi o nich opowiadać.

- Jesteś niewidzialny - mówiłam dalej. - Tutaj prawie w ogóle nie ma twoich zdjęć. Podejrzewam więc, że twój obraz w ogóle się na nich nie utrwała.

- Ktoś musiał zrobić te zdjęcia.

- Większy nie lubił się fotografować - powiedział cicho Matthew. - Bał się, że ktoś ukradnie jego duszę.

- Raczej bał się, że ktoś ukradnie ciebie - odparłam. - Ktoś, gdzieś mógł go rozpoznać. Wtedy rodzina mogłaby cię odnaleźć. Odebrać mu ciebie. Tego się właśnie bał. I miał po temu powody. - Wymieniliśmy z Roanem porozumiewawcze spojrzenia. Roan skinął lekko głową. Odwróciłam się do Matthew. - Ale ja wierzę z całego serca, że obaj mogliście wtedy spokojnie wrócić do domu i obaj zostalibyście przyjęci z radością i miłością.

Matthew potarł włosy na czubku głowy i westchnął. Potem spojrzał na Roana i uśmiechnął się smutno.

- Czasami, kiedy chodziłem jeszcze do podstawówki, byłem na ciebie wściekły. Nie chciałeś pozować ze mną do żadnych zdjęć. Wszystkie dzieciaki miały zdjęcia ze swoimi rodzinami, a ja nie. Kiedy już trochę podrosłem, wytłumaczyłeś mi, dlaczego zdjęcia to nic dobrego.

- Staralem się nie wystraszyć cię za bardzo - odparł cicho Roan.

- Wiem, ale ja i tak się okropnie bałem. Często nachodziły mnie koszmary, śniło mi się, że policja włamuje się do naszego domu i zabiera mnie. Jak myślisz, dlaczego przez pewien czas przywiązywałem na noc jedną nogę do łóżka i spałem z wszystkimi moimi psami? Żeby szczekały i obudziły cię w porę, bo zanim gliniarze odwiązałyby moją nogę, ty zdążyłbyś wbiec do pokoju i uratować mnie.

Roan wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Spojrzałam na jego twarz i zrozumiałam, że słyszy tę opowieść po raz pierwszy. Sprawiała mu ogromny ból. Nie zdawał sobie sprawy, że zapłodnił umysł dziecka sennymi koszmarami, choć miał jak najlepsze intencje.

Oczy Tweet napełniły się łzami. Zerknęła na Matthew.

- Dalej śpisz z psami w jednym łóżku - próbowała żartować. - I myślałam, że po prostu lubisz, gdy przywiązuję ci nogę do poręczy.

Matthew roześmiał się głośno, ale Roan wciąż wyglądał tak, jakby ktoś go spoliczkował. Zrozumiałam w końcu, dlaczego i mnie ta anegdota pali do żywego.

- To wcale nie jest śmieszne - wycodziłam przez zęby. - Twoja rodzina - podkreśliłam, zwracając się do Matthew. - zasługuje na coś lepszego niż wizerunek potworów z dziecięcych koszmarów. Tak, niektórzy z nich byli zakłamanymi samolubami; tak, niektórzy z nich nie chcieli przyznać, że jesteś Delaneyem; niektórzy niewarci są nawet wspomnienia. Pete, twój ojciec, był właśnie jednym z nich, to prawda. Twoi bracia przyrodni byli wstrętnymi gnojkami. Ale większość pozostałych Delaneyów to bardzo dobrzy ludzie. Moja matka chciała cię adoptować. Nawet Roan to potwierdzi.

Matthew spojrzał na niego. Roan skinął nieznacznie głową, zajęty własnymi myślami, które bez trudu można było odczytać z jego twarzy i streścić w słowach, „czy właściwie postąpiłem z tym chłopcem”.

Zamknęłam z trzaskiem ostatni z rodzinnych albumów SuUivanów i upuściłam go na pokład. Rozumiałam teraz, jakie życie pędził Matthew pod opieką Roana - piłka nożna, futbol amerykański, nagrody, przyjęcia urodzinowe, zwierzęta i przyjaciele. Jednak brakowało w tym obrazie jeszcze wielu elementów i ja zamierzałam wypełnić puste miejsca.

Wyszarpnęłam z mojej torby garść starych fotografii o zagiętych rogach. Moje ręce drżały. Roan wyrzucił za burtę na pół wypalone cygaro i stanął obok nas z ponurą miną. Miałam wrażenie, że chętnie zgarnąłby wszystkie te moje zdjęcia i wrzucił je do oceanu, gdybym mu tylko na to pozwoliła.

- Matthew - powiedziałam nagle. - Ty chyba nie jesteś śmierzącym tchórzem?

. . Matthew gapił się na mnie z otwartymi ustami. Tweet wyglądała tak samo.

- To chyba jakiś żart - zdołał wreszcie wykrztusić.

- Nie, to poważne pytanie. - Potrząsnęłam mu zdjęciami przed nosem. - To nie może ci zrobić krzywdy. Nie może też zranić Roana. Jeśli chcesz na nie spojrzeć, to miej odwagę przyznać się do tego.

Matthew zrobił się nagle czerwony jak burak. Ja musiałam wyglądać podobnie, bo zdawało mi się, że jeszcze chwila, a moją skórę pokryją pęcherze. Spojrzał niepewnie na Roana.

- Chciałbym sprawdzić, czy potrafię rozpoznać Pete'a Delaneya bez pomocy twojej i Claire.

Roan poruszał nieznacznie szczęką. Wyglądał tak, jakby znalazł się na sali tortur.

- Jeśli chcesz zrobić z tego zabawę, to proszę bardzo.

- Pewnie brzmi to żałośnie, ale muszę przekonać się, czy jestem do niego podobny. Czy potrafię go rozpoznać. Uśmiechnęłam się.

- To nic dziwnego, wręcz przeciwnie. Ja robiłam to samo - próbowałam odnaleźć cię w tłumie na lotnisku bez pomocy Roana.

- I co, udało ci się? - spytał Matthew z nadzieją.

- Bez problemu. Wyglądasz jak Delaney - skłamałam. Szybko poprosiłam Tweet, żeby pottrzymała część fotografii. Wzięła ja ode mnie ostrożnie, jakby wykonane były z cennego kruszcu. Tymczasem ja przeglądałam pozostałe.

- Wybiorę kilka na dobry początek, Matthew. Pokażę ci twoją ciotkę Marybeth Delaney Maloney, to jest moją matkę, moich czterech braci, czyli twoich kuzynów, oczywiście ze strony Maloneyów...

Matthew wyciągnął do mnie rękę.

- Najpierw chciałbym się przekonać, czy rozpoznam Pete'a Delaneya. Proszę.

- Za kilka minut przybijemy do Juneau - przerwał nam Roan. - Może odłożymy to na później?

- Na później? O jakieś sto lat, co? - spytałam chłodno. Matthew westchnął.

- Daj spokój, to nie jest takie ważne. Po prostu przejrzyj je szybko i będę miał to z głowy.

Przekładał szybko zdjęcia ze swojej części. Tweet doskoczyła do niego i podała mu resztę, a potem przysiadła obok i objęła go ramieniem. Patrzyła na zdjęcia wraz z nim, zagryzając nerwowo dolną wargę. Ja zacisnęłam dłonie i spojrzałam na Roana. Stał nieruchomo, niczym kamienny wartownik. Spokojnie, pomyślałam, to tylko zdjęcia.

- Ten - powiedział Matthew drżącym głosem. Przystawił palec do jednego ze zdjęć. Tweet aż zakryła usta dłonią.

- Och tak, kochanie, to musi być twój... Pete Delaney. Jesteś do niego taki podobny. Właściwie wyglądasz identycznie.

Ze starej czarno-białej fotografii, która nie pozwalała dojrzeć kontrastu między rudymi a blond włosami, patrzył na nas rosły młody mężczyzna. Każdy, kto spojrzałby na to zdjęcie, nie miałby cierna wątpliwości - tak właśnie wyglądałby Matthew, gdyby założył na siebie mundur wojskowy z lat siedemdziesiątych. Wreszcie zrozumiałam, co mnie tak zastanawiało w jego wyglądzie i zachowaniu za każdym razem, gdy na niego spojrzałam.

Poczułam się tak, jak w chwili gdy eks-mąż Terri Caulfield strzelił do nas, a ja straciłam panowanie nad jeepem. Oniemiała, przerażona, bezradna. Zebrałam się w sobie, niczym jakaś chimera zbudowana z wielu, skłóconych ze sobą części. Odparłam spokojnie:

- Nie, to twój kuzyn. Mój najstarszy brat, Josh.

Podniosłam głowę i spojrzałam z rozpaczą na Roana. Jego wzrok był posepny, lecz nie pozwolił mi ani przez sekundę łudzić się prózną nadzieją. Wetknęłam w dłonie Matthew inne zdjęcie i zmusiłam się do powiedzenia:

- To jest Pete. To jest twój ojciec, a to twoi przyrodni bracia.

- No cóż - odparł Matthew chrapliwym głosem, przyjrzawszy się dokładnie fotografii. - Nic dziwnego, że Pete Delaney nie chciał za nic w świecie przyznać, że jestem jego synem. Mały jasnowłosy bękart. Ani trochę nie przypominam jego samego ani jego synów. -

A potem rzucił zdjęcie na moje kolana, wstał i podszedł do Roana. Wiał porywisty i zimny wiatr, godowy Tancerz" wpływał już do zatoki.

- Miałeś rację - powiedział Matthew. - Nie warto było patrzeć. Zrobiłem to tylko dlatego...

- Musisz wiedzieć, kim jesteś i skąd przychodzisz - przerwał mu Roan, a na jego twarzy malowało się cierpienie i ból człowieka, który musi poddać się siłom większym do mego. - Nawet jeśli twój ojciec był sukinsynem, musisz się dowiedzieć. Rozumiem to. Nie robisz niczego wbrew mojej woli. Wiem, co czujesz i boję się o ciebie, bo to straszna rzecz, kiedy chcesz kochać swojego ojca, a daje ci tylko powody, by go nienawidzić.

^Matthew pokręcił głową.

- Może Delaneyowie mieli rację, nie przyznając się do mnie. Nie sądzę, żebym w ogóle był jednym z nich.

Przynajmniej sądząc po tych zdjęciach.

Została mi tylko bezsilna wściekłość. Wszystkie porażki wróciły do mnie jedną wielką falą; Roan strzelający do Dużego Roana; Roan wygnany z domu i ja bezradnie szlochająca przy oknie; ból ciała zmiażdżonego w samochodzie i krew Terri Caulfield, jej wykrzywiona twarz; i znów ja sama przykuta do własnego łóżka, uwięziona w pułapce własnych błędów.

- Ty jesteś jednym z nas - krzyknęłam na Matthew, a kiedy Roan spojrzał na mnie tak, jakbym wydzierła mu serce, opadłam bezsilnie na ławkę i wybuchnęłam szlochem, przy którym pochłupowania Terri były zwykłą amatorszczyzną. Roan natychmiast znalazł się przy mnie, klęczał obok mnie i obejmował czule.

- Nie mów nic więcej. Nie tutaj, nie teraz - szepnął. - Przepraszam. Bączku, uwierz mi. Ja rozumiem. Cichutko... - Gładził mnie po włosach. Oparłam głowę na jego ramieniu i zanosłam się jeszcze głośniejszym szlochem. To nie był dobry dzień dla rodzinnej dumy Maloneyów.

Teraz znałam już jedyny sekret, który naprawdę miał znaczenie, sekret, który umożliwił Roanowi i Matthew powrót do domu.

Matthew był synem mojego brata.

Kiedy ja miałam dziesięć lat, a Roan piętnaście, tej wiosny, gdy oboje mieszkaliśmy na farmie, w jeden ze słonecznych weekendów zjechała się do nas cała rodzina, by razem naprawić most Delaneyów. Pradziadek Thurman Delaney zbudował zadaszony most po zakończeniu wojny domowej, zastępując nim prom, którym sam kierował. Most ów stał się przedmiotem rodzinnej dumy, monumentem łączącym dwa odcinki starej rozjeżdżonej drogi z Dunderry do Gainesville. Właśnie ten trakt jako pierwszy został wybrukowany w ramach lokalnego programu naprawy dróg w latach trzydziestych, a most został wtedy wzmocniony żelaznymi belkami. Jednak w czasach mojego dzieciństwa wielkie śruby były już całkiem przerdzewiałe, a przy najlżejszych nawet drganiach od żelaznych belek odrywały się wielkie rdzawe płyty.

Stary most, który liczył sobie wtedy dobre sto lat, był raczej lokalną osobliwością, niezbyt zresztą przyjemną dla oka, niż ważnym punktem przeprawy przez rzekę. Stanowa dyrekcja dróg zmieniła kilka lat wcześniej trasę drogi wylotowej na wschód od Dunderry i wybudowała potężny most z betonu i stali w górze rzeki. Nasz stary drewniany pomost nie był już dość bezpieczny, a poza tym na przejeżdżające samochody spadały drzazgi i zgniłe fragmenty drewnianego zadaszania.

Kiedy jednak dyrekcja dróg postanowiła most rozebrać, koalicja Delaneyów odkupiła go od państwa wraz z pięcioma akrami pól uprawnych po obu jego stronach, chcąc uczynić z niego centrum miejskiego parku wypoczynkowego, a przy okazji zachować zabytek tak cenny dla historii rodziny.

Kiedy nadszedł długi majowy weekend, przedłużony o wolny od pracy dzień pamięci narodowej, dziesiątki Delaneyów ściągnęły nad most z narzędziami i materiałami. Wydarzenie to szybko zamieniło się w trzydniowe święto z piknikiem, muzyką graną na żywo przez naszych rodzinnych artystów, mszą odprawioną na polach w niedzielny poranek i cudowną

kakafonią spuszczonej z więzi kuzynów Delaney, którzy od świtu do nocy oddawali się najdziwniejszym zabawom. Roan udawał przez cały ten czas, że jest tylko wynajętym robotnikiem. Traktował ten weekend jako czas normalnej pracy i jak zawsze trzymał się na uboczu, podczas gdy ja co jakiś czas oddalałam się od moich rozbawionych kuzynów, by przynieść mu trochę jedzenia i porozmawiać z nim, co wywoływało uśmiešky pozostałych mężczyzn. Kiedy w końcu zrozumiałam, że moje wizyty wprawiają go w zakłopotanie, trzymałam się od mego z dala. Josh przyjechał wtedy z college'u. Brady, o ile pamiętam, pojechał w tym samym czasie do swojej dziewczyny w Tennessee. Ale nie Josh - on zawsze z dumą uczestniczył we wszystkich rodzinnych uroczystościach. Ludzie stawiali go innym za przykład.

Pamiętam, jak Roan i Josh siedzieli okrakiem na spiczastym zadaszniu mostu, odrywając uszkodzone dachówki, jak gdyby przeprowadzali sekcję zwłok natoęgosłupie jakiegoś olbrzymiego, długiego zwierzęcia. Pamiętam, jak rude włosy Josha błyszczały na tle zielonych wzgórz wznoszących się nad doliną, i pamiętam ciemne włosy Roana, jego szczupłą chłopięcą sylwetkę, naprzeciw dojrzałej barczystej postaci mego najstarszego brata. Bardzo chciałam być tam razem z nimi i jak oni rozrywać stary dach - i pewnie byłabym, gdyby wszystkie kobiety z rodziny Delaneyów, mama przede wszystkim, nie ściągnęły mnie za włosy, w chwili gdy postawiłam stopę na pierwszym szczeblu drabiny.

Wuj Pete ciął piłą nowe belki w towarzystwie mojego taty oraz innych wujów z rodziny Maloneyów i wuja Eldona. Ludzie z miasteczka przychodzili, by popracować i pobawić się z nami - każde ciekawe wydarzenie w Dunderry i okolicy zawsze ściągało tłumy gapiów i gości. Poza tym połowa mieszkańców miasteczka była w taki czy inny sposób spokrewniona z naszą rodziną.

Szmer zdumienia i zakłopotania przebiegł przez grupki zgromadzonych gości, kiedy przy stolikach z jedzeniem pojawiła się Sally McClendon. Sally trzymała za rączkę Matthew, który miał wtedy jakieś trzy lata. Jasnowłosa chłopczyk stał spokojnie obok swojej matki. Blond włosy Sally ściągnięte były w kucyk na czubku głowy i opadały wielkimi lokami na jej plecy. Mocno umalowana, w obcisłych dżinsach i koszulce ozdobionej cekinami, wyglądała jak wysoka, odchudzona imitacja Dolly Parton. Stała przed moją rodziną jak ucieleśnienie wstydu i złej sławy.

- No proszę, jest nasza osobista dziwka i jej mały biedny bękart - parsknęła ciotka Irene. - No to teraz mamy już komplet.

Babka Elizabeth, która siedziała w królewskiej pozie na fotelu pośrodku trawnika, rączką swej laski przyciągnęła mamę do siebie.

- Zabierz stąd tą kreaturę - rozkazała babka. - Przyszła się tu puszyć przed wszystkimi.

- Delaneyowie - huknęła prababcia ze swego fotela, który stał tuż obok. - Krew nie woda, nie ukryjesz tego. Słuchaj, Elizabeth, ten mały obszarpany chłopczyk może być kiedyś kubek w kubek podobny do twojego Pete'a. Idź tam i pocałuj go.

Babka Elizabeth jęknęła i zasłoniła dłonią oczy.

- Albo to dziecko i jego okropna matka opuszczą to miejsce, albo zrobię to ja.

- No to zeskakuj z tego fotela i zmykaj - szybko odpowiedziała jej prababcia.

- To byłby grzech, gdybyśmy nie dali dziecku jedzenia - wyrwałam się, a mama spojrzała na mnie tak jakby chciała mnie udusić.

- Rusz się tylko, a przywiążę cię do słupa - ostrzegła. - Ja się tym zajmę. Zaczęła przemieszczać się powoli przez tłum, zostawiając za sobą grupy

oburzonych ciotek, którym przewodziła dotka Irene. Wuj Pete odwrócił się od swojej pracy, zobaczył Sally i Matthew, zaklął tak głośno, że wszyscy dokoła mogli go doskonale usłyszeć, odłożył piłę i zniknął za brzegiem rzeki, wyciągając po drodze płaską butelkę z tylnej kieszeni spodni.

Odwróciłam wzrok od tego małego melodramatu i zobaczyłam, jak Josh wpatruje się w Sally ze szczytu dachu. Roan podał mu ciężki łom, ale Josh jakoś niezręcznie go pochwycił - żelazny drąg wpadł pomiędzy odsłonięte krokwie, odbił się od głowy Roberta Kehoe, kuzyna, który odrywał deski z powierzchni mostu, i wreszcie wpadł do wody. Wtedy wszyscy już spojrzeli na Josha, zdumieni faktem, że zręczny Josh Maloney, jeden z najlepszych studentów w college'u, przewodniczący stowarzyszenia studentów i weteran z Wietnamu, zachował się tak niezdarnie. Grupa kobiet natychmiast pospieszyła z pomocą Robertowi, który trzymał się za okrwawioną głowę, a tato zawołał do Josha:

- Uważaj, synu.

Roan siedział oczywiście nieruchomo, z ponurym, superczujnym wyrazem twarzy, przekonany, że ktoś zaraz zarzuci mu, że źle podał łom Joshowi.

Josh przeciągnął wierzchem dłoni po ustach i nie odrywał spojrzenia od Sally i jej syna. Sally też patrzyła na niego. Nigdy nie zapomnę jej wzroku

- oskarżycielskiego, wściekłego i bezradnego. Podniosła Matthew, odwróciła go twarzą do mojego brata i trzymała go tak przez chwilę w powietrzu, jak zwierzę ofiarne. Potem posadziła go sobie na biodrze i odeszła w stronę swojego starego, zniszczonego samochodu. Mama truchtała obok niej i gestami zapraszała do suto zastawionych stołów. Sally zignorowała ją, wsiadła do auta i odjechała.

Josh zszedł z dachu, wskoczył do rzeki i brodził w głębokiej do pasa wodzie, aż odnalazł łom. Wrócił na brzeg ociekając wodą, znów wspiął się na dach i bez słowa podjął przerwana pracę.

To wspomnienie powróciło teraz do mnie ze straszliwą wyrazistością.

I wreszcie nabrało sensu.

Roan i ja straciliśmy dwadzieścia lat, bo on chronił, ukrywał i wychowywał syna Joshua. Stawka była znacznie wyższa, niż kiedykolwiek mogłam przypuszczać. Nic dziwnego, że Roan zawsze bał się wrócić z Matthew do domu. Nic dziwnego, że był taki tajemniczy.

Tej nocy poszliśmy wcześniej do naszej sypialni, a potem siedzieliśmy na brzegu wanny, do której lała się woda. Baliśmy się, że Matthew lub Tweet może usłyszeć naszą rozmowę. Ja wciąż wpatrywałam się w starą fotografię. Josh stał ubrany w mundur na podwórku przed domem, obok taty i dziadka Josepha, młody - dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata - z wymuszonym uśmiechem i posępnymi oczyma - Maloneyowie, patrioci, trzy pokolenia weteranów, druga wojna światowa, Korea, Wietnam. Mój dziadek walczył z Japończykami w słusznej sprawie; ojciec służył wiernie i uczciwie, choć nie postawił nawet stopy na polu bitwy; ale Josh został wysłany na drugi koniec świata, by grzebać się w ludzkim śmietniku burdeli, barów i palarni opium. Wrócił do domu napełniony cynizmem, który karmił się odpadkami wstrętu do samego siebie. Sally musiała być dla niego odmianą albo potwierdzeniem.

Jako młody człowiek był tak niezwykle podobny do Matthew.

Roan przemówił niskim, pustym głosem:

- Nie mogłem oddać wam Matthew. Musiałem wiedzieć, czy dorówna innym Delaneyom. Czy spełni ich oczekiwania. Teraz już wiem. Nie rozczaruje nikogo.

- Jesteś pewny, że to Josh, prawda?

316

- Sally powiedziała mi, kiedy się do niej wprowadziłem. Myślała, że Daisy powie wam o wszystkim ze złości, za mojego ojca...
- Pamiętam. Co Sally opowiadała ci o Joshu? Nie musisz być delikatny. Powiedz mi wszystko.
- Josh zabierał ją do ciężarówki przy drodze na północ od Młyna Murphy'ego. Parkował gdzieś w lesie, rzucał kilka koców na tył ciężarówki. Potem ją wykorzystywał, płacił jej i odwoził z powrotem na drogę. Mówiła, że prawie się do niej nie odzywał.
- O mój Boże. Pewnie traktował ją tak samo, jak nauczył się traktować dziewczyny w Sajgonie.
- Pewnie tak. Mówiła, że spotkał się z nią tylko kilka razy. Potem po prostu przestał. Nigdy więcej nawet jej nie dotknął. Jak gdyby nigdy nic się nie stało. Bała się przyznać, że kiedykolwiek z nim była. Spotkania z twoim wujem Pete'em to jedna rzecz - nikt nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Ale twój brat - to zupełnie co innego. Sally bała się, że gdy twoja rodzina dowie się o wszystkim, zabierze jej dziecko, a ją wygna z miasta. I możesz mi wierzyć albo nie, ale ona naprawdę kochała Matthew. Nieważne, jak wyglądała i co mówiła - ona naprawdę chciała zatrzymać Matthew przy sobie.
- Zmiełam zdjęcie i odrzuciłam je na bok.
- Mama i tata przebaczyliby Joshowi, gdyby razem z nią wychowywał dziecko. Ale nie przyszłoby im to łatwo, gdyby wiedzieli, że zachował się jak śmierdzący tchórz i uciekł przed odpowiedzialnością.
- Jakoś mogli odwracać wzrok, gdy myśleli, że Matthew jest dzieckiem Pete'a - zauważył cicho Roan.
- Chcesz się spierać o to, co był bardziej podłe?
- Położył mi dłoń na karku i przyciągnął do siebie, składając twardy przeprasający pocałunek. Oparłam się o niego ze znużeniem i westchnęłam.
- Wiesz, jak wyglądała wtedy sytuacja. Mama chciała, żeby rodzina adoptowała Matthew, ale to nie było proste. Czy uważałbyś za słuszne, żeby zaciągnęli Sally do sądu i odebrali jej dziecko? Mówisz, że kochała Matthew. Nie zasługiwała więc na to, żeby odebrali jej go tak zwani przyzwoici ludzie. Ona potrzebowała pomocy, a ty byłeś jedynym człowiekiem, który naprawdę jej pomógł.
- W porządku, bączku, w porządku. Mamy tu jednak pewien problem. Dziś nie trzeba się długo przyglądać Matthew, żeby zauważyć, do kogo jest podobny.

- Josh wiedział, że Matthew jest jego synem - syknęłam. - Jestem pewna, że o tym wiedział.

Roan zawahał się. Potem zaczął zrezygnowanym tonem:

- Tamtego dnia przy moście Delaneyów...

- Więc ty też to pamiętasz!

- Myślałem o tym przez wszystkie te lata. Josh nie chciał Matthew. To było oczywiste. Dlatego właśnie nigdy nie wątpiłem, że postępuję właściwie, zatrzymując go przy sobie. I myślałem, że wszyscy w rodzinie musieli widzieć, jak dziwnie zachowywał się wtedy Josh względem Sally i jej dziecka. Myślałem, że inni ludzie poznali prawdę, ale nadal nie chcieli nic z tym zrobić. To właśnie upewniło mnie, że Matthew nie ma tam po co wracać.

Pochwyciłam moją laskę i jak maczugą uderzyłam nią w poduszkę, którą Roan położył na sedesie, żebym miała gdzie oprzeć nogę. Waliłam bez opamiętania, cudem nie trafiając we własną stopę, dopóki Roan nie chwycił mnie za rękę.

- Mogłabym teraz udusić Josha gołymi rękami! Jak on mógł pozwolić na to, żeby nasz wuj wziął na siebie całą winę? Jak on mógł porzucić własnego syna? To przez niego właśnie nie miałeś wyboru.

- Nadal mam niewielki wybór, bączku. Poglaskałam go po głowie.

- Wiem. Rodzina dowie się o Matthew wcześniej czy później. My musimy jakoś pokierować tym wszystkim.

Roan roześmiał się posepnie.

- Maloneyowie... - mruknął, patrząc w sufit, jakby próbował sobie coś wyobrazić. - Pokierować Maloneyami.

- To nie jest niemożliwe. Ludzie mogą plotkować na temat wyglądu Matthew, ale to nie ma znaczenia. To będzie tylko głupie gadanie.

- Głupie gadanie. Nie mogę uwierzyć, że tak to określasz. - Roan spojrzał na mnie, jakbym straciła rozum. - Przecież twój brat będzie wiedział, że to nie jest „tylko głupie gadanie”.

- Jeśli nie przyznał się do niczego dwadzieścia lat temu, to najprawdopodobniej nie przyzna się i teraz. - Przerwałam na moment, zaciskając dłonie w pięści. - Ja sama policzę się z Joshem.

Nie chciałam chwytać nikogo w pułapkę. Nie chciałam, by pewne rzeczy zostały wypowiedziane w złości, z zaskoczenia. Nie chciałam, by Matthew znalazł się w niezręcznej sytuacji. I ze względu na mamę i tatę nie chciałam,

by spotkali nieznanego im człowieka i nagle w jednej chwili dowiedzieli się nie tylko, że to Matthew, ale że to Roan go odnalazł, wychował i ukrywał, i że dowiedział się prawdy o jego ojcu wiele lat temu. I w końcu, że patrzą na własnego wnuka.

Powiedziałam Roanowi, że powinnam najpierw porozmawiać z Joshem w cztery oczy. Muszę to wykrzyczeć, wyrzucić z siebie. Dowiedzieć się, co Josh chce zrobić w tej sytuacji. Być przygotowaną na to, że on wszystkiemu zaprzeczy, albo nie zechce brać na siebie odpowiedzialności. Potem, kiedy dowiem się już wszystkiego, zaaranżować spotkanie Josha z Matthew, z Roanem, i ze mną dla wsparcia. Niech Matthew też się wykrzyczy, jeśli będzie czuł taką potrzebę, niech usłyszy z ust Josha, co ten czuje do niego.

Jednak potem pomyślałam o Amandzie i zrozumiałam, że oto stoi przede mną trudny wybór. Okropny dylemat. Jej i tak nie najlepsze stosunki z Joshem jeszcze się pogorszą - żadna mała dziewczynka nie zniosłaby łatwo wiadomości, że oto jej ojciec porzucił swoje pierwsze dziecko, że ma brata, o którym nigdy dotąd nie słyszała.

W końcu postanowiłam, że zacznę od rozmowy z Joshem, a potem zastanowię się, co robić dalej.

- To sprawa pomiędzy mną i Joshem - oświadczyłam. - Najpierw tylko my dwoje.

Roan usiadł naprzeciwko mnie na podłodze łazienki. Na jego twarzy malował się gniew i upór, jakiego chyba jeszcze nigdy tam nie widziałam.

- To także moja sprawa, bączku - ostrzegł mnie łagodnie. - Jeśli twój brat nie zachowa się odpowiednio względem Matthew, porachuję się z nim, Claire. Przysięgam na Boga, że zmuszę go, by odkupił wszystkie swoje winy.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Chcesz od razu powiedzieć Matthew całą prawdę? Chcesz, żeby wsiadł do najbliższego samolotu i poleciał do Dunderry, wściekły jak diabli, może załamany, żeby nagle bez słowa ostrzeżenia stanął przed moją rodziną? Chcesz to przedstawić w ten sposób? Jemu? Moim rodzicom? Babcie Dottie? Amandzie?

- Nie. Oczywiście, że nie. Jezu. Sam nie wiem, co robić.

- Możemy to zrobić łagodnie, powoli. Po prostu zabierzemy go tam. Jestem pewna, że wszyscy polubią Matthew i Tweet. Rozprawimy się z Joshem na boku, prywatnie - porozmawiamy z nim, ty i ja. Jego obowiązkiem jest wyjawić prawdę rodzinie. I Matthew. Tak właśnie powin-

niśmy zrobić. Dzięki temu spadnie z ciebie największy ciężar. Matthew nie dowie się, że zataiłeś przed nim, kto jest jego prawdziwym ojcem.

- Jego prawdziwym ojcem - powtórzył Roan cicho.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- On chyba i tak nie będzie chciał jechać do Dunderry. Był rozczarowany i apatyczny po tym, jak obejrzał te zdjęcia. Nie powiedziałam nic i pozwoliłam Roanowi łudzić się tą nikłą nadzieją przez resztę nocy. Wiedziałam, że Matthew pojedzie w końcu do domu, bez względu na to, czy będzie znał prawdę, czy też nie. Jak napastrnice, zawsze wracamy tam, skąd wyszliśmy.

Nazajutrz po lunchu, którego żadne z nas nie zjadło nawet w połowie, Matthew i Tweet posadzili nas na kanapie w salonie. Matthew patrzył na Roana to znów na mnie, marszcząc brwi.

- Słuchajcie, jestem przygotowany na najgorsze, ale mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Nie próbujcie mnie osłaniać. Potrzebuję tylko prawdy. Chcę wiedzieć, jak naprawdę zareagują moi krewni. Chcę ich poznać.

Wymieniliśmy z Roanem zakłopotane spojrzenia. Prawda. Matthew nie miał pojęcia, o czym mówi. Nagle Matthew pchnął w naszą stronę telefon, który leżał na stoliku do kawy;

- Telefon z głośnikiem - zauważył cierpliwie, stukając w konsolę. - Zadzwoń do swojej matki, Claire. Wszyscy będziemy mogli posłuchać.

Zastygłam w bezruchu. - Co?

- Powiedz jej o mnie. Wiem, że to trudne, ale chcę znać prawdę. Chcę poznać jej reakcję. - Uśmiechnął się niepewnie. - Jeśli poproszą, bym przyjechał, chcę to usłyszeć teraz.

- Matthew - jęknęła Tweet. - Nie można sądzić ludzi po tym, jak reagują w chwili szoku. Nie zrobiłbyś tego żadnemu z naszych pacjentów.

- Jeśli chcę się dowiedzieć, czy krowa kopie, to daję jej szansę, żeby mnie kopnęła - odparł Matthew. - Ale gotów jestem w każdej chwili odskoczyć na bok. - Postukał w telefon. - Claire. Proszę zadzwoń do mojej ciotki Marybeth i powiedz jej o mnie.

Do twojej babci Marybeth, poprawiłam w myślach.

- Czy mogę jej powiedzieć, że przyrównałeś ją do krowy?

320

- Nie będziemy tego robić - powiedział cicho Roan. - Nie w ten sposób, Matthew.

- Muszę - pokręcił głową Matthew. - Większy, rozmawialiśmy o tym wczoraj, prawda? Myślałem, że mnie zrozumiałeś. Muszę poznać tych ludzi.

Roan uniósł rękę.

- Powinieneś... wyrzucić to z siebie - powiedział ostrożnie. - Poznać ich, owszem. Ale myśleliśmy z Claire, że najpierw pojedziemy tam i opowiemy im, jak to się stało, że ty i ja...

- Roan musi to wszystko wyjaśnić, ze względu na siebie, a nie na ciebie

— wtrąciłam.

- ...muszę zaorać dla ciebie pole - mówił dalej Roan. - Zaorać je, nim ty posiejesz ziarno. - Kiedy Matthew spojrzał na niego pytająco, Roan wyjaśnił:

- To takie powiedzenie, którego nauczyłem się od dziadka Claire. Dziadka Joe. On miał mnóstwo takich porównań. Pradziadek Matthew, pomyślałam. Matthew potrząsnął głową.

- Większy, nie możesz mnie już dłużej-ochraniać. Zamierzam poznać tych ludzi na moich warunkach. - Pociągnął się mocno za uszy. - Albo Claire zadzwoni, albo zrobię to ja.

Spojrzałam na Roana. Nie mieliśmy wyjścia. „Mamo, nie zawieź mnie”, modliłam się w duchu, sięgając po słuchawkę.

Twoja mama jest w pracowni - warknęła Renfrew. - Gdzie jesteś? Gdzie jest Roanie? Wracajcie do domu. Wszyscy się o was martwią. Twoja mama w ogóle nie śpi. Tato tylko kurzy tę swoją faję. A cała reszta ciągle gada o tobie i Roaniem, gęby im się nie zamykają.

- Niedługo wrócimy do domu - odpowiedziałam cierpliwie. - Czy mogłabyś jednak poprosić mamę? Muszę z nią porozmawiać.

- Dlaczego? Słyszę, że nic ci nie jest. Wiesz przecież, że nigdy nie zawracam jej głowy, kiedy jest w...

- Miz Mac - przerwał jej Roan cicho, pochylając się nad telefonem. Wszyscy czworo pochylaliśmy się nad nim, jak nad jakąś relikwią. - Obiecuję ci, że jeśli ten jeden raz złamiesz zasadę i wyciągniesz Marybeth z pracowni, ona na pewno nie będzie miała ci tego za złe.

- Roanie! Roanie, zrobię to dla ciebie. - Słyszeliśmy, jak odkłada słuchawkę na bok.
- Kto to był? - spytała Tweet. - Co twoja mama robi w jakiejś pracowni?
- Lepi garnki - wyjaśniłam mechanicznie. To było absurdalne. - A rozmawialiśmy ze służącą.
- Renfrew - dodał Roan. - Ma bzika na moim punkcie. Kiedyś chciała pracować moją bielizną.
- Przestań - spojrzałam na niego błagalnie. - To Miss Mac - wyjaśniłam Matthew i Tweet, a potem zwróciłam się do Roana. - Nie ustawiaj ich od razu po złej stronie.
- A która to będzie strona? - spytał ponuro.
- Claire! - Rozległ się nagle głos mamy, melodyjny, południowy i zaniepokojony. - Czy coś się stało? Nic ci nie jest? Mam nadzieję, że Roan też jest zdrowy? Gdzie jesteście? Kiedy wracacie do domu?
- Nic nam nie jest, mamo. Jesteśmy... na Alasce, Mamo.
- Co? Zaczekaj! Holt! Holt! Weź drugą słuchawkę! To Claire. Są na Alasce! Sekundę, kochanie. Tato właśnie wrócił ze stajni. Siedział tam przez cały rano. Okazało się, że kilka lam ma grzybicę kopyt. Matthew i Tweet przysunęli się bliżej od telefonu. Naradzali się przez chwilę nerwowym szeptem, gestykulując zamasyście. Matthew pochwycił notes i zapisał na kartce nazwę jakiegoś lekarstwa. Rowiedz mu, żeby wziął od swojego weterynarza tę maść" napisał pod spodem.
- Otarłam oczy. Tak bardzo garnał się do pomocy. Roan uspokajał go gestami.
- Cześć. - Głęboki głos taty znów nas zaskoczył.
- Cześć, lama-tato.
- Słyszysz, jak twoja mama dyszy do drugiej słuchawki? Powiedz jej, żeby się uspokoiła. To było jak zaraza.
- Mamo, wszystko jest w porządku.
- Powiedz to swojemu tacie. To on śmierdzi jak popielniczka.
- Muszę porozmawiać o pewnej sprawie z wami wszystkimi. Czy to dobra pora?
- Och, na miłość boską, mów - niecierpliwiła się mama.
- Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchiwał. Gdzie jest Amanda?
- Wyjechała wczoraj na obóz - szybko odpowiedziała mama. - A Josh jest w Atlancie.

- Jak zwykle - dodał tato.

Odetchnęłam cicho. Najważniejszy problem mieliśmy z głowy. Josh. Musieliśmy pojechać do domu i porozmawiać z Joshem osobiście, w cztery, a raczej w sześćo oczu. - A gdzie jest Miz Mac? - spytałam. - Ciągłe w pobliżu?

- Miz Mac zawsze podsłuchuje - odparła mama. - Więc nie zwracajmy na nią uwagi. Kochanie, co się dzieje?

Jedźcie już do domu, prawda? Powiedz mi. Powiedz to teraz, mnie i twojemu tacie.

- Wrócimy - włączył się Roan. - Daję wam na to moje słowo.

- Roan - powiedzieli moi rodzice jednym głosem. - Dobrze znów cię słyszeć - mówił dalej tato. - Na twoim słowie zawsze będziemy polegać. W porządku?

- Dobrze wiedzieć - odparł Roan beznamiętnie.

- Co takiego jest na tej Alasce? - spytał tato. Zawahałam się.

- Nie co, tylko kto.

- Oprócz Roana?

- Z powodu Roana.

Milczenie. Mama powiedziała cicho:

- Roan, nie poprosiłbyś chyba Claire, żeby poznała kogoś, kto mógłby jej sprawić ból. Więc zakładam, że tym kimś nie jest żona.

- Nawet nie dziewczyna - odparł Roan zduszonym głosem. Czasami można było zupełnie opacznie zrozumieć jej intencje.

- Więc masz dziecko. Albo dzieci. Znów milczenie. Roan spojrzał na Matthew.

- Można by tak powiedzieć.

- Jesteś rozwiedziony?

- Nigdy nie byłem żonaty.

- Rozumiem.

- Wstrzymajcie się na moment - powiedziałam głośno. Drżałam. Tweet też cała się trzęsła. Matthew nie przestawał ciągnąć się za uszy. Roan był sztywny jak skała. - Mamo, tato. - Wzięłam głęboki oddech. - Roan przywiózł mnie tutaj, żebym poznała Matthew. - Kogo? - spytał tato. Och, Boże.

- Matthew. Syna wuja Pete'a. Roan odnalazł Sally McClendon wiele lat temu. Potem ona umarła, a Roan adoptował Matthew. Dlatego właśnie nie

dawał znaku życia. Z powodu Matthew. - Tak w kilku słowach wyglądała cała opowieść.

Kolejna chwila ciszy. Nadzieja, która widniała na twarzy Matthew jeszcze przed chwilą, zmieniła się w rozczarowanie.

- Nawet mnie nie pamiętają - mruknął. Wbił palce w kolana i patrzył, jak zaczarowany na telefon. Wszyscy się w niego wpatrywaliśmy.

Potem doszedł nas cichy, radosny płacz.

- Czy on tam jest? - krzyczała mama. - Matthew? Czy Matthew tam jest? Matthew otworzył usta i znów je zamknął.

- Jestem... tak, jestem tutaj - powiedział, pochylając się niżej nad telefonem. - Dzień dobry.

- Och, dzięki ci Panie - powiedziała mama słabym cienkim głosem, potem powtórzyła to jeszcze z dziesięć razy, a potem słyszeliśmy jakieś hałasy i wreszcie gdzieś w tle głos taty, wołający:

- Zmieniłem telefony, mama musiała usiąść na podłodze, ale nic jej nie jest...

- Nie obchodzi mnie, jak się to stało, co się stało, nie obchodzi mnie teraz kto, jak i dlaczego - krzyczała mama płaczliwym głosem - tylko przywieźcie Matthew tutaj, przywieźcie go ze sobą, przywieźcie go do domu.

- Przywieźcie chłopca do domu - powiedział tato wzruszonym głosem. Mówił chyba do słuchawki mamy - jego głos był czysty i dźwięczny jak głos dzwonu. - To cud. Wracajcie do domu, a później wszystko nam opowiecie.

Tweet zaczęła płakać, w oczach Matthew pojawiły się łzy, a ja i Roan .siedzieliśmy na kanapie, zadowoleni z jednego, małego zwycięstwa, ale zbyt zmartwieni, by się rozluźnić. To był dopiero początek.

Rozdział piętnasty

Powiedziałam mamie i tacie, że zadzwonię, kiedy będziemy już na miejscu. Że przywieziemy Matthew i Tweet na kolację.

- Nie zapraszajcie nikogo, proszę - nalegałam. - Nie nasyłajcie na nich od razu całego tłumu. Musielibyśmy rozdać wszystkim tabliczki z imionami i wywiesić drzewo genealogiczne. Nie wiem, czy Matthew i Tweet by to wytrzymali.

- Jasne - zgodziła się mama radośnie.

Matthew i Tweet oddali swoją menażerię pod opiekę zaufanych przyjaciół, potem spakowaliśmy się i nazajutrz po południu odlecieliśmy do Seattle. W samolocie Matthew otworzył butelkę szampana.

- Za Sullivanów i Delaneyów - powiedział, wznosząc kieliszek Tweet roześmiała się i wskazała na mnie. - Robisz to tak samo jak Matthew. Tyle że on robi to tylko, jak jest zdenerwowany.

- Co?

Roześmiała się jeszcze głośniej.

- Ciągniesz się za uszy.

Roan i ja byliśmy zdumieni i przestraszeni - wszystko potoczyło się tak szybko, za szybko. Matthew nie wiedział, że to, czego dowie się w Dunder-ry, może być dla niego bardzo bolesne. Im dłużej rozmyślałam o zdradzie Josha, tym większy narastał we mnie gniew. Zastanawiałam się, czy mój brat zechce nadal zachowywać się jak tchórz i pozwolić, by wszyscy wierzyli w kłamstwo, czy też przyzna się do swojego błędu przed Matthew i przed całą rodziną.

Czasami wydawało mi się, że wolałabym, aby nic się nie zmieniło, by Josh

zaprzeczył wszystkiemu i byśmy mogli spokojnie żyć dalej, nigdy nie wracając do tej sprawy. Ale gdyby Josh nie przyznał się do Matthew, Roan byłby dla niego bezlitosny. Wiedziałam, że wtedy zniszczyłby mojego brata. Noc spędziliśmy w Seattle, w domu Roana, jednak byliśmy dosłownie obłożeni przez telefony z Georgii - niemal bez przerwy rozmawialiśmy z moimi rodzicami, z babcią Dottie, z wszystkimi moimi braćmi prócz Josha, który wciąż nie wrócił z Atianty, z kuzynami, ciotkami i wujkami - wszyscy byli podekscytowani i prawie wszyscy chcieli rozmawiać z Matthew i z Tweet, która tak się przejęła tym nieoczekiwanym zainteresowaniem, że odbyła z moim tatą długą rozmowę na temat chorób zakaźnych drobiu.

Poprosiłam mamę i tatę, by ostrzegli całą rodzinę że jeden temat absolutnie nie może być poruszany w tych rozmowach - Roan. Roan słuchał, jak wszyscy bezustannie paplaliśmy coś do telefonu, i zdawało się, że każda kolejna rozmowa odłupuje kolejną drobinę z jego szczęścia. Najbardziej jednak obawiał się, że ktoś wspomni Matthew o jego przeszłości.

Na szczęście, wszyscy czuli się tak umniejszeni i upokorzeni, przez to, co zrobił Roan - zaopiekował się synem wuja Pete'a, tak wspaniale go wychował, a teraz przywoził z powrotem - że nikt nie ośmielił się nawet wspomnieć o tym, co przeżywał dawniej. Nikt zresztą nie chciał mówić Matthew, który przecież też został kiedyś odrzucony, że rodzina ignorowała Roana przez długi czas, a potem z oporami przyjęła do siebie, by znów go wygnąć. Na razie więc, nawet bez specjalnego ostrzeżenia, nikt nie miał odwagi poruszać tego tematu.

Matthew nie posiadał się ze szczęścia.

- Okazuje się, że to takie łatwe - powiedział mi, gdy Roana nie było w pobliżu. Potem jakby zasepił się nieco i dodał: - Nie rozumiem, dlaczego Większy tak się martwił przez wszystkie te lata. Myślę, że on nie wierzy w ludzi i dlatego odsunął do siebie ten temat. - Matthew westchnął i pokiwał głową. - Wiesz, doszedłem do wniosku, że Większy po prostu ma już taką naturę: każdemu darowanemu koniowi zagłada w zęby.

Miałam już odpowiedzieć: „Ma dość powodów, żeby przypuszczać, że za każdym darowanym koniem kryje się koński zad”, ale nie chciałam zachęcać

go do dłuższej rozmowy. Roan wolałby na pewno sam wytłumaczyć mu wszystko, w odpowiednim czasie i na swój sposób, kiedy będzie już do tego gotowy.

Wkrótce zresztą nie będzie miał innego wyjścia.

Dzisiaj potrzebuję czegoś mocniejszego - poskarżył się Roan. - A nie mówię tego zbyt często.

Odrzucił pustą puszkę po piwie. Siedziałam na deskach małego balkonu na zewnątrz sypialni Roana, naga, okryta tylko wełnianym kocem, który był dość duży, by chronić przed chłodem nocy nas oboje. Roan siedział za moimi plecami, tak że mogłam się oprzeć o jego długie, gołe nogi.

- Proszę, możesz wypić resztę mojego. - Obróciłam się do tyłu i przystawiłam kieliszek z burbonem do jego ust. Delikatnie pochwycił brzeg naczynia wargami i wlał sobie całą zawartość do gardła. - Pewnie nauczyłeś się tej sztuczki w barze - zauważyłam, kiedy oddał mi kieliszek

- Nie. Nauczyłem się jej, kiedy Matthew chodził jeszcze w pieluchach. Wystarczy, że będziesz musiała zmieniać dziecku przez parę tygodni pieluchy, a nauczysz się pić, jeść i podpisywać bez używania rąk. Nauczysz się kontrolować swoje odruchy i nie trzymać palców zbyt blisko ust.

Próbowałam się roześmiać, ale zbyt dobrze wyobrażałam sobie tę scenę: szesnastolatek, wychudzony, niezgrabny, opiekuje się małym dzieckiem.

- Kocham cię - powiedziałam po prostu. - Kocham cię teraz bardziej, niż kiedy byliśmy dziećmi, i bardziej niż wtedy, gdy wróciłeś kilka tygodni temu, bardziej niż wczoraj. I bardziej niż dziś rano.

Przytulił się do mnie i pocałował.

- Jesteś troszeczkę pijana? - droczył się ze mną.

- Może. Ale to tylko pozwala mi lepiej zrozumieć, co naprawdę czuję. Muszę sprawić, byś wreszcie uwierzył, że w domu wcale nie będzie tak źle. Matthew dowie się o Dużym Roanie. O przeszłości. O nas. Nie ma przed tym ucieczki. Ale to wcale nie musi się źle skończyć.

- Nie proszę o wiele, bączku. Powiem ci, czego chcę. Chcę śmiać się z tobą. Siedzieć i patrzeć na ciebie. Obudzić się i nie myśleć o niczym innym prócz tego, jaka jesteś delikatna i ciepła, kiedy tak leżysz przy mnie. Chcę, żeby było nam ze sobą dobrze. Żebyśmy byli zawsze razem. Jeśli nam Się to uda, wynagrodzi nam wszystko, co spotkało nas dotąd.

- Uda nam się. Obiecuję ci to. Czasami potrzebuję dużo czasu, żeby spełnić swoje obietnice, ale...
- Nie potrafię czekać tak jak kiedyś - przerwał mi. - Choć nie mogę powiedzieć, żebym nie mógł doczekać się jutra.
- Ja też nie - odparłam ze smutkiem.

Choć dziadek nie mógł już przywitać nas na swej ziemi, jego duch był tu obecny, by skierować mnie, Roana i zagubionego prawnuka do domu.

Lśniący zielony znak głosił, że skrzyżowanie, na które właśnie wjechaliśmy, nosi imię J. H. Maloneya. Było to miejsce, gdzie czteropasmowa droga stanowa skręcała na zachód, a dołączała do niej mniejsza lokalna trasa, prowadząca w góry okalające Dunderry. Kiedyś była to ścieżka, którą pierwsi pionierzy z rodziny Delaneyów i Maloneyów wędrowali przez tereny Czirokezów.

Siedziałam sztywno obok Roana, na szerokiej kanapie limuzyny, którą wynajęliśmy w Atlancie, i obserwowałam Matthew i Tweet, siedzących naprzeciwko nas. Odkąd tylko nasz samochód opuścił drogę międzystanową, Matthew ani na moment nie oderwał spojrzenia od okna.

- Kto to był J. H. Maloney? - spytał.

Twój pradziadek, nie mogłam powstrzymać natrętej myśli.

- Mój dziadek - powiedziałam. - Dziadek Joseph. To on z kilkoma braćmi posadził tamte wierzby, za sklepem. Pod koniec zeszłego wieku ich pradziadek postawił tu gospodę i zajazd dla dyliżansów. Niedługo po tym, jak dziadek -i-jego bracia zasadzili wierzby, gospoda się spaliła, a wtedy wybudowali stację benzynową i sklep. Dziadek i jego kuzynka Harriet O'Brien prowadzili tę stację i sklep przez kilka lat. Wtedy była to jedyna stacja benzynowa w całym okręgu. Tato kupił tu mamie puszkę coli, kiedy byli na swojej pierwszej randce. Nikt nie podejrzewał, że oni chodzą ze sobą, bo tato miał osiemnaście lat, a mama tylko czternaście, a twoja prababka Elizabeth Delaney zamknęłaby mamę w piwnicy, gdyby się o tym dowiedziała. Tato i mama chowali się pod kocem na przednim siedzeniu jego forda...

- Czy Maloneyów jest tak samo wielu jak Delaneyów? - spytała słabo Tweet.

- Właściwie jest ich nawet więcej. Dziadek Joe zawsze twierdził, że wiedział, że tata i Marybeth Delaney chowali się w tym fordzie, ale udawał, że nic nie zauważa. Tata i mama przyjeżdżali zawsze do tego wierzbowego

zagajnika i **pili** tam colę. W tamtych czasach to było niebezpieczne, romantyczne i buntownicze.

- Muszę chyba wyrysować sobie jakąś tabelę, żeby nie pogubić się w tych wszystkich koligacjach Maloneyów i Delaneyów - zauważyła Tweet ze śmiechem.

- Och, my mamy tabele, mnóstwo tabel i drzew genealogicznych. Tweet stuknęła Roana w kolano.

- Powiedz nam coś ciekawego o historii Sulhvanów.

Ukradkiem ścisnęłam jego dłoń, chcąc dodać mu otuchy, i zastanawiałam się, czy radość, którą wywołał powrót Matthew, zrównoważy kiedyś nasz ból. Roan przymrużył oczy, kiedy przejechaliśmy obok wielkiego drewnianego znaku ustawionego pośrodku wypielegnowanej wysepki azalii i begonii.

„Witajcie w Dunderry! Odrobina Irlandii w górach Georgii! Liczba mieszkańców: 15287. Rok założenia 1839:

Burmistrz miasta Dunderry: Irenę Delaney Boggs Okręgowy pełnomocnik rządu: Holt T. Maloney”

- Większy? - Naciskał Matthew, bo Roan nie odpowiedział ani słowem na prośbę Tweet. W końcu wykrztusił:

- Mój ojciec dostał „Srebrną Gwiazdę” w Korei.

Matthew otworzył usta ze zdumienia. Ja też. Nie miałam o tym pojęcia. Myślę, że nikt o tym nie wiedział. Matthew pokręcił głową.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś? To znaczy, wiedziałem, że stracił nogę na wojnie, ale nie wiedziałem, że był bohaterem. Co się stało z tym odznaczeniem?

Roan wyrzwał za pnyciemnione okno limuzyny i przycisnął mocno moją dłoń do swych piersi. Dobrze wiedziałam, co mógł teraz myśleć: „Bohater? Chyba mylicie go z kimś innym.”

- Pochowałem je razem z nim - odparł wreszcie.

Nie byliśmy jeszcze w domu, a już dosięgała go przeszłość. Dosięgała nas wszystkich.

Ekipa budowlana Roana zamieniła błotnistą drogę do Dziesięciu Skoków w idealnie gładką, wysypaną żwirem aleję. W miejscach gdzie przedtem

strumienie przepływające przez drogę tworzyły rozległe bagniska, znajdowały się teraz śliczne drewniane mosty. Małe żółte słupki oznaczały przebieg nowej linii elektrycznej, zakopanej po prawej stronie drogi. W tym samym miejscu biegła także podziemna linia telefoniczna.

Coraz bardziej zdenerwowana rozglądałam się dokoła, kiedy wynajęta limuzyna powoli toczyła się wąską aleją. Zaledwie kilka jardów przed samochodem przeleciał majestatycznie sokół. Potem znów dojrzelismy dzięcioła, a z krzaków obok drogi wyleciało stadko dzikich indyków. Wyglądało to tak, jakby wszystkie gatunki dzikiego ptactwa dowiedziały się

o przybyciu ich wielbicielki i przyjaciółki zarazem. Tweet otworzyła klapę w dachu limuzyny i stanęła prosto, waląc pięściami w sufit i nawołując przelatujące indyki.

- Matthew, spójrz tylko! - zawołała, a potem zamienili się miejscami.

- Widzę dwie sarny! - krzyknął Matthew. Po chwili opadł z powrotem na siedzenie. - Większy, to miejsce jest niesamowite. Cudowne.

- Poczekaj, aż zobaczysz chatę i jezioro - odparł cicho Roan. - Nigdy nie będziesz musiał prosić tutaj nikogo o nocleg. Przygotowałem chatę, tak żebyście mogli czuć się u siebie, za każdym razem gdy tu przyjdziecie. Jeśli naprawdę wam się spodoba i będziecie ją chcieli to... jest wasza. - Roan spojrzał na mnie. Skinęłam głową, zrozumiałwszy wreszcie prawdziwy powód, dla którego kupił Dziesięć Skoków. Uważał, że aby cieszyć się poważaniem w Dunderry, trzeba posiadać własną ziemię. W ten sposób kupił więc sobie pozycję w społeczeństwie - a co ważniejsze, kupił pozycję dla Matthew.

- Roan - powiedziała Tweet płaczliwie, miękko. Matthew wyciągnął rękę i że wzruszeniem uścisnął ramię Roana.

- To twoja własność, Większy. Zawsze opowiadałeś mi, jak uwielbiałeś tutaj przychodzić.

Ukrywać się tutaj, próbować znaleźć coś do jedzenia, pomyślałam ze smutkiem. Ale Matthew nie znał i tej części dziejów Roana.

- Nie, miejsce Roana to Dunshinnog - powiedziałam, patrząc w poważne, smutne oczy Roana. - Góra. Wysokość. Wspaniały widok. To jest nasze specjalne miejsce.

Kiedy dojechaliśmy do chaty, stado przestraszonych kaczek uniosło się nad powierzchnię jeziora, a maleńki cętkowany jelonek próbował dogonić gołębia, który buszował w bujnej trawie przed chatą.

Matthew i Tweet krzyknęli radośnie i wybiegli z samochodu. Przystanęli

nad brzegiem jeziora i rozmawiali o czymś podekscytowani, wymachując rękoma i zachwycając się wspaniałym widokiem - błękitną taflą wody, w której odbijał się purpurowożłoty zachód słońca i zielonym kobiercem drzew, które pokrywały zbocza gór.

Roan wręczył kierowcy zapłatę i suty napiwek, a po chwili limuzyna zniknęła za drzewami. Stanęliśmy oboje przy bagażach, wszyscy przejęci niewypowiedzianym strachem i przeczuciem, że zbliża się nieuniknione. Objął nas ciepły, delikatny szept wieczornej bryzy. Roan spojrzał na chatę, a potem zdziwiony, odwrócił się do mnie i uniósł brew w niemym pytaniu.

Otoczenie chaty zmieniło się znacznie, i nie było to dziełem ekipy Wolfganga. Pojawiła się nowa ścieżka z kamieni, a podwórko przed domem stanowiło istny kalejdoskop świeżo zasadzonych krzewów i kwiatów. Na werandzie stały cztery białe fotele bujane, za nimi zwieszały się wiklinowe donice z pięknymi paprociami.

- Rodzina tu była. - Ruchem głowy wskazałam na najnowszy model forda stojący obok domu. - Potrzebowałeś tutaj samochodu, więc wuj Eugene przysłał ci jeden ze swojego salonu.

Reakcja Roana wymazała na moment dwadzieścia lat i zobaczyłam go takim, jakim był podczas swoich piętnastych urodzin, gdy zaskoczyliśmy go tortem i rxklarunkami. Zdumienie i radość błyskawicznie jednak zniknęły z jego twarzy.

- Mama i tata zostawili też kilka prezentów w chacie - powiedziałam. - Pożyczyłam im klucz, który dałeś mi przed wyjazdem.

Nie powiedział nic, tylko ruszył w stronę domu. Drzwi były otwarte, a kiedy weszliśmy do środka, ujrzeliśmy ogromną wazę z białymi stokrotkami, ustawioną na palenisku, cała zaś chata wypełniona była zapachem sosny i cedru.

Weszliśmy do nowo wybudowanej kuchni. Otworzyłam drzwi lodówki. Była po brzegi wypełniona jedzeniem. Otworzyłam kredens. Naszym oczom ukazał się przepiękny komplet glinianych talerzy i naczyń, pomalowanych w złociste prążki.

- To dzieło mamy. Skończyła je w zeszłym miesiącu. Mówi, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła. Obiecała je jakiejś galerii w Północnej Karolinie. Od dawna już sprzedaje tam swoje prace. Ale teraz chce, żebyś ty je miał. „Z moich rąk do jego serca”, powiedziała. - Spojrzałam w twarz Roana. - Oni zrobili to wszystko tylko dla ciebie. To tylko jeden

z wielu sposobów, w jaki mogą ci okazać, jak bardzo żałują tego, co kiedyś zrobili, i jak bardzo są ci wdzięczni za to, co ty zrobiłeś dla Matthew.

Roan oparł się o kredens i odgarnął włosy z czoła. Przez chwilę w milczeniu obserwowaliśmy Matthew i Tweet, wciąż zachwycających się jeziorem.

- Twoja rodzina może jeszcze pożałować, że nie spaliła tego miejsca, kiedy dowie się całej prawdy o Matthew - powiedział w końcu Roan.

Odwrociłam się.

- Muszę zadzwonić na farmę. Mama i tata czekają. Usłyszeliśmy nadjeżdżający samochód.

- Zdaje się, że wcale nie czekają na telefon - powiedział Roan ze znużonym uśmiechem. - Podejrzewam, że pół rodziny czatowało z lornetkami przy głównych drogach. Zastępcy Alvina czaili się pewnie w lesie. Wiedzieli dokładnie, kiedy tu dotrzemy.

Próbowałam się uśmiechnąć.

- Pewnie tak. Ale to dobrze. Są podekscytowani.

Wyszliśmy na zewnątrz. Mama i tata zatrzymali właśnie samochód przed domem.

- Miałem rację - powiedział Roan. - Nie mogli się doczekać i...

Głos zamarł mu w piersiach, gdy otworzyły się drzwiczki samochodu. Mama wysiadła pierwsza i jak zaczarowana wpatrywała się w Matthew i Tweet. Tato stanął na szeroko rozstawionych nogach i przenosił spojrzenie od nas na tamtą dwójkę i z powrotem. A między nimi przeszedł Josh, kierując się w dół zbocza, prosto do Matthew, który wraz z Tweet wpatrywał się w niego ze zdumieniem, uśmiechnięty, lecz najwyraźniej zakłopotany tą nieoczekiwaną reakcją zupełnie obcego mu człowieka.

Jego ojca.

Poczułam się tak, jakby nagle przestało mi bić serce.

Roan zareagował błyskawicznie. Szybkim krokiem ruszył w stronę jeziora, by przeciąć drogę Joshowi. Dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że i ja kuśtykam jego śladem, nie podpierając się nawet laską i mrużąc bezustannie:

- On nie wie, on nie wie... - jak gdybym mogła zatrzymać czas i przygotować Matthew do tej trudnej chwili.

- Mamo, co wy wszyscy robicie? - zawołałam. Wyciągnęła jedną rękę w moją stronę, a drugą w stronę Josha, choć oczywiście nie mogła dosięgnąć żadnego z nas. Jej oczy płonęły radością i niepokojem.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze - wołała z daleka. - Nie mogliśmy powstrzymać Josha, kiedy dowiedział się o Matthew, ale obiecuję, że ty i Roan zrozumiecie, dlaczego on jest tutaj z nami, kiedy poznacie prawdziwą historię...

- Wy wiecie? - Wpatrywałam się z ogłupiałą miną w moją matkę. - Ty i tato już wiecie?

W odpowiedzi mama obdarzyła mnie równie niemądrym spojrzeniem. Potem powoli uniosła dłoń do ust. Odwróciła się na pięcie i podeszła do taty.

- Holt - zaczęła z naciskiem. - Roan i Claire wiedzą o Joshu i Matthew. Tato rzucił zdumione, twarde spojrzenie najpierw na mnie, a potem na Roana.

- O mój Boże - syknął i pospiesznie ruszył w dół zbocza.

- Najpierw policzysz się ze mną - powiedział Roan, kiedy dotarł do Josha i stanął na jego drodze. - Do cholery, najpierw porozmawiasz ze mną.

Josh zatrzymał się, mrugając oczami ze zdumienia. Wyglądał na kompletnie zaskoczonego i oszołomionego. Krew napłynęła mu na twarz. Większy, starszy, cięższy od Roana, próbował niepewnie odepchnąć go na bok a potem ominąć. Wyglądało to tak, jakby nie interesowało go nic i nikt poza Matthew, który stał zaledwie kilka jardów dalej, zawartymi ustami i oczami pełnymi niemych pytań.

Roan podniósł pięść. Wiedziałałam, że zaraz uderzy Josha. Wrzasnęłam coś i zaczęłam kuśtykać w ich stronę najszybciej jak potrafiłam. Tato był jednak pierwszy i stanął pomiędzy zwaśnioną dwójką. Mama podeszła do Matthew i Tweet, wyciągając do nich ręce.

- Proszę, nie myślcie, że chcieliśmy was schwytać w jakąś pułapkę. To wszystko wymyka nam się spod kontroli, ale tylko dlatego, że tak bardzo nam na was zależy. I nie ma łatwych rozwiązań w takiej sytuacji.

Matthew spojrział na nią pustym wzrokiem, a potem podskoczył do Roana i Josha, stając obok mojego taty.

- Większy, nie wiem, co się tu dzieje, ale proszę, uspokój się.

Roan odciągnął Matthew na bok i stanął przed nim. Tato położył obie dłonie na ramionach Josha i przytrzymał go w miejscu. Josh wciąż nie odrywał spojrzenia od Matthew.

To ja byłam pierwszą osobą, która odzyskała wreszcie zdolność do jakiegoś działania. Dwadzieścia lat. Roan poświęcił dwadzieścia lat dla Matthew, dla rodziny, poświęcił je za tchórzliwą dumę Josha. Kiedy doszłam wreszcie do mojego brata, pochwyciłam go za koszulę na piersiach.

- Jak śmiesz!?! - Wybuchnęłam, nie mogąc poradzić sobie z natłokiem emocji. - Jak mogłeś!?! Dlaczego?

Dlaczego?

Josh nawet nie drgnął. Nie odwracając oczu od Matthew, powoli pokręcił głową. Mama i Tweet próbowały uporządkować jakoś całą sytuację, błagając nas o spokój, nakazując nam się cofnąć, odciągając jedno od drugiego. Wyglądaliśmy jak ludzkie kłębowisko, płatanina kobiet i mężczyzn, którzy kręcili się w ciasnej grupce, próbując się zasłonić, uniknąć ciosu, lub zaatakować się nawzajem, aż tata odchylił swą łysą głowę do tyłu i huknął:

- Piękne rodzinne pojednanie, do cholery. Cofnijcie się wszyscy albo powrzucam was do jeziora. Nie wyłączając ciebie, córeczko.

Wszyscy jakby nieco ochłonęli. Cofnęliśmy się o kilka cali, dysząc ciężko.

- Kim jesteś? - spytał Matthew Josha.

Mój brat przez moment nie mógł przemówić.

- Josh - odezwał się wreszcie chrapliwym głosem. - Josh Maloney. W oczach Matthew pojawił się niepokój.

- To ty jesteś na tym zdjęciu. To ciebie wskazałem na starej fotografii, którą przywiozła ze sobą Claire.

Bolesne zdumienie na twarzy Josha.

- Naprawdę? Boże! Miałem rację. Wystarczy, że spojrzę na ciebie i wszystko staje się jasne. A ty, rozpoznałeś mnie.

Roan przemówił cierpkim tonem:

- Nie jesteś mu nic winien, Matthew. Pamiętaj o tym. On nie ma nic wspólnego z tym, kim teraz jesteś. Nie zapominaj, czego cię nauczyłem. Nikt nie może cię upokorzyć.

Matthew podniósł obie ręce.

- Nikt nie może mnie upokorzyć ani wywyżżyć! - krzyknął. - Bo nie rozumiem, do cholery, co się tutaj dzieje!

Josh skinął głową. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Matthew.

- Próbowałem odnaleźć cię przez wiele lat. Nie tak powinienes się o tym dowiedzieć, ale nie mogłem się doczekać tej chwili. Nie jesteś synem Pete'a Delaneya. Jesteś moim synem.

Roan przestał nagle oddychać, jakby Josh ukradł mu całe powietrze. I w tym właśnie momencie, wypełnionym bez reszty zdumioną ciszą, ujrzałam coś, czego zupełnie się nie spodziewałam, ujrzałam nieoczekiwaną radość w oczach Matthew.

Roan też ją widział.

Rozdział szesnasty

Roan uważał, że rodzina, którą z takim trudem sobie stworzył, została zniszczona przez kaprys losu, przedziwny bieg wydarzeń, jakiego nie mogliśmy w żaden sposób przewidzieć. Zawsze starał się zabezpieczyć na każdą okoliczność i nagle jego czujność i gotowość do obrony stały się zupełnie niepotrzebne. Niespodziewanie to, co było najlepsze dla Matthew, okazało się najgorsze dla niego.

Mama i tata świętowali powrót swego pierworodnego wnuka z pompą. Wiedziałam już, na co się zanosi, kiedy przed dom zajechali pierwsi wujowie i ciotki z dziećmi, jedzeniem i gitarami. Wszyscy mówili, że to cud i łaska boska, dziękowali Roanowi, który w ich pojęciu zatoczył pełne koło, poświęcając się jeszcze raz dla rodziny, zabierając i oddając.

Siedzieliśmy w salonie, Roan i ja z moimi rodzicami. Mama przysiadła na kanapie obok Roana. Wzięła go za rękę i ukryła ją w swoich dłoniach, co wprawiło go w smutne zakłopotanie.

- Spodziewam się, że niedługo zostanę twoim teściem - powiedział tato Roanowi. - Mam nadzieję, że będę dla ciebie równie dobrym ojcem, jak ty byłeś dla Matthew.

- Naprawdę trudno mi nawet mówić o tym, jak wiele dla nas znaczysz, jak bardzo jesteś nam drogi - mówiła mama miękko. - Jak mogłeś przypuszczać, że odrzucilibyśmy ciebie i Matthew.

- Możecie to jeszcze zrobić - odparł Roan.

- Przestań! Nie mów tak nigdy więcej!

Siedziałam po drugiej stronie Roana i nie mogłam oderwać od mego spojrzenia. On także patrzył mi w oczy.

Widziałam w nim tę wewnętrzną

moc, twardy fundament, który pozwolił mu przetrwać ciężkie dzieciństwo, i wydawało mi się, że on dostrzegał podobną siłę we mnie. Roan spojrział na moich rodziców, unosząc wysoko głowę, napinając twarz w nerwowym grymasie.

- On jest moją rodziną - oznajmił szorstkim tonem, trzymając dłoń na piersi. - Nigdy nie próbowałem wpajać mu nienawiści do tego miejsca i tych ludzi, ale mówiłem mu prawdę. Powiedziałem o wszystkim, co dobre, i o wszystkim, co złe. Nauczyłem go, jak ma budować swoje życie, by nie poczuł pustki i samotności, gdyby przyjechał tu kiedyś i przekonał się, że nikt go nie chce. Więc nie czuje nienawiści do nikogo z was - po prostu was nie zna. Jeśli jednak znienawidzi kogoś, to już jego sprawa.

- Na pewno odnajdzie tu swoje miejsce - twierdziła mama. - Jeśli tylko damy mu szansę. I ty też, Roan.

Tak więc między moimi rodzicami i Roanem wytworzyło się coś w rodzaju milczącego porozumienia.

Matthew ze szczerym zapałem włączył się do ogólnej radości, jaka towarzyszyła jego powrotowi do domu. Nagle on i Tweet mieli rodzinę większą, niż kiedykolwiek mogli sobie wyobrazić, i oboje byli pijani ze szczęścia. Tak jak Josh.

Wielu ludzi mówiło, że Josh wycierpiał się już dość i odkupił swój błąd sprzed lat - poczuciem winy, wstydem, udręką. Kiedy po narodzinach Amandy umarła jego żona, poczuł się ciężko doświadczony przez los i nie potrafił odpowiedzieć na miłość córki, gdyż pamięć o drugim, odrzuconym • dziecku, nieustannie paliła jego sumienie. W końcu zrozumieliśmy jego chłód i dziwne humory.

Ale ja wcale mu nie współczułam. O mały włos przez mego na zawsze stracilibyśmy Matthew. Tylko dzięki Roanowi był teraz wśród nas. Roan wiele wycierpiał przez te lata, poświęcając życie Matthew. Ja też cierpiałam z tego powodu, choć inaczej. A wszystko przez Josha.

- Kiedy zaczęliście coś podejrzewać? - spytałam mamę tego wieczoru. Pochyliła głowę.

- Pamiętasz ten długi weekend, kiedy urządziliśmy wielkie przyjęcie i naprawialiśmy most Delaneyów, a potem pojawiła się tam Sally z Matthew? Podejrzewam, że byłaś wtedy jeszcze za mała, żeby zwrócić uwagę na Sally i Josha, ale ja i twój tata widzieliśmy, jakim wzrokiem patrzyła wtedy na niego, jakby chciała usmażyć go na wolnym ogniu. I wyciągnęła wtedy

Matthew w stronę Josha, a on był tak zdenerwowany, że omal nie spadł z tego dachu. Upuścił wtedy jakieś narzędzie... - Mama opowiadała, co działo się dalej, jak to łom skaleczył w głowę kuzyna Roberta. Milczałam. Mama i tata odrzucali od siebie myśl, że scena, której byli świadkami, oznaczała naprawdę to, czego się obawiali. Byli zbyt tym poruszeni, a potem było już za późno - Sally zniknęła po zamieszczeniu, jakie rozpętało się po skandalu z Dużym Roanem. Kiedy Josh wyznał im prawdę, przez wiele lat w tajemnicy przed całą resztą rodziny, pomagali mu szukać Matthew. Korzystając z rozległych znajomości wuja Ralpha wynajęli najlepszych detektywów, ale nigdy nie udało im się uzyskać choćby najmniejszej informacji.

Oczywiście zawsze szukali Sally McClendon i Matthew McClendon albo Matthew Delaneya. Nigdy Matthew Sullivana.

Tego wieczoru, gdy przywieźliśmy Matthew do domu, we wszystkich oknach na farmie płonęły światła, samochody wypełniły szczelnie parking i drogę dojazdową, Maloneyowie i Delaneyowie, których było tam co najmniej kilkudziesięciu, siedzieli i leżeli pod drzewami i na werandach, zatopieni w rozmowach. Wszystkie wnuki kręciły się w pobliżu Matthew, niektórzy nieśmiali, ale mimo to ciekawi. Wszyscy też, od niemowlaków do nastolatków, zostali mu przedstawieni. Brakowało tylko Amandy. Pojechała wraz z córkami Rebeki na letni obóz, do miejscowości oddalonej o kilka godzin jazdy, i miała wrócić za kilka dni. Rodzina odbyła już długą dyskusję w kwestii tego, jak Josh powinien powiedzieć Amandzie o tym, że ma przyrodniego brata.

Dyskutowano też, jak podziękować Roanowi.

- Wiem, co znaczyła dla twojej dumy decyzja, by powrócić do domu po wszystkich tych latach i podjąć to ryzyko - mówił tata. - Byłeś przygotowany na kłopoty, a tymczasem spotkało cię coś zupełnie nieoczekiwanego, dostałeś kopniaka prosto w brzuch. Jednak tym razem nikt nie odwraca się do ciebie plecami. Ani Matthew, ani my.

- Nie wyjawialiśmy nikomu tajemnicy Josha, bo bardzo nad tym boleliśmy i chcieliśmy to naprawić - powiedziała mu mama. - Nie umywamy rąk od jego winy. Wiemy, kto we właściwym czasie zrobił, co należało zrobić. Nigdy nie spojrzę na Matthew, nie myśląc jednocześnie o jego przeszłości. Wszystko, czym Matthew może się teraz pochwalić, jest twoją zasługą.

- Zrobimy, co w naszej mocy, by wynagrodzić mu stracony czas - dodał tata. - I to samo zrobimy dla ciebie.

Roan, który prawie się nie odzywał i wyglądał tak, jakby niebo zważyło mu się na głowę, odpowiedział cicho:

- Proszę was tylko o jedno. Nie opowiadajcie mu o mojej przeszłości. Nie mówcie mu o moim ojcu, o Wąwozie, o tym, co się stało, nic. To jest moim obowiązkiem.

Mama i tato przyrzekli.

- Musimy wyrwać chłopaka z tej samotności - powiedział mi tata, kiedy byliśmy sami. Tata i mama martwili się o Roana. - Zmusz go, żeby zaczął wreszcie mówić o przeszłości. Niech to z siebie wyrzuci. Niech pozbędzie się tej trucizny. Wtedy i my będziemy się jej mogli wreszcie pozbyć.

Tymczasem dokoła trwała radosna zabawa na powitanie Matthew.

Wiadomo było już, że on i Tweet bez trudu znajdą swoje miejsce w rodzinie. Wszyscy wujowie i ciotki z rodziny Maloneyów doszli do tego samego wniosku jeszcze tego wieczoru. Ciotka Arnetta, która nie wypowiadała zbyt wiele komplementów pod adresem rodziny, odkąd wuj Eugene rozwiódł się z nią i ożenił ze swoją sekretarką, podsumowała głośno wszystkie dyskusje:

- Chłopak nie mógłby być lepszy, nawet gdyby wychowywała go własna rodzina - oznajmiła w obecności Roana. Jego własna rodzina. Oświadczenie ciotki wywołało szmer zakłopotania. Roan uśmiechnął się słabo i wyszedł na zewnątrz.

- Jak mogłaś? - powiedziałam do ciotki Ametty. A do reszty: - Wstyd mi za was wszystkich.

Wysłałam za Roanem na werandę. - Czas się przegrupować - rozkazałam, biorąc go za rękę i odganiając laską ciekawskie psy. - Idziemy do stodoły, na strych.

- Jak za dawnych czasów - odpowiedział.

Musiał wnieść mnie na górę, ale jakoś sobie poradziliśmy. Usiadłam na beli sprasowanej słomy. Roan stał, opierając się plecami o futrynę, i patrzył na ciemny masyw Dunshinnog. W tle błyszczały setki gwiazd.

- Widok się nie zmienił. - W jego głosie była gorycz i rezygnacja.

- Mylisz się. Nic nie jest już takie samo, i to z twojego powodu.

- Wychowałem Matthew. Karmiłem go, ubierałem, wykształciłem, broniłem, a teraz przywiozłem go tutaj i wszystko znów wygląda tak, jakbym nigdy nie istniał.

- Nie. Daj im czas. Pozwól, żeby sobie to wszystko uporządkowali. Nikt nie chciał traktować cię protekcjonalnie.
- Nie możesz zmienić ich zachowania - odparł ze znużeniem. - Nie wątpię, że postąpiłem słusznie, przywożąc tutaj Matthew. Oni go chcą; Tak naprawdę to nie zależy im wcale na mnie, ale chcą jego. Jest więc tu, gdzie jego miejsce. Odkrył, że jego ojciec wcale go nie porzucił. To dla niego bardzo ważne, bączku.

- Ty jesteś jego ojcem.

- Nie. Nigdy nim nie byłem. Czasami zapominałem o tym, ale zawsze ta świadomość tkwiła gdzieś we mnie.

- Myślisz, że będzie miał do ciebie żal, bo nie powiedziałaś mu o Joshu? Nie wiedziałeś, że Josh go szuka. Matthew nie będzie miał o to pretensji.

Odwrócił się, uklęknął przede mną i wziął mnie za rękę.

- Chciałbym mieć twoją wiarę.

Podniósł moje ręce do swej twarzy, całował moje dłonie, potem położył je sobie na policzkach. Pocałowałam go.

- Tak bardzo cierpisz, że nawet nie wiesz, czego chcesz.

Oparł głowę na moich kolanach, a ja wsunęłam palce w jego włosy. Usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach. Roan szybko się wyprostował.

Josh przecisnął się między belami słomy i zatrzymał przy drzwiach. Sylwetki mego brata i Roana odcinały się wyraźnie od rozgwieżdżonego nieba.

- Roan, wierzę, że ty pozwoliłbyś mi przynajmniej powalczyć, zanim wypchnąłbyś mnie przez te wrota - powiedział głośno, jowialnym tonem. - Ale siostrzyczka pewnie od razu by to zrobiła, a potem nie uroniła nawet łezki.

- Masz zupełną rację - odparłam powoli. - Chcesz zamienić to wszystko w żart?

- Nie, próbuję tylko rozładować trochę atmosferę.

- Przestań. Potrafię od razu rozpoznać takich krętaczy jak ty, obłudnych polityków. Robiłam wywiady z takimi facetami. Potrafią tylko gadać, są to puste słowa.

Josh odwrócił się w moją stronę ze złością.

- Wystarczy, siostrzyczko.

- Wystarczy? Mamy paść sobie w ramiona, uśmiechać się do siebie i dziękować Bogu, bo ty odważyłeś się powitać własnego syna w domu po dwudziestu latach, kiedy Roan zajmował się nim nie mając żadnego wsparcia?

- Nie proszę o pochwały i nagrody. Roan, wiem, że to wszystko jest tylko twoją zasługą. Nigdy nie będę w stanie ci się odwdziżyć.

Roan przesunął się cicho w stronę mojego brata.

- Nie chcę twojej wdzięczności. Chcę odpowiedzi. Powiedz mi, dlaczego wykorzystywałeś Saliy. Poza oczywistymi powodami. Josh oparł się o futrynę, wbił ręce w kieszenie i opuścił głowę. Przez chwilę wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w niebo.

- Siostrzyczko, pamiętasz tę noc, kiedy wróciłem z Wietnamu? Kiedy rodzina przyjechała po mnie na lotnisko do Atianty?

- Pamiętałam, jak tato niósł mnie na ramionach przez korytarze portu lotniczego w Atlancie, pamiętałam tłum Maloneyów wokół nas i że w środku nocy wszyscy byliśmy wystrojeni jak na jakąś niezwykłą uroczystość. Czułam się niesłychanie dumna, bo mama dała mi czerwoną różę na długiej łodydze, którą miałam wręczyć Joshowi na powitanie, a dziadek obciął z niej wcześniej wszystkie kolce. Byłam tek podniecona, że machałam tą różą do wszystkich mijanych ludzi. Byłam taka dumna z Josha. Wszystkich rozpierała duma.

- Kiedy wysiadałem z samolotu - mówił dalej Josh - jeden z pasażerów zapytał mnie, czy byłem w Nam. Kiedy powiedziałem, że tak, opluł mnie. Nazwał mnie mordercą.

- Jak zareagowałeś?

- Starłem ślinę z munduru, żeby rodzina nie zauważyła.

- Och, Josh.

- Szanuję twoje uczucie do Roana i to, co dla niego robisz. Wstyd mi, że byłem jednym z tych, którzy zgodzili się wygnać go z domu, kiedy zabił Dużego Roana, i że jak inni twierdziłem, że lepiej będzie mu gdzie indziej. Nie chciałem, żeby ktoś pluł na niego za to, że zrobił, co powinien był zrobić. Teraz wygląda na to, że właśnie on chce pluć.

- Nie przyjechałem tutaj po to, żeby cokolwiek udowadniać - powiedział Roan. - I nie mam zamiaru wysłuchiwać płaczących opowieści o twoim życiu. Ludzie cię nie rozumieli, więc traktowałeś Sally McClendon jak śmieć? O to ci chodzi?

- Nie wiedziałem już, jak mam się zachowywać w stosunku do rodziny - mówił Josh niskim, napiętym głosem. - Z nikim nie mogłem rozmawiać o Wietnamie, o tym, co widziałem, co przeżyłem. Miałem pewne nawyki, z których nie byłem dumny, koszmarne sny i... Ale kiedy wróciłem do domu,

wszyscy oczekiwali ode mnie, że znajdę sobie jakąś miłą dziewczynę ze średniej szkoły. Tymczasem przez jakiś czas nie pamiętałem nawet, kim jestem. Sally zdawała mi się... nieskomplikowana. Ale po kilku z nią spotkaniach mój umysł zaczął się oczyszczać. Spojrzałem kiedyś w jej oczy i rozumiałem, że ona mnie nienawidzi. Pogardza mną jak dziewczyny w Sajgonie. Wtedy też zdałem sobie sprawę, że chcę uczynić życie tutaj równie podłym jak to w Sajgonie, żeby usprawiedliwić się przed samym sobą. Wiedziałem, że muszę zacząć się kontrolować, spróbować znaleźć sobie nowe miejsce w domu. Musiałem zapomnieć. Parsknęłam głośno.

- Mogłeś nie zapominać przy okazji, że masz syna. Josh odwrócił się do mnie.

- Posłuchaj, siostrzyczko, na początku nie byłem nawet pewien, czy on jest moim synem. Uważałem z Sally. Nie byłem całkiem zabezpieczony, ale uważałem. Myślałem, że to całkiem możliwe, że to dziecko Pete'a, jak wszyscy zakładali. Mogło tak być. Tak sobie mówiłem. A Sally miała jeszcze innych... klientów. - Josh przerwał na moment.

- Myślałem, że to mógł być syn Dużego Roana. ~<

- Szkoda, że tak nie było - odparł Roan głucho. - Byłby wtedy moim przyrodnim bratem. Byłbym z nim spokrewniony. Nie musiałbym go ukrywać. Mógłbym go wtedy przywieźć tutaj wiele lat temu. Mógłbym powiedzieć Claire, a wtedy Claire i ja...

Josh skinął głową.

- Wiem, o czym mówisz, Roan. Gdyby to był twój brat, mógłbyś nam powiedzieć, żebyśmy poszli sobie do diabła. I powiedziałbyś.

- Tak.

Pochyliłam się do przodu.

- Ale tamtego dnia, przy moście, wiedziałeś już na pewno, czyim synem jest Matthew.

- Wiedziałem, siostrzyczko, tak. Wiedziałem. Zbyt wiele czasu spędziłem na rozmyślaniach, jakiego wstydu narobiłbym mamie i tacie. I sobie. Długie, tchórzliwe rozmyślenia - dodał sarkastycznie. - W końcu jednak udało mi się powiedzieć im o wszystkim. Zrobiłem to sam, siostrzyczko. Ale powiedziałem im tuż przed tym, jak wszystko tutaj zwariowało. Duży Roan... Daisy McClendon, wykrzykująca jakieś bzdury o Sally, odgrażająca się, że powie wszystkim... a potem Sally zniknęła z Matthew.

333

- Szczęśliwie dla ciebie - dodałam. Wyrzucił obie ręce w powietrze i krzyknął:
- Od tego czasu nie było dnia, w którym bym o nim nie myślał! Zastanawiałem się, gdzie jest, czy coś mu się nie stało, czy ma co jeść, czy siedzi może gdzieś w więzieniu, a może już nie żyje.
- To dobrze. Bardzo dobrze - wrzasnęłam w odpowiedzi. - Ja przeżyłam dwadzieścia lat zadreńczając się takimi samymi pytaniami o Roana. Cieszę się, że wiesz, jak to boli.
Josh zgarbił się nagle, opuścił ramiona, jakby opadł z sił.
- Nie mogłem patrzeć na Amandę, nie myśląc jednocześnie o Matthew.
- Co zamierzasz jej teraz powiedzieć?
- Że ma przyrodniego brata. Że to wspomniały chłopak. Że bez względu na to, jak przyszedł na ten świat, jest częścią rodziny i będziemy go kochać. - Josh odwrócił się powoli do Roana. - I że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przekonać go, by został w Dunderry.
Roan zamarł w absolutnym bezruchu - w tej niebezpiecznej, złowrogiej ciszy, którą tak dobrze pamiętałam.
- Matthew ma sporo przyjaciół na zachodnim wybrzeżu - powiedział wreszcie. - To jego dom. Wątpię, czy zechce zmienić wszystkie swoje plany.
- Byłbym tylko wdzięczny, gdybyś nie próbował wpływać na jego decyzję.
- Nie waż się - przemówiłam mskim, wściekłym głosem. - Nie waż się pouczać Roana i traktować go jak doręczyciela. Jakby był jakąś wynajętą niańką, która wykonała swoją pracę, a teraz możemy wszyscy z radością...
; - Przecież wcale nie o to mi chodziło, na Boga, i ty dobrze o tym wiesz, siostrzyczko. Roan. Będziesz musiał zrobić to, co zrobiłem ja, kiedy wróciłem z Wietnamu. Znaleźć sobie nowe miejsce. Chcę, żebyś to zrobił.
- Nie potrzebuję twojego pozwolenia.
- Och, do diabła, wszyscy tego chcą. Nie chcesz w to wierzyć, ale tak właśnie jest. Poproś Claire o rękę. Zamieszkać tutaj. Będziesz blisko Matthew. Bądź nadal tym, kim byłeś dla mego przez dwadzieścia lat. Będziemy musieli się jakoś dogadać. Wiedziałaś od dawna, odkąd był jeszcze dzieckiem, że ja jestem jego ojcem. Pogódź się z nową sytuacją. Ty nie jesteś jego ojcem. Ja nim jestem.
Roan nachylił się lekko, zaciskając dłonie w pięści. Josh wysunął szczękę do przodu. Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Poderwałam się na równe nogi i omal nie upadłam, uderzając w ręką w ramię mojego brata. Roan

pochwycił mnie i przyciągnął do siebie. Objął mnie mocno, unieruchamiając mi ręce, bo wciąż próbowałam rzucić się na Josha.

- Chcesz komuś grozić, wielki bracie? Proszę bardzo, możesz grozić mi.

- Claire, na miłość boską - westchnął Josh.

- No już. Śmiało.

- Ty wiedziałeś - rozległ się w ciemnościach głos Matthew. Wszyscy troje obróciliśmy się szybko w stronę wejścia na strych. Matthew wsunął się pomiędzy bale sprasowanej słomy. - Nie chciałem was podsłuchiwać - powiedział napiętym głosem. - Byliście tak zajęci kłótnią, że nie słyszeliście, kiedy tu wszedłem.

Czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Matthew zrobił jeszcze kilka kroków do przodu, zgarbiony, z rękami założonymi na piersiach. Zatrzymał się przed Roanem, który wypuścił mnie z uścisku. Odsunęłam się na bok, ale obserwowałam Roana z troską. Matthew przez chwilę patrzył na niego w milczeniu.

- Wiedziałeś, że Pete Delaney nie był moim ojcem, i że jest nim Josh Maloney - przemówił oskarżycielskim tonem. Jego głos drżał. - Wiedziałeś o tym, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, 4, nie powiedziałaś mi. Jak mogłaś mnie tak okłamywać?

Roan pochwycił go za ramiona.

- Posłuchaj mnie. Myślałem, że nie ma tu nic, do czego warto by wracać. Myślałem, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli uwierzysz, że twój ojciec nie żyje. Myślałem, że tak będzie bezpieczniej.

- Okłamywałaś mnie. Nikt nie ma prawa podejmować za kogoś takiej decyzji. Ufałem ci. Zawsze ci ufałem. Ale ty pozwoliłaś mi myśleć, że nie mam nikogo prócz ciebie.

- Matthew... - przemówiłam chrapliwym głosem. - Nie wyciągaj wniosków...

- Jeden telefon - mówił dalej Matthew, przechyliwszy głowę. Mierzył Roana gniewnym wzrokiem. - Albo nawet jeden list. Tylko tyle musiałaś napisać. Mogłaś się dowiedzieć, czy mnie tu chcą. Mogliśmy wrócić.

- Ta rodzina mogła mi ciebie odebrać. Nie miałem do ciebie żadnego prawa. Josh mógł cię odesłać do sierocińca albo oddać do adopcji. Łatwo ci stać tutaj teraz i mówić, że nie zrobiłby tego, ale ja nie chciałem podejmować takiego ryzyka.

- Nie chciałeś podejmować takiego ryzyka? Nie mogłaś zaryzykować

jednego telefonu do Maloneyów, żeby dowiedzieć się czegoś, co było dla mnie tak ważne? Cóż oni kiedykolwiek zrobili, żeby zasłużyć sobie na taką opinię? Nic. Uczyłeś mnie, że trzeba ufać ludziom, że trzeba im zawsze dać szansę, by mogli udowodnić, co są warci, ale ty nigdy nikomu nie ufałeś. Nigdy nie dałeś tej rodzime szansy, nie pozwoliłeś, by mogła cokolwiek udowodnić tobie albo mnie.

- Widzisz ich w innym świetle niż ja. To dobrze. Chcę, żeby tak było. Po burzy świat jest piękniejszy. Ciesz się tym, co widzisz teraz.

- To nie jest odpowiedź.

- Na razie nie dostaniesz nic ponad to.

Roan wciąż trzymał Matthew za ramiona. Matthew odtrącił jego rękę.

- Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla twego postępowania. Mogłeś mi powiedzieć, kim jestem, kiedy byłem już dość dorosły, by pewne sprawy zrozumieć. Mogłeś pozwolić mi zdecydować, czy chcę poznać swojego biologicznego ojca. Ty jednak nie chciałeś mieć nic wspólnego z tymi ludźmi i dokonałeś za mnie wyboru. Ale teraz powiem ci wprost: *Nie masz prawa decydować o moim losie.*

- W porządku. Powiedz mi tylko, co zamierzasz zrobić.

Matthew wciągnął głośno powietrze. Wyglądał okropnie, ale wcale nie było mi go żal. Skrzywdził Roana za grzechy, których ten nie popełnił, i sam nie rozumiał ogromu tej zdrady.

- Tweet i ja zamierzamy poznać dobrze rodzinę. Babcię, dziadka. Moją małą siostrzyczkę. - Spojrzał na Josha, który był całkowicie zaskoczony i oszołomiony tym nieoczekiwanym zwycięstwem. - I mojego ojca. - Matthew znów przeniósł spojrzenie na Roana. - Jeśli ci się to nie podoba, nie musisz w tym uczestniczyć.

Powiedz mu, błagałam w myślach Roana. Powiedz mu, dlaczego utraciłeś wiarę i zaufanie do rodziny. Powiedz mu, co stało się z tobą i ze mną.

Ale Roan stał w głuchym milczeniu, nie próbując się usprawiedliwiać, tłumaczyć czy przepraszać, patrzył tylko w światło gwiazd i ciemne kontury Dunshinnog, które odbijały się w oczach Matthew.

Rozdział siedemnasty

Matthew i Tweet zamieszkali w dużej, narożnej sypialni na farmie, w pokoju, który należał do najstarszej części domu.

Nie myliłam się co do Tweet. Uwielbiała kurczaki, ale też jadła je bez oporów. Matthew kochał wszystko, co wokół nich chodziło, pełzało, pływało lub latało. Oboje całymi dniami przebywali poza domem, odkrywając coraz to nowe cuda na samej farmie i w jej okolicy.

Mama i tata dokładali wszelkich starań, by największy dom klanu Maloneyów bez ustanku tętnił życiem i rodzinnym ciepłem. Niemal codziennie odbywały się tam przyjęcia lub uroczyste obiady, na które przybywali moi bracia ze swoimi żonami. Oczywiście panowie przywdziewali na te okazje najlepsze garnitury, a panie pachniały najlepszymi francuskimi perfumami.

Matthew i Tweet byli w centrum uwagi, klejnotem otoczonym przez błyszczące stare srebra, kryształy i porcelany z jadalni, bukiety kwiatów, ustawione w każdym rogu i za każdym zakrętem korytarza, zachowane od pokoleń meble i dziesiątki wypolerowanych drobiazgów, z których każdy wiązał się z jakąś niezwykłą historią rodzinną.

Roan i ja nie braliśmy w tym udziału.

Mój brat z dumą przedstawiał Matthew wszystkim swoim znajomym z Dunderry i okolic, bez ustanku zapraszał go na przyjęcia i obiady, obsypywał jego i Tweet podarunkami różnej wielkości i wartości - od kryształowych waz, które odziedziczył po prababci, do pięćdziesięciu akrów najlepszego gruntu na północy okręgu Dunderry i pełnego członkostwa w klubie.

- To wstyd - grzmiał tata. - On chce kupić szacunek tego chłopca.

Mama opowiadała swoim siostrze, że Matthew docenia hojność Josha, ale pieniądze nie robią na nim większego wrażenia.

- To dlatego że Roan wychowywał go w otoczeniu dużych pieniędzy i sam nigdy mu niczego nie skąpił - powtarzałam z naciskiem przy każdym, kto chciał mnie słuchać. - On nie jest jakimś prostakiem, nie da się kupić za świecidełka. Josh może zdobyć jego zainteresowanie, ale nie miłość.

Na co Renfrew odpowiadała kwaśnym tonem:

- Nie ma co, twój brat nie żałuje grosza na tę uwagę.

Josh zabrał Matthew i Tweet do Atlanty, gdzie oboje byli gośćmi honorowymi na cocktail party, które Josh wyprawił na ich cześć w swoim mieszkaniu. Nie powiedział jednak Matthew o swej kilkuletniej już znajomości z Lin Su, Wietnamką z pochodzenia, która w tym czasie podróżowała w interesach. Z pewnością nie był to dobry temat na rozmowę między ojcem i dopiero co odzyskanym synem - dziewczyna Josha była przecież zaledwie o kilka lat starsza od jego dziecka. Następnego dnia Josh obwoził Matthew po stolicy stanu i przedstawiał go swoim przyjaciółom z komisji ustawodawczej, potem zastępcy gubernatora, a w końcu nawet samemu gubernatorowi.

- Matthew zachowywał się wspaniale na tym spotkaniu - opowiadał potem Josh Brady'emu, który z kolei powiedział o wszystkim mnie. - Naprawdę, mogę być z niego dumny. Może dyskutować na każdy temat, ma ogromną wiedzę i świetny kontakt z ludźmi. To samo można powiedzieć o Millie. - Josh nie nazywał żony Matthew Tweet. Zapewne uważał, że imię to nie jest dość dystyngowane. - Mój syn ma po prostu wrodzony talent do pracy z ludźmi. »j

Wrodzony talent. Josh nie chciał przyjąć do wiadomości, że Roan naprawdę dobrze wychował Matthew, prawdopodobnie nawet lepiej, niż zrobiłby to on sam. Z ponurą satysfakcją poprosiłam Brady'ego, żeby wspomniał w obecności Josha, że w kręgu przyjaciół Roana jest między innymi senator i dwóch byłych gubernatorów stanu Waszyngton. Że Matthew nie wyrastał w społecznej próżni.

Lecz tak naprawdę przerażające były chłód i przepaść milczenia, które z każdym dniem coraz bardziej dzieliły Roana i Matthew.

Roan bez ustanku chodził po lesie. Moja noga była jeszcze za słaba, żebym mogła mu towarzyszyć, a zresztą on i tak nie chciał mojego towarzystwa, co sprawiało mi ból jeszcze większy niż chora noga. Wolał być sam, a ja zarzucałam mu, że zapomina, iż łączy nas wspólna przeszłość

i przyszłość. Poza tym nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia podczas tamtych dni. Byłam przygnębiona i zatroskana.

Roan nie mógł usiedzieć na miejscu, kiedy razem byliśmy w chacie. Jadł mało, źle spał, a kiedy zbliżaliśmy się do siebie w łóżku, nasza miłość była dzika, pospieszna i namiętna. Później jednak ogarniał **nas** jeszcze większy smutek i marazm.

Każdego dnia Roan wędrował od jeziora do Wąwozu, przemierzał cały teren, który należał do niego i który ciągnął się od Kapturowych Grzbietów na zachodzie do Drogi Mydlanych Wodospadów i Wąwozu na wschodzie, od farmy wuja Berta na północy do granicy posiadłości Kehoe na południu. Był to wielki dziki obszar otoczony przez cywilizację i ludzkie osiedla. Roan maszerował nieustraszenie wzdłuż rzek i strumyków, schodził w doliny i urwiska, przemierzał górskie grzbiety i przysiadł na skalnych półkach, nie unikał też Wąwozu, w którym wciąż leżała przyczepa Dużego Roana.

- Czego tam szukasz? - spytałam kiedyś łagodnie, wiedząc, że próbuje zrozumieć jeszcze raz, kim właściwie jest, i pogodzić się z tym, co usłyszał od Matthew.

- Szukam odpowiedzi.

Przynosił mi kwiaty, skorupy żółwi, ptasie gniazda i ciekawe odłamki skalne, jakbyśmy wciąż byli dziećmi.

Przygotowywałam jedzenie, którego potem nie jedliśmy, i czytałam listy, które do mnie pisał przez dwadzieścia lat, cudowne, lecz emocjonalnie wyczerpujące. Siedziałam przy stoliku w altance, otoczona metalowymi pudłami i listami, i niemal przez cały dzień czytałam stronę za stroną, opierając głowę na pięści i wycierając od czasu do czasu strumienie łez, które spływały mi po policzkach.

Kiedyś przyłapał mnie na tym Roan i ten widok wstrząsnął nim bardziej, niż mogłyby to zrobić jakiegokolwiek słowa. Nie wiedząc, jak pomóc sobie nawzajem, leżeliśmy w cieniu dębów nad brzegiem jeziora, a potem kochaliśmy się. Roan nosił w sobie cierpienie swoje i moje.

Nazajutrz Josh przywiózł Amandę z obozu letniego i po drodze powiedział jej o Matthew. Kiedy przedstawiał ich sobie nawzajem, Matthew podarował Amandzie piękną złotą bransoletkę z okrągłym breloczkiem, na którym widniał napis „Mojej kochanej siostrzyczce”. Nie tylko Tweet uroniła w tamtej chwili sentymentalną łezkę.

Ale Amanda uścisnęła grzecznie dłoń swojego brata i obdarzyła jego i Tweet krystalicznym, błękitnookim spojrzeniem, którym spoglądała na mnie, kiedy leżałam przykuta do łóżka. Godzinę później Josh i mama zajrzeli do jej sypialni na górze, zobaczyli otwarte okno i puste łóżko. Niestety powiedziałam jej także, jak wspinałam się po jaśminowym treliazu, kiedy byłam w jej wieku.

Amanda zostawiła na poduszce list:

Drogi Tato!

Nigdy nie byłeś ze mnie taki dumny, jaki teraz jesteś z Matthew. Przypuszczam, że czekałeś po prostu na jego powrót. On jest chłopcem. Teraz rozumiem już, dlaczego mnie nie kochasz. Nie jestem dla Ciebie dość dobra. Nie jestem chłopcem.

Do widzenia i najlepsze życzenia.

Z poważaniem Amanda Elizabeth Maloney

Połączone siły Maloneyów i Delaneyów przez następne sześć godzin bez wytchnienia poszukiwały jej w lesie i na drogach wokół farmy. Alvin wezwał zastępców szeryfów z sąsiednich okręgów, sprowadził policję konną, psy tropiące i strażników leśnych. Roan i ja lataliśmy nad okolicą i przepat-rywaliśmy wszystkie pastwiska, polany i szczyty górskie w promieniu dziesięciu mil.

Późnym popołudniem wylądowaliśmy na małym lotnisku przy Dziesięciu Skokach. Amanda siedziała na werandzie przed chatą.

Jej twarz spuchnięta była od płaczu. Do piersi przyciskała plecak i swój telefon komórkowy. Była brudna i rozczochrana. Tam, gdzie bawełniana koszulka i drelichowe szorty nie okrywały już jej rąk i nóg, widniały czerwone pręgi i zadrapania. W rudych włosach pełno było gałązek i suchych liści. Z daleka wyglądała na zrozpaczoną i zupełnie zrezygnowaną, kiedy jednak podniosła głowę, obdarzyła nas rezolutnym i zdeterminowanym spojrzeniem. - Nie powiecie nikomu, że tu jestem, prawda? To bezpieczne miejsce. - Spojrzała na Roana. - Ciocia Claire mówiła, że to była zawsze twoja bezpieczna kryjówka. Więc nie zdradzisz mnie i nie powiesz nikomu?

- Nie śmiałybym wyrzucić stąd dziewczynki potrzebującej pomocy - zgodził się Roan poważnie. - Możesz zostać tutaj tak długo, jak tylko zechcesz.

Spojrzałam na niego z wyrzutem, kiedy pomagał mi usiąść obok niej. Objęłam ją jedną ręką.

- Podobał mi się twój list „uciekam z domu” - powiedziałam. - Uprzejmy, lecz rzeczowy. Sprawny technicznie, a do tego niezły styl. Myślę, że gotowa jesteś już do następnego etapu. Teraz możesz już pisać list „wracam do domu”.

Roan usiadł na stopniach werandy, u naszych stóp. Amanda spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Słyszałam, że napisałeś mnóstwo listów do cioci Claire. Napisałeś jej też list „wracam do domu”?

Dziecięca szczerość w nieszczęściu sprowadza wspomnienia utraconej niewinności. Staralam się opanować emocje, które we mnie wywołało to pytanie. Wymieniliśmy z Roanem smutne spojrzenia.

- Jeszcze nie - odparł Roan.

- Więc ja też nie napiszę takiego listu do taty. Ty już nie masz dziecka. Więc ja będę teraz twoim dzieckiem.

Szturchnęłam ją lekko.

- Co twój tata powiedział ci o Matthew?

- Tata powiedział, że miał kiedyś dziewczynę, długo przed tym, jak poznał moją mamę, i że razem zrobili Matthew, ale się nie ożenili i ona wyjechała, kiedy Matthew był jeszcze małym dzieckiem. I potem ona zmarła, a ty opiekowałeś się Matthew. I tacie jest przykro, że to nie on się nim zajmował i teraz chce to robić.

- Więc rozumiesz, dlaczego masz brata?

- Tak. Brata przyrodniego. Mamy tego samego tatę. Rozumiem to. - Przez chwilę milczała, obracając w dłoni swój telefon. - Tato ciągle o nim mówi. Nie potrzebuje mnie już.

- Och, kochanie to nieprawda.

- Mną nigdy się tak nie chwalił. - Spojrzała na Roana. Jej oczy pełne były łez, usta drżały. - Czy ty już nie chcesz Matthew?

- Przywiozłem go tutaj, żeby poznał... swojego... - Roan przerwał, odchrząknął nerwowo i odwrócił wzrok.

- Można powiedzieć, że Matthew ma teraz dwóch ojców - dokończyłam szybko, choć i mnie ścisnęło się gardło. - Ma Roana i twojego tatę. Jestem pewna, że chciałby, żebyś go polubiła. On bardzo chce mieć siostrzyczkę.

- Wcale nie potrzebuje siostrzyczki - odparła potrząsając głową. - Ma dwóch tatów. To niesprawiedliwe. Nie rozumiem, dlaczego jest u nas, skoro Roan jest jego tatą. Ty miałeś go najpierw - zwróciła się do Roana.

- Dlaczego go nie zatrzymasz?

- Musi spędzić trochę czasu z rodziną.

- Myślałam, że wróciłeś do cioci Claire, bo ona jest twoją rodziną, a to znaczy, że wszyscy jesteśmy twoją rodziną, no więc ty też powinieneś spędzać czas z Matthew. Najlepiej wyjedź z nim gdzieś, a wtedy tata i ja moglibyśmy go odwiedzać. Myślę, że tak właśnie powinno to wyglądać. Prababcia Dottie mówi, że on się będzie czuł jak obcy, dopóki wszystko się wreszcie nie wyjaśni.

Uścisnęłam ją.

- Wszyscy cię szukają. Mogę przynajmniej pożyczyć od ciebie telefon i powiedzieć twojemu tacie, że nie porwali cię kosmici?

- Nie chcę wracać - chlipnęła cicho Amanda. - Naprawdę, bardzo chciałabym mieć swojego tatusia, tylko swojego. Skoro ludzie mogą sobie tak zmieniać rodzinę, jak wy mówicie, to ja też zmienię sobie tatę. Założę się, że Roan jest dobrym tatą. Matthew na pewno zawsze dostawał od niego to, co chciał. Więc zamieszkać z Roanem. - Potem spojrzała na mnie. - A ty możesz być moją mamą. Wiem, że mnie lubisz. Nie będę robić wam kłopotu. Obiecuję.

- Muszę zadzwonić do twojego taty. On cię kocha. Jestem pewna, że nie oddałby cię nikomu za żadne skarby świata.

. - A przecież oddał Matthew Roanemu. I to na długo.

- On nie wiedział, że ja mam Matthew - powoli tłumaczył jej Roan.

- Myślałem, że robię dobrze, zajmując się Matthew, ale nie wiedziałem, że jego... że twój tata go szuka.

- Tto... to nic. Potrzebujesz dziecka. Ktoś powinien mnie potrzebować. Ty mnie nie potrzebujesz?

Ta rozmowa raniła nas tylko i do niczego nie prowadziła. Posłałam Roanowi ostrzegawcze spojrzenie. Potem zwróciłam się do Amandy i oświadczyłam zdecydowanym tonem:

- W porządku, powiemy twojemu tacie, że zamieszkać z nami. Ale skoro nie chcesz go już widzieć, pewnie powinniśmy wyjechać gdzieś daleko. Co o tym myślisz, Roan?

- Och, no nie wiem. Może po prostu wsiądziemy wszyscy do samolotu

i polecimy, hmm... na północ. Do Kanady. Słyszałem, że w Kanadzie jest bardzo fajnie. A przy tym dość daleko. Gdyby Amanda się rozmyśliła, nie mogłaby wrócić do domu.

Amanda patrzyła na nas szeroko rozwartymi oczyma, przenosząc spojrzenie na mnie, to znów na Roana. Wreszcie rozpląkała się i oparła głowę na moich piersiach.

- Myślałam, że będziemy mieszkać t-tutaj! Nie chcę jechać do Ka-Kanady! Objęłam ją mocno i kołysałam.

- Pomyślimy o tym, jak już będziemy... w domu. Później zdecydujemy, co dalej.

- Może tata chce jednak, żebym została. Chce przecież, żeby Matthew był tutaj.

- Chce, żebyście oboje byli przy nim - powiedział Roan. - Tak jak ja chciałbym mieć was oboje, gdybym był waszym tatą.

Amanda rzuciła mu się w ramiona, a ten mężczyzna, który wychował już sam dziecko i nauczył się więcej czułych ojcowskich gestów, niż chciałby się do tego przyznać, i więcej niż pamiętał Matthew, ostrożnie wziął ją na ręce, podniósł, a potem wyciągnął dłoń do mnie, pomagając mi wstać.

Zabraliśmy ją do domu.

Na nasz widok Josh wybiegł z domu, trzymając jeszcze w dłoni mapę okolicznych lasów.

- Jest! - ryknął tato z drzwi swojego biura w największej stajni. Mama wybiegła na werandę, nie odłożywszy nawet słuchawki od telefonu, którą wciąż ścisnęła w dłoni. Matthew i Tweet wygramolili się z zabłoconej ciężarówki i także biegli w naszą stronę, choć sami wyglądali w tej chwili na zagubionych. Twarz Matthew była surowa i ściągnięta, i tak podobna do twarzy mojego brata, że ze ściśniętym sercem spojrzałam na Roana.

- Dlaczego uciekłaś z domu? - warknął Josh na Amandę, przyklękając przed nią na jednym kolanie. Amanda stała wyprostowana, sztywna, ściskając nerwowo pasek torby, która zwisała z jej ramienia jak miękkie różowe zwierzę, upolowane przez nią w lesie.

- Roan i Claire powiedzieli, że mogę z nimi zamieszkać. Mogłabym być córeczką Roana. Ale ciocia Claire powiedziała, że powinnam się jeszcze trochę namyślić.

Josh rzucił nam wściekłe spojrzenie. Pokręciłam lekko głową. Roan uśmiechnął się tylko słabo.

- Przestraszyłaś mnie - powiedział Josh, delikatnie biorąc Amandę za ramiona.

Amanda zadrżała, jakby przeszedł ją dreszcz. Jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Naprawdę?

- Nie byłem dla ciebie zbyt czuły, prawda? Wiem o tym. Byłem taki, bo martwiłem się o Matthew. Nie wiedziałem, czy żyje, czy jest zdrowy. To była moja wina, że zaginaj. Nie powiedziałem nikomu, że jest moim synem. Gdybym to zrobił, jego matka nie zabrałaby go stąd. Popełniłem błąd i z tego powodu dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

- Więc ja nie byłam dość dobra, żeby cię pocieszyć?

- Kochanie, byłaś taka dobra, że bałem się, że nie zasługuję na ciebie. Bardzo kochałem twoją matkę i bałem się, że na nią też nie zasługiwałem. Czy to rozumiesz?

- Nie chciałam, żebyś się przeze mnie bał.

- Ale teraz mam wreszcie szansę być dobrym tatą dla ciebie i dla Matthew. Będę się starał.

- Bo chcesz, żeby Matthew ci przebaczył, że go zgubiłeś.

- Tak. Ale to nie wystarczy, jeśli ty nie spróbujesz mi przebaczyć. Jeśli obiecasz, że będziesz próbować, ja obiecuję, że będę lepszy.

Amanda zawahała się na sekundę, a potem rozpromieniła się całą w uśmiechu. '- Obiecuję.

Objęła go mocno za szyję, a on ścisnął ją z żarliwością, jakiej nigdy dotąd nie okazywał.

- Ale... - Amanda ze skruszoną miną odwróciła się do Roana. - Co się stanie z Roanem? Obiecałam mu...

- Nie, nie - powiedział szybko Roan. - Nie będę miał do ciebie żalu, jeśli się rozmyślisz. Rozumiem to.

- Ale powinieneś mieć...

- Porozmawiajmy o tym później - wtrąciła mama, czując co się święci. Podeszła szybko do Amandy i wzięła ją za rękę. - Chodź kochanie, musisz umyć buzię. Chodź ze mną do środka. Chodźmy.

Josh pocałował ją w policzek

- Dobra - powiedziała Amanda i odeszła ze swoją babcią.

Kiedy zniknęła już w drzwiach domu, Josh wstał i wyprostował się.

- Będiesz jeszcze miał z nią mnóstwo roboty. Dopiero zacząłeś - powiedziałam, ruchem głowy wskazując na dom. Josh skrzywił się ze złością.

- Wiem o tym. Roan, do diabła, dlaczego powiedziałeś Amandzie, że może z tobą zostać?

- Sytuacja wyglądała trochę inaczej, niż opisała to Amanda.

- Nie obchodzi mnie jak to wyglądało. To chwyt poniżej pasa, Roan. Chcesz zrazić do mnie moją własną córkę i odebrać ją nam, tak jak odebrałeś rodzime Claire? Ukradłeś mi jedno dziecko na dwadzieścia lat, a teraz próbujesz ukraść drugie?

Roan uderzył go w twarz. Zrobił to błyskawicznie - szybki zamach i cios, który rzucił Josha na ziemię. Roan stanął nad nim na szeroko rozstawionych nogach, trzymając pięści gotowe do następnego uderzenia.

- Claire to wszystko, czego chcę od tej choleryjnej rodziny - powiedział chrapliwie.

Położyłam dłonie na pięściach Roana. ~<

- Spokojnie chłopie, spokojnie - napominałam łagodnie, spoglądając na Matthew, który z otwartymi ustami i oczyma pełnymi grozy patrzył na tę scenę. - On na to zasłużył, Matthew - dodałam.

- W porządku, w porządku, stało się - mówił tato, delikatnie odpychając Roana do tyłu. - To musiało się stać. Roan, słyszysz mnie? Sam się o to prosił. Ale teraz już po wszystkim. Cofnij się.

Josh, oszołomiony podniósł rękę do zakrwawionych ust i skinął głową.

- W porządku.

Roan nawet jednak nie drgnął, dopóki nie zauważył upokorzonego spojrzenia Matthew. Kiedy ten uklęknął przy Joshu i pomógł mu wstać, Roan rozluźnił pięści.

Tej nocy poszliśmy we dwoje na Dunshinnog, rozpaliliśmy małe ognisko na skalnej półce i siedzieliśmy w milczeniu, patrząc, jak ogień pochłania suche gałązki.

- Przeczytaj ten - powiedział Roan, wręczając mi stary list, który wyciągnął z kieszeni spodni. - Miał może dziesięć lat, kiedy to napisałem.

Uderzyłeś kiedyś kogoś? spytał mnie dzisiaj. Ma kłopoty w szkole, bo uderzył w twarz jakiegoś dzieciaka. Dzieci wiedzą, że Matthew jest adoptowany. Dokuczają mu. Matthew, miał już dość. Więc wybił jakiemuś dzieciakowi przednie zęby.

Myślał, że się wścieknę. Musiałem udawać, że rzeczywiście jestem zły. Czy kiedykolwiek uderzyłem kogoś? Odkąd dorosłem, nigdy - odpowiedziałem. Do diabła, biłem się czasem jak wariat, kiedy pracowałem w tym warsztacie, ale on o tym nie wiedział. Skłamałem - chciałem dać mu dobry przykład.

Powiedziałem mu, że człowieka można uderzyć tylko z dwóch powodów. Żeby obronić inną osobę albo kiedy nie można się samemu obronić w inny sposób. Powiedziałem, że nie szanuję ludzi, którzy biją się z innych przyczyn. Każdy głupek potrafi uderzyć. Tylko ludzie, którzy nikogo nie biją, są naprawdę silni. Inteligentni. Bądź jednym z nich, powiedziałem mu.

Zapłaciłem za wstawienie zębów temu drugiemu dzieciakowi. Powiedziałem Matthew, że będzie musiał mi oddać ze swojego kieszonkowego, bo chcę, żeby zrozumiał, że zawsze trzeba zapłacić, kiedy skrzywdzi się innego człowieka. Nawet jeśli sam się o to prosił.

Obiecałem mu, że jeśli on nie uderzy nikogo bez powodu, to ja też już nigdy nikogo nie uderzę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wiele się od ciebie nauczyłem, Claire. Nauczyłem się rozumieć, czego mi brakuje i czego naprawdę chcę. W pewnym sensie, Twoja rodzina nauczyła mnie, jak wychować siebie i jak wychować Matthew. To zabawne. Najwięcej nauczyłem się od ludzi, którzy najbardziej mnie zranili. Od ludzi, których kochałem.

Odłożyłam list na bok.

- Nie złamałeś dzisiaj żadnego przyrzeczenia - powiedziałam miękko. - Nie złamałeś nawet żadnego zęba.

- Przez całe życie pracowałem nad tym, żeby nie być podobnym do mojego ojca. Matthew wstydził się dzisiaj za mnie. Widziałem to na jego twarzy.

- Musisz z nim porozmawiać Roan. Powiedzieć mu. Powiedzieć mu o wszystkim.

W ciemnościach widziałam wyraźnie koniuszek cygara, żarzący się między palcami Roana. Popiół spadał na jego spodnie i koszulę.

- Kiedy mu o tym powiem - odparł Roan cicho - zmieni sobie nazwisko. Przystanie nazywać siebie Sullivanem.

Wrzucił cygaro do ognia. Położyłam dłoń na jego piersi.

- Ciepłe - szepnęłam. - Dobry, mocny rytm. Tak wielu ludzi martwi się o to serce.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to uczucie, nie mieć żadnej rodziny. Ja potrafię. Nie znam żadnego innego Sullivana, który byłby ze mną spokrewniony.

- Zbadamy twoje drzewo genealogiczne. Wierz mi, masz tysiące krewnych.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi. Myślę o prawdziwej rodzinie. Nie o nazwiskach z tabelki

Wzięłam jego prawą dłoń i gładziłam opuchniętą, pękniętą skórę na jego kostkach.

- Rozumiem. Chciałbyś spojrzeć w twarze dziadków SuUivanów, wujów, ciotek braci, sióstr, kuzynów i zobaczyć w nich siebie.

- Pragnę być częścią jakiejś rodziny. To wszystko. Siedziałam przez chwilę w ciszy, pogrążona w rozmyślaniach.

- Chcę mieć z tobą dzieci - powiedziałam w końcu miękko. Szybko odwrócił się do mnie i objął dłońmi moją twarz.

- Będziemy mieli dobre dzieci. Wiem o tym. Myślę o tym.

- Potrzebujesz kogoś, kto oddałby ci dwadzieścia lat. Wymazał wszystko, co stało się z tobą i ze mną. Ale to niemożliwe.

- Z tej sytuacji nie wymknie nic dobrego, bączku. Ani dla Matthew, ani dla mnie, ani dla reszty rodziny.

Odsunęłam się od niego, czując, jak przerażenie zatyka mi gardło. Potrząsnęłam głową.

- Wiem, czego próbujesz uniknąć. Ale jeśli nie powiesz mi prawdy o Dużym Roanie, usłyszysz ją od kogoś innego. Musisz mu zaufać.

- Powiem mu, wkrótce. Potem już nigdy nie spojrzysz na mnie tak samo. Wiem o tym. Jeśli tutaj zostanę, zniszczę mu życie. Musimy podjąć kilka trudnych decyzji, bączku. Ty i ja. Może wybralibyśmy się w jakąś podróż, ustalili pewne sprawy...

Wtedy nigdy już tutaj nie wrócimy, pomyślałam z rozpaczą. Nigdy cię nie odzyskam.

Musieliśmy się cofnąć, by znaleźć drogę naprzód - Roan wciąż był tym chłopcem, który mieszkał w Wąwozie, który skrywał swój ból i strach za dumą, a ja wciąż byłam cieniem tej małej dziewczynki, która próbowała zmienić jego życie. Musieliśmy uwolnić się wreszcie od tych wspomnień.

- Kiedy byliśmy dziećmi - mówiłam powoli - zdarzało się czasami, że

wstydziałam się w twoim imieniu, ale nigdy nie wstydziałam się za ciebie. Ty zawsze walczyłeś o mnie i dla mnie, a ja walczyłam dla ciebie. Matthew będzie czuł to samo, kiedy dowie się o wszystkim.

- A jeśli nie... - kontynuował Roan. Położyłam palce na jego ustach.

- Odrobinę wiary - poprosiłam.

Pojechałam na farmę, żeby zobaczyć się z mamą i babcią Dottie.

- Chcę porozmawiać z Tweet - powiedziałam im. - Zajmijcie czymś Matthew i Josha, żebym mogła być z nią sama po południu.

Mama oczywiście natychmiast się zgodziła. Babcia Dottie zaciągnęła się papierosem i skinęła głową.

Kiedy nazajutrz spotkałyśmy się z Tweet, wymieniliśmy smutne uściski. Zawiozłam ją na szczyt Dunshinnog.

Usiadłyśmy na skalnej półce. Oblepiało nas parne, czerwcowe powietrze. Czułam, że powoli zaczynają się sprawdzać słowa chirurga, który przepowiedział mi artretyzm w zranionej nodze.

- Matthew nie jest zadowolony, że spotykam się z tobą - przyznała Tweet. - Myśli, że Roan przysłał cię, żebyś namówiła go do przeprosin. Przykro mi, Claire, ale Matthew nie ma za co przepraszać.

- Roan nie czeka na przeprosiny. Ale on też nie jest nic winien Matthew. Tweet wbiła palce w szopę swych blond włosów, jakby chciała je odgarnąć i oczyścić swój umysł.

, - Nie chroni się adoptowanych dzieci, ukrywając przed nimi ich tożsamość! To nieuczciwe! To rodzi więcej problemów, niż ich rozwiązuje.

Przez chwilę patrzyłam w milczeniu na dolinę, a potem opowiedziałam Tweet, jak dorastał Roan. Opowiedziałam jej o Wąwozie. O tym, jak naprawdę umarł Duży Roan i dlaczego. I co rodzina zrobiła potem z Roanem. Kiedy skończyłam, Tweet była blada jak ściana. Nie płakała. To była potężna moc przeszłości. Osuszyła oczy Tweet. Nie pozwoliła jej powiedzieć cokolwiek.

Powiedziałam jej, że teraz Matthew zna nas - rodzinę - już dość dobrze. Przekonał się, że nie jesteśmy ani źli, ani dobrzy, że potrafimy być czuli i hojni. Musiał jedynie przyjrzeć się dobrze dumnym, bezwzględny i surowym twarzom Seana i Bridget Maloney, żeby zrozumieć klanowość, która pomogła nam przetrwać, a potem urosnąć w siłę. Ale musiał też zobaczyć Wąwóz, miejsce, gdzie dorastał Roan, i skąd wyrwał się, by potem

zostać może nie doskonałym, ale uczciwym człowiekiem. Sam dorobił się wszystkiego w swym życiu, poświęcił się bez reszty dla Matthew, który teraz chciał go odrzucić. Matthew musi zrozumieć, jakie miejsce w naszej rodzinie zdobył sobie Roan i co potem stracił z powodu głupiej rodzinnej dumy.

- Co mam zrobić? - dopytywała się gorączkowo Tweet. - Biedny Roan. To tak wiele tłumaczy. Jak mogę mu pomóc?
- Nie możemy mu pomóc, ani ty, ani ja. Musimy po prostu czekać, zostawić **to** tylko jemu. Tylko tyle potrafię na razie wymyślić.

- Och, Claire - zaczęła mruzczyć. - On musi powiedzieć o tym Matthew - spojrzała na mnie z żalem i współczuciem. - Teraz rozumiem Roana, ale rozumiem też ciebie.

Przekrzywiłam głowę i popatrzyłam na nią ostrożnie.

- Mój drogi ptaszku, ja nie kryję w sobie żadnej tajemnicy i nie ma tu nic do rozumienia.

- Dopóki się z tym nie uporasz, nie będziesz mogła zaufać sobie samej.

- Co? Poczekaj moment...

- Nigdy nie powrócisz naprawdę do domu, jeśli Roan tutaj nie zostanie. A jeśli będzie się upierał, że to nie jego miejsce, wyjedziesz z nim, bo będziesz chciała wynagrodzić mu wszystkie cierpienia. Założę się, że myślałaś o Roanie, kiedy ta kobieta...

- Terri Caulfield - powiedziałam ze ściśniętym gardłem. - Proszę, nie wykorzystuj tej sprawy do analizowania mojej...

- Myślisz, że znowu zawiodłaś Roana, i zawsze będziesz się czuć winna, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy. Jeśli nie zdołasz go tutaj zatrzymać, pojedziesz za nim wszędzie, gdzie tylko zechce, nawet jeśli miałoby to złamać serce jemu i tobie.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Tweet patrzyła na mnie tak, jak patrzyłaby na ślepa sowę uwięzioną w rezerwacie, jakbym została schwyтана w jakąś okrutną pułapkę.

- On nigdzie nie pojedzie - oświadczyłam głośno.

- Och, Claire - westchnęła i poklepała mnie po dłoni.

Josh zabrał Matthew i Tweet na wycieczkę po okolicznych farmach. Kiedy przyjechali do wuja Winstona, ten dzwonił właśnie po weterynarza, gdyż jedna z jego ciężarnych krów miała jakieś komplikacje przy porodzie.

Matthew i Tweet natychmiast udali się do obory i kiedy kilkanaście minut później na miejscu pojawił się doktor Radcliff - podstarzały już weterynarz z Dunderry, kuzyn mamy - ujrzał parę zdrowych cieląt i zmęczoną, lecz żywą krowę. Doktor Radcliff był pod wrażeniem.

- To prawdziwy kolos. Ona jest mała, ale silna - z entuzjazmem mówił potem do Winstona i Josha.

Nie wiedziałam do końca, czy mówi o Matthew i Tweet, o cielętach, czy też o jednych i drugich. Tak czy siak wydarzenie to sprowokowało serię dyskusji. Wszyscy byli zgodni co do tego, że tych dwoje powinno praktykować u doktora Radcliffa, za czym kryło się przypuszczenie, że Matthew i Tweet zajmą za kilka lat jego miejsce.

Postanowiłam porozmawiać o tym z Roanem. Udało mi się namówić go na wyjazd do parku miejskiego, przy moście Delaneyów. Siedzieliśmy na kocu, w cieniu mostu, niemal dotykając stopami wody. Roan przyglądał się przez chwilę zgasłemu cygaru, wreszcie odrzucił go na bok i powiedział:

- Od rana ciągniesz się za uszy i patrzysz na mnie tymi swoim błękitnookim spojrzeniem. Po prostu powiedz mi.

Cokolwiek by to było, powiedz.

Próbowałam grać na zwłokę.

- Każdy, kto wychowywał się w tym mieście, przynajmniej raz w swoim życiu przyszedł tutaj. To najstarsze miejsce schadzek w całym okręgu. Ale ty i ja nigdy nie mieliśmy takiej szansy. Do diabła, przecież należy nam się to.

- Wyciągnęłam do niego rękę. - Chodź.

Zmarszczył brwi, lecz wziął moją dłoń i pomógł mi wstać. Podpierając się łaską, wygramoliłam się jakoś na brzeg i weszłam w cienisty pachnący tunel drewnianego mostu. Stanęliśmy naprzeciwko siebie. Roan odłożył moją łaskę i objął mnie mocno obiema rękami.

- Myślałam, że będzie to wyglądać znacznie bardziej nieprzyzwoicie

- zaczęłam, gubiąc słowa, kiedy on mnie całował.

- Czy to było wystarczająco nieprzyzwoite? - spytał kilkanaście minut później, kiedy oparliśmy się o siebie, dysząc ciężko. - Powiedz mi - powtórzył.

Zrobiłam to. Przez kilka minut słychać było tylko chłupot rzeki, leniwe brzęczenie owadów i szum drzew. Dojrzały, letni blask słońca sączył się przez wąskie szpary w suficie nad naszymi głowami. Wreszcie Roan powiedział cicho:

- A więc to już postanowione. Matthew zostaje. Ja nie mogę już nic na to poradzić. Mogę tylko zejść mu z drogi.

Rozdział osiemnasty

Następnego ranka obudził nas grzmot. Powietrze było gorące i wilgotne, wyczuwało się w nim ciężar nadchodzącej burzy. Ubraliśmy się szybko w koszulki i stare dżinsy. Roan bez słowa położył sobie moje nogi na udach i pomógł mi włożyć tenisówki. Jednocześnie z niepokojem spoglądał **na** niskie, ołowiane chmury, które przesłoniły już niebo nad horyzontem.

- Musimy porozmawiać o przyszłości powiedział.

- Na razie zajmijmy się teraźniejszością. Zobaczmy, co z pogodą. Wyszliśmy na ganek przed domem. Oparłam się na lasce i rozejrzałam

dokoła, czując, jak niepokój ściska mi żołądek. Panowała absolutna cisza, umilkły wszystkie ptaki i owady, nawet najłżejszy wiaterek nie poruszał gałęziami drzew. Błyskawice raz po raz rozpały horyzont upiornym blaskiem, a niebo na wschodzie przybrało złowieszczy, purpurowoczarny odcień.

- Nie podoba mi się to - powiedziałam.

Roan zdjął z haczyków wiszące doniczki z paprociami i postawił je na ziemi, obok kamiennych fundamentów werandy, a potem odwrócił wszystkie fotele bujane i oparł je o poręcz. Postukał w grube kasztanowe belki, które tworzyły przedmą ścianę chaty.

- Ten dom jest zbudowany mocniej niż betonowy bunkier. Żaden wiatr nim nie zatrzęsie.

Wiedział o tym dobrze, pamiętał z dzieciństwa, kiedy skulony, zmarznięty chował się w tej drewnianej przystani, pokrytej brudem i grubą warstwą pajęczyn.

- Wracam do środka - oświadczyłam. - Mam gęsią skórkę i boli mnie kolano. Zamieniam się chyba w żywy barometr.

Gdy tylko przekroczyłam próg, zadzwonił telefon. Dzwonił tata, który

powtórzył mi prognozę pogody i nalegał, żebyśmy pojechali z Roanem na farmę. Mama wtórowała mu przez drugą słuchawkę.

- Co z Matthew i Tweet? - zawołał z werandy Roan, z trudem maskując niepokój.

- Są z Joshem i Amandą. Josh zabrał ich na śniadanie do klubu. Twarz Roana stężała. Odwrócił wzrok.

- Nic nam tu nie będzie - powiedziałam moim rodzicom, szybko się z nimi pożegnałam i odłożyłam słuchawkę, nie zważając na ich protesty. Znow wyszłam na zewnątrz, do Roana.

- Boisz się? - spytałam z ponurym uśmiechem.

- Nie bardziej niż zwykle.

Roan przyciągnął mnie do siebie i objął. Staliśmy tak, przytuleni, w coraz gęstszych ciemnościach. Nie wiedziałam, ile czasu upłynęło; światło poranka zamieniło się w jakiś dziwaczny półmrok, zabarwiony żółtawym blaskiem, w którym pojedyncza róża, wyrosła na środku podwórza ze świeżo zasadzonego krzaka, napełniła się jakimś nieziemskim, karmazynowym światłem.

Wschodnia część nieba zadrżała. Nagle, nie wiadomo skąd, jakby spod ziemi wyskoczył potężny wiatr, który zerwał liście z gałęzi dębów rosnących nad brzegiem jeziora i przywiał je przed nasz dom. Na powierzchni wody zaczęły się tworzyć wielkie fale, zwieńczone grzywami białej piany.

- Roan - powiedziałam zdławionym głosem. - To nie jest zwyczajna burza. To chyba tornado.

Roan wyprostował się, zmarszczył brwi, wsłuchując się w wycie wiatru. Idź do środka - rozkazał. - Ja tutaj zostanę i popatrzę. Wzdrygnęłam się, gdy owionął nas podmuch zimnego powietrza.

- Na co będziesz patrzył? Co chcesz zrobić? Walczyć z wiatrem gołymi rękami? Wypuścił mnie z objęć i zszedł na podwórko. Wiatr uderzył w niego od przodu.

Roan zachwiał się. Ja przywarłam do słupa podtrzymującego dach nad werandą.

- Idź do środka - zawołał jeszcze raz.

Od jednego z dębów oderwała się gruba gałąź, uderzyła Roana prosto w piersi i rzuciła go na ziemię. Osunęłam się na schody werandy i podczołgałam do mego. Roan przekreślił się na brzuch, podniósł na kolana i pochwycił mnie za ramię. Kuląc się i potykając, dotarliśmy jakoś do drzwi chaty. Roan pochwycił mnie wpół i zaniósł do korytarza między sypialnią i kuchnią, gdzie stykały się stara i nowa część domu. Usiedliśmy obok siebie. Zakryłam ramieniem jego głowę, jakbym chciała go ochronić przed żywiołem - on objął moją głowę.

Wiatr wyl coraz głośniejszy - nigdy w życiu nie słyszałam czegoś podobnego. Potem jakiś konar uderzył w okno sypialni i roztrzaskał szyby. Firanki podniosły się nagle i zatrzepotały jak wściekłe białe flagi. Dochodziły nas jakieś trzaski i huki, ale wszystko ginęło w ogłuszającym ryku wichury. Spojrzałam w błyszczące oczy Roana i zaczęłam głośno liczyć, jak gdybym śpiewała jakąś magiczną pieśń, która miała oddalić od nas niebezpieczeństwo.

- Co ty robisz? - krzyknął Roan.

- Wierzę w numerologię! - odkrzyknęłam.

Przez wybite okna zaczęły wpadać do sypialni pierwsze krople deszczu, ale wiatr powoli już przycichał. Zrobiło się trochę jaśniej. Po omacku odszukałam futrynę drzwi i próbowałam się podnieść.

- Trzeba zadzwonić do domu, upewnić się...

Roan poderwał się z miejsca i pobiegł do salonu. Roztrzęsiona, zdołałam jakoś podciągnąć się w górę i stanąć o własnych siłach. Omiotłam jednym spojrzeniem sypialnię, zasypaną odłamkami szkła i drewna, a potem pospieszyłam za Roanem, który trzymał już w dłoni słuchawkę.

Niemal przez całą godzinę rozmawialiśmy przez telefon albo czekaliśmy na wiadomości, które przekazywała nam mama. Ciotka Arnetta straciła dach nad garażem, co najmniej akr świerków wuja Winstona został zrównany z ziemią, łódka Hopa odleciała gdzieś razem z szopą, w której była przechowywana - nic naprawdę poważnego, tylko straty materialne. Nic złego nie wydarzyło się w okolicy klubu. Josh musiał zrezygnować ze śniadania, żeby spotkać się z tatą i innymi członkami władz okręgu. Matthew, Tweet i Amanda byli zdrowi i cali.

Kiedy wreszcie upewniliśmy się, że nikt nie ucierpiał, wyczerpani wyszliśmy na zewnątrz. Deszcz zamienił się w słabą mżawkę, a nad ziemią i nad powierzchnią jeziora unosiła się ciepła mgła. Po drugiej stronie podwórza leżały zwalone drzewa. Szeroki pas zniszczonej ziemi i drzew oznaczał drogę tornada - wyglądało to tak jakby przez środek lasu przejechała jakaś gigantyczna kosiarka, wrywając drzewa z korzeniami, albo łamiąc je jak zapalki. Poczułam na ramieniu dłoń Roana i jego mocny, coraz mocniejszy uścisk. Dziwna, złowroga ścieżka znikła za pasmem wzgórz w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się Wąwóz.

Kiedy wyjechaliśmy zza zakrętu, Roan musiał zwolnić, gdyż cała droga usłana była mniejszymi i większymi gałęziami. Wstrzymałam dech w piersiach, gdy ujrzałam tę aleję zniszczenia. Tornado

przekroczyło pasmo gór i dotarło do Wąwozu. Perz, zasadzony dwadzieścia lat temu przez mego ojca, został wydarty i rozwleczony dokoła, korzenie przewróconych drzew wyrwały wielkie kawały ziemi, wyciągnęły zasypane tam niegdyś śmieci, nadpalone resztki zniszczonej przyczepy Dużego Roana i jego samochodu.

Było to makabryczne widowisko, zbezczeszczony cmentarz, gdzie na publiczny widok zostały wystawione kości zmarłych i resztki trumien - przewrócone drzewa i splątane kłacza zasypane były resztkami przeszłości; zgniłymi puszkami, bezkształtnymi kawałkami zardzewiałego metalu, oblepionymi błotem i śmierdzącą mazią. Na złamanej sośnie wisiał jakiś wstrętny, okrągły przedmiot, ociekający błotem i brudną wodą.

- Tam na drzewie wisi przegniła opona - powiedział Roan.

Nie mogłam oddychać, nie mogłam mówić. Spojrzałam na Roana i kiedy ujrzałam tę straszliwą grozę na jego twarzy, serce omal nie pękło mi z bólu. Jego dzieciństwo, jego hańba zostały wyciągnięte z ziemi i wystawione na światło dzienne. Położyłam mu dłoń na ramieniu i ścisnęłam je delikatnie.

- Tak mi przykro - błagałam. - To już zbyt wiele. Nie zatrzymuj się tutaj. Ale jego wzrok przykuty był do rozsypanych śmieci. Dłonie zacisnął na kierownicy z taką siłą, że kostki stały się blado sine. Zatrzymał samochód na poboczu, wyłączył silnik i wysiadł.

- Nie - prosiłam, chwytając go za rękaw. Wyrwał się i ruszył w dół mokrego zbocza, roztrącając splątane gałęzie, przechodząc przez powalone pnie drzew. Po chwili zatrzymał się, obrócił na pięcie i spojrzał na mnie. Jego -oczy przepełnione były bólem, dłonie zaciśnięte w pięści.

- Zostań tam - zawołał. - Nie chcę, żebyś była przy tym ze mną. Wygramoliłam się z samochodu i trzymając się drzwiczek sięgnęłam po moją laskę.

- Zawsze byłam częścią tego. Jeśli odrzucisz mnie teraz, odrzucisz mnie na zawsze. Słyszysz? Ktoś nadjeżdża.

To był Matthew, który przyjechał tutaj jedną z ciężarówek z naszej farmy. Zatrzymał się na poboczu i wyskoczył z szoferki, spoglądając ze złością na Roana.

- Wiedziałem, do cholery, że nie ukryjesz się w bezpiecznym miejscu. Nie mogłem znaleźć was przy Dziesięciu Skokach, więc... Co ty tam robisz, do diabła?

- Idź tam! - rozkazałam. - Wyciągnij go stamtąd!

Matthew zawahał się i ze zdumieniem patrzył na Roana, to znów na mnie.

- Co to jest? Co tutaj jest?

- Ja - powiedział Roan ściśniętym głosem. - To, czym byłem. To, czym zawsze będę dla tych, którzy chcą zapomnieć. To wszystko, czego ty nie rozumiesz.

Matthew potrząsnął głową.

- To znaczy co?

Schylił się i wygrzebał coś spomiędzy gałęzi. Gdy się wyprostował, trzymał w dłoni powyginany zardzewiały kołpak. Przez chwilę obracał go w dłoni i przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami, potem rzucił na ziemię i spojrzał na Roana.

- Cokolwiek by to było, powiedz mi. To nie mogło być aż tak straszne, bym nie miał się o tym dowiedzieć.

Nie zastanawiając się dłużej, Matthew ruszył w dół zbocza. Roan podszedł krok do przodu i krzyknął:

- Oboje zostańcie tam!

Matthew zatrzymał się, zdumiony tym nagłym atakiem. Potem zacisnął zęby i podjął przerwany marsz, kopniakami odrzucając gałęzie, ze złością przedzierając się przez obłocone kłacza.

- Co chcesz zrobić? Czy to ma wyglądać tak samo jak tamtego dnia: ktoś mówi cię prawdę w oczy, a ty potrafisz go tylko uderzyć? Śmiało, pokaż mi, kim jesteś naprawdę.

Roan pochwylił go za koszulę na piersiach i potrząsnął nim z całych sił. Krzyknęłam piskliwie:

- Roan, nie!

Matthew położył dłonie na zaciśniętych pięściach Roana. Sekundę później stracił równowagę i upadł plecami na stertę gałęzi. Roan pochylił się nad nim, wciąż trzymając go za koszulę. Matthew patrzył na niego przerażony, zmartwiały.

- W tym miejscu spędziłem całe dzieciństwo - mówił Roan przez zaciśnięte zęby. - W tej dziurze ze śmieciami! To właśnie tu wyrosłem i stąd pochodzę! Kiedy byliśmy dziećmi, Claire przyszła tutaj poprosić o pomoc, ale zamiast jej pomóc, mój ojciec próbował ją zgwałcić. A kiedy ja tu przyszedłem...

- Roan! - zawołałam ze szlochem.

Roan opuścił głowę, potem wziął głęboki oddech i spojrzał śmiało prosto w oczy Matthew.

- Zabiłem go.

Rozdział dziewiętnasty

Siedzieliśmy wszyscy troje na mokrej trawie przy drodze, ja w środku, Roan wpatrzony przed siebie po mojej prawej stronie, Matthew z rękami opartymi na kolanach i opuszczoną głową po lewej.

Przeszłość została wreszcie odsłonięta i opisana słowami moimi i Roana. Go, jak i dlaczego, surowy obraz dzieciństwa Roana, przemoc i okrucieństwo jego ojca. Kiedy słuchałam opowieści Roana, przechodziły mnie zimne dreszcze - monstra, czające się za oknem w ciemny wieczór, znów odżyły.

Próbowałam wytłumaczyć Matthew, dlaczego nasza rodzina odesłała do sierocińca Roana - przedstawiając mu ich ówczesny punkt widzenia, ale nie usprawiedliwiając ich - i dlatego on sam będzie musiał zaakceptować i przebaczyć to, jak potraktowano go w dzieciństwie. Mówiłam o niedoskonałych i okrytych wstydem intencjach twardej lekcji godności, która pozwala rodzinie utrzymać się w całości, czyniąc ją hojną i bezwzględną jednocześnie. Przedstawiłam rodzinę jako sanktuarium i fortecę zarazem.

Matthew nie odzywał się, słuchał wszystkiego w zdumieniu, jakby nie dowierzając. Zdawało się, że jest całkiem oszołomiony, zagubiony, jakby świat zwałił mu się na głowę.

Wymieniłam z Roanem bezradne spojrzenia. Roan podniósł jakiś połamany kwiat i delikatnie gładził palcami powyginane płatki.

- Zabiłem go - powtórzył znużonym głosem. - Zabiłem własnego ojca. Skrzywdził Claire, więc zabiłem sukinsyna. I zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym musiał. To, co stało się potem, wiązało się nie tylko ze złym osądem Maloneyów, ale i z moim brakiem wiary. Gdybym został w tym sierocińcu, miałbym szansę wrócić do domu i znów stać się częścią rodziny. Byłem

załamany, gdy dowiedziałem się, co mnie czeka, ale ludzie popełniają błędy. Ja popełniłem błąd, nie mówiąc ci prawdy o mej przeszłości, o tym, kim naprawdę jesteś.

Ugryzłam się w język, próbując zachować milczenie i pozwolić im, by sami doszli do porozumienia, choć miałam ochotę porządnie potrząsnąć Matthew i sprawić, by wreszcie przejrzał.

Roan zmiażdżył kwiat w dłoni i odrzucił go.

- Powiedzmy to sobie wprost: Claire i ja żyliśmy rozłączeni przez dwadzieścia lat. Nawet nie byłem przy niej tej wiosny, kiedy mnie najbardziej potrzebowała. To cena, jaką zapłaciliśmy oboje. Dwadzieścia lat bez niej - to jedyna rzecz, jakiej naprawdę żałuję. Nigdy nie pozwolę, by to się powtórzyło. Ciebie przywiozłem do domu i masz teraz rodzinę. Nie jesteś mi dłużny. Znasz całą prawdę o mnie. Rozumiem, co znaczy dla ciebie rodzina. Na pewno bez porównania więcej powodów do dumy może ci dać nazwisko Maloney niż Sullivan.

Matthew podniósł się nagle na równe nogi, stanął przed Roanem, a potem przyklęknął i spojrzał mu w oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Nie jesteś mordercą - powiedział Matthew. Byłam zdumiona, nie przypuszczałam, że Matthew zdoła z taką łatwością sprowadzić wszystkie problemy i cały nasz ból do jednego punktu zwrotnego. Ruchem głowy wskazał na Wąwóz. - Ty nie należysz do tego miejsca. Nigdy nie należałeś. I nie musisz sam sobie z tym radzić. Myślisz, że się ciebie wstydzę?

- Pokręcił głową. Jego głos drżał lekko. - Wciąż jestem Sullivanem, jeśli ty wciąż mnie chcesz. Daj mi szansę, bym znów zasłużył sobie na ten zaszczyt. Sullivan. Jestem dumny, że tak się nazywam.

W moim umyśle mieszkały setki obrazów Roana, fragmenty wspomnień

- wściekły, niesłusznie oskarżony chłopiec na festynie; chłopiec, który stanął w mojej obronie i uderzył Neely'ego Tiptona; na wpół uduszony chłopiec z moim wielkanocnym królikiem w dłoniach; chłopiec, który stał na szczycie Dunshinnog ze mną i z dziadkiem i z błyszczącymi oczyma wsłuchiwał się w staroirlandzką pieśń. I każda chwila, kiedy go zadziwiałam, walcząc o niego i obdarzając go miłością, całe dobro, które we mnie wzbudził, wszystko, co sam wypracował jako dorosły mężczyzna, i to, co zrobił dla tego młodego człowieka, mojego bratanka, którego kochał i którego wychował jako trybut dla tego, co znaczyliśmy dla siebie - wszystko to powróciło do niego w tej jednej chwili.

- Rozkopiemy to miejsce - powiedział Roan. - Oczyszczymy je. Pozbędziemy

się go. Nawet jeśli będę musiał wyciągać każdą zardzewiałą puszkę gołymi rękami. Wytnę to, zamknę i zapomnę, że kiedykolwiek tu było.

Przeciągnął dłonią po włosach, jakby mimo tych potężnych słów wciąż walczył ze sobą. Matthew podniósł kołpak, któremu przyglądał się wcześniej. Z zaciętym, zdeterminowanym grymasem na twarzy poderwał się z ziemi i rzucił kołpak na tył ciężarówki.

- W porządku. W takim razie bierzmy się do pracy - oświadczył.

Roan wstał szybko i pomógł mi się podnieść. Ostrożnie nabiłam na koniec mojej laski cienki jak papier kawałek zardzewiałego metalu, zachwiałam się niepewnie, a potem strząsnęłam śmieć na platformę ciężarówki.

- Po jednym kawałeczku, ale zrobimy to - powiedziałam do Roana. Przechylił głowę i zamknął oczy. Przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, czego mam się po nim spodziewać.

- Oczyszcimy to miejsce - powtórzył. - Oczyszcimy. - Otworzył oczy, a jego głos zabrzmiał z ogromną siłą. -

Wyciągniemy wszystko, a potem znowu zasypimy. A wtedy już nigdy nie postawię nogi w tym przeklętym miejscu i nie pozwolę, by zrobił to ktokolwiek, kogo kocham.

Matthew objął go jedną ręką. Nagle Roan także objął jego, a drugą ręką przyciągnął do siebie mnie. Ucisnął nas mocno, a my ucisnęliśmy jego.

Potrzebuję piły motorowej - powiedziałam, kiedy przyjechałam na farmę.

- Rękawic roboczych, środka owadobójczego i przenośnej lodówki. - Kiedy z sercem w gardle wyjaśniłam, do czego jest mi to potrzebne, mama

bez słowa wysłała Nata, by to, o co proszę, załadował na samochód. Tweet wzięła parę grubych rękawic.

- Jadę z tobą - oświadczyła, wpychając dłonie do rękawic. - Roan potrzebuje nas wszystkich.

Sama nie wiedziałam, co cieszy mnie bardziej - jej szorstkie, kliniczne podejście, czy determinacja i czułość, z jaką zajęła już sobie miejsce w rodzinie.

- Wiesz co? - powiedziałam. - Będzie wam tutaj dobrze razem, tobie i Matthew.

- A co z tobą i Roanem?

Nie wiedziałam, nie potrafiłam dać jej jednoznacznej odpowiedzi.

- Na razie zajmiemy się jednym problemem, a później pomyślimy co dalej

- odparłam.

Była to ciężka, mozolna praca, i to było dobre, pozwalało wypocić z siebie całą truciznę. Poruszałam się powoli po obrzeżach Wąwozu, wolną ręką układając na kupki gałęzie i mniejsze kawałki drzew, z każdą chwilą coraz bardziej nienawidząc mojej laski. Roan i Matthew, złani potem, odrzucali śmiecie na pobocze, a Tweet wrzucała je na ciężarówkę. Z góry paliło nas słońce, a nagrzane wilgotne powietrze zamieniło się w pachnącą lasem saunę. Roje komarów i gzów krążyły bezustannie wokół naszych twarzy. Spod sterty gałęzi wypełznął jakiś mały czarny wąż. Pochwyciłam go ostrożnie i podałam Tweet.

- Lepiej przenieś go na drugą stronę drogi, bo tutaj ktoś jeszcze go rozdepcze - powiedziałam. - Pewnie jest ich tu więcej. I uważaj na żmije. Co prawda nie są dość jadowite, żeby zabić człowieka, ale gdyby cię ukąsiła, to wcale nie byłoby zabawne.

Tweet wzięła węża, szybko przeszła na drugą stronę drogi i położyła go na ziemi, a potem truchtem wróciła do mnie, z niepokojem obserwując Matthew i Roana. Obaj tkwili w wysokiej do pasa warstwie zgniecionych drzew i gałęzi.

- W takim tempie to zajmie tygodnie - mruknęła. - To tak jakby cztery mrówki próbowały przenieść las.

- Wiara przenosi góry - stęknął Matthew, napierając na przechylony kikut sosny. - Nie mogę przewrócić tego cholernego drzewa.

Sosna runęła nagle na ziemię, jakby chciała z niego zadrwić, a gruby konar uderzył go prosto w plecy. Matthew poleciał twarzą w jakieś poszarpane gałęzie i jeżyny. Tweet krzyknęła i zaczęła biec w jego stronę. Roan natychmiast doskoczył do mego. Odetchnęłam z ulgą, kiedy przy jego pomocy wstał. Na szczęście prócz kilku zadrapań na twarzy Matthew był cały i zdrowy, choć przez chwilę stał zgięty wpół, ciężko dysząc.

Tweet dopadła do niego, zerwała koszulkę z jego pleców i drżącymi dłońmi obmacywała jego łopatki i kręgosłup.

- Spokojnie, nic mi nie jest - wysapał Matthew. - Kochanie, jesteś weterynarzem, a nie kręgarzem. Przestań mnie dźgać po plecach.

Tweet wykrzywiła twarz w gniewnym grymasie i odwróciła się do Roana, wymachując rękami.

- Wiem, że on chce to zrobić z tobą, i wiem, że ty i Claire musicie tego dokonać, ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy! W końcu wszystkich nas pokąsają węże albo zjedzą komary, albo... - stuknęła w powaloną sosnę

- przygniotą nas drzewa! Musisz zrozumieć, że to nie jest zajęcie dla dwóch mężczyzn i dwóch kobiet, z których jedna chodzi o lasce!

- Poczekaj minutkę - zawołał Matthew. - Słuchaj.

Zza zakrętu wyjechała jedna z wielkich, tonowych ciężarówek na siano z naszej farmy. W szoferce siedziała mama z Amandą na kolanach, Babcia Dottie, Renfrew i Nat, który prowadził samochód tak samo jak myślał

- powoli. Gdy tylko ciężarówka zatrzymała się na poboczu, Mama zeskoczyła na ziemię i zaczęła wydawać polecenia Natowi.

- Ustaw kozły po tej stronie drogi. Zanieś je tam, pod tamten duży wiąz. Musimy zablokować jedno pasmo. - Mama zsunęła na tył głowy słomiany kapelusz o szerokim rondzie, w którym jej twarz wyglądała jak środek wielkiej stokrotki.

Babcia Dottie wychyliła się przez okno szoferki i machnęła cygarem na Roana.

- Przynieś tutaj mój stolik, Roan. Postaw przy nim mój parasol i krzesła. Nie wyjdę stąd, dopóki nie będę miała na czym usiąść.

Renfrew podeszła do tyłu ciężarówki, otworzyła klapę i krzyknęła:

- Nie będę sama targać tych lodówek i pudeł z jedzeniem! Roan, powiedz swojemu chłopakowi i jego żonie, żeby przestali się gapić i przyszli mi tu pomóc!

Mama, ubrana w dzinsy i koszulę roboczą, przedzierała się przez zwały śmieci i gałęzi. Kiedy dotarła do Matthew, ostrożnie popsikała go środkiem odstraszającym owady. Potem spryskała nim Roana i mnie, z naganą spoglądając na moją spoconą i spaloną słońcem twarz. Wsadziła mi na głowę swój kapelusz.

Amanda, uzbrojona w różowe okulary, czapkę z daszkiem i mały magnetofon, który przyciskała do piersi, podeszła na skraj drogi i popatrzyła niepewnie dokoła.

- Jak to się stało, że taty jeszcze tu nie ma, wujku Roanie? Wujku Roanie. Roan zagryzł dolną wargę.

- Nie wiem, kochanie. Nie rozmawialiśmy z nim.

- Spodziewamy się go później - powiedziała mama. - Wszyscy niedługo tu będą - dodała, jakby była to najnormalniejsza rzecz w świecie.

Jakby na zawołanie z oddali dobiegł nas ciężki pomruk silnika, a po minucie zza zasłony drzew i krzaków wawrzynu rosnących przy drodze od strony miasta, wytoczyła się żółta ciężarówka-wywrotka. Za nią jechały

kolejne cztery, a potem traktor ciągnący na przyczepie koparkę i następny traktor, który ciągnął wielką spycharkę, a za nimi jeszcze cała rzeka aut osobowych i pick-upów.

Pierwsza z ciężarówek zatrzymała się obok nas, następne już szukały sobie miejsca w pobliżu zniszczonego obszaru lasu, wypełniając powietrze głębokim pomrukiem potężnych silników. Mniejsze samochody stawały na poboczu i pod drzewami.

Hop i Evan pomachali do nas z szoferki pierwszej ciężarówki. Brady, wuj Winston, wuj Eldon i kilku moich kuzynów wysiedli z pozostałych aut. Wsunąwszy kciuki za szelki zielonych roboczych ogrodniczek Hop i Evan rozejrzeli się dokoła, a potem z zasepionymi minami spojrzeli na Roana, Matthew i na mnie.

- Sami sobie nie poradzicie - powiedział Hop. Evan skinął głową.

- Gołymi rękami niewiele się tu działo. Matthew wygląda, jakby próbował piłować te pniaki nosem.

Roan z sykiem wciągnął powietrze.

- Nie wiem, jak mam dziękować...

- Nikt nie chce od ciebie żadnych podziękowań - powiedział wuj Winston, a wuj Eldon dodał głośno:

- Nie ma o czym gadać, nie ma o czym rozprawiać. Jesteśmy tutaj, bo chcemy tu być.

Tymczasem na drodze pojawiły się kolejne samochody. Przyjeżdżali Maloneyowie, Delaneyowie, Kehoeowie, O'Brienowie i Tobblerowie. Ciotki, wujowie, kuzyni, ich mężowie i żony - według moich obliczeń było ich wszystkich dobrze ponad setkę - przywozili ze sobą narzędzia, jedzenie i dobre słowo. Napływały kolejne piły, łopaty i siekiery; pudła z jedzeniem, lodówki, gitary, krzesła i koce.

Przyjechał też tato. Wysiadł z samochodu i przez chwilę stał przy nim nieruchomo, a ciepły, wilgotny wiatr rozwiewał jego przerzedzone włosy i kraciastą koszulę. Zdawało się, że jest ogarnięty jakąś mroczną, posępną cfeterminacją - człowiek który pogrzebał Wąwóz i odesłał Roana - nie zapomniał.

Roan odwrócił się i spojrział na mnie.

- Czy ty ich o to prosiłaś? - spytał chrapliwie.

Pokręciłam głową, z trudem hamując napływające mi do oczu łzy.

- Nie rozumiesz? Oni są tutaj dla ciebie.

Rozstawiono już stoliki z jedzeniem. Odezwała się czyjaś gitara. Był to więc kolejny obiad na trawie, przynoszący radość i przyjaźń do miejsca, które kiedyś było piekłem.

Brakowało tylko Josha, od którego nikt nie miał żadnych wiadomości.

Późnym popołudniem Wąwóz był już całkiem oskalpowany z roślinności. Violet i Rebeka namówiły mnie, bym odpoczęła chwilę i usiadła z nimi na kocu w cieniu drzew. Cisza, jaka nastąpiła po kilku godzinach ryku pił motorowych, zdawała się dziwnie ciężka i złowieszcza.

Odprowadzany setką spojrzeń Roan podszedł do mnie i kucnął przy moim kocu. Patrzyliśmy na koparkę, którą sterował Hop. Położyłam dłoń na ramieniu Roana i delikatnie rozmasowywałam napięte mięśnie. Roan, nie patrząc na mnie, odszukał moją dłoń i włożył ją sobie pod pachę. Matthew i Tweet stali obok nas. Matthew ze smutkiem przyglądał się wielkiej koparce,

- Teraz, jak już przyszło do kopania - powiedział - to wygląda dość makabrycznie. Wolałbym chyba, żebyśmy wszyscy odśpiewali „alleluja” i poszli sobie do domu.

Roan odpowiedział mu cicho:

- Dopóki nie wydrzemy nawet najmniejszych korzeni z tej ziemi, to miejsce jest domem.

Za każdym razem, gdy Hop wbijał łyżkę koparki w ziemię, czułam, jak cierpnie na mnie skóra. Wąwóz pokryły wydłużone cienie drzew. Wszyscy zaczęli się gromadzić w jednym, wielkim półkolu, ich twarze zastygły w grymasie „nie-patrz-muszę-patrzeć”, który tak często widziałam u świadków jakichś potwornych wypadków.

Po kilku minutach, w dole głębokim na pięć stóp ukazał się powyginany, zardzewiały dach ciężarówki Dużego Roana. Roan podniósł rękę, a Hop zatrzymał koparkę. Roan podszedł do dołu, stanął na jego krawędzi i wpatrywał się w zniszczony samochód.

Nikt się nie poruszał, nikt nie oddychał. Upłynęła jedna minuta, potem następna. Zaczęłam się bać, że Roan zgubił się w jakiejś pętli czasowej.

- Pomóżcie mi wstać - powiedziałam do Violet i Rebeki. - Szybko. Koparka znów ryknęła głośniejsze, a ciężki czerpak wbił się w dach ciężarówki

- szoferka wypełniona była ziemią, powyginany metal zardzewiał i miejscami poczerniał, bo tato podpalił przyczepę i samochód, nim je zagrzebał.

Koparka wyciągnęła auto z dołu, a kiedy ten odkleił się wiezcie'od rozmięklej ziemi, towarzyszył temu przeciągły, metaliczny jęk; Ludzie przysunęli się bliżej do siebie. Evan podjechał do koparki spychaczem.

- Wrzucimy ją na wywrotkę - zawołał. Kiedy spojrzałam na Roana, omal nie pękło mi serce. Jego oczy przepełnione były straszliwym, rozdzierającym bólem, obłoczone palce wpijały się w biodra, pierś unosiła się i opadała ciężko pod przepoconą koszulą. Wiedziałam,-ze widzi w tej ciężarówce Dużego Roana, widzi w niej siebie. Objęłam go delikatnie i przytuliłam się do niego.

- Zostaw - szepnęłam.

- Nie mogę. Nie mogę przestać widzieć.

- Poczekajcie.

- Na drodze stał Josh i przyglądał nam się ze zrezygnowaną miną. Wszyscy odwrócili się w jego stronę, zaskoczeni. Mój brat szedł powoli, ciężko, przez rozmiękłą świeżo uprzątniętą ziemię. Matthew patrzył na niego z troską.

- Pozwólcie, że pomogę - powiedział Josh.

- Tata! - wrzasnęła Amanda i pognąła w jego kierunku, po czym zatrzymała się o krok przed nim, jakby niepewna co dalej. - Wiedziałam, że przyjdiesz! Wszystkim to mówiłam! Powiedziałam też Matthew!

Napięcie zniknęło wreszcie z twarzy mego brata, a pojawił się na niej wyraz wdzięczności. Josh pochylił się, wziął Amandę w objęcia i podniósł ją z ziemi.

- Z ciebie to prawdziwa pociecha - mruknął, kiedy Amanda zerkała na niego znad swych różowych okularów, najpierw niepewna i zmartwiona, a potem cała w uśmiechach.

Tweet podreptała do truchła ciężarówki, przekrzywiła swą blond główkę na bok i przyglądała jej się przez chwilę, potem stuknęła w wygięte drzwi, które trzymały się tylko na jednym zawiasie i spojrzała poważnie na Roana:

- Zdaje się, że będziesz miał przy mej sporo roboty.

Kilka osób w tłumie wybuchnęło głośnym, oczyszczającym śmiechem. Roan i ja patrzyliśmy na Josha, który trzymał Amandę w mocnym uścisku. Ta klepała go po policzku. Nie przywieźliśmy mu syna, który pozwoliłby się łatwo kupić, ale daliśmy mu cudowną, oddaną całym sercem córkę.

Puszki, zniszczona bryła pralki, gnijące opony, tajemnicze kawałki i odpadki, których pochodzenia nikt już nie był w stanie odgadnąć - wykopaliśmy to wszystko, wytaszczyli na górę i wrzucili na ciężarówkę.

Głębiej, głębiej. Koparka była już tak głęboko zanurzona w wykopanym przez siebie dole, że mogliśmy podać Hopowi kubek z pićiem, nie sięgając do góry. Między śmieciami zaczęła się sączyć woda - wielkie, błotniste kałuże, utworzone przez wąski strumyczek, który płynął kiedyś samym dnem Wąwozu.

Robiło się coraz ciemniej, nadchodził wieczór. Zapłonęło kilkadziesiąt latarenek turystycznych rozsiewając wokół siebie niesamowity magiczny blask święta.

- Jest! - wrzasnął Hop, kiedy łyżka koparki uderzyła w metalową ścianę. Przyczepa.

- Jakie to było duże? - spytał Matthew Roana.

- Nie dość duże - odparł Roan, nie odrywając spojrzenia od dołu pod naszymi nogami.

Dopiero połączone siły koparki i spychacza zdołały wyciągnąć zapadniętą w błoto przyczepę. Osmolona, pognieciona bryła wytoczyła się z dołu i opadła tyłem na ziemię, jakby przygnieciona stopą olbrzyma. Leżała nieruchomo w migotliwym świetle latarni, patrząc na nas czarnymi oczodołami wybitych okien, ociekająca wodą, która sączyła się rdzawoczarным strumieniem spod zamkniętych drzwi.

I wtedy przez jakiś dziwny kaprys natury, a może zrzędzeniem losu, drzwi przyczepy powoli się otworzyły.

Za naszymi plecami rozległ się zbiorowy okrzyk zdumienia. Wszyscy prócz mnie i Roana cofnęli się o kilka kroków.

My dwoje wpatrywaliśmy się w ten czarny prostokąt, najeżony fragmentami zgniłych, nadpalonych mebli.

Śmierząca woda przelewała się przez próg. Znów miałam dziesięć lat, a Roan piętnaście, znów znaleźliśmy się w środku starego koszmaru.

Nagle objęły mnie ramiona Roana, a moje objęły jego. On przytulił moją twarz do ramienia, a ja przyciągnęłam jego głowę do swojej i zakryłam mu dłońią oczy.

Usłyszałam, jak drzwi zamykają się z trzaskiem. Podniosłam wzrok. Josh i Matthew stali obok siebie, podtrzymując zatrzaśniętą klapę.

Zniszczona przyczepa została odnotowana. Zniknęła stara ciężarówka, zniknęły śmiecie. Dół został zasypany ziemią.

Siedzieliśmy w ciemności rozpraszonej tylko przez blade światło lampek. Wszyscy czuliśmy, że jeszcze czegoś nam brakuje. Czegoś, co podsumowałoby wszystko i co pozwoliłoby odejść nam do domu z poczuciem, że to miało sens. Ciotka Dockey, Wielbna Maloney, która przyjechała tutaj, wygłosiwszy swoje niedzielne kazanie w maleńkim kościele unitariańskim w Dunderry, stanęła przed wszystkimi i oświadczyła:

- Chciałam wam coś powiedzieć. - Spojrzała na Roana i na mnie. - Jeśli wszyscy czujecie potrzebę wysłuchania moich słów.

Roan milczał, więc ja odpowiedziałam;

- Tak, czujemy taką potrzebę.

Usiedliśmy wszyscy, młodzi i starzy, czarni i biali, mozaika ludzi połączonych silnym spoiwem przyjaźni i miłości. Usiedliśmy na mokrej ziemi, a ciotka Dockey stanęła przed nami, i było coś potężnego i godnego w tej krępej, siwiejącej kobiecie w brudnych tenisówkach, ochlapanej błotem koszuli i drelichowej spódnicy, na której znajdował się wysadzany drobnymi kryształkami krzyż. Ona z pewnością mogła obronić nas słowem przed ciemnością i zamętem.

Ciotka rozpoczęła swoje improwizowane kazanie, osnute na różnych fragmentach z Biblii, a moje otepiałe, wyczerpane myśli odpływały ode mnie wracały, znów się rozmywały, by wreszcie skupić się na słowach wypowiedzianych przez ciotkę.

„Ziarno, które padło na drogę, zostało podeptane, a ptaki powietrzne wydziobały je. Inne padło na skałę i gdy weszło, uschło, bo nie miało wilgoci. Lecz to, które padło na ziemię żyzną, wzrosło i wydało plon stokrotny”.

Trzymałam Roana za rękę i oparłam głowę na jego ramieniu. On ścisnął moje palce w rytm cichej kontemplacji.

- „...Dawid wygłosił na cześć Pana pieśń pochwalną, bo Pan wyrwał go z sidła śmierci i nie pozwolił, by znów zatrwożyły go odmęty niosące zagładę”.

Już nigdy więcej.

„Pan wyrwał mnie z pęt Szeolu, wyprowadził mnie na miejsce przestronne i utwierdził moją ścieżkę”.

Ciotka Dockey nie szczędziła nam mrocznych analogii i wertowała Biblię, jakby był to jakiś zbiór cytatów na każdą okazję. Ale tego właśnie potrzebowaliśmy - nie wykładu z teologii lecz słów pocieszenia.

„Niech ludzie niktzemni okryją się hańbą, niech na zawsze umilkną

w wiecznej ciemności. Niech ucichną, którzy kalają wargi pychą i pogardą, którzy świadczą kłamliwie przeciw sprawiedliwym".

Wiedziałam, że jeszcze przez wiele lat ludzie będą rozpuszczać głupie plotki o Roanie, Matthew, o całej historii Sullivanów, o mnie, o moim udziale w tych wydarzeniach, o tym jak wróciłam do domu i dlaczego. Jednak plotka jest niczym w porównaniu z uporem Maloneyów i dumą Sullivanów.

„Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzyłem się tego co dziecięce”.

Koniec z koszmarami, tymi sennymi, i tymi co na jawie.

„Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam, tak jak i zostałem poznany”.

Wiara patrzy na wiarę i rozumie.

Ciotka Dockey przerwała na moment Ludzie wokół nas siedzieli nieruchomo z pochylonymi głowami, zamkniętymi oczami, głowami opartymi na czubkach palców. Roan odetchnął głęboko i objął mnie mocniej. Spojrzeliśmy na siebie. Roan uśmiechnął się ze znużeniem i ujrzałam w nim spokój i wyciszenie, jakiego nie wiedziałam nigdy przedtem. Pocałowałam go delikatnie w usta.

A potem znów usłyszeliśmy Ciotkę Dockey i odwróciliśmy się do niej.

„Choć idę przez dolinę ciemności, żadnego zła się nie lękam”.

My też szliśmy. Baliśmy się. Ale wyszliśmy bezpieczni po drugiej stronie.

I tak tego dnia, tej nocy Wąwóz Sullivana został rozkopany, ekshumowany, okryty modlitwą i pogrzebany z powrotem, po stwierdzeniu zgonu z przyczyn całkowicie naturalnych.

Wiara, nadzieja, miłość.

I przebaczenie.

Tej samej nocy, na farmie, cała najbliższa rodzina - mama, tata, babcia Dottie, moi czterej bracia, trzy bratowe, dwanaścioro wnucząt - w tym Matthew - oraz Tweet, Roan i ja siedzieliśmy na werandzie jedząc zimne pieczone kurczaki i popijając herbatę. Słuchałam ich ciepłych, gęstych i słodkich jak miód głosów, patrzyłam na tę mieszankę starych i młodych, gęstych czupryn i łysin, szczupłych i grubych - na rodzinę, której nie można było nazwać prostą czy krótkowzroczną, bo kryła się w nich głębia i wzniosłość jednocześnie, jak we wszystkich prawie rodzinach.

Później poszłam z Roanem do stajni, ale tym razem staliśmy na dole, obejmując się czule w ciemnościach. Jedną z lam wsunęła głowę między drążki i próbowała zjeść rękaw koszulki Roana.

- Popatrz no tylko. Tu wszędzie są lamy - powiedział Roan, jakby dopiero je zauważył.

Kiedy wszyscy poszli już spać, spotkałam Roana na korytarzu przed wejściem do pokoju gościnnego, w którym umieściła go mama, a który nie został wybrany przez nią przypadkowo - tuż obok była jego stara sypialnia. Oboje wracaliśmy właśnie spod pryzm.

Po raz pierwszy mogliśmy spojrzeć na siebie wolni od wszelkiego strachu i uprzedzeń. Nie musieliśmy przed niczym się strzec, nie musieliśmy niczego bronić, odkupywać czy odbudowywać. Spokojni, nasyceni przyglądaliśmy się sobie z jakimś bezwstydnym zdumieniem.

- Tu wszędzie są lamy - powiedziałam. - Cześć, chłopie.

- Cześć, bączku.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do swojej starej sypialni. Leżeliśmy obok siebie na wąskim łóżku. Za oknem księżyc chował się już za Dunshinnog, a gwiazdy powoli bladły na coraz jaśniejszym niebie.

- Jestem taka obolała, że ledwo mogę się ruszać - powiedziałam.

- Nie będę cię prosić, żebyś się ruszała. - Roan naciągnął na nas kołdrę.

- Postaram się nie zabierać ci przykrycia. Nigdy nie zostawię ci samej w ciemności. Nigdy nie odwrócę się do ciebie plecami. Nie będę się rozpychał. Masz na to moje słowo, bączku.

- To brzmi tak, jakbyś miał na myśli coś znacznie większego niż to łóżko,

- Położyłam dłoń na jego policzku, a potem delikatnie dotykałam palcami jego ust. - To mogłoby zastąpić wiele odpowiedzi. Mogłoby trwać bardzo długo.

Pochylił się nade mną. Czulałam łzy na jego policzkach.

- Powiedz tylko: „witaj w domu”. Zrobiłam to.

Rozdział dwudziesty

Evan i ja chcemy jesienią zabrać Matthew na polowanie - oznajmił Hop Roanowi.

Evan zaczął się zastanawiać, czy Matthew poluje - nie pasowałoby to do jego zawodu.

- No to w takim razie weźmiemy go na ryby - odparował Hop. - Przecież nie jest doktorem od ryb.

Moi bracia sprowadzali wszystkie problemy natury społecznej do prostego systemu - należy pójść do lasu, zespolić się z naturą poprzez wędkę albo strzelby, a wtedy bez wątplenia dojdzie do zbratania dusz.

Brady uważał zaś, że wszelkie przyjaźnie, znajomości czy też więzy pokrewieństwa mogą służyć wspólnym interesom. Dlatego też przy najbliższej • okazji próbował porozmawiać na ten temat z Roanem:

- Będziesz tu potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia, Roan. Partnerów w interesach. Planów. Mam coś dla ciebie i to coś można streścić w dwóch słowach. Dokładnie dwóch. Pomyśl tylko, jakie to daje możliwości: centrum handlowe.

- Oczywiście, pomyślę o tym - obiecał Roan poważnym tonem. Czuliśmy się jak dzieci, weseli, beztroscy i tak upojeni radością bycia

razem, że spędzaliśmy całe dni przy Dziesięciu Skokach tylko we dwoje, nie widując się z nikim i z nikim nie rozmawiając.

Roan i Matthew planowali zbudować stajnię przy Dziesięciu Skokach. Przetransportowano na farmę psy i ptaki z Alaski, a jedna z papug Tweet natychmiast podziobała Renfrew.

Tak więc na pewien czas papugi zamieszkały z nami.

Zaczynał się lipiec, słońce przygrzewało coraz mocniej, wyciągano ze schowków grille, chłodzono arbuzy, na masztach wokół rynku zatopotaly kolorowe flagi, a małe dzieci zaczęły już że zgrozą myśleć b dniu, w Ictóim musiały w przebraniach występować publicznie.

Święto 4 lipca jest w Dunderry czerwone, białe, niebieskie i po irlandzku zielone.

Nadchodziły zielone krasnoludki.

Wszystkie dzieci wyglądały jak nieszczęśliwe karły z irlandzkiej wersji *Czarnoksiężnika z Oz*. Niemal połowa z nich była ze mną spokrewniona.

- Dlaczego musimy to robić? - szeptała do mnie rozżalona Amanda, odtrącając ze złością luźne zielone piórko wetknięte w równie zielony beret, który nie odbiegał zresztą barwą od bufiastej sukienki. - Ciociu Claire, ja nienawidzę tych cholernych ciuchów.

- Dobra dziewczynka - szepnęłam w odpowiedzi. Staliśmy w cieniu wielkiego parasola, tuż za rogiem ulicy Głównej, obok miejsca, gdzie miała odbyć się parada. Otaczał nas tłum uczestników tejże parady - między innymi muzycy z orkiestry szkolnej, złani potem w swych ciasnych uniformach, i prawnicy z klubu motocyklowego Wuja Ralpa w nabijanych ćwiekami czarnych skórach, pod którymi rozpływali się z gorąca. Prócz tego można było spotkać jeszcze całe mnóstwo dziwnych i zaskakujących grup, z których najbardziej egzotyczną były chyba cztery lamy Taty, przystrojone w czerwono-biało-niebieskie sztandary. Lamy miały przemaszerować ulicą Główną, a prowadziły je cztery dzieciaki z naszej rodziny, oczywiście także ubrane w odpowiednie barwy.

Tuż obok mnie rozciągało się morze małych, zaczerwienionych twarzyczek, wieńczących zielone sukienki, zielone kubraczki, zielone podkolanówki i także buty. Mamy kręciły się bezustannie wokół swych pociech. Violet pocierała kawałkiem lodu czoło swej córki. Tula poprawiała zielone, marszczone kołnierzyki pod brązowymi twarzyczkami swoich dwóch najmłodszych córek, które ze stoickim spokojem znosiły ten upokarzający spektakl.

- Ciociu Claire, dlaczego musimy to robić? - powtórzyła Amanda.

- Bo wszyscy musicie mieć jakieś okropne zdjęcia, które będziecie kiedyś mogli pokazywać swoim dzieciom.

Zdjęcia i filmy.

Amanda jęknęła, zdruzgotana, a ja pomyślałam nagle z radością i satysfakcją, że miałam więcej szczęścia niż ona - wypełniłam swój dziecięcy obowiązek, nim ktokolwiek w rodzinie miał własną kamerę.

Podszedł do nas Josh. Przyciągnął do siebie Amandę i uśmiechnął się do niej.

- Tato - powiedziała Amanda posępnym tonem. - Wyglądam jak nać pietruszki z rudymi włosami.

- Jesteś piękna - odparł Josh. - Nigdy nie widziałem piękniejszego widoku. Chcę, żebyś była w tym przebraniu, aż do wieczora, kiedy przyjedzie do nas Lin Su. Muszę zrobić zdjęcie wam obu. I jeszcze z tobą i Matthew. Zgoda?

- Pewno, ale Matthew też musi włożyć coś zielonego.

- Co tylko zechcesz, księżniczko krasnoludków.

Amanda roześmiała się głośno. Josh spojrział na mnie z satysfakcją, a ja odpowiedziałam mu uśmiechem. Mój brat przedstawił niedawno rodzinie Lin Su. Była to czarująca i inteligentna dziewczyna, widziałam, że zależy jej na Joshu i że świetnie dogaduje się z Amandą. Mama miała nadzieję, że w końcu dojdzie do ślubu.

Amanda pomachała do Roana, który stał po drugiej stronie ulicy, oddalony nieco od miejsca, gdzie za prowizorycznym ogrodzeniem przygotowywała się do parady część rodziny Maloneyów. Roan roześmiał się i też pomachał do Amandy, a ja uśmiechnęłam się do niego i przewróciłam oczami, wskazując na chaos, który nas otaczał.

Poklepałam po główkach jeszcze kilkoro dzieci Maloneyów i delikatnie pociągnęłam Amandę za włosy.

- W porządku, dzieciaki, powodzenia wam wszystkim. Bawcie się dobrze. Uwierzcie mi, byłoby znacznie gorzej, gdybyście musiały stepować.

Kilka tysięcy osób wypełniło główny rynek w Dunderry. Turyści przechadzali się między straganami rozstawionymi na trawniku przed budynkiem starego sądu. Głośna marszowa muzyka dochodziła z głośników umieszczonych na samochodzie strażackim, który stał przy zbiegu ulic Głównej i Delaneyów, skąd wkrótce miała rozpocząć się parada.

Szłam powoli obok Roana, Matthew i Tweet. Wokół nas kręciły się dziesiątki Maloneyów i Delaneyów. Mama uśmiechała się do nas znad

ciemnych okularów, tato majstrował coś przy swojej kamerze wideo, stado ciotek, wujów i kuzynów rozproszyło się, pozwalając nam wybrać sobie miejsce do siedzenia. "

Zazwyczaj Delaneyowie i Maloneyowie nie zachowują się w ten sposób, kiedy wszyscy próbują upolować miejsce w cieniu pod tym samym więzem.

Matthew posadził sobie na biodrze malutkiego synka Hopa i Głrrger o przezwisku Erp. Erp pogryzał roztopiony owocowy lizak. Matthew pokazał nam palcem wielką różową plamę na jego koszuli. Pachniał lekko brzoskwiniową śliną Erpa, którą ten z radością opluwał wszystko dookoła.' Tweet przysunęła się bliżej.

- Dobry punkt - oświadczyła z uśmiechem. - Erp będzie mógł celować w strażaków.

Wielka ciężarówka ze składaną drabiną powoli ruszyła naprzód. Roan objął mnie od tyłu obiema rękami i splótł swoje dłonie z moimi. Wóz strażacki sunął w naszą stronę. Hop i Evan są członkami ochotniczych oddziałów straży, więc i oni zajęli miejsca na samochodzie. Wrzeszczeli i śmiali się jak mali chłopcy, rzucając w rodzinę miętowymi cukierkami.

Erp wypluł grudkę roztopionej brzoskwini na dłoń Tweet. Tweet strząsnęła ją energicznie, a brzoskwiniowy pocisk uderzył prosto między oczy Brady'ego, który stał obok nas. Evan i Hop śmiali się jak wariaci i omal nie spadli z ciężarówki.

Kliknęły dziesiątki aparatów Maloneyów, zaszumiały kamery.

Za wozem strażackim maszerowała orkiestra średniej szkoły, grając patriotyczne pieśni. Później szła grupa moich uzdolnionych muzycznie krewnych, której przewodził wuj Dwayne. Gorące, czerwcowe powietrze wypełniły dźwięki irlandzkich melodii, odgrywanych na skrzypkach, fletach i bębnach.

Czułam się wzbogacona bezpieczeństwem, pewnością i miłością. Pomimo nowych sklepów, nowych domów i tysięcy obcych mi ludzi, którzy wypełniali cieniste uliczki Dunderry, w głębi serca wciąż wszyscy byliśmy sobie znajomi, zjednoczeni i przeniknięci niepowtarzalnym ciepłem, jak ulubiona rodzinna historyjka powtarzana przy każdej okazji.

Pomyślałam o tamtym dniu, o tamtym święcie, o Roaniem Sullivanie stojącym pod sceną, o tym jak oboje czuliśmy się upokorzeni i przez to odizolowani od świata, a jednocześnie jakimś dziwnym zrządzeniem losu złączeni ze sobą. Myślałam też o bożonarodzeniowej paradzie, Dużym

Roanie i o wstydzie, który sprawiał, że Roan jeszcze bardziej chował się w sobie. Dzisiaj byliśmy razem i nie towarzyszyło temu upokorzenie ani wstyd - to było tak dojrzałe, tak słodkie jak winne grono, które pęka na języku. Poczułam wreszcie smak szczęścia. Nagle pochód obrócił się w moją stronę.

Grupa wuja Dwayna stanęła w miejscu i przestała grać. Amanda gestem nakazała swej grupie podejść do przodu. Stado zielonych dzieciaków zgromadziło się przy muzykach, a wszystkie chichotały bez przerwy gapiąc się to na mnie, to na Roana - nie byłam pewna, o które z nas im chodziło.

Przysunęłam się bliżej niego, on objął mnie mocniej. Nie wyczuwałam w nim żadnego zaskoczenia. Byłam zupełnie zdezorientowana.

- Albo myślą, że jesteśmy sędziami parady - szepnęłam kącikiem ust - albo że chowamy przed nimi skarb.

- Ććć... poczekaj - szepnął Roan.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego ze zdumieniem. W jego oczach migotał figlarny ogień. Spisek. Spojrzałam na mamę, na tatę, potem na twarze wokół nich. Spisek. Spojrzałam na Amandę uśmiechniętą od ucha do ucha. Spisek. Wszyscy coś knuli.

Wuj Dwayne zaczął grać na swoich skrzypkach jakąś starą irlandzką balladę, melodyjną i słodką. Dzieciaki zaczęły się popychać ustawiać i wreszcie stanęły w szeregu, zwrócone twarzami do mnie i Roana. Drobne rączki sięgnęły za kołnierze zielonych sukienek i koszul. Błysnęły szerokie białe kartki, ułożone w nierównej linii. Na każdej z nich wypisana była jedna zielona litera.

Wszystkie układały się w napis, który mogła zobaczyć cała rodzina, całe miasto, cały wszechświat.

CLAIRE, WYJDZIESZ ZA MNIE?

Odwróciłam się twarzą do Roana i spojrzałam na mego oczami pełnymi łez. Jego oczy też były wilgotne.

- Niespodzianka - mruknął. - Przeczytałaś już wszystkie moje listy, więc pomyślałem, że tym powinniśmy się podzielić ze wszystkimi.

Śmiałe słowa jak na człowieka, który przez całe życie unikał publicznych występów.

Delikatnie wyswobodziłam się z jego objęć i wciąż utykając, wyszłam na

ulicę. Szybko przeliczyłam potrzebne mi litery, przestawiłam kilkoro dzieciaków, kilku innym kazałam odwrócić kartki na czystą stronę.

Kiedy skończyłam, odwróciłam się do Roana, nie zwracając uwagi na głośnie śmiechy i oklaski wokół nas, lecz czekając na jego reakcję. Nigdy dotąd nie widziałam człowieka, któremu tyle radości sprawiłoby jedno proste zdanie
WYJDEŃ ZA CIEBIE

Roan wysunął się z tłumu i ruszył w moją stronę. Spotkaliśmy się w pół drogi i podaliśmy sobie dłonie. Byliśmy teraz częścią parady. Częścią tego wszystkiego.

Słyszałam rozradowany głos mamy:

- A suknie druhen będą złote i beżowe...

Wuj Dwayne zagrał pierwsze takty *Gdy uśmiechają się irlandzkie oczy*.

Matthew i Tweet uśmiechali się szeroko.

Stający nieopodal pan Cicero pokazał mi uniesione kciuki.

- Dobra edycja - zawołał. Krasnoludki chichotały.

Roan i ja patrzyliśmy sobie w oczy. Erp opluł nas brzoskwiniową papką. Wszystko było doskonałe.

Rozdział dwudziesty pierwszy

J esień.

Stara góra szeptała do siebie, przyciągała nas na szczyt cichym pomrukiem pór roku, cierpliwym kręgiem życia, które podtrzymywała.

Wspinaliśmy się na szczyt Dunshinnog po dobrze nam znanej ścieżce, dzień po tym, jak oddaliśmy Dziesięć Skoków Matthew i Tweet. Oboje byli zakochani po uszy w jeziorze, w chacie, w ptakach, zwierzętach, górach i lesie, który ich otaczał.

Moja noga była już silna, ale wspinaczka na Dunshinnog stanowiła nie lada wyzwanie i trochę się obawiałam, czy zdołam mu stawić czoło. Nie mogłam jednak zawieść Roana ani siebie. Podpisałam kontrakt z panem Cicero i przejęłam „Koniczynkę”. Byłam trochę zdenerwowana tak dużą odpowiedzialnością, ale i bardzo podekscytowana.

- Śmiało, to już niedaleko - zachęcał mnie Roan, kiedy dysząc ciężko pokonywałam ostatnie jardy zbocza. On szedł przede mną i pomagał w razie potrzeby. Teraz podał mi rękę i pomógł wspiąć się na granitową półkę. Uderzyłam go w ramię i roześmiałam się triumfalnie. On wyszczerzył zęby w zadowolonym uśmiechu, dumny z nas obojga.

Popatrzyliśmy uważnie na małe zielone kielki nowych naparstnic, które wyrastały pomiędzy więdnącymi już, lecz wciąż majestatycznymi roślinami ze starszego pokolenia.

- Nigdy ich tu nie widziałam w takiej ilości - oznajmiłam. - To będzie dobry rok dla naparstnic.

Przechadzaliśmy się po polanie na szczycie góry, potem odnaleźliśmy miejsce, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Roan ściągnął z ramion plecak

i wyjął z niego starą deskę z wyrytymi naszymi imionami. Przytrzymałam ją wysoko, przy pniu dęba, a Roan przybił ją tam niewielkim gwoidziem.

- Serce domu. Dokładnie tutaj - powiedział. - Będziemy tu siedzieć i patrzeć na niebo. Z rodziną. Z przyjaciółmi. Będziemy widzieć całą dolinę. Ogromne przestrzenie.

Wyciągnęłam coś z kieszeni moich spodni i podałam Roanowi.

- To dla ciebie. Dziadek chciałby, żebyś właśnie ty to zatrzymał, Pamiętasz, kiedy przyszliśmy z nim tutaj pierwszy raz?

Roan ostrożnie wziął ode mnie cynowy flecik.

- Będę musiał nauczyć się na tym grać - powiedział cicho.

- Nauczysz się. Jestem pewna. Dziadek zawsze wiedział, komu należy przekazywać tradycje.

Roan objął mnie mocno jedną ręką. W jego duszy zamieszkał wreszcie prawdziwy spokój. Był szczęśliwy. Powrócił w miejsce, do którego: oboje należeliśmy. Odnalazł swój dom. Koniuszkiem palca dotknął moich warg, Stary pocałunek, z dzieciństwa. Usiedliśmy na skalnej półce. Wokół nas zapadał powoli zmierzch, otulał dojrzałą, brzemioną owocami ziemię. Wiatr śpiewał swą delikatną, czystą pieśń. Chłoniliśmy rozległy widok, niebo i ziemię, wszystko zachowując w pamięci, ale patrząc w przyszłość.